

Guy Gavriel Kay

# PIEŚŃ DLA ARBONNE

Przełożyła Agnieszka Sylwanowicz



Wydawnictwo MAG

Warszawa 2008

Tytuł oryginału:  
*A Song for Arbonne*

Copyright © 1992 by Guy Gavriel Kay

Copyright for the Polish translation  
© 2008 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:  
Urszula Okrzeja

Korekta:  
Joanna Figlewska

Ilustracja na okładce:  
Cathy MacLean

Opracowanie graficzne okładki:  
Jarosław Musiał

Projekt typograficzny, skład i łamanie:  
Tomek Laisar Fruń

Wydanie I

ISBN 978-83-7480-078-5

Wydawca:  
Wydawnictwo MAG  
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa  
tel./fax (0-22) 813 47 43  
e-mail: kurz@mag.com.pl  
<http://www.mag.com.pl>

*Książkę tę z miłością dedykuję  
pamięci mego ojca,  
dra Samuela K. Kaya,  
którego umiejętności i współczucie jako chirurga  
przez całe życie podnosiła miłość  
do języka i literatury - miłość, którą wśród tak wielu innych darów  
przekazał swoim synom.*

## Podziękowania

Chociaż jest to dzieło literackie, po raz kolejny zaciągnąłem dług wobec umiejętności i pracowitości wielu uczonych, specjalizujących się w tym okresie, dzięki którym powstały wykorzystane przeze mnie źródła. Nie dziwi, że wiele z tych osób to Francuzi: Georges Duby, Emmanuel Le Roy Ladurie, Philippe Aries. Pomocne okazały się też dzieła między innymi Urbana Tignera Holmesa, Frances i Josepha Giesów oraz Friedricha Heera. Dzieła i historię trubadurów poznałem głównie dzięki Frederickowi Goldenowi, Paulowi Blackburnowi, Alanowi Pressowi i Meg Bogin.

*Pieśń dla Arbonne* została w znacznej mierze napisana podczas dwóch długich pobytów w okolicach Aix-en-Provence. Z przyjemnością składam podziękowania, za miłe powitanie i okazaną pomoc, tamtejszym mieszkańcom, którzy zostali moimi przyjaciółmi: Jean-Pierre'owi, Kammie Sorensen i ich synowi Nicolasowi oraz Rolandowi i Jean Ricardom.

Mam szczęście, że mogę polegać na krytycznych i zawodowych umiejętnościach pewnych ludzi. Wśród tej grupy znajdują się moje agentki, Linda McKnight w Toronto i Anthea Morton-Saner w Londynie. Najwyższy też czas wspomnieć o wsparciu, jakie od dawna czerpię z przyjaźni i przykładu ogromnie utalentowanego George'a Jonasa. Na końcu, jak zawsze, wymieniam Laurę.

## O wymowie

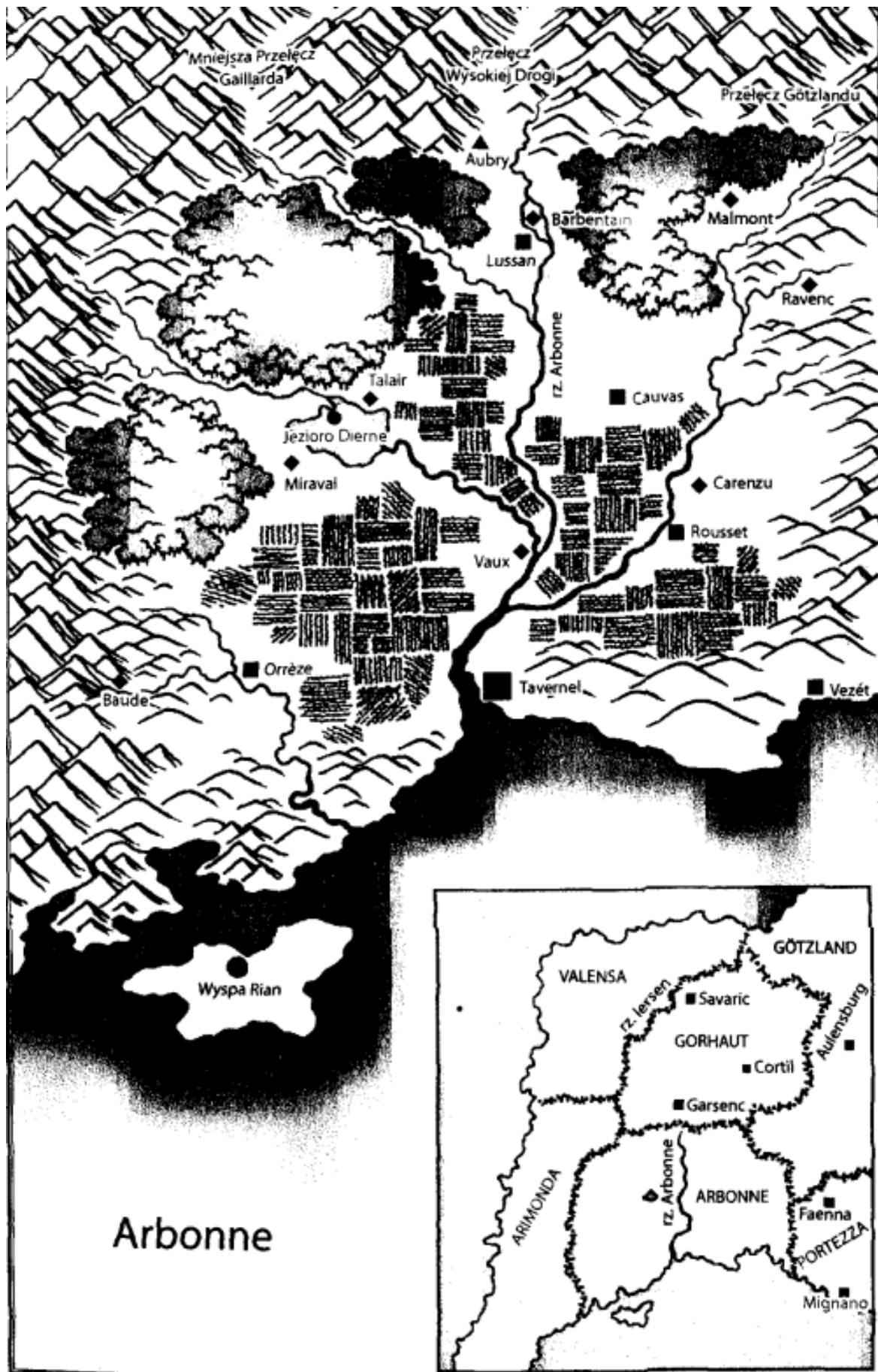
Zapewne czytelnik zauważy, że podstawą większości nazw własnych w niniejszej książce jest język francuski. Istnieje jednakże jedno zastrzeżenie. Historycznie w języku obecnego południa Francji (Prowansji lub Langwedocji czy też Akwitanii), w przeciwieństwie do współczesnej francuszczyzny, zwykle wymawiało się końcowe „s”. Zastosowałem się do tej zasady, w związku z czym w imionach takich, jak Aelis czy Cauvas, ostatnia spółgłoska powinna być słyszalna.

## **Z Vidan trubadura Anselme'a z Cauvas...**

*Anselme, który zawsze był uznawany za pierwszego i może największego ze wszystkich trubadurów Arbonne, miał skromne pochodzenie - był najmłodszym synem pisarza z zamku pewnego barona pod Cauvas. Ciemnowłosy, średniego wzrostu, odznaczał się cichą mową, która jednak sprawiała niezwykłą przyjemność wszystkim, którzy go słyszeli. Będąc jeszcze pacholęciem, wykazywał wielki talent muzyczny i ciekawość muzyki, został więc zaproszony do słynnego chóru sanktuarium boga w Cauvas. Jednak w niedługim czasie zakiełkowało w nim pragnienie tworzenia muzyki bardzo różniącej się od tej, którą uznawano za odpowiednią dla obrzędów ku czci boga, a właściwie bogini Rian. Tak więc Anselme porzucił wygody kaplicy i chóru, by samotnie wędrować pośród wiosek i zamków Arbonne i wykonywać pieśni, które układał z melodii i słów podchwyconych u prostego ludu, śpiewającego we własnej mowie...*

*Później został sprowadzony do domu księcia Raimbauta de Vaux, gdzie cieszył się wielkim szacunkiem, a z czasem jego sława dotarła aż do samego hrabiego Folqueta i Anselme otrzymał zaproszenie do spędzenia zimy w Barbentain. Od tamtej pory nie musiał się już troskać o swój los, podobnie jak inni trubadurzy Arbonne, Anselme bowiem szybko zaskarbił sobie przyjaźń i zaufanie hrabiego Folqueta oraz szacunek i wielką sympatię szlachetnej hrabiny Dii. Cenili go oni za jego muzykę i dowcip, a także za dyskrecję i spryt, które skłoniły hrabiego do zlecenia mu licznych ryzykownych misji dyplomatycznych poza granicami Arbonne...*

*Z czasem sam hrabia Folquet zaczął, pod kierunkiem Anselme'a z Cauvas, komponować własne pieśni i można rzec, że od owego dnia sztuka i reputacja trubadurów nigdy nie była w Arbonne pomniejszana czy zagrożona, a raczej rozwijała się i kwitła we wszystkich znanych krajach świata...*



## PROLOG

W wiosenny poranek, kiedy topniały górskie śniegi, a rzeki szybko toczyły swe wody, Aelis de Miraval patrzyła, jak jej mąż wyjeżdża konno na polowanie w lesie położonym na zachód od ich zamku, a niedługo potem sama dosiadła konia i udała się na północny wschód wzdłuż brzegów jeziora, by począć syna.

Nie odjeżdżała samotnie ani w tajemnicy; to byłoby niewysłowione szaleństwo. Chociaż młoda i niezmiennie uparta, Aelis nigdy nie wykazywała się głupotą i nie zamierzała robić tego teraz, nawet w miłości.

Zabrała ze sobą młodą kuzynkę i eskortę złożoną z sześciu coranów, wyszkolonych i namaszczonych zamkowych wojowników, a cel wyprawy uzgodniła przed kilkoma dniami z mężem - miała spędzić dzień i noc z księżną Talair w jej otoczonym fosą zamku na północnym brzegu Jeziora Dierne. Wszystko było w starannie zaplanowanym porządku.

Fakt, że poza księżną i jej damami dworu w zamku Talair przebywali inni ludzie, stanowił oczywistą prawdę, niewartą komentarza czy uwagi. Dwór tak potężnego księcia jak Bernart de Talair liczył wiele osób, a jeśli jedną z nich mógł być młodszy syn i poeta, to cóż z tego? Kobiety w zamku, nawet tu, w Arbonne, były strzeżone niczym przyprawy lub złoto, a na noc zamykane przed kimkolwiek, kto mógłby wędrować korytarzami w ciszy nocnych godzin.

Lecz do nocy i jej wędrowców było jeszcze daleko. Księżna i jej towarzysze jechali w blasku przepięknego poranka, stanowiącego pierwszą nutę pieśni, jaką miała się stać wiosna w Arbonne. Z lewej strony ciągnęły się daleko na ziemiach Miraval tarasy winnic, teraz bladezielone, lecz kryjące obietnicę ciemnych, dojrzałych letnich winogron. Na wschód od zakręcającego szlaku lśniły oślepiającym błękitem w blasku wczesnego słońca wody Jeziora Dierne. Aelis wyraźnie widziała wyspę i dym unoszący się z trzech świętych palenisk w świątyni Rian. Mimo dwóch lat, które spędziła na innej, większej wyspie bogini, leżącej na morzu daleko na południu, Aelis prowadziła życie za blisko rozgrywek ziemskiej władzy, aby być prawdziwie pobożną, lecz tego ranka pomodliła się w duchu do Rian. A potem zmówiła jeszcze jedną modlitwę - rozbawiona swym zachowaniem - do Corannosa, by bóg Starożytnych też mógł na nią łaskawie spojrzeć ze swego tronu za słońcem.

Oczyszczone rześkim wiatrem powietrze było tak przejrzyste, że Aelis już widziała

Talair na przeciwległym brzegu jeziora. Mury zamku wznosiły się potężne i surowe, jak przystało na siedzibę tak dumnego rodu. Zerknęła do tyłu i za winnicami ujrzała równie aroganckie, a nawet nieco wyższe mury Miraval, siedziby najznakomitszej rodziny Arbonne. Jednakże, patrząc nad wodą ku Talair, Aelis się uśmiechała, a gdy obejrzała się na zamek, w którym mieszkała z mężem, nie umiała powstrzymać drżenia i przelotnego uczucia chłodu.

- Pomyślałam, że możesz zmarznąć. Zabrałam twój płaszcz, Aelis. Dzień jeszcze młody, podobnie jak rok.

Aelis pomyślała, że jak na trzynastolatkę, jej kuzynka Ariane jest o wiele za bystra i spostrzegawcza. Niemal czas wydać ją za męża. Niech jakaś inna dziewczyna z mojej rodziny odkryje wątpliwe przyjemności małżeństwa zawartego ze względów politycznych, pomyślała złośliwie Aelis. Zaraz jednak cofnęła to życzenie: nie chciała, by jakakolwiek jej krewniaczka natknęła się na pana takiego jak Urté de Miraval, a już najmniej dziecko o tak dobrym sercu, jak Ariane.

Aelis pomyślała, że nie tak dawno sama taka była. Zerknęła na kuzynkę, na jej bystre, wyraziste, ciemne oczy i długie rozpuszczone czarne włosy. Swoje miała teraz oczywiście starannie upięte - była mężatką, nie panną; upięte włosy, jak wszyscy wiedzieli i o czym pisali trubadurzy, a śpiewali żonglerzy, stanowią zarzewie pożądania. Aelis pomyślała kostycznie, że mężatki o wysokiej pozycji nie mają budzić takiego pożądania. Mimo to uśmiechnęła się do Ariane; trudno było się do niej nie uśmiechać.

- Żadnego płaszcza dziś rano, serdeńko, to by wyglądało na zaprzeczenie wiosny.

Ariane się roześmiała.

- „Kiedy nawet ptaki nad jeziorem wiosną śpiewają o mej miłości” - zacytowała. - „Chociaż nie słyszy ich nikt prócz fal”.

Aelis znów się uśmiechnęła. Ariane pomyliła słowa, ale lepiej jej nie poprawiać, bo zbyt wiele mogłoby wyjść na jaw. Tę pieśń śpiewały wszystkie damy dworu. Jej słowa powstały niedawno. Wyśpiewał je pewien żongler w jednej z sal Miraval ledwie kilka miesięcy temu podczas zimowej słoty, po czym kobiety z zapalem snuły przypuszczenia przez co najmniej dwa tygodnie, który to z co lepiej znanych trubadurów ułożył tę najnowszą, namiętą inwokację do wiosny i własnego pożądania.

Aelis wiedziała. Bardzo dobrze wiedziała, kto napisał tę pieśń, i wiedziała także coś więcej - że pieśń została skomponowana dla niej, a nie dla żadnej z innych wysoko urodzonych dam, których imionami przerzucano się w gorączkowych domysłach. Ta pieśń należała do niej. Była odpowiedzią na obietnicę uczynioną przez Aelis podczas zimowego biesiadowania w Barbentain.



Obietnica pochopna? Zasłużona? Aelis sądziła, że wie, co powiedziałby jej ojciec, ale co do matki nie miała pewności. To przecież Signe, hrabina Arbonne, założyła tu, na południu, Dwór Miłości, i Aelis dorastała, słysząc, jak w wielkiej sali w Barbentain wznosi się czysty głos matki, sypiącej dowcipnymi powiedzonkami lub szyderstwami, oraz głęboki śmiech zauroczonych nią mężczyzn.

To nadal trwało, zapewne nawet właśnie w tej chwili, wśród wspaniałości Barbentain położonego na własnej wyspie na rzece, w pobliżu górskich przełęczy. Wokół olśniewającej hrabiny Arbonne, matki Aelis, skakali młodzi, a nawet starsi panowie kraju, trubadurzy i żonglerzy ze swymi lutniami i harfami, a także emisariusze z całych gór i zza mórz.

Skakali też wokół hrabiego Guibora, który wszystko obserwował, uśmiechając się pod nosem, a potem, nocą, oceniał sytuację panującą w kraju i podejmował odpowiednie decyzje razem z roziskrzoną, kochającą go żoną, którą także kochał i której zawierzył swe życie, honor, królestwo i całą nadzieję na szczęście po tej stronie śmierci.

- Śmiech twojej matki - powiedział kiedyś do Aelis - to najsilniejsza armia, jaką będę kiedykolwiek miał w Arbonne.

Tak powiedział swojej córce. Aelis miała wówczas szesnaście lat i niedawno wróciła do domu po dwóch latach pobytu na morskiej Wyspie Rian; odkrywała, niemal z dnia na dzień, że przestała być niezgrabnym dzieckiem i że otwierają się przed nią czasy urody i wdzięku.

Niecały rok po tej rozmowie ojciec wydał Aelis za Urtégo de Miraval, być może najsilniejszego spośród panów Arbonne. Pozbawiał ją w ten sposób czarujących, prawiących pochlebstwa dworaków i poetów oraz błyskotliwości, muzyki i śmiechu Barbentain na rzecz myśliwskich psów i nocnych pchnięć spoconego księcia, którego Guibor postanowił mocniej związać z hrabiami rządzącymi w Arbonne.

Los ten nie różnił się od losu wszystkich szlachetnie urodzonych panien. Przypadł on w udziale matce Aelis oraz jej ciotce w Malmont, które leżało na wschodzie, za rzeką; pewnego dnia - i nocy - stanie się on losem czarnowłosej Ariane.

Niektóre kobiety miały szczęście do mężczyzn, inne wcześniej stawały się wdowami - co w Arbonne, choć nigdzie indziej na świecie, mogło oznaczać zyskanie władzy. Istniały też inne ścieżki życia - te, które prowadziły do bogini czy boga. Siostra Aelis, Beatritz, najstarsze dziecko, została oddana Rian; była kapłanką w sanktuarium we wschodnich górach przy granicy z Götzlandem. Pewnego dnia zostanie najwyższą kapłanką - pochodzenie gwarantowało jej chociaż tyle - i będzie posiadała władzę w zawyłych radach duchowieństwa Rian. Aelis pomyślała, że pod wieloma względami jest to przyszłość godna pozazdroszczenia, choć bardzo oddalona od śmiechu i muzyki panującej na dworach.

Z drugiej strony, jak blisko takiej muzyki i takiego śmiechu znajdowała się ona sama w Miraval, gdzie świece i pochodnie gaszono tuż po zapadnięciu zmroku, a księżę Urté przychodził do niej nocą śmierdzący psami, pierzającymi się sokołami i kwaśnym winem, pragnący rozkoszy oraz dziedzica i niczego więcej?

Różne kobiety radziły sobie ze swoim przeznaczeniem na bardzo różne sposoby, pomyślała ciemnowłosa, ciemnooka Aelis, pani na Miraval, jadąc pod zielonozłotym baldachimem liści nad lekko pomarszczonymi wodami Jeziora Dierne i mając po lewej ręce winnice, a za nimi las.

Dokładnie wiedziała, kim jest. Wiedziała też, co jej pochodzenie oznacza dla wściekłe ambitnego mężczyzny, któremu została oddana niczym nagroda na turnieju na jarmarku w Lussan - dla Urtégo, sprawiającego wrażenie, że, mimo krągłych, dojrzałych winogron i oliwek, które rosły na jego żyznych ziemiach, jest raczej panem z Gorhaut, na zimnej, ponurej północy, niż z osłonecznionej Arbonne. Aelis dokładnie wiedziała, kim dla niego jest; do podliczenia tego rachunku nie trzeba było uczonego z uniwersytetu w Tavernel.

\*

Tuż obok rozległo się nagle westchnienie. Aelis wyrwała się z zadumy i szybko zerknęła na Ariane, a potem poza nią, szukając źródła zaskoczenia kuzynki. To, co ujrziała, sprawiło, że żywiej zabiło jej serce. Tuż przed nimi, między drogą i brzegiem jeziora, na końcu podwójnego rzędu wiązków, stał kamienny Łuk Starożytnych, miodowy w porannym słońcu. Aelis uświadomiła sobie, że Ariane jeszcze tędy nie jechała i nigdy nie widziała łuku.

Na całej żyznej ziemi, która wzięła swą nazwę od nawadniającej ją rzeki Arbonne, znajdowały się ruiny Starożytnych: kolumny na skraju drogi, świątynie na nadmorskich urwiskach czy górskich przełęczach, fundamenty domów w miastach, kamienie zwalonych mostów w górskich strumieniach albo całe mosty, wciąż używane. Wiele dróg, po których podróżowało się konno lub pieszo, wybudowali dawno temu Starożytni. Wielki trakt biegnący wzdłuż samej Arbonne, od morza przez Tavernel na północ do Barbentain i Lussan, a potem dalej przez góry do Gorhaut, był jedną z tych dawnych dróg. Wzdłuż całej jego długości znajdowały się kamienie; jedne stały, wiele przewróciło się w rosnącą na poboczu trawę, a na wszystkich wyryto słowa w języku, którego nikt nie znał, nawet uczeni z uniwersytetu.

Starożytni byli w Arbonne wszędzie i zwyczajny, choćby i nawet nieoczekiwany widok jakiejś ruiny czy przedmiotu, nie wyrwałby z ust Ariane okrzyku.

Lecz łuk przy Jeziorze Dierne to było coś innego.

Wznoszący się na wysokość dziesięciu ludzi i niemal tak samo szeroki, stał samotnie na

końcu alei wiązów i wyglądał jakby panował nad łagodną, pokrytą winoroślą okolicą między lasem i jeziorem. Aelis od dawna przypuszczała, że został wzniesiony właśnie w tym celu. Fryzy zdobiące go z obu stron przedstawiały sceny wojny i podboju: mężczyzn w zbrojach, z okrągłymi tarczami i ciężkimi mieczami, walczących z rydwanów z wojownikami uzbrojonymi tylko w maczugi i włócznie. Ci wojownicy umierali, a utalentowany rzeźbiarz oddał ich ból z wielkim realizmem. Na bokach łuku przedstawił mężczyzn i kobiety w skórach zwierząt, skutych łańcuchami, z głowami pochylonymi i odwróconymi w poczuciu klęski - niewolników. Kimkolwiek byli, dokądkolwiek odeszli, Starożytni, którzy odcisnęli swoje piętno na tej ziemi, nie przybyli w pokoju.

- Chciałabyś mu się przyjrzeć z bliska? - zapytała łagodnie Aelis.

Ariane skinęła głową, nie odrywając oczu od łuku. Aelis zawołała do jadącego na przodzie Riquiera, dowódcy przydzielonych jej coranów, który pośpiesznie się z nią zrównał.

- Pani?

Uśmiechnęła się do niego, podnosząc wzrok. Łysiejący i pozbawiony poczucia humoru, Riquier był zdecydowanie najlepszym zamkowym coranem, a ona tego ranka tak czy owak była gotowa uśmiechać się niemal do każdego. W sercu rozbrzmiewała jej pieśń napisana tej zimy, po okresie świąt, w odpowiedzi na obietnicę uczynioną przez pewną damę. Pieśń tę śpiewali wszyscy zonglerzy w Arbonne. Nikt nie znał trubadura, który ją skomponował, nikt nie znał tej damy.

- Jeśli uważasz, że to bezpieczne - powiedziała - chciałabym się zatrzymać na chwilę, by moja kuzynka mogła obejrzeć łuk z bliska. Jak myślisz, możemy tak zrobić?

Riquier rozejrzał się ostrożnie po spokojnej, zalanej blaskiem słońca okolicy. Twarz miał poważną; zawsze była poważna, gdy rozmawiał z Aelis. Nigdy nie udało się jej sprowokować go do uśmiechu. Właściwie żadnego z tych mężczyzn - corani z Miraval bardzo przypominali jej męża. Nie było to zaskakujące.

- Chyba nic złego się nie stanie - stwierdził.

- Dziękuję - mruknęła Aelis. - Cieszę się, że jestem w twoich rękach, en Riquier, tak przy okazji tej sprawy, jak i we wszystkich innych.

Młodszy, lepiej wykształcony mężczyzna odpowiedziałby jej uśmiechem, a mężczyzna dowcipny wiedziałby, jak zareagować na bezwstydne pochlebstwo tytułu, jakim go obdarzyła. Riquier tylko się zaczerwienił, skinął głową i zwolnił, by przekazać rozkazy straży tylnej. Aelis często się zastanawiała, co myśli o niej dzielny coran, ale nie miała pewności, czy chce to wiedzieć.

- Jedyne, co jest na miejscu w jego ręce, to miecz albo flaszka nierozcieńczonego wina -

odezwała się cierpko i niezbyt cicho u jej boku Ariane. - A jeśli zasługuje na wielkopański tytuł, to zasługuje też na niego człowiek, który mi osiodłał konia.

Powiedziała to z pogardliwą miną.

Aelis musiała stłumić uśmiech. Po raz drugi tego ranka młoda kuzynka dała jej do myślenia. Dziewczyna była niepokojąco bystra. Mimo że słowa Ariane dokładnie oddawały myśli Aelis, ta skarciła ją wzrokiem. Miała do wypełnienia obowiązki księżnej wobec młodziutkiej kobiety którą przysłano do niej zeszłej jesieni jako damę dworu, by Aelis wzięła ją na wychowanie i nauczyła dworskich manier. To, pomyślała Aelis, nie nastąpi w Miraval. Zastanawiała się, czyby nie napisać o tym do ciotki, do Malmont, ale na razie tego nie robiła, w dużej mierze z egoizmu, gdyż błyskotliwość Ariane stanowiła źródło prawdziwej przyjemności, jednej z nielicznych, jakie miała Aelis. Nie licząc pewnych pieśni. „Nawet ptaki nad jeziorem wiosną śpiewają o mej miłości”...

- Nie wszyscy mężczyźni są stworzeni do galanterii czy dwornego zachowania - powiedziała cicho do kuzynki. - Riquier jest oddany i sprawny, a ta uwaga na temat wina jest nie na miejscu, sama widziałas go w sali.

- Zaiste - odparła zagadkowo Ariane.

Aelis uniosła brwi, lecz nie miała ani czasu, ani chęci, by dążyć temat.

Riquier znów minął je galopem, zboczył ze szlaku i ruszył między drzewami w stronę łuku. Kobiety pojechały za nim w asyście coranów.

Nie dotarły do łuku.

Rozległ się głośny trzask, zakołysały się z szumem liście. Z gałęzi zeskoczyło sześciu mężczyzn i cała szóstka coranów Urtého została ściągnięta z koni na ziemię. Z kryjówek w wysokiej trawie natychmiast wyskoczyli inni ludzie i rzucili się na pomoc atakującym. Ariane wrzasnęła. Aelis zmusiła konia do wspięcia się na tylne nogi i pędzący ku niej zamaskowany napastnik pośpiesznie się cofnął. Zobaczyła, że spomiędzy drzew wyszło dwóch mężczyzn i stoi przed nimi, nie włączając się do walki. Zarówno ci, jak i pozostali, mieli maski. Aelis ujrzała, że nad powalonym Riquierem stoi dwóch ludzi. Zatoczyła koniem, zyskując odpowiednią odległość, i sięgnęła do siodła po niedużą kuszę, którą zawsze miała przy sobie.

Była córką swego ojca i jego uczennicą, a mówiono, że w sile wieku Guibor de Barbentain był najlepszym łucznikiem we własnym kraju. Aelis przytrzymała łydkami konia w miejscu, szybko, lecz starannie wycelowała i strzeliła. Jeden z dwóch mężczyzn stojących przed nią na drodze krzyknął i cofnął się chwiejnie, kurczowo zaciskając dłonie na bęlcie, który utkwiał mu w ramieniu.

Aelis znów obróciła konia. Otaczało ją czterech ludzi, usiłujących chwycić wodze. Znów

zmusiła ogiera do wspięcia się; koń wyrzucił przednie kopyta do przodu i napastnicy się rozpierzchli. Aelis namacała kolejny belt.

- Wstrzymaj się! - zawołał wtedy drugi z mężczyzn, stojących na skraju drzew. - Wstrzymaj się, pani Aelis. Jeśli zrobisz krzywdę jeszcze jednemu z moich ludzi, zaczniemy zabijać twoich coranów. Poza tym jest ta dziewczyna. Odłóż kuszę.

Aelis obejrzała się z mocno bijącym sercem i zobaczyła, że dwóch napastników mocno trzyma za wodze spłoszonego, parskającego konia Ariane. Wszystkich sześciu coranów Urtého zostało powalonych i rozbrojonych, lecz wyglądało na to, że żaden nie jest jeszcze poważnie ranny.

- Chodzi nam o ciebie - rzekł przywódca, jakby odpowiadając na jej myśl. - Jeśli pojedziesz bez oporu, innym nie stanie się krzywda. Masz moje słowo.

- Bez oporu? - warknęła Aelis z całą wyniosłością, na jaką potrafiła się zdobyć. - Czy to jest sytuacja sprzyjająca zaniechaniu oporu? I jak wysoko powinnam cenić słowo człowieka, który się tego dopuścił?

Znajdowali się w połowie drogi do łuku, między wiązami. Po drugiej stronie jeziora było wyraźnie widać Talair. Gdyby się odwróciła, zapewne wciąż mogłaby dojrzeć Miraval. Zostali zaatakowani w polu widzenia z murów obu zamków.

- Chyba nie masz zbyt wielkiego wyboru, prawda? - rzekł mężczyzna stojący przed nią i postąpił kilka kroków do przodu.

Był średniego wzrostu, miał na sobie brązowy strój i zimową maskę karnawałową, w tym miejscu niepokojąco niestosowną, która zakrywała mu większość twarzy.

- Wiesz, co ci zrobi mój mąż? - zapytała ponuro Aelis. - I mój ojciec w Barbentain? Potrafisz to sobie w ogóle wyobrazić?

- Właściwie tak - odparł zamaskowany mężczyzna. Stojący obok niego towarzysz wciąż trzymał się za ramię; na jego ręce było widać krew. - I ma to dość dużo wspólnego z pieniędzmi, pani. Właściwie z dużą sumą pieniędzy.

- Jesteś wielkim głupcem! - rzuciła Aelis. Napastnicy już otoczyli jej konia, ale na razie żaden nie sięgał po wodze. Było ich chyba piętnastu; bardzo wielu jak na bandę banitów, tak blisko obu zamków. - Spodziewasz się, że zdołasz wydać cokolwiek z tego, co ci dadzą? Nie wiesz, że będziesz ścigany?

- To zaiste kłopotliwe kwestie - odparł mężczyzna, nie sprawiając wrażenia szczególnie zakłopotanego. - Nie sądzę, byś się nad nimi szczególnie zastanawiała. Ja natomiast to zrobiłem. I spodziewam się, że będziesz współpracować - dodał ostrzejszym tonem - albo zajmiemy się twoimi towarzyszami i obawiam się, że mogłoby to dotyczyć również

dziewczyny. Nie dysponuję nieograniczonym czasem, pani, ani cierpliwością. Odlóż kuszę!

W tym ostatnim zdaniu zabrzmiała tak ostra nuta rozkazu, że Aelis dosłownie podskoczyła w siodle. Spojrzała na Ariane; dziewczyna miała szeroko otwarte oczy i dygotała ze strachu. Riquier leżał na trawie twarzą do ziemi. Chyba był nieprzytomny, lecz Aelis nie dostrzegła żadnej rany.

- Nikomu nic się nie stanie? - zapytała.

- Tak powiedziałem. Nie lubię się powtarzać.

Głos mężczyzny tłumiła karnawałowa maska, lecz wyraźnie było w nim słyszeć arogancję.

Aelis upuściła kuszę. Przywódca odwrócił się bez słowa i skinął głową. Zza łuku wyszedł jeszcze jeden mężczyzna, prowadząc dwa konie. Przywódca wskoczył na rosłego siwka, a jego ranny towarzysz niezdarnie dosiadł karą klacz. Pozostali się nie poruszyli, wyraźnie zamierzali zostać i pilnować coranów.

- Co zrobicie z dziewczyną?! - zawołała Aelis.

Banita się odwrócił.

- Mam już dość pytań - odparł bez ogródek. - Jedziesz czy trzeba cię będzie związać i ponieść jak jałówkę?

Aelis ruszyła wolno. Kiedy się zrównała z Ariane, zatrzymała się i bardzo wyraźnie powiedziała:

- Bądź dzielna, jasności moja, oni nie ośmielą się wyrządzić ci krzywdy. Jeśli łaska Rian dopuści, zobaczymy się niebawem.

Ruszyła do przodu, wciąż powoli, trzymając głowę wysoko, jak przystało córce jej ojca. Przywódca nie zwracał na nią uwagi; już zawrócił i odjeżdżał, nawet nie zerknąwszy za siebie. Ranny mężczyzna zrównał się z Aelis. Cała trójka przejechała z cichym podzwaniem rzędów pod Łukiem Starożytnych i wychynęła z zimnego cienia panującego pod budowlą na zalaną słońcem trawę po drugiej stronie.

\*

Jechali wśród młodej zieleni, kierując się niemal prosto na północ. Za nimi brzeg Jeziora Dierne wyginał się ku wschodowi. Po lewej stronie rozciągały się winnice Urtégo. Przed nimi zieleniał las. Aelis milczała, nie odzywał się żaden z zamaskowanych mężczyzn. Kiedy zbliżyli się do sosen stanowiących forpocztę lasu i owionęło ich jego balsamiczne powietrze, Aelis spostrzegła tuż obok niezbyt uczęszczanej ścieżki chatę węglarza. Drzwi stały otworem. Nikogo nie było widać ani słyszeć; w porannym świetle rozlegało się tylko parskanie koni i

śpiew ptaków.

Przywódca się zatrzymał. Podczas jazdy nawet nie spojrzał na Aelis; nie zrobił też tego teraz.

- Valery - odezwał się, przepatrując skraj lasu po obu stronach - trzymaj wartość jakiś czas, ale najpierw znajdź Garnotha i każ mu oczyścić i przewiązać ramię. Na pewno jest tu gdzieś w pobliżu. W strumieniu jest woda.

- W strumieniu zwykle jest woda - odparł z nieoczekiwaną zgryźliwością ranny.

Przywódca się roześmiał; w ciszy jego głos poniósł się daleko.

- Możesz za tę ranę winić tylko siebie - powiedział. - Nie wylewaj swych żalów na mnie.

Zeskoczył z konia i po raz pierwszy spojrzał na Aelis. Ruchem ręki rozkazał jej zsiąść. Uczyniła to, aczkolwiek celowo powoli. Gestem pełnym wyrafinowanego wdzięku - zakrawającym na parodię, zważywszy na otoczenie - wskazał jej wejście do chaty.

Aelis się rozejrzała. Byli zupełnie sami, z dala od miejsca, w którym mógłby się pojawić jakiś wędrowiec. Valery, w wilczej masce z szarego futra, już się odwracał w poszukiwaniu Garnotha, zapewne węglarza. Bełt Aelis wciąż tkwił w jego ramieniu.

Weszła do chaty. Przywódca banitów wszedł tam za nią i zamknął drzwi. Głośno szcęknęła zapadka. Po obu stronach drzwi znajdowały się okna; teraz otwarte. Aelis stanęła na środku niewielkiej, skąpo umeblowanej izby, stwierdzając, że niedawno została zamieciona. Odwróciła się.

Bertran de Talair, młodszy syn, trubadur, zdjął sokołą maskę.

- Na wszystkie święte imiona Rian - powiedział - nigdy w życiu nie znałem kobiety takiej jak ty. Byłaś wspaniała, Aelis.

Z niejakim trudem zachowywała surową minę mimo uczucia, które nagle ją ogarnęło na widok jego twarzy - błysku uśmiechu, który dobrze pamiętała. Zmusiła się do chłodnego patrzenia w te niepokojąco przejrzyste, niebieskie oczy. Nie była podkuchenną ani dziewczką z tawerny w Tavernel, by zemdlona miała paść mu w ramiona.

- Twój człowiek jest poważnie ranny - rzekła ostrym tonem. - Mogłam go zabić. Posłałam wyraźną wiadomość przez Brette'a, że kiedy nas zatrzymasz, strzełę. Że masz kazać swoim ludziom włożyć pod ubrania kolczugi.

- I kazałem - odparł Bertran de Talair, wruszając ramionami.

Podszedł do stołu, odrzucając maskę, i Aelis poniewczasie zauważyła, że czeka na nich wino. Sytuacja z każdą chwilą stawała się trudniejsza, lecz księżna nadal walczyła z chęcią obdarowania Bertrana uśmiechem, a nawet roześmiania się w głos.

- Naprawdę im to powiedziałem - powtórzył, biorąc do ręki butelkę. - Valery postanowił

to zlekceważyć. Nie lubi zbroi. Mówi, że ogranicza mu ruchy. Mój kuzyn nigdy nie będzie dobrym coranem. - Z udawanym smutkiem pokręcił głową, a potem znów zerknął przez ramię na Aelis. - Pasuje ci zieleń, jak liście drzewom. Trudno mi uwierzyć, że jesteś tu ze mną.

Jednak się uśmiechnęła. Mimo wszystko usiłowała nie zbaczać z tematu; chodziło tu o coś ważnego. Z łatwością mogła zabić tego Valery'ego.

- A ty postanowiłeś nie mówić mu, dlaczego powinien się osłonić, tak? Nie powiedziałeś mu, że zamierzam strzelić. Mimo że wiedziałeś, że to on będzie stał obok ciebie.

Płynnym ruchem otworzył butelkę. Uśmiechnął się do Aelis, ukazując zęby.

- Nie i nie. Dlaczego wszyscy de Barbentain są tak niesprawiedliwie bystry? To szalenie utrudnia sytuację reszcie ludzi. Pomyślałem, że to może być dla niego nauzka - Valery powinien już wiedzieć, że kiedy coś sugeruję, należy mnie posłuchać, a nie pytać o powody.

- Mogłam go zabić - powtórzyła Aelis.

Bertran nalewał wino do kielichów. Zobaczyła, że są ze srebra i machialu i ani trochę nie pasują do takiej chaty. Zastanawiała się, ile zapłacono węglarzowi. Każdy z tych kielichów był wart więcej, niż ten człowiek zarobi przez całe życie.

Bertran podszedł do niej z winem.

- Wierzyłem w twoją celność - powiedział.

Do twarzy mu było w prostej brązowej kurcie i wąskich spodniach; podkreślały jego opaleniznę i kasztanową barwę włosów. Oczy miał niezwykle; większość członków rodu z Talair miała takie oczy. Ten odcień błękitu od pokoleń łamał serca kobietom w Arbonne i poza jej granicami. Aelis przypuszczała, że mężczyznom też.

Nie sięgnęła po podany jej kielich. Jeszcze nie. Była córką Guibora de Barbentain, hrabiego Arbonne, władcy tej krainy.

- Zawierzyłeś życie swego kuzyna mojej celności? - spytała. - Życie swego krewnego? To chyba irracjonalne zaufanie? Równie łatwo mogłam zranić ciebie.

Wyraz jego twarzy się zmienił.

- Ależ ty mnie zraniłaś, Aelis. Podczas zimowej biesiady. Obawiam się, że z tej rany nie ulecę się do końca życia. - W jego głosie brzmiała powaga, ostro kontrastująca z niedawnymi wydarzeniami. - Czy naprawdę wzbudziłem twoje niezadowolenie? Nie wiesz, jaką władzę sprawujesz w tej izbie?

Patrzył niewinnym, czystym jak u dziecka wzrokiem prosto w jej oczy. Jego słowa i głos były balsamem i muzyką dla duszy Aelis.

Ujęła kielich. Ich palce się zetknęły. Mężczyzna nie wykonał jednak żadnego innego ruchu. Sączyli wino w milczeniu. Było to oczywiście wino z Talair, z rodowych winnic po



wschodniej stronie jeziora.

W końcu się uśmiechnęła, na chwilę zawieszając śledztwo. Osunęła się na jedyną ławę. Bertran zajął drewniany stołeczek; pochylił się ku niej, trzymając kielich w obu dłoniach o długich palcach muzyka. Pod przeciwległą ścianą stało łóżko; Aelis miała tego palącą świadomość od chwili, gdy weszła do chaty, oraz że węglarz raczej na pewno nie ma tu porządnego łóżka.

Urté de Miraval o tej porze zapewne znajdował się daleko na zachodzie w swoich ulubionych lasach i w towarzystwie zdyszanych psów ścigał na spienionym koniu jakiegoś dzika czy jelenia. Słońce wpadało przez wschodnie okno ukośnymi promieniami, błogosławiąc swym blaskiem łóżko. Aelis zobaczyła, że Bertran podąża wzrokiem za jej spojrzeniem skierowanym w tamtą stronę, a potem go odwraca.

W tej samej chwili, z poczuciem, że dokonała nagłego odkrycia, uświadomiła sobie, że Bertran wcale nie jest tak pewny siebie, jak na to wygląda. Że w gruncie rzeczy to, co właśnie powiedział, co tak często pojawiała się w pieśniach trubadurów, może być prawdą: że prawdziwą władzę w tym pomieszczeniu sprawuje ona, jako kobieta wysoko urodzona i długo pożądana. „Nawet ptaki nad jeziorem”...

- Co oni zrobią z Ariane i coranami? - zapytała, zdając sobie sprawę, jak bardzo niebezpieczne dla niej jest nierozcieńczone wino i podekscytowanie.

Bertran miał po zdjęciu maski rozczochrane włosy, a jego młoda, gładko wygolona twarz sprawiała wrażenie bystrej i nieco zuchwałej. Bez względu na zasady dworskiej gry to nie będzie mężczyzna łatwo - albo zawsze - dający się kontrolować. Aelis wiedziała to od początku.

Jakby chcąc to udowodnić, Bertran wygiął brwi, znów opanowany i spokojny.

- Niedługo pojedą dalej do Talair. Moi ludzie zapewne już zdjęli maski i się opowiedzieli. Przywieźliśmy wino i jedzenie do spożycia na trawie. Był tam Ramir, rozpoznałaś go? Ma harfę, a ja napisałem w zeszłym tygodniu balladę o udawanej wyprawie do łuku. Moim rodzicom i, jak sobie wyobrażam, twojemu mężowi się to nie spodoba, ale przecież nie ucierpiał nikt oprócz Velery'ego, i to przez ciebie; tak naprawdę nikt nie będzie mógł wyobrazić sobie lub zasugerować, że byłbym w stanie wyrządzić ci jakąś krzywdę czy cię zhańbić. Damy Arbonne opowieść, która wywoła skandal na kilka miesięcy, nie więcej. To było dość starannie przemyślane.

Z głosu Bertrana przebijała duma.

- Najwyraźniej - mruknęła Aelis.

„Na kilka miesięcy, nie więcej”? Nie tak szybko, mój panie. Usiłowała dociec, jak

rozegrałaby to jej matka.

- Jak ci się udało uzyskać pomoc Brette'a w Miraval? - zapytała, grając na zwłokę.

Uśmiechnął się.

- Brette de Vaux i ja wychowywaliśmy się razem. Mieliśmy rozmaite... wspólne przygody. Sądziłem, że mogę liczyć na jego pomoc podczas...

- Podczas kolejnej przygody, panie? - Już dostrzegła swoją sposobność. Wstała. Wyglądało na to, że jednak wcale nie musi myśleć o matce. Doskonale wiedziała co robić. To, o czym śniła w długie noce właśnie minionej zimy. - Podczas błażej przygody, mającej stanowić temat kolejnej tawernianej pieśni?

Bertran również wstał, trochę niezręcznie, i rozlał nieco wina. Odstawił kielich na stół, a Aelis spostrzegła, że drży mu ręka.

- Aelis - odezwał się cichym, zirytowanym głosem - to, co napisałem zeszłej zimy, jest prawdą. Nigdy nie powinnaś zaniżyć swej wartości. Ani wobec mnie, ani wobec kogokolwiek innego. To nie żadna przygoda. Obawiam się... - Zawahał się i po chwili dodał: - Bardzo się obawiam, że oto nadeszło spełnienie pragnienia mojej duszy.

- A jest nim? - zapytała, zmuszając się do zachowania spokoju mimo wrażenia, jakie wywarły na niej jego słowa. - Wypicie ze mną pucharu wina? Jakież to delikatne. Jakie skromne pragnienie jak na twoją duszę.

Zamrugnął ze zdumienia, lecz zaraz wyraz jego oczu się zmienił, zapłonął wzrok, a to, co Aelis zobaczyła w jego twarzy, sprawiło, że nagle zmiękły jej kolana. Tego też usiłowała nie dać po sobie poznać. On jednak szybko podążył za jej myślą. Zbyt szybko. Aelis nagle poczuła się mniej pewna siebie. Żałowała, że nie ma gdzie odstawić kielicha. Dopiła więc wino i upuściła puste naczynie na sitowie rozrzucone na podłodze. Nie była przyzwyczajona do nierozcieńczonego wina, do znajdowania się sam na sam z takim mężczyzną.

Nabrała tchu i powiedziała z mocno bijącym sercem:

- Nie jesteśmy dziećmi ani poświadkami mieszkańcami tej ziemi, a ja potrafię wypić kielich wina z wieloma różnymi mężczyznami. - Zmusiła się do unieruchomienia jego wzroku spojrzeniem swych ciemnych oczu. Przełknęła ślinę i dodała: - Dzisiaj pocznijmy dziecko.

Widziała, jak z twarzy Bertrana de Talair odpływa krew. Boi się teraz, pomyślała. Boi się jej, tego kim jest, tempa i nieznanego głębi tego, co się tu dzieje.

- Aelis - zaczął, wyraźnie usiłując zachować spokój - każde dziecko, które urodzisz jako księżna Miraval, a także jako córka swego ojca...

Przerwał. Przerwał, ponieważ kobieta uniosła ręce i starannymi, nieśpiesznymi ruchami jęła rozpuszczać włosy.

Bertran zamilkł, a na jego twarzy odmalowało się pożądanie, zachwyt i ostra świadomość konsekwencji. Przy całej swej młodości był nazbyt bystry; mógłby się powstrzymać choćby w tej chwili, rozważając następstwa swego zachowania. Aelis wysunęła ostatnią długą szpilkę z kości słoniowej i potrząsnęła głową, by włosy spadły kaskadą na jej plecy. „Zarzewie pożądania”. Tak śpiewali wszyscy poeci.

Poeta stojący przed nią, wywodzący się z rodu niemal tak dumnego, jak jej własny, powiedział z niejaką desperacją w głosie:

- Dziecko. Jesteś pewna? Skąd wiesz, że dzisiaj, teraz, że my...?

Aelis de Miraval, córka hrabiego Arbonne, uśmiechnęła się wtedy pradawnym uśmiechem bogiń, kobiet osadzonych w swych własnych tajemnicach.

- En Bertranie, spędziłam dwa lata na Wyspie Rian na morzu. Być może dysponujemy tam tylko odrobiną magii, lecz jeśli nie dotyka ona takich spraw, to czegoż innego mogłaby dotyczyć?

I wtedy, wiedząc - nawet się nie zastanawiając, co zrobiłaby jej matka - wiedząc z taką pewnością, z jaką znała wieloaspektowy kształt owej tęsknoty, że czas słów się skończył, Aelis uniosła dłonie do jedwabnych troczków zielonej sukni i pociągnęła je, a jedwab zsunął się na jej biodra. Opuściła ręce i stała przed Bertranem, czekając, usiłując zapanować nad oddechem, chociaż nagle okazało się to trudne.

W oczach mężczyzny malowało się pragnienie, coś w rodzaju podziwu i płomień pożądania. Pożerał wzrokiem to, co ukazała mu Aelis. Nie poruszył się jednak. I w tej chwili, czując, jak wino i pożądanie burzą jej krew, Aelis zrozumiała, że tak jak ona nie jest tawernianą dziewczką, tak on nie jest pijanym coranem w kącie uspionej sali jakiegoś barona. On też był dumny, dokładnie obznajomiony z władzą i wydawało się, że wciąż ma aż nadto rozwinięte poczucie tego, jak daleko mogą sięgnąć konsekwencje tej chwili.

- Dlaczego tak bardzo go nienawidzisz? - zapytał cicho Bertran de Talair, nie odrywając wzroku od bladej, gładkiej skóry Aelis, od krągłości jej piersi. - Dlaczego tak nienawidzisz swego męża?

Znała odpowiedź. Znała ją niczym zakłęcie kapłanek Rian wyspierywane bez końca w gwiazdzystej, omywanej falami morza ciemności wyspiarskich nocy.

- Bo mnie nie kocha - odparła.

I wtedy wyciągnęła dziwnie bezbronnym gestem ręce, stojąc przed nim półnaga, będąc córką swego ojca, drogą swego męża ku władzy, dziedziczką Arbonne, lecz usiłując ukształtować tego dnia, teraz, w tej izbie, swoją własną odpowiedź na chłód przeznaczenia.

Bertran postąpił krok do przodu, jeden konieczny krok, objął ją, po czym wziął na ręce i

zaniósł do łóżka, które nie było łóżkiem węglarza, i położył ją tam, gdzie padał ukośny promień słońca, ciepły, jasny i przemijający.

# CZEŚĆ 1

## Wiosna

# ROZDZIAŁ 1

Prawie nie było wiatru, co się okazało błogosławieństwem. Morze łagodnie falujące wokół łódki oświetlał blady blask księżyca. Wybrali księżycową noc. Mimo związanego z tym ryzyka, będą musieli widzieć miejsce, do którego przybiją. Osiem wiosła, wznoszących się i opadających z zachowaniem jak największej ciszy, wyniosło ich przez linię nacierających fal w stronę nikłych światełek wyspy, która teraz znajdowała się bliżej, a zatem była groźniejsza.

Blaise chciał wziąć ze sobą tylko sześciu ludzi, wiedząc z doświadczenia, że przy takich przedsięwzięciach lepiej jest polegać na ostrożności i szybkości niż liczebności. Jednakże przesądni Arbonianie, jakimi byli corani Mallina de Baude'a, uparli się, by wypłynęło ośmiu ludzi, bo gdyby wszystko poszło dobrze, wróciłoby dziewięć osób. Wyglądało na to, że dziewiątka jest tu w Arbonne świętą liczbą Rian, a wiosłowali ku jej wyspie. Kazali nawet byłemu kapłanowi bogini odprawić obrzęd poświęcenia ich grupy. Blaise, na oczach swoich czujnie patrzących ludzi, ukląkł niechętnie i pozwolił pijanemu starcowi położyć sobie na głowie powykręcane dłonie; mrużane przez niego niezrozumiałe słowa miały w jakiś sposób zapewnić ich wyprawie powodzenie.

To idiotyczne, myślał Blaise, mocno ciągnąc wiosło i rozpamiętując, jak został zmuszony do poddania się w tych sprawach. W gruncie rzeczy cała ta nocna wyprawa zatraçała o absurd. Problem tkwił w tym, że równie łatwo można zginąć podczas głupiej misji w towarzystwie głupców, jak w trakcie wykonywania ważnego zadania u boku ludzi poważanych i godnych zaufania.

Został jednak wynajęty przez en Mallina de Baude'a do wyszkolenia jego coranów, co służyło własnym celom Blaise'a. Chciał on bowiem przez kilka pierwszych miesięcy pobytu w Arbonne nająć się do służby u któregoś z pomniejszych baronów, by móc się po cichu rozeznać w sytuacji panującej w tej krainie czcicieli bogini i udoskonalić swą umiejętność posługiwania się miejscowym językiem. Nie dało się też zaprzeczyć - co inteligentnie zauważył Mallin - że ta wyprawa pomoże uczynić z coranów Baude lepszych wojowników. Jeśli przeżyją.

Mallin nie był pozbawiony ambicji ani też nie był całkowicie wyzuty z zalet. Blaise pomyślał, że to jego żona stanowi problem. Soresina oraz całkowicie irracjonalne obyczaje

dwornej miłości, panujące tu, w Arbonne. Z uzasadnionych i wystarczających powodów Blaise nie był szczególnie zachwycony obecnym stanem rzeczy w swoim własnym Gorhaut, lecz nic na północy nie wydawało mu się tak niepraktyczne, jak tutejsza nastawiona na kobiety kultura trubadurów i ich zonglerów, zawodzących miłosne pieśni dla żony tego czy innego wielkiego pana. Na Corannosa, oni nie śpiewali nawet o pannach. Wyglądało na to, że aby kobieta stała się w Arbonne właściwym obiektem namiętności poety, musi być mężatką. Zaczął to kiedyś wyjaśniać Maffour, najrozmowniejszy z coranów Mallina, lecz przybyszowi nie stało o cierpliwości, by tego słuchać. Człowiek musiał mnóstwo wiedzieć, by przeżyć; Blaise nie miał czasu napełniać umysłu bezużytecznymi plewami wyraźnie głupiutkiej kultury.

Światła wyspy się przybliżyły. Od dziobu łódki dobiegł Blaise'a głos modlącego się żarliwie jednego z coranów - Lutha, oczywiście. Blaise skrzywił się z pogardą, ukrywając ów grymas w gęstej brodzie. Z przyjemnością zostawiłby Lutha na lądzie. Będzie on tu niemal bezużyteczny; nada się jedynie do pilnowania łódki, kiedy przybiją do brzegu, jeśli uda mu się dokonać choćby tego bez zmoczenia się ze strachu przed sowimi nawoływaniem, spadającą gwiazdą czy nagłym szelestem liści poruszonych nocnym wiatrem. To Luth zaczął wcześniej, jeszcze na brzegu, gadać o potworach morskich, strzegących podejść do Wyspy Rian - o wielkich, garbatych, pokrytych łuskami stworach z zębami wielkości człowieka.

Według Blaise'a prawdziwe niebezpieczeństwa były nieco bardziej prozaiczne, chociaż wcale przez to nie mniej poważne: strzały i klingi, dzierżone przez czujnych kapłanów i kapłanki Rian do obrony przed fałszywie wyświęconymi ludźmi, którzy w sobie tylko znanym celu przybyli w tajemnicy na świętą wyspę bogini.

Rzeczony cel był w gruncie rzeczy nadzwyczaj konkretny: skłonienie niejakiego Evrarda, trubadura, do powrotu za zamek Baude z dobrowolnego wygnania na Wyspę Rian, przedsięwziętego w przypiływie słusznego oburzenia.

Pociągając wiosło i czując na włosach i brodzie słońce rozbryzgi, Blaise znów pomyślał, że to wszystko jest naprawdę idiotyczne. Cieszył się, że nie ma tu Rudela. Domyślał się, co o tej całej eskapadzie miałby do powiedzenia jego przyjaciel z Portezzy. Niemal słyszał w myślach jego śmiech i cierpką, miazdzącą ocenę obecnej sytuacji.

Sama historia była dość prosta - stanowiła całkowicie naturalne następstwo, co Blaise bez wahania oznajmił w wielkiej sali Baude, głupoty dworskich rytuałów odprawianych tu, na południu. Wiedział, że już jest niezbyt lubiany za wygłaszanie takich opinii. Nie przejmował się tym; w Gorhaut, niedługo przed opuszczeniem domu, też był niezbyt lubiany.

Jak jednak uczciwy człowiek miał rozumieć to, co się wydarzyło w zamku Baude w

zeszłym miesiącu? Otóż wśród południowo-zachodnich wzgórz postanowił zamieszkać na część roku Evrard z Lussan, uważany za średnio zdolnego trubadura - Blaise z pewnością nie był w stanie ocenić bazgraniny jakiegoś pismaka. To, zgodnie z miejscowym biegiem wydarzeń, przysporzyło sławy en Mallinowi de Baude: pomniejsi baronowie w oddalonych zamkach rzadko gościli u siebie trubadurów. To przynajmniej miało dla Blaise'a jakiś sens.

Lecz, zadowolony się na zamku, Evrard naturalnie musiał się zakochać w Soresinie i zacząć pisać dla niej swoje pieśni poranne, *liensennes* i enigmatyczne *trobars*. Po to właśnie, także zgodnie z miejscowymi zwyczajami, przybył, zwabiony, jak złośliwie zauważył Blaise, mniej romantycznymi korzyściami, płynącymi z sowitego miesięcznego wynagrodzenia z wpływów, jakie Mallin uzyskał za wełnę na zeszłorocznym jesiennym jarmarku w Lussan. Trubadur nadał swojej damie wymyślone imię - była to kolejna zasada zakorzeniona w tradycji - lecz wszyscy w sąsiedztwie zamku i zaskakująco szybko wszyscy w Arbonne dowiedzieli się, że sercem trubadura Evrarda z Lussan zawładnęły uroda i wdzięk młodej Soresiny de Baude z zamku wciśniętego w dolinę wyżynnej krainy, stanowiącej przedpole górskich przełęczy i Arimondy.

Mallin był ogromnie zadowolony; to również stanowiło część gry. Porażony miłością trubadur wysławiający żonę barona umacniał jego własne wyobrażenia o potędze i hojności, do urzeczywistnienia których gorliwie dążył.

U Soresiny oczywiście wywołało to niewymowne podekscytowanie. Była próżna, ładna i w opinii uprzedzonego do niej Blaise'a na tyle głupia, by doprowadzić do właśnie takiej kryzysowej sytuacji, jaką teraz starali się rozwiązać. Blaise miał pewność, że wywołałby ją jeśli nie ten, to inny incydent. W Gorhaut też były kobiety takie jak Soresina, ale tam lepiej trzymano je w ryzach. Przede wszystkim mężowie nie zapraszali obcych do swoich zamków, by ci mogli otwarcie zabiegać o względy ich żon. Bez względu na to, jak bardzo Maffour mógł się starać wyjaśnić ściśle zasady tej dwornej gry miłosnej, Blaise doskonale potrafił rozpoznać próbę uwiedzenia.

Soresinie, z pozoru niewyrażającej żadnego romantycznego zainteresowania nowo przybyłym poetą - co niewątpliwie w znacznym stopniu uspokajało jej męża - mimo wszystko udawało się prowokować Evrarda na wszelkie możliwe sposoby, biorąc pod uwagę ograniczenia narzucane przez zatłoczone pomieszczenia niewielkiego zamku.

Złotowłosa żona Mallina miała dojrzałe ciało, zaraźliwy śmiech i pochodzenie znacznie lepsze od pochodzenia męża, co, jak poinformował Blaise'a rozmowny Maffour, zawsze dolewało oliwy do ognia trubadurskiej namiętności. Musiał się roześmiać; wszystko to było takie sztuczne. Z łatwością się domyślał, co miałyby do powiedzenia na ten temat kostyczny



Rudel.

Tymczasem w Arbonne nastąpiła wysławiana południowa wiosna i na łąkach oraz wysokich zboczach, otaczających zamek Baude, pojawiły się barwne polne kwiaty. Mówiono, że śniegi cofają się z górskiej przełęczy ku Arimondzie. Świat budził się do życia, a strofy poety stawały się coraz gorętsze i bardziej namiętne, podobnie jak wibrujące głosy żonglerów, którzy zaczęli przybywać do Baude, zwiertżywszy dobrą okazję. Niejeden coran i zamkowy służący mieli osobiste powody, by podziękować trubadurovi i śpiewakom oraz wprowadzonej przez nich atmosferze erotyzmu za miłosne porywy przeżywane w kuchniach, na łąkach i w salach.

Niefortunnie dla Evrarda jego zabiegom nie sprzyjał zbyt widoczny fakt, że trubadur był niski, miał żółte zęby i przedwcześnie tracił rzadkie włosy. Jednakże, wedle wielkiej tradycji, wysoko postawione, pełne ogłady i wdzięku damy miały kochać trubadurów za ich sztukę i żarliwe oddanie, a nie za wzrost czy włosy.

Kłopot w tym, że Soresina de Baude najwyraźniej niezbyt dbała o wielką tradycję, a przynajmniej o tę jej część. Chciała, by jej mężczyźni wyglądali jak wojowniczy corani z wielkiej przeszłości. Właściwie wyraźnie powiedziała to Blaise'owi niedługo po jego przybyciu, otwarcie mierząc wzrokiem jego wysoką, muskularną postać, a potem zerkając w bok z ewidentnie udawaną nieśmiałością. Blaise, przywykły do takich zachowań, nie był ani zaskoczony, ani nie odczuł pokusy. Był opłacany przez Mallina i ułożył sobie własny kodeks postępowania w takich sytuacjach.

Natomiast Evrard z Lussan ułożył sobie późną wiosną coś innego. Krótko mówiąc, drobny trubadur, pochłonawszy pewnego wieczoru w towarzystwie coranów znaczną ilość nierozcieńczonego czerwonego wina z Miraval, w końcu postanowił przełożyć swoje płonące namiętnością wiersze na trochę mniej namiętne działanie.

Rozpalony żarliwym wykonaniem jednej ze swych ballad przez żonglera, co nastąpiło wcześniej tego samego wieczoru, trubadur późną nocą opuścił sypialnię i ruszył chwiejnym krokiem ciemnymi, cichymi korytarzami i schodami do drzwi Soresiny, które niefortunnie dla wszystkich zainteresowanych, były niezaryglowane; Mallin, mężczyzna młody, zdrowy, dość wysoki i dość natarczywie domagający się spadkobierców, niedawno opuścił żonę i udał się do znajdującej się nieopodal własnej komnaty.

Odurzony alkoholem i urzeczony wierszem poeta wszedł do ciemnego pomieszczenia, podszedł do omacku do łoża z baldachimem i złożył pocałunek na ustach zaspokojonej, śpiącej kobiety, którą tej wiosny pilnie rozślawiał po całej Arbonne.

Jako pokłosie tego wydarzenia rozwinęło się sporo szkół myślowych co do tego, jak

powinna była postąpić Soresina. Ariane de Carenu - królowa Dworu Miłości od czasu, kiedy hrabina, jej ciotka, scedowała na nią ten tytuł - ogłosiła, że za kilka miesięcy odbędzie się posiedzenie mające rozstrzygnąć tę kwestię. Tymczasem wszyscy, których Blaise spotkał w zamku czy też poza nim, najwyraźniej mieli już zdanie na temat tego, co on sam uważał za całkowicie przewidywalne, niezwykle błahe wydarzenie.

Soresina - zupełnie naturalnie albo bardzo niefortunnie, zależnie od punktu widzenia - wrzasnęła. Obudzona ze snu, w który zapadła po zakończeniu aktu, zorientowała się, kto przebywa w jej komnacie, i głosem słyszonym przez pół zamku skłęła oszołomionego, zadurzonego wielbiciela jako gburowatego, niewychowanego chłopca, któremu należy się publiczna chłosta.

Evrard z Lussan, zraniony do głębi swej nazbyt wrażliwej duszy, opuścił przed świtem zamek Baude, udał się do najbliższego sanktuarium bogini, otrzymał błogosławieństwo, po czym pojechał na wybrzeże i popłynął łodzią na Wyspę Rian, by uciec od okrutnego, niewdzięcznego społeczeństwa kobiet i zamków, które tak szorstko potrafiło potraktować bezgraniczną hojność jego sztuki.

Znalazłszy się na bezpiecznej wyspie, z dala od strasznych burz miotających światem zewnętrznym, zaczął szukać ukojenia i rozrywki w układaniu hymnów na cześć bogini oraz niezaprzeczalnie dowcipnych satyr na Soresinę de Baude. Nie wymieniał jej oczywiście z imienia - zasady to zasady - ale że to, którym się teraz posługiwał, brzmiało tak samo, jak wymyślone przez niego, by wysławiać eleganckie kształty jej smukłego ciała i ciemny ogień oczu, wszyscy w Arbonne dokładnie wiedzieli, o kogo chodzi. Poważnie zasmucony Mallin dał do zrozumienia Blaise'owi, że studenci w Tavernel dopisywali do tych piosenek własne zwrotki.

Po kilku tygodniach takiej sytuacji en Mallin de Baude, którego żona budziła coraz większe rozbawienie, zamek stał na krawędzi stania się synonimem wiejskiego braku oglady, a pojednawcze listy do przebywającego na wyspie Evrarda pozostawały bez odpowiedzi, postanowił podjąć drastyczne działanie.

Jeśli chodzi o niego, Blaise najpewniej zaaranżowałby zabójstwo poety. Mallin de Baude był wielmożą, choć pomniejszym; a w oczach Blaise'a Evrard de Lussan był ledwie wędrownym pasożytem. Zatarg, nawet spór między takimi osobami byłby w Gorhaut nie do pomyślenia. To jednak była rządzona przez kobiety Arbonne, gdzie trubadurzy mieli w społeczeństwie taką władzę, o jakiej gdzie indziej nie mogliby nawet marzyć.

W końcu Mallin rozkazał Blaise'owi i jego coranom popłynąć nocą na wyspę bogini i sprowadzić Evrarda. Oczywiście baron nie mógł sam poprowadzić tej wyprawy, chociaż

Blaise miał dla niego dość szacunku, by uważać, że Mallin wolałby to zrobić. Jednakże w razie niepowodzenia misji Mallin powinien móc się od niej zdystansować. Musiał być w stanie powiedzieć, że plan ułożyli corani bez jego wiedzy czy zgody, a potem pośpieszyć do świątyni Rian i wykonać odpowiednie gesty świadczące o skrzesie. Blaise pomyślał, że do szczególnie zgrabnego wyjaśnienia sytuacji przyczynił się fakt, że w tym sezonie dowódcą coranów z Baude był najemnik z Gorhaut, który oczywiście wcale nie oddawał czci Rian i po którym można się było spodziewać takiego świętokradztwa. Blaise nikomu nie wspomniał o swoich myślach. Tak naprawdę wcale się nimi nie przejmował; po prostu tak się miały sprawy na pewnym poziomie biegu świata, a on dość dobrze go znał.

Soresina, zasmucona i przerażona skutkami mimowolnego okrzyku i wybuchu, została energicznie poinstruowana przez odwiedzające ją damy z sąsiednich posiadłości, mających nieco więcej doświadczeń z poetami, jak ma się zachować wobec Evrarda po jego powrocie.

Jeśli Blaise i jego corani dotrą do wyspy. Jeśli go odnajdą. Jeśli zechce wrócić. Jeśli morskie potwory z mrocznych snów Lutha postanowią nie zawisnąć nad łódką, ogromne i straszne w bladym świetle księżyca, i nie wciągną ich wszystkich pod czarną wodę na spotkanie śmierci.

- Do tych sosen - mruknął od dziobu Hirnan, który zajmował się nawigacją. Blaise obejrzał się przez ramię na rosnący cień wyspy. - I, na miłość Corannosa, bądźcie cicho!

- Luthu - dodał cicho Blaise - jeśli wydasz jakiś dźwięk, jakikolwiek dźwięk od tej chwili aż do powrotu na stały ląd, poderżnę ci gardło i wyrzucę cię za burtę.

Luth przełknął dość głośno ślinę. Blaise postanowił go za to nie zabijać. Nie potrafił zrozumieć, jak ktoś taki został wyświęcony na wojownika Zakonu Corannosa. Owszem, Luth potrafił się dość dobrze obchodzić z łukiem, mieczem i koniem, ale chyba nawet w Arbonne było wiadomo, że aby zostać coranem boga, trzeba posiadać nie tylko te umiejętności. Nie istniały już żadne standardy? Żadna duma w zdeprawowanym i zdegenerowanym świecie?

Blaise jeszcze raz obejrzał się przez ramię. Podpłynęli już bardzo blisko. Sosny porastały zachodnią część wyspy, z dala od piaszczystych północnych plaż i lśniących za nimi światła, oznaczających trzy świątynie i domy. Hirnan, który już kiedyś tu był - nie wyjawiał dlaczego, a Blaise się nie dopytywał - powiedział, że nie ma szans na potajemne wylądowanie na którejkolwiek z tych północnych plaż. Służący Rian strzegli swej wyspy; w przeszłości mieli powody bać się czegoś więcej niż jednej łódki z coranami szukającymi jakiegoś poety.

Będą musieli spróbować przybić do brzegu w trudno dostępnym miejscu, gdzie sosnowe lasy ustępowały nie piaskowi, lecz skalistym urwiskom i głazom sterczącym z morza. Mieli ze sobą linę, a każdy z coranów, nawet Luth, umiał się wspinać na skalną ścianę. Zamek Baude

stał wysoko w dzikiej krainie południowego zachodu. Służącym tam ludziom nieobce były urwiska czy granie.

Morze to co innego. Zupełnie swobodnie na wodzie czuli się tylko Hirnan i sam Blaise, a na barkach Hirnana spoczywał ciężar podprowadzenia ich na tyle blisko wśród ostrych i kryjących się w cieniu skał, by mogli wyjść na brzeg. Blaise powiedział mu prywatnie, że jeśli uda im się znaleźć tylko pionowe urwisko, to tak naprawdę nie będą mieli żadnych szans. Nie w nocy i przy konieczności zachowania całkowitej ciszy, a potem z poetą, którego będą musieli sprowadzić na dół. W dodatku...

- Wiosła z wody! - syknął.

W tej samej chwili siedzący obok niego Maffour warknął to samo. Ośmiu wioślarzy szybko uniosło wiosła nad wodę i znieruchomiło w łódce sunącej cicho ku wyspie. Dźwięk się powtórzył, teraz już bliżej. Pochylony i znieruchomiły Blaise wbijał wzrok w ciemność, wypatrując w blasku księżyca łodzi.

Wtem ją zauważył - ciemny żagiel na tle rozgwieżdżonego nieba, wyłaniający się zza wyspy. Ośmiu ludzi w łódce wstrzymało oddech. Znajdowali się wewnątrz okręgu zakreślanego przez żaglówkę, blisko - w gruncie rzeczy bardzo blisko - skalistego brzegu. Ktoś patrzący w ich stronę w tym nikłym świetle prawie na pewno nie dostrzegłby niczego na tle ciemnej bryły wyspy, a Blaise wiedział, że strażnicy i tak zapewne będą patrzeć na morze. Rozluźnił palce zaciśnięte na wiosle; żaglówka ich minęła, płynąc półwiatrem i stanowiąc w świetle księżyca piękny widok.

- Chwała bogini! - mruknął z odruchową pobożnością Luth ze swego miejsca na dziobie obok Hirnana.

Przeklinając się, że nie posadził go obok siebie, Blaise rzucił przez ramię wściekłe spojrzenie i zobaczył, jak Hirnan błyskawicznym ruchem ściska towarzysza za ramię, usiłując go poniewczasie uciszyć.

- Au! - jęknął Luth.

Bynajmniej nie cicho. Na morzu. W bardzo spokojną noc. Blaise zamknął oczy. Nastąpiła chwila pełnej napięcia ciszy, a potem z żaglówki dobiegł ponury męski głos:

- Kto tam jest? W imię Rian, opowiedzcie się!

Blaise zaczął gorączkowo myśleć; zobaczył, że łódź już zakręca. Mieli dwa wyjścia. Mogli się wycofać, szaleńczo wiosłując, w nadziei, że zgubią strażników w panujących wokół ciemnościach. Nikt nie wiedział, kim są; mogli pozostać niedostrzeżeni ani niezidentyfikowani. Lecz stały łąd znajdował się dość daleko, a ośmiu wioślarzy miało niewielkie szanse na umkniecie ścigającej ich łodzi żaglowej. Poza tym Blaise wiedział, że ta

łódź bardzo szybko mogła sprowadzić na pomoc inne.

W dodatku nie znosił się wycofywać.

- Tylko rybacy, wasza miłość! - zawołał drżącym, wysokim głosem. - Razem z braćmi trałujemy lampionki. Strasznie przepraszamy, że się zapuściliśmy tak daleko.

Zniżył głos do ochryplego szeptu:

- Spuśćcie trzy liny za burtę, szybko! Trzymajcie je tak, jakbyście łowili ryby. Hirnanie, wchodzimy do wody.

Mówiąc to, już zdejmował buty i odpinał miecz; Hirnan bez zbędnych pytań poszedł w jego ślady.

- Zakazane jest podpływać tak blisko do wyspy bogini bez pozwolenia. Za wasz czyn spadnie na was przekleństwo Rian.

W głębokim głosie niosącym się nad wodą brzmiała wrogość i pewność siebie. Żaglówka wciąż zakręcała; za chwilę obierze kurs prosto na łódkę rzekomych rybaków.

- Nie wolno nam zabijać - szepnął z niepokojem Maffour.

- Wiem - syknął Blaise. - Róbcie, co kazałem. Zaproponujcie im dziesięcinę. Czas na nas, Hirnanie.

Z tymi słowy przerzucił nogi przez niski reling i ześliznął się cicho za burtę. Z drugiej strony Hirnan zrobił to samo, dokładnie równoważąc ruchy Blaise'a. W tę wczesnowiosenną noc woda była wstrząsająco zimna.

- Zaiste, wasza miłość, jak mówi mój brat, nie zamierzaliśmy popełnić żadnego wykroczenia - poniósł się w ciemności pełen skruchy głos Maffoura. - Z przyjemnością ofiarujemy świętym sługom błogosławionej Rian dziesiątą część naszego połowu.

Na żaglówce zapadła cisza, zupełnie jakby ktoś się zastanawiał nad nagłą pokusą. Tego Blaise się nie spodziewał. Z prawej strony dostrzegł przybliżającą się ku niemu ciemną głowę Hirnana. Machnął ręką; zaczęli cicho płynąć ku żaglówce.

- Jesteście durniami? - Drugi głos dobiegający z łodzi należał do kobiety i był zimny niczym wody oceanu. - Sądzicie, że zadośćuczynieniem za naruszenie wód bogini może być ładunek ryb?

Blaise się skrzywił. Kapłanki bogini zawsze były bardziej surowe od kapłanów; nauczył się tego już po krótkim pobycie w Arbonne. Usłyszał trzask krzesiwa o kamień i chwilę później zaklął w duchu, ujrzawszy na żaglówce zapaloną lampę. Blask pomarańczowego światła padał na wodę, lecz oświetlał niewiele. Modląc się, by sześciu coranów w łódce miało dość rozumu, by opuścić głowy i w ten sposób ukryć twarze, przywołał Hirnana ruchem ręki. A potem, przebijając nogami w wodzie, by utrzymać głowę nad jej powierzchnią, przytknął

usta do ucha corana i powiedział mu, co muszą spróbować zrobić.

\*

Maritte sterowała, a kapłan Roche wpatrywał się w noc, wysoko unosząc lampę. Nawet w świetle jej płomienia i przybywającego księżyca niewiele dawało się dojrzeć. Z całą pewnością łódka, do której się zbliżali, była taka, jak te używane przez rybaków z wybrzeża, i kapłan widział zwieszające się za burtę liny trałów, ale mimo to było w tym spotkaniu coś dziwnego. Przede wszystkim na łódce znajdowało się chyba zbyt wielu ludzi. Naliczył ich co najmniej pięciu. Gdzie chcieli zmieścić połów, mając tak liczną załogę? Roche wychował się nad morzem i wiedział coś niecoś o trałowaniu lampionek. Uwielbiał też smak tego soczystego, trudnego do zdobycia przysmaku, dlatego też kusila go - choć się tego wstydził - zaproponowana dziesięcina. Urodzona w górach Maritte nie miała takiej słabości. Czasami Roche się zastanawiał, czy Maritte w ogóle ma jakieś słabości. Stwierdził, że nie będzie zbyt nieszczęśliwy, kiedy w przyszłym tygodniu skończy się ich wspólny patrol, chociaż nie mógł żałować trzech nocy spędzonych obowiązkowo w jednym łóżku. Zastanawiał się, czy kapłanka poczęła i jakie byłoby ich dziecko.

To naprawdę wyglądało na rybacką łódkę. Była obsadzona przez zbyt wielu ludzi najprawdopodobniej dlatego, że się bali, zapuszczając się tak blisko wyspy. Roche wiedział, że takie wypadki zdarzają się często. Głębokie wody otaczające Wyspę Rian były znane z obfitości lampionek. Czasami żałował - świadom, że jest niebezpiecznie bliski herezji - że wszystkie ryby i inne zwierzęta na wyspie oraz wokół niej są poświęcone bogini w jej wcieleniu Łowczyni i żaden śmiertelnik nie ma na nie polować.

Trudno było winić rybaków Arbonne, że od czasu do czasu ulegali pokusie tego rzadkiego, delikatnego smaku i zapuszczali się może nieco zbyt blisko wyspy. Roche nie wiedział, czy ośmieli się podzielić z Maritte tą myślą w duchu współczującej Rian. Powstrzymał się. Domyślał się, co powie kapłanka urodzona w górach, sama twarda jak góraska skała. Co prawda nie była tak twarda w ciemności; zdumiewająco miękła pod wpływem namiętności i jej następstw. Roche uznał, że te trzy noce były warte jakiegokolwiek jej reakcji na jego sugestię.

Nagle Maritte odezwała się chrapliwym głosem:

- Roche, to nie są rybacy. To są tylko liny, a nie sieci! Musimy...

Niestety, więcej Roche nie usłyszał. Kiedy tylko się wychylił, by baczniej przyjrzeć się łódce, poczuł, że ktoś go ściąga z pokładu, a lampa wyleciała mu z ręki i zgasła z sykiem w morzu.

Spróbował krzyknąć, ale uderzenie o wodę wypchnęło mu całe powietrze z płuc. Kiedy rozpaczliwie chciał nabrać tchu, zakryła go nadpływająca fala; połknął łyk słonej morskiej wody i zaczął się krztusić. Z tyłu podtrzymywała go czyjaś ręka, silna jak u kowala. Roche kaszlał, krztusił się, znów kaszlał i w końcu pozbył się wody z płuc.

Zaczerpnął tchu i wtedy, jakby to był cierpliwie oczekiwany sygnał, otrzymał cios trzonkiem noża w bok głowy, co uczyniło go nieczułym na lodowaty chłód morza czy też piękno księżyca odbijającego się w wodzie. Tuż nim zapadł się w czerni, zdążył jednak zdać sobie sprawę, że w ogóle nie słyszał Maritte.

Umieszczając nieprzytomnego kapłana z pomocą Hirnana z powrotem na pokładzie żaglówki, Blaise przez chwilę się bał, że nie chcąc popełnić błędu, coran mógł zadać kobiecie śmiertelny cios. Uspokoił się, kiedy z jakimś trudem wdrapał się do łodzi. Przez kilka dni kapłanka będzie miała na skroni guz wielkości jaja corfe, ale Hirnan dobrze się sprawił. Blaise poświęcił moment, by uścisnąć go z aprobatą za ramię; takie gesty mają znaczenie dla ludzi, którym się przewodzi. Miał w tej kwestii nieco doświadczenia - w obu rolach.

Żaglówka była czysta, zadbana i dobrze wyposażona w mnóstwo lin. Znaleźli też koce i trochę jedzenia, co mogło być zaskakujące, gdyby kapłan nie był tak pulchny. Blaise zdjął nieprzytomnemu przemoczoną koszulę i owinął go kocem. Razem z Hirnanem związali i zakneblowali oboje kapłanów, chociaż nie tak mocno, by zrobić im krzywdę, a potem skierowali żaglówkę ku swoim.

- Maffourze, przejmij dowodzenie w łódce - powiedział cicho Blaise - i płyn za nami. Chcemy gdzieś tu przybić do brzegu. Luthu, jeśli wolisz, możesz popełnić samobójstwo teraz, zanim cię dorwę. Może się to okazać przyjemniejsze.

Z jakimś zadowoleniem usłyszał, że Luth jęknął. Ten chłopak mu uwierzył! Hirnan chrząknął, rozbawiony mimo przemarznięcia. Z pewnym zaskoczeniem Blaise odkrył u siebie znane mu niegdyś poczucie szacunku i wspólnoty wobec towarzysza podczas wykonywania niebezpiecznego zadania.

Owszem, niebezpiecznego, a szczególnie teraz, zważywszy na to, co właśnie zrobili dwojgu namaszczonej bogini. Mimo wszystko dzisiejsza eskapada była czystą głupotą - co do tego Blaise nie zamierzał zmieniać zdania tylko dlatego, że gładko poradzili sobie z pierwszą przeszkodą. Mokry, trzęsąc się z zimna, rozcierał ramiona, by choć trochę się rozgrzać, i niemal mimowolnie uświadomił sobie, że jeszcze przed chwilą dobrze się bawił.

I, jak najwyraźniej często się zdarzało, zażegnanie kryzysu chyba nakłoniło przypadek, los czy też boga Corannosa - a może wszystko naraz - do okazania przychylności w następnym etapie trudnego przedsięwzięcia. Kilka chwil później Hirnan znów chrząknął, tym

razem z nutą zadowolenia, i zaraz potem Blaise ujrzał tego powód. Płynąc ku zachodowi tak blisko brzegu, jak tylko się ważył, Hirnan doprowadził ich do zatoczki między skałami. Blaise dostrzegł nad nią drzewa, których korony osrebrzył wysoko stojący księżyc; rosły na płaskowyżu schodzącym łagodnie do krótkiego urwiska nad samym morzem. Jako że plaże były dla nich zakazane, zatoczka stanowiła niemal idealne miejsce; dawała schronienie obu łodziom, ukrywała je przed wzrokiem niepożądanych ludzi, a wspinaczka na płaskowyż raczej nie nastęczała trudności komuś, kto był przyzwyczajony do stromych kozich ścieżek nad gajami oliwnymi w okolicy Baude.

Hirnan ostrożnie wprowadził obie łodzie do zatoczki. Szybko opuścił żagiel i zajął się rzucaniem kotwicy. Maffour, dowodzący łodzią wiosłową, bez słowa przerzucił sobie zwój liny przez ramię i przeskoczywszy na najbliższy głaz, wspiął się zwinnie po krótkiej ścianie urwiska na płaskowyż. Przywiązał linę do jednej z sosen i rzucił jej koniec towarzyszom. Są tu dwaj znakomici corani, pomyślał Blaise, uświadamiając sobie, że podczas swego tu pobytu tak naprawdę nie zastanawiał się nad oceną ludzi Mallina de Baude. Przyznał w duchu, że Mallin miał rację w przynajmniej jednej sprawie: najlepszą próbą ludzkiego charakteru jest zadanie, którego wykonanie wiąże się z rzeczywistym niebezpieczeństwem.

Hirnan skończył klarować linę kotwiczną i odwrócił się do Blaise'a z pytająco uniesioną brwią. Blaise zerknął na dwoje związanych duchownych. Żadne nie odzyskało jeszcze przytomności i nie zanosilo się, by ten stan miał się wkrótce zmienić.

- Zostawimy ich tutaj - powiedział. - Nic im nie będzie.

Wioślarze już się wspinali na płaskowyż po linie Maffoura. Kiedy ostatni stanął przy sośnie, Hirnan ostrożnie zszedł z żaglówki na śliski głaz, przeszedł na następny, a potem chwycił linę i gładko wspiął się po skalnej ścianie. Blaise zrobił po chwili to samo. Sól wżarta w wilgotną linę piekła go w dłonie.

Na płaskowyżu postawił stopy na ziemi po raz pierwszy od opuszczenia stałego lądu. Wrażenie było dziwne, jakby grunt drżał mu pod nogami. Blaise pomyślał nagle, że stoją na Wyspie Rian, i to nielegalnie wyświęceni. Wyglądało jednak na to, że nikt z pozostałych tak tego nie odczuł i chwilę później Blaise uśmiechnął się cierpko, rozbawiony tymi myślami: pochodzi przecież z Gorhaut, na imię boga - na północy nikt nie oddaje czci Rian. Nie była to najlepsza pora na uleganie przesądom dręczącym przez całą noc Lutha.

Młody Giresse podał mu bez słowa buty i miecz, a Thiers w ten sam sposób usłużył Hirnanowi. Oparłszy się o drzewo, Blaise wciągnął buty i zapiął pas z mieczem, cały czas szybko myśląc. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył siedmiu mężczyzn, którzy czekali w napięciu na jego rozkazy. Uśmiechnął się.



- Luthu, postanowiłem na razie darować ci życie, żebyś jeszcze trochę poprzeskadzał światu - rzekł cicho. - Będziesz pilnował obu łodzi z Vannem. Jeśli ci dwoje zacznie odzyskiwać przytomność, macie ich znów ogłuszyć. Gdybyście jednak musieli zejść do nich, zakryjcie twarze. Jeśli dopisze nam szczęście, żaden z nas nie zostanie rozpoznany. Rozumiecie?

Sprawiali wrażenie, że rozumieją. Luth wyglądał na niemal komicznie zadowolonego z przydzielonego zadania. W świetle księżyca było widać, że Vanne bardzo stara się ukryć rozczarowanie - w gruncie rzeczy to dobry znak, że przykro mu było stracić następny etap wyprawy. Blaise jednak nie zamierzał zostawiać Lutha samego z jakimkolwiek, choćby najprostszym zadaniem. Odwrócił się tyłem do wyznaczonej dwójki.

- Hirnanie, rozumiem, że kiedy dotrzemy do kompleksu świątynnego, będziesz umiał znaleźć kwatery dla gości? - Rudowłosy coran kiwnął głową. - A zatem poprowadzisz - zdecydował Blaise. - Ja pójdę za tobą, Maffour pilnuje tyłów. Idziemy gęsiego. Bez gadania, chyba że będzie to konieczne. Ostrzegajcie się raczej dotykiem niż słowami. Jasne?

- Jedno pytanie: jak mamy znaleźć Evrarda, kiedy już tam dotrzemy? - zapytał cicho Maffour. - W kompleksie musi być bardzo dużo pomieszczeń mieszkalnych.

- I jest - mruknął Hirnan.

Blaise martwił się o to samo. Wzruszył jednak ramionami - jego ludzie nie mogli wiedzieć, co go trapi.

- Zakładam, że zajął jedno z największych. Skierujemy się do nich. - Ukazał w uśmiechu zęby. - A Maffour będzie mógł wejść do środka i obudzić go pocałunkiem.

Rozległ się śmiech. Stojący za plecami Blaise'a Luth zachichotał głośno, ale się opanował, zanim Blaise zdążył się odwrócić.

Zaczekał, aż ucichną oznaki wesołości; napięcie nieco opadło. Spojrzał na Hirnana. Bez jednego słowa coran odwrócił się i wszedł do lasu świętej wyspy bogini. Blaise poszedł za nim i usłyszał, jak pozostali ruszają za nim gęsiego. Nie obejrzał się.

W lesie było bardzo ciemno. Wszędzie wokół rozlegały się najrozmaitsze dźwięki: szelest liści poruszanych wiatrem, popiskiwanie drobnych zwierząt, szybki, niepokojący trzepot skrzydeł ptaka podrywającego się z gałęzi. Sosny i dęby zasłaniały księżyc, lecz od czasu do czasu kładł się na drodze ludzi ukośny promień jego bladego światła, dziwnie piękny i pogłębiający otaczającą ich czern, gdy tylko wychodzili z owej plamy. Blaise sprawdził klingę miecza w pochwie. Gdyby zaatakowało ich tutaj jakieś duże stworzenie, znaleźliby się w trudnej sytuacji. Zadał sobie pytanie, czy na Wyspie Rian osiedlił się któryś z wielkich drapieżnych kotów; miał wrażenie, że tak, co nie było uspokajającą myślą.

Hirnan, wybierający drogę wokół korzeni i pod gałęziami, trafił w końcu na wyboisty szlak prowadzący z zachodu na wschód i Blaise odetchnął spokojniej. Miał zaskakująco wyraźną świadomość tego, gdzie się znajdują. Tak naprawdę nie był przesądny, ale ten las miał w sobie coś, od czego robiło mu się nieswojo, nawet bardziej niż na myśl o płowykocie czy dziku, i co sprawiało, że marzył, by już z niego wyjść. Uświadomił sobie, że w gruncie rzeczy to samo dotyczy wszystkiego, co się znajduje na wyspie: im szybciej ją opuszczą, tym bardziej będzie zadowolony. Właśnie wtedy na drzewie tuż nad jego głową wylądował z cichym łopotem skrzydeł jakiś ptak - prawie na pewno sowa albo corfe. Blaise pomyślał, że Luth pewnie by narobił w spodnie. Celowo nie spojrzął w górę i szedł dalej na wschód za niewyraźnym cieniem Hirnana, ku świątyniom bogini czczonej tu, na południu, jako łowczyni i matka, jako kochanka i oblubienica oraz jako mroczna i ostateczna przystań zmarłych w blasku księżyca. Jeśli będziemy mieć większe szczęście, niż na nie zasługujemy, pomyślał ponuro Blaise z Gorhaut, bardziej podenerwowany niż chciałby się przyznać nawet przed samym sobą, to może wyjdzie na dwór i będzie śpiewał do księżyca.

\*

Evrard z Lussan przypadkiem właśnie to robił. Trubadurzy rzadko śpiewali własne pieśni; popis muzyczny był uważany za sztukę mniejszą niż komponowanie. Pieśni odśpiewywali żonglerzy przy akompaniamencie rozmaitych instrumentów. Lecz tu, na Wyspie Rian, nie było w tej chwili żadnych żonglerów, a Evrardowi podczas pisania zawsze pomagało słuchanie własnych słów i powstającej melodii, nawet wykonywanej własnym, słabym głosem. A lubił komponować nocą.

Usłyszeli go, kiedy wychynęli z czerni lasu i zobaczyli światełka odległych lamp. Zbliżyli się do terenu sanktuarium; Blaise zauważył, że zabudowania dla gości, stojące na południe od kompleksu świątynnego, nie są otoczone ogrodzeniem, chociaż wewnętrzne budynki, gdzie zapewne spali kapłani i kapłanki, chroniła wysoka palisada. Wyglądało na to, że za nią nie patrolują terenu żadni strażnicy, a przynajmniej nie było ich widać. Na świątynie padało srebrzyste światło, od którego trzy kopuły lśniły miękkim białym blaskiem.

Nie musieli tam iść. Na południowym skraju terenu poświęconego bogini, niedaleko miejsca, w którym przystanęli, znajdował się ogród. Rosnące tam palmy chwiały się na łagodnym wietrze, niosącym w stronę coranów woń róż, zawilców i wczesnej lawendy. A także dźwięk głosu.

*Daj, jasna bogini, by mego serca słowa*

*Znalazły przystań w świątyni twej miłości.  
Twoja jest morska piana i leśne gaje,  
I zawsze twój księżycyca blask na wysokości...*

Nastąpiła krótka, pełna skupienia przerwa, a potem znów rozległ się głos:

*I twój księżycyca blask spływający z wysokości...*

Kolejna pełna zamyślenia cisza, a potem znów dobiegł ich głos Evrarda:

*Twój jest księżycyca blask i gwiazdy na niebie,  
Świetlista morska piana i leśne włości.*

Blaise napotkał pełen ironii wzrok Hirnana. Wzruszył ramionami.

- To Mallin chce go sprowadzić z powrotem - mruknął. - Nie patrz na mnie.

Hirnan wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Blaise wyminął go i, trzymając się osłony, jaką dawały zarośla rosnące na skraju lasu, zaczął obchodzić ogród, z którego wciąż dobiegał cienki głos, wyśpiewujący różne wersje tego samego uczucia. Blaise zastanawiał się, czy to późne zawołanie nie zakłóca snu duchownym i innym gościom Rian. Zadał sobie pytanie, czy zdarza się to co noc. Znając Evrarda z Lussan, podejrzewał, że to możliwe.

Dotarli do południowego skraju lasu. Między nimi i żywopłotami oraz palmami ogrodu rozciągała się teraz jedynie posrebrzona księżycowym blaskiem trawa, wyraźnie widoczna z palisady. Blaise padł na ziemię, przypominając sobie z niesamowitą, nieoczekiwaną wyrazistością, że ostatnio przeprowadzał taki manewr w Portezzie, z Rudelem, kiedy zabili Engarra di Faenna.

A teraz chwycił dla jakiegoś drobnego barona z Arbonne nadaśanego, drażliwego poetę, żeby żona owego barona mogła ucałować schwytanego w łysiejące czoło - i bóg wie, gdzie jeszcze - oraz gorąco przeprosić, że wydarł jej się z ust okrzyk, kiedy poeta zaatakował ją w łóżku.

Daleko od Portezzy. Od Gorhaut. Od działań, w które powinien się angażować mężczyzna. Z tą prawdą nie miał, szczerze mówiąc, żadnego związku fakt, że Blaise nienawidził niemal wszystkiego, co dotyczyło Gorhaut, będącego jego domem, i darzył zaufaniem najwyżej pół tuzina przedstawicieli portezzańskiej szlachty.

- Thiers i Giresse, zaczekajcie tutaj - szepnął przez ramię do najmłodszej dwójki. - Nie będziemy do tego potrzebować sześciu ludzi. Gdyby się zbliżały kłopoty, zagwizdźcie jak corfe. Usłyszemy was. Maffourze, wiesz, co masz mówić. Lepiej, żebyś ty wygłosił tę mowę, niż ja. Kiedy dotrzemy do ogrodu i dam ci znak, zrób co w twojej mocy. Będziemy w pobliżu.

Nie czekał na potwierdzenia przyjęcia rozkazów. W tej chwili każdy choć w połowie przyzwoity człowiek równie dobrze jak on sam musiał wiedzieć, co trzeba robić. Jeśli w oczach Blaise'a ta misja miała jakikolwiek sens, to taki, że być może mógłby się przekonać, jacy są ci szkoleni przez niego corani z Arbonne.

Nie oglądając się za siebie, zaczął się czołgać po wilgotnej, chłodnej trawie w stronę prześwitu w żywopłocie, oznaczającego wejście do ogrodu. Evrard nie ustawał w wysiłkach - teraz śpiewał coś o gwiazdach i białogrzbietych falach.

Zirytowany na poetę, na siebie, na sam charakter tej wyprawy, Blaise niemal wpełzł, zupełnie nieprofesjonalnie, na plecy kapłanki, która, na wpół ukryta, stała przy palmie rosnącej najbliżej wejścia. Blaise nie wiedział, czy kapłanka znalazła się tam jako strażniczka poety, czy jako wielbicielka jego talentu. Naprawdę nie było czasu zagłębiać się w takie niuanse. Jeden wydany przez nią dźwięk mógł sprowadzić na nich wszystkich śmierć.

Na szczęście kobieta całą uwagę skupiła na nieodległej postaci rozśpiewanego poety. Blaise widział, że Evrard siedzi na kamiennej ławce nad brzegiem stawu, odwrócony do nich tyłem, zatopiony w kontemplacji samego siebie, nieruchomej wody czy też tego, co kontemplują poeci.

Wzgardziwszy finezją, Blaise zerwał się na nogi, schwycił kobietę od tyłu i zakrył dłonią jej usta. Kapłanka nabrała tchu do krzyku, więc zacisnął chwyt na jej ustach i szyi. Nie wolno im było zabijać. Zresztą, Blaise nie lubił niepotrzebnie zadawać śmierci. W ciszy, jakiej go nauczyli zabójcy z Portezzy, przytrzymał wyrywającą się kobietę, pozbawiając ją tchu, aż poczuł, że osuwa się ciężko na niego. Ostrożnie - była to bowiem znana mu stara sztuczka - rozluźnił chwyt. Nie oszukiwała go jednak; kapłanka spoczywała bezwładnie w jego ramionach. Była dużą kobietą o niespodziewanie młodej twarzy. Blaise wątpił, by pełniła tu straż. Zastanawiał się, jak się wydostała z kompleksu; kiedyś taka wiedza mogła mu się przydać. Nie dlatego, żeby planował tu kiedykolwiek wrócić, i to w tajemnicy.

Ułożywszy kapłankę ostrożnie pod palmą, szybkim ruchem głowy nakazał Maffourowi wejść do ogrodu. Do Blaise'a podeszli cicho Hirnan i Thulier i zaczęli w ciemności wiązać kobietę.

*Twoją jest chwała, o jasna Rian, gdy my, śmiertelnicy,*

*Stąpamy pokornie w cieniu twego wielkiego blasku,  
Szukając słodkiej pociechy w...*

- Kto tam?! - zawołał Evrard z Lussan, nie odwracając się, bardziej rozzłoszczony niż zaniepokojony. - Przecież wiecie, że nie wolno mi przeszkadzać, kiedy pracuję.

- Wiemy, wasza miłość - odparł gładko Maffour, podchodząc do niego.

Przysuwając się ostrożnie, ukryty za krzewami Blaise skrzywił się na pochlebstwo dźwięczące w tym tytule. Evrard nie miał do niego bardziej uzasadnionego prawa niż Maffour, ale Mallin wydał swemu najbardziej elokwentnemu coranowi wyraźne polecenia.

- Ja się nazywasz? - zapytał ostrym tonem Evrard, odwracając się szybko, by spojrzeć na Maffoura w blasku księżyca.

Blaise zbliżył się jeszcze bardziej, nisko pochylony, starając się prześliznąć na drugą stronę ławki. Miał własną wizję tego, co się tu miało rozegrać.

- Maffour z Baude, wasza miłość, z wiadomością od samego en Mallina.

- Wydawało mi się, że cię rozpoznaję - rzekł wyniośle Evrard. - Jak śmiesz przychodzić tu w ten sposób i zakłócać bieg moich myśli oraz proces twórczy?

Nic o braku pobożności, wtargnięciu do sanktuarium czy afroncie wyrządzonym bogini, którą w tej chwili wysławiał, pomyślał sardonicznie Blaise, zatrzymując się przy niewielkim posągu.

- Nie mam nic do powiedzenia twojemu baronowi czy jego źle wychowanej żonie i nie mam chęci wysłuchiwać żadnej banalnej wiadomości, jaką dla mnie sklecili - ciągnął Evrard pańskim tonem.

- Przebyłem długą, niebezpieczną drogę - rzekł uspokajająco Maffour - a wiadomość od Mallina de Baude jest dogłębnie szczerą i długą. Nie zechcesz uczynić mi honoru i jej wysłuchać, wasza miłość?

- Honoru? - powiedział płaczliwym tonem Evrard z Lussan. - Jakież pretensje do honoru mogą mieć mieszkańcy tego zamku? Wyświadczyłem im łaskę, na jaką nie zasłużyli. To ja nadałem Mallinowi godność, po którą chciał sięgnąć - poprzez moją obecność, poprzez moją sztukę. - Zaczął mówić niebezpiecznie głośno. - Kimkolwiek się stawał w oczach Arbonne czy świata, zawdzięczał to mnie. A w zamian, w zamian za to...

- W zamian za to, z powodów, których nie pojmuję, znów pragnie twego towarzystwa - odezwał się Blaise, szybko wychodząc z ukrycia, ponieważ nie mógł już tego dłużej słuchać.

Evrard zerknął na niego szeroko rozwartymi oczyma, usiłując wstać, a wtedy Blaise po raz drugi tej nocy posłużył się trzonkiem noża, spuszczając go ze starannie obliczoną siłą na

łysiejącą głowę trubadura. Maffour szybkim ruchem schwycił padającego mężczyznę.

- Nawet nie macie pojęcia - rzekł z uczuciem Blaise, kiedy dołączyli do nich Hirnan i Thulier - jak wielką mi to sprawiło przyjemność.

Hirnan prychnął.

- Domyślamy się. Co tak długo?

Blaise błysnął zębami w uśmiechu.

- Co? Miałem zepsuć wielką chwilę Maffoura? Naprawdę chciałem usłyszeć tę przemowę.

- Mogę ci ją wyrecytować w drodze powrotnej - zaproponował kwaśno Maffour. - Ze wszystkimi „wasza miłość” dla okraszy.

- Daruj sobie - rzekł krótko Hirnan.

Pochylił się i bez wysiłku zarzucił sobie na ramię drobne ciało trubadura.

Tym razem poprowadził ich Blaise, nadal uśmiechnięty. Dotarli do południowego krańca ogrodu, oddalając się od świateł sanktuarium, palisady i świątynnych kopuł, a potem, zatoczywszy ostrożnie łuk, wrócili pod osłonę lasu. Jeśli to są corani pomniejszego barona, myślał Blaise, i okazali się tak sprawni - z jednym wyraźnym wyjątkiem - to kiedy wrócą na stały ład, będzie musiał się poważnie zastanowić nad zmianą zdania o mężczyznach Arbonne, nawet jeśli ten kraj był pełen trubadurów i zonglerów, a rządziła nimi kobieta.

\*\*\*

Ów wspomniany jeden wyraźny wyjątek przeżywał, bez choćby najmniejszego cienia wątpliwości, najgorszą noc swego życia.

Przede wszystkim były odgłosy. Nawet na skraju lasu odgłosy nocnego życia docierały do nadstawionych uszu Lutha, wywołując u niego fale paniki, które następowały po sobie w pozornie niekończącym się korowodzie.

Po drugie, był Vanne. A raczej nie tyle Vanne, ile jego nieobecność, ponieważ drugi coran wyznaczony jako wartownik ciągle rozmyślnie zostawiał Lutha, swego partnera, i schodził po linie, by zajrzeć do dwojga duchownych na żaglówce, a potem szedł do lasu i nasłuchiwał, czy nie wracają ich towarzysze albo czy nie dzieje się coś mniej radosnego. Z każdym takim wypadem Luth zostawał sam przez dłuższy czas i musiał sobie radzić z odgłosami i tajemniczymi poruszeniami w cieniach płaskowyżu czy na krawędzi lasu, nie mając nikogo, kto mógłby mu dodać otuchy.

Prawda była taka, mówił sobie Luth - a przysięgłby na to w każdej świątyni bogini - że wcale nie był tchórzem, chociaż wiedział, że po tej nocy wszyscy jego towarzysze będą go za

takiego uważali. Naprawdę nim nie był: umieścić go na skale nad zamkiem Baude podczas burzy, kiedy złodzieje uciekają po stromiznach z owcami barona, a Luth będzie ich zażarcie ścigał, zwinnie i pewnie poruszając się między skałami, i wcale sprawnie posługując się łukiem czy klingą, kiedy dopadnie bandytów. Robił już to zeszłego lata, z Giressem i Hirnanem. Owej nocy zabił w ciemności człowieka strzałem z łuku i sprowadził bezpiecznie pozostałą dwójkę wraz ze stadem owiec zdradliwymi ścieżkami w dół.

Co prawda po dzisiejszej nocy raczej nie będą o tym pamiętać ani zawracać sobie głowy, by przypominać o tym innym. Jeśli ktokolwiek z nich przeżyje tę noc. Jeśli w ogóle odpłyną z tej wyspy. Jeśli...

Co to było?

Luth obrócił się w miejscu; serce podskoczyło mu w piersi niczym łódka uderzona falą. Ujrzał Vanne'a wracającego na płaskowyż z kolejnej inspekcji lasu. Coran spojrział nań dziwnie, lecz nic nie powiedział. Luth wiedział, że mieli nie rozmawiać. Wymuszone milczenie było dla niego niemal tak samo stresujące, jak nocne odgłosy lasu.

Ponieważ nie były to tylko odgłosy, a to nie była tylko noc. To były odgłosy świętej Wyspy Rian, a cała ósemka znalazła się tu bez odpowiedniego namaszczenia, bezprawnie - na podstawie poprzekręcanych słów obrzędu, wymamrotanych przez pijanego byłego kapłana - i na dodatek podnieśli rękę na dwoje prawdziwie namaszczonych sług bogini, zanim jeszcze przybili do brzegu wyspy.

Problem Lutha po prostu tkwił w tym, że chłopak głęboko wierzył w moce bogini. Jeśli rzeczywiście można to było nazwać problemem. Coran miał pobożną, przesadną babkę, która oddawała cześć i Rian, i Corannosowi, a także rozmaitym duchom domowym oraz tym związanym z porami roku, i która wiedziała wystarczająco dużo o magii i ludowych zaklęciach, by wydać wychowywanego przez siebie wnuka na pastwę grozy panującej właśnie w takich miejscach, w jakim się właśnie znajdowali. Gdyby mu tak nie zależało na zachowaniu twarzy w oczach innych coranów, swego barona i tego rosłego, sprawnego, ponuro sardonicznego najemnika, którego Mallin sprowadził, by nimi dowodził oraz ich szkolił, to Luth z pewnością znalazłby pretekst, by się wycofać z tej misji, kiedy został do niej wyznaczony.

Powinienem tak zrobić, pomyślał posepnie. Bez względu na to, ile by stracił ze swego statusu, było to niczym w porównaniu z tym, jak bardzo będzie poniżany i wyszydzany z powodu tego, co się stało tej nocy. Kto mógłby pomyśleć, że prosta pobożność, dziękczynna modlitwa do samej świętej Rian może sprowadzić na człowieka tyle kłopotów? Skąd ktoś wychowany w górach mógł wiedzieć, jak cudacznie daleko niesie się po morzu dźwięk -

wymruczana modlitwa! A Hirnan sprawił mu ból tym swoim żelaznym chwytem. Najstarszy coran był dużym mężczyzną, niemal dorównującym budową ciała brodatemu przybyszowi z północy, a palce miał jak kleszcze. Usiłując przywołać poczucie oburzenia na niesprawiedliwy obrót, jaki przybrała sytuacja, Luth pomyślał, że Hirnan powinien wiedzieć lepiej.

Znów odskoczył w bok, potknął się i niemal upadł. Szamotał się z pochwą miecza, kiedy uświadomił sobie, że to podszedł do niego Vanne. Z miernym powodzeniem spróbował zmienić swoje miotanie się w ruch czujnego wartownika. Vanne, z twarzą pozbawioną wyrazu, skinął ręką i Luth pochylił ku niemu głowę.

- Schodzę na dół, żeby do nich zajrzeć - rzekł coran, zgodnie z pełnymi rozpaczy przewidywaniami Lutha. - Pamiętaj, jeśli będziesz mnie potrzebował, gwizdnij jak corfe. Ja zrobię to samo.

Luth kiwnął głową, starając się nie przybrać błagalnej miny.

Vanne przeciął płaskowyż swobodnym krokiem, chwycił linę i ześliznął się poza krawędź urwiska. Luth patrzył, jak przez kilka chwil lina się gwałtownie rusza, a potem nieruchomieje - Vanne dotarł do głazów na dole. Luth podszedł do drzewa, do którego Maffour przywiązał linę, i ukląkł, by zerknąć fachowym okiem na węzeł. Oceniał, że jest dobrze zawiązany i że będzie się trzymał.

Wyprostował się i cofnął o krok. Wpadł na coś.

Zawirował na pięcie z mocno bijącym sercem. Kiedy ujrzał, co się pojawiło na płaskowyżu, krew w jego żyłach jakby wyschła i zmieniła się w suchy pył. Zaciśnął wargi i spróbował gwizdnąć. Jak corfe.

Nie rozległ się żaden dźwięk. Luth miał usta suche jak kość, jak pył, jak śmierć. Otworzył je do krzyku, ale zaraz zamknął, i to dość nagle, jako że poczuł na gardle klingę zakrzywionego, wysadzanego klejnotami, nader długiego sztyletu.

Postacie przybyłe na płaskowyż miały na sobie szaty ze szkarłatnego i srebrzystego jedwabiu oraz atlasu. Były to w większości kobiety - Luth naliczył ich co najmniej osiem - lecz przyszło z nimi również dwóch mężczyzn. Jednakże zakrzywioną klingę przykładając do gardła kobieta. Luth poznał to po kształtach jej ciała ukrytego pod szatą; na twarzy miała maskę. Wszyscy byli zamaskowani. A każda maska przedstawiała jakiegoś czworonożnego albo skrzydlatego drapieżnika: wilka, myśliwskiego kota, sowę, jastrzębia oraz srebrnopiórego corfe o złocistych oczach, lśniących w blasku księżyca.

- Chodź - rzekła kapłanka; głos miała zimny i odległy, jak bogini nocą. Bogini Łowów w swoim zbezczeszczonej sanktuarium. Luth zauważył, że ma maskę wilka, a potem zdał sobie



sprawę, że zakończenia palców jej rękawiczek wyglądają jak wilcze pazury. - Naprawdę sądziliście, że nie zostaniecie odnalezieni i rozpoznani? - zapytała.

„Nie”, chciał rozpaczliwie powiedzieć Luth. „Nie, nigdy nie sądziłem, że się nam uda. Byłem pewien, że zostaniemy schwytani”.

Nic nie powiedział. Najwyraźniej opuściła go umiejętność mówienia; na piersi leżała mu kamieniem cisza. Z przerażeniem, od którego drętwiał mu mózg, poczuł, że klinga niemal czule pieści grdykę. Kapłanka skinęła dłonią w rękawicze; stopy Lutha jakby z własnej woli poniosły go chwiejnie w nocny las Rian. Otaczały go uperfumowane kapłanki bogini, kobiety w maskach drapieżników, odziane w miękkie srebrzyste i czerwone szaty, wtapiające się w mrok panujący wśród drzew. Błady księżyc zniknął tak samo jak nadzieja.

\*\*\*

Wracając przez las, Blaise czuł przez podeszwy butów to samo drżenie co przedtem, jakby ziemia na wyspie rzeczywiście pulsowała, jakby miała bijące serce. Teraz szli szybciej, wykonawszy zadanie, świadomi, że nieprzytomna kapłanka w ogrodzie może zostać odkryta w każdej chwili. Blaise został w tyle, by znów ich poprowadził niosący nieprzytomnego poetę Hirnan; coran miał niezawodne wyczucie kierunku w ciemnym lesie.

Zeszli z leśnej ścieżki i zaczęli kluczyć na północ między gęsto rosnącymi drzewami, depcząc z trzaskiem gałązki i szeleszczące liście. Nie docierało do nich światło księżyca, lecz teraz już dobrze widzieli w ciemności i znali drogę. Blaise rozpoznał stary, powykręcany dąb, wyróżniający się wśród sosen i cedrów.

Wkrótce potem wyszli z lasu na płaskowyż. Księżyc stał wysoko; lina Maffoura - ich droga do morza i swobody - była przywiązana do drzewa.

Nigdzie jednak nie widzieli ani Vanne'a, ani Lutha.

Czując pierwsze ostrzegawcze ukłucia, Blaise podszedł szybko do krawędzi urwiska i spojrzał w dół.

Żaglówka zniknęła, a razem z nią dwoje związanych duchownych. Ich łódka tkwiła tam, gdzie ją zostawili, z ciałem Vanne'a w środku.

Stojący obok Blaise'a Maffour zaklął i sprawnie zjechał po linie. Przeskoczył po głazach do łódki i szybko pochylił się nad leżącym.

Spojrzał w górę.

- Nic mu nie jest. Oddycha. Stracił przytomność. Nie widzę żadnych obrażeń.

W jego głosie brzmiało zdumienie i pierwsze nuty prawdziwego niepokoju.

Blaise wyprostował się i rozejrzał po płaskowyżu, szukając wzrokiem Lutha. Pozostali

corani zbili się w ciasną grupkę, stanąwszy plecami do siebie. Dobyli mieczy. Wokół panowała cisza; Blaise uświadomił sobie, że umilkł nawet las. Po skórze przebiegły mu ciarki.

Podjął decyzję.

- Wszyscy na dół. Nie wiem, co się tu stało, ale to nie jest miejsce, gdzie można by mitrzyć. Ja się rozejrzę, ale i tak będziemy musieli stąd szybko odpłynąć. - Zerknął na księżyc, próbując określić porę nocy. - Wyprowadźcie łódkę na wodę i dajcie mi parę chwil. Jeśli usłyszycie wołanie corfe, odpłynicie i nie czekajcie na mnie. Poza tym kierujcie się własnym rozumem.

Hirnan przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby chciał zaproponować, ale się nie odezwał. Z Evrardem z Lussan na ramieniu niczym z workiem zboża podszedł do liny i zsunął się na dół. Pozostali corani ruszyli w jego ślady. Blaise nie czekał, aż wszyscy zejną. Mając świadomość niebezpieczeństwa, i to wręcz namacalnego, dobył miecza i wszedł do lasu po drugiej stronie płaskowyzu, naprzeciwko miejsca, w którym poprzednio do niego weszli i skąd wyszli.

Niemal natychmiast złowił woń. Nie myśliwskiego kota czy niedźwiedzia ani lisa, borsuka albo dzika. Poczul unoszący się w powietrzu zapach perfum. Najsilniejszy dochodził od zachodu; a oni przyszli ze wschodu. Blaise przykląkł, by w niemal całkowitej ciemności przyjrzeć się poszyciu. Z wielu powodów żałował, że nie ma z nim Rudela - jednym z nich było to, że Blaise nie znał lepszego nocnego tropiciela.

Nie trzeba było jednak eksperta, by stwierdzić, że bardzo niedawno przechodziła tędy grupa osób i że w większości były to kobiety. Blaise zaklął pod nosem i wstał; wpatrując się w mrok, nie wiedział co robić. Jak śmierci nie znoślił zostawiać swego człowieka, ale było jasne, że gdzieś przed nim znajduje się w lesie duża grupa kapłanów i kapłanek. „Parę chwil”, powiedział Hirnanowi. Czy usiłując odnaleźć Lutha, może narażać na niebezpieczeństwo innych?

Blaise odetchnął głęboko, znów świadom pulsowania w poszyciu lasu.

Bał się; tylko kompletny głupiec by się teraz nie bał. Mimo to u podłoża tego wszystkiego leżała podstawowa, bardzo prosta prawda: nie zostawia się towarzysza, nie spróbowałszy go odnaleźć.

Blaise postąpił krok w ciemność za ulotnym zapachem perfum.

- Godne pochwały - rozległ się głos tuż przed nim. Blaise zrobił gwałtowny wdech i uniósł klingę, wyrażając wzrok. - Godne pochwały, lecz nadzwyczaj nierozsądne. Wracaj. Nie znajdziesz swego towarzysza. Tej nocy dalej czeka cię tylko śmierć.

Zaszeleściły liście i Blaise spostrzegł przed sobą wysoką, ciemną postać kobiety. Po obu

jej stronach stały drzewa, jakby wyznaczając scenę. Było bardzo ciemno, o wiele za ciemno, by dało się zobaczyć jej twarz, lecz nuta władczości w jej głosie wiele mówiła o losie Lutha. Nieznajoma jednak nie dotknęła Blaise'a; nikt go nie zaatakował. A Vanne też nie odniósł żadnych obrażeń.

- Okryłbym się wstydem we własnych oczach, gdybym odszedł i nie spróbował zabrać go ze sobą - rzekł Blaise.

Usłyszał jej śmiech.

- Wstydem - powtórzyła szyderczo. - Nie rób z siebie głupca, przybyszu z północy. Czy naprawdę sądzisz, że udałoby ci się czegokolwiek dziś dokonać, gdybyśmy ci na to nie pozwolili? Zaprzeczysz, że wyczuwasz świadomość tego lasu? Czy naprawdę uważasz, że poruszaliście się bez naszej wiedzy, niewidziani?

Blaise przełknął z trudem ślinę. Jego gest - celowanie w kobietę mieczem - wydał mu się nagle niefortunny, a nawet śmieszny. Powoli opuścił ostrze.

- Dlaczego? - zapytał. - Zatem dlaczego?

Znów się roześmiała, głębokim, cichym głosem.

- Chciałbyś poznać moje powody, przybyszu z północy? Chciałbyś zrozumieć boginię na jej własnej wyspie?

„Moje powody”.

- A zatem jesteś najwyższą kapłanką - powiedział i przestąpił z nogi na nogę, nadal czując głębokie pulsowanie ziemi. Kapłanka milczała. Znów przełknął ślinę. - Chciałbym tylko wiedzieć, co się stało z moim człowiekiem. Dlaczegoście go zabrali.

- Jeden za jednego - odparła cicho. - Żaden z was nie został namaszczoney, by móc przebywać w tym miejscu. Przybyliście tutaj, by zabrać człowieka namaszczonego. Dopuściliśmy do tego z pewnych powodów, lecz Rian żąda zapłaty. Zawsze. Naucz się tego, przybyszu z północy. Przyjmij to za prawdę na czas swojego pobytu w Arbonne.

„Rian żąda zapłaty”. Luth. Biedny, przestraszony, niewydarzony Luth. Blaise wpatrywał się w ciemność, pragnąc dojrzeć rysy twarzy kobiety, usiłując znaleźć słowa, dzięki którym mógłby uratować utraconego towarzysza.

I wtedy, jakby znała jego myśli, jakby ona i ten las znały je dogłębnie, kobieta uniosła rękę i chwilę później trzymała w dłoni płonąca pochodnię, która oświetliła otaczającą ich wolną przestrzeń. Blaise nie widział ani nie słyszał, by kapłanka krzesła ogień.

Natomiast usłyszał jej śmiech i spojrzawszy na stojącą przed nim wysoką, dumną postać, na arystokratyczne rysy delikatnej twarzy, uświadomił sobie z mimowolnym dreszczem, że została ona pozbawiona oczu. Kobieta była niewidoma. Na jej ramieniu siedziała biała sowa,

wybryk natury, i patrzyła na Blaise'a nieruchomym wzrokiem.

Nie bardzo wiedząc, dlaczego to robi, lecz niespodziewanie świadom, że wkroczył na teren, do przebywania na którym jest straszliwie źle wyposażony, Blaise schował miecz do pochwy. Śmiech kobiety ucichł; uśmiechnęła się.

- Dobrze - rzekła miękko najwyższa kapłanka Rian. - Z przyjemnością widzę, że nie jesteś głupcem.

- Widzę? - zapytał Blaise i natychmiast tego pożałował.

Kapłanka zachowywała niezmacony spokój. Ogromna biała sowa się nie poruszyła.

- Moje oczy były ceną za dostęp do czegoś o wiele ważniejszego. Widzę cię bez nich bardzo dobrze, Blaisie z Gorhaut. To ty potrzebowałeś światła, nie ja. Wiem, że masz bliznę biegnącą wokół żeber, wiem, jakiego koloru masz włosy i jaki miały kolor tej zimowej nocy, kiedy się urodziłeś i zmarła twoja matka. Wiem, jak bije twoje serce, dlaczego przybyłeś do Arbonne i gdzie byłeś przedtem. Znam twoje pochodzenie i twoją historię, dużą część twego bólu, wszystkie twoje wojny, miłości i wiem, kiedy ostatnio się kochałeś.

To blef, pomyślał z wściekłością Blaise. Takie rzeczy robią wszyscy duchowni, nawet kapłani Corannosa. Wszyscy chcieli zyskać kontrolę nad ludźmi poprzez takie tajemne zaklęcia.

- A więc to ostatnie - ośmielił się powiedzieć; głos miał chrapliwy. - Powiedz, kiedy się ostatnio kochałem.

- Przed trzema miesiącami - odparła bez wahania. - Z żoną twojego brata, w starodawnej siedzibie twego rodu. Późną nocą, w twoim własnym łóżku. Przed świtem wyruszyłeś w podróż, która cię doprowadziła do Rian.

Blaise stęknął, jakby otrzymał cios. Nie mógł się powstrzymać. Poczul nagły zawrót głowy; odpłynęła z niej cała krew, jakby w ucieczce przed nieubłaganą precyzją tego, co właśnie usłyszał.

- Mam mówić dalej? - zapytała z zimnym uśmiechem. Pochodnię trzymała wysoko, żeby Blaise wyraźnie ją widział. W głosie kapłanki pojawiła się nowa nuta, przywodząca na myśl bezlitosną radość czerpaną z władzy. - Nie kochasz jej. Tylko nienawidzisz brata i ojca. Matkę za to, że umarła. Może trochę siebie. Chcesz usłyszeć więcej? Mam ci teraz przepowiedzieć przyszłość, jak jakaś starucha na Jesiennym Jarmarku?

Nie była stara. Była wysoka i przystojna, chociaż już nie młoda - ciemne włosy miała przyprószone siwizną. Wiedziała o rzeczach, o których nie powinien wiedzieć nikt na świecie.

- Nie! - udało się wykrztusić Blaise'owi. - Nie rób tego!

Bał się jej śmiechu, jej szyderczego głosu, lecz kapłanka milczała; otaczający ich las

ogarnęła cisza. Blaise uświadomił sobie poniewczasie, że nawet pochodnia płonie bezdźwięcznie. Sowa nagle uniosła skrzydła, jakby chciała się zerwać do lotu, lecz tylko usadowiła się wygodnie na ramieniu kobiety.

- Odejdź zatem - rzekła najwyższa kapłanka Rian z łagodną nutą w głosie. - Pozwoliliśmy wam zabrać człowieka, po którego przybyliście. Zabierzcie go i odejdźcie.

Blaise wiedział, że powinien się odwrócić. Powinien zrobić, co mu kazała. Rozgrywało się tu coś, czego żadną miarą nie potrafił pojąć.

- Luth - powiedział stanowczo. - Co się z nim stanie?

Rozległ się dziwny, świszczący dźwięk. Blaise uświadomił sobie, że wydał go ptak.

- Jego bijące serce zostanie wycięte i zjedzone - odparła kapłanka beznamiętnym tonem. - Jego kości zostaną obdarte ze skóry, a ciało ugotowane w bardzo starej kadzi i pokrojone na kawałki. Posłuży do wrózenia.

Blaise poczuł mdłości, a skóra ścierpła mu z przerażenia i obrzydzenia; mimowolnie cofnął się o krok. I usłyszał jej śmiech. Brzmiało w nim prawdziwe rozbawienie.

- Doprawdy - rzekła kapłanka - nie sądziłam, że jestem aż tak przekonująca. - Pokręciła głową. - Jak bardzo jesteśmy według ciebie okrutni? Zabrałeś nam żywego człowieka, my zabieramy żywego człowieka tobie. Zostanie namaszczony na sługę Rian i przeznaczony do służby bogini na jej wyspie jako zadośćuczynienie za swoje i wasze przewinienia. Chyba sam wiesz, że i tak jest bardziej duchownym niż coranem. Powiedziałam prawdę, przybyszu z północy: pozwoliliśmy wam na to. Zapewniam cię, że byłoby inaczej, gdybyśmy podjęli inną decyzję.

Czując falę ulgi, spływającą na niego niczym strumień wody, Blaise zwalczył nagłą, dziwną chęć ukłęknięcia przed tą kobietą, przed tym wcielonym głosem bogini, której nie czcili jego krajanie.

- Dziękuję - powiedział chrapliwym głosem.

- Bardzo proszę - odparła niemal nonszalancko. Zamilkła, jakby coś ważyła w myślach. Sowa na jej ramieniu tkwiła bez ruchu, wpatrzona w niego nieruchomym wzrokiem. - Nie ceń zbyt wysoko swojej mocy, Blaise. Tego, co się tej nocy wydarzyło.

Zamrugął, zdumiony.

- O czym mówisz?

- Na tej wyspie stoisz w samym sercu naszej siły. Oddalając się od niej albo od tej drugiej wyspy na jeziorze w głębi lądu, stajemy się coraz słabsi. Rian nie zna ograniczeń, lecz jej śmiertelne sługi im podlegają. Ja im podlegam. A bogini nigdy do niczego nie można zmusić.

Utknęła zasłonę z mocy, magii i tajemnicy, a teraz ją unosiła, by Blaise mógł za nią

zajrzeć. I nazwała go po imieniu.

- Dlaczego? - zapytał. - Dlaczego mi to mówisz?

Uśmiechnęła się niemal ze smutkiem.

- Podejrzewam, że przyczyna tkwi w mojej rodzinie. Ojciec miał skłonność do ryzyka, jeśli chodzi o obdarzanie ludzi zaufaniem. Ja to chyba po nim odziedziczyłam. Być może będziemy się w nieodległej przyszłości nawzajem potrzebować.

Usiłując pojąć to wszystko, Blaise zadał jedyne pytanie, jakie umiał wymyślić:

- Kim on był? Twój ojciec?

Pokręciła głową, znów rozbawiona.

- Chcesz przewodzić ludziom w Arbonne, przybyszu z północy. Sądzę, że będziesz musiał się pozbyć goryczy i zacząć bardziej się interesować otaczającym cię światem, chociaż może to być dla ciebie długa droga. Powinieneś się dowiedzieć, kto jest najwyższą kapłanką na Wyspie Rian, zanim tu przybyłeś. Jestem Beatritz de Barbentain, moim ojcem był Guibor, hrabia Arbonne, a matką jest Signe, która teraz nami rządzi. Jestem ostatnim żyjącym ich dzieckiem.

Blaise poczuł się tak, jakby zaraz miał upaść, tak bardzo go to wszystko przytłaczało. Łódka, pomyślał. Stały ład. Bardzo chciał się znaleźć daleko od tego miejsca.

- Idź - rzekła, jakby znów czytała mu w myślach. Nieznacznie uniosła rękę i pochodnia natychmiast zgasła. W nagle zapadłej ciemności Blaise usłyszał ponownie głos kapłanki, mówiącej z mocą: - I jeszcze jedno, Blaisie z Gorhaut. Lekcja dla ciebie, jeśli potrafniesz się jej nauczyć: gniew i nienawiść mają granice, które można osiągnąć zbyt szybko. Rian żąda zapłaty za wszystko, lecz do niej należy także miłość, w jednym z jej najstarszych wcieleń.

Blaise odwrócił się i potknął o korzeń w gęstych cieniach nocy. Wszedł z lasu i blask księżyca powitał niczym błogosławieństwo. Przeciął płaskowyż i przypomniał sobie, by odwiązać linę Maffoura i się nią owinać. Czepiając się skalnych występów, zszedł po urwisku. Łódka wciąż tam była, czekając w pewnej odległości od brzegu. Corani zobaczyli go w świetle wysoko stojącego, bladego księżyca. Zamierzał do nich podpłynąć, niemal gotów na powitanie wstrząsająco zimnych objęć wody, lecz zauważył, że wioślarze wracają po niego, więc zaczekał. Podpłynęli do krawędzi skał; Blaise wszedł do łódki z pomocą Maffoura i Giresse'a. Zauważył, że Evrard z Lussan wciąż jest nieprzytomny, skulony na rufie. Natomiast Vanne siedział wyprostowany na dziobie. Sprawiał wrażenie nieco oszołomionego. Blaise nie był tym zaskoczony.

- Zabrali Lutha - oznajmił, kiedy wszyscy podnieśli na niego wzrok. - Jeden człowiek za jednego człowieka. Nie zrobią mu jednak krzywdy. Powiem wam więcej na lądzie, ale, na

Corannosa, płynmy. Muszę się napić, a przed nami długie wiosłowanie.

Podszedł do swojej ławki i odwiązał linę, którą się okręcił. Maffour znów usiadł obok niego. Ujęli wiosła, bez jednego słowa wycofali się cicho z zatoczki i wiosłując miarowo, obrócili łódkę w stronę lądu, w stronę Arbonne.

Wkrótce - na długo przedtem, nim dotarli do brzegu - z morza na wschodzie wzniosł się rogalik błękitnego księżyca, stanowiąc równowagę dla srebrnego, zachodzącego już na zachodzie i zmieniając światło na niebie, na wodzie i na skałach oraz drzewach wyspy, którą zostawiali za sobą.

## ROZDZIAŁ 2

W niektóre poranki, tak jak dzisiaj, budziła się z poczuciem, że jest zdumiewająco młoda, szczęśliwa, że żyje i widzi powrót wiosny. To krótkotrwałe złudzenie młodości i witalności nie było w gruncie rzeczy niczym dobrym, bo kiedy przemijało - a zawsze przemijało - tym boleśniej uświadamiało jej, że leży sama w szerokim łożu. Zgodnie z dawnym obyczajem dzieliła z Guiborem pokój i łoże aż do samego końca, który nastąpił ponad rok temu. Arbonne zachowywała dla swego hrabiego doroczny post, a ledwie w minionym miesiącu odprawiła obrzędy, czcząc jego pamięć.

Tak naprawdę rok wcale nie trwał długo. Nie jest to dość czasu, żeby móc bez bólu wspominać śmiech w zaciszu prywatności albo talent do publicznych występów, brzmienie głosu, odgłos kroków, błyskotliwość dociekliwego umysłu czy też dobrze znane oznaki rozpalonego pożądania, które potrafiły rozbudzić jej własną namiętność.

Namiętność, która trwała do końca, pomyślała, leżąc samotnie w łóżku, powoli oswajając się z porankiem. Wszystkie ich dzieci już dawno dorosły lub zmarły, w Barbentain pojawiło się całkiem nowe pokolenie dworaków, a młodszy książęta i baronowie przejmowali władzę w warowniach rządzonych niegdyś przez przyjaciół - oraz wrogów - z ich lat młodości i dojrzałości. Miasta-państwa Portezzy miały nowych przywódców, w Gorhaut panował młody król, sprawiający wrażenie lekkomyślnego, a w Valensie daleko na północy rządził także nieprzewidywalny, chociaż niemłody władca. Wszystko na świecie się zmienia, pomyślała. Gracze na planszy, kształt samej planszy. Nawet zasady gry, którą tak długo prowadziła wspólnie z Guiborem przeciwko nim wszystkim.

Podczas minionego roku zdarzały się poranki, kiedy budziła się z poczuciem zgrzybiałości i przenikliwego zimna, zastanawiając się, czy nie przeżyła swoich czasów, czy nie powinna była umrzeć wraz z mężem, którego kochała, nim zaczął się zmieniać otaczający ją świat.

Takie niegodne myśli świadczyły o słabości; widziała to nawet wtedy, gdy się pojawiały, a teraz, kiedy ptaki za oknem witały śpiewem wiosną powracającą do Arbonne, widziała to jeszcze wyraźniej. Zmiana i przemijalność zostały wbudowane w świat stworzony przez Corannosa i Rian. Przyjęła tę prawdę i szczyła się nią całe życie; opłakiwanie jej byłoby płytkie i poniżające.



Wstała z łóżka i stanęła na złocistym dywanie. Natychmiast jedna z dwóch dziewcząt, które spały pod drzwiami jej komnaty, pośpieszyła z poranną szatą. Uśmiechnęła się do młódki, włożyła szatę i podeszła do okna. Sama je odsłoniła na widok wschodzącego słońca.

Zamek Barbentain leżał na rzecznej wyspie, tak więc poniżej rumowiska głazów i groźnych urwisk strzegących zamku widziała lśnienie rzeki, toczącej wezbrane, wiosenne wody na południe przez winnice, lasy i pola uprawne, mijającej po drodze miasta, osady i samotne pasterskie szałas, zamki, świątynie i dopływy, by w końcu dotrzeć do Tavernel i wpaść do morza.

Rzeki Arbonne płynącej przez krainę, która od niej wzięła nazwę - przez ciepłe, umiłowane, zawsze upragnione południe, opiewane przez trubadurów i żonglerów, głośnie w znanym świecie z urodzajności i kultury oraz urody i wdzięku kobiet.

A z owych kobiet ona sama w utraconych dniach młodości i ognia była najważniejsza. Te noce pełne muzyki i rozmaitych odcieni władzy w każdym jej spojrzeniu i uniesieniu brwi, kiedy świece rzucały ciepły blask na srebro, złoto i skrzące się towarzystwo, kiedy pieśni zawsze mówiły o miłości i niemal zawsze o miłości do niej.

Signe de Barbentain, hrabina Arbonne, stała w wiosenny poranek przy oknie sypialni i patrzyła na lśniąca od słonecznego światła rzekę krainy, którą rządziła, a dwie inne kobiety obecne w pokoju, przygotowujące się do spełnienia jej życzeń, były o wiele za młode, by mieć choćby nadzieję na zrozumienie uśmiechu, który przebiegł przez jej twarz.

Właściwie bez żadnego wyczuwalnego powodu Signe myślała o córce. Nie o Beatritz, dzierżącej władzę w jej własnym królestwie na leżącej na morzu Wyspie Rian; swoim ostatnim żyjącym dziecku, lecz o Aelis, nieżyjącej od tak dawna.

*Nawet ptaki nad jeziorem wiosną*

*Śpiewają o mej miłości*

*I nawet kwiaty na brzegu*

*Tylko dla niej kwitną i rosą.*

Minęły dwadzieścia dwa, nie, dwadzieścia trzy lata, odkąd młody Bertran de Talair - a był wtedy bardzo młody - napisał dla Aelis te strofy. To niezwykle, ale wciąż je śpiewano mimo tych wszystkich wierszy, które od tamtych czasów napisali trubadurzy, mimo nowych układów rymów, metrum oraz coraz bardziej złożonych harmonii i mód dzisiejszych czasów. Po więcej niż dwóch dekadach w Arbonne nadal można było usłyszeć pieśń Bertrana dla dawno zmarłej Aelis. Zwykle wiosną, pomyślała Signe, i zadała sobie pytanie, czy te

wspomnienia przywołał poranny łańcuch jeszcze sennych skojarzeń. Umysł czasami wyczyniał dziwne rzeczy, a pamięć raniła przynajmniej tak często, jak uzdrawiała czy uśmierzała ból.

Co, jak można było przewidzieć, doprowadziło Signe do wspomnień o samym Bertranie oraz do tego, co podczas tych dwudziestu kilku lat uczyniła mu pamięć i strata, a także nieoczekiwane formy, jakie one przybrały. Zastanawiała się, jakim stałby się mężczyzną, gdyby wydarzenia tego dawno minionego roku potoczyły się inaczej. Chociaż trudny, a właściwie niemożliwy do wyobrażenia był dobry ich obrót. Kiedyś, zupełnie ni stąd, ni zowąd, Guibor powiedział, że najgorszą tragedią Arbonne, jeśli nie dla ludzi, których to bezpośrednio dotyczyło, okazała się śmierć Girarta de Talair: gdyby brat Bertrana utrzymał tytuł księcia i spłodził spadkobierców, to młodszy syn, trubadur, nie doszedłby do władzy w Talair i być może wrogość dwóch dumnych zamków położonych w okolicach jeziora nie stałaby się tak wielkim problemem Arbonne.

Pobożne życzenia, pomyślała Signe. Kusząco łatwo było myśleć - w zimowy wieczór przy kominku lub wśród brzęczenia pszczoł i woni letnich ziół w zamkowym ogrodzie - o zmarłych, wyobrażać sobie, że wciąż żyją, że mogliby zmienić bieg rzeczy. Robiła to cały czas: z utraconymi synami, z Aelis i z samym Guiborem, od kiedy odszedł. Nie był to dobry kierunek myśli, chociaż zapewne nieunikniony. „Pamięć”, napisał kiedyś Anselme z Cauvas, „żniwo i udręka mych dni”.

Wracając myślami do teraźniejszości, uświadomiła sobie, że nie widziała się z Bertranem już od pewnego czasu, a jeszcze więcej minęło go od ostatniej wizyty w Barbentain Urtégo de Miraval. Podczas trwania dorocznego postu po śmierci Guibora obaj przysłali wiadomości i swoich zastępców - Urté swego zarządcę, Bertran swego kuzyna, Valery'ego. Zdaje się, że wśród ich coranów doszło wówczas do zabójstwa - nie było to między Miraval i Talair wydarzenie niezwykle - i obaj książęta nie mogli bądź nie mieli ochoty opuszczać swych zamków, nawet by opłakiwać zmarłego hrabię.

Signe zastanawiała się, nie po raz pierwszy w minionym miesiącu, czy powinna była im rozkazać, by się stawili. Wiedziała, że przybyliby - Bertran roześmiany i ironiczny, Urté ponuro posłuszny - a podczas wszystkich uroczystości staliby tak daleko od siebie, jak pozwalałaby im na to godność i wspólna wysoka pozycja.

Jakoś nie miała ochoty wydawać takiego rozkazu, chociaż Roban ją do tego namawiał. Kanclerz upatrywał w tej sytuacji okazję do publicznego okazania władzy nad skłóconymi książętami i baronami Arbonne; Signe zyskałaby na prestiżu, gdyby udało się jej przywołać do porządku dwóch największych wielmożów. Roban powiedział, że należy to zrobić na

początku jej panowania, zwłaszcza zważywszy na wydarzenia rozgrywające się na północy po podpisaniu traktatu pokojowego przez Gorhaut i Valensę.

Prawie na pewno miał rację; Signe o tym wiedziała, szczególnie w kwestii konieczności wysłania wyraźnego sygnału do króla Gorhaut i jego doradców. Jakoś jednak nie przemawiał do niej pomysł wykorzystania dorocznego postu ku pamięci Guibora - a już na pewno nie pierwszego - w tak otwarcie polityczny sposób. Czy nie wolno jej choć ten jeden raz wspominać męża w towarzystwie tylko tych, którzy z własnej woli przybyli w tym celu do Barbentain i Lussan? Byli to Ariane i Thierry de Carenu, Gaufroy de Ravenc i jego młoda żona, Arnaut i Richilde de Malmont, jej siostra i szwagier, niemal ostatni, wraz z Urtém, z ich pokolenia wciąż rządzącego w wielkich zamkach. Przybyli oni wszyscy, a wraz z nimi właściwie wszyscy pomniejsi książęta i baronowie oraz głęboko wzruszająca liczba pozostałych mieszkańców Arbonne: bezrolni corani, miejscy rzemieślnicy, bracia boga oraz kapłani i kapłanki Rian, rolnicy z ziem uprawnych, rybacy znad morza, pasterze ze wzgórz sąsiadujących z Götzlandem i Arimondą czy ze zboczy północnych gór, zatrzymujących wiatry wiejące z Gorhaut, woźnice, kowale i kołodzieje, młynarze i kupcy z kilku różnych miast, a nawet grupa młodzieńców z uniwersytetu - chociaż niezdyscyplinowani studenci z Tavernel słynęli z legendarnej niechęci do wszelkiej władzy.

W Barbentain stawili się wszyscy trubadurzy.

To wzruszyło ją najbardziej. Jeśli spodziewano się obecności samego Bertrana de Talair, to przybyli wszyscy trubadurzy Arbonne i wszyscy żonglerzy, by razem wspominać swego pana, zaprezentować nowe pieśni żałobne i komponować słodką, smutną muzykę na doroczny post po jego śmierci. Przez trzy dni zamek rozbrzmiewał poezją i muzyką, a w dużej mierze tworzono je z rzadkim artyzmem i płynęły one z serca.

Będąc w takim nastroju, dzieląc go z tak wieloma osobami, które przybyły z własnej woli w duchu wspólnego smutku i wspomnień, Signe czuła głęboką niechęć do zmuszania kogokolwiek, nawet dwóch najpotężniejszych - a zatem najniebezpieczniejszych - ludzi swej krainy do uczestnictwa w uroczystościach. Jak można ją było winić za to, że chciała, by duch dorocznego postu i jego obrzędów pozostał nieskażony długim zatargiem między Miraval i Talair?

Problem oraz powód, dla którego wciąż rozpamiętywała tę sytuację, tkwił w tym, że wiedziała, jak postąpiłby na jej miejscu Guibor IV, hrabia Arbonne. W razie jakiegokolwiek podobnego wydarzenia, czy to żałoby, czy radosnego święta, jej mąż, w słowach niedopuszczających najmniejszych wątpliwości, zażądałby, żeby obaj stawili się przed jego obliczem w samym Barbentain lub w świątyniach boga czy bogini w nadrzecznym mieście

Lussan.

Z drugiej strony, pomyślała Signe, a uśmiech na jej wciąż pięknej twarzy niemal niezauważalnie się poszerzył, gdyby to ją oplakiwano zamiast Guibora, Bertran de Talair pojawiłby się na dorocznym poście wraz z innymi w Barbentain, choćby brał udział w waśni rodowej, choćby wylała rzeka, wybuchł pożar albo zaraza zaatakowała winogrona. Pojawiłby się. Wiedziała to. Był tak samo trubadurem jak kimkolwiek innym, to Signe de Barbentain dała początek Dworowi Miłości i dzięki własnej osobowości ukształtowała pełen wdzięku i elegancji świat, w którym mogli kwitnąć poeci i śpiewacy.

Być może jej córka Aelis rozbudziła namiętność Bertrana i zainspirowała jego młodzieńczą wiosenną pieśń, wciąż śpiewaną po ponad dwudziestu latach; być może jej siostrzenica Ariane jest teraz królową Dworu Miłości, lecz to na cześć Signe dwudziestu liczących się trubadurów i co najmniej dwa razy tylu, którzy się nie liczyli, napisało w uniesieniu, z żarem, ponad sto wierszy, a każda pieśń stworzona dla każdej szlachetnie urodzonej kobiety w Arbonne była, przynajmniej częściowo, pieśnią dla niej.

Lecz to niegodne myśli, stwierdziła cierpko w duchu, kręcąc głową. Oznaka starości, małostkowości, takie współzawodnictwo - nawet w duchu - z Ariane i innymi damami Arbonne, nawet z własną, od dawna nieżyjącą córką. Zadała sobie pytanie, czy czuje się niekochana, i uznała, że jest w tym pewna prawda. Guibor nie żyje. Teraz ona rządzi dworem świata, nie udawanym, stylizowanym dworem nazwanym od imienia miłości i zajmującym się jej niuansami. Istniały różnice, wielkie różnice, które zmieniły, i to bynajmniej nie subtelnie, sposób, w jaki obchodził się z nią świat, a ona ze światem.

Powinna była rozkazać, by obaj książęta pojawili się w zeszłym miesiącu; Roban jak zwykle miał rację. I być może nawet dobrze by jej zrobił, w zwykły, dziwny, nieco bolesny sposób, widok Bertrana. Tak czy owak nie było mądrze zbyt długo zostawiać go samemu sobie bez przypomnienia, że go obserwuje i spodziewa się po nim pewnych zachowań. Nikt z żyjących nie mógł zgodnie z prawdą twierdzić, że wywiera duży wpływ na księcia Talair i na jego decyzje, lecz Signe sądziła, że niejaki wpływ na niego ma. Nie duży, ale niejaki, z wielu powodów, większość których zrodziła się dwadzieścia trzy lata wcześniej.

Podobno przebywał teraz akurat w zamku Baude, położonym wysoko wśród południowo-zachodnich wzgórz. Na razie sytuacja między Talair i Miraval się ustabilizowała, a Signe domyślała się, jak bardzo historia Evrarda z Lussan i Soresiny de Baude pociągała Bertrana, wечно żadnego podobnych sensacji.

To jednak była smakowita plotka. Beatritz już - przysłała prywatną wiadomość o porwaniu poszkodowanego poety z Wyspy Rian przez Mallina de Baude. Signe wiedziała, że

te wieści powinny ją oburzyć - a już na pewno powinna być oburzona Beatritz - lecz w przebiegu owych wydarzeń było coś niesłychanie zabawnego, a w chwili gdy pojawili się corani i uprowadzili poetę, ten już wyraźnie stawał się nieco uprzykrzonym gościem na wyspie.

Co prawda żaden z tych szczegółów nie dotarł do uszu większości mieszkańców Arbonne. Mallin raczej wołałby, żeby się nie rozniosła wieść o jego bezbożności - i niewątpliwie dlatego sam nie dowodził misją - a do Evrarda z Lussan chyba nie przemawiał publiczny wizerunek jego osoby pozbawionej przytomności i przyniesionej jak worek mąki do zamku, z którego uciekł tak bardzo urażony.

Z drugiej strony, opowieść o bardzo publicznej skruszce Soresiny i powitaniu, jakie na klęczkach i z otwartymi ramionami zgotowała poecie, z pewnością krążyła już po zamkach i miastach. Tę część opowieści Evrard na pewno będzie się starał jak najbardziej rozdmuchać. Signe się zastanawiała, czy w końcu przespał się z tą kobietą. To było możliwe, lecz nie miało większego znaczenia. W gruncie rzeczy, choć to nieprawdopodobne, wyglądało na to, że wszyscy uczestnicy tej afery mogą z niej wyjść zadowoleni.

Jednakże ta optymistyczna myśl z pewnością nie miała wpływu na nastroje i kaprysy en Bertrana de Talair, który z sobie tylko znanych powodów zaszczycał swoją obecnością niewątpliwie przytłoczoną tym młodą parę z zamku Baude. O Mallinie de Baude mówiono, że ma niejaki ambicje; chciał się piąć w świecie, poruszać w kręgach jego wielkich, a nie pozostawać niczym orzeł w klatce na szczycie swej góry, wśród owiec, kóz i drzewek oliwnych, rosnących na tarasowatych zboczach rodzinnych posiadłości. Cóż, przynajmniej jeden z wielkich tego świata przybył teraz do niego. Mallin zapewne miał wkrótce odkryć niektóre z konsekwencji swoich marzeń.

Signe pokręciła głową. Nie miała wątpliwości, że zadziałała tu odrobina szaleństwa. Bertran często podejmował co dziksze eskapady wiosną; uświadomiła to sobie już dawno. Z drugiej strony uznała, że lepiej, by zajął się tym, co go przyciągnęło na te wysokie pastwiska w pobliżu przełęczy prowadzących do Arimondy, niż sprawami zabójstw z początku roku.

W każdym razie nie miała czasu, by rozmyślać o takich sprawach. Teraz Dworem Miłości rządziła Ariane. Signe musiała poświęcać uwagę Gorhaut, niebezpiecznemu traktatowi podpisanemu na północy i wieloma innymi kwestiami. I teraz musiała to robić sama, mając za przewodnika po coraz węższych ścieżkach władzy politycznej jedynie wspomnienie - „żniwo i udrękę moich dni” - głosu Guibora.

Wśród młodszych trubadurów i szlachciców narodziła się nowa moda - Signe nawet pomyślała, że Ariane może się ona spodobać: pisali teraz i mówili, że miłość żony do męża

jest oznaką złego wychowania, dowodem złego smaku, jeśli nie czymś w ogóle niemożliwym. Że prawdziwa miłość musi swobodnie wypływać z dobrowolnych wyborów, a jeśli chodzi o mężczyzn i kobiety w znanym trubadurom społeczeństwie, małżeństwo nigdy nie może być kwestią takiego wolnego wyboru.

Świat się zmieniał. Guibor śmiałyby się wraz z nią z tej nowej fanaberii i powiedziała, co dokładnie o niej myśli. Potem może wzięłyby Signe w ramiona, a ona mogłaby spleść dłonie w jego włosach, i w ich prywatnym, zaczarowanym, teraz przerwany, kręgu miłości udowodniliby młodemu, że, podobnie jak w wielu innych sprawach, nie mają racji.

Odwróciła się od okna, od widoku płynącej w dole rzeki, od wspomnień, i skinęła głową dwóm młódkom. Czas się ubrać i zejść na dół, gdzie zapewne już czeka Roban ze wszystkimi potrzebami terażniejszości, władczo domagającymi się jej uwagi, zatapiając - jakby wodami wezbranej rzeki - utracone, szemrzące głosy przeszłości.

\*\*\*

W miejscu, które wybrał na pełnienie warty, oczywiście było ciemno, chociaż w ścianach klatki schodowej tkwiły uchwyty na pochodnie. Zapalanie ich byłoby marnotrawstwem, bo po zapadnięciu nocy nikt nie powinien wchodzić po tych schodach.

Blaise usadowił się na jednej z ławek w wykuszu okiennym przy podeście pierwszego piętra. Widział schody i mógł usłyszeć każde na nich poruszenie, samemu będąc ukrytym przed wzrokiem wchodzącego. Niektórzy woleliby tu na straży być widoczni, oświetleni blaskiem pochodni i przez samą widomą obecność odstraszać każdego, kto by się choć zastanawiał nad wejściem na schody. Blaise nie myślał w ten sposób: według niego lepiej było takie zamysły demaskować. Jeśli ktoś planował zbliżyć się do komnat Soresiny de Baude, Blaise chciał, by tego spróbował, żeby można było zobaczyć, kto to jest.

Zresztą doskonale wiedział, kto mógłby spróbować dostać się tej nocy do Soresiny. Wiedział to też Mallin de Baude i właśnie dlatego Blaise tkwił tu na straży, a Hirnan, równie zaufany, równie dyskretny, znajdował się na zewnątrz murów pod oknem baronowej.

Bertran de Talair miał dwudziestoletnią reputację nadzwyczaj stanowczego i pomysłowego uwodziciela. A także uwodziciela skutecznego. Blaise nie miał wątpliwości, że gdyby księciu-trubadurowi z Talair jednak udało się dotrzeć do łóżka Soresiny, to spotkałby się z zupełnie odmiennym przyjęciem niż Evrard z Lussan na początku roku.

Blaise skrzywił się na tę myśl i odchylił do tyłu, kładąc obute stopy na ławce naprzeciw. Wiedział, że niemądrze jest podczas nocnej warty sadowić się zbyt wygodnie, lecz był do tego przyzwyczajony i nie sądził, by miał zasnąć. W swoim życiu pełnił nocną straż w wielu

miejskach, łącznie z kobiecymi pokojami w niejednym zamku. Pilnowanie kobiet, właściwie więzienie ich na noc, stanowiło część zwykłego życia w Gorhaut. Tam nie istniał nawet ślad tego wywrotowego arbońskiego zwyczaju, wedle którego poeci zalecali się do kobiet tej krainy i je wysławiali. Panowie Gorhaut umieli chronić to, co do nich należy.

Blaise odczuł starannie skrywane zadowolenie, kiedy Mallin de Baude, po tygodniu obserwowania, jak ich bardzo dostojny i równie osławiony gość czaruje jego żonę, poprosił swego najemnika z północy, by dyskretnie zapewnił ochronę komnat Soresiny podczas ostatniej nocy en Bertrana w zamku Baude. Łysiejący, wymięty poeta, taki jak Evrard, to jedno, lecz najstynniejszy szlachcic w Arbonne to zupełnie co innego. Zachowanie Soresiny przez kilka ostatnich dni stanowiło wystarczający tego dowód.

Blaise przyjął zadanie bez słowa komentarza czy drgnienia powieki i polecił Hirnanowi zająć stanowisko pod murem. Szczerze mówiąc, lubił Mallina de Baude i miałby o nim gorsze zdanie, gdyby baron był nieświadom albo obojętny na niuanse sytuacji, jakie powstały po przybyciu de Talaira wkrótce po ponownym odjeździe Evrarda.

Co niezwykle, a nawet zabawne, wydawało się, że po wyprawie na Wyspę Rian wszyscy na zamku Baude są zadowoleni. Częściowo dlatego, że właściwie nikt o niej nie wiedział. Mieszkańcy zamku i jego okolic wiedzieli tylko tyle, że Evrard z Lussan zastanowił się nad swoim położeniem i wrócił do zamku dobrowolnie i chętnie, pod eskortą najlepszych ludzi Mallina oraz najemnika z północy, który w tym sezonie nimi dowodził i ich szkolił. Nie musieli wiedzieć niczego więcej, co Mallin wielokrotnie podkreślał w rozmowach z Blaisem i coranami.

Hirnan i Maffour, którzy najwyraźniej znali babkę Lutha, otrzymali zadanie powiadomienia jej, co się stało z nieszczęsnym coranem. Kiedy wrócili, Maffour szczyrzył zęby w krzywym uśmiechu, a Hirnan kręcił ze zdumieniem swą wielką głową: kobieta nie tylko nie zmartwiła się utratą wnuka, lecz była wieściami zachwycona. Obu coranom powiedziała, że przed wielu laty miała proroczy sen, w którym jej wnuk służył bogini na Wyspie Rian. Usłyszawszy o tym, Blaise uniósł z niedowierzaniem brwi; najwyraźniej jeszcze długo nie będzie w stanie zrozumieć mieszkańców Arbonne. Co prawda postawa kobiety okazała się użyteczna - głośnie oburzenie z powodu poniesionej straty byłoby krępujące.

Tymczasem publiczne przyjęcie marnotrawnego poety przez Soresinę było niemal wzruszająco emocjonalne.

„Ma w sobie coś z aktorki”, szepnął oschle Maffour do Blaise’a; stali wtedy z boku zamkowego dziedzińca i patrzyli, jak młoda baronowa klęka, a potem wstaje i wita trubadura

dwoma pocałunkami w policzki i trzecim w usta.

- Wszystkie to mają - szepnął półgębkiem Blaise.

Mimo wszystko on też był tego ranka dość zadowolony; to uczucie towarzyszyło mu i później, kiedy stało się jasne, że chociaż Evrard nie zamierza pozostać na dłużej w zamku Baude - tak naprawdę nikt tego nie chciał - to najwyraźniej przyjął swoje porwanie z pogodą ducha, pasującą do nastroju Mallina.

Poeta przedstawił jeden szybko ułożony wiersz składający się z wymyślnie połączonych obrazów, opisujących wyłanianie się z ciemnej jaskini i dążenie w górę ku poświacie, która okazuje się blaskiem bijącym od Soresiny de Baude. Evrard posłużył się oczywiście innym imieniem, ale tym, którego używał stale. Wszyscy wiedzieli, kim jest ta kobieta. Wszyscy byli zadowoleni.

Trubadur wyjechał z Baude pod koniec tygodnia z brzęczącą sakiewką, z podbudowanym poczuciem własnej wartości oraz znacznie podreperowaną reputacją. Nikt w Arbonne nie miał się dowiedzieć, co dokładnie zaszło w tym odległym górskim zamku, lecz było oczywiste, że baron i jego żona w jakiś sposób nakłonili Evrarda z Lussan do powrotu i że hojnie go wynagrodzili za pobłażliwość wobec ich wcześniejszych błędów. Dzięki temu enigmatycznemu rozwojowi wypadków między innymi lekko wzmocniła się władza trubadurów, zarówno osobista, jak i wywierana za pośrednictwem ich satyr i panegiryków. To się Blaise'owi niezbyt podobało, lecz nic nie mógł na to poradzić, a zresztą i tak to nie była jego ojczyzna. Powiedział sobie, że nie powinno mieć dlań znaczenia, jakie szaleństwa podejmuje lub kontynuuje Arbonne.

Przez cały tydzień corani Baude zakładali się między sobą - chociaż zakłady te miały pozostać nierozstrzygnięte - jak daleko Soresina posunęła się w swojej skrusze lub raczej jak daleko pozwoliła się posunąć poecie. Blaise, który w poranek odjazdu Evrarda badawczo się przyglądał im obojgu, był pewien, że nie wydarzyło się nic niestosownego, lecz nie należało to do spraw, o które się zakładał lub o których mówił, zatem zachowywał spokój. W tym miesiącu przyjął co prawda dodatkową sakiewkę od Mallina; baron tak się przejął swoim nowym stylem szlachetnej szczodrości, że Blaise spędził część poranka na rachunkach i zastanawianiu się, jak długo Mallin będzie w stanie prowadzić takie życie. Czy to w Arbonne, czy gdziekolwiek indziej, wysoka pozycja w szlacheckiej hierarchii nie kosztowała mało. Blaise się zastanawiał, czy baron naprawdę rozumie wszystkie konsekwencje, jakie może za sobą pociągnąć jego dążenie do osiągnięcia statusu w świecie.

A potem, jakieś dziesięć dni po wyjeździe Evrarda, pojawiła się jedna z bardziej bezpośrednich konsekwencji, poprzedzona przybyciem posłańca z wiadomością, która



sprowadziła na zamek Baude chaos przygotowań.

\*

Blaise przesunął się odrobinę na kamiennej ławce u szczytu ciemnych schodów. Miło było, pomyślał, mieć tu na górze kubek wina. Co prawda, pełniąc wartę, nigdy sobie nie pozwalał na taką przyjemność. Znał przynajmniej dwóch ludzi, którzy umarli pijani we śnie, kiedy powinni czuwać. Tak się składało, że jednego z tych dwóch zabił osobiście.

W zamku panowała cisza. Blaise czuł się bardzo samotny i oddalony od domu. Było to niezwykle uczucie - dom od dawna niewiele już dla niego znaczył. Ludzie jednak wciąż się dla niego liczyli, a tu nie miał jeszcze tak naprawdę żadnego przyjaciela ani nadziei, że w czasie, jaki wyznaczył sobie na pobyt w zamku Baude, ktoś się z nim zaprzyjaźni. Zastanawiał się, gdzie tej nocy przebywa Rudel, w jakim kraju, w jakiej części świata. Myśli o przyjacielu przypomniały mu miasta Portezzy i - być może to było nieuniknione w nocnej ciszy przed komnatą kobiety - Lucianne. Blaise pokręcił głową. Kobiety, pomyślał. Czy od początku świata urodziła się chociaż jedna, której można by zaufać?

A ta myśl mogła, gdyby na to pozwolił, zaprowadzić jego wspomnienia prosto do domu, do brata i jego żony i tego ostatniego razu - o czym jakimś sposobem wiedziała najwyższa kapłanka Rian - kiedy leżał z kobietą w miłosnym uścisku. Albo może nie miłosnym? To niesamowite, ale kapłanka o tym też wiedziała. Tamtej nocy w lesie czuł się szokująco otwarty i odsłonięty przed jej ślepotą, a potem niezbyt dumny z tego, co w nim ujrzała. Zastanawiał się, czy potrafiła zajrzeć tak głęboko, by sięgnąć do korzeni i źródeł i zrozumieć, dlaczego mężczyźni - i kobiety - robią to, co robią.

Blaise zadał sobie pytanie, czy on sam tak naprawdę rozumie takie wydarzenia, beznadziejną próbę powrotu do domu przed czterema miesiącami. Kiedy żegnał się z Rudelem na Przełęczy Götzlandu, by po raz pierwszy od niemal roku wrócić do Gorhaut i rodzinnego domu, sądził, że powoduje nim czysty impuls. Czym jest kraj, czym jest dom? Wyjrzał przez wąski otwór strzelnicy. Błękitny księżyc stał wysoko na niebie; był niemal w pełni. W Gorhaut nazywali go „Escoran” - „córa boga” - lecz tutaj błękitny księżyc nazywano „Riannon” na cześć bogini. W nadawaniu takich imion tkwiła władza, wybór sojuszu. Ale bez względu na to, jak postanowili go nazywać śmiertelnicy, księżyc, który rzucał swój dziwny, ulotny blask na ziemię leżące na wschód od zamku, był ten sam, prawda?

Blady Vidonne - który wszędzie nosił tę samą nazwę - miał jeszcze jakiś czas do wschodu. Jeśli ktoś rzeczywiście chciałby się zakraść z zewnątrz, wspiawszy się do okna, to powinien to zrobić dość szybko, w gęstszych cieniach, dopóki błękitny księżyc był sam. Noc

była ciepła, co cieszyło Blaise'a ze względu na czuwającego na dworze Hirnana. Było w najwyższym stopniu nieprawdopodobne, by ktokolwiek przy zdrowych zmysłach usiłował wspiąć się po zewnętrznym murze zamku, by dokonać aktu uwiedzenia, ale skoro zostali już wyznaczeni jako wartownicy, to równie dobrze mogą swój obowiązek wypełnić porządnie. Blaise miał takie podejście już jako chłopiec, a nic w wieku męskim nie podsunęło mu powodu do zmiany postawy.

Oczywiście nie widział Hirnana, lecz światło księżyca ukazywało odległe wzgórza, pola, na których wkrótce miała zakwitnąć lawenda, i krętą drogę, wspinającą się od nich do zamku. Jeśli nie będzie uważał, to lawenda znów przypomni mu Lucianne. Blaise z rozmysłem skierował myśli ku powierzonymu zadaniu, ku miejscu, w którym się znajdował, i tej sprawie Bertrana de Talair ze wszystkimi jej konsekwencjami.

\*

Jasnego, wietrznego poranka przed siedmioma dniami, kiedy wiosna zawitała już w pełni i w słońcu lśniły pierwsze polne kwiaty, niczym wielobarwny dywan rozłożony dla gości królewskiej krwi, widziano trzy konie wspinające się okrężną ścieżką do bram zamku. Z murów rozległ się nierówny dźwięk trąbki, bronę podniesiono z niebezpieczną szybkością, co jeden z mężczyzn obsługujących kołowroty niemal przyplącił kalectwem, a Blaise stanął się na dziedzińcu z coranami i większością służących. Dla uhonorowania trójki gości wyjechał im na spotkanie Mallin i Soresina, wspaniale odziani i obwieszani klejnotami (kolejny wielki wydatek; Blaise akurat dokładnie wiedział, ile kosztuje portezzański oblamowany futrem złotogłów).

Blaise ujrzał kasztana, siwka i wspaniałego karosza. Na kasztanie jechał starszawy żongler z harfą i lutnią; barczysty coran w średnim wieku dosiadał siwka ze swobodą nabytą po wielu latach spędzonych w siodle. Między nimi jechał książę Bertran de Talair z wystawioną na słońce i wiatr odkrytą głową, ubrany w brązowy barchan bez żadnych ozdób; przybywał, by złożyć - z niewiadomych powodów - wizytę odpowiednio oszołomionemu młodemu baronostwu z zamku Baude.

Kiedy grupka wjechała na zamkowy dziedzińiec, Blaise, który obserwował wszystko z nieskrywaną ciekawością, spostrzegł, że de Talair jest nieco więcej niż średniego wzrostu, a szczupłą twarz ma zgodnie z arbońską modą gładko wygoloną. Blaise wiedział z rozmów z coranami, że książę liczy sobie niemal czterdzieści pięć lat, ale nie wyglądał na tyle. Jego oczy rzeczywiście były tak błękitne, jak głosiła plotka; ich barwa była niepokojąca nawet z daleka. Na prawym policzku widniała blizna, a włosy obciął niemodnie krótko, co pozwalało

dostrzec, że brakuje mu górnej części prawego ucha.

Chyba większość świata wiedziała, w jaki sposób odniósł te obrażenia i co zrobił wynajętemu zabójcy z Portezzy, który mu je zadał. Tak się składało, że Blaise znał syna tego człowieka. Przed dwoma laty służyli razem przez sezon w Götzlandzie.

W miarę rozwoju wydarzeń w ciągu następnych godzin i dni Blaise szybko pojął, że książę złożył wizytę z przynajmniej trzech powodów. Jednym z nich był najwyraźniej Mallin oraz zakrojona na szeroką skalę, wieloaspektowa próba przeciągnięcia wschodzącego, ambitnego młodego barona na swoją stronę w długotrwałej walce o władzę i prymat w zachodniej części Arbonne, jeśli nie w całym kraju, z Urtém de Miraval. Hirnan i Maffour domyślili się tego na długo przed przybyciem księcia.

Drugim, niemal równie oczywistym wabikiem dla Bertrana była Soresina. En Bertran de Talair, nieżonaty, chociaż na przestrzeni lat związany z nadzwyczajną liczbą kobiet w kilku krajach, najwyraźniej miał nieprzepartą potrzebę osobistego zapoznawania się z urokami każdej słynnej piękności. Wiersze Evrarda z Lussan, jeśli nie sprawiły nic innego, to na pewno zaostrzyły ciekawość księcia.

Nawet Blaise, który jej nie lubił, musiał przyznać, że ostatnio Soresina wyglądał wspaniale, jakby głoszenie jej uroków przez Evrarda w jakiś sposób sprawiło, że jej jasnowłosa uroda dojrzała, ciemne, błyszczące oczy stały się jeszcze bardziej urzekające, a ona sama niemal dorównała rozbudowanym fantazjom poety. Jakakolwiek była tego przyczyna, w tym tygodniu młoda baronowa de Baude miała w sobie coś zapierającego dech w piersiach i nawet mężczyźni, którzy już przez jakiś czas przebywali w zamku, odwracali się z roztargnieniem w stronę odległego pomieszczenia, z którego dobiegał jej podniesiony głos i śmiech, zapominając o biegu własnych myśli.

Blaise spędziłby więcej czasu na zastanawianiu się, w jaki sposób Bertran de Talair zamierza pogodzić zamiar pielęgnowania przyjaźni z Mallinem de Baude z równie płomiennym, choć nieco bardziej dyskretnym uczuciem do ponętnej młodej żony barona, gdyby bardzo szybko się nie okazało, że trzecim powodem obecności księcia wśród nich jest sam Blaise.

Pierwszego wieczoru, po najbardziej wyrafinowanym i kosztownym posiłku, jaki kiedykolwiek widziano na zamku Baude - do zupy podano nawet łyżki zamiast zwyczajowych kawałków chleba - Bertran de Talair rozparł się swobodnie obok obojga gospodarzy i przez niemal godzinę słuchał, jak Ramir, jego żongler od ponad dwudziestu lat, śpiewa własne kompozycje księcia. Nie wiadomo, czy sprawiła to sztuka starszawego żonglera, czy Bertrana, ale nawet Blaise, bardzo uprzedzony do takich występów, był

zmuszony przyznać w duchu, że pieśni, których słuchali tego wieczoru, stanowiły klasę całkowicie odmienną od dzieł Evrarda z Lussan.

Mimo to uważał, że pisanie wierszy jest dla szlachcica zajęciem głupim, niemal absurdalnym. Można by to zrozumieć - jeśli się było w tolerancyjnym nastroju - w odniesieniu do Evrarda i jemu podobnych. Poezja i muzyka bowiem najwyraźniej stanowiły w Arbonne jedyną w swoim rodzaju przepustkę dla mężczyzn czy nawet kobiet, którzy inaczej nie mieliby najmniejszej możliwości zdobycia sławy, umiarkowanego bogactwa czy też wstępu do towarzystwa wielkich tego świata. Lecz Bertran de Talair stanowił całkowicie odmienną kwestię - na cóż mogłyby się przydać te wiersze i czas stracony na ich pisanie panu cieszącemu się sławą jednego z najznamienitszych wojowników w sześciu krajach?

To pytanie wciąż dręczyło Blaise'a, mimo że pozwolił sobie na dodatkową porcję wina. Zobaczył, że de Talair przechyla się przez stół, odstawia swój kielich i szepcze coś do ucha Soresinie, która zaczerwieniła się aż po dekolt jasnozielonej sukni. Wtedy Bertran wstał, a żongler Ramir, najwyraźniej czekający na ten sygnał, podniósł się płynnym ruchem ze stołka i podał schodzącemu z podwyższenia de Talairowi swoją harfę. Księżę pił cały wieczór, ale nie było tego po nim znać.

- Sam dla nas zagra - szepnął podniecony Maffour Blaise'owi do ucha. - To rzadkość! Wielki zaszczyt!

Najwyraźniej inni też to sobie uświadomili i w sali rozległ się szmer radosnego wyczekiwania. Blaise się skrzywił i spojrzał na Maffoura z pogardą. Dlaczego znajdujący się w bojowej formie coran tak się ekscytuje czymś tak trywialnym? Zauważył jednak, zerknąwszy na Hirnana, siedzącego z drugiej strony Maffoura, że nawet starszy coran, zwykle tak powściągliwy i flegmatyczny, obserwuje księcia z niezaprzeczanym wyczekiwaniem. Z westchnieniem i odnowionym poczuciem, że jest to beznadziejnie dziwny kraj, Blaise z powrotem się odwrócił. Bertran de Talair już się usadowił przed nim na niskim stołku. Kolejny wiersz miłosny, pomyślał Blaise, który przeżył cały sezon Evrarda i widział spojrzenia, jakie zaczęli wymieniać już podczas posiłku gospodyni i jej szlachetny gość. Tak się składało, że Blaise się mylił.

Zamiast poezji miłosnej Bertran de Talair dał im w górskim zamku, na samym początku lata, wśród świec, klejnotów, jedwabiu i złota, i ustawionych na stołach mis z wczesną lawendą dla zapachu, wojnę.

Wojnę i śmierć w mrozie zimy, topory, miecze i maczugi spadające z brzękiem na żelazo, kwik koni i krzyki ludzi, zacinający śnieg, parę unoszącą się z ust w przejmująco zimnym północnym powietrzu, bladoczerwone zachodzące słońce i chłodne, blade światło Vidonne'a,

wstającego na wschodzie nad polem śmierci.

A Blaise znał to pole.

Walczył tam i omal nie zginął. Daleko na południu, tu, w rządzonej przez kobiety Arbonne, Bertran de Talair śpiewał o Bitwie u Mostu na Iersen, gdzie w ostatnim starciu tego roku armia króla Duergara z Gorhaut odepchnęła najeźdźców z Valensy.

Była to właściwie ostatnia bitwa długiej wojny, bo syn Duergara, Ademar, podpisał z królem Daufriidim z Valensy traktat pokojowy pod koniec zimy, która nastąpiła zaraz potem, kończąc w ten sposób wojnę trwającą przez całe życie Blaise'a. Teraz, pochylony, z dłonią coraz mocniej zaciskającą się na nóżce kielicha, Blaise z Gorhaut słuchał dźwięcznych akordów, fala za falą dobywanych przez Bertrana z harfy niczym fale bitwy, oraz czystego, głębokiego głosu, nieubłaganie zmierzającego do oskarżycielskiego końca pieśni:

*Wstyd zatem wiosną dla dumnego Gorhaut,  
Zdradzonego przez młodego króla i jego doradcę.  
Smutek dla ojców synów poległych,  
Gorycz dla wojowników, co wygrali walkę -  
By ujrzeć, jak łupy zdobyte ich odwagą  
Rozdano i odrzucono jak rozwodnione wino.*

*Wstyd w traktacie, żadnej dumy z pokoju,  
Który darował Ademar pokonanej Valensie.  
Gdzież byli prawdziwi dziedzice tych, co poginęli  
Dla chwały Gorhaut na zamrzłym polu?  
Jak mogli schować do pochew lśniące klingi,  
Odniosłszy tryumf, którego się potem wyzbyli?*

*Jakiż człowiek, którego ojciec ledwie co padł,  
Ruchem pióra niweczy długie marzenie o chwale?  
I jakiż król, wyzbyty honoru jak tchórzliwy Daufriidi,  
Wycofuje się z tego lodem skutego pola, by nie powrócić?  
Gdzie zniknęło męstwo Gorhaut i Valensy,  
Kiedy zarzucili wojnę i sprowadzili wąty pokój*

*Słabi królowie i synowie dawno straceni dla swych rodów?*

Rozległ się ostatni akord, surowy i rozbrzmiewający echem. W sali zapadła cisza, zupełnie inny rodzaj reakcji niż przepełniony wdzięcznością śmiech i brawa, które rozlegały się po wcześniejszych występach zonglera, traktujących o wiośnie i miłości.

W tej ciszy Blaise z Gorhaut zdał sobie boleśnie sprawę z mocnego bicia własnego serca, i to w rytm ostrych akordów księcia. Na tym polu u Mostu na Iersen polegli ludzie, których znał całe życie. Kiedy Duergar, jego król, runął z konia ze strzałą w oku, wykrzykując w bólu imię boga głosem rozbrzmiewającym nad całym polem bitwy, Blaise znajdował się od niego o niecałe bezsilne dwadzieścia kroków, za stertą zamarzniętych ciał.

Pięć miesięcy później syn Duergara, Ademar, teraz panujący w Gorhaut, oraz Galbert, jego główny doradca, najwyższy kapłan Corannosa, wynegocjowali traktat, zgodnie z którym, w zamian za zakładników, złoto i rękę córki Daufridiego, kiedy dojrzeje do zameścia, oddali Valensie wszystkie północne ziemie Gorhaut aż do linii rzeki Iersen. Te same pola i wioski, których Daufridi i jego wojownicy nie umieli zdobyć mieczem w ciągu trzech dekad wojny, zdobyli pół roku później dzięki gładkim słówkom i przebiegłej dyplomacji negocjatorów najętych w Portezzie.

Niedługo potem Blaise z Gorhaut opuścił dom, wybierając się w okrężną drogę przez kilka państw, która rok po zawarciu traktatu sprowadziła go do tej sali w Arbonne.

Jego rozmyślenia zakończyła nagle, niepokojąca świadomość, że Bertran de Talair, który, kiedy rano przedstawiano mu Blaise'a, ledwie skinął mu głową, teraz wpatruje się weń poprzez salę, siedząc na niskim stołku z wdzięcznie wysuniętą nogą. Blaise wyprostował się i spokojnie odpowiedział mu spojrzeniem, zadowolony z osłony, jaką dawała mu broda. Nie chciałby, żeby ktoś poznał w tej chwili jego myśli.

En Bertran przeciągnął cicho palcami po strunach harfy. Nuty, delikatne niczym szkło, niczym kwiaty stojące na stole, zawisły w ciszy panującej w sali. Księżę Talair odezwał się równie cicho, chociaż bardzo wyraźnie:

- Jak sądzisz, przybyszu z północy? Jak długo utrzyma się ten wasz pokój?

Kiedy zabrzmiały te słowa, Blaise ujrzał pewne sprawy w nowym, ostrym świetle, lecz zarazem pojawiły się inne zagadki. Odetchnął ostrożnie, świadom, że wszyscy w wielkiej sali patrzą na niego. W blasku pochodni Bertran miał niesamowicie niebieskie oczy; jego szerokie usta wykrzywił ironiczny uśmiešek.

- To nie mój pokój - rzekł Blaise, starając się mówić jak najswobodniejszym tonem.

- Tak myślałem - stwierdził szybko Bertran z nutą zadowolenia w niedbale brzmiącym głosie, jakby usłyszał więcej, niż Blaise zamierzał powiedzieć. - Nie sądziłem, że przybyłeś tu z miłości do naszej muzyki, czy nawet naszych dam, choć są bardzo piękne.

Mówiąc to, skierował na chwilę spojrzenie błękitnych oczu i uśmiech - nagle wcale nie ironiczny - ku wysokiemu stołowi i siedzącej przy nim jedynej kobiecie. Długimi palcami zaczął znów przebiegać po strunach harfy. Chwilę później książę Talair zaśpiewał, tym razem dokładnie taką pieśń, jakiej Blaise się spodziewał wcześniej. Lecz wtedy coś - i nie był to tylko nastrój tego wieczoru - się już zmieniło i Blaise nie wiedział, jak ma tym razem odpowiedzieć arbońskiemu panu śpiewającemu własną pieśń o chwale, jakiej można szukać w ciemnych oczach kobiety.

\*

Nazajutrz corani z Baude dali pokaz na polach poniżej wioski należącej do zamku, atakując lancami rozchwianą figurę, przypominającą - jak wszędzie indziej - *racoux* z opowieści o duchach dla dzieci i zwieńczoną pobieloną twarzą oraz kruczoczarną czupryną. Mallin ogłosił święto, żeby wieśniacy i robotnicy rolni mogli wraz z mieszkańcami zamku dopingować wojowników. Blaise, umiarkowanie zadowolony ze szkolonych przez siebie ludzi, uważał, by samemu wydać się sprawnym, lecz nie po mistrzowsku. W trzech z czterech podjętych prób trafił włócznią w sam środek niewielkiej tarczy, od czego *racoux* rozkołysał się jak należy na swojej podstawie; za czwartym razem postarał się nie trafić, ale tylko o włos, więc pomysłowo skonstruowany przeciwnik nie obrócił się wokół własnej osi - na co pozwalało mu staranne wyważenie - i nie uderzył go drewnianym mieczem w tył głowy, kiedy Blaise mijał go z grzmiotem kopyt. Nie zachowywać się ostentacyjnie w takiej sytuacji to jedno, a zostać zrzuconym z konia na zakurzoną ziemię to drugie. Blaise pamiętał, że w Gorhaut niektóre *racoux* dzierżyły prawdziwe miecze, z żelaza, a nie drewniane. Kilku ówczesnych towarzyszy nauki Blaise'a otrzymało paskudne cięcia, co oczywiście zwiększało koncentrację, z jaką młodzieńcy doskonalili wojenne umiejętności. Tu, w Arbonne, było po prostu zbyt wiele rozrywek, zbyt wiele innych, delikatniejszych spraw, o których powinien myśleć czy wiedzieć mężczyzna.

Kiedy jednak nadeszła pora zawodów łuczniczych i na strzelnicy pojawił się kuzyn Bertrana Valery, Blaise musiał ponuro przyznać, że chociaż atmosfera Arbonne nie sprzyjała szkoleniu i rozwojowi sztuki wojennej, nie spotkał jeszcze na północy łuczника, który mógłby się równać z tym człowiekiem. Nie mógł się z nim równać nawet jego przyjaciel Rudel z Portezzy. Blaise mógł rywalizować z Valerym z Talair z odległości czterdziestu kroków, a Hirnan dorównywał im obu. Ku wyraźnemu zadowoleniu Mallina obaj dorównywali też gościowi z odległości sześćdziesięciu kroków, lecz kiedy cele odsunięto - wśród głośnych okrzyków rozradowanego tłumu - na osiemdziesiąt kroków, Valery, w żadnym razie

mężczyzna już nie młody, wydawał się nieporuszony tą nową odległością i nadal każdą starannie wycelowaną i gładko wypuszczoną strzałą trafiał w szkarłat. Blaise cieszył się, że wszystkie jego pociski w ogóle trafiały do odległej tarczy, a Hirnanowi, ze straszliwie ściągniętymi brwiami, nie udawało się nawet to. Blaise podejrzewał, że gdyby kuzyn Bertrana zechciał, to trafiałby tak samo celnie na odległość stu kroków, lecz Valery był zbyt uprzejmy, żeby zaproponować taki dystans, i zawody skończyły się na osiemdziesięciu krokach przy brawach dla wszystkich trzech łuczników.

Następnego dnia wybrali się na polowanie. Soresina, odziana w zieleń i brązy niczym jakaś leśna istota z legend, po raz pierwszy polowała z nowym sokołem i, ku jej ślicznie wyrażonej radości, na polu położonym wysoko na północ od zamku ptak zabił tłustego zająca. Później naganiacze wypłaszali roztrzepotane stada corfe i przepiórek. Blaise, obznajomiony z niepisanymi zasadami polowania w takim towarzystwie, uważał, by nie strzelić do niczego, dopóki się nie upewnił, że ani Mallin, ani książę nie mierzą do tego samego celu. Zaczekał, aż obaj szlachcice upolują po kilka ptaków, i dopiero wtedy, pod koniec polowania, pozwolił sobie na dwie przepiórki, zabite szybkimi strzałami wypuszczonymi pod słońce.

Trzeciego wieczoru była burza; takie kataklizmy często nawiedzały latem górskie okolice. Błyskawice rozdzierały niebo niczym białe włócznie Corannosa, a po chwili rozległ się grzmiący głos boga; niedługo potem spadł deszcz. Porywisty wiatr omiatał kamienne mury z potępińczym wyciem i napierał na okienne szyby, jakby chciał się wedrzeć do środka. Jednakże w wielkiej sali zamku Baude płonął ogień na kominku i pochodnie, a okna oparły się deszczowi i wichrowi. Żongler Ramir znów śpiewał, zagłuszając żywoły i tworząc atmosferę ciepła i przytulnej zażyłości. Nawet Blaise musiał przyznać, że czasami, tak jak teraz, muzyka i uwaga poświęcana tu, na południu, fizycznej wygodzie rzeczywiście są cenne. Pomyślał o mieszkańcach osad otaczających zamek, którzy szukali schronienia w rozklekotanych, drewnianych domkach, a potem o sieczonych deszczem pasterzach, pilnujących stad w górach. Położywszy się wcześniej spać, podciągnął pikowaną kołdrę pod brodę i podziękował Corannosowi za drobne wygody.

Poranek po burzy wstał chłodny i nadal wietrzny, jakby gwałtowna noc opóźniła początek lata. Bertran i Valery uparli się, by dołączyć do obsady zamku Baude, która miała przed sobą niewdzięczne, wilgotne, lecz konieczne zadanie, polegające na pojechaniu między wzgórze i udzieleniu pasterzom pomocy w szukaniu owiec barona, rozproszonych przez burzę. Owce i ich wełna stanowiły ekonomiczny fundament aspiracji Mallina de Baude, który nie pozwalał żywić swoim coranom najmniejszych złudzeń, że są ponad wykonywanie jakichkolwiek związanych z tym prac.



Najpierw przez dwie godziny jechali stromymi szlakami na wysoko położone pastwiska, a sama ciężka, niekiedy niebezpieczna praca zajęła większość dnia. Późnym popołudniem Blaise, klnąc z całkowicie według niego uzasadnionych powodów, wygramolił się ze śliskiego wąwozu z wilgotnym, drżącym jagnięciem na rękach, i zobaczył przed sobą Bertrana de Talair, siedzącego wygodnie na trawie, opartego plecami o drzewko oliwne. W zasięgu wzroku nie było nikogo innego.

- Lepiej postaw to maleństwo na ziemi, zanim cię obsika - rzekł pogodnie książę. - Mam arminodzki winiak, jeśli ci to odpowiada.

- Już mnie obsikało - odparł cierpko Blaise, stawiając beczące jagnię na płaskim terenie. - I dziękuję, ale nie, lepiej mi się pracuje z jasnym umysłem.

- Już po pracy. Z tego, co mówi ten twój rudy coran - Hirnan, prawda? - trzy czy cztery owce jakimś cudem wspięły się na ten grzbiet i zeszły w stronę doliny na południe stąd, ale pasterze mogą się nimi zająć bez nas. - Podał Blaise'owi manierkę.

Blaise przykucnął z westchnieniem i poczęstował się alkoholem. To było coś więcej niż jakiś tam arminodzki winiak; wystarczył jeden łyk, by to zauważyć. Blaise oblizał wargi i uniósł brwi.

- Bierzesz seguignac w pościg za owcami?

Inteligentna, młodzieńcza twarz Bertrana de Talair odprężyła się w uśmiechu.

- Widzę, że potrafisz rozpoznać dobry winiak - mruknął ze zwodniczym spokojem. - Następne pytania to: w jaki sposób i dlaczego? Bardzo usilnie starasz się uchodzić za zwykłego młodego najemnika, sprawnego szermierza i łucznika do wynajęcia jak połowa mężczyzn z Götzlandu. Ale ja cię obserwowałem podczas polowania. Mimo kilku dobrych okazji, jak na człowieka, który za każdym razem umie trafić w cel z odległości osiemdziesięciu kroków, ustrzeleńś coś dopiero pod sam koniec. Za bardzo się starałeś, żeby nie zawieść ani Mallina de Baude, ani mnie. Czy wiesz, jaki stąd płynie dla mnie wniosek?

- Nie mam pojęcia - odparł Blaise.

- Owszem, masz. Wniosek jest taki, że przebywałeś na dworze. Zamierzasz mi powiedzieć, kim jesteś, przybyszu z północy?

Starannie kontrolując wyraz twarzy, Blaise oddał zdobną manierkę i usadowił się wygodniej na trawie, grając w ten sposób na zwłokę. Jagnię pało się zadowolone, najwyraźniej zapomniawszy o niedawnym przerażeniu. Mimo natarczywych dzwonek alarmowych, rozlegających mu się w głowie, Blaise był zaintrygowany, a nawet nieco rozbawiony bezpośredniością de Talaira.

- Raczej nie - powiedział szczerze - ale w przeszłości bywałem na niejednym dworze, i w

Götzlandzie, i w Portezzie. Jestem jednak ciekaw, dlaczego moja tożsamość ma dla ciebie znaczenie.

- To proste - stwierdził de Talair. - Chcę cię wynająć, a lubię znać przeszłość ludzi, którzy dla mnie pracują.

To było pod zbyt wieloma względami zbyt szybkie dla Blaise'a.

- Ja już jestem wynajęty - zauważył. - Pamiętasz? Przez Mallina de Baude, takiego młodego barona z Arbonne. Ma ładną żonę.

Bertran się roześmiał. Jagnię uniosło głowę i przez chwilę na nich spoglądało, a potem wróciło do własnych spraw.

- Doprawdy, takimi żartami niweczysz reputację swego kraju - rzekł książę. - Wszyscy wiedzą, że Gorhautczycy nie mają poczucia humoru.

Blaise pozwolił sobie na blady uśmiech.

- To samo mówimy w domu o mieszkańcach Götzlandu. Valensanie śmierdzą rybami i piwem, Portezzanie zawsze kłamią, a Arimondczycy głównie śpią z mężczyznami.

- A co mówicie w domu o Arbonne? - zapytał cicho Bertran de Talair.

Blaise pokręcił głową.

- Od dawna nie spędzałem w domu dużo czasu - powiedział, uchylając się od odpowiedzi na pytanie.

- Od czterech miesięcy - uściślił de Talair. - Tyle sprawdziłem. To znów nie tak długo. Co mówią?

Splótł luźno dłonie na manierce. Promienie popołudniowego słońca oświetlały jego krótkie, kasztanowe włosy. Już się nie uśmiechał.

Blaise też. Patrzył w błękitne oczy, nie mrugnawszy powieką. Po długiej chwili odezwał się w ciszy panującej na górskiej łące:

- Mówią, że rządzi wami kobieta. Że zawsze rządziły wami kobiety. I że Tavernel u ujścia rzeki Arbonne ma najlepszy na świecie naturalny port do przeładunku i handlu.

- A Ademar z Gorhaut, niestety, w ogóle nie ma osłoniętego portu na morzu, jako że jest wciśnięty między Valensę na północy i Arbonne na południu. Co za smutny król. Dlaczego tu jesteś, Blaisie z Gorhaut?

- Szukam szczęścia. Mniejsza w tym tajemnica, niż chciałbyś ją widzieć.

- Niewiele szczęścia znajdziesz, uganiając się wśród tych wzgórz za owcami pomniejszego barona.

Blaise się uśmiechnął.

- To był początek - wyjaśnił. - Pierwszy kontrakt, jaki mi zaproponowano. Szansa

lepszego poznania waszego języka, sprawdzenia, co się może pojawić innego. Istnieją powody, dla których wyniesienie się z portezzańskich miast na jakiś czas wydało mi się dobrym pomysłem.

- Twoje powody? Czy może powody Ademara z Gorhaut? Czy może jakimś przypadkiem pod tą brodą kryje się szpieg, mój zielonooki młodzieńcze z północy?

Zawsze istniała możliwość, że padną takie słowa. Blaise zdziwił się, z jakim spokojem przyjął to jawne oskarżenie. Wyciągnął rękę i de Talair podał mu manierkę z winiakiem. Blaise pociągnął krótki łyk i otarł usta grzbietem dłoni; seguignac był naprawdę doskonały.

- Zaiste, można tu zebrać bardzo ważne informacje - powiedział, nie wiadomo dlaczego czując przyływ dobrego humoru. - Jestem pewien, że Ademar sowicie zapłaci za dokładne policzenie owiec na tych wzgórzach.

Bertran de Talair znów się uśmiechnął i zmienił pozycję; wsparł się na łokciu i wyciągnął przed siebie nogi w długich butach.

- To, jak mówisz, mógłby być tylko początek. Pierwszy krok na drodze do zdobycia naszego zaufania.

- I dlatego, źle strzelając na polowaniu, sprytnie nakłoniłem cię do zaproponowania mi stanowiska? Przypisujesz mi zbyt wiele zalet, panie.

- Być może - odparł de Talair. - Ile ci płaci Mallin?

Blaise wymienił sumę.

Książę wzruszył ramionami.

- Podwoję to. Kiedy możesz zacząć?

- Mam zapłacone jeszcze za dwa tygodnie.

- Doskonale. Będę się ciebie spodziewał w Talair trzy dni później.

Blaise uniósł dłoń.

- Jedno musi być jasne od początku. To samo, co powiedziałem en Mallinowi de Baude. Jestem najemnikiem, nie wasalem. Żadnych przysiąg.

Na twarz Bertrana wrócił leniwy, szydery uśmiech.

- Ależ oczywiście. Nawet nie przyszłoby mi do głowy prosić cię o złożenie jakiegokolwiek przysięgi. Zastanawiam się jednak, co zrobisz, jeśli Ademar wyprawi się na południe? Zabijesz mnie we śnie? Mógłbyś być nie tylko szpiegiem, ale i zabójcą?

Przypadkiem było to bliższe prawdy, niż Blaise by sobie życzył. Pomyślał nagle o najwyższej kapłance Rian na jej wyspie. Spojrzał na swoje dłonie, wspominając Rudela, bezkسیężycową noc w portezzańskiej Faennie, ogród pewnego pałacu w tym niebezpiecznym mieście, świetliki, zapach pomarańczy, sztylet w swojej dłoni.

Powoli pokręcił głową, wracając myślami do Arbonne, do tej wyżyny i niepokojąco spostrzegawczego mężczyzny, który patrzył na niego bystrymi niebieskimi oczyma.

- Nie złożyłem żadnej przysięgi Ademarowi i nie złożę tobie - rzekł ostrożnie i się zawahał. - Naprawdę sądzisz, że mógłby się wyprawić na południe?

- Mógłby? Na święte imię Rian, a po cóż innego zawarł ten pokój z Valensą, który tak bardzo staram się podważyć moimi pieśniami? Sam to powiedziałeś: rządzona przez kobiety Arbonne. Nasz hrabia martwy, w Barbentain starzejąca się kobieta, żadnego oczywistego dziedzica, winnice, pola uprawne i wspaniały port. Mężczyźni, którzy całymi dniami piszą pieśni i niczym niedojrzali chłopcy tęsknią po nocach za chłodną kobiecą dłonią na czole... to oczywiste, że Ademar na nas spadnie.

Blaise poczuł, że zmienia mu się nastrój, że przyjemne zmęczenie po całodniowej ciężkiej pracy znika pod naporem słów jak chmury przeganiane górskim wiatrem.

- Dlaczego więc mnie wynajmujesz? - zapytał. - Dlaczego ryzykujesz?

- Lubię ryzyko - odparł niemal z żalem Bertran de Talair. - Obawiam się, że to moja wada.

Blaise pamiętał, że coś bardzo podobnego powiedziała najwyższa kapłanka.

Bertran znów zmienił pozycję; usiadł i pociągnął ostatni łyk seguignaca, po czym zamknął manierkę.

- Może w końcu polubisz nas bardziej, niż sądzisz, że to możliwe. Może znajdziemy ci tu żonę. Może nawet nauczymy cię śpiewać. Prawda jest taka, że tej wiosny kazałem kogoś zabić, a dobrych ludzi trudno znaleźć, jak, co podejrzewam, sam wiesz. Poprowadzenie udanej wyprawy na Wyspę Rian tak szybko po przybyciu do Arbonne było sporym osiągnięciem.

- Skąd o tym wiesz?

Bertran znów ukazał w uśmiechu zęby, lecz tym razem bez szyderstwa. Blaise miał dziwne poczucie, że potrafi się domyślić, co ten uśmiech mógłby zrobić z kobietą, którą księżę chciałby oczarować.

- Każdy może zabić corfe na polowaniu - ciągnął de Talair, ignorując Pytanie Blaise'a. - Potrzebuję kogoś, kto wie, kiedy tego nie robić. Nawet jeśli nie chce mi powiedzieć, jak się tego nauczył ani kim jest. - Po raz pierwszy się zawahał i odwrócił wzrok od Blaise'a, patrząc ku zachodowi na góry i leżącą za nimi Arimondę. - Poza tym sprawiłeś, że przez ostatnie kilka dni myślę z jakiegoś powodu o moim synu. Nie pytaj, dlaczego. Umarł, będąc niemowlęciem.

Wstał raptownie. Blaise poszedł w jego ślady, teraz poważnie zdezorientowany.

- Nie sądziłem, że się ożeniłeś - powiedział.

- Nie ożeniłem się - odparł niedbale Bertran. - A co, uważasz, że już nadeszła odpowiednia pora? - Wrócił sardoniczny, dystansujący uśmiech. - Na żonę, by nocą grzała moje stare kości, i dzieci, by radowały me serce na starość? Cóż za intrygująca myśl. Omówimy ją po drodze na dół?

Mówiąc to, ruszył w stronę swego konia, więc Blaise był zmuszony zrobić to samo. Tak wysoko i na wietrze zrobiło się zimno, jako że słońce skryło się za szarą masą pędzących chmur. Blaise przypomniał sobie o jagnięciu, obejrzał się i zobaczył, że małeństwo idzie za nimi. Dosiedli koni i ruszyli. Z grani widzieli zgromadzonych poniżej nich Mallina wraz z pozostałymi. Bertran zamachał do nich i obaj jeźdźcy ruszyli w dół. Daleko, za łąką, lasem i czekającymi ludźmi było widać zamek i leżące w jego cieniu pola lawendy.

Po drodze, zanim dołączyli do pozostałych, temat, który poruszył Bertran de Talair, nie miał nic wspólnego z - opóźnionym czy też nie - szczęściem małżeńskim ani z radościami spokojnej starości.

\*

A teraz, co, zależnie od punktu widzenia, było niezwykle lub do przewidzenia, za zakrętem schodów poniżej wykusza, gdzie Blaise trzymał straż, pojawił się bezwstydnym blask świecy.

Nawet cienia ostrożności, pomyślał ponuro najemnik. Usłyszał cichy odgłos zbliżających się kroków. Zgodnie z obietnicą, chociaż na stoku wzgórza Blaise tak naprawdę w nią nie uwierzył.

- Jestem pewien, że w moją ostatnią noc zostaniesz umieszczony na straży przed komnatami baronowej. I tak nie wypuściłbym się na górę wcześniej... zbyt wiele komplikacji, no i tak naprawdę to nie jest przyzwoite - powiedział wtedy Bertran de Talair, zjeżdżając ze wzgórza. - Zaczekam do końca, bo tak zawsze jest najlepiej. Rozumiem, że mogę liczyć na twoją dyskrecję?

Blaise przez dłuższą chwilę musiał opanowywać gniew. Kiedy odpowiedział, postarał się, by jego głos jak najbardziej przypominał swobodny ton księcia.

- Sugerowałbym, żebyś na tym nie polegał. Przyjąłem propozycję służby u ciebie, lecz zaczyna się ona za dwa tygodnie. W tej chwili płaci mi Mallin de Baude i dobrze by było, żebyś o tym pamiętał.

- Cóż za lojalność! - mruknął de Talair, patrząc przed siebie.

Blaise pokręcił głową.

- Profesjonalizm - odparł, zachowując spokój. - Gdybym był znany z dwulicowości, nie byłbym nic wart na rynku wojowników.

- To drobnostka. Z ciemnego korytarza nie wyłoni się nic, co mogłoby zaważyć na czyjejs reputacji, jeśli będziemy o tym wiedzieć tylko my dwaj. - De Talair mówił ze spokojną powagą. - Powiedz mi, przybyszu z północy, chcesz narzucać swoje własne wartości w kwestiach miłości oraz nocy wszystkim spotykanym mężczyznom i kobietom?

- Bynajmniej. Obawiam się jednak, że narzucę je sobie samemu.

Książę zerknął wtedy na niego i się uśmiechnął.

- A zatem za kilka nocy prawdopodobnie odbędziemy interesujące spotkanie.

Znów zamachał do Mallina de Baude w dole i dał koniowi ostrogę, by dołączyć do barona i jego ludzi i razem z nimi wrócić do zamku.

I teraz pojawił się na schodach, nawet nie usiłując niczego udawać czy się ukrywać. Blaise wstał i wyszedł z wykusza na schody. Sprawdził miecz i sztylet u pasa, i czekał, szeroko rozstawivszy nogi. Blask płomienia widoczny za zakrętem schodów stawał się coraz jaśniejszy i wreszcie Blaise ujrzał świecę. Za nią, jakby wkraczając w krąg światła, pojawił się Bertran de Talair, odziany w ciemną czerwień i czerni, okrywającą rozchylną przy szyi białą koszulę.

- Przyszedłem - odezwał się cicho książę, uśmiechając się za płomieniem - na to interesujące spotkanie.

- Nie ze mną - odparł ponuro Blaise.

- No cóż, rzeczywiście nie z tobą. Nie sądzę, by którykolwiek z nas cierpiał nadmiernie z powodu arimondzkiej przywary. Sądziłem, że byłoby miło się przekonać, czy w tej komnacie u szczytu schodów powiesz mi się lepiej niż jakiś czas temu biednemu Evrardowi.

Blaise pokręcił głową.

- Tam na wzgórzu mówiłem poważnie. Nie chcę oceniać ani ciebie, ani baronowej. Jestem szermierzem do wynajęcia, tu czy gdzie indziej na świecie. W tej chwili płaci mi en Mallin de Baude, bym strzegł tych schodów. Zechcesz się odwrócić i zejść, panie, zanim sytuacja stanie się nieprzyjemna?

- Zejść? - powiedział Bertran, machnąwszy świecą. - I stracić godzinę strojenia się oraz kilka dni oczekiwania na to, co mogłoby się wydarzyć tej nocy? Jestem za stary, by ekscytować się pokusą, a potem potulnie zawracać. I przypuszczam, że ty jesteś za młody, by to zrozumieć. Śmiem jednak twierdzić, że musisz się jeszcze wiele nauczyć, a może zapamiętać. Posłuchaj mnie, przybyszu z północy: można powstrzymać mężczyznę w takich sprawach, można powstrzymać nawet mnie, chociaż być może słyszałeś coś przeciwnego,

lecz kobieta obdarzona temperamentem zrobi to, co zechce, nawet w Gorhaut, a już szczególnie w Arbonne.

Mówiąc to, uniósł świecę wyżej, oświetlając ich obu pomarańczowym blaskiem.

Blaise uświadomił sobie, że jest to zupełnie wystarczające oświetlenie, na chwilę przed tym, jak tuż za plecami usłyszał szelest materiału. Zaczął się odwracać i otworzył usta do krzyku, lecz otrzymał w skroń cios na tyle silny, że zatoczył się na siedzisko pod oknem. A ta chwila oczywiście aż nadto wystarczyła Bertranowi de Talair na pokonanie jednym susem dzielących ich trzech stopni; w jednej dłoni trzymał odwrócony sztylet, w drugiej świecę.

- Trudno - powiedział przy uchu Blaise'a - nadzwyczaj trudno jest chronić tych, którzy wolą nie być chronieni. To lekcja dla ciebie, przybyszu z północy.

Uperfumował się, a jego oddech pachniał mięta.

Mimo że nie mógł skupić wzroku i ogarnęła go fala zawrotów głowy, Blaise dostrzegł za nim na schodach postać kobiety. Rozpuszczone długie jasne włosy spadały jej na plecy. Nocny jedwabny strój oświetlały świece i blask księżyca wpadający przez strzelnicę. Blaise spostrzegł, że szata jest biała, jak do ślubu, stanowiąc symbol niewinności. Tylko tyle udało mu się zauważyć; nie miał szans na więcej, nie zdołał się poruszyć ani krzyknąć, bo Bertran de Talair uderzył go trzonkiem noża, sprawnym, mocnym, dokładnie odmierzoną ciosem w tył głowy i Blaise stracił wszelką świadomość - blasku księżyca, symboli czy bólu.

\*

Kiedy odzyskał przytomność, leżał na kamiennej posadzce wykusza, oparty o ławkę. Odwrócił się z jękiem, by wyrzeć na zewnątrz. Błady Vidonne, już po pełni, stał teraz wysoko na niebie, zalewając je srebrzystym blaskiem. Chmury się rozwiały i Blaise widział wokół księżyca słabo świecące gwiazdy.

Uniósł dłoń i delikatnie dotknął głowy. Przez kilka najbliższych dni będzie miał na potylicy guz wielkości jaja corfe, a nad linią włosów nad prawym uchem paskudny siniec. Jęknął ponownie i w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że nie jest sam.

- Na siedzisku tuż nad tobą stoi seguignac - powiedział cicho Bertran de Talair. - Uważaj, manierka jest otwarta.

Księżę siedział po drugiej stronie schodów, opierając się plecami o wewnętrzną ścianę na wysokości Blaise'a. Wlewające się przez strzelnicę światło księżyca padało na potargane włosy Bertrana i będące w nieładzie odzienie. Jego niebieskie oczy były jak zwykle przejrzyste, lecz księżę wyglądał teraz starzej. Oczy miał podkrążone, a w ich kącikach widniały zmarszczki.

Blaise nie wiedział, co mógłby powiedzieć czy zrobić, sięgnął więc w górę - ostrożnie, stosując się do rady - i znalazł manierkę. Seguignac spłynął mu do gardła niczym przedestylowany, ożywczy ogień; Blaise wyobrażał sobie, że czuje, jak ten ogień rozprzestrzenia się do wszystkich kończyn, przywracając życie rękom, nogom i palcom. Straszliwie jednak bolała go głowa. Rozprostował się ostrożnie - ruch sprawiał mu ból - sięgnął przez schody i podał manierkę księciu. Bertran przyjął ją bez słowa i się napił.

Panowała cisza. Blaise, walcząc ze skutkami dwóch uderzeń w głowę, starał się zmusić do jasnego myślenia. Mógłby oczywiście teraz wrzasnąć i podnieść alarm. Najprawdopodobniej jako pierwszy dotarłby tu do nich sam Mallin, który miał komnatę niemal sąsiadującą z komnatą Soresiny.

Z jakimi konsekwencjami?

Blaise westchnął i z powrotem przyjął seguignac od księcia. Skomplikowane ornamenty, zdobiące manierkę - zapewne dzieło mistrzów kowalstwa z Götzlandu - lśniły blado w blasku księżyca. Prawdopodobnie kosztowała więcej, niż wynosiła miesięczna pensja Blaise'a w Baude.

Właściwie teraz nie było już sensu podnosić krzyku i Blaise zdawał sobie z tego sprawę. Soresina de Baude postanowiła zrobić - jak powiedział Bertran - dokładnie to, co chciała. Było już po wszystkim i jeśli Blaise nie podniesie alarmu i nie zbudzi zamku, to prawdopodobnie sprawa się skończy bez większych konsekwencji.

Tyle że dręczyła go nieuczciwość tego wszystkiego, obraz - kolejny - kobiecej dwulicowości oraz męskiego jałowego, namiętnego dążenia do przyjemności kosztem innego człowieka. Jakoś miał nadzieję na coś więcej u księcia Bertrana de Talair niż ten obraz zblazowanego uwodziciela, wkładającego całą energię w spędzenie jednej nocy z jasnowłosą kobietą poślubioną komu innemu.

Jednak nie podniesie alarmu. Wiedział, że Bertran i Soresina na to liczyli. Irytowało go to łatwo uczynione założenie, że można przewidzieć jego zachowanie, lecz nie był na tyle rozgniewany, by zmienić zdanie tylko po to, żeby zrobić im na złość. Kiedy folguje się takiej złośliwości, giną ludzie.

Bolał go tył i bok głowy; dwa zestawy młotków rywalizowały ze sobą o palmę pierwszeństwa w przysparzaniu mu cierpienia. Trochę pomagał seguignac; ocierając usta, Blaise uznał rozsądnie, że winiak może pomóc w wielu smutnych sprawach.

Odwrócił się do księcia, by to powiedzieć, ale zabrakło mu słów na widok tego, co ujrzał w jego bezbronnej twarzy. W ironicznej, światowej twarzy trubadura z blizną, władającego Talair.



- Dwadzieścia trzy lata - rzekł chwilę później Bertran de Talair na wpół do siebie, utkwivszy wzrok w widocznym przez okienko księżycu. - To dłużej, niż sądziłem, że będę żył. I bóg jeden wie, tak jak wie słodka Rian, że próbowałem, ale przez te dwadzieścia trzy lata nie znalazłem jeszcze kobiety, która by jej dorównała albo zatarła jej wspomnienie, choćby na jedną noc.

Czując się w obliczu tego wyznania beznadziejnie nie na miejscu, Blaise poczuł nieoczekiwaną litość dla Soresiny de Baude z jej rozpuszczonymi włosami i białą nocną szatą. Niezdolny wykrztusić ani słowa, podejrzewając, że żadne, jakie zdołałby wymyślić, choćby w najmniejszym stopniu nie pasowały do tego, co właśnie usłyszał, po prostu wyciągnął w stronę księcia manierkę.

Po chwili światło księżyca ukazało zaciśniętą na niej upierścienioną dłoń en Bertrana. De Talair pociągnął głęboki łyk, a potem z jakiegoś zakamarka ubrania wydobyl korek i zatkał naczynie. Wstał powoli, niemal wcale się nie chwiejąc, i nie zwracając sobie głowy świecą, ruszył krętymi schodami w dół. Zniknął w ciemności, nim jeszcze pokonał pierwszy zakręt. Blaise słyszał jego oddalające się kroki; potem zapanowała cisza. Księżyc powoli zniknął z wąskiego okienka, zostawiając w nim tylko gwiazdy.

## ROZDZIAŁ 3

Ademar, król Gorhaut, powoli odwraca się od zabawnej, choć niezwykle niechlujnej walki, rozgrywającej się przed tronem między starannie okaleczonym psem myśliwskim i trzema napuszczonymi na niego kotami. Nie zwracając uwagi na na wpół ubraną kobietę, klęczącą przed nim na kamiennej posadzce z jego członkiem w ustach, patrzy badawczo na człowieka, który właśnie się odezwał, zakłócając mu tę podwójną rozrywkę.

- Chyba nie usłyszeliśmy cię wyraźnie - mówi król nieoczekiwanie wysokim głosem.

Jednakże ów ton jego dwór dobrze już poznał w ciągu tego roku z okładem. Wiele z około pięćdziesięciu osób zebranych w sali audiencyjnej królewskiego pałacu w Cortil podziękowało w duchu Corannosowi, że to nie dla nich są przeznaczone to spojrzenie i ten ton. Garstka obecnych w sali kobiet może mieć odmienne myśli, lecz w Gorhaut kobiety nie mają znaczenia.

Z wystudiowaną nonszalancją, na którą nikt się nie nabiera, księżę Ranald de Garsenc sięga po piwo i pociąga głęboki łyk. Co bardziej spostrzegawczy dworacy zauważają, że kiedy de Garsenc odstawia ciężki dzban, ręka mu nie drży. Patrzy na króla poprzez drewniany stół na kozłach i podnosi głos.

- Rozumiem, że tego ranka mówiłeś o Arbonne. Powiedziałem po prostu, żebyś się ożenił z tą suką. Jest wdową, nie ma dziedzica, cóż więc prostszego?

Nadzwyczaj duże, nieprzyozdobione żadnymi pierścieniami dłonie króla opadają z roztargnieniem, by najpierw wplątać się w długie czarne włosy, a potem na chwilę otoczyć nieprzerwanie poruszającą się grdykę klęczącej przed nim dziewczyny. Wcale jednak na nią nie patrzy. Za nią stary pies padł; leży na boku i dyszy nierówno, krwawiąc z licznych ran. Głodzone przez pięć dni koty zaczynają się łapczywie pożywiać. Ademar uśmiecha się blade, a potem wydyma z niesmakiem wargi, bo wnętrzności psa wylewają się na posadzkę. Porusza dłońmi; treserzy natychmiast chwytają czwórkę zwierząt i wynoszą z sali. Doprowadzone do szału, wygłodniałe koty wydają piskliwe wrzaski, które słyhać nawet po zamknięciu drzwi. W powietrzu unosi się odór krwi i wilgotnej sierści, zmieszany z gryzącym dymem palenisk i zapachem piwa rozlanego na stołach, przy których zgodnie z dawnym obyczajem wysoko urodzonym panom Gorhaut wolno siedzieć i pić w obecności ich władcy.

W tej właśnie chwili władca zamyka oczy. Jego duże, jędrne ciało sztywnieje, a po jasnej,

brodątej twarzy przemyka wyraz przyjemnego zaskoczenia. W sali zapada niezręczna cisza, a dworacy mają powody, by pilnie przypatrywać się swoim paznokciom lub ciemnym belkom sufitu. Ademar z westchnieniem opiera się wygodniej na tronie. Kiedy znów otwiera oczy, patrzy na damy dworu, zebrane pod oknami po lewej stronie sali. Zawsze tak robi, kiedy ta szczególna rozrywka osiąga punkt kulminacyjny. Co dyskretniejsze kobiety starannie odwracają wzrok. Kilka jest wyraźnie skonsternowanych. Kilka innych także się zarumieniło, lecz chyba z innych powodów, i śmiało patrzą Ademarowi w oczy. Zasłaniając dolną część ciała króla, klęcząca kobieta zajmuje się troczkami jego ubrania; starannie wygładza mu spodnie i pończochy, a potem unosi głowę, czekając na pozwolenie odejścia.

Rozparłszy się niedbale na tronie, Ademar z Gorhaut po raz pierwszy rzuca na nią wzrokiem. Leniwym ruchem obwodzi palcem jej usta. Uśmiecha się tym samym słabym uśmiechem.

- Zajmij się księciem de Garsenc - mówi. - Były obrońca mego ojca sprawia wrażenie, że pilnie potrzebuje usług prawdziwej kobiety.

Dziewczyna wstaje i z twarzą pozbawioną wyrazu podchodzi wdzięcznym krokiem do człowieka, który przed chwilą zakłócił królewską przyjemność. W sali rozlega się ordynarny śmiech; Ademar kwituje go uśmiechem. Jedna z kobiet stojących pod oknem odwraca się raptownie i patrzy na zamgloną szarość krajobrazu. Ademar z Gorhaut zauważa to. Zauważa wiele, jak zdążył się zorientować jego dwór w trakcie krótkiego panowania władcy.

- Pani Rosalo - mówi król - nie odwracaj się od nas. W tak ponury dzień pragniemy słonecznego blasku twego oblicza. I być może twój mąż będzie bardzo zadowolony, jeśli przez obserwację nauczysz się jakiejś nowej umiejętności.

Kobieta nazwana Rosalą, wysoka, jasnowłosa i w widocznej ciąży, długo zwleka z wykonaniem polecenia. Odwraca się ku sali, skłania oficjalnie głowę w odpowiedzi na słowa króla, lecz nic nie mówi. Dziewczyna wśliznęła się już pod długi stół i wszyscy widzą, że sadowi się przed księciem Ranaldem de Garsenc. Książę nagle czerwienieje na twarzy. Unika patrzenia w tę stronę sali, gdzie wśród kobiet stoi jego żona. Kilku mniej znaczących dworzan o oczach błyszczących rozbawieniem i złośliwością stanęło mu za plecami i udając wielkie zainteresowanie, patrzy w dół na to, co się dzieje pod stołem. Ranald patrzy wprost przed siebie. Król zabawiał się już w taki sposób, lecz nigdy z nikim o tak wysokiej pozycji. Miarą władzy Ademara albo wzbudzanego przezeń strachu jest to, że może robić coś takiego człowiekowi, który, chociaż od tego czasu minęło już wiele lat, był niegdyś obrońcą króla Gorhaut.

- Ożeń się z tą suką - powtarza powoli król, jakby smakował sylaby na języku. - Ożeń się

z hrabiną Arbonne. Ile lat ma teraz Signe de Barbentain, sześćdziesiąt pięć, siedemdziesiąt? Zdumiewająca sugestia... ktoś wie, jak jej idzie ustami?

Kilku mężczyzn i jedna kobieta pod oknem znów nerwowo chichoczą. W tej chwili w sali nie ma żadnego z zagranicznych wysłańców; to bardzo dobrze, wzięwszy pod uwagę rozwój wypadków. Rosala de Garsenc jest blada, lecz jej uczciwa, urodziwa twarz jest pozbawiona wszelkiego wyrazu.

W drugim końcu sali jej mąż gwałtownie sięga po swój dzban. Unosząc go do ust, tym razem rozlewa trochę piwa. Wyciera wąsy rękawem i mówi:

- Czy to ma znaczenie? Czy ktokolwiek wyobrażałby sobie, że mam na myśli coś więcej niż małżeństwo z rozsądku? - Przerzywa i niemal mimowolnie zerka w dół, a potem mówi dalej: - Żenisz się ze staruchą, wysyłasz ją do jakiegoś zamku na północy, a kiedy umiera na febrę czy na cokolwiek, co zechce jej zesłać bóg, dziedziczysz Arbonne. Potem żenisz się z córką Daufridiego z Valensy. Wtedy może już być na tyle duża, żeby ją przelecieć.

Ademar się odwrócił, by patrzeć prosto na księcia; jego blade oczy są pozbawione wyrazu. Nic nie mówi, żując w zamyśleniu koniuszek jasnego węża. W drugim końcu sali powstaje zamieszanie, tym głośniejsze, że wokół tronu panuje cisza. Wielkie drzwi otwierają się i straż wpuszcza kogoś do środka. Wchodzi ogromny mężczyzna w ciemnoniebieskiej szacie i stanowczo rusza do przodu. Na jego widok Ademarowi rozjaśnia się twarz. Król się uśmiecha jak psotne dziecko i szybko zerka na Ranalda de Garsenc, który także zauważył przybyłego, chociaż ma zupełnie inny wyraz twarzy.

- Mój drogi najwyższy kapłanie - mówi król - ledwie zdążyłeś przybyć na czas, by zauważyć, jak cenimy sobie naszego kuzyna, twojego syna, i jego mądre rady. Nasza umiłowana Belote właśnie w tej chwili zaspokaja go z pełną aprobatą jego szlachetnej małżonki. Zechcesz z tego uczynić zebranie rodzinne?

Galbert de Garsenc, najwyższy kapłan Corannosa w Gorhaut, główny doradca króla, nawet nie raczy rzucić okiem na syna; zdaje się nie zauważać rozbawienia, jakie ogarnęło zebranych w sali, wzorujących się na nastroju króla. Zatrzymuje się nieopodal tronu - ogromna, groźna postać - i skłania gładko wygoloną twarz ku Ademarowi.

- Jakie rady? Panie mój? - pyta głębokim, dźwięcznym głosem, który, chociaż kapłan mówi cicho, wypełnia całą salę.

- Jakie rady, doprawdy! Książę Ranald właśnie doradził nam ożenek z hrabiną Arbonne, którą następnie miałbym odesłać na północ i odziedziczyć jej zalany słońcem kraj, kiedy ona sama w swym niedołęstwie ulegnie jakiejś pożałowania godnej zarazie. Czy możliwe, byś ten plan obmyślił razem z synem?

Galbert, jedyny gładko ogolony mężczyzna w sali, odwraca się, by po raz pierwszy spojrzeć na syna. Ranald de Garsenc, choć bardzo zbladł, spokojnie wytrzymuje wzrok ojca. Galbert krzywi pogardliwie usta i na powrót odwraca się do króla.

- Nie - mówi ciężkim tonem. - Oczywiście, że nie, panie mój. Ja nie obmyślam planów z osobami jego pokroju. Mój syn nadaje się jedynie do rozlewania na siebie piwa i dawania zajęcia tawernianym dziwkom.

Król Gorhaut wybucha śmiechem, który w mrocznym pomieszczeniu o ciemnych belkach rozbrzmiewa dziwnie radosnym, wysokim dźwiękiem.

- Tawernianym dziwkom? W imię naszego błogosławionego boga, a cóż to za sposób wysławiania się o jego szlachetnej małżonce, panie Galbercie! O kobiecie, noszącej w łonie twojego wnuka! Chyba nie sądziłeś...

Król przerywa, wyraźnie rozbawiony, bo przez salę przelatuje dzban wina i trafia najwyższego kapłana Corannosa w szeroką pierś. Galbert zatacza się do tyłu i niemal się przewraca. Ranald podnosi się zza długiego stołu, pośpiesznie wpychając na wpół wzwiedziony członek do spodni. Dwaj strażnicy rzucają się poniewczasie naprzód, lecz król zatrzymuje ich gestem. Ciężko dysząc, Ranald de Garsenc celuje drżącym palcem w ojca.

- Następnym razem mógłbym cię zabić - mówi. Głos mu drży. - Następnym razem to może być nóż. Pilnuj swego życia. Jeśli jeszcze raz powiesz o mnie coś takiego, w miejscu gdzie mógłbym o tym usłyszeć, może to oznaczać twoją śmierć, a ja poddam się każdemu osądowi tego czynu, jaki może wydać Corannos, kiedy zejdem z tego świata.

Zapada pełna zgorszenia cisza. Nawet na dworze nawykłym do czegoś takiego, zwłaszcza ze strony klanu de Garsenc, słowa te działają otrzeźwiająco. Bogata ciemnoniebieska szata Galberta jest poplamiona ciemnym piwem. Kapłan wbija w syna spojrzenie pełne lodowatej pogardy, dorównujące intensywnością ognistemu oburzeniu Ranalda, a potem odwraca się do króla.

- Dopuszczasz do takiego ataku na swego najwyższego kapłana, panie mój? Atak na moją osobę to obraza boga, który jest nad nami wszystkimi. Będziesz spokojnie siedział i pozwolisz, by taka bezbożność uszła bezkarnie?

Jego głęboki głos jest wciąż opanowany.

Ademar zrazu nie odpowiada. Znów odchyła się na ciężkie drewniane oparcie tronu, gładząc się jedną ręką po brodzie. Ojciec i syn stoją, sztywni i napięci. W sali wyczuwa się ich wzajemną nienawiść; wydaje się ona cięższa i gęstsza od dymu unoszącego się z palenisk.

- A dlaczego pomysł, żebym poślubił Signe de Barbentain, jest taki głupi? - pyta w końcu Ademar z Gorhaut.

W porównaniu z najwyższym kapłanem, głos króla brzmi jeszcze wyżej i bardziej płaczliwie.

Książę Ranald siada raptownie z tryumfalnym uśmieszkiem błakającym mu się wokół ust. Ze zniecierpliwieniem przesuwając kolano, by zapobiec wznowieniu przerwanej czynności przez kobietę znajdującą się pod stołem. Zauważa, że po drugiej stronie sali jego żona znów się odwróciła i wygląda przez okno, stojąc plecami do króla i reszty dworu. Zaczęło padać. Przez chwilę patrzy na profil Rosali; jego twarz przybiera na chwilę dziwny wyraz. Książę unosi nowy dzban i pije.

Tak naprawdę nie wiem tylko tego, którym z nich gardzę bardziej, myśli w tej chwili Rosala de Garsenc, patrząc na zimny, monotony, zacinający deszcz i spowite mgłą wschodnie wrzosowiska.

Nie jest to nowa myśl. Bardzo dużo czasu spędziła na próbach ustalenia, czy bardziej nienawidzi nieobliczalnego, zwykle nietrzeźwego człowieka, do wyjścia za którego zmusił ją nieżyjący już król Duergar, czy też niebezpiecznie przebiegłego, mającego obsesję na punkcie Corannosa najwyższego kapłana boga, ojca jej męża. Jeśli postanowi, tak jak dzisiaj, posunąć się o jeden niewielki, bardzo naturalny krok do przodu, to łatwo będzie jej zaliczyć do tego paskudnego towarzystwa syna Duergara, obecnego króla Gorhaut. Częściowo z powodu niepokojącej, stałej świadomości, że kiedy już urodzi, będzie musiała walczyć z królem w bardzo szczególny sposób. Nie wie, dlaczego ją wybrał, dlaczego jej zachowanie najwyraźniej go urzekło - czasami myśli, że raczej sprowokowało - lecz nie da się zaprzeczyć wagi beznamietnego spojrzenia bladych oczu Ademara i tego, jak ją nim oblepia, zwłaszcza w tej niebezpiecznej części wieczoru tu, w Cortil, kiedy przy biesiadnych stołach wypito zbyt wiele piwa, lecz kobietom nie pozwolono jeszcze odejść.

Jednym z powodów, dla których Rosala gardzi, być może niesłusznie, swoim mężem, jest to, że książę zauważa wzrok króla, a potem odwraca się obojętnie do swego kubka z kośćmi czy dzbaną. Książę Garsenc, myślała Rosala w pierwszych miesiącach małżeństwa, chyba powinien mieć więcej dumy. Wydawało się jednak, że jedynymi ludźmi, którzy potrafiały wywołać u Ranalda coś w rodzaju gorącej reakcji, są jego ojciec i brat; to oczywiście była osobna stara, ponura historia. Rosali wydaje się czasami, że od zawsze stanowi część ich opowieści; trudno jej wracać pamięcią do czasów, kiedy panowie Garsenc nie pętali jej swoimi nabrzmiałymi rodzinnymi żałami.

Wiatr się wzmaga, skręcając na wschód; ciska przez okno kropelki deszczu, a potem cały strumień wody na twarz i stanik sukni Rosali. Zimno jej nie przeszkadza, a nawet sprawia przyjemność, ale teraz trzeba myśleć o dziecku. Z niechęcią odwraca się z powrotem do

zadymionego, dusznego, zatłoczonego pomieszczenia i słyszy, jak ojciec jej męża zaczyna mówić o małżeństwach z przymusu i podboju ciepłego, słonecznego południa.

- Znasz powody tak samo dobrze, jak ja, panie mój, podobnie jak wszyscy mężczyźni w tej sali, może oprócz jednego. - Rzut oka w stronę Ranalda jest tak szybki, że sam w sobie świadczy o głębokiej pogardzie. - Nawet kobiety widzą w moim synu szaleńca. Nawet kobiety.

Stojąca obok Rosali Adelh de Sauvan, przekupna, zdeprawowana i niedawno owdowiała, uśmiecha się. Rosala to widzi i odwraca wzrok.

- Aby poślubić hrabinę Arbonne - ciągnie Galbert, wypełniając salę swym głębokim głosem - musielibyśmy uzyskać jej zgodę. A tej ona nam nie da. Nigdy. Gdyby natomiast z jakiegokolwiek przyczyny tak zrobiła, może doprowadzona do szaleństwa kobiecymi żądzami, to zanimby doszło do jakiegokolwiek ślubu, zebrani książęta Arbonne pozbawiliby ją tytułu i zabili. Myślisz, że panowie Carenu, Malmount czy Miraval siedzieliby i patrzyli, jak z łatwością uznajemy ich kraj za swój? Nawet kobieta powinna umieć dostrzec szaleństwo w takiej bezsensownej myśli. Co, twoim zdaniem, panie mój, zrobiłby w takiej sytuacji pantrubadur Arbonne? Sądzisz, że Bertran de Talair trzymałby się na uboczu i pozwolił na zawarcie takiego małżeństwa?

- Wymawianie jego imienia jest tu zakazane! - mówi szybko Ademar z Gorhaut, pochylając się nagle.

Na policzki występują mu dwa nienaturalne rumieńce.

- I tak powinno być - stwierdza gładko Galbert, jakby się spodziewał właśnie takiej reakcji. - Mam tyle samo powodów, co ty, panie mój, by nienawidzić tego intryganta i jego bezbożnego, fałszywego postępowania.

Rosala uśmiecha się w duchu na te słowa, ale bardzo uważa, by zachować kamienny wyraz twarzy. Najnowsza pieśń de Talaira dotarła na dwór Gorhaut przed ponad miesiącem. Rosala pamięta tamten wieczór; wtedy też było wietrznie i deszczowo, a drżący, pozieleniały na twarzy bard odśpiewał na rozkaz Ademara wiersz księcia de Talair ochrypłym głosem:

*Wstyd zatem wiosną dla dumnego Gorhaut,  
Zdradzonego przez młodego króla i jego doradcę.*

I więcej, o wiele więcej; łamiące się, ledwie słyszalne mamrotanie przerażonego śpiewaka i świst wiatru na wrzosowiskach:

*Gdzie zniknęło męstwo Gorhaut i Valensy,  
Kiedy zarzucili wojnę i sprowadzili wąty pokój  
Słabi królowie i synowie dawno straceni dla swych rodów?*

Na wspomnienie otaczających ją tamtego wieczoru twarzy, oświetlonych blaskiem płomieni, Rosali niemal robi się ciepło na sercu. Na wspomnienie wyrazu twarzy króla i Galberta, ukradkowych spojrzeń rzucanych sobie nawzajem przez panów świeżo pozbawionych ziemi czy coranów przy dźwiękach sugestywnej muzyki, podkreślającej siłę słów, której nie zniweczył nawet nieśmiały głos śpiewaka. Bard, młody trovaritz z Götzlandu, niemal na pewno zawdzięczał zachowanie życia temu, że tamtego wieczoru w wielkiej sali zamku Cortil znajdował się posłaniec z jego kraju oraz że utrzymanie pokoju z królem Jörgiem z Götzlandu miało wówczas niezaprzeczalną wagę. Rosala nie miała wątpliwości, co najchętniej uczyniłby Ademar, kiedy ucichła muzyka.

Teraz król pochyla się ochoczo, niemal wstaje z tronu, i mówi:

- Nikt nie ma tylu powodów, co my, Galbercie. Nie wywyższaj się.

Policzki Ademara pokrywa rumieniec.

Najwyższy kapłan łagodnie kręci głową. I znów salę przenika jego głęboki głos, tak ciepły, tak pełen troski, że łatwo może wzbudzić u słuchających fałszywe przekonanie, że Galbert jest zupełnie innym człowiekiem niż naprawdę. Rosala teraz już o tym wie.

- Nie czuję się urażony we własnym imieniu, panie mój - mówi Galbert. - Ja sam jestem niczym, zupełnie niczym. Lecz stoję przed tobą i przed wszystkimi mieszkańcami sześciu krajów jako głos boga w Gorhaut. A Gorhaut to centrum, miejsce, w którym urodził się Corannos Starożytnych w czasach, kiedy jeszcze mężczyźni nie chodzili po świecie, a kobiety nie upadły. Obraza mojej osoby jest ciosem wymierzonym w najwyższego boga i nie wolno jej puścić płazem. I nie zostanie puszczona płazem, bo cały świat zna siłę twego charakteru i twoje poglądy na tę sprawę, panie mój.

To fascynujące, myśli Rosala, jak gładko, z jaką łatwością Galbert zmienił temat. Ademar powoli kiwa głową; potakują też niektórzy mężczyźni zgromadzeni w sali. Jej mąż pije, ale tego należało się spodziewać. Rosali przez chwilę jest go żal.

- Moglibyśmy pomyśleć - mówi powoli król - że Daufridi z Valensy podzielałby naszą postawę wobec tej prowokacji. Może kiedy następnym razem przyjmujemy jego posłańca, powinniśmy omówić sprawę Bertrana de Talair?

Daufridi ma teraz wszystkie nasze ziemie na północ od Iersen, myśli z goryczą Rosala i wie, że inni myślą o tym samym. On może sobie pozwolić na tolerowanie zniewag z



Arbonne. Jej stare rodzinne posiadłości leżące wzdłuż rzeki Iersen znajdują się teraz na samej nowo określonej północnej granicy Gorhaut; Savaric nigdy wcześniej nie było tak odsłonięte. W tej sali znajdują się mężczyźni, których ziemie i zamki zostały oddane; stanowią teraz część Valensy, przekazane na mocy traktatu, poddane podczas pokoju po tym, jak zostały ocalone w trakcie wojny. Króla Ademara otaczają wygłodniali, ambitni, wściekli ludzie, których trzeba będzie ułagodzić, i to niedługo, bez względu na to, jak bardzo mogą się go bać w tej chwili. To wszystko jest tak straszliwie jasne, myśli Rosala.

- Ale i jak najbardziej porusz tę sprawę z posłańcem z Valensy - mówi najwyższy kapłan Galbert. - Sądzę, że z tym nędznym wierszokletą możemy sobie dać radę sami, ale rzeczywiście dobrze by było przed upływem kolejnego roku ustalić pewne inne kwestie i zorganizować odpowiednie działania.

Rosala widzi, że na te słowa jej mąż unosi głowę i patrzy nie na ojca, lecz na króla.

- Jakie kwestie? - pyta głośno księżę Ranald. - Co należy ustalić?

Tylko z pewnym wysiłkiem Rosala potrafi sobie czasami przypomnieć, że jej mąż był niegdyś najsłynniejszym wojownikiem w Gorhaut, obrońcą ojca Ademara. Było to dawno temu, a upływające lata nie obeszły się łaskawie z Ranaldem de Garsenc.

Ademar żyje w milczeniu wąs. Odpowiada ojciec Ranalda z ledwie zauważalną nutą tryumfu w głosie.

- Nie wiesz? - pyta z przesadnie uniesionymi brwiami. - Ktoś z taką łatwością szafujący jałowymi radami na pewno może rozwiązać tę zagadkę.

Ranald patrzy na niego spod oka, ale nie ponawia pytania. Rosala wie, że jej mąż nic nie rozumie; znów czuje nieoczekiwany przypływ współczucia dla niego w tej ostatniej potyczce trwającej całe życie walki z ojcem. Wie, że Ranald nie jest jedynym obecnym tu mężczyzną zdezorientowanym przez enigmatyczną wymianę słów między najwyższym kapłanem i królem. Tak się jednak składa, że jej ojciec był swego czasu mistrzem dyplomacji, cenionym doradcą króla Duergara, a Rosala i jej brat jako jedyne z jego dzieci dożyły dojrzałego wieku. Wiele się nauczyła, więcej niż przypadało w udziale kobietom w Gorhaut. Wie, że w dużej mierze właśnie dlatego jest jej teraz tak ciężko, uwięzionej wśród de Garsenców i ich nienawiści.

Rosala naprawdę wiele rozumie i widzi sytuację niemal zbyt wyraźnie. Jeśli Ranald będzie dość trzeźwy, zapewne zechce usłyszeć jej zdanie, kiedy później, w nocy, znajdą się sam na sam. Zna ciężki, władczy ton, jakim będzie mówił, pogardę, z jaką szybko odrzuci jej odpowiedzi, jeśli Rosala postanowi ich udzielić, ale wie również, że kiedy potem od niej odejdzie, będzie się zastanawiać nad jej słowami. Ma świadomość, że jest to pewnego rodzaju

władza, taka, jaką wiele kobiet wykorzystuje, by odcisnąć swe piętno, niczym pieczęć na liście, na wydarzeniach swoich czasów.

Jednakże takie kobiety posiadają coś, czego brak Rosali. Pragnienie, niemal żądę poruszania się wśród gorączki i rozbłysków dworskich wydarzeń oraz manipulowania nimi, a także silniejsze, bardziej wartościowe naczynie, do którego mogą przelewać swą mądrość i ducha, niż Ranald de Garsenc.

Nie wie, co powie mężowi, jeśli ten poprosi ją nocą o podzielenie się z nim myślami. Podejrzewa, że to zrobi. I jest niemal pewna, że ona naprawdę wie, co planuje jego ojciec i, co więcej, że król mu ulegnie. Ademar jest prowadzony, niczym kapryśny ogier przez doskonałego ujeżdżacza, ku przeznaczeniu, które Galbert chce osiągnąć od wielu lat. Król Duergar z Gorhaut nie ulegał namowom żadnego z dworzan, włączając w to duchownych - a może szczególnie duchownych - i zdobycie prawdziwej władzy przez najwyższego kapłana datuje się dopiero od chwili, kiedy podczas tej ponurej, zimnej bitwy u Mostu na Iersen półtora roku temu valensańska strzała przemierzyła ze świstem zimowy zmrok i trafiła Duergara w oko.

Teraz Duergar nie żyje i jego ciało zostało spalone na pogrzebowym stosie, a w Cortil rządzi jego przystojny syn; został zawarty pokój na północy, na mocy którego jedną czwartą mieszkańców Gorhaut, czy to wysokiego, czy niskiego pochodzenia, wydiedziczono. Oznacza to - a przecież wszyscy mogliby to dostrzec, gdyby tylko się przez chwilę zastanowili - tylko jedno. Rosala odwraca się do okna. Robi to instynktownie, cofając się odruchowo, jak leśne stworzenie mogłoby się cofnąć przed jęzorem ognia. Do Gorhaut zawitała wiosna, lecz szare deszcze nie ustały, a wilgotny chłód przenika do szpiku kości.

Rosala wie, że w Arbonne klimat jest cieplejszy, łagodniejszy, a z nieba spływa o wiele więcej dobroczynnego światła. W rządzonej przez kobietę Arbonne, z jej Dworem Miłości, rozległymi, żyznymi, pobłogosławionymi przez słońce ziemiami, osłoniętymi, przyjaznymi zatokami na południowym morzu i herezją, wedle której bogini Rian rządzi wraz z bogiem, a nie kuli się z dziewiczą służalczą pod jego żelazną dłońią.

- Będziemy mieli jeszcze wiele do omówienia - mówi Galbert de Garsenc - zanim w pełni nastanie lato, a podjęcie wszystkich koniecznych decyzji oraz związany z nimi wielki ciężar słusznie przypadną w udziale tobie, panie mój. - Rosala nie odwraca się od okna. Wie, co powie jej teść, dokąd prowadzi króla, dokąd prowadzi ich wszystkich. - Lecz jako najwyższy kapłan Corannosa na tej najdawniejszej, świętej ziemi, gdzie narodził się bóg - kontynuuje Galbert, podnosząc głos - powiem tobie, panie mój, i wszystkim tu zebranim to: dzięki twojej wielkiej mądrości, na północy Gorhaut po raz pierwszy za życia większości tu obecnych

panuje pokój. Nie musimy dobywać toporów i mieczy, by strzec naszych granic i pól przed Valensą. Duma i potęga, jakie stały się udziałem tego kraju pod rządami króla Ademara, nigdy w naszej długiej historii nie były większe, i wciąż na zawsze jesteśmy świętymi namiestnikami władzy boga w sześciu krajach. Po tych salach chodzą potomkowie pierwszych coranów - najwcześniejszych braci boga - jacy kiedykolwiek pokonywali wzgórza i doliny znanego świata. I może tak być - jeśli postanowisz, panie, do tego dopuścić - że to nam przypadnie oczyszczające zadanie godne naszych wielkich ojców. Godne pieśni największych bardów, sławiących czyny wielkich mężów swoich czasów.

Och, jakże sprytnie, myśli Rosala. Och, doskonała robota. Wzrok ma utkwiony w krajobrazie za oknem, w kłębach mgły napływających z wrzosowisk. Pragnie się znaleźć tam samotnie na koniu, choćby w deszczu, choćby z dzieckiem budzącym się do życia w jej łonie, z dala od tej zadymionej sali, tych głosów, uraz i zgorzkniałych żądź, z dala od gładkich manipulacji najwyższego kapłana.

- Za górami na południe od nas kpi się z Corannosa - mówi Galbert głosem pełnym żaru. - Ludzie żyją tam pod jasnym słońcem boga, które jest jego najłaskawszym darem dla człowieka, i kpią sobie z jego zwierzchności. Poniżają go, wystawiając świątynie kobiecie, nieczystej bogini nocy, magicznych sztuczek i splamionych krwią kobiecych obrzędów. Poprzez tę herezję okaleczają i ranią naszego umiłowanego Corannosa. Pozbawiają go męskości, a przynajmniej tak im się wydaje. - Znów ścisza głos do tonu poufałości, do delikatnych nut innego rodzaju władzy. Rosala wyczuwa, że podporządkował sobie całą salę niczym jakimś czarem; nawet stojące obok niej kobiety rozwarły usta i pochylają się lekko w oczekiwaniu. - Tak im się wydaje - powtarza cicho Galbert de Garsenc. - W odpowiednim czasie, w czasie wygodnym dla nas, jeśli okażemy się tego godni, poznają swoje szaleństwo, swoje niekończące się, wieczne szaleństwo, i nikt już nigdy nie będzie kpił ze świętego Corannosa w dolinach rzeki Arbonne.

Nie kończy wznoszącą się intonacją; nie nadeszła jeszcze odpowiednia pora. To dopiero pierwsze oświadczenie, początek, przygłuszony instrument dźwięczący wśród dymów palenisk późną, zimną wiosną, przy zacinającym deszczu i mgle na wrzosowiskach.

- Chcemy się oddalić - mówi w końcu król Gorhaut, przerywając ciszę. - Odbędziemy prywatną naradę z naszym kapłanem boga.

Wstaje z tronu, wysoki, przystojny, władczy, a jego dwór chyli się w przykłęku jak źdźbła zboża na wietrze.

Tak wyraźnie widać, myśli Rosala, podnosząc się, tak wyraźnie widać, co ma nastąpić.

- Powiedz mi, moja droga - mruczy Adelh de Sauvan, pojawiwszy się u jej boku - czy

masz jakieś wieści od swego szwagra, wielkiego podróżnika?

Rosala sztywnieje. To błąd, z czego natychmiast zdaje sobie sprawę. Zmusza się do beznamiętnego uśmiechu.

- Obawiam się, że żadnych nowych - odpowiada spokojnie. - Kiedy ostatnio o nim słyszeliśmy, przebywał w Portezzie, ale to było przed kilkoma miesiącami. Nie kontaktuje się z nami często. Jeśli to uczyni, z całą pewnością przekażę mu twoje troskliwe zainteresowanie.

To słaba strzała, i Adelh tylko się uśmiecha; jej oczy błyszczą.

- Zrób to - odpowiada. - Sądziłabym, że jest interesujący dla każdej kobiety. Cóż za znakomity mężczyzna z tego Blaise'a. Czasami myślę, że dorównuje swemu wielkiemu ojcu, a nawet mógłby być dlań rywalem. - Milknie na dokładnie odmierzoną chwilę. - Chociaż oczywiście raczej nie dla twego drogiego męża.

Mówi to z tak słodkim wyrazem twarzy, że już słodsze nie można sobie wyobrazić.

W tym momencie podchodzą do nich inne kobiety, na szczęście uwalniając Rosalę od konieczności sformułowania jakiejś odpowiedzi. Czekają tak długo, jak wymaga tego grzeczność, a potem odchodzą od okna. Nagle robi jej się zimno, bardzo chce wyjść z sali. Nie może jednak tego zrobić bez Ranalda, a z cichą rozpaczą widzi, że mąż dopełnił dzban i położył przed sobą na stole kości oraz sakiewkę.

Rosala podchodzi do najbliższego kominka i staje plecami do ognia, wraca myślami do tej krótkiej, niepokojącej rozmowy z Adelh. Mimowolnie zastanawia się, co - jeśli w ogóle - może wiedzieć ta kobieta. To tylko złośliwość, uznaje w końcu, tylko bezmyślna, wrodzona złośliwość która określała Adelh de Sauvan, jeszcze nim jej mąż zginął z królem Duergarem przy Moście na Iersen. Instynktowne pragnienie krwi, drapieżność.

Nagle przypomina sobie przerażający obraz wygłodniałych kotów i rozszarpanego, umierającego psa. Drży. Nieświadomym gestem kładzie dłoń na brzuchu, jakby chciała utulić i osłonić przed czekającym światem kształtujące się w niej życie.

\*\*\*

Światło było czymś nadzwyczajnym, tak jak nadzwyczajny był sposób, w jaki słońce na błękitnym niebie wszystko wyodrębniało, nadawało każdemu drzewu, lecącemu ptakowi, pomykającemu lisowi, każdemu źdźbłu trawy żywość barwy i wyrazistość. Wydawało się, że wszystko jest tu czymś więcej, niż to, na co wygląda, że jest ostrzejsze, wyraźniej i jaśniej określone. Późnopołudniowy wiaterek z zachodu odbierał intensywność upałow; ożywczy był nawet jego szelest w liściach. Chociaż, po zastanowieniu, to było idiotyczne: szelest wiatru wśród liści był dokładnie taki sam w Gorhaut czy w Götzlandzie, jak tu, w Arbonne;

po prostu w tym kraju najwyraźniej coś kierowało myśli ku takim wyobrażeniom.

Jadąc w popołudniowym słońcu, Blaise pomyślał, że trubadur już by zapewne śpiewał albo komponował, albo układał jakąś niezrozumiałą myśl opartą na symbolicznej mowie kwiatów. Było tu z pewnością dość kwiatów. Oczywiście trubadur znałby nazwy wszystkich. Blaise ich nie znał, częściowo dlatego, że w Arbonne rosły odmiany nadzwyczaj kolorowych polnych kwiatów, których nigdy nie widział, nawet wśród słynącego z urody, pofałdowanego krajobrazu rozciągającego się między miastami Portezzy.

Tym razem bez cienia niechęci uznał, że ziemia jest tu piękna. Tego popołudnia nie był w niechętnym nastroju; światło było zbyt dobroczynne, a kraina, przez którą jechał, zbyt olśniewająca na początku lata. Na zachodzie leżały winnice, a za nimi gęsty las. Jedynymi dźwiękami były szum wiatru, śpiew ptaków i miarowe pobrząkiwanie uprzęży jego konia oraz idącego za nim jucznego kuca. Przed sobą Blaise widział co pewien czas błękitne lśnienie jeziora. Jeśli wskazówki otrzymane w gospodzie, gdzie spędził noc, były właściwe, to właśnie zbliżał się do Jeziora Dierne i niedługo powinien się ukazać wciśnięty w jego północny brzeg zamek Talair. Jadąc umiarkowanym tempem, Blaise powinien do niego dotrzeć jeszcze przed zapadnięciem zmroku.

Trudno było tego dnia mieć zły humor, bez względu na uporczywe myśli o kraju, rodzinie i powoli mroczniejącej grozie wydarzeń rozgrywających się na świecie. Przynajmniej przed wszystkim pożegnaniem Blaise'a w Baude przed czterema dniami było naprawdę serdeczne. Przez jakiś czas martwił się, jak Mallin przyjmie jego przejście do szeregów coranów Bertrana de Talair, lecz młody pan na zamku Baude chyba się spodziewał decyzji Blaise'a, którą ten ogłosił dwa dni po odjeździe en Bertrana, i nawet - tak przynajmniej się wydawało Blaise'owi - przyjął ją niemal z ulgą.

W gruncie rzeczy mogły po temu istnieć praktyczne powody. Mallinowi dobrze się powodziło, lecz tak naprawdę nie był bogaty i być może zaczęły mu dawać do myślenia koszty dążenia do zajęcia zaszczytnego miejsca na wyższych szczeblach świata. Możliwe, że po dwutygodniowym ekstrawaganckim zabawianiu pana-trubadura z Talair Mallin de Baude nie miał nic przeciwko pewnym oszczędnościom, a doświadczeni najemni dowódcy, tacy jak Blaise z Gorhaut, nie byli tani.

W poranek odjazdu Blaise'a Mallin życzył mu błogosławieństwa boga oraz bogini Rian; to przecież była Arbonne. To pierwsze Blaise przyjął z wdzięcznością, a drugie uprzejmie. Zaskoczył samego siebie zalem, jaki czuł przy pożegnaniu z baronem i szkolonymi przez siebie coranami: Hirnanem, Maffourem i pozostałymi. Nie spodziewał się, że mógłby za nimi tęsknić, a zanosilo się na to, że będzie, przynajmniej przez jakiś czas.

W ostatnich dniach przed jego odjazdem Soresina okazała się niespodzianką innego rodzaju, bardziej niepokojącą. A prosta prawda była taka, że pani na zamku Baude, kobieta zawsze atrakcyjna i świadoma tego, w bardzo krótkim czasie najwyraźniej nabrała godności i wdzięku. Zwłaszcza w tym krótkim, jaki upłynął od wizyty Bertrana de Talair w górach. Czy to możliwe, że taką zmianę mogła wywołać jedna ukradkowa noc spędzona z księciem? Blaise'owi nie podobała się ta myśl, lecz nie mógł zaprzeczyć, że w dniach między wyjazdem Bertrana i jego własnym Soresina traktowała Blaise'a z wyważoną uprzejmością, a u boku męża pojawiała się jako niezwykle elegancka dama. W jej twarzy czy zachowaniu nie było cienia aluzji do wydarzeń, które tak niedawno się rozegrały na schodach wiodących do jej komnat. Owszem, czasami wydawała się zadumana, niemal poważna, jakby godziła się w duchu z jakąś zmianą w jej relacjach ze światem.

Tego ranka, kiedy Blaise się żegnał z zachodnimi górami, baron i jego corani odprowadzili go konno kawałek drogi, a mężowi towarzyszyła Soresina. Podsunęła Blaise'owi do pocałunku policzek, a nie tylko dłoń. Po króciutkim wahaniu Blaise przechylił się w siodle i postąpił zgodnie z życzeniem baronowej.

Kiedy się prostował, zerknęła na niego. Pamiętał spojrzenie, które mu posłała wkrótce po jego przybyciu, kiedy powiedziała, że lubi mężczyzn w dawniejszym stylu, wojowniczych i twardych. Teraz też widział tego cień w jej oczach - przecież była tą samą kobietą - lecz pojawiło się także coś nowego.

- Mam nadzieję, że w swoich podróżach po Arbonne znajdziesz jakąś kobietę, która przekona cię do zgolenia brody - powiedziała. - Ona drapie, Blaise. Jeśli musisz, możesz ją znów zapuścić po powrocie do Gorhaut.

Mówiła to z uśmiechem, swobodnie, a Mallin de Baude, wyraźnie z niej dumny, roześmiał się i po raz ostatni ścisnął Blaise'a za ramię.

Trzeciego dnia od tamtego pożegnania, jadąc wśród zapachu i kolorów polnych kwiatów, mijając zielone i fioletowe zawiązki winogron na krzewach, nęcony rozbłyskami słonecznego blasku na odległym błękitcie wody, Blaise pomyślał, że w ciągu kilku ostatnich lat żegnał się już sporo razy. Może zbyt wiele, lecz pożegnania należały do życia, które dla siebie wybrał, czy też które zostało mu przeznaczone z racji jego urodzenia i pozycji rodziny oraz pisanych i niepisanych praw, pomagających Gorhaut przebyć mielizny historii.

Za ostatnim razem, w Portezzie pojawił się żal, gniew na zrzędzenia losu i prawdziwy ból, lecz wyglądało na to, że w ostatecznym rozrachunku Blaise'owi najbardziej odpowiada obecna sytuacja, kiedy jest sam i nie podlega żadnemu mężczyźnie - a już na pewno kobiecie - prócz tego, z którym się związał dobrowolną umową o honorową służbę. Żadna ze ścieżek

jego życia nie była szczególnie niezwykła. Szedł dość dobrze wydeptanym szlakiem, wyznaczonym dla młodszych synów ze szlacheckich rodzin, prowadzącym przez znany im świat. Najstarszy syn się żenił, płodził dzieci, dziedziczył wszystko: ziemie - zajadle strzeżone, skrupulatnie niedzielone - dobra rodzinne oraz wszelkie tytuły, które zostały zdobyte i których nie utracono w toku kolejnych zmian na tronie Gorhaut. Córki takich rodów stanowiły bogato wyposażane pionki, choć często o zasadniczym znaczeniu, wydawane w celu utrwalenia sojuszy, powiększenia dzierżaw czy zgłoszenia roszczeń do jeszcze wyższej pozycji dla rodziny lub nawet zdobycia tej pozycji w drodze oblężenia.

Zostawiało to niewielkie pole do popisu dla pozostałych synów. Młodszy stanowili problem i Blaise nie był tu wyjątkiem, zwłaszcza od czasu, kiedy malejące rozmiary dzielonych posiadłości zmieniły system dziedziczenia. Ponieważ młodszy synowie nie mieli ziemi ani majątku, byli niemal pozbawieni możliwości zawarcia korzystnego małżeństwa i musieli opuszczać rodzinne siedziby z powodu tarć, dumy czy po prostu w samoobronie, dlatego też wielu zostawało duchownymi Corannosa lub wstępowało w szeregi coranów jakiegoś innego wysoko postawionego pana. Niektórzy wybierali trzecią, mniej przewidywalną drogę, wyprawiając się w świat poza granice rodzimego kraju, by szukać szczęścia czy to samotnie na zawsze niebezpiecznych szlakach, czy też częściej w mniejszych lub większych grupkach. W czasach wojny pojawiali się na polach bitew; w rzadszych okresach spokoju sami wywoływali konflikty, buntując się przeciwko kielznu pokoju albo kalecząc się wzajemnie i okładając podczas potyczek na turniejach, które wraz z jarmarkami przemieszczały się poprzez znane krainy świata od miasta do miasta.

Działo się tak nie tylko w Gorhaut. Dopóki jego starszy brat nie umarł bezdzietnie i on sam nie został księciem, Bertran de Talair także zaliczał się do tego wędrownego bractwa. Był jednym z jego najślynniejszych członków i pojawiał się na polach bitew oraz turniejach w Götzlandzie, Portezzie i mokrej Valensie na północy tak z mieczem, jak i z harfą, a później również z zonglerem kosztownie odzianym w jego barwy.

Wiele lat później Blaise z Gorhaut, namaszczony na corana przez samego króla Duergara, również został takim człowiekiem, i to z rozmaitych powodów.

Opuścił dom z koniem, zbroją, bronią oraz umiejętnościami, dzięki którym dobrze znosił podróż i nawet osiągał zysk - większość pieniędzy spoczywała teraz w portezzańskim banku u rodziny Rudela. Dzięki takiemu życiu jechał teraz samotnie w letnim słońcu Arbonne, niezwiązany i nieskrępowany więzami, które oplatały tak wielu znanych mu ludzi.

Wysztydziłby pytanie i pytającego, lecz gdyby tego dnia ktoś go zapytał, to Blaise powiedziałby, że mimo całej goryczy, którą zostawił w domu i wśród niebezpiecznych miast

Portezzy, nie jest nieszczęśliwy Powiedziałby, że wie, jakiej pragnie dla siebie przyszłości i że będzie ona bardzo podobna do życia, jakie wie teraz, obojętne w jakim kraju owa przyszłość go spotka. Powiedziałby, że nie przywiązuje do tego wielkiej wagi. Jeśli jest się w stałym ruchu, to istnieje mniejsza szansa zapuszczenia korzeni, stworzenia więzi, troskania się o ludzi... odkrywania, co się dzieje, kiedy mężczyźni czy kobiety, na których człowiekowi zależało, okazują się inni, niż się sądziło. Chociaż tego ostatniego nigdy nie wypowiedziałby na głos bez względu na to, jak wytrwały w drażeniu sprawy byłby rozmówca.

Wjechawszy na ostatni z kilku grzbietów, Blaise po raz pierwszy wyraźnie ujrzał błękitne wody Jeziora Dierne. Widział na nim wysepkę z trzema pióropuszcami białego dymu, wznoszącymi się z płonących tam ognisk. Zatrzymał się na chwilę, chłonąc rozciągający się przed nim widok, a potem ruszył dalej.

Nikt go przed niczym nie przestrzegał ani niczego nie doradzał, a i Blaise sam o nic nie pytał, kiedy więc zjechał z tego grzbietu, wybrał na oko bardziej bezpośrednią, mniej pofałdowaną drogę i pojechał prosto na północ ku jezioru i początkom swego przeznaczenia.

Wzdłuż zachodniego brzegu Jeziora Dierne prowadziła wyraźnie uczęszczana droga, poznaczona zatartymi słupkami Starożytnych; niektóre jeszcze stały, inne leżały w trawie, a wszystkie świadczyły o tym, jak dawno temu wytyczono ten szlak. Wyspa była niedaleko - tę odległość mógłby pokonać dobry pływak - i Blaise teraz widział, że trzy białe pióropusze dymu zostały starannie rozmieszczone wzdłuż linii środkowej wysepki. Po spędzeniu jednej pory roku w Arbonne nawet on się orientował, że zapewne są to święte ogniska Rian. Któż inny prócz duchownych bogini rozpałałby ogień w południowym upale początku lata?

Popatrzył zmrużonymi oczyma na rozmigotaną błękitną wodę. Dostrzegł kilka łódek - jedne stały na kotwicy, inne wyciągnięto na piaszczysty brzeg wyspy. Pod wiatr halsowała żaglówka z pojedynczym białym żaglem. Blaise wrócił myślami do najwyższej kapłanki i jej sowy w czerni nocy na innej, morskiej Wyspie Rian. Po chwili odwrócił wzrok i pojechał dalej.

Minął chatkę, w której przechowywano podpałkę i suche drewno na ogniska. Za ich pomocą w razie potrzeby wzywano kapłanki na brzeg, czy to do porodu, do chorego, czy po odbiór zmarłego. Oparł się chęci uczynienia znaku od uroku.

Ujchawszy kawałek dalej, zobaczył łuk.

Znów zatrzymał konia. Juczny kuc podążający z tyłu z dobytkiem Blaise'a i zbroją wpadł na nich, po czym spokojnie pochylił łeb i zaczął skubać trawę na poboczu.

Blaise wytrzeszczał oczy, patrząc na arogancką, potężną dumę tchnącą z tej kamiennej budowli. Tkwiący w nim żołnierz zrozumiał ją od razu; jego podziw zaczął się zmagać z



niepokojem.

Na górze łuku wyrzeźbiono postacie, a po bokach biegły fryzy. Blaise nie musiał podjeżdżać bliżej, by się im przyjrzeć; wiedział, co na nich uwiecznił rzeźbiarz. Widział już takie łuki w północnej Portezzie, w Götzlandzie i dwa w samym Gorhaut w pobliżu górskich przełęczy, bo dalej na północ Starożytni chyba się nie zapuszczali.

Potężny łuk stanowił świadectwo tego, kim byli jego budowniczości. Podczas gdy kamienie znaczące długie, proste drogi mówiły o ciągłości i uporządkowanym, regulowanym przepływie ludzi w utraconym już świecie, tryumfalne łuki, takie jak ten, świadczyły jedynie o dominacji, o brutalnym zmiżdżeniu wszystkich, których tu zastali zwycięscy Starożytni.

Blaise wiele razy był na wojnie, tak za swój kraj, jak i dla własnej sakiewki jako najemnik, i na szeroko rozrzuconych polach bitew zaznał i tryumfu, i porażki. Kiedyś, przy oszronionym Moście na Iersen, walczył wśród lodu i w zacinającym śniegu jeszcze po bolesnej śmierci swego króla aż do odniesionego w zimowym zmierzchu zwycięstwa, które wiosną na mocy eleganckich sformułowań dworskiego traktatu zostało zamienione w klęskę. Pomyślał, że to go odmieniło. Na zawsze odmieniło jego życie.

Łuk stojący tutaj na końcu zasadzonej alei drzew, przekazywał trudną prawdę, o której w głębi żołnierskiej duszy Blaise wiedział, że jest równie istotna teraz, jak przed wiekami: kiedy się kogoś pobiło, kiedy się go pokonało i zajęło jego tereny, nigdy nie można pozwolić mu zapomnieć o swojej władzy i konsekwencjach oporu.

To, co się działo, gdy łuki pozostawały, a ci, co je tak arogancko wznieśli, dawno odeszli i zamienili się w pył, stanowiło pytanie dla karmionych mlekiem filozofów i trubadurów, pomyślał Blaise, a nie dla wojownika.

Odwrócił głowę, zaniepokojony i niespodziewanie rozzłoszczony.

I dopiero wtedy, oderwawszy wzrok od potężnej budowli, poniewczasie uświadomił sobie, że na brzegu Jeziora Dierne pod zachodzącym słońcem nie jest już sam.

Było ich sześciu, ubranych w ciemnozielone wąskie spodnie i tuniki. Liberie oznaczały, że raczej nie są banitami, co stanowiło dobry znak. Nieco mniej uspokajający był fakt, że trzech już nałożyło strzały na cięciwy łuków i wymierzyło je w Blaise'a, nim padły jakiegokolwiek słowa powitania czy wyzwania. Jeszcze bardziej złowieszcze było to, że oczywistym przywódcą, siedzącym na koniu o kilka kroków przed pozostałymi i nieco z boku, był smukły, ciemnoskóry, wąsaty Arimondańczyk. Doświadczenie nabyte w kilku krajach oraz jedna walka na miecze, której, gdyby nie nauczka, jaką mu dała, Blaise wolałby nie pamiętać, nakazywały mu mieć się na baczności przed śniadymi wojownikami z tego gorącego, suchego kraju, leżącego za górami na zachodzie. Zwłaszcza gdy pojawiali się na

czele ludzi celujących z łuków w jego pierś.

Wyciągnął przed siebie puste ręce i odezwał się podniesionym głosem:

- Pozdrawiam was, corani. Podróżuję po drogach Arbonne. Nie zamierzam nikogo urazić i ufam, że nikomu nie uchybiłem.

Zamilkł, ale nie opuszczał rąk. Kiedyś na turnieju w Aulensburgu pokonał czterech przeciwników, lecz tutaj było ich sześciu, z naciągniętymi łukami.

Arimondańczyk zmusił swego wspaniałego karosza, by postąpił do przodu kilka niespokojnych kroków.

- Corani wiozący zbroję czasami uchybiają innym przez samo swoje istnienie - stwierdził.

- Komu służysz?

Mówił płynnie po arbońsku, prawie bez śladu akcentu. Najwyraźniej czuł się w tym kraju swobodnie. Był też spostrzegawczy. Zbroję Blaise'a, starannie owiniętą w płachtę, niósł juczny kuc; Arimondańczyk odgadł zawartość pakunku na pewno po jego kształcie.

Lecz Blaise także przywykł bacznie obserwować innych, zwłaszcza w takich sytuacjach, i kątem oka spostrzegł, że jeden z łuczników pochyla się, jakby odpowiedź na zadane pytanie miała dla niego wielkie znaczenie.

Blaise grał na zwłokę. Nie miał pojęcia, o co tu chodzi. Banici na drogach to jedno, lecz ci ludzie byli wyraźnie wyszkoleni i równie wyraźnie rościli sobie prawo do kontroli nad tą częścią drogi. Żałował, że przed wyjazdem z Baude nie przyjrzał się pilniej mapie. Dobrze by było wiedzieć, czyje to są ziemie. W gospodzie, w której spędził ostatnią noc, powinien był zadać więcej pytań.

- Podróżuję w pokoju otwartą drogą. Nie chcę wkroczyć na cudzy teren. Jeśli to mi zarzucasz, chętnie zapłacę uczciwe myto - powiedział.

- Zadałem ci pytanie - rzekł beznamytnym tonem Arimondańczyk. - Odpowiedz mi.

Słyszając ten ton, Blaise poczuł, że robi mu się sucho w ustach i że zaczyna go ogarniać znajomy gniew. Miał swój miecz, a przy siodle był przytroczony łuk, lecz jeśli ci trzech mężczyźni za Arimondańczykiem umieli strzelać, to niewielką miałby szansę w walce. Zastanawiał się przez chwilę czyby nie przeciąć linki, którą był przywiązany kuc do jego siwka, i nie rzucić się do ucieczki, ale myśl o porzuceniu zbroi była mu niemal tak samo nienawistna, jak myśl o rejteradzie przed Arimondańczykiem.

- Nie mam zwyczaju opisywać szczegółowo moich spraw obcym z naciągniętymi łukami - odparł.

Arimondańczyk uśmiechnął się powoli, jakby te słowa były niespodziewanym podarunkiem. Nonszalancko, z wdziękiem poruszył lewą dłoń. Wszyscy trzech łucznicy

wypuścili strzały. W następnym momencie juczny kuc Blaise'a padł ze stęknieniem na ziemię. W jego szyi tkwiły dwie strzały, a trzecia wbiła się tuż poniżej, blisko serca. Kuc nie żył. Łucznicy już nałożyli na cięciwy trzy świeże strzały.

Czując, jak krew odpływa mu z twarzy, Blaise usłyszał śmiech Arimondańczyka.

- Powiedz mi - rzekł mężczyzna leniwie - czy zachowasz to, co nazywasz swoimi zwyczajami, kiedy nagi i związany będziesz leżał w pyłe twarzą do ziemi, by mi dostarczyć przyjemności jak kupiony na godzinę chłopiec?

Dwaj pozostali mężczyźni, ci bez łuków, bez żadnych widocznych poleceń rozeszli się w przeciwnych kierunkach, odcinając Blaise'owi obie drogi ucieczki. Zobaczył, że jeden uśmiecha się szeroko.

- Zadałem ci pytanie - ciągnął cicho Arimondańczyk. Wiatr ucichł; głos corana niósł się w spokojnym powietrzu. - Jeśli nie otrzymam odpowiedzi, zginie koń. W czyjej jesteś służbie, przybyszu z północy?

To oczywiście przez brodę Blaise'a; określała go tak, jak wypalone piętno zdradzało złodzieja, a błękitne szaty - kapłana Corannosa. Blaise zaczerpnął powoli tchu i starając się stłumić gniew, poszukał schronienia w cieniu kogoś wielkiego - jak wiele razy ujmował to Rudel.

- Wynajął mnie na jedną porę roku en Bertran de Talair.

Zastrzelili konia.

Lecz Blaise nabrał podejrzeń już przy pierwszym pytaniu, kiedy to jeden z łuczników wyczekiwał z napięciem odpowiedzi. Blaise wyrzucił nogi ze strzemion, zanim jeszcze skończył mówić. Teraz zeskoczył na ziemię z drugiej strony kwiczącego ogiera i jednym ruchem oswobodził łuk oraz pociągnął umierającego konia w dół i ku sobie, żeby móc się za nim schronić. Niemal leżąc na brzuchu, zastrzelił corana wysuniętego najdalej na północ, po czym się odwrócił i zanim trzej łucznicy zdążyli wypuścić kolejne strzały, trafił w szyję corana strzegącego południowego odcinka ścieżki. Wtedy przywarł do ziemi.

Jego konia trafiły jeszcze dwie strzały, a trzecia przeleciała ze świstem nad głową Blaise'a. Przyklęknął na jedno kolano i szybko strzelił dwa razy. Jeden z łuczników umarł, kwicząc jak koń, a drugi padł w milczeniu ze strzałą tkwiącą w gardle. Trzeci mężczyzna się zawahał, otwierając z przerażeniem usta. Blaise nałożył na cięciwę piątą strzałę i strzelił mu spokojnie w pierś. Nim trafiony upadł na ziemię, na ciemnozielonej tunice pojawiła się jaskrawa plama krwi.

Nagle zrobiło się bardzo cicho.

Arimondańczyk się nie poruszył. Jego wspaniały kary rasowy koń stał nieruchomo jak

wyrzeźbiony, chociaż szeroko rozdał chrapy.

- A teraz już mi uchybiłeś - rzekł ciemnoskóry głosem nadal jedwabście miękkim. - Widzę, że potrafisz strzelać z ukrycia. Wyjdź z niego, a przekonamy się, czy jesteś mężczyzną wśród mężczyzn także, kiedy dzierzysz miecz. Zsiądę z konia.

Blaise wstał.

- Zrobiłbym to, gdybym uważał cię za mężczyznę - powiedział. Jego głos brzmiał w jego własnych uszach dziwnie głucho. W głowie czuł nazbyt znajome pulsowanie i nadal towarzyszyła mu wściekłość. - Chcę twojego konia. Jadąc na nim, będę z przyjemnością myślał o tobie.

I z tymi słowami wypuścił szóstą strzałę, trafiając Arimondańczyka w serce.

Mężczyzna zachwiał się od uderzenia i odchylił gwałtownie w tył, kurczowo trzymając się ostatnich sekund życia pod ostro świecącym słońcem. Blaise spostrzegł, że umierający dobywa sztyletu, jednego z tych paskudnie zakrzywionych, wysadzanych klejnotami noży ze swojego kraju, i zaczynając chwiać się w siodle, wbija go głęboko w szyję karego ogiera.

Koń wspiął się na zadnie nogi, kwicząc z wściekłości i strachu, a jeździec spadł na ziemię. Ogier opadł na przednie nogi i natychmiast wspiął się jeszcze raz, wciąż kwicząc i wierzgając. Blaise nałożył na cięciwę ostatnią strzałę i, miotany żalem, skrócił mękę wspaniałego stworzenia. Ogier padł i przetoczył się na bok, jeszcze raz wierzgnął i znieruchomiał.

Blaise obszedł swojego wierzchowca. Cisza panująca na polance była niesamowita; przerywało ją tylko nerwowe rzenie koni łuczników i szum znów nasilającego się wiatru. Uświadomił sobie, że zamilkły wszystkie ptaki.

Jeszcze niedawno wyobrażał sobie, że wiatr Arbonne szumiący w liściach i pnączach szepcze o świeżości i spokoju, o łatwym życiu tutaj, na ciepłym południu. Teraz w przydrożnej trawie leżało sześciu martwych mężczyzn. Nieopodal, na końcu alei wiązów wznosił się potężny łuk, dochowując swoich tajemnic, dawno temu przyozdobiony ponurymi płaskorzeźbami przedstawiającymi wojnę i śmierć.

Blaise'a zaczął opuszczać gniew, zostawiając po sobie dezorientację i mdłości, które zawsze pojawiały się po walce. Po tak wielu latach sama walka rzadko go już teraz peszyła, lecz jeszcze długo po niej Blaise był bezradny, usiłując się pogodzić z tym, do czego był zdolny, kiedy ogarniała go bitewna furia. Spojrzał na Arimondańczyka i pokręcił głową. Przez chwilę chciał do niego podejść i posiekać go na kawałki, by ułatwić zadanie żywiącym się padliną psom, kiedy już nadejdą. Przełknął ślinę i się odwrócił.

Zobaczył wtedy, że do kamienistego brzegu jeziora po drugiej stronie drogi przybija

łódka z białym żaglem. Kadłub zazgrzytał o żwir i na brzeg wysiadła kobieta, której pomagało dwóch mężczyzn. Blaise poczuł jedno mocne uderzenie serca. Kobieta była wysoka, odziana w szkarłat oblamowany srebrem, a na jej ramieniu siedziała sowa.

A potem Blaise przyjrzał się uważniej i już wolny od wspomnień i strachu spostrzegł, że nie jest to najwyższa kapłanka z Wyspy Rian na morzu. Ta kobieta była znacznie młodsza, miała kasztanowe włosy i spoglądała na świat sprawnymi oczyma. Jej ptak nie był też biały jak sowa z morskiej wyspy. Była jednak kapłanką, a towarzyszący jej dwaj mężczyźni i jeszcze jedna kobieta też służyli Rian. To ta żaglówka halsowała przedtem pod wiatr. Za nią, na wyspie, w letnie niebo wciąż wzbijały się trzy pióropusze dymu.

- Masz szczęście - odezwała się kobieta; przeszła powoli przez piasek i żwir i stanęła przed Blaisem na trawie.

Głos miała łagodny, lecz oczy, którymi go lustrowała, były nieruchome i nieprzeniknione. Rozpuszczone włosy spadały ciężką falą na jej plecy. Blaise wytrzymał jej wzrok, pamiętając ślepotę najwyższej kapłanki, która przejrzała go mimo to. Spojrzał na ptaka siedzącego na ramieniu kapłanki i poczuł cień tego samego niepokoju, który odczuwał w lesie na wyspie. To było niemal niesprawiedliwe; po walce był na takie rzeczy podatny.

- Śmiem twierdzić, że tak - powiedział najspokojniej jak potrafił. - Nie mógłbym się spodziewać zwycięstwa nad sześcioma ludźmi. Wygląda na to, że bóg jest dla mnie łaskawy.

Te ostatnie słowa były niemal wyzwaniem.

Kapłanka nie chwyciła przynęty.

- Oraz Rian. Możemy zaświadczyć, że to oni zaatakowali pierwsi.

- Zaświadczyć?

Uśmiechnęła się i ten uśmiech też mu przypomniał najwyższą kapłankę.

- Wyszłoby ci na lepsze, Blaisie z Gorhaut, gdybyś się bardziej interesował sprawami tej części świata.

Nie podobał mu się jej ton i nie wiedział, o czym kapłanka mówi. Zaniepokoił się jeszcze bardziej; postępowanie z kobietami w tym kraju było niewyobrażalnie trudne.

- Skąd znasz moje imię?

Znów ten tajemniczy, pełen wyższości uśmiech, lecz tym razem Blaise się go spodziewał.

- Sądziłeś, że skoro pozwolono ci opuścić Wyspę Rian żywym, uwolniłeś się od bogini? Zapamiętaliśmy cię, przybyszu z północy. Podziękuj nam za to.

- Za co? Że mnie śledzicie?

- Nie śledzimy. Czekaliśmy na ciebie. Wiedzieliśmy, że przybywasz. A co do powodów... wysłuchaj teraz tego, czego już sam powinieneś się dowiedzieć. Przed dwoma tygodniami

hrabina na Barbentain kazała ogłosić edykt, że jakiegokolwiek dalsze zabójstwa między coranami Talair i Miraval będą karane przejęciem własności winnej strony przez koronę. Wieści te roznoszą trubadurzy i duchowni, a wszyscy panowie Arbonne zostali wymienieni z imienia i oficjalnie zobowiązani do, jeśli zajdzie taka potrzeba, narzucenia edyktu siłą. Gdyby nas tu nie było, by stanąć w twojej obronie, być może kosztowałbyś dzisiaj en Bertrana kawałek jego ziemi.

Blaise zmarszczył brwi, częściowo z poczucia ulgi, a częściowo dlatego, że rzeczywiście było to coś, czego powinien się być dowiedzieć wcześniej.

- Wybacz, jeśli nie okażę konsternacji - rzekł. - Muszę przyznać, że bez względu na to, jak dużo zamierza mi płacić, nie ceniłbym jego winnic wyżej od mego życia.

Kapłanka roześmiała się głośno. Była młodsza, niż Blaise sądził z początku.

- Nie musisz się przejmować naszym wybaczeniem... przynajmniej w tej sprawie. Lecz Bertran de Talair to co innego. Mógłby się słusznie spodziewać, że doświadczony coran będzie unikał prowokowania innych, zanim się pojawi na zamku. Jeśli nie zauważyłeś, to wokół jeziora biegnie wschodnia droga, która nie przebiega obok winnic Miraval.

Blaise musiał przyznać, że sytuacja stawała się poniewczasie jasna.

I rzeczywiście, gdyby wiedział, że te ziemie należą do Urtégo de Miraval - albo gdyby chociaż podjął jakiś wysiłek, by się tego dowiedzieć - to z pewnością obrałby inną drogę. Nie było tajemnicą, nawet dla Blaise'a po krótkim pobycie w Arbonne, że, z powodów, które najwyraźniej miały swe źródło w odległej przeszłości, obecni panowie Miraval i Talair za sobą nie przepadają.

Blaise wzruszył ramionami, by ukryć konsternację.

- Jechałem cały dzień, ten szlak wydawał się łatwiejszy. I pomyślałem, że hrabina Arbonne gwarantuje bezpieczeństwo na drogach swojej krainy.

- Barbentain leży daleko stąd, a miejscowa nienawiść zwykle pokonuje ogólne prawa. Mądry podróżnik powinien wiedzieć, gdzie się znajduje, zwłaszcza gdy jedzie samotnie.

To także było prawdą, choć wypowiedziała ją aroganckim tonem osoba tak młoda. Blaise starał się nie skupiać na tej arogancji. Wydawało się, że stanowi ona zbiorową cechę duchownych wszelkiego rodzaju. Jednak kiedyś będzie musiał spróbować zrozumieć, dlaczego nie chce poświęcać więcej uwagi plotkom czy choćby geografii i podziałom ziemi w Arbonne.

Zobaczył, że za plecami kapłanki są wyciągane na brzeg trzy następne żaglówki. Wysiedli z nich mężczyźni i kobiety w szatach Rian i podeszli do leżących w trawie trupów. Zaczęli podnosić ciała i zanosić je do łódek.

Blaise zerknął przez ramię na Arimondańczyka leżącego obok swego zabitego konia, a potem odwrócił się z powrotem do kapłanki.

- Powiedz mi, czy Rian przywita kogoś takiego, jak on?

Nie uśmiechnęła się.

- Czeka na niego - odparła spokojnie kapłanka - tak jak czeka na nas wszystkich. Przywitanie i łaska to zupełnie odmienne kwestie.

Utkwiła w nim spojrzenie ciemnych oczu, aż Blaise odwrócił wzrok i spojrzał za nią, za wyspę na jeziorze, na widoczny na północnym brzegu zamek.

Odwróciła się i podążyła za jego spojrzeniem.

- Zawieziemy cię, jeśli zechcesz. - Zaskoczyła go tą propozycją. - Chyba że chcesz sobie wziąć któregoś z ich koni?

Blaise pokręcił głową.

- Jedyny wart posiadania zginął z ręki własnego jeźdźca. - Nagle poczuł cierpkie rozbawienie. - Będę wdzięczny za podwiezienie. Czyż nie wydaje się stosowne... bym przybył do zamku Talair łodzią bogini?

- Bardziej stosowne, niż sądzisz - odparła.

Na jej gest dwóch kapłanów podeszło do martwego kuca, by zabrać zbroję i dobytek Blaise'a. On sam zdjął siodło ze swego wierzchowca i po trawie i kamieniach poszedł za wysoką, szczupłą kapłanką do jej żaglówki.

Kapłani umieścili na pokładzie jego dobytek, po czym łódka została odepchnięta od brzegu i mając w żaglu zachodni wiatr, a za rufą niskie słońce, pomknęła po wodach Jeziora Dierne.

Kiedy się zbliżyli do zamku, Blaise zauważył doświadczonego okiem, jak dobrze jest broniony; zawieszony na skale nad jeziorem, z trzech stron był otoczony wodą, a od północy strzegła go głęboka fosa. Na pomoście czekała na nich grupka mężczyzn. Zacumowała do niego już inna łódka, z dwoma kapłanami i kapłanką na pokładzie, a więc wieści ich wyprzedziły. Kiedy się zbliżyli, Blaise rozpoznał Valery'ego, kuzyna Bertrana, a potem, ku jego zaskoczeniu, do przodu postąpił sam Bertran i zręcznie chwycił linę, rzuconą z dziobu przez kapłana.

Książę Talair przykucnął, by przywiązać łódkę do żelaznego kółka wpuszczonego w drewno pomostu, a potem się wyprostował i spojrzał z kamiennym wyrazem twarzy na Blaise'a. W jego spojrzeniu nie było ani cienia niesamowitej, nocnej intymności z ich ostatniej rozmowy. Dwadzieścia trzy lata, przypomniał sobie nagle Blaise. Ostatnie słowa tego mężczyzny, wypowiedziane w mroku klatki schodowej, a dotyczące bliskiej mu dawno

temu kobiety: „To dłużej, niż sądziłem, że będę żył”.

- Witaj w Talair - rzekł Bertran. W jasnym świetle było wyraźnie widać bliznę na jego policzku. Był ubrany bardzo podobnie jak wtedy, kiedy przybył do Baude, w strój corana przeznaczony do noszenia na dworze. Głowę miał odkrytą, włosy rozczochrane przez wiatr. Uśmiechnął się kącikiem ust. - Jak to jest zyskać wroga jeszcze przed zameldowaniem przybycia?

- Mam swój przydział wrogów - odparł łagodnie Blaise. Już się uspokoił; rejs przez jezioro i wspomnienie ciemnych schodów w Baude rozproszyły resztki jego bitewnego nastroju. - Jeden więcej czy mniej nie powinien mieć wielkiego znaczenia. Bóg mnie wezwie, kiedy będzie gotów. - Te ostatnie słowa wypowiedział lekko podniesionym głosem, by usłyszał je także ktoś inny. - Czy rzeczywiście sądzisz, że księżę Miraval będzie sobie zawracał głowę nienawiścią do mnie za to, że, zaatakowany, broniłem swego życia?

- Urté? To możliwe - odparł rzeczowym tonem Bertran. - Chociaż nie myślałem o nim. - Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby chciał to wyjaśnić, ale się odwrócił i ruszył w stronę zamku. - Chodź - rzucił przez ramię. - W środku jest mięso i coś do picia, a potem pomożemy ci wybrać sobie jakiegoś konia ze stajni.

Siwiejący, szeroki w barach Valery postąpił do przodu i wyciągnął rękę. Blaise wahał się przez moment, a potem chwycił ją i podciągnął się na pomost. Trzej pozostali mężczyźni wynieśli jego rzeczy z żaglówki. Blaise odwrócił się do niej. Cuma już została oddana i łódka zaczęła sunąć po wodzie. Młoda kapłanka stała odwrócona do niego plecami, ale w tej chwili, jakby świadoma jego wzroku, odwróciła się.

Nic nie powiedziała, podobnie jak Blaise, ponieważ odległość między żaglówką a brzegiem powoli rosła. Włosy kapłanki lśniły w jeszcze ciepłym blasku zachodzącego słońca. Sowa siedząca na jej ramieniu patrzyła ku zachodowi. „Bardziej stosowne, niż sądzisz”, powiedziała na tamtym zachodnim brzegu, odpowiadając na jego próbę ironii całkowitą powagą. Nie rozumiał, co miała wtedy na myśli, w ogóle tego nie rozumiał, i znów zabłysła w nim iskra gniewu. Chciał się pożegnać i podziękować, lecz zamiast tego patrzył jeszcze chwilę na kapłankę, a potem obojętnie się odwrócił.

Kuzyn Bertrana, Valery, czekał na niego. Miał cierpką minę.

- Sześciu ludzi? - odezwał się. - Można powiedzieć, że nie przybywasz spokojnie.

- Pięciu oraz pederasta z Arimondy - odparł zwięźle Blaise. Jego gniew już prawie zniknął; najbardziej dokuczało mu zmęczenie. - Jechałem spokojnie drogą. Zastrzelili pode mną konia.

- Ten Arimondańczyk - mruknął Valery, patrząc na oddalającą się żaglówkę. -



Przypomnij mi później, żebym ci o nim opowiedział.

- Po co? - zapytał Blaise. - On już nie żyje.

Valery przez chwilę patrzył na niego z zaciekawieniem, a potem wzruszył ramionami. Odwrócił się i ruszył do zamku. Blaise się z nim zrównał. Przeszli przez pomost, a potem weszli na węższą, coraz bardziej stromą ścieżkę, prowadzącą do zamku Talair. Dotarli pod ciężkie, otwarte wrota, i weszli do środka przy dźwiękach muzyki.

## CZEŚĆ 2

# Letnie Przesilenie

## ROZDZIAŁ 4

Idąc szybkim krokiem przez zatłoczone ulice i rzucając wesołe odpowiedzi znajomym i niektórym nieznanym, Lisseut wciąż sobie przypominała, dlaczego Letni Karnawał w Tavernel jest jej ulubioną porą roku. Kolory, tłumy i światło, świadomość zakończenia objazdu w danym sezonie i chwili przerwy, nim zacznie się następny, zawiąs i oś roku. Letnie przesilenie to był czas między czasami, przestrzeń w okręgu roku, gdzie wszystko znajdowało się w zawieszeniu, kiedy wszystko mogło się wydarzyć lub było dopuszczalne. Po zapadnięciu nocy, pomyślała, to na pewno stanie się prawdą na rozmaite sposoby.

Wyskoczyła przed nią zamaskowana postać w zieleniach i jaskrawych żółciach z szeroko rozłożonymi rękami; warkliwym głosem kolidującym z ptasim przebraniem mężczyzna zażądał, ku uciesze przechodniów, całusa. Omijając go zręcznie, Lisseut wywinęła mu się piruetem.

- Pocałowanie śpiewaczki przed zachodem słońca przynosi pecha! - zawołała przez ramię.

Wymyśliła to przed dwoma laty; najwyraźniej pomagało. A po zachodzie słońca przebywała zwykle z przyjaciółmi i dzięki temu miała ochronę przed każdym, kto by rościł sobie prawo do odroczonego buziaka.

Co prawda takie roszczenia nigdy nie będą stanowiły poważnego problemu. Nie tutaj i nie dla niej - teraz już znało ją zbyt wielu ludzi, a nawet wśród najbardziej szalonych studentów zonglerzy i trubadurzy mają w Tavernel wysoką pozycję, szczególnie podczas Karnawału. Była to rozpustna pora roku, niemniej miała swoje hierarchie i zasady.

Kiedy Lisseut przecinała Plac Świątynny, gdzie srebrzyste kopuły głównego sanktuarium Rian stały naprzeciwko kwadratowych, złotych wież najważniejszego przybytku Corannosa, południowy wiatr przyniósł z portu niemal zapomniany zapach soli. Lisseut się uśmiechnęła, zadowolona, że znów jest nad morzem po długim zimowym i wiosennym objeździe w głębi lądu i górach. Kiedy dotarła do przeciwległego skraju placu, ogarnął ją nagle aromat przyrządzanego jedzenia i przypomniała sobie, że nie jadła od południa spędzonego na drodze. Bardzo łatwo jest zapomnieć o jedzeniu, kiedy człowiekowi śpieszy się do miasta ze świadomością, jak wielu niewidzianych od roku przyjaciół przybędzie tego dnia i nazajutrz. Zapachy jednak przypomniały jej, że umiera z głodu. Skoczyła do jadłodajni i po chwili wyszła z niej, pogryzając nóżkę pieczonego kurczęcia i uważając, by nie poplamić kapiącym

tłuszczem nowej tuniki.

Tunika ta była jej prezentem dla samej siebie po bardzo udanej wiosnie spędzonej wśród wschodnich wzgórz, najlepszym objeździe ze wszystkich dotychczasowych. Najpierw dwa tygodnie w świątyni bogini, a potem w wyniosłym zamku Ravenc, gdzie Gaufroy de Ravenc był niezwykle hojny dla niej i Alaina z Rousset, trubadura, z którym w tym sezonie stworzyła zespół. Spędzała tam spokojne noce w pokoju z cudownie miękkim łóżkiem, który miała wyłącznie dla siebie, ponieważ en Gaufroy wyraźnie wolał od jej wdzięków wdzięki Alaina. Lisseut to odpowiadało; kiedy nadeszła pora odjazdu, zręczne wiersze Alaina, jej własny śpiew i to, co się działo nocą w pańskich komnatach, sprowadziło na Gaufroya nastrój nadzwyczajnej hojności.

Kiedy kilka dni później rozstawała się na krótko z Alainem w Rousset - przed przybyciem do Tavernel on zamierzał spędzić jakiś czas z rodziną, a ona była umówiona na występ w sanktuarium Corannosa pod Gavelą - bardzo pochlebnie wyrażał się o jej pracy i zaprosił Lisseut, by przyłączyła się do niego w przyszłym roku na tę samą trasę. Łatwo się z nim pracowało, a jego pieśni były dobrze skonstruowane, choć może niezbyt natchnione, i Lisseut zgodziła się bez wahania. Kilku innych trubadurów mogłoby dać żonglerowi bogatszy, bardziej wymagający materiał - Jourdain, Aurelian, na pewno Remy z Orreze - lecz wiele przemawiało za swobodną życzliwością Alaina, a jego nocne umiejętności wykorzystywane przez kapłanów i panów w pewnych świątyniach i zamkach też miały dla Lisseut swoją wartość. Uważała, że została zaszczycona tym zaproszeniem; był to jej pierwszy powtórny kontrakt po trzech latach spędzonych w drodze, a żonglerzy z Arbonne walczyli i spiskowali, by zdobyć takie zaproszenia od co bardziej znanych trubadurów. Miała przypieczętować umowę z Alainem w siedzibie gildii podczas Karnawału. W tym tygodniu zostanie wynegocjowane i przypieczętowane mnóstwo kontraktów; był to jeden z powodów, dla których właściwie wszyscy muzycy starali się tu przybyć.

Istniały oczywiście też inne przyczyny; Karnawał, tak jak wszystkie obrzędy pełni lata, był poświęcony Rian, a bogini z kolei była patronką i strażniczką całej muzyki w Arbonne, a zatem wszystkich wędrownych muzyków, którzy przemierzali kraj wzdłuż i wszerz po zakurzonych drogach, śpiewając pieśni i układając je w imię miłości. Do Tavernel w połowie lata przybywało się także po to, by złożyć hołd Rian.

Co powiedziawszy, należało się zgodzić, że Karnawał stanowił zarazem najbardziej szaloną, najmniej powściągliwą, najprzyjemniejszą porę roku dla każdego, kto nie był w żałobie, niesprawny lub martwy.

Lisseut obgryzała nóżkę, zatrzymała się, by z drobiazgową starannością wytrzeć ręce w

fartuch korpulentnego, szczerzącego w uśmiechu zęby sprzedawcy owoców, i kupiła od niego pomarańczę. Potarła ją szybko o jego krocze na szczęście, wywołując wśród tłumu sprośny śmiech, a u sprzedawcy jęk udawanego pożądanego. Roześmiana, zadowolona, że żyje, jest młoda i jest śpiewaczką w Arbonne, Lisseut szła dalej w stronę portu; skręciła w prawo w pierwszą przecnicę i ujrzała huśtający się nad ulicą znajomy, ulubiony szyld „Liensenne”.

Jak zawsze czuła się tak, jakby wracała do domu. Dom oczywiście znajdował się w Vezét, leżącym na wybrzeżu dalej na wschód, ze słynnymi gajami oliwnymi wspinającym się na wzgórze za miastem, lecz pierwotna „Tawerna w Tavernel”, dla której przed wielu laty napisał swoją pieśń Anselme z Cauvas, była dla wszystkich muzyków Arbonne jakby drugim domem. Marotte, właściciel, służył swego czasu jako zastępczy ojciec i powiernik połowie młodszych żonglerów i poetów - łącznie z samą Lisseut, kiedy pożegnała się z rodzicami i domem i wyruszyła za swoim trubadurem w drogę, wierząc, że jej głos i muzyka ją nakarmią, a odziedziczony po matce zdrowy rozsądek utrzyma przy życiu. Było to przed niecałymi czterema laty. Wydawało się, że upłynęło ich znacznie więcej. Szeroko uśmiechnięta, zawiadacko uchyliła ozdobionego piórkiem kapelusza przed namalowaną na szyldzie postacią grającą na lutni - podobno był to wizerunek samego Folqueta de Barbentain, pierwszego hrabiego-trubadura - skinieniem głowy skwitowała puszczenie do niej oka przez jednego z kilku graczy w „rzuć monetę” przed drzwiami tawerny i weszła do środka.

W tej samej chwili zrozumiała, że popełniła błąd.

Zrozumiała to, zanim jeszcze radosne, piskliwe wycie tryumfu Remy’ego zaatakowało jej uszy, przebijając się przez harmider, i zanim jeszcze stojący obok Remy’ego Aurelian zaintonował: „Dziewięć!” głosem głębokim jak dźwięk trąb zagłady, i zanim jeszcze ujrzała zarumieniony, rozbawiony tłum muzyków, trzymających do góry nogami nad przekłętą miednicą z wodą ociekającego nią, wąsatego, wściekłego protestującego Arimondańczyka i przygotowujący się, by znów go zanurzyć. Zanim jeszcze grupka graczy w „rzuć monetę” weszła do tawerny tuż za nią, rechocząc z radości.

Przecież znała tę tradycję, na święte imię Rian! O czymże myślała? Jak jakaś głupkowata wieśniaczka, kiwnęła nawet głową ludziom zgromadzonym przed tawerną i czekającym na wejście rytualnej dziewiętej osoby, żeby mogli już bezpiecznie wejść za nią. Sympatyczna, prostoduszna Lisseut, radośnie kiwająca głową po drodze do kąpieli, którą podobno aplikowano tylko nieświadomym.

I oto szybko zbliżał się do niej Remy, który wyglądał, co bardzo niesprawiedliwe, wprost wspaniale ze swoimi jasnymi puklami opadającymi na spotniałe czoło i niebieskimi oczyma wręcz błyszczącymi z radości. Za nim podążali Aurelian, Jourdain i Dumars, a nawet - o,

perfidio! - roześmiany Alain, jej niegdysiejszy partner, i z pół tuzina innych, w tym Elisse z Cauvas, którą ten niespodziewany rozwój wypadków bawił tak bardzo, jak można się było tego spodziewać. Lisseut zauważyła kpiący uśmiech Elisse i po raz kolejny wściekle przeklęła własną głupotę. Rozejrzała się gorączkowo w poszukiwaniu jakiegoś sprzymierzeńca, spostrzegła za barem Marotte'a i na cały swój wielce ceniony głos zawołała o pomoc.

Uśmiechając się od ucha do ucha, jej zastępczy ojciec pokręcił głową. Żadnej pomocy z tej strony. Nie w letnie przesilenie w Tavernel. Lisseut szybko się odwróciła do Remy'ego i posłała mu swój najbardziej ujmujący, czarujący uśmiech.

- Witaj, mój drogi - zaczęła słodko. - Jak się ostatnio...

Nie dokończyła. Pełnym wdzięku ruchem Remy z Orreze, jej były kochanek - były kochanek wszystkich kobiet, jak ktoś kiedyś powiedział, choć bez goryczy - wśliznął się zręcznie pod jej instynktownie uniesioną w obronnym geście rękę, podstawił bark pod tułów i uniósł Lisseut w powietrze, zanim śpiewaczka mogła choćby spróbować przedstawić jakiś choć trochę wiarygodny powód, dla którego nie powinna zostać zanurzona w wodzie. Kilkanaście par rąk, z przodu i z tyłu, ochoczo pomogło Remy'emu unieść ją i zanieść niczym ofiarę Starożytnych do stojącej przy barze miednicy.

Co roku! - myślała Lisseut, trzymana zbyt mocno, by choćby się szamotać. Robimy to co roku! Gdzie ja podziałam rozum?

W otaczającym ją chaosie zauważyła, że Aurelian już się odwrócił ku drzwiom, by wrócić do liczenia. Remy trzymał ją w pasie i łaskotał, co było niewybaczalne, wzięwszy pod uwagę, co powinien o niej pamiętać. Przeklinając i chichocząc bezsilnie, Lisseut poczuła, że wymachując rękami na wszystkie strony, uderzyła w coś łokciem, i w następnej chwili niepomrotnie się ucieszyła, że Elisse zachwiała się do tyłu, klnąc jak żołnierz i trzymając się za głowę. Łokciem musiała pokierować święta Rian; w pomieszczeniu nie było nikogo innego, kogo Lisseut chciałaby uderzyć! No, może z wyjątkiem Remy'ego. Często nachodziła ją chęć uderzenia Remy'ego z Orreze. Nachodziła ona wielu z nich, kiedy nie słuchali uważnie jakiegoś lubianego zonglera, śpiewającego jego najnowszą pieśń.

Lisseut zobaczyła zbliżającą się miednicę i poczuła, że jest odwracana do góry nogami. Kapelusz z piórkiem, który także był nowy, oraz drogi, spadł jej z głowy, by niewątpliwie zostać zdeptanym przez gęsty, rozwrzeszczany tłum. Poprzez krzywiznę szybko odwracającego się świata spostrzegła, jak jej ociekający wodą poprzednik z Arimondy jest bezceremonialnie odpychany na bok. Wciąż wyzywając się od zaślepionych głupców, Lisseut zaczerpnęła szybko tawernianego powietrza, mocno zacisnęła powieki i poczuła, że zanurzają ją w wodzie.

To nie była woda.

- Marotte! - krzyknęła, parszkając i łapiąc powietrze, kiedy w końcu ją podniesiono. - Marotte, czy wiesz, co on zrobił? To nie jest...

- W dół! - zarządził Remy, rechocząc.

Lisseut gorączkowo nabrała tchu tuż przedtem, nim znów ją zanurzyli.

Trzymali ją w tej pozycji dłuższą chwilę. Kiedy się w końcu wynurzyła, ledwie zdołała wykręcić szyję w stronę baru i wychrypieć:

- To jest wino, Marotte! Musujące caucas! On wziął...

- W dół! - znów wrzasnął Remy, ale Lisseut zdążyła jeszcze usłyszeć ryk oburzenia Marotte'a.

- Co? Caucas? Remy, obedrę cię żywcem ze skóry! Kąpiesz ludzi w moim najlepszym...?

Z powrotem wepchnięta do wina, Lisseut nie usłyszała reszty, ale drobny, wewnętrzny błysk satysfakcji sprawił, że lepiej zniosła to ostatnie zanurzenie. Pociągnęła nawet szybki łyk wina, zanim ją wyjęli po raz trzeci i ostatni. Młodzi żonglerzy nieczęsto próbowali musującego złocistego caucas, nawet wzięwszy pod uwagę fakt, że zanurzenie głową w miednicę pełnej tego wina po wypomadowanym i wyperfumowanym Arimondańczyku nie stanowiło sposobu degustacji polecanego przez koneserów.

Kiedy ją wyciągnęli i postawili na nogi, Lisseut akurat zdążyła zobaczyć, jak poczerwieniały na twarzy Marotte ściera się ponad kontuarem z Remyem.

- Karnawałowa dziesięcina, Marotte! - mówił z szelmowskim błyskiem w oku jasnowłosego ulubieniec trubadurów. - W tym tygodniu zarobisz na nas wszystkich tyle, że pokryjesz koszt zawiązką.

- To bluźnierstwo, ty szaleńcze! - ostro zaprotestował Marotte, wyglądając na tak oburzonego, jak tylko mógł wyglądać miłośnik dobrych win. - Wiesz, ile kosztuje caucas? I ile butelek tu zmarnowałeś? Jak, w imię Rian, dostałeś się do moich piwnic?

- Doprawdy, Marotte - odparł Remy z wyniosłą, przesadną wzdargą - naprawdę sądziłeś, że powstrzyma mnie kłódka?

Kilka osób się roześmiało.

- Siedem! - odezwał się lakonicznie Aurelian, przebijając się swoim niskim głosem przez gwar panujący w pomieszczeniu.

Wszyscy - łącznie z Lisseut, która energicznie wycierała twarz i włosy ręcznikiem uprzejmie podanym przez jedną z dziewczek - zwrócili się wyczekująco w stronę drzwi. Do środka wszedł młody, rudowłosy student, zamrugał, zdumiony skierowanymi na niego badawczymi spojrzeniami, i niepewnie podszedł do baru. Zamówił dzban piwa. Nikt nie

zwrócił na niego uwagi. Wszyscy obserwowali wejście.

Nie musieli długo czekać. Jako ósmy wszedł barczysty coran w średnim wieku. Tak się składało, że kilkoro obecnych w tawernie, łącznie z Lisseut, bardzo dobrze go znało. Zanim jednak śpiewaczka zdążyła sobie uświadomić potworność tego, co miało zaraz nastąpić, i zareagować, przez drzwi przeszedł już następny, dziewiąty klient.

- O, najdroższy boże! - mruknął właściciel tawerny Marotte, bardzo nietypowo odwołując się do Corannosa.

W nagle zapadłej ciszy jego głos zabrzmiał bardzo donośnie.

Dziewiątym przybyłym był książę Bertran de Talair.

- Dziewięć - powiedział Aurelian, niepotrzebnie potwierdzając fakt. Głos miał ściszony, niemal nabożny. Zwrócił się do Remy'ego. - Ale naprawdę nie uważam... - zaczął.

Remy z Orreze już ruszył do przodu; jego przystojna twarz lśniła od potu, a w niebieskich oczach, na które spadały wilgotne kędziory, zapłonęła dzika radość.

- W górę go! - zawołał. - Wszyscy znamy zasady: dziewiąty zostaje zanurzony w imię Rian! Chwycić księcia de Talair!

Zrozumiawszy, o co chodzi, Valery, ten coran, kuzyn Bertrana i jego stary przyjaciel, nawet odsunął się na bok, szeroko uśmiechnięty. Sam książę, który też zaczynał się śmiać, uniósł obie ręce, chcąc powstrzymać szybko zbliżającego się Remy'ego. Po piętach deptał mu Jourdain, bardzo już pijany, a za nim, nieco bardziej ostrożnie, podążali Alain, Elisse i garstka innych. Lisseut, która z niedowierzania aż otworzyła usta, uświadomiła sobie, że Remy naprawdę to zrobi: zamierzał podnieść rękę na jednego z najpotężniejszych ludzi w Arbonne i zanurzyć go w miednicy z wodą. Poprawka, pomyślała: w miednicy ze szlachetnym, obłąkańczo drogim musującym cauvas. Remy - szalony, przeklęty, błogosławiony, niemożliwy Remy - zamierzał to zrobić.

I tak by się stało, gdyby w tym momencie nie wyszedł zza pleców Bertrana jeszcze jeden mężczyzna, odziany w barwy Talair - błękit na błękit - z rudobrazową brodą i rysami twarzy, które wyraźnie świadczyły o tym, że pochodzi z Gorhaut, i nie wymierzył nagiego miecza w pierś Remy'ego.

Siła beztroskiego, zawrotnego rozpędu niosła go po śliskiej podłodze zbyt szybko, żeby się zatrzymał. Ze swego miejsca obok miednicy Lisseut widziała wszystko wyraźnie - i aż uniosła dłonie do ust. Bertran szybko wypowiedział jakieś imię, lecz jeszcze przedtem mężczyzna z mieczem przesunął ostrze w bok. Jednak nie do końca - czubek zahaczył lewe ramię Remy'ego.

Zranił go do krwi. Lisseut była niemal pewna, że mężczyzna chciał go zranić. Zobaczyła,



jak jej były kochanek niezręcznie, chwiejnie się zatrzymuje i chwyta za rękę nad łokciem. Kiedy otworzył dłoń, była poznaczona strużkami szkarłatu. Lisseut nie widziała wyrazu jego twarzy, lecz łatwo było go odgadnąć. Wśród muzyków i studentów zebranych w „Liensenne” podniósł się zbiorowy pomruk gniewu. Zakaz dobywania broni w tawernach był tak stary jak uniwersytet; w gruncie rzeczy to między innymi dzięki temu zakazowi uniwersytet przetrwał. A Remy z Orreze, mimo jego niemożliwego zachowania, był jednym spośród muzycznej braci. Właściwie był jednym z jej przywódców, a rosły mężczyzna, który właśnie zranił go mieczem, pochodził z Gorhaut.

W tej pełnej napięcia chwili, kiedy sytuacja w tawernie mogła się stać naprawdę groźna, Bertran de Talair się roześmiał.

- Doprawdy, Remy - powiedział. - Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, chociaż Valery mógłby z wielką przyjemnością zawiesić swój zdrowy osąd na tyle długo, by zobaczyć, jak mnie zanurzacie.

Zerknął z ukosa na kuzyna, który, o dziwo, się zaczerwienił. Brodaty mężczyzna dotąd nie schował miecza. Teraz to uczynił na skinienie głowy de Talaira.

- Myślę, że Aurelian chyba usiłował ci to właśnie powiedzieć - ciągnął en Bertran.

Chudy, ciemnowłosy Aurelian rzeczywiście pozostał przy barze, niedaleko od Lisseut. Nic nie mówił, obserwując rozgrywającą się scenę.

- Znasz zasady Karnawału - rzekł z uporem Remy, wysoko unosząc brodę. - A twój wynajęty cham z północy właśnie złamał miejskie prawa Tavernel. Mam na niego złożyć skargę do seneszała?

- Prawdopodobnie - odparł lekceważąco Bertran. - I złożę też skargę na mnie. Zanim tu weszliśmy, powinienem być powiedzieć Blaise'owi o prawach związanych z posługiwaniem się mieczem. Złóż skargę na nas obu, Remy.

Remy roześmiał się głucho.

- Dużo by mi przyszło z postawienia księcia de Talair przed sądem. - Przerwał, ciężko oddychając. - Bertranie, kiedyś będziesz musiał się zdecydować: jesteś jednym z nas czy księciem Arbonne? Właściwie powinienes teraz wisieć do góry nogami nad tą miednicą i dobrze o tym wiesz.

Szczerze rozbawiony, nie zwracając uwagi na tupet Remy'ego, który zwrócił się do niego tylko po imieniu, z pominięciem tytułu, de Talair znów się roześmiał.

- Nie powinienes być przerywać studiów, mój drogi. Wielce by ci się przydało trochę więcej retoryki. W życiu nie słyszałem o tak fałszywej dychotomii.

Remy pokręcił głową.

- To jest prawdziwy świat, a nie chmurna kraina snów jakiegoś uczonego. W prawdziwym świecie trzeba dokonywać wyborów.

Lisseut ujrzała wtedy, jak wyraz rozbawienia na twarzy księcia ustępuje czemuś innemu i nawet z tej odległości zmroziło ją to, co zobaczyła. Zupełnie jakby tolerancja de Talaira dotarła do granic wytrzymałości.

- A ty zamierzasz mi teraz powiedzieć - odezwał się zimno do Remy'ego z Orreze - jak toczą się sprawy w prawdziwym świecie? Przy dwóch Arimondańczykach, których tu widzę, oraz przy całym stoliku Portezzan, z których żadnego nie znam, i przy Götzlandczyku, stojącym przy barze, oraz przy, bogini wie, jak wielu innych na górze w sypialniach Marotte'a... zamierzasz mi powiedzieć, że w prawdziwym świecie, jakim postanowiłeś go sobie wyobrazić, księżę Arbonne powinien w tej chwili dać się zanurzyć w beczce wody? Mogę czasami tolerować bezczelność, ale obawiam się, że nie mogę jej ulegać. Pomyśl, chłopcze. Wytrzeźwiej nieco i posłuż się rozumem.

- To nie jest woda - ktoś powiedział.

W ponurą ciszę, jaka zaległa po słowach księcia, wśliznął się niepewny śmiech. Lisseut zobaczyła, że na kark Remy'ego wypelza szkarłatny rumieniec. Zerknęła na Aureliana; patrzył na nią. Wymienili spojrzenia pełne niepokoju i troski.

- On napełnił miednicę złocistym cauvas, panie - dodał Marotte, wychodząc szybko z baru i usiłując rozładować atmosferę. - Jeśli chcesz, żeby znów spłynął krwią, z przyjemnością zgłaszam się na ochotnika.

- Cała miednica cauvas? - En Bertran znów się uśmiechał. - Jeśli to prawda, to być może postąpiłem zbyt pochopnie. Może jednak powinienem się pozwolić zanurzyć! - Rozległ się pełen ulgi śmiech; Lisseut stwierdziła, że lżej oddycha. - No, Remy - dodał księżę - ja kupię nam butelkę, a Blaise zajmie się twoją zranioną ręką.

- Nie, dziękuję - odrzekł z dumą Remy. Lisseut pokręciła z rozdrażnieniem głową. - Sam się nią zajmę. - Przerwał na chwilę. - I tak się składa, że podczas Karnawału wolę pić z innymi muzykami, a nie z księżętami Arbonne.

Z wysoko uniesioną głową odwrócił się do Bertrana plecami, przeciął salę i wyszedł drzwiami obok kontuaru, prowadzącymi do pokojów na tyłach tawerny. Minał Lisseut, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi. Chwilę później Aurelian posłał Bertranowi przepaszający grymas, wzruszył ramionami, patrząc na Lisseut, i wyszedł za Remyem, biorąc po drodze od Marotte'a dzbanek z wodą i czyste ręczniki. To wszystko jest bardzo interesujące, pomyślała Lisseut. Przed dziesięcioma minutami Remy z Orreze całkowicie panował nad salą i kształtował nastrój późnego karnawałowego popołudnia. Teraz nagle

wydawał się ledwie młodym pijakiem, a mimo przepelnionej dumą godności, z jaką wyszedł, jego ostatnie słowa zabrzmiały bardzo dziecinnie. Uświadomiła sobie, że on też zdawał sobie z tego sprawę, co zapewne tłumaczyło, dlaczego pod koniec przemowy do jego głosu wkradł się ton niezadowolenia.

Właściwie zrobiło się jej go żal, i to nie z powodu rany, która i tak nie wyglądała na poważną. Doskonale wiedziała, jak bardzo Remy'emu by się nie podobało, że się nad nim lituje. Uśmiechając się w duchu, Lisseut radośnie postanowiła koniecznie mu o tym później powiedzieć - jako pierwszy krok w odwecie za zniszczoną tunikę i zdeptany kapelusz. Sztuka Remy'ego może i wywołuje szacunek oraz podziw, a jego szaleńcze poczucie humoru i pomysłowość pozwoliły im wszystkim spędzić wiele pamiętnych wieczorów i nocy, lecz nie oznaczało to, że nie można na nim dokonywać drobnych aktów zemsty.

Zerknąwszy w stronę księcia, Lisseut zauważyła, że brodaty coran rozgląda się po sali pełnej muzyków z nieskrywaną pogardą. Nagle zrobiło jej się przykro, że to właśnie on zranił Remy'ego. Nikomu nie powinno być wolno dobyć broni w tej tawernie przeciwko trubadurowi, a potem mieć takiej miny; szczególnie nikomu obcemu, a zwłaszcza komuś z Gorhaut. „Dopóki nie zgaśnie słońce i nie spadną księżyce, Gorhaut i Arbonne nigdy nie będą leżeć spokojnie obok siebie”. Tak mawiał jej dziadek, a ojciec nadal cytował te słowa, często po powrocie z Jesiennego Jarmarku w Lussan z pieniędzmi zarobionymi na sprzedaży oliwek i oliwy kupcom z północy.

Coraz bardziej rozgniewana Lisseut patrzyła na rosnącego corana z północy, bardzo chcąc, by ktoś z obecnych coś mu powiedział. Patrząc na nich wszystkich z góry dzięki swemu wzrostowi, wyglądał na nieznośnie zadowolonego z siebie. Tylko Aurelian był tak samo wysoki, lecz wyszedł z Remyem, a poza tym szczupły muzyk, mimo całej swojej skromnej błyskotliwości, nie byłby w stanie pognać tego mężczyzny. Wzruszając ramionami, co było bardziej charakterystycznym gestem, niż Lisseut zdawała sobie sprawę, śpiewaczka sama wystąpiła do przodu.

- Jesteś arogancki - odezwała się do przybysza z północy - i nie powinienes wyglądać na tak zadowolonego z siebie. Jeśli nie chce ci tego powiedzieć twój pan, będzie to musiał zrobić ktoś z nas: człowiek, którego właśnie zraniłeś, być może dał się ponieść żartobliwemu nastrojowi Karnawału, ale jest dwa razy więcej wart od ciebie, z mieczem czy bez niego, i pamięć o nim przetrwa na tym świecie długo potem, kiedy ty zamienisz się w proch i zostaniesz zapomniany.

Najemnik - Blaise, jak mówił o nim książę - zamrugał, zaskoczony. Z bliska wydawał się młodszy, niż Lisseut początkowo sądziła, a jego oczy właściwie miały nieco inny wyraz, niż

jej się wydawało, kiedy stała przy barze. Nie bardzo wiedziała, jak go określić, ale raczej nie była to wyniosłość. Bertran de Talair uśmiechał się szeroko, podobnie jak, co było dość nieoczekiwane, Valery. Lisseut, uświadomiwszy sobie ich spojrzenia, przypomniała sobie raptem, że ocieka winem - od splątanych włosów do pasa - i że jej nowa bluzka prawdopodobnie okropnie wygląda i przylega do jej ciała znacznie bardziej, niż powinna, wzięwszy pod uwagę zwykłą przyzwoitość. Dziewczyna poczuła, że się czerwieni; miała nadzieję, że nie zostanie to odczytane jako fala gniewu.

- No i proszę, Blaise - mówił książę. - Proch i zapomnienie. Kolejny to dowód dla ciebie - jeśli kiedykolwiek go potrzebowałeś - jak straszne są nasze kobiety, zwłaszcza po potrzymaniu głową w dół. Co by się z nią stało w Gorhaut? Powiedz nam, bardzo cię proszę.

Przez długą chwilę brodaty coran milczał, patrząc na Lisseut. Jego oczy miały dziwny orzechowy kolor, w świetle lamp niemal zielony.

- Za takie odezwanie się do namaszczonego corana boga w miejscu publicznym - powiedział niemal z niechęcią, lecz wyraźnie - kobieta zostałaby obnażona do pasa i wychłostana po brzuchu i plecach przez królewskich urzędników. Potem, gdyby przeżyła, obrażony przez nią mężczyzna mógłby postąpić wedle własnej woli. Jej mąż, gdyby go miała, mógłby się z nią rozwieść bez żadnych konsekwencji, czy to prawnych, czy ze strony duchownych Corannosa.

Zapadła cisza. Było w niej coś zabójczego, niczym lód na dalekiej północy, nieskończenie sprzecznego z duchem Karnawału. „Dopóki nie zgaśnie słońce i nie spadną księżycy...”.

Lisseut nagle poczuła się słabo, zadrżały jej kolana, lecz zmusiła się do patrzenia prosto w oczy przybysza.

- A zatem co robisz tutaj? - zapytała śmiało, mistrzowsko panując nad głosem dzięki mozolnym ćwiczeniom wykonywanym podczas terminowania u wuja. - Wracaj tam, gdzie możesz robić coś takiego kobietom, które mówią to, co myślą, albo bronią przyjaciół. Gdzie mógłbyś zrobić ze mną, co chcesz, i nikt by ci się nie przeciwstawił.

- Właśnie, Blaise - dodał Bertran de Talair, nadal z niewiadomych powodów rozbawiony.  
- Wracaj.

Chwilę później rosły mężczyzna zaskoczył Lisseut. Usta drgnęły mu w cierpkim uśmiechu. Pokręcił głową.

- Człowiek, który mi płaci, zapytał mnie, co by się z tobą stało w Gorhaut - odpowiedział dość łagodnie, patrząc prosto na Lisseut, nie na księcia. - Myślę, że en Bertran żartował: podróżował tak dużo, że dokładnie wie, co w takich sytuacjach mówi prawo w Gorhaut, a

także w Valensie i Götzlandzie, skoro już o tym mowa - jest tam bardzo podobne. A, nawiasem mówiąc, czy stwierdziłem, że się z tym prawem zgadzam?

- A zgadzasz się? - nie ustępowała Lisseut, świadoma, że ta sala, pełna jej znajomych, jest zapewne jedynym miejscem na świecie, gdzie mogła sobie pozwolić na taką zuchwałość.

Mężczyzna nazywany Blaisem zacisnął w zamyśleniu usta; Lisseut ponieważ zaczęła sobie zdawać sprawę, że nie jest to żaden tępny cham z północy.

- Księżę Talair właśnie upokorzył trubadura, który, jak mówisz, będzie słynny jeszcze długo po tym, jak ja zostanę zapomniany. Właściwie nazwał go niewykształconym, pijanym uczniakiem. Można się domyślać, że zabolalo go to bardziej niż draśnięcie moim mieczem. Zgodzisz się ze mną, że istnieją sytuacje, kiedy trzeba wyraźnie określić, kto dzierży władzę? A jeśli się nie zgodzisz, to czy jesteś dość odważna, by zwrócić teraz ten swój ogień przeciwko księciu? Jako cudzoziemiec w pomieszczeniu pełnym znanych ci ludzi stanowią łatwy cel. Czy może częściowo dlatego tak na mnie naciskasz? Czy to ładnie?

Był niespodziewanie bystry, ale nie odpowiedział na jej pytanie.

- Nie odpowiedziałeś na jej pytanie - powiedział Bertran de Talair.

Blaise z Gorhaut znów się uśmiechnął i jego twarz przybrała ten sam cierpki, drwiący wyraz co przedtem; Lisseut miała wrażenie, że coran niemal się spodziewał po księciu tych słów. Zastanawiała się, jak długo się znają.

- Jestem tutaj, prawda? - zapytał cicho. - Gdybym się zgadzał z tym prawem, byłbym zapewne w domu, prawda? Zapewne miałbym odpowiednio zdyscyplinowaną żonę i bardzo prawdopodobne, że wraz z królem i wszystkimi coranami Gorhaut przygotowywałbym inwazję na Arbonne.

Przy ostatnich słowach rozmyślnie podniósł głos. Lisseut spostrzegła kątem oka, że Portezanie w swoim boksie przy bliższej ścianie wymieniają ze sobą szybkie spojrzenia.

- W porządku, Blaise - rzekł ostro Bertran - powiedziałaś swoje. Sądzę, że to wystarczy.

Blaise odwrócił się do niego. Lisseut uświadomiła sobie, że od kiedy do niego podeszła, nie spuszczał z niej wzroku, chociaż ostatnia uwaga, cokolwiek znaczyła, była wyraźnie przeznaczona dla księcia.

- Też tak uważam - stwierdził cicho rosły coran. - Sądzę, że to wystarczy aż nadto.

- Czego wystarczy? - dobiegł od drzwi pewny siebie głos. - Czy coś się skończyło zbyt szybko? Czy ominęła mnie jakaś rozrywka?

Blaise wiedział, że kiedy Bertran de Talair bladł, blizna na jego policzku stawała się bardzo widoczna. Widział już to wcześniej, ale nie w takim stopniu, jak teraz. Księżę zeszytniał, z gniewu albo z zaskoczenia, lecz się nie odwrócił. Zrobił to Valery, bardzo

szybko, stając między Bertranem i wejściem.

- Co tu robisz? - zapytał de Talair, wciąż odwrócony plecami do tego, do kogo mówił.

Głos miał zimny jak zimowy blask księżyca. Blaise zauważył to i poniewczasie stanął obok Valery'ego. W tej samej chwili ludzie tłoczący się między nimi i drzwiami rozstąpili się niezdarnie i oczom zebranych ukazał się mężczyzna stojący w drzwiach tawerny.

Blaise spostrzegł, że jest ogromny, odziany w niemal przesadnie kosztowny ciemnozielony atłas wykończony białym futrem, chociaż było lato. Miał co najmniej sześćdziesiąt lat, krótko przycięte jak u żołnierza siwe włosy i mimo swych rozmiarów stał idealnie wyprostowany, arogancki.

- Co tu robię? - powtórzył szyderczo. Jego głos, głęboki i dźwięczny, zapadał w pamięć. - Czyż to nie tu zbierają się śpiewacy? Czyż nie mamy Karnawału? Czy w taki czas człowiek nie może szukać pociechy i przyjemności, jakie daje muzyka?

- Ty nienawidzisz muzyków - rzekł chrapliwie Bertran de Talair, wymawiając każde słowo oddzielnie. Nadal się nie odwracał. - Ty zabijasz śpiewaków, pamiętasz?

- Tylko bezczelnych - odparł przybysz obojętnym tonem. - Tylko tych, którzy zapominają, gdzie się znajdują, i śpiewają to, czego nie powinni. Zresztą to było dawno temu. Przecież ludzie się zmieniają, zmierzając ku czekającym na nich grobom. Wiek potrafi nas zmiękczyć.

W jego tonie nie było jednak nic miękkiego. Blaise słyszał w nim szyderstwo, bezlitosne, ociekające zjadliwością szyderstwo.

I nagle zrozumiał, kto to jest.

Zerknął na stojących po obu stronach mówiącego trzech coranów w zieleni. Wszyscy mieli przy sobie miecze, nie zważając na żadne prawa Tavernel, i wszyscy trzej sprawiali wrażenie, że umieją się nimi posługiwać. Nagle przypomniała mu się ścieżka nad Jeziorem Dierne, sześć trupów w wiosennej trawie. Tłum już się cofnął, zostawiając wokół dwóch grupiek przy drzwiach wolną przestrzeń. Blaise miał świadomość, że szczupła kobieta o kasztanowych włosach, która go zaczepiła, wciąż stoi tuż za nim.

- Nie będę się z tobą przekomarzał - rzekł cicho Bertran. Wciąż był odwrócony plecami do drzwi, do ogromnego mężczyzny, stojącego w nich ze złośliwym błyskiem w szarych jak kamień oczach. - Zapytam jeszcze raz: po co tu przyszedłeś, panie na Miraval?

Urté de Miraval, który wypełniał niemal całe drzwi „Liensenne”, nie odpowiedział. Przeniósł za to ciężkie spojrzenie głęboko osadzonych oczu na Blaise'a. Nie zwracając uwagi na pytanie Bertrana, jakby zadał je jakiś nachalny robotnik rolny, wbił w corana badawczy wzrok. Uśmiechnął się po chwili, lecz wyraz jego twarzy wcale nie stał się przez to ani trochę

mniej złośliwy.

- Jeśli się nie mylę, a nie sędzę, by tak było - rzekł - to jest chyba ten przybysz z północy, który tak chętnie przelewa krew innych, strzelając z łuku.

Stojący obok niego corani lekko się przesunęli. Blaise zauważył, że zrobili to, by mieć miejsce na dobyte mieczy.

- Twoi corani zastrzelili mojego konia i kuca - stwierdził cicho Blaise. - Mam powody sądzić, że chcieli mnie zabić.

- Zapewne - zgodził się Urté de Miraval niemal przyjemnym tonem. - Czy z tego powodu mam ci wybaczyć śmierć sześciu ludzi? Chyba tego nie zrobię, a nawet, gdybym chciał, jest w tej sprawie jeszcze jedna poszkodowana strona. Ktoś, kogo nadzwyczaj ucieszy wiadomość, że tego wieczoru jesteś tutaj. Być może nawet przyłączy się później do nas, co będzie interesujące. Tyle się zdarza przypadków wśród karnawałowego tłumu; to jeden z pożałowania godnych aspektów tego święta, nie sądzisz? Blaise odczytał wyraźną groźbę, nie wiedział jednak, z czego się zrodziła. Ze sztywnej postawy Valery'ego wyczuł, że kuzyn Bertrana wie.

- Zostało wydane prawo dotyczące zabójstw między Miraval i Talair odezwał się ostro Valery, stojący obok Blaise'a. - Doskonale o tym wiesz książę.

- Zaiste. Skoro już o tym mówimy, wiedziało też o tym moich sześciu zabitych ludzi. Gdybyż tylko nasza umiłowana hrabina w Barbentain mogła wydać prawa strzegące przed niefortunnymi wypadkami podczas szalonej nocy w mieście. Czyż nie byłoby to coś przyjemnego, coś uspokajającego?

Znów przeniósł spojrzenie z Valery'ego na Blaise'a i utkwił je w młodym coranie z drapieżnością myśliwskiego kota.

I wtedy Bertran de Talair w końcu odwrócił się do mężczyzny w drzwiach.

- Nikogo nie jesteś w stanie przestraszyć - rzekł beznamiętnie. - Masz w sobie jedynie cierpką urazę. Smakują nią nawet winogrona z twoich winnic. Pytam ostatni raz, panie na Miraval, bo nie dozwolę, by ta rozmowa ciągnęła się dalej: po co tu przyszedłeś?

I znów nie otrzymał odpowiedzi, a przynajmniej nie od zapytanego; za to do sali weszła, dotąd ukryta za jego potężną postacią, kobieta w płaszczu z kapturem nasuniętym na głowę.

- Ajajajajaj - odezwała się. - Naprawdę nie chciałam, żeby do tego doszło.

Słowa miały wyrażać skruchę i przygnębienie, lecz jej ton żadną miarą tego nie potwierdzał. W tym przeciągłym, leniwym głosie Blaise słyszał znudzenie i rozdrażnienie, i sporą dozę władzy.

O nie, pomyślał. Jeszcze jedna z tych kobiet.

W oczach Bertrana de Talair błysnęło zdumienie i nieco inny rodzaj gniewu.

- Ariane, co ty sobie myślisz? Czy to jakaś gra? Jeśli tak, to się przeliczyłaś.

Ariane. Ariane de Carenu, królowa Dworu Miłości. Kobieta, do której Bertran zwrócił się tak ostro, uniosła upierścienioną dłoń, zrzuciła kaptur i obojętnym ruchem potrząsnęła włosami.

Przecież ona jest mężatką, pomyślał głupio Blaise. Powinna mieć związane włosy, nawet w Arbonne. Nie były związane. Były za to gęste i kruczoczarne; uwolnione z tymczasowej ciasnoty kaptura, na oczach Blaise'a opadły kaskadą na plecy Ariane. W sali rozległ się pełen zmieszania i podniecenia pomruk. Patrząc na kobietę stojącą u boku Urtégo de Miraval, przez moment niezdolny do oderwania od niej wzroku, Blaise pomyślał, że chyba rozumie dlaczego.

- Przeliczyłam się? - powiedziała bardzo cicho. - Chyba nie odpowiada mi takie słownictwo, nawet u przyjaciela, Bertranie. Nie wiedziałam, że aby odwiedzić „Liensenne”, muszę mieć twoje pozwolenie.

- Nie musisz. Wiesz jednak także...

- Wiem tylko, że książe Miraval był tak uprzejmy i zaprosił mnie, bym mu towarzyszyła dzisiejszego wieczoru w napawaniu się rozkoszami Karnawału, a ja z przyjemnością zaproszenie przyjąłam. Mogłabym też sądzić, choć najwyraźniej się myliłam, że dwaj wysoko postawieni panowie Arbonne mogliby, przynajmniej na dzisiejszy wieczór, zapomnieć o tym błahym sporze, który toczą, choćby na tyle, by zachowywać uprzejmość w towarzystwie kobiet oraz w wieczór poświęcony bogini.

- Błahy spór? - powtórzył z niedowierzaniem w głosie Bertran.

Urté de Miraval się roześmiał.

- To się staje nadzwyczaj uciążliwe - oznajmił. - Przyszedłem, żeby posłuchać tego, co w tym sezonie uchodzi w Tavernel za muzykę, a nie spierać się w drzwiach z wybuchowym degeneratem. Czyich pieśni posłuchamy dziś wieczorem?

Zapadła krótka, pełna napięcia cisza.

- Moich - odezwał się głośno Alain z Rousset. - Posłuchamy moich pieśni, jeśli zechcecie. Lisseut, zechcesz dla nas zaśpiewać?

Kiedy na to spojrzeć w pewnym świetle, nie było to takie zaskakujące, pomyślała później Lisseut, mając czas spokojniej się zastanowić nad burzliwymi wydarzeniami tamtej nocy. Remy i Aurelian wyszli, a Bertran na pewno by się nie zgodził, by na prośbę Urtégo de Miraval śpiewano jego pieśni; wśród trubadurów, którzy pozostali w sali, Alain był ambitniejszy od większości nich i miał takie samo prawo, jak oni, by przejąć inicjatywę, a



ponieważ właśnie skończył sezon występów z Lisseut, było zupełnie logiczne, że to ją poprosi o zaśpiewanie.

Jednakże takie jasne rozumowanie pojawiło się później. W tej chwili Lisseut miała świadomość tylko tego, że właśnie została w upokarzający sposób zanurzona głową w misce złocistego cauvas, że u jej nóg rośnie kałuża, że ma zniszczone odzienie, przemoczone włosy i że w takim olśniewającym stanie poproszono ją o zaśpiewanie - po raz pierwszy w życiu - w obecności trzech najpotężniejszych osobistości Arbonne, z których jedna przypadkiem była także najśłynniejszym trubadurem tych czasów.

Przełknęła głośno ślinę i natychmiast tego pożałowała, mając zarazem nadzieję, że nikt nic nie usłyszał. Jednak rosły coran z Gorhaut odwrócił się i obdarzył ją znad gęstej rudawej brody badawczym spojrzeniem pełnym ironii. Zmierzyła go wściekłym spojrzeniem i ten krótkotrwały przyływ gniewu pomógł jej przewyciężyć chwilowy atak przerażenia. Nonszalanckim - jak miała nadzieję - gestem rzuciła brodaczkowi ręcznik, który wciąż trzymała w rękach, i odwróciła się do Alaina.

- Będę zaszczycona - rzekła z największym spokojem, na jaki ją było stać.

Widok miny Alaina, który wyraźnie zmagał się z własnym niepokojem, nie bardzo pomógł jej się odprężyć. Oczywiście rozumiała sytuację: trubadur zuchwale chwycił niespodziewaną okazję do zdobycia szerszej sławy - i dawał Lisseut szansę na to samo. Taka chwila, zaśpiewać w „Liensenne” podczas letniego Karnawału w obecności książąt Talair i Miraval oraz obecnej królowej Dworu Miłości... Lisseut zamrugła i znów przełknęła ślinę. Jeśli będzie za dużo myśleć o ewentualnych konsekwencjach tego, co miało nastąpić, zapewne doprowadzi się do mdłości.

Na szczęście następną twarzą, na której skupiła wzrok, była twarz Marotte'a, a pełna zachwyty zachęta, jaką ujrzała na fizjonomii gospodarza, była tym, czego Lisseut właśnie potrzebowała. Ktoś podał jej harfę, ktoś inny postawił niski stołek w zwykłym miejscu koło boksów pod lewą ścianą i położył obok niego poduszkę. Lisseut w jakiś sposób się na nim znalazła i zaczęła stroić harfę, układając jednocześnie wygodniej poduszkę.

Nadal była mokra, choć już nie ociekała winem, i nie miała czasu, by się przygotować. Zerknąwszy w górę, ujrzała, że podchodzi do niej książę Bertran z nikłym uśmiechem na ustach, niesięgającym jednak oczu. Lisseut wątpiła, czy w obecności Urtégo de Miraval en Bertrana mogło cokolwiek rozbawić. Książę zdjął lekki letni płaszcz i położył go luźno na jej ramionach.

- Inaczej się przeziębisz - stwierdził łagodnie. - Jeśli będzie ułożony w ten sposób, nie zapłaczesz się w niego dłońmi.

To były pierwsze słowa, jakie do niej skierował. Odwrócił się i z wdziękiem opadł na jedno z trzech wyściełanych krzeseł, które Marotte pośpiesznie ustawił przy miejscu dla śpiewaczki. Lisseut miała jeszcze chwilę, by ogarnąć fakt, że ma na sobie ciemnogrnatowy płaszcz księcia de Talair, lecz zaraz podszedł do niej Alain z Rousset i z czerwonymi plamami na policzkach znamionującymi podniecenie, szepnął jej do ucha:

- Chyba „Pieśń o ogrodzie”. Zaśpiewaj ją, a nie wykrzycz, Lisseut.

To prastare, standardowe napomnienie, jakiego udzielali trubadurzy swoim żonglerom, niemal do Lisseut nie dotarło. Dotarło do niej natomiast to, że poprzez wybór tej pieśni Alain sprawia jej kolejny podarunek. Podniosła nań wzrok i uśmiechnęła się z, jak miała nadzieję, pewnością siebie. Wahał się przez moment, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale po chwili i on się cofnął, zostawiając ją samą w miejscu, gdzie powstawała muzyka.

Jak zawsze, kiedy chciała odnaleźć spokój i pewność siebie, Lisseut pomyślała o ojcu, a potem powiodła wzrokiem po cichnym powoli tłumie i powiedziała starannie modulowanym głosem:

- Oto *liensenne* trubadura Alaina z Rousset. Śpiewam ją dzisiaj na cześć bogini oraz pani Ariane de Carenu, która zechciała nas zaszczyścić swoją obecnością.

Lepsze to, pomyślała, niż próba ustalenia jakiejś hierarchii. Miała jednak świadomość, przemożną świadomość, że na jej ramionach leży płaszcz en Bertrana. Pachniał czymś nieuchwytnym; nie miała czasu rozszyfrować co to takiego. Natomiast zdawała sobie sprawę, jak zawsze przed występem - była to świadomość przelotna, lecz prawdziwa jak kamienie w murze - że żyje właściwie dla takich chwil, kiedy zaraz ma się rozleć muzyka, że właśnie wtedy najmocniej czuje, że żyje.

Zaczęła od samej harfy, jak przed wielu laty nauczył ją stryj Gaetan, by publiczność przygotowała się do słuchania, a kiedy cisza była już wystarczająco głęboka, Lisseut zaśpiewała.

*Kiedy przyszedłeś do mego ogrodu,  
Kiedy przyszedłeś powiedzieć mi o swej miłości,  
Jeden księżyc na niebie  
Zdawał się jaśniejszy od słońca,  
A w mym sercu płonęło białe światło.*

*Kiedy wziąłeś mnie w ramiona,  
By szeptać słowa pożądania,*

*Moją szatą w mroku  
Były ogrodowe wonie,  
A dzień odległą pogłoską rozpaczy.*

Była to dobrze, choć nie błyskotliwie ułożona pieśń. Alain znał swe rzemiosło i był dość młody, by jeszcze rozwinąć talent. Natomiast jej szczególną cechą - darem, jaki pieśń stanowiła dla Lisseut - było to, że została napisana na głos kobiecy. Niewiele było takich pieśni i dlatego śpiewaczki Arbonne spędzały sporo czasu na transponowaniu melodii napisanych na głosy męskie oraz na pracowitym ignorowaniu oczywistej niestosowności większości tematów.

W tym utworze Alain zmienił wiele elementów tradycyjnej *liensenne*, przedstawiając narrację z kobiecego punktu widzenia, lecz zachowując dosyć znajomych motywów, by publiczność nie miała wątpliwości, co słyszy i ocenia. Lisseut przeprowadziła słuchaczy przez pieśń, do minimum ograniczając ozdobniki instrumentalne, podając ją najlepiej, jak umiała, z prostotą. Była to długa melodia - większość formalnych *liensennes* była długa, inaczej bowiem publiczność by się zniechęciła i narzekała na brak elementów, których się spodziewała. Wyzwanie dla trubadura związane z tym rodzajem pieśni polegało na użyciu w niej wszystkich znajomych motywów przy jednoczesnym ich ożywieniu i odnowieniu wedle swych najlepszych umiejętności. Lisseut zaśpiewała o wschodzie drugiego księżyca, o zwyczajowym zagrożeniu zazdrosnych, wścibskich oczu, odśpiewała standardową, chociaż dość przemyślnie ułożoną zwrotkę o trzech kwiatach, dających tradycyjne schronienie kochankom, i następną o zaufanym przyjacielu stróżującym za murem oraz o tym, jak swoim ostrzeżeniem o wschodzącym słońcu niweczy on nastrój, i o pożegnalnych słowach kochanków.

Była to porządna, profesjonalna robota, i Lisseut miała pewność, że przykuje uwagę słuchaczy. Nawet tutaj, przy tak wyrafinowanej publiczności, Lisseut wiedziała, tak jak się jej czasami zdarzało w trakcie występu, że oddaje sprawiedliwość słowom i muzyce Alaina. Miała jednak coś w rezerwie, na zakończenie, w miejscu, gdzie Alain z Rousset zaskoczył nawet samego siebie, sięgając po coś więcej niż zwykle końcowe komunały o tryumfującej i nieprzemijającej miłości, znajdując zamiast nich bardziej bolesną integralność sztuki.

Lisseut pozwoliła sobie na króciutką przerwę, nie więcej, bo dłuższa zbytnio by podkreśliła tę zmianę, tę nowość, i zepsuła efekt; a potem wzniosła głos ku smutkowi i zaśpiewała ostatnią zwrotkę pieśni.

*Kiedy przyjdiesz się pożegnać,  
Kiedy przyjdiesz z wieścią, że bierzesz ślub,  
Zrób dla mnie jedno  
Dla pamięci miłości,  
Przynieś balsam na me złamane serce.*

Zaczynając śpiewać tę ostatnią zwrotkę, spojrzała na Bertrana de Talair, potem przeniosła wzrok na brodatego corana obok niego, lecz skończyła, patrząc nad głowami słuchaczy na drzwi przy kontuarze, przez które wyszli Remy i Aurelian. Repryza początkowych nut, echo tego, co minęło, akord dla strażnika, akord dla minionych ogrodowych nocy.

\*\*\*

Blaise pomyślał, że w granatowym kasztanowowłosa dziewczyna wygląda na delikatną i wrażliwą, a nie wyniosłą. Twarz miała raczej inteligentną niż klasycznie piękną, lecz nawet on nie mógł nie zauważyć czystości głosu dziewczyny, a nieoczekiwany smutek, który wybrzmiał na zakończenie pieśni, chwycił go za serce. Nie wiedział, jaką nowość oznacza ta nuta smutku, lecz wyraźnie ją słyszał, a znaczenie słów poprowadziło jego myśli niezwykle ścieżkami. Oczywiście nie na długo - nie miał skłonności do czegoś takiego ani z wychowania, ani z usposobienia - lecz przez jedną chwilę Blaise z Gorhaut, patrząc na szczupłą kobietę na niskim stołku, owiniętą płaszczem Bertrana de Talair, miał w oczach wyraźny obraz kobiety w ogrodzie, oplakującej utratę miłości.

- Och, cudowne - powiedziała Ariane de Carenu dziwnie tęsknym głosem, bardzo niepodobnym do jej poprzednich władczych tonów.

W ciszy, jaka zaległa po wybrzmieniu ostatnich nut harfy, jej słowa rozległy się bardzo wyraźnie, a wraz z nimi zmałało napięcie, które sprawiało, że atmosfera panująca w sali przywodziła na myśl naciągniętą cięciwę. Blaise odetchnął głęboko i z niejakim zaskoczeniem zauważył, że większość otaczających go ludzi robi to samo.

Niewątpliwie rozległyby się okrzyki aprobaty i burzliwe oklaski dla uczczenia śpiewaczki i trubadura, który napisał tę pieśń, lecz właśnie wtedy z głośnym trzaskiem otworzyły się drzwi „Liensenne”, przez które wdarły się z ciemniejszej ulicy głośne wrzaski. Blaise szybko się odwrócił, zobaczył, kto tam stoi, i w tym momencie całkowicie zmienił się bieg i charakter tego wieczoru.

Blaise patrzył na człowieka, którego zabił na karym koniu nad Jeziorem Dierne.

## ROZDZIAŁ 5

Oczywiście to nie był on. To nie był ten sam człowiek; martwi pozostawali martwymi, nawet tutaj, w Arbonne, nawet w wigilię letniego przesilenia. Lecz ciemna cera i arogancka postawa były takie same, a muskularna, ciężka budowa ciała i niebezpieczny wygląd Arimondańczyka były dokładnie takie, jak je zapamiętał Blaise owego popołudnia nad jeziorem, tuż przy Łuku Starożytnych.

A mężczyzna ten patrzył na niego wzrokiem, w którym płonęło tyle samo nienawiści, co gwałtownej radości.

Stojący obok Blaise'a Valery powiedział szybko półgłosem:

- Naprawdę chciałem ci powiedzieć wcześniej. Powiniennem być to zrobić. Jego brat, ten sam poród. Bądź bardzo ostrożny.

Blaise przyjął to do wiadomości, nie odrywając spojrzenia od Arimondańczyka przy drzwiach. Był on odziany w zieloną liberię Miraval i też miał przypasany pochodzący z jego kraju miecz o zakrzywionej klindze.

Urté de Miraval wstał nieśpiesznie; podobnie uczynił Bertran, siedzący dotąd z drugiej strony Ariane de Carenu. Dama nadal siedziała, chociaż obróciła się na krześle, by zerknąć przez ramię na drzwi.

- Quzmanie - odezwał się książę Miraval - zastanawiałem się, czemu tak długo cię nie ma. Widzisz, tak jak ci obiecałem, jest tu coran z Gorhaut, którego pragnąłeś poznać.

- Widzę - odparł Arimondańczyk. Miał głęboki, niemal melodyjny głos. Uśmiechnął się. - Jestem ogromnie zadowolony. W moim kraju mamy takie powiedzenie: z mordercami należy się rozprawić szybko, by pod ich stopami nie zwiędła zielona trawa. Wyjdiesz ze mną na zewnątrz czy walczysz tylko na odległość?

- To nie było morderstwo - rzekł ostro Valery, zanim Blaise zdążył odpowiedzieć. - Świadcami byli kapłani i kapłanki z Wyspy Rian i o wszystkim już opowiedzieli.

Quzman sprawiał wrażenie, że tego nie usłyszał. W uśmiechu miał coś niesamowitego; podobnie niesamowite było to, że całe jego jestestwo skupiało się na Blaisie. Kiedyś w jednym z götzlandzkich zamków Blaise widział, jak pewien mężczyzna patrzy w ten sposób na innego, i jeszcze przed nastaniem świtu doszło do śmierci. Teraz poczuł, jak w odpowiedzi na otwartość tego wyzwania ponownie się rozpala jego gniew, jak wraca mu w pamięci

wspomnienie tego spotkania nad jeziorem i starannie wymawianych, paskudnych słów Arimondańczyka na karym koniu.

- Rzeczywiście wydajesz się zdenerwowany - rzekł do mężczyzny przy drzwiach, przybrawszy swobodny, nawet leniwy ton głosu, jakiego użyłby w tej sytuacji jego przyjaciel Rudel albo nawet Bertran de Talair. - Powiedz mi, zabiłem tam twego brata czy kochanka? Czy też może była to jedna i ta sama osoba?

- Ostrożnie! - syknął Valery.

Lecz Blaise z przyjemnością zobaczył, jak uśmiech Arimondańczyka zastyga.

- Masz parszywy język mordercy, przybyszu z północy - odezwał się Urté de Miraval. - Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy znosić twoje odzywki, a potem dopuścić, byś przekazał szpiegowskie sprawozdanie Ademarowi z Gorhaut.

A więc i ta sprawa została teraz wywleczona na światło dzienne. Można się było tego spodziewać.

- To ostatnie to pomysł głupca - rzekł spokojnie Bertran. - A jeśli chodzi o morderstwo, to ten człowiek został zaatakowany, kiedy spokojnie jechał drogą hrabiny. Jego kuca i konia zabito, a sześciu tchórzy w twojej służbie chciało zabić i jego. Nie mówiłbym tak gładko o morderstwie, panie na Miraval. Może mógłbym za to poświęcić przelotną myśl umiejętnościom służących u mnie coranów, gdyby to moich sześciu zabójców zabił jeden człowiek.

- To są słowa - rzekł pogardliwie Quzman z Arimondy. - Słowa i pozerstwo, smutne przywary Arbonne. Ten człowiek i ja możemy zakończyć to sami na zewnątrz, nikt inny nie musi brać w tym udziału. Chyba że on naprawdę się boi. Jeśli zaś chodzi o to nowe prawo, o którym wspomniałeś... postąpił dwa kroki z wdziękiem myśliwskiego kota i ukląkł przed Urtém.

- Panie, kwestie związane z honorem mojej rodziny zmuszają mnie do poproszenia cię, byś na jakiś czas zwolnił mnie ze służby, aby moje uczynki nie miały wpływu na twoje własne sprawy. Zechcesz spełnić mą prośbę?

- Nie zechce - rozległ się wyraźny, zimny głos.

Głos jedynej osoby w sali, która mogłaby się w tej chwili pokusić o okazanie władzy.

Wszyscy się zwrócili w jej stronę. Ariane de Carenu nie zadała sobie trudu, by wstać czy choćby się odwrócić twarzą do mężczyzn. Nadal oglądała się przez ramię; jej czarne włosy spadały na oparcie krzesła. W wypowiedzianych przez nią słowach nie było jednak nonszalancji.

- W imieniu hrabiny Arbonne zakazuję tego pojedynku. Za zabicie kogoś z Talair czy

Miraval przez stronę przeciwną wyznaczono cenę w ziemi. Została ona ogłoszona i nie da się uniknąć jej zapłacenia - zrozumcie mnie, proszę, panowie - przez takie wybiegi. Nie pozwolę na kpienie sobie z hrabiny. Nie dopuszczę też, by w ten sposób została splamiona noc poświęcona bogini. Uznaję was obu za odpowiedzialnych, panowie, za zachowanie waszych ludzi.

- Z całą pewnością, ale jeśli on odejdzie ze służby u mnie... - zaczął Urté de Miraval.

- Potrzebuję twojej zgody, której mu nie udzielisz.

Głos kobiety był odmierzony i władczy, brzmiała w nim beznamiętna nuta kogoś przyzwyczajonego do wydawania rozkazów, które wykonywano z całkowitym posłuszeństwem. Nawet po kilku miesiącach pobytu w Arbonne Blaise z zakłopotaniem patrzył, jak obaj książęta akceptują u kobiety tak jawną nutę władzy.

Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć i dać ujście narastającemu gniewowi, lecz poczuł mocne dźgnięcie łokciem w żebra.

- Nie rób tego! - mruknął Valery, jakby czytając mu w myślach.

Blaise pomyślał, że zapewne tak było - tok jego myśli na pewno był dość wyraźny. Bardzo obstawał przy tym, by nie wiązać się z Bertranem de Talair żadnymi przysięgami lennymi. Był najemnikiem i w każdej chwili mógł rozwiązać kontrakt, tracąc jedynie wynagrodzenie, jakie mu się należało, a nie zostało jeszcze wypłacone, zyskując w ten sposób swobodę potrzebną do walki z Arimondańczykiem; nie musiał nikogo prosić o pozwolenie, nawet tej czarnowłosej kobiety, tytułującej się królową, choćby tylko Dworu Miłości trubadurów.

Odetchnął powoli, przez chwilę patrzył Valery'emu w oczy i zachował spokój. Rozejrzał się po sali. Wyglądało na to, że nikt inny nie ośmielił się poruszyć. Z lekkim zaskoczeniem spostrzegł, że z drugiego końca pomieszczenia wpatruje się w niego dziewczyna z harfą, wciąż okryta granatowym płaszczem Bertrana. Z tej odległości nie potrafił odczytać wyrazu jej oczu, lecz się go domyślał. Niedawno stanęła w obronie honoru trubadura, którego zranił. Zapewne byłaby zadowolona, gdyby zginął od ciosu zakrzywionej, wysadzanej klejnotami arimondańskiej szabli.

Spojrzał poza nią. Na galerii gospody przy barierkach tłoczyli się mężczyźni i kobiety, początkowo po to, by słuchać muzyki, a teraz chcąc zobaczyć, co będzie dalej. Większość ich twarzy kryło się za poprzecznicami; podest nad głową Blaise'a obstawiały nogi. Dziwna to była publiczność, złożona ze stóp i łydek w kolorowych pończochach.

- Sądzę, że przybyłeś tu z pewną wiadomością - ciągnęła Ariane de Carenzu w ciszy, jaka zapadła po jej ostatnich słowach. Patrzyła na Arimondańczyka, Quzman. - Czy dotyczy łodzi

na rzece?

Mężczyzna zerknął na nią. Nadal klęczał przed Urtém de Miraval. Obaj byli rośliymi, nadzwyczaj przystojnymi mężczyznami; tworzyli obraz, który mógłby zostać wyrzeźbiony na kamiennej ścianie kaplicy Corannosa w Gorhaut.

- Tak - odrzekł w końcu ciemnoskóry przybysz. - Dotyczy łodzi.

- Już zaczynają?

- Tak.

W żaden sposób nie tytułował kobiety ani nie był dla niej uprzejmy.

- A zatem stoczycie tam pojedynek ku naszej uciechu w trakcie Karnawału - orzekła pani na Carenu, błyskając promiennym uśmiechem, przesyconym jednak kapryśną złośliwością.

- To ma być przedstawienie, zabawa? - zapytał Arimondańczyk z drwiną w głosie.

Salę ogarnęła fala podniecenia i ulgi. Blaise zobaczył, że Bertran szybko się odwraca, by ukryć uśmiech.

- Niemal to wszystko jest zabawą - odparła cicho Ariane zupełnie innym tonem. - Bierzemy w niej udział, wszyscy w niej bierzemy udział, całymi nocami i dniami, dopóki bogini nie zabierze nas do domu. Ale wysłuchajcie mnie jeszcze raz - dodała spokojnie. - Jeśli dzisiejszej nocy zginie ktokolwiek z waszych grup, uznam to za morderstwo i tak to przedstawię hrabinie.

- Od lat nie byłem na rzece - powiedział pozornie bez związku Bertran.

Wydawało się, że stara się - z częściowym tylko skutkiem - stłumić w głosie ślad rozbawienia.

Urté de Miraval je usłyszał.

- A ja od dziesiątków lat - stwierdził, połknawszy haczyk. - Ale mimo tego i twoich dwudziestu lat przewagi nadal mogę cię pokonać, panie na Talair, w każdym działaniu, jakiego mężczyzna może się z honorem podjąć wśród mężczyzn.

Na te słowa Bertran jednak się roześmiał.

- Tylko wśród mężczyzn? W tych okolicznościach to roztropne ustępstwo - rzekł ze złośliwością podobną do smagnięcia batem, którą Blaise nie całkiem rozumiał.

Głowa Urtégo de Miraval odskoczyła do tyłu, jakby naprawdę pod uderzeniem bicia. Blaise uświadomił sobie, że księżę po raz pierwszy stracił panowanie nad sobą, i zadał sobie pytanie, dlaczego. W pamięci kołatało mu się coś, co podsłuchał przed wieloma tygodniami; u podłoża tego, co dzieliło tych dwóch ludzi, stała jakaś kobieta.

- Bertranie - zaczęła ostrym tonem Ariane de Carenu - nie sądzę, by...

- Dosyć, Ariane! Narzuciłaś swoją wolę, której się poddaliśmy. Nie przesadzaj; to wada.



Powiedziałem ci to, kiedy tu weszłaś, i mówiłem wiele razy przedtem. - Bertran odwrócił się błyskawicznie do kobiety; jego niebieskie oczy miały twarde wyraz i pewną dozę władczości. - Dziś wieczorem urządzimy dla twego kaprysu zabawę na rzece. Z twojego rozkazu nikt nie zginie. Ciesz się tym, na co możesz mieć wpływ. Nad przeszłością nie masz żadnej władzy.

- Zaiste - rzekł bardzo cicho Urté de Miraval, odzyskawszy panowanie nad sobą. Blaise musiał się pochylić, by go usłyszeć. - Nie masz władzy nad zmarłymi. Mężczyznami czy kobietami. Nawet nad dziećmi. Nawet nad dziećmi, jeśli już o tym mowa.

Z jakiegoś powodu wywołało to reakcję Bertrana de Talair. Odwrócił się od ciemnowłosej kobiety, by spojrzeć prosto w twarz stojącego nieopodal księcia. W tawernianej sali znów zapanowała niebezpieczna cisza, poczucie prawdziwego zagrożenia, promieniujące z miejsca, gdzie stali ci dwaj mężczyźni.

- O tym mowa - odezwał się w końcu Bertran. Jego głos był niewiele głośniejszy od szeptu. - Och, wierz mi, panie, o tym mowa.

I kiedy ci dwaj zwarli się wzrokiem, wyraźnie pomijając wszystkich obecnych w tawernie, na całym świecie, Blaise z Gorhaut zbyt późno zdał sobie sprawę, że ta nienawiść - namacalny ciężar tego, co ich rozdzieliło w przeszłości - jest nieskończenie głębsza i bardziej złożona, niż dotąd sądził. Stojący obok niego Valery mruknął coś półgłosem.

- Chodźmy - dodał Bertran, odrywając nieruchomy wzrok od oczu drugiego księcia; mówił głosem będącym przesadną parodią uroczystego tonu. - Wyjdźmy na dwór, by w zmieszonym blasku letnich księżyców oddać się ćwiczeniom fizycznym na rzece ku uciesze królowej Dworu Miłości.

Nie oglądając się, ruszył w stronę drzwi. Zaraz za nim podążył Valery. Blaise jeszcze raz rozejrzał się po tawernie. Ariane de Carenu miała teraz dziwny wyraz twarzy, po raz pierwszy bezbronny. Ludzie zaczęli kręcić głowami i mrugać, jakby uwolnieni od rzuconego na nich czaru. Nogi na podeście się poruszały - pończochy czarne i białe, białe i błękitne, pszeniczne i rudobrunatne, szkarłatne i złociste, jasnozielone i zielone niczym las - tworząc jaskrawą mozaikę świątecznych kolorów.

Blaise patrzył jeszcze przez chwilę, rozmyślając nad dopiero co wypowiedzianymi słowami, a potem wraz z tłumem wyszedł na hałaśliwą ulicę. Po drodze przeszedł bardzo blisko Arimondańczyka Quzmana; właściwie przeszedł obok niego bliżej, niż musiał. Mijając go, uśmiechnął się.

Valery czekał tuż za drzwiami. Na Blaise'a wpadli mężczyzna i kobieta w maskach kruka i lisa; śmiali się na całe gardło. Mężczyzna trzymał w ręce otwartą butelkę wina, a tunika kobiety była prawie całkiem rozpięta. W świetle latarni wiszących nad wejściem do

„Liensenne” przez chwilę było wyraźnie widać jej piersi. Przed nimi i za nimi rozlegał się śmiech oraz nieustanny, kakofoniczny hałas potrzęsanych grzechotek i wirujących kołatek.

- Wydaje mi się, że w Gorhaut nie macie nic podobnego - odezwał się swobodnym tonem Valery, jakby w tawernie nie wydarzyło się nic godnego uwagi.

Blaise uświadomił sobie, że lubi kuzyna Bertrana za jego swobodę i niewzruszony spokój. Tuż przed nimi w grupce muzyków, w której znajdowała się też śpiewaczka z tawerny, szedł książę; kobieta wciąż miała na sobie granatowy płaszcz Bertrana.

- Raczej nie - odparł zwięźle, ale starał się, by nie zabrzmiało to krytycznie.

Co powinien powiedzieć Valery'emu? Że dla niego to całonocne ćwiczenie z lubieżności, podejmowane pod wpływem bogini, jest poniżające i prostackie, niegodne żadnego mężczyzny starającego się służyć swemu krajowi i swemu bogu?

- Chciałem ci powiedzieć, że było dwóch Arimondańczyków - odezwał się po chwili Valery.

Wszędzie wokół nich panował harmider; minął ich pędem jakiś chłopiec, gwałtownie kręcąc kołatką w kształcie byczej głowy. Z okna nad nimi wychylały się niebezpiecznie głęboko dwie roześmiane kobiety i wymieniały sprośne dowcipy z przechodniami na zatłoczonej ulicy.

- Jasne - rzekł sucho Blaise. - Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Valery zerknął na niego.

- Nie wydawałeś się zainteresowany. - Powiedział to łagodnie, lecz Blaise wychwytał szczególne brzmienie jego głosu. - Niczym nie wydawałeś się zainteresowany. Czasami się zastanawiam, po co podróżujesz. Większość ludzi wyjeżdża z domu, by zdobyć wiedzę o szerokim świecie. Ty chyba nie bardzo chcesz zdobywać taką wiedzę.

Było to innego rodzaju szturchnięcie w zębra. Blaise pomyślał, czyby nie wypowiedzieć tego na głos, lecz po chwili rzekł tylko:

- Niektórzy ludzie wyjeżdżają z domu, by... wyjechać z domu.

Valery kiwnął głową. Nie drażył już tematu. Skręciwszy w prawo, poszedł za Bertranem i trubadurami ciemniejszą uliczką prowadzącą w głąb lądu.

- Jak dobrze sobie radzisz z małymi łódkami? - zapytał po chwili.

- Znośnie - odparł ostrożnie Blaise. - Co takiego dokładnie będziemy robić?

- Pytanie! - zawołał Valery de Talair z nagłym uśmiechem. Kiedy się uśmiechał, wyglądał młodziej i bardzo przypominał swego kuzyna. - Zadałeś pytanie!

Blaise się roześmiał, niemal wbrew woli. Szybko jednak ochłonął i skupił się na wyjaśnieniach Valery'ego de Talair. A potem, kiedy książęcy kuzyn skończył i przybyli nad

rzekę, a Blaise zobaczył, co tam jest - ludzie, nanizane na linki światełka niczym lśniące gwiazdy, które zeszyły na Ziemię, latarnie i twarze w oknach kupieckich domów wzdłuż rzeki, liny przeciągnięte nad wodą, do których cumowały tratwy, czekające łódki oraz inne łódki, unoszone przez prąd ku niewidocznemu morzu, niektóre już przewrócone, a obok nich płynący ludzie - znów się roześmiał w głos, widząc dziecienny brak powagi tego wszystkiego.

- Och, Corannosie - powiedział - co to za kraj.

Wtedy już jednak dogonili pozostałych - trubadurów i zonglerów wmieszanych w tłum na nabrzeżu - i Bertran de Talair odwrócił się, by nań popatrzeć.

- Wiemy o tym - odezwał się beznamiętnym tonem. - A ty?

\*

Rzeka, morze i noc były poświęcone Rian, letnie przesilenie było dla niej święte, lecz Karnawał był także czasem, kiedy porządek świata stawał na głowie - czasami dosłownie, jak w misie z wodą albo złocistym cauvas, pomyślała z żalem Lisseut. Tej nocy w całej Arbonne czczono boginię, ze śmiechem, wśród gwaru i strug wina oraz zwykle zakazanych związków w mroku brukowanych zaułków czy trawiastych dziedzińców, lub w łózkach, w domach, których drzwi tej jednej nocy w roku pozostawały niezaryglowane.

Boginię czczono także od niepamiętnych czasów w Tavernel pojedynkami Łódek i Pierścieni na rzece, tu, gdzie Arbonne wpływała wreszcie do morza po długiej podróży na południe z gór Gorhaut.

Zadowolona z płaszcza z kapturem, którego ksiączę Bertran zapomniał lub nie chciał odebrać, Lisseut bez szczególnego powodzenia usiłowała odzyskać ducha radosnego oczekiwania i podniecenia, z jakim wkroczyła wcześniej tego dnia do „Liensenne”. Nadal trwał Karnawał, nadal znajdowała się wśród znajomych i nawet odniosła - chociaż nie było czasu, by to właściwie odczuć - spektakularny sukces. Jednakże obecność nienawiści, i tej zadawnionej, i tej świeżej, była teraz zbyt silna, by Lisseut mogła odzyskać beztroski nastrój. Spojrzała na posepną postać Urtégo de Miraval i smukłego Arimondańczyka obok niego i nie potrafiła opanować dreszczu, nawet okryta płaszczem.

„Ty zabijasz śpiewaków, pamiętasz?”. Tak powiedział en Bertran do księcia Miraval. Lisseut nie wiedziała, czy to prawda; jeśli tak było, to wydarzyło się to przed jej urodzeniem i nie stanowiło powszechnego tematu rozmów. Lecz Urté nie zaprzeczył. Odpowiedział wtedy, nieporuszony, że „tylko tych, którzy śpiewają to, czego nie powinni”.

Śmiech, rażąco kłócający się z myślami Lisseut, przyciągnął jej uwagę do rzeki i wbrew samej sobie dziewczyna też musiała się uśmiechnąć. Jourdain, który szczycił się swoją

sprawnością fizyczną jeszcze bardziej od Remy'ego, przepchnął się przez tłum na sam brzeg i, roztropnie zdjawszy kosztowne wysokie buty, najwyraźniej zamierzał jako pierwszy z ich grupy spróbować zmierzyć się z łódkami.

Lisseut rzuciła okiem na niebo, tak jak zrobił to Jourdain, i zobaczyła, że oba księżycy świecą jasno i jeszcze przez jakiś czas pozostaną poza zasięgiem chmur. Wiedziała, że to ma znaczenie. Już wystarczająco trudno było chwycić pierścienie z wirującej, podskakującej łódki, nie musząc zmagać się z dodatkowym problemem niemożności ich dostrzeżenia.

- Jesteś pewien, że nie wolałbyś zostać zanurzony w miednicy?! - zawołał Alain z Rousset, stojąc na bezpiecznym brzegu. - To łatwiejszy sposób na przemoczenie!

Rozległ się śmiech. Jourdain odburknął coś, koncentrując się na wejściu do przytrzymywanej przez dwóch mężczyzn, podskakującej, maleńkiej łódki i usadowieniu się w niej. Jeden z mężczyzn podał mu krótkie wiosło o płaskim piórze; trubadur jeszcze raz zerknął na księżycy - jednego przybywało, drugiego właśnie zaczynało ubywać - i skinął głową.

Puścili łódkę. Wśród okrzyków zachęty Jourdain wystrzelił w szybki nurt rzeki jak korek z butelki.

- Dziesięć miedziaków, że nie zdobędzie trzech pierścieni! - zawołał Alain.

- Zgoda! - odparła Elisse, która w tym sezonie spała z Jourdainem.

- I następne dziesięć ode mnie - dodała szybko Lisseut, głównie po to, by postawić coś przeciwko Elisse. - Stać cię na to?

- Bez problemów - rzekła Elisse, potrząsając złocistymi włosami. - Tej wiosny występowałam z prawdziwymi trubadurami.

To była tak wyraźnie powodowana zazdrością, niemądra odzywka, że Lisseut wybuchnęła śmiechem. Niezadowolona mina Alaina świadczyła, że widział to w nieco innym świetle. Lisseut uściśnęła go za rękę, a potem, obserwując, jak Jourdain walczy z rzeką, już jej nie puszczała.

Trzeźwy czy nie, dość gładko przepłynął w poprzek nurtu do pierwszej tratwy i bez widocznego wysiłku sięgnął w górę po wieniec z liści oliwnych, wiszący na tyczce wysuniętej nad wodę. Kapłanka na pierwszej tratwie szybkim ruchem uniosła pochodnię, by oznajmić sukces trubadura. Z obu stron rzeki podniósł się radosny krzyk. Ludzie tłoczyli się wzdłuż brzegów aż do ostatniej liny przeciągniętej przez rzekę, a niemal tyle samo widzów wyglądało z okien wysokich domów.

Wiosłując energicznie, wychylony daleko za burtę, Jourdain skierował łódkę ukośnie w drugą stronę, usiłując przeciąć rzekę, zanim porwie go prąd i przeniesie obok drugiej tratwy.

Udało mu się to z trudem, miał jeszcze moment, by się wyprostować, a potem sięgnął w górę - drugi pierścień oczywiście wisiał wyżej - i chwycił girlandę. Niemal się pośliznął, potem wahał do tyłu i o mały włos nie wypadł z łódki. Mimo to została uniesiona kolejna pochodnia i wzniósł się kolejny okrzyk.

Zachwianie się Jourdaina kosztowało go jednak wiele cennego czasu i kiedy właściwie ustawił łódkę i znów chwycił wiosło, Lisseut nawet z tej odległości dostrzegła, że podjął szybką decyzję pominięcia trzeciej tratwy pod przeciwnym brzegiem i skierowania się z prądem prosto ku czwartej. Liczyła się liczba girland, a nie ich kolejność.

Była to zła decyzja. Pędząca z nurtem maleńka łódka Jourdaina, na bystrej Arbonne wyglądająca na niewiele większą od kawałka kory, zbliżając się do czwartej tratwy, znacznie przyspieszyła.

- Chcesz nam zapłacić teraz? - zapytał Alain Elisse.

Mimo zakładu Lisseut się skrzywiła, kiedy niesiony szybkim nurtem Jourdain odważnie wstał na spotkanie mknącej ku niemu, zacumowanej do liny tratwy. Sięgnął wysoko po trudno dostępną girlandę.

Nawet nie był bliski jej schwycenia. Stracił równowagę i wrzasnął tak głośno, że usłyszeli go wszyscy stojący na pomoście startowym w górze rzeki; stopy wyprysnęły spod trubadura, prąd rzeki porwał łódkę, a Jourdain, jakby przecząc przyciąganiu ziemi, zawisł poziomo nad rzeką, skąpany przez chwilę w blasku księżyca, po czym z pluskiem runął do Arbonne. Wyrzucona przez niego fontanna wody przemoczyła kapłana na tratwie oraz zgromadzonych w pobliżu widzów.

Niemal zgasił pochodnię, ale girlanda znajdowała się daleko poza jego zasięgiem. Z tratwy szybko skoczyli mu na pomoc dwaj mężczyźni - zdarzało się, że podczas zawodów ludzie tonęli - i kiedy Lisseut ujrzała, jak holują trubadura do jednej z zakotwiczonych przy brzegu łodzi, odetchnęła z ulgą. Jourdain prawie zawadiackim ruchem uniósł dłoń, by pokazać znajomym, że nic mu się nie stało.

- Jaki jest najlepszy wynik do tej pory? - zapytał cicho Bertran de Talair, co szybko przypomniało Lisseut, po co się tu znaleźli.

- Jeden człowiek zdobył wszystkie cztery, panie - odpowiedział ktoś z grupy osób obsługujących łódki, przykucniętych na skraju pomostu. - Ale spadł zaraz na początku liny, więc na razie nikt nie ukończył trasy.

- Doskonale - stwierdził książę Talair, podchodząc na skraj pomostu. - Z twoją zgodą, panie - rzekł, zwracając się do Urtégo - dam ci cel do strzału.

Urté de Miraval poruszył od niechcienia dłonią, co miało oznaczać zgodę. Nie zadając

sobie trudu zdjęcia butów, Bertran spokojnie czekał, aż pomocnicy ustawią następną łódkę. Lisseut zobaczyła, że Valery i brodaty coran z Gorhaut stanęli obok niego. Wzdłuż brzegów poniósł się coraz głośniejszy pomruk - to widzowie podawali sobie z ust do ust wiadomość, co ma nastąpić.

Lisseut spojrzała w górę i w tej samej chwili większość osób na pomoście zrobiła to samo. Ławica chmur, pędzonych szybkim wiatrem na wschód, nasunęła się na tarczę białego Vidonne'a i wkrótce miała przesłonić błękitne światło Riannon.

- Ja pójdę pierwszy - rzekł Valery de Talair, wysuwając się w mroku przed księcia. - Zaczekaj na księżycy. Nikt nie rzucił mi wyzwania, więc jeśli nie trafię, nie będzie to miało znaczenia. - Szybko odpiął miecz i podał go jednemu z pomocników. Obejrzał się przez ramię, a Lisseut była na tyle blisko, że usłyszała, co powiedział. - Bierz przykład ze mnie, Blaise. Jeśli miniesz trzecią tratwę, zrób wszystko, by zwolnić przed czwartą - chyba że masz słabość do smaku rzecznej wody.

Stojący obok Urtégo Arimondańczyk roześmiał się. Spojrzawszy na niego, Lisseut pomyślała, że nie jest to przyjemny dźwięk. Ten człowiek ją przerażał. Odwróciła się szybko z powrotem w stronę rzeki, z nadzieją że Arimondańczyk nie zauważył, że się w niego wpatrywała.

Valery już siedział w łódce, z płaskim wiosłem pod ręką. Podniósł wzrok na Bertrana i się uśmiechnął.

- Jeśli się ochlapie, to będzie twoja wina.

- Oczywiście - odparł jego kuzyn. - Zawsze jest moja wina.

A potem łódka znalazła się na rwącej rzece. Chwilę później, wysilając wzrok, by dojrzeć coś wśród cieni, Lisseut zrozumiała, na czym polega różnica w umiejętnościach trubadura i Valery'ego: Jourdain był sprawny fizycznie, miał smykałkę do sportów i był w kwiecie wieku, lecz Valery z Talair był zawodowym coranem, wyszkolonym, zahartowanym i bardzo doświadczonym.

Pierwszy wieniec zerwał bez wysiłku; łódka zawróciła, niemal zanim kapłanka uniosła pochodnię, a wzdłuż brzegu poniósł się okrzyk. Drugi pierścień, który zapoczątkował nagłą drogę Jourdana do kąpieli, został zerwany z podobną łatwością i Valery, w przeciwieństwie do trubadura, zachował i równowagę, i panowanie nad łódką; kiedy z wysiłkiem wiosłował z powrotem przez rzekę, druga pochodnia wzniosła się tryumfalnie za nim, a na brzegach rozległy się okrzyki szaleńczego entuzjazmu.

- Myślą, że to książę - odezwał się nagle drobny Alain i Lisseut uświadomiła sobie, że ma rację.

Wiadomość, że na rzekę ma wypłynąć en Bertran, obiegała brzeg, z szybkością błyskawicy, zanim przyplęły chmury, a jego miejsce zajął Valery. Takie okrzyki mieszkańcy Tavernel zachowywali dla swoich ulubieńców, a księżę-trubadur z Talair przez większość życia był jednym z nich.

Tymczasem Valery, zbliżający się do trzeciej z zacumowanych tratw, płynnym ruchem podniósł się w podskakującej łódeczce - w jego wykonaniu ten niebezpieczny wyczyn wydał się łatwy - i wyciągnął się, by chwycić trzeci z oliwnych wieńców zawieszonych na tyczce. Następnie opadł na ławeczkę i zaczął wściekle wiosłować w poprzek rzeki, a ludzie patrzący z brzegów, okien i przepelnionych łodzi zakotwiczonych przy brzegach tupali i ryczeli z zachwytem.

Kąt, pod którym należało się zbliżyć do czwartej i ostatniej tratwy, był najostrożniejszy i Valery wiosłował ze wszystkich sił, by prąd nie zniósł go obok pierścienia; Jourdain po niego wyskoczył i wpadł do wody. Ostro wiosłując, Valery z Talair podpłynął do górnej krawędzi tratwy, pozwolił, by łódka obróciła się z prądem, a potem wstał, znów płynnym ruchem, i bez pośpiechu, ze spokojem uniósł wiosło, przesunął nim wzdłuż tyczki zawieszanej wysoko nad tratwą i wystającej nad wodę - i kiedy jego łódka przemykała pod tyczką, chwycił strącony w ten sposób oliwny pierścień.

Tak to wyglądało dla Lisseut, która stała daleko w górze rzeki; szybko płynące chmury zakrywały księżycy, a na widok uniesionej wysoko przez kapłana Rian pochodni tłum zafalował i zaczął wiwatować. Z jakiegoś powodu Lisseut zerknęła na corana z Gorhaut: na jego twarzy rozlał się mimowolny uśmiech, niemal chłopięcy wyraz zadowolenia, co sprawiło, że mężczyzna nagle wydał się inny, mniej surowy, a nawet onieśmielający.

- Mój kuzyn też jest wart sześciu ludzi. Nie, dwunastu! - stwierdził radośnie Bertran de Talair, nie patrząc na nikogo konkretnego.

Wśród zielono odzianych coranów z Miraval zapanowało poruszenie.

Lisseut, będąc w tej chwili szczególnie czujna, wątpiła, by en Bertran odezwał się nierozważnie - niemal we wszystkim, co on i księżę Miraval mówili w swojej obecności, tkwiły słowne sztylety. Ariane, która znów upięła włosy i schowała je pod kapturem, powiedziała coś do Urtégo, a następnie przysunęła się do Bertrana, by lepiej widzieć, jak Valery zbliża się do końca trasy.

Ostatnią przeszkodą była lina przeciągnięta przez rzekę. W połowie długości przechodziła przez środek ogromnej okrągłej tarczy. Bez względu na to, z której strony tarczy łódka przepływała pod liną, zawodnik miał podskoczyć, chwycić linę i przemieścić się nad tarczą, pod nią lub wokół niej, zwisając na rękach - co samo w sobie było już wyjątkowym

wyczynem - a potem w ten sam sposób dotrzeć na przeciwległy brzeg.

Każdy, kto dotarłby aż tak daleko, musiał być nadzwyczaj zwinny i silny. Liny rozciągnięte nad wodą zwykle kogoś takiego nie peszyły. Ta była inna. Pokonanie jej było niemal niemożliwe. Przede wszystkim została starannie i złośliwie pokryta kilkoma warstwami pszczelego wosku, a tuż przed zawieszeniem nad wodą natarto ją hojnie najczystsza oliwą ze słynnych gajów i pras ze wzgórz nad Vezét. Następnie przeciągnięto w poprzek Arbonne w ten sposób, że w środkowej części zwisała na tyle nisko, by zmusić nieszczęsnego śmiałka, który dzięki swej zręczności dotarłby aż tutaj, do podciągania się na oślizłych rękach po okrutnym skosie ku straszliwie odległemu pomostowi na brzegu, gdzie czekały go tryumf i chwała.

W ciągu trzech lat obserwowania tych rzecznych zawodów podczas letniego Karnawału Lisseut nigdy nie widziała, by ktokolwiek zbliżył się do celu; nigdy nie widziała, by ktoś pokonał tarczę. Natomiast widziała kilku niewątpliwie zwinnych mężczyzn, którzy wyglądali komicznie bezradnie, usiłując się przedostać na drugą stronę tarczy pośrodku liny, albo z ponurym zacięciem na niej wisieli jakby przyszpileni przez jasne księżycy patrzące z góry, niezdolni do żadnego ruchu prócz nieefektywnego wymachiwania nogami nad rwącą rzeką.

Wiedziała, że to wszystko ma jakiś sens; podczas Karnawału wszystko miało sens, nawet najbardziej z pozoru błahe lub lubieżne działania. Wszystkie te zwroty i odwrócenie ról w noc poświęconą bogini, zawieszoną poza rytмами i biegiem roku, znajdowały swój najczystszy symbol w tych oświetlonych blaskiem pochodni i księżyców wysiłkach utalentowanych ludzi, którzy, bezradni i nieudolni, musieli albo się śmiać z własnego kłopotliwego położenia, albo, jeśli byli zbyt ponurzy i poważni, by brać udział w ogólnej wesołości, znosić kpiny rozradowanego tłumu.

Nikt jednak tej nocy nie kpił z Valery'ego z Talair; w tym, jak naprowadzał swoją łódeczkę prosto na tarczę, nie było niczego choćby odrobinę zabawnego. Zbliżywszy się do liny, znów wstał i bez wahania zwinnym, dokładnym, oszczędnym ruchem rzucił się w jej stronę tuż po lewej stronie tarczy. Przyciągnąwszy kolana ciasno do piersi niczym akrobata występujący na bankiecie, dał się okręcić sile rozpędu i kiedy znalazł się w najwyższym punkcie zataczanego kręgu, rozluźnił niepewny chwyt palców na śliskiej linie i z wdziękiem wzniosł się w powietrze - by spaść ukosem z drugiej strony tarczy, jakby tej lub każdej innej nocy była to najłatwiejsza, najbardziej naturalna rzecz na świecie.

Mimo całego radosnego oczekiwania na zabawne fiasko mieszkańcy Tavernel i ludzie przybyli do miasta na Karnawał potrafili docenić doskonałość. Wybuchnęli rozradowaną aprobatą dla tak stylowego mistrzostwa. Krzyki i oklaski atakowały uszy. Lisseut usłyszała



obok siebie wybuch pełnego zachwytu i zaskoczenia śmiechu, i odwróciwszy się, zdążyła zobaczyć zupełnie odmienioną, pozbawioną maski twarz gorhauckiego corana. Tym razem jednak przechwycił jej szybkie spojrzenie; ich oczy spotkały się na moment, a potem on odwrócił wzrok, jakby skrępowany tym, że ktoś go podpatrzył. Lisseut chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Odwróciła się, by obserwować, jak Valery radzi sobie z liną.

I zrzędzeniem losu, dzięki rozbłyskowi pochodni daleko w dole ciemnej rzeki, zobaczyła, jak ze szczytu długiej, wysokiej trajektorii spada strzała - będzie pamiętała, że miała białe pióra, białe jak niewinność, jak zima w środku lata, jak śmierć - i trafia corana w ramię, zrzucając go, zwiotczałego i bezradnego, z liny do rzeki. Śmiech zamienił się w krzyk.

\*

Blaise też ją dostrzegł, kątem oka. Nawet zauważył, całkowicie odruchowo, powodowany instynktem zawodowca, dwa wysokie domy kupieckie z ciemnego drewna stojące przy brzegu, skąd mogłaby zostać wystrzelona strzała spadająca pod tym kątem. I on też dostrzegł w blasku pochodni i niepewnym świetle błękitnego księżyca, który właśnie wyłonił się zza chmur, białe pióra, które widziała Lisseut. Istniała jednak pewna różnica. Taka, że Blaise wiedział, co oznaczają takie pióra, a myśl nekająca go przedtem w tawernie przybrała teraz pełny, przerażający kształt.

Wtedy już biegł. To był błąd, ponieważ nad brzegiem tłoczyła się karnawałowa cizba, a lina, z której spadł Valery, znajdowała się daleko w dole rzeki. Przepychając się i klnąc, Blaise torował sobie drogę przez krzyczącą, kłębiącą się masę ludzi łokciami i pięściami. Po drodze zerknął na rzekę i zobaczył w jednej z łódeczek wściekle wiosłującego Bertrana de Talair - co, oczywiście, sam powinien był zrobić. Zdwoił wysiłki i zaczął siebie przeklinać. Jakiś mężczyzna, pijany i w masce, zaklął paskudnie i oddał Blaise'owi pchnięcie, gdy ten posłużył się łokciem. Nawet nie patrząc, zdenerwowany coran uderzył go w bok głowy tak, że mężczyzna aż się zatoczył. Blaise'owi nie było przykro, chociaż naprawdę się zastanawiał - znów odruchowo - nad możliwością zostania ugodzonym nożem w plecy. Takie rzeczy się zdarzały w tłumie przestraszonych ludzi.

Kiedy dotarł do podestu obok liny, pomocnicy zdążyli wyciągnąć Valery'ego z rzeki. Leżał na pomoście. Bertran już tam był; klęczał u boku kuzyna wraz z kapłanką i z kimś, kto wyglądał na lekarza. Strzała tkwiła w ramieniu Valery'ego; nie była to rana śmiertelna.

Tyle że pióra i górna część drzewca były białe, dolna, co dostrzegł teraz Blaise, zbliżając się do pomostu, była z czarnego jak noc jesionu, a kiedy śpiewaczka skończyła występ w „Liensenne” i wszyscy szykowali się do wyjścia, widział nad sobą na podeście w tawernie

czarno-białe pończochy. Ogarnęła go fala mdłości.

Valery miał otwarte oczy. Bertran ułożył sobie głowę kuzyna na kolanach i mruzczał coś do niego uspokajająco. Lekarz, szczupły mężczyzna z haczykowatym nosem i siwiejącymi włosami związanymi wstążką w kucyk naradzał się z kapłanką, patrząc stanowczym wzrokiem na drzewce strzały. Poruszał palcami.

- Nie wyciągaj jej - powiedział cicho Blaise.

Lekarz podniósł na niego rozgniewany wzrok.

- Wiem, co robię - warknął. - To powierzchowna rana. Im szybciej wydobędziemy strzałę, tym szybciej będziemy mogli założyć opatrunek.

Blaise nagle poczuł zmęczenie. Valery odwrócił nieznacznie głowę i patrzył na niego. Miał spokojną, lekko zdziwioną minę. Zmuszając się do spojrzenia coranowi w oczy, Blaise powiedział tym samym cichym głosem:

- Jeśli wyciągniesz drzewce, bardziej rozszarpiesz ranę i trucizna się rozejdzie szybciej. Możesz także zabić siebie. Powąchaj strzałę, jeśli chcesz. Na grocie, a także bardzo prawdopodobnie na dolnej części drzewca, jest zapewne syvaren.

Spojrzał na lekarza.

Na twarzy mężczyzny zagościł zwierzęcy strach; cofnął się mimowolnie. W tej samej chwili Bertran podniósł wzrok na Blaise'a z cichym, lecz pełnym wściekłości jękiem. Poblądł, a w oczach miał przerażenie. Ze smutkiem i powolnym, nieugiętym gniewem, zbierającymi mu się wokół serca niczym chmury, Blaise odwrócił się do Valery'ego. Wyraz twarzy rannego corana nie zmienił się ani na jotę; Blaise pomyślał, że prawdopodobnie ma przeczucie zbliżającej się śmierci. Syvaren działał szybko.

- Ona była przeznaczona dla mnie - rzekł Bertran chrapliwie.

- Oczywiście - potwierdził Blaise.

Wiedza, zimna pewność, dawała o sobie znać posmakiem popiołu na języku.

- Nie mieliśmy z tym nic wspólnego, mogę to przysiąc na boginię w jej świątyni - zabrzmiał głęboki głos Urtégo de Miraval.

Blaise nie usłyszał jego kroków.

Bertran nawet na niego nie spojrzał.

- Odejdź - rzekł. - Tobą zajmą się później. Gdziekolwiek stąpasz, profanujesz ziemię.

- Ja nie używam trucizny - oznajmił de Miraval.

- Ale Arimondańczycy tak - odparł Bertran.

- Przez cały czas był z nami na pomoście startowym.

Blaise'owi było niedobrze, bo wiedział, co zaszło; otworzył usta, by coś powiedzieć, ale

ubiegła go kapłanka.

- Przestańcie się spierać - powiedziała. - Musimy zanieść go do świątyni. Czy ktoś mógłby to zorganizować?

Oczywiście, pomyślał Blaise. Tu jest Arbonne. Valery z Talair, mimo że jest coranem, nie doczeka swego końca w świętości domu boga. Zostanie przeprowadzony do Corannosa mrocznymi obrzędami Rian. Blaise odwrócił się z niesmakiem od kapłanki; kobieta zakryła głowę obszernym kapturem. Zobaczył, że Valery znów na niego patrzy, i pomyślał, że tym razem rozumie wyraz twarzy corana.

Nie zważając na innych, nawet na Bertrana, ukląkł na wilgotnym pomoście przy umierającym.

- Znajdź na zawsze schronienie w bogu - powiedział chrapliwie, zaskoczony, że tak trudno mu mówić. - Chyba wiem, kto to zrobił. Zajmę się nim za ciebie.

W świetle księżyców i pochodni Valery z Talair był blady jak pergamin. Skinął głową, a potem zamknął oczy.

Blaise wstał. Nie spojrzawszy na nikogo i nie czekając, czy ktoś coś powie, zszedł z pomostu. Ktoś torował przed nim drogę; dopiero później sobie uświadomił, że to był Quzman. Inni także się przed nim cofali, lecz Blaise ledwie zdawał sobie z tego sprawę. Czuł w gardle popiół i miał dziwnie zmacony wzrok. Syvaren na strzale. Białe pióra, biało-czarne drzewce. Blaise sięgnął w głąb duszy po wściekłość, której potrzebował, i znalazł ją tam, lecz nie potrafił dać się jej ponieść. Czuł zbyt wielki żal, zimny i lepki, wijący się pasmami niczym zimowa mgła: w połowie z powodu leżącego za nim Valery'ego, a w połowie z powodu tego, ku czemu teraz szedł wśród pełgających pochodni, dymu, hałasu, masek i... tak, pobrzmiwającego w oddali karnawałowego śmiechu, wysoki i ponury niczym wizerunek Starożytnych na fryzie.

„Zajmę się nim za ciebie”. Ostatnie słowa skierowane do umierającego, corana ze świętego, mającego długą tradycję bractwa boga, niemal przyjaciela, tutaj, w obcej, ukształtowanej przez boginię Arbonne. I bardzo prawdopodobne, że te słowa, te ostatnie słowa, były kłamstwem, najgorszym rodzajem kłamstwa.

## ROZDZIAŁ 6

Lisseut, gdyby ją zapytać w środku tej kłębiącej się, nagle przerażającej nocy, albo nawet później, kiedy miała czas i spokojne miejsce na przemyślenie sytuacji, nie umiałaby powiedzieć, dlaczego wysliznęła się z charakterystycznego granatowego płaszcza Bertrana de Talair, nie zwróciła uwagi na rozbrzmiewający za nią pełen niepokoju okrzyk Alaina i poszła za mężczyzną imieniem Blaise, oddalając się od skapanego w blasku pochodni pomostu i zagłębiając w labirynt ciemnych, krętych uliczek.

Może sprawiło to coś w sposobie, w jaki, wściekle i na oślep, zszedł z pomostu, ocierając się o Arimondańczyka. A może przyczyną była jego zboląła mina, którą spostrzegła Lisseut, kiedy coran ich minął i zagłębił się w tłum. Słyszała słowo „trucizna”, rozchodzące się wśród ludzi niczym wąż od miejsca, gdzie leżał Valery. Zabierano go do największej świątyni Rian. Mężczyźni pośpiesznie przygotowywali nosze z żagla umocowanego między tyczkami. Przeniosą go na nich. Tłum się rozstąpi w milczeniu przed niosącymi śmierć, a potem znowu się rozkrzyczy, jeszcze głośniejsze niż przedtem, ponieważ do oszałamiającej, karnawałowej mieszaniny zostanie dodane spektakularne morderstwo - kolejny powód, by zapamiętać tę noc.

Lisseut wiedziała, że trubadurzy i żonglerzy udadzą się do świątyni, by czekać i czuwać poza jej murami; wielu ze względu na Bertrana, kilku na Valery'ego. Lisseut już czuwała przy zmarłych. Nie chciała robić tego tej nocy.

Poszła za coranem z Gorhaut.

Musiała siłą przeciskać się przez tłum. Ludzie śpieszyli ku rzece, przyciągani pogłoskami o jakimś podniecającym wydarzeniu czy katastrofie, stanowiącymi monetę obiegową okresu świątecznego. Omijając ludzi, Lisseut czuła zapachy wina i gotowanego mięsiva, pieczonych orzechów, słodkich perfum, ludzkiego potu. Kiedy otoczyli ją pijani marynarze z götzlandzkiego statku handlowego, przeżyła krótką, gwałtowną chwilę paniki, lecz wywinęła się najbliższemu z nich i pośpieszyła dalej, rozglądając się za mężczyzną, za którym szła.

Ułatwiał jej to wzrost corana. Widziała go przed sobą nawet w zatłoczonych zaułkach; poruszał się w przeciwnym kierunku, niż tłum, a kiedy przechodził pod pochodniami, umieszczonymi na ścianach rozpadających się starych magazynów, jego włosy rozpały się ognistą barwą. To nie była najlepsza dzielnica Tavernel. Blaise z Gorhaut parł naprzód,

skręcając w pozornie przypadkowych miejscach, i w miarę, jak tłum rzedniał, poruszał się coraz szybciej. Lisseut stwierdziła, że aby nie stracić go z oczu, prawie biegnie.

W pewnej ciemnej, zakrzywionej uliczce zobaczyła, jak zupełnie niepasująca w tym miejscu kobieta odziana we wspaniałą zieloną suknię z jedwabiu, przybraną futrem i klejnotami, w starannie wykonanej masce lisa na twarzy, sięga w stronę Blaise'a; coran nawet nie zwolnił, by zwrócić na nią uwagę. Podążająca za nim śpiesznie Lisseut uświadomiła sobie nagle, że ma wilgotne, splątane włosy i zniszczoną koszulę. Błahostki, powiedziała sobie surowo w duchu; tej nocy wypuszczono z łuku białopiórą strzałę z zatrutym grotem, przeznaczoną - domyślenie się tego nie wymagało szczególnej bystrości umysłu - dla księcia Talair, a nie dla kuzyna, który bez rozgłosu zajął jego miejsce w tej łódeczce.

Blaise z Gorhaut zatrzymał się raptownie na skrzyżowaniu uliczek i po raz pierwszy się rozejrzał. Lisseut szybko dała nura w cofnięte wejście do jakiegoś domu. Niemal się przewróciła o niewidocznych w mroku, obejmujących się i opartych obok drzwi mężczyznę i kobietę. Dolną część sukni kobieta miała podwiniętą aż do pasa.

- Och, wspaniale - powiedziała zmysłowym, lekko rozbawionym tonem kobieta, obrzuciwszy Lisseut leniwym spojrzeniem.

Maska zsunęła się jej z oczu i włosów i wisiała luźno na plecach. Mężczyzna roześmiał się cicho, nie odrywając ust od jej szyi. Oboje w tym samym momencie sięgnęli ku Lisseut - szczupłymi i silnymi palcami - by i ją wziąć w objęcia.

- Wspaniale - powtórzyła kobieta szeptem, mrużąc oczy.

Wokół niej unosił się zapach polnych kwiatów.

- No, może niezupełnie - powiedziała niezręcznie Lisseut, mimowolnie podekscytowana, i wywineła się z uścisku.

- „A zatem żegnaj, miłości, ach, żegnaj, miłości, na zawsze”. - Kobieta wyśpiewała stary refren z nieoczekiwaną żalnością, popsutą na końcu chichotem, bo mężczyzna szepnął jej coś do ucha.

Znalazłszy się z powrotem na uliczce w chwiejnych, niespokojnych cieniach między pochodniami zatkniętymi na ścianach domów, Lisseut szybko włożyła maskę kobiety. To był kot; większość kobiet wybierała tej nocy kocie maski. Zobaczyła, jak Blaise ruchem ręki zatrzymuje trójkę terminatorów i o coś ich pyta. Odpowiedzieli mu ze śmiechem, pokazując palcami; jeden wyciągnął w jego stronę bukłak. Blaise najpierw się zawahał, a potem wziął go do ręki. Wycisnął sobie do gardła strumień ciemnego wina. Z jakiegoś niejasnego powodu Lisseut poczuła się nieswojo.

Na rozwidleniu skręcił w uliczkę w prawo, tam gdzie został skierowany. Lisseut poszła za

nim, przemykając obok terminatorów szybkim krokiem, gotowa do ucieczki, wokół bowiem było zbyt ciemno i pusto. Doszła do rozwidlenia i spojrzała w prawo - uliczka prowadziła pod górę, oddalając się od rzeki i placu targowego. Domy były tu coraz porządniejsze, wyraźnie zamożne, a uliczkę coraz lepiej oświetlały latarnie płonące w ozdobnych uchwytych na ścianach - co stanowiło jedną z najpewniejszych oznak bogactwa. Znad rzeźbionej kamiennej balustrady wychylały się dwie dziewczyny, najpewniej służące; zawołały coś wesoło do Lisseut, lecz ona się nie zatrzymała. Blaise szedł szybko, stawiając długie kroki, i już zniknął za rogiem. Lisseut puściła się biegiem.

Kiedy dotarła do skrzyżowania i też skręciła w prawo, zdała sobie sprawę, gdzie są, zanim jeszcze zobaczyła na placu zamykającym ulicę ponurą wieżę, górującą nad największym budynkiem z czerwonego kamienia.

Była to dzielnica kupiecka, gdzie w Tavernel, arbońskiej bramie do świata, miały swoje siedziby domy bankierskie i przedsiębiorstwa handlowe. Ta wieża wzniesiona na końcu ulicy stanowiła celowe przypomnienie potężnej wieży z Mignano, największego z portezzańskich miast-państw, a ogromne, imponujące pałace stojące po obu stronach ulicy zakończonej placem dawały schronienie rozsądnym, ostrożnym kupcom reprezentującym w Arbonne te bogate miasta.

Odgłosy Karnawału rozbrzmiewały z oddali. Lisseut wśliznęła się pod arkadę i ostrożnie wyjrzała z cienia; Blaise z Gorhaut minął jedno, a potem drugie masywne drzwi. W końcu się zatrzymał, patrząc na herb umieszczony nad żelaznymi wrotami. W tym domu paliły się światła - na górnych piętrach, gdzie zapewne mieściły się sypialnie. Na ulicy nie było nikogo.

Blaise przez dłuższą chwilę stał bez ruchu, jakby rozważając jakiś trudny problem, a potem ostrożnie rozejrzał się dookoła i przemknął do wąskiego zaułka, biegnącego między tym domem i następnym, stojącym na północ od niego. Lisseut dała coranowi chwilę, a potem wyszła z ukrycia i poszła za nim. U wylotu zaułka musiała na moment wstrzymać oddech, bo niemal udusił ją smród gnojówki. Uklękła, żeby trudniej było ją dostrzec, i wyęzając w ciemności wzrok, zobaczyła, jak coran z Gorhaut zręcznie się wspina po kamiennym murze, biegnącym za domem. Zza muru dobiegał miękki blask światła; przez moment sylwetka mężczyzny odbijała się na jego tle, a potem zniknęła po drugiej stronie.

Była pora wracać nad rzekę. Lisseut już wiedziała, dokąd poszedł coran. Rano mogła się dowiedzieć, kto jest właścicielem domu, i opowiedzieć o tym odpowiednim osobom. Jedną na pewno był książę Bertran, a może majordom hrabiny w Tavernel. A może nawet Ariane de Carenu, która zobowiązała mężczyzn z Talair i Miraval do zachowania tej nocy pokoju. Rano się okaże, co ma robić; poradzi się znajomych, Remy'ego, Aureliana. Czas wracać.

Lisseut odrzuciła maskę, zaciśnięła zęby i weszła w smrodliwy zaułek. Minęła miejsce, w którym przybysz z Gorhaut wspiął się na mur, i parę kroków dalej znalazła przewróconą drewnianą skrzynkę. W zaułkach zawsze walały się jakieś skrzynie. Kiedy weszła na nią ostrożnie, we wszystkie strony rozprysnęły się szczury. Z tej wysokości mogła się dźwignąć na szczyt szerokiego muru. Położyła się płasko na kamieniach i długo pozostawała w bezruchu. Kiedy nabrała pewności, że nikt jej nie zobaczył ani nie usłyszał, ostrożnie uniosła głowę i spojrzała w dół.

Ogród był starannie zaplanowany i utrzymany. Tuż pod murem rósł platan i jego gałęzie dawały Lisseut niejaką osłonę, co było ważne, ponieważ właśnie wtedy wydostał się spod resztek chmur Riannon, błękitny księżyc bogini. Poprzez liście były widoczne gwiazdy, jasno świecące na letnim niebie. W gałęziach drzewa śpiewał jakiś ptak.

Tuż poniżej Lisseut, na krótko przystrzyżonym trawniku, obok niewielkiego, okrągłego stawu, do którego sphywała woda z rzeźbionej fontanny, stał spokojnie Blaise z Gorhaut. Fontanna była obsadzona kwiatami, które tworzyły też wzory w uporządkowanej przestrzeni ogrodu. Lisseut czuła zapach pomarańczy i cytryn, a pod południowym murem rosła lawenda. W zawilgoconym zaułku chrobotwały szczury.

Na niewielkim patio nieopodal domu stał stół zastawiony mięsem serem i winem. Płonęły na nim wysokie białe świece.

Na krześle przy stole rozpierał się mężczyzna; dłonie splótł za głowę, a długie nogi wyciągnął przed siebie. Twarz miał ukrytą w cieniu. Blaise patrzył na niego. Od czasu, kiedy Lisseut ukryła się na murze, nie odezwał się ani nie poruszył. Stał plecami do niej i sam wyglądał jak wyrzeźbiony w kamieniu. Serce Lisseut biło gwałtownie.

- Wyznam, że się zastanawiałem - przemówił leniwie mężczyzna siedzący za stołem, wymawiając portezzańskie słowa z elegancką, arystokratyczną dokładnością. - Zastanawiałem się, czy dopisuje ci dzisiejszej nocy bystrość umysłu i czy przyjdiesz. Ale widzisz, wierzyłem w ciebie - jedzenia i wina wystarczy dla dwóch, Blaise. Cieszę się, że tu jesteś. Minęło dużo czasu. Chodźże wreszcie i zjedz ze mną kolację. Mamy przecież Karnawał w Arbonne.

Wstał i sięgnął po wino, wylaniając się z cienia. W świetle obu księżyców, świec i eleganckich latarń, zwieszających się z trójnogów ustawionych między drzewami, Lisseut zobaczyła, że jest szczupły, jasnowłosy, młody i uśmiechnięty. Że jego luźna jedwabna tunika o szerokich rękawach jest czarna jak noc, a pończochy są czarno-białe, jak u Fehmistrza Arsenaulta z teatrzyków kukielkowych, które pamiętała z dzieciństwa - oraz jak strzały leżące w kołczanie obok stołu.

- Widzę, że nadal posługujesz się syvarenem - rzekł spokojnie Blaise z Gorhaut. On również mówił po portezzańsku.

Nie zbliżył się do stołu.

Jasnowłosa mężczyzna właśnie nalewał wino z wysmukłej karafki. Skrzywił się.

- Paskudna rzecz, nieprawdaż? - powiedział z niesmakiem. - I nawet nie masz pojęcia, jak zdumiewająco ostatnio droga. Ale użyteczna, czasami użyteczna. Przyznaj, Blaise, to był bardzo daleki strzał, przy wietrze i w niepewnym świetle. Oczywiście nie zaplanowałem niczego z wyprzedzeniem, a kiedy w tawernie zapadła decyzja o zawodach na rzece, byłem tam dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu. A potem musiałem liczyć, że księżę Bertran będzie dość sprawny, by dotrzeć aż do liny. I się nie przeliczyłem, niech Corannos da schronienie jego duszy. No, mógłbyś mi już pogratulować, że trafiłem go z tak daleka. Rozumiem, że w prawe ramię?

Odwrócił się z uśmiechem. W dłoniach trzymał kielichy z winem; jedną wyciągnął ku swemu gościowi.

Blaise się zawahał i Lisseut, która miała wyostrzone wszystkie zmysły, pojęła z niezachwianą pewnością, że coran zмага się z pytaniem, czy ma powiedzieć zabójcy o jego błędzie.

- To był daleki strzał - powiedział tylko. - Wiesz jednak, że nie lubię trucizn. W Arbonne się ich nie używa. Gdybyś tego nie zrobił, ludzie mogliby pomyśleć, że zabójstwa dokonał ktoś związany z Urtém de Miraval. Rozumiem, że tak nie było?

To pytanie pozostało bez odpowiedzi.

- Gdybym tego nie zrobił, nie byłoby zabójstwa. Tylko księżę z raną ramienia i poczworna straż, a ja zostałbym pozbawiony dość znacznego wynagrodzenia.

- Jak znacznego?

- Lepiej, żebyś nie wiedział. Byłbyś zazdrosny. No, Blaise, weź wino, głupio się czuję z ręką wyciągniętą jak żebrak. Jesteś na mnie zły?

Blaise z Gorhaut powoli przeszedł po trawie i wziął kielich. Portezzanin się roześmiał i wrócił na swoje krzesło. Blaise stał obok stołu.

- W tawernie - powiedział powoli - na pewno widziałeś, że jestem z księciem, że jestem jednym z jego ludzi.

- Oczywiście, i muszę powiedzieć, że mnie to zaskoczyło. Słyszałem na turnieju w Aulensburgu pogłoskę - nawiasem mówiąc, brakowało cię w Götzlandzie, mówiono o tobie - że tej wiosny jesteś w Arbonne, ale nie uwierzyłem, naprawdę nie wiedziałem, że tak bardzo lubisz śpiew.



- Nie lubię, wierz mi. Ale to nie ważne. Jestem zatrudniony przez księcia Talair i w tawernie to zauważyłeś. Czy nic to dla ciebie nie znaczyło?

- Owszem, kilka rzeczy, ale nie spodobały ci się one i lepiej, żebyś ich nie usłyszał ode mnie. Jednak wyraźnie jesteś na mnie zły. Doprawdy, Blaise, co miałem robić, zerwać kontrakt i odrzucić wynagrodzenie, bo przypadkiem akurat w tym miejscu obrzucałeś się obelgami z arimondańskim pederastą? Rozumiem, że zabiłeś jego brata.

- Ile dostałeś pieniędzy? - zapytał ponownie Blaise, nie zważając na ostatnie słowa rozmówcy. - Powiedz mi.

Jasna, przystojna twarz mężczyzny znów się znalazła w cieniu. Zapadło milczenie.

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy - rzekł cicho Portezzanin.

Lisseut stłumiła okrzyk zdumienia. Zobaczyła, że Blaise sztywnieje z niedowierzania.

- Nikt tyle nie zapłaci za zabójstwo - powiedział chrapliwie.

Portezzanin roześmiał się.

- Ktoś miał, ktoś dał. Złożone w depozycie w naszym götzlandzkim oddziale, do odbioru przeze mnie pod pewnymi warunkami. Kiedy nadejdzie wiadomość o jakże smutnym zgonie muzycznego księcia Talair, warunki te zostaną spełnione. Götzland jest czasami użytecznie dyskretnym miejscem - ciągnął w zamyśleniu - chociaż przypuszczam, że posiadanie rodzinnego banku rzeczywiście ułatwia sprawę.

Mężczyzna wciąż wydawał się niesamowicie rozbawiony, jakby smakował prywatny żart kosztem Blaise'a. Lisseut jeszcze nie przyszła do siebie; nie umiała nawet pojąć wielkości wymienionej sumy.

- Płatność w portezzańskich pieniądzech?

Znów śmiech, tym razem na granicy hysterii, zaskakujący w atmosferze spokojnej formalności ogrodu. Powolny łyk wina.

- Ach, teraz usiłujesz zdobyć informacje, mój drogi. Nigdy nie byłeś w tym dobry, prawda, Blaise? Nie lubisz trucizn, nie lubisz oszustwa. Nie jesteś ze mnie zadowolony. Po naszym rozstaniu najwyraźniej przeszedłem na złą stronę. Nawet nie zapytałeś o Lucianę.

- Kto ci zapłacił, Rudelu?

Pytanie było bezpośrednie, twarde jak uderzenie młota. Kielich Blaise'a, z nietkniętym trunkiem, został odstawiony na stół; Lisseut zauważyła, że ręka corana lekko drży. Ten drugi mężczyzna - który teraz miał już imię - też na pewno to zauważył.

- Nie bądź głupi i męczący - rzekł Portezzanin. - Kiedyż ty sam wyjawiałeś, kto cię wynajął? Kiedy zrobił coś takiego ktoś, kogo darzysz szacunkiem? Akurat ty jeden wiesz, że i tak nigdy nie brałem zleceń dla pieniędzy. - Nagłym, zamaszystym gestem ogarnął dom i

ogród. - Urodziłem się do tego i wszystkiego, co to reprezentuje w sześciu krajach, i z tym umrę, chyba że będę głupszy, niż zamierzam, ponieważ tak się składa, że mój ojciec mnie lubi. - Przerwał na chwilę. - Wypij wino, Blaise, i usiądź jak cywilizowany człowiek, żebyśmy mogli porozmawiać, dokąd się teraz udamy.

- Nie jesteśmy w Gorhaut bardzo cywilizowani - odparł Blaise. - Pamiętasz? - W jego głosie zabrzmiała nowa nuta.

Mężczyzna siedzący na krześle odchrząknął.

- Teraz jednak rozumiem - powiedział cicho Blaise. Lisseut ledwie go słyszała. - Zbyt szybko wypieś za dużo wina, prawda? Nie chciałeś powiedzieć tego wszystkiego, co, Rudelu?

Doskonale mówił po portezzańsku, o wiele lepiej od Lisseut.

- Skąd wiesz? Może chciałem - odparł zapytany, teraz nieco ostrzejszym tonem. - Lucianna zawsze mówiła, że dobre wino w nocy sprawia, że...

Blaise pokręcił głową.

- Nie. Nie rozmawiamy o Luciannie, Rudelu. - Odetchnął, ujął swój złoty kielich i napił się wina, po czym odstawił go ostrożnie. - Powiedziałeś mi zbyt wiele. Teraz rozumiem, dlaczego to wszystko tak bardzo cię bawi. Zapłacono ci pieniędzmi Gorhaut. Zostałeś wynajęty, by za tę obłąkańczą sumę zabić księcia Talair w imieniu Ademara, króla Gorhaut. Lecz z rozkazu i niewątpliwie z poduszczenia Galberta, najwyższego kapłana Corannosa w Gorhaut.

Siedzący w cieniu mężczyzna powoli skinął głową.

- Twego ojca - rzekł.

- Mego ojca.

Blaise odwrócił się od stołu i świateł patio i podszedł do fontanny. Stał tam, patrząc na pomarszczoną powierzchnię sztucznego stawu. Lisseut trudno było dostrzec jego twarz.

- Kiedy przyjmowałem kontrakt, nie wiedziałem, że jesteś z Talaiem, Blaise. To oczywiste. - W głosie Portezzanina pojawiła się teraz nuta napięcia, za to całkowicie zniknęło z niego rozbawienie. - Chcieli go zabić za jakieś pieśni, które napisał.

- Wiem. Słyszałem jedną z nich. - Blaise nie odrywał wzroku od stawu. - Jest w tym przesłanie. Mój ojciec lubi przesłania. Mówi, że nikt nie jest bezpieczny. Że nikt nie powinien nawet myśleć o tym, by mu się sprzeciwić. - Odwrócił się gwałtownie. - I wiesz co, ty masz wyjawić tę kwotę. Jeśli tego nie zrobisz, to uwierz mi, że wyjawią ją oni. Ona wyjdzie na jaw. To jest przesłanie samo w sobie: jak daleko się posunie, jeśli będzie musiał. Określa środki, jakie mogą zebrać. Zostałeś wykorzystany, Rudelu.

Portezzanin wzruszył ramionami.

- Zawsze jesteśmy wykorzystywani. Taki jest mój zawód - i twój. Ludzie wynajmują nas dla zaspokojenia swoich potrzeb. Ale jeśli masz rację, jeśli oni rzeczywiście zamierzają wszystkim uświadomić, kto i ile za to zapłacił, to lepiej poważnie się zastanów nad wyjazdem ze mną.

- Dlaczego?

- Pomyśl. Potrafisz, Blaise. Co się tu z tobą stanie, kiedy wyjdzie na jaw twoja tajemnica? Kiedy ludzie się dowiedzą, kim jesteś - i że twój ojciec zabił księcia Talair, kiedy ty miałeś go strzec. Mam niejakie pojęcie, po co przybyłeś do Arbonne. Nie musimy teraz o tym mówić, ale nie możesz tu zostać.

Blaise skrzyżował ręce na piersi.

- Mógłbym sobie poradzić z tym problemem. Mógłbym cię wydać. Tej nocy. Jestem zatrudniony przez księcia Talair, spełniłbym swój obowiązek.

Lisseut nie widziała wyraźnie twarzy Rudela, lecz po głosie, który dobiegł z cienia, poznała, że Portezzanin znów jest rozbawiony.

- Zmarły, opłakiwany, poeta i książę Talair. Niestety, napisał o jedną pieśń za dużo. Doprawdy, Blaise. Twój ojciec rozkazał zabić, twój stary towarzysz broni wykonał rozkaz? Przestań się wygłupiać. To ty zostaniesz za to obwiniony. Przykro mi, jeśli to, co zrobiłem, na krótko utrudni ci życie, lecz jedynym wyjściem dla nas obu jest obmyślenie, dokąd chcielibyśmy się udać, i opuszczenie Arbonne. A tak przy okazji, słyszałeś? Lucianna ponownie wyszła za mąż. Może odwiedzimy nowożeńców?

Znów zapadła cisza.

- Gdzie? - zapytał cicho Blaise.

Lisseut miała wrażenie, że zrobił to wbrew swej woli.

- W Andorii. Za Borsiarda, tego hrabiego, dwa tygodnie temu. Był tam mój ojciec. Ja, Niestety, nie zostałem zaproszony. Najwyraźniej ty też nie, chociaż sądziłem, że o tym słyszałeś.

- Nie.

- A zatem musimy ich odwiedzić i się pożalić. Jeśli pan młody nie ma jeszcze rogów, możesz się tym zająć. Ja odwrócę jakoś jego uwagę.

- W jaki sposób? Zabijając kogoś za pomocą trucizny?

Rudel wstał powoli. Znalazł się w świetle i było widać, że rysy jego twarzy znieruchomiały, zniknął z niej wszelki ślad rozbawienia. Odstawił kielich z winem.

- Blaise, kiedy rozstawaliśmy się przed rokiem, miałem wrażenie, że jesteśmy

przyjaciółmi. Nie mam pewności, co się stało, ale w tej chwili to wrażenie zniknęło. Jeśli jesteś tylko zły za dzisiejszy wieczór, to mi powiedz i wyjaśnij, dlaczego. Jeśli to coś więcej, chętnie bym się dowiedział o co chodzi, żebym mógł się odpowiednio zachować.

Obaj oddychali teraz szybciej. Blaise rozprostował ręce.

- Przyjąłeś kontrakt od mego ojca - powiedział. - Wiedząc to, co wiedziałeś, przyjąłeś od niego kontrakt.

- Za dwieście pięćdziesiąt tysięcy złotych gorhauckich monet. Doprawdy, Blaise...

- Zawsze mówiłeś, że nie robisz tego dla pieniędzy. Dopiero co powtórzyłeś to tutaj. Twój ojciec cię lubi, pamiętasz? Dostaniesz spadek, pamiętasz?

- I zazdrościsz mi tego? Tak samo, jak zazdrościsz każdemu mężczyźnie, który jest blisko z Lucianną?

- Uważaj, Rudelu. Och, proszę cię, uważaj.

- Co zrobisz? Będziesz ze mną walczył? Żeby się przekonać, który z nas potrafi zabić drugiego? Jak bardzo głupio zamierzasz się zachować w tej kwestii, Blaise? Nie miałem pojęcia, że jesteś z księciem Talair. A kiedy się o tym dowiedziałem, nie mogłem się wycofać z przyjętego zlecenia. Jesteś takim samym zawodowcem, jak ja. Wiesz, że to prawda. Przyjąłem kontrakt twego ojca, bo to była największa suma pieniędzy, jaką w naszych czasach zaproponowano za zabójstwo. Przyznaję, że mi to pochlebiało. Spodobało mi się to wyzwanie. Podobało mi się, że będę znany jako człowiek, który jest tyle wart jako zabójca. Spróbujesz mnie za to zabić? Czy może tak naprawdę chcesz mnie zabić za to, że cię przedstawiłem mojej kuzynce, która postanowiła nie zmieniać swojej natury tylko dlatego, że pojawiłeś się na scenie i chciałeś, by to zrobiła? Zanim ją jeszcze ujrzałem, powiedziałem ci, kim dokładnie jest Lucianna i jej rodzina. Pamiętasz? Czy może wolisz się po prostu ukrywać za swoim gniewem, ukrywać się przed wszystkimi, których znasz, tu, w Arbonne, i zapomnieć o takich bolesnych sprawach? Bądź wobec siebie uczciwy, Blaise, na czym polega mój grzech?

Lisseut, rozciągnięta płasko na murze, osłonięta liśćmi platanu, wśród gałęzi którego już nie śpiewał ptak, usłyszała coś, czego nie powinna była usłyszeć, i poczuła, jak zaczynają jej się trząść ręce. To było zbyt bolesne, zbyt prywatne, i Lisseut teraz żałowała, że tu przyszła. Obserwowała ten ogród dokładnie tak, jak któryś ze złych, zazdrosnych *audrades*, którzy we wszystkich pieśniach porannych szpiegowali kochanków, zdecydowani siać zniszczenie. Przez długi czas jedynym dźwiękiem był monotony plusk fontanny. W pieśniach też zwykle były fontanny.

Kiedy Blaise się odezwał, mówił, o dziwo, po arbońsku.

- Jeśli mam być szczerzy wobec siebie i ciebie, to muszę powiedzieć, że jest tylko dwoje ludzi na świecie, kobieta i mężczyzna, z którymi najwyraźniej nie umiem sobie poradzić, a teraz jesteś powiązany z obojgiem. To... utrudnia sytuację. - Odetchnął głęboko. - Nie zamierzam opuszczać Arbonne. Poza wszystkim innym sprawiłoby to wrażenie przyznania się do winy, której nie ponoszę. Zaczekam do rana, a potem powiadomię odpowiednich ludzi, kto wypuścił tę strzałę. Nie powinieneś mieć żadnych kłopotów, by w tym czasie znaleźć się już na morzu na jednym ze statków twego ojca. Podejmę to ryzyko.

Portezzanin postąpił krok do przodu, w krąg światła rzucanego przez pochodnie oraz świece stojące na stole. Na jego twarzy nie było już widać beztroski ani przebiegłości.

- Od dawna jesteśmy przyjaciółmi i wiele razem przeszliśmy. Jeśli teraz zostaniemy wrogami, będę tego żałował. Może nawet uda ci się sprawić, że będę żałował przyjęcia tego kontraktu.

Blaise wzruszył ramionami.

- To było mnóstwo pieniędzy. Mój ojciec zwykle dostaje to, czego chce. Czy kiedykolwiek zadałeś sobie pytanie, dlaczego spośród wszystkich możliwych zabójców w sześciu krajach wynajął tego, który był moim najbliższym przyjacielem?

Rudel zastanowił się nad tym i wyraz jego twarzy powoli się zmienił. Lisseut dostrzegła to w blasku światła. Pokręcił głową.

- Naprawdę? Czy mogło o to chodzić? Nawet nie przyszło mi to do głowy. - Znów się cicho zaśmiał, lecz teraz już bez wesołości. - Ponieważ jestem dumny, po prostu pomyślałem, że uznał mnie za najlepszego z nas wszystkich.

- Kupował przyjaciela, którego zdobyłem w świecie z dala od domu, z dala od niego. Możesz sobie schlebiać - uważał, że twoja cena będzie bardzo wysoka.

- Wystarczająco wysoka, chociaż wyznam, że jestem teraz mniej zadowolony niż jeszcze przed chwilą. Powiedz mi jedno. Chyba wiem, dlaczego nas opuściłeś i odjechałeś zupełnie sam, ale dlaczego chcesz teraz zostać? Co zrobiła Arbonne, by cię kupić i zatrzymać? Kim był Bertran de Talair, że chcesz w ten sposób ryzykować?

Blaise znów wzruszył ramionami.

- Arbonne tak naprawdę nic nie zrobiła. Z pewnością nic, by mnie kupić. Szczerze mówiąc, nawet mi się tu nie podoba. Za dużo tu, jak dla mnie, bogini, jak mógłbyś się domyślić. - Przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą. - Ale mam własny kontrakt, tak jak ty. Wypełnię go jak najuczciwiej, a potem zobaczę, na czym stoję. Nie sądzę, żebym tak naprawdę cokolwiek ryzykował.

- A zatem zastanów się jeszcze raz, Blaise. Pomyśl. Jeśli twój ojciec przez zabicie księcia

Talair chce coś powiedzieć światu, to jak my powinniśmy zrozumieć to przesłanie? Co Gorhaut przekazuje nam wszystkim? Mój ojciec mówi, że nadchodzi wojna, Blaise. Jeśli nadejdzie, to myślę, że Arbonne będzie zgubiona.

- To możliwe - odparł Blaise z Gorhaut, a Lisseut poczuła, że blednie. - Jak mówię, za jakiś czas przekonam się, na czym stoję.

- Nic nie mogę dla ciebie zrobić?

Lisseut usłyszała w głosie Blaise'a rozbawienie zabarwione nutą znużenia.

- Nie pozwól, by wino uczyniło cię sentymentalnym, Rudelu. O wschodzie słońca zadenuncjuję cię jako zabójcę. Lepiej zacznij snuć jakieś plany.

Rudel się nie poruszył.

- Jest jedna rzecz - powiedział powoli, jakby do siebie. - Faktorzy we wszystkich filiach domu Correze otrzymają ode mnie list, nakazujący im w razie potrzeby przyjąć cię i ukryć.

- Nie udam się do żadnego z nich.

Teraz w głosie Rudela zabrzmiało rozbawienie.

- To już leży poza moją kontrolą. Nie mogę brać odpowiedzialności za twoją dumę. List zostanie jednak napisany. Rozumiem, że zostawiasz swoje pieniądze u nas?

- Ależ oczywiście - odparł Blaise. - Komu innemu miałbym je powierzyć?

- Dobrze - odparł Rudel Correze. - Rzeczą, której mój ojciec nie znosi najbardziej, jest wycofywanie pieniędzy przez inwestorów. Byłby ze mnie ogromnie niezadowolony.

- Żałowałbym, stając się przyczyną takiego niezadowolenia.

Rudel się uśmiechnął.

- Gdybym się z tobą nie spotkał, Blaise, byłbym dziś nadzwyczaj zadowolonym człowiekiem, upojonym moim wielkim sukcesem. Być może wziąłbym udział w Karnawale. Zamiast tego jest mi dziwnie smutno i jestem zmuszony przedsięwziąć nocną podróż, co nigdy nie służy memu trawieniu. Jakimże przyjacielem jesteś?

- Takim, który w każdym razie nie jest wrogiem. Uważaj na siebie, Rudelu.

- Ty też. Ten Arimondańczyk cię zabije, jeśli zdoła.

- Wiem. Jeśli zdoła.

Zapadło milczenie.

- Jakaś wiadomość dla Lucianny?

- Żadnej. Niech bóg cię strzeże, Rudelu.

Blaise postąpił krok do przodu i obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Przez chwilę Lisseut myślała, że się obejmą, lecz tego nie zrobili. Cofnęła się cicho wzdłuż muru, wyczuła stopami drewnianą skrzynkę i ześliznęła się w smród zaułka. Wracając szybko w stronę ulicy,

znów słyszała szczury. Kiedy wyszła z zaułka, podniosła maskę porzuconą na ulicy i ją włożyła. Chciała w tej chwili mieć jakąś barierę między sobą i światem, a jeszcze bardziej niż przedtem chciała mieć chwilę spokoju i jasny umysł, by móc przemyśleć kilka spraw.

Nie sądziła, by tej nocy to życzenie miało się spełnić.

Wróciła pustą ulicą, oddalając się od zamykającego ją placu, i minęła potężne żelazne wrota, stanowiące wejście do, jak teraz wiedziała, arbońskiego pałacu Domu Correze. Oczywiście znała to nazwisko. Wszyscy je znali. Wdepnęła w coś bardzo poważnego i nie wiedziała co robić.

Nieco dalej natrafiła na sklepione wejście do budynku, z którego przedtem obserwowała, jak Blaise wchodzi do zaułka. Znów się tam schroniła, by obserwować okolicę przez wydłużone otwory na oczy w masce.

Nie musiała długo czekać. Kilka chwil później z zaułka wyszedł Blaise z Gorhaut. Zatrzymał się na ulicy i spojrzał w górę na surową, kwadratową wieżę Mignano. Lisseut wiedziała już teraz dlaczego, wiedziała więcej, niż powinna, a nawet chciała, wiedzieć: Mignano od wielu lat znajdowało się pod kontrolą rodziny Delonghich, a jedyną córką Masseny Delonghiego była kobieta imieniem Lucianna, dwakroć zameżna, dwakroć przedwcześnie owdowiała.

Trzykroć zameżna, poprawiła się Lisseut. Teraz z hrabią Borsiardem d'Andorią. Przez chwilę się zastanawiała, dlaczego ożenił się z nią człowiek potężny i bogaty, znający jej reputację oraz ambicje jej rodziny. Podobno była bardzo piękna. Do jakiego stopnia może usprawiedliwiać lub zmuszać uroda?

Blaise odwrócił się od wieży i szybko zbliżał się ulicą. Światło latarni znów załśniło na jego włosach i bujnej brodzie.

Do chwili, w której zawołała go po imieniu, Lisseut nie wiedziała, że zamierza to zrobić. Zatrzymał się, sięgając szybko dłonią do miecza. a potem się zawahał i ją opuścił. Kobięcy głos; przecież nie będzie się bał kobiety. Lisseut wyszła spod sklepienia na światło. Miała na twarzy maskę. Zdjęła ją; prowizorycznie zwinięte włosy się rozpuściły i Lisseut poczuła na twarzy splątane pasma. Wyobrażała sobie, jak wygląda.

- Ach - powiedział. - Śpiewaczka. - Zaskoczenie w głosie, lecz niewielkie. A także niewielkie zainteresowanie. Przynajmniej ją rozpoznał. - Znalazłaś się tu daleko od Karnawału. Chcesz, żebym cię odprowadził do miejsca, gdzie będą ludzie?

Mówił to głosem uprzejmym i obojętnym, jak coran boga wypełniający swój zaprzysiężony obowiązek wobec kogoś w potrzebie. Lisseut uświadomiła sobie, że nawet nie przyszło mu na myśl, dlaczego się tu znalazła. Była zaledwie Arbonką, zapewne potrzebującą

pomocy.

Jej matka zawsze mówiła, że zbyt wiele rzeczy robi pod wpływem impulsu i że pewnego dnia będzie ją to słono kosztowało. Kosztowało wiele razy. Otwierając usta, Lisseut pomyślała, że stanie się tak i teraz.

- Szłam za tobą - oznajmiła. - Byłam na murze ogrodu pod platanem. Słyszałam, co obaj mówiliście, ty i Rudel Correze. Usiłuję zdecydować, co mam z tym zrobić.

Przeżyła chwilę zadowolenia na widok zdumienia, jakie zagościło na twarzy corana, widocznego nawet mimo brody - która stanowiła swoistą osłonę, tak jak wszystkie maski tej nocy. Jednakże to zadowolenie nie trwało długo. Lisseut uświadomiła sobie, że on równie dobrze może ją teraz zabić. Nie sądziła, by miało do tego dojść, ale to było prawdopodobne.

Przygotowała się na jego wściekłość. Pomyślała, że widzi w niepewnym świetle jej narastanie: uniesiona głowa, zwężone oczy. Pamiętała, że zadrasnął Remy'ego. Nad Jeziorem Dierne zabił sześciu ludzi. Lecz teraz jego ręce były nieruchome. Zobaczyła, jak się zastanawia nad implikacjami jej słów, jak jego zaskoczenie i gniew ustępują beznamiętnej, zawodowej ocenie. Umiał się szybko opanować; gdyby wcześniej w ogrodzie nie widziała, jak rozlewa wino na dźwięk kobiecego imienia, uznałaby go za człowieka zimnego i ponurego.

- Dlaczego? - zapytał tylko.

Bała się tego pytania. Nadal nie umiała na nie odpowiedzieć. Żałowała, że nie ma porządnie upiętych włosów, że jej ubranie nie jest czyste i suche. Czowała się jak ulicznik. Jej matce byłoby bardzo wstyd.

- Sprawiałeś wrażenie, że gdzieś się śpieszysz - powiedziała z wahaniem. - Kiedy schodziłeś z pomostu. Chyba byłam bardzo... rozzłoszczona na ciebie w tawernie, chciałam... dowiedzieć się czegoś więcej.

- I teraz już wiesz. - W gruncie rzeczy wydawał się bardziej zmęczony niż zły. - Co więc uczynisz? - zapytał.

- Miałam nadzieję, że ty mi to powiesz - odparła Lisseut, patrząc na trzymaną w dłoniach kocią maskę. - Usłyszałam, że zamierzasz zostać, zamiast z nim wyjechać. Powiedział, że może być wojna i... i usłyszałam, kto zapłacił za zabójstwo.

Zmusiła się, by podnieść na niego wzrok.

- Mój ojciec - powiedział bez ogródek. - Tak, mów dalej.

Zmarszczyła w skupieniu brwi.

- Nie jestem znana z samodyscypliny, ale nie chcę wplątać się w coś, w czym się pogubię.

- Och, doprawdy? - zapytał z lekkim sarkazmem. - Jakaś ty powściągliwa. Więcej ludzi



powinno tak uważać. Lecz oczywistym pytaniem jest; dlaczego mi zaufałaś? Dlaczego mi to mówisz na ciemnej ulicy, kiedy nikt na świecie nie wie, że tu jesteśmy ani co właśnie usłyszałaś? Dlaczego pytasz syna Galberta de Garsenc, co masz robić? Wiesz, kim on jest, teraz wiesz, kim jestem ja. Wiesz, że Valery'ego zabił Rudel Correze, mój przyjaciel. Szpiegowałaś, dowiedziałaś się ważnych rzeczy. Dlaczego stoisz tu teraz ze mną? Tak mało dbasz o własne życie czy może po prostu nie masz pojęcia, co w prawdziwym świecie dzieje się z kimś, kto robi coś takiego?

Przełknęła ślinę. Nie był łatwym człowiekiem, o, nie. Znow odgarnęła włosy z oczu; były straszliwie poplątane.

- Ponieważ wierzę w to, co mu powiedziałeś. Nie wiedziałeś, że tam jestem, nie miałeś powodu kłamać. Nie miałeś nic wspólnego z tym zabójstwem. I powiedziałeś, że nie wyjedziesz z Arbonne, i... i potem nie powiedziałeś mu, że zabił niewłaściwego człowieka. - Poczula, że w miarę, jak uświadamia sobie prawdę, wygładza się jej czoło. Takie rzeczywiście miała powody; odkrywała je w miarę ich wyliczania. Nawet się uśmiechnęła. - Uważam, że jesteś niecywilizowanym przybyszem z północy, na którego szkoda marnować co lepsze rzeczy w życiu, ale nie sądzę, byś był złym człowiekiem, i jestem przekonana, że mówiłeś prawdę.

- Dlaczego dzisiejszej nocy jestem tak całkowicie otoczony przez sentymentalnych ludzi?  
- zapytał Blaise z Gorhaut dziwnym, pełnym zamyślenia głosem.

Roześmiała się. Chwilę później, jakby sam był tym zaskoczony, Blaise uśmiechnął się krzywo.

- Chodź, nie powinniśmy być widziani w tej okolicy - powiedział. - Ktoś mógłby się czegoś domyślić.

Ruszył wzdłuż szerokiej ulicy. Szedł szybko, nie zważając na drobny wzrost Lisseut, i dziewczyna musiała niemal podbiegać, by dotrzymać mu kroku. W gruncie rzeczy znow ją to zirytowało; po niedługiej chwili chwyciła go za rękaw i energicznym szarpnięciem zmusiła do zwolnienia tempa.

- Bóg by nie chciał, żebyś mnie zmuszał do biegu - mruknęła.

Otworzył usta, lecz zaraz je zamknął. Pomyślała, że omal się nie roześmiał, ale nie miała pewności, zerknąwszy na niego w górę w słabym świetle.

Niestety, właśnie wtedy, trzymając go za rękaw, przypomniała sobie, że jest karnawałowa noc, noc letniego przesilenia. Powiadano w Tavernel, że taka noc spędzona samotnie przynosi pecha. Lisseut poczuła, że robi jej się sucho w ustach. Przełknęła ślinę i puściła rękaw corana. Nawet tego nie zauważył, idąc obok niej wolniejszym krokiem, barczysty i sprawny, mając

gdzieś w swojej przeszłości słynną, cieszącą się niezbyt dobrą sławą Lucianę Delonghi. W myślach Lisseut pojawił się nieproszony obraz pary połączonej uściskiem w ciemnym zaułku. „Och, wspaniale”, powiedziała tamta kobieta głosem schrypniętym z pożądania, a ręce kochanków wyciągnęły się ku Lisseut.

Pokręciła głową i zaklęła w duchu, głęboko oddychając nocnym powietrzem. To wszystko, oczywiście, była wina Remy’ego. Przed nim takie myśli, takie obrazy byłyby dla niej obce. No, w większości obce.

- Dlaczego pozwalasz mu się wymknąć? - zapytała, by zmienić bieg myśli i przerwać milczenie. Wokół nich pojawili się już ludzie; zauważyła, że o tej porze są to w większości pary. - Bo jest twoim przyjacielem?

Blaise zerknął na nią. Zadała sobie pytanie, czy w jej głosie było słycać napięcie. Zawahał się. Lisseut przemknęła przez głowę myśl, że nie zrobiłby tego, gdyby była mężczyzną. W końcu jednak odpowiedział.

- Częściowo, co oczywiste. Przeszliśmy... razem bardzo wiele. Ale chodzi w tym o coś jeszcze. Rudel Correze to ważna postać. Jest synem swego ojca, a jego ojciec jest bardzo ważną postacią. Gdyby został tu schwyty, musielibyśmy podjąć decyzję, co z nim zrobić, a to mogłoby się okazać niezręczne. Jeśli wybuchnie wojna, miasta Portezzy staną się ważne, ze względu na pieniądze, a możliwe, że i na coś więcej.

Zaryzykowała raz jeszcze. Bardzo zaryzykowała.

- My musielibyśmy? - zapytała.

Milczał przez kilka kroków.

- Jesteś bystrą i najwyraźniej odważną kobietą - odezwał się w końcu. Lisseut pomyślała, czyby nie ukłonić mu się kpiarsko na ulicy, lecz się powstrzymała. - Proponuję, żebyś się bardzo postarała nie traktować tego zbyt sentymentalnie. Jestem zawodowym coranem, w tej chwili związanym kontraktem z księciem Bertranem, który nie jest martwy, a zamiast niego zginął człowiek, którego polubiłem. W moim zawodzie człowiek przyzwyczaja się do śmierci lubianych osób albo znajduje sobie inne zajęcie. Równie łatwo mógłbym jesienią służyć w Aulensburgu Jörgowi z Götzlandu, a jeśli postanowi przyłączyć się do Gorhaut i jeśli wybuchnie wojna... wrócę tu i będę walczył u jego boku przeciwko wam. Musisz to zrozumieć. Na razie usiłuję służyć najlepiej jak umiem człowiekowi, który mi płaci.

- Zapłata jest wszystkim? Nie walczyłyś za Gorhaut, bo to twój kraj? Tylko z tego powodu, nie biorąc pod uwagę pieniędzy? - Znów miała przyspieszony oddech.

Szedł w milczeniu, patrząc na nią. Ich spojrzenia się zetknęły, lecz Blaise zaraz odwrócił wzrok.

- Nie - odparł w końcu. - Kiedyś bym tak zrobił. Kiedyś walczyłem. Więcej tego nie zrobię. - Odetchnął powoli. - Nie po Moście na Iersen. Jestem zawodowym coranem. Zapłata jest wszystkim.

- I umiesz z taką łatwością zmieniać strony? Nie istnieją związki, które miałyby jakieś znaczenie? Żadni ludzie, żadne zasady?

- Rozpoczęłaś wieczór od ataku na mnie - mruknął. - Czy to ci wchodzi w nawyk?

Lisseut poczuła, że się czerwieni.

- Jeśli jesteś sprawiedliwa - ciągnął - przyznasz, że za tym, co robię, stoją jakieś zasady. Związki w moim zawodzie są niebezpieczne. Podobnie jak sentymentalizm.

- Użyłeś tego słowa dzisiejszej nocy przynajmniej cztery razy - powiedziała bardziej zgryźliwie, niż zamierzała. - Czy to twoje jedyne słowo na określenie pozytywnych ludzkich uczuć?

Znów, ku jej zaskoczeniu, się roześmiał.

- Jeśli przyznam ci punkt, zaniechasz tematu? - zapytał.

Zatrzymał się. Wrócili już między tłum. Ktoś potrącił Lisseut. Kiedy się odwracała, by na niego spojrzeć, Blaise położył jej rękę na ramieniu.

- Chyba nie sprostam dziś debacie z tobą na ulicy. Myślę, że bym ja przegrał. - Spojrzał na nią badawczo; znowu był zawodowcem, oceniającym sytuację. - Zapytałaś mnie, co powinnaś zrobić. Rano zamierzam porozmawiać z en Bertranem. Myślę, że jest oczywiste, że nie powinien być tym obciążany dziś, pomijając to, co obiecałem Rudelowi Correze. Opowiem o wszystkim, co zaszło, łącznie z moją decyzją o daniu Rudelowi szansy na opuszczenie Arbonne. Sądzę, że w końcu się z tym zgodzi. Powiem mu także, kto zapłacił za tę strzałę. To ci obiecuję. Jeśli mi nie ufasz, że to zrobię, możesz tam być, kiedy się spotkamy rano.

To było więcej, niż się mogła spodziewać, o wiele więcej. Mimo to, pozostając taką, za jaką zawsze uważała ją matka, zapytała:

- Powiesz mu wszystko? Także to, kim jesteś?

Wyraz jego twarzy się nie zmienił; uświadomiła sobie, że spodziewał się tego pytania. Już zaczął wyrabiać sobie o niej zdanie. Dziwnie było zdać sobie z tego sprawę.

- Jeśli będziesz na to nalegać, to tak. I tak nie mogę cię powstrzymać przed wyjawieniem mojej tożsamości. Nie zabijam kobiet, które dowiadują się zbyt wiele. Mogę cię tylko prosić, byś pozwoliła mi samemu ocenić, kiedy i czy ją wyjawić w miarę rozwoju wypadków. - Znów się zawahał. - Nie chcę skrzywdzić nikogo, kto jest ci drogi.

Pomyślała o Remym z raną od miecza.

- Świetnie. Na to mogę się zgodzić - powiedziała hardo, usiłując wyrzeć wrażenie opanowanej i doświadczonej. - Ale nie powinnam być przy twojej rozmowie z Bertranem, bo mógłby mnie wezwać później, samą, i zapytać, co jeszcze usłyszałam, a nie potrafię dobrze kłamać.

Miała świadomość, że jego dłoń wciąż spoczywa na jej ramieniu.

Uśmiechnął się.

- Dziękuję. Jesteś wielkoduszna.

Lisseut wzruszyła ramionami.

- Nie bądź sentymentalny - rzekła.

Roześmiał się, odrzucając w tył głowę. Właśnie wtedy przebiegł obok nich jakiś rzemieślnik z kołatką, robiąc okropny hałas. Blaise się skrzywił.

- Dokąd mam cię odprowadzić? - zapytał. - Do tawerny?

Zdjął rękę z jej ramienia.

- Właściwie... nie musisz mnie odprowadzać - rzekła. - Jest Karnawał, a noc jeszcze się nie skończyła. Moglibyśmy wypić butelkę wina, jeśli chcesz, i... i cóż, jeśli naprawdę zostaniesz jeszcze jakiś czas w Arbonne, powinieneś poznać niektóre z naszych zwyczajów. - Mimowolnie zerknęła na zatłoczoną ulicę. - Powiadają, że samotne spędzenie dzisiejszej nocy w Tavernel przynosi... pecha.

Matka zawsze jej mówiła, że zhańbi rodzinę. Mogła winić wuja za to, że wywiódł ją w szeroki świat jako śpiewaczkę. Mogła winić Remy'ego z Orreze. Mogła winić święte obrzędy Rian w Tavernel w noc letniego przesilenia.

Mogła czekać, zagryzając wargę, aż towarzyszący jej mężczyzna powie z miażdżącą uprzejmością:

- Dziękuję. Za jedno i drugie. Ja jednak nie pochodzę z Arbonne, a czy przyniesie mi to pecha, czy nie, dzisiaj zginął podziwiany przeze mnie coran, a moje własne zwyczaje nakazują mi czuwać dla niego w domu boga.

- Całą noc? - Podniosła na niego wzrok. Wymagało to niejakiej odwagi.

Zawahał się, szukając słów. Lisseut powiedziała wtedy, wiedząc, że niemądrze robi:

- Oczywiście nie wiem, co się wydarzyło w Portezzie, ale ja taka nie jestem. To znaczy zwykle nie...

Zakrył jej usta dłonią. Poczowała na wargach jego palce.

- Nie mów tego - mruknął. - Zostaw mi choć tyle.

Pomyślała, że jest niecywilizowanym przybyszem z północy. Ugodził Remy'ego w ramię. „Dopóki nie spadnie słońce i nie zgasną księżycy”, mawiali jej dziadek i ojciec,

„Gorhaut i Arbonne nigdy nie będą leżeć spokojnie obok siebie”. Cofnął palce, wycofał się za własną maskę. To tylko niebezpieczne skojarzenia związane z letnim przesileniem, powiedziała sobie w duchu, i ta niepokojąca intymność tego, co usłyszała w tamtym ogrodzie. Byli inni mężczyźni, z którymi mogła przestawać, mężczyźni, których znała i darzyła zaufaniem, mężczyźni utalentowani, dowcipni i uprzejmi. Na pewno są w „Liensenne”; siedzą w sali na dole albo na górze przy winie i serach Marotte’a, harfami, lutniami i pieśniami czcząc Rian tej najświętszej nocy. Na pewno nie będzie musiała spać sama.

Chyba że w ostatecznym rozrachunku tego zechce. Czując niespodziewany smutek, Lisseut spojrzała za plecy mężczyzny, z którym stała, usiłując odzyskać skrzący się jak brylant nastrój euforii, który chyba ją tej dziwnej nocy opuścił gdzieś między tłumami, muzyką, kołatkami i tą jedną strzałą, która poleciała zakrzywionym torem, i słowami wypowiedzianymi obok pluskającej fontanny.

I tak oto, patrząc na zatłoczoną ulicę, spostrzegła sześciu mężczyzn w szkarłatnych liberiach, którzy teraz ich otoczyli, trzymając pochodnie, zbrojni w miecze.

Ich dowódca skłonił się z wdziękiem Blais’ewi z Gorhaut.

- Wyświadczyłbyś nam wielką uprzejmość - odezwał się z nienaganną, oficjalną powagą - gdybyś zechciał pójść z nami.

Blaise rozejrzał się szybko; Lisseut widziała, że stara się ocenić tę nową sytuację. Spojrzała na nią, szukając w jej oczach podpowiedzi czy wyjaśnienia; wiedziała, że tak zrobi. On oczywiście nie znał tych liberii. Ona tak. Znała je dobrze. I akurat w tej chwili nie bardzo miała ochotę mu pomagać. W jaki sposób, pomyślała, zaskoczona własnym, szybko rozpalonym gniewem, przemoczona śpiewaczka z gajów oliwnych Vezet ma współzawodniczyć z czymś takim w noc poświęconą Rian?

- Chyba jednak nie uda ci się to czuwanie - powiedziała. - Życzę ci radości tej nocy i roku.

I na widok niezrozumienia, jakie zagościło w spojrzeniu Blaise’a, poczuła płytkie, przelotne zadowolenie.

Jeden z mężczyzn w szkarłacie odprowadził ją do „Liensenne”. Oczywiście. Doskonale się znali na takich niuansach. Musieli, pomyślała kwaśno, mieli stanowić przykład dla całego świata.

## ROZDZIAŁ 7

Nawet kiedy zobaczył pawie na rześście oświetlonym wewnętrznym dziedzińcu domu, do którego został przyprowadzony, Blaise nie wiedział, gdzie się znajduje. Nie wyczuwał bezpośredniego zagrożenia od pięciu eskortujących go mężczyzn, ale też nie miał złudzeń, że mógłby odrzucić ich uprzejmie sformułowaną prośbę.

Był zdumiewająco znużony. Był bardziej szczery wobec tej śpiewaczki, tej dziewczyny o splątanych włosach imieniem Lisseut, niżby się spodziewał, zwłaszcza po tym, co zrobiła. Lecz gdyby chciał powiedzieć całą prawdę, dodałby na koniec, że jego zamiar czuwania w domu boga zrodził się nie tylko z chęci opłakania i uczczenia przejścia Valery'ego z Talair do Corannosa, ale i z pragnienia zaznania ciszy, jaką znalazłby tam w samotności.

Miał w tej chwili sporo do przemyślenia, a wino oraz to, co mogłoby potem nastąpić w dekadencją noc spędzoną ze śpiewaczką w Tavernel - bez względu na to, jak bardzo mogła być odważna i bystra - nie przyniosłyby ulgi jego sercu czy umysłowi. Wydawało się, że sytuacja nagle znów się stała trudna.

Jego ojciec zapłacił ćwierć miliona w złocie Rudelowi Correze za zabójstwo księcia Talair.

Wyraźne przesłanie przeznaczone dla całego świata oraz drugie, ukryte, tylko dla jego młodszego syna: „Zobacz, z czym muszę pracować, moje zbłąkane dziecko. Zobacz, czego ci odmawiam za to, że ty odmówiłeś mnie. Jak odzieram cię nawet z przyjaźni. Dowiedz się, ile kosztuje twoje szaleństwo. Jak mogłeś w ogóle marzyć o zakwestionowaniu mojego zdania?”.

Czy istniało na ziemi takie miejsce, do którego mógłby się udać i nie zostać sprowadzony z powrotem przed oblicze Galberta, najwyższego kapłana Corannosa w Gorhaut, niczym przed wypolerowane, bezlitosne, obnażające zwierciadło?

I było coś jeszcze, tej nocy zaistniało coś ponad to. Dowiedział się, że Lucianna znów wyszła za mąż. Inny rodzaj zwierciadła, zniekształcające i ciemne: migocące świece przy rozburzonym łóżku, przesuwający się za oknem księżyc boga, sprowadzony ze wschodu ptak śpiewający w ozdobnej klatce tak, że mogło pęknąć serce - obrazy tak przeszywające, że odwracały się od nich oczy duszy.

Przybył przez przełęczę podczas zimowego zastoju do Arbonne jako do przystani albo schronienia, gdzie nie był nigdy przedtem, gdzie zapewne nikt go nie zna, gdzie za

odpowiednie wynagrodzenie mógłby anonimowo służyć jakiemukolwiek pomniejszemu panu w jakiegokolwiek odludnej górskiej fortecy. Gdzie już mógłby nigdy nie usłyszeć tego imienia, wypowiedanego z podziwem, pożądaniem czy pogardą, ani nie być zmuszonym do wracania do wszystkich tych bolesnych, nagromadzonych wspomnień z Portezzy: obrazów ujętych w ramy złożonych splotów dywanów i gobelinów, poduszek i jedwabi, wazonów i kielichów z marmuru i alabastru, i wijących się wśród nich, niczym zwiewna zasłona utkana z dymu, zmysłowych, ulotnych woni, które tak niebezpiecznie dobrze poznał przed rokiem w kobiecym skrzydle pałacu Delonghich w Mignano.

„Na czym polega mój grzech, Blaise?”. Rudel taki był. Nóż w głosie i kryjącej się za nim myśli. Jasny jak żywe srebro, niematerialny jak blask księżycy na wodzie, a potem ostry i bezlitosny, i zabójczy jak... jak strzała zanurzona w syvarenie. I ta ostrość jego spostrzeżeń. Człowiek, przed którym trudno się ukryć.

Grzech bowiem, wykroczenie polegało na tym - i Rudel to wiedział, obaj to wiedzieli - że dał Blaise'owi dokładnie to, czego ten chciał. W zaopiekowaniu się w Gorhaut coranem wciąż jeszcze otępiąłym z szoku i gniewu po Traktacie Mostu na Iersen i w odciążeniu go, najpierw do Aulensburga i na przesiąknięty piwem, mający obsesję na punkcie polowań dwór króla Jörga z Götzlandu, a potem dalej na południe do czegoś innego, do czegoś całkowicie odmiennego, dokąd dotarli piękną, pełną kwiatów wiosną.

Do miast Portezzy oraz ich intryg, do delikatnych przyjemności subtelnymi, zamożnych, uśmiechających się z ukosa ludzi i doskonale zorientowanych we wszystkim kobiet, mieszkających w tych walczących ze sobą, wspaniałych miastach-państwach. A pewnej wietrznej nocy, kiedy we wzgórza leżące daleko na północ od Mignano były pioruny, u szczytu stołu podczas uczy istniały tylko kruczoczarne włosy Lucianny Delonghi, blask jej biżuterii, równie skrzący się dowcip pełen niepokojących pułapek i podwójnych znaczeń, drwiący śmiech. I to, kim się stała później, gdzie indziej, pod malowanym baldachimem łoża, odziana jedynie w blask biżuterii... to, co się stało, kiedy ze śmiechu zniknęła drwina, lecz śmiech pozostał.

Na tym polegał grzech Rudela. I będąc wobec siebie uczciwy, Blaise musiał przyznać, że tak naprawdę nie było żadnego grzechu, tylko otwarte drzwi - oraz ostrzeżenie - przez które sam przeszedł, okaleczony po zimowej bitwie, w której zginął jego król, do pozornego ciepła oświetlonego blaskiem ognia i świec, wonnego ciągu pokoi, z których wyszedł po roku z ranami o wiele głębszymi.

Dumne pawie w ogóle się nie bały. Jeden chciał nawet zakwestionować ich prawo do przecięcia dziedzica, ale w końcu się odwrócił i odszedł dumnym krokiem, rozpościerając ogon. W blasku księżyców i płonących pochodni w tym wachlarzu barw było coś rozrzutnego i rozpustnego. We wspomnieniach o Luciannie też gościło niewiele dziennego światła; wydawało się, że wszystko się wydarzyło w mroku lub przy rozrzutnym, rozpustnym świetle świec, w tym czy innym pałacu, a raz w parną, duszną, niezapomnianą letnią noc, kiedy Rudel był w Faennie - zabili wtedy jej męża, które to zabicie zlecił im jej ojciec.

Gdy się zbliżyli do skraju dziedzica, lokaj w ciemnoczerwonej liberii otworzył przed nimi podwójne drzwi. Za nim w szerokim holu stała dama dworu w sukni tej samej barwy, przyozdobionej bielą u nadgarstków i przy szyi. Ciemne włosy też miała związane białą wstążką, a w ręce trzymała wysmukły lichtarz. Lokaj się skłonił, kobieta wykonała głębokie dygnięcie. Świeca w jej ręku nawet nie zamigotała.

- Zechcesz wyświadczyć mi ten honor, że pójdziesz za mną? - zapytała.

Blaise nadal nie miał żadnych złudzeń. Zauważył, że dwaj strażnicy zostali i czekają w drzwiach. Miał ochotę zgromić ich wszystkich i zażądać zakończenia tej przedłużającej się farsy uprzejmości, lecz coś w jej doskonałości, w jej powadze, kazało mu zachować spokój. Ktokolwiek po niego posłał, bardzo wyraźnie nadawał takim sprawom przesadne znaczenie; mogło się to okazać przydatną informacją.

I z tą właśnie myślą, podążając za idącą drobnym krokiem kobietą, najpierw korytarzem, a potem szerokimi, zakręcającymi schodami, mając za sobą dwóch ostrożnie stąpających strażników, Blaise pojął, gdzie musi się znajdować; także coś, co powiedziała na końcu śpiewaczka, stało się poniewczasie jasne.

Zatrzymali się przed zamkniętymi drzwiami. Kobieta zastukała dwa razy i otworzyła je; po czym odsunęła się i pełnym niewymuszonego wdzięku gestem zaprosiła Blaise'a, by wszedł do środka. Posłuchał. Drzwi zostały za nim zamknięte.

Ujrzał wygaszony kominek, świece w lichtarzach na ścianach i stołach, rozmieszczonych wokół bogato umeblowanego pokoju, wyłożonego kosztownymi dywanami, a wszystko było w odcieniach granatu i złota. Na jednym ze stołów wino, a obok butelki kielichy. Dwoje, nie, troje drzwi otwierających się na wewnętrzne pomieszczenia, przed kominkiem para bardzo głębokich foteli z wysokimi oparciami. Dwa okna w zewnętrznej ścianie były otwarte i wpuszczały do środka podmuchy wiatru; Blaise słyszał dobiegające z dołu odgłosy zabawy. Czuł znajomą, twardą gorycz oraz niezaprzeczalną ciekawość, a za nimi kryło się coś jeszcze, jak przyśpieszające uderzenia pulsu.

- Dziękuję, że przyszedłeś - odezwała się Ariane de Carenu, wstając z otomany pod



przeciwległą ścianą pokoju. Czarne włosy, wciąż rozpuszczone, opadały na ramiona. Miała na sobie ten sam strój i biżuterię płonąca niczym ogień i lód.

- Przyjąłbym podziękowania, gdybym miał w tej sprawie jakiś wybór - rzekł ponuro Blaise.

Stał tuż za progiem, oceniając pokój i usiłując nie wpatrywać się w kobietę zbyt natarczywie. Roześmiała się.

- Gdybym miała pewność, że postanowiłbyś przyjść, z przyjemnością pozostawiłabym wybór tobie.

Jej uśmiech świadczył, że dokładnie wie, o czym mówi. Była bardzo piękna, a kruczoczarne włosy stanowiły oprawę dla nieskazitelnej, jasnej cery, którą zarazem podkreślały. Ciemne oczy Ariane były szeroko rozstawione i pełne spokoju, usta mocne, a w jej głosie Blaise słyszał nutę władzy, zauważoną w tawernie, kiedy wydała księżętom Talair i Miraval rozkaz, który przyjęli bez sprzeciwu.

Kobiety Arbonne, pomyślał, usiłując przywołać gniew, by osłonić się nim jak tarczą. Zaplótł ręce na piersiach. Przed nieco ponad rokiem, w wiosenną noc, kiedy wśród północnych wzgórz odzywały się grzmoty boga, odpowiedział na inny rodzaj wezwania do komnat innej ciemnowłosej kobiety. Owej nocy jego życie się odmieniło, i to wcale, w ostatecznym rozrachunku, nie na lepsze.

„Przy kominku stoi wino”, powiedziała wówczas Lucianna Delonghi, leżąc w poprzek swego łoża pod baldachimem przedstawiającym kopulujące postacie. „Zacniemy od zaspokojenia tego pragnienia?”.

Tutaj nie było żadnego łoża, nie płonął ogień, a kobieta, z którą teraz przebywał, sama naląła wino dla nich obojga, po czym zupełnie naturalnym krokiem podeszła do niego i podała mu kielich. Blaise przyjął go bez słowa. Ariane zaraz się odwróciła i ruszyła w stronę otomany; Blaise poszedł za nią, prawie nie zdając sobie sprawy, że to robi. Usiadła i gestem ręki wskazała mu krzesło. Pachniała delikatnymi, oszczędnie użytymi perfumami. Na stoliku przy jednym końcu otomany leżała lutnia.

- Jest kilka spraw, nad którymi moglibyśmy zechcieć się zastanowić, nim minie ta noc - rzekła bez żadnych wstępów - lecz może chcesz zacząć od opowiedzenia mi, co zaszło, kiedy się oddaliłeś od rzeki?

Czuł zmęczenie, a tej nocy otrzymał ciosy w umysł i serce, lecz nie był całkowicie oszołomiony.

Zdobył się nawet na uśmiech, chociaż nie umiałby powiedzieć, dlaczego. Może sprawiło to samo wyzwanie, bezpośredniość tego, co najwyraźniej usiłowała osiągnąć kobieta.

- Być może - mruknął. - Możliwe, że zechciałbym ci powiedzieć, ale dopóki się nie dowiem, kto jeszcze słucha pod tymi drzwiami, wolałbym zachować moje zdanie dla siebie, pani. Zechcesz mi wybaczyć.

Spodziewał się wielu rzeczy, lecz nie zachwytu. Jej śmiech zawtórował radosnemu klaskaniu w dłonie; długimi palcami na chwilę przesłoniła rubiny na szyi.

- Oczywiście, że ci wybaczę! - zawołała Ariane de Carenu. - Dzięki tobie właśnie wygrałam zakład o dwadzieścia pięć srebrnych barbenów. Naprawdę nie powinieneś pozostawać w służbie ludzi, którzy tak bardzo cię nie doceniają.

- Protestuję - rzekł Bertran de Talair, wchodząc do pokoju przez drzwi usytuowane za plecami Ariane. - Nie zwątpiłem w Blaise'a. Całkiem możliwe, że uznałem twoje wdzięki za bardziej rozpraszające, niż się ostatnio wydają.

- Znam twoją lutnię - rzekł krótko Blaise. - Mogę nie mieć wygórowanego zdania o twojej muzyce, lecz znam ten instrument.

Z trudem zachowywał spokój. I tak naprawdę nie patrzył też na Bertrana, bo za księciem weszła do komnaty jeszcze jedna, bardzo wysoka kobieta. Miała w ciemnych włosach pasma siwizny, była niewidoma, a na jej ramieniu siedziała biała sowa. Ostatnim razem Blaise widział ją na wyspie na morzu, kiedy ciemną nocą w lesie powiedziała mu o tajemnicach jego serca.

- Przynajmniej mogłabyś spróbować - ciągnął płaczliwie Bertran. - Mam ochotę nie dotrzymać naszego zakładu. Byłaś mniej więcej tak uwodzicielska, jak wilgotna koza w jaskini.

- Oszczędź nam wyliczania swoich preferencji - odparła słodkim głosem Ariane.

De Talair wybuchnął śmiechem, odrzucając głowę w tył. To najwyższa kapłanka Rian, zwróciwszy nieomylnie puste oczodoły tam, gdzie Blaise podnosił się z krzesła, przekazała mu wiadomość, którą najbardziej pragnął usłyszeć:

- Ranny coran będzie żył. Kiedy ramię mu się zagoi, powinien całkowicie odzyskać siły.

- To nie może być - odparł Blaise, czując, jak umysł zamyka mu się na tak niewiarygodne słowa. - Na tej strzale był syvaren.

- Ów mężczyzna zawdzięcza ci życie, bo powiedziałeś to nad rzeką - ciągnęła z powagą kapłanka. Miała na sobie suknię szarą jak siwizna w jej włosach. Jej cera była ogorzała od słońca, morskiego wiatru i soli, co stanowiło całkowite przeciwieństwo alabastrowej gładkości policzków Ariane. - Przyniesiono mi go do tutejszej świątyni, a ponieważ wiedziałam, co to było, i ponieważ stało się to tej nocy, umiałam sobie poradzić.

- Ale tego nie można zrobić. Nie można uzdrowić człowieka zatrutego przez syvaren. Nie

potrafi tego uczynić żaden chirurg na świecie.

Pozwoliła sobie na lekki, pełen wyższości uśmieszek, który dobrze pamiętał.

- Przynajmniej to ostatnie jest prawdą. Nie potrafiłabym tego zrobić, gdyby upłynęło zbyt wiele czasu i gdybym się nie znajdowała w poświęconym miejscu. Jest wigilia letniego przesilenia. Powinieneś pamiętać, przybyszu z północy, że kiedy jesteśmy osadzeni w jej tajemnicach, słudzy bogini potrafią robić rzeczy, których mógłbyś się nie spodziewać.

- W Gorhaut palimy kobiety parające się magią ciemności.

Nie bardzo wiedział, dlaczego to powiedział, ale naprawdę pamiętał niepokój odczuwany na wyspie, pulsowanie leśnego podłoża pod stopami, a właśnie zaczęły się pojawiać pewne tego oznaki. Pamiętał także, jakby widzianą przez tunel utworzony z dymu i lat, pierwszą wiedźmę, która została spalona w jego obecności. Ojciec zarządził egzekucję, a obaj mali synowie musieli stać u boku ojca i patrzeć.

Najwyższa kapłanka Rian już się nie uśmiechała.

- Strach sprawia, że mężczyźni uważają moc kobiet za akt mroku. Tylko strach. Zastanów się nad ceną tego: gdyby ta strzała została wypuszczona w Gorhaut, żadna kobieta nie ośmieliłaby się spróbować ocalić Valery'ego z Talair. - Przerwała, jakby czekając na podpowiedź, niczym nauczycielka przy uczniu. Blaise milczał i starał się zachować jak najbardziej obojętną minę. Sowa nagle zamachała skrzydłami, lecz znów się umościła na ramieniu kapłanki. - Przynoszę ci pozdrowienia od Lutha z Baude - powiedziała już innym tonem - który teraz z godnością służy Rian na jej wyspie.

Blaise się skrzywił na wspomnienie tamtych wydarzeń.

- Luth nie umiałby z godnością usłużyć pijakowi w gospodzie - odparł, zmieszany i przepełniony gniewem.

- Nie mówisz tego poważnie, jesteś tylko zaniepokojony. Mógłbyś się zdziwić, co może zrobić mężczyzna, kiedy czuje się osadzony we własnym jestestwie.

Wyrzut był dość łagodny, lecz Blaise czuł, jak już mu się poprzednio zdarzyło w rozmowie z tą kobietą, że pod powierzchnią jej słów kryją się rozmaite znaczenia, że przemawia ona do takiej jego części, do której nikt nie powinien mieć dostępu.

Ta bardzo stara kobieta, która przed tylu laty spłonęła na ziemi Garsenców, przede wszystkim budziła litość. Sąsiadka ze wsi oskarżyła ją podczas bożego wieceu pod koniec roku o rzucenie uroku na krowę, by przestała dawać mleko. Galbert postanowił ukarać staruszkę dla przykładu. Jak powiedział swoim synom, takie działanie trzeba podejmować co roku, a czasami częściej.

W krowie nie zaszła żadna zmiana nawet po tym, jak wiedźma umarła w aureoli

płonących siwych włosów. Potem Blaise wrócił do tej wioski i zapytał o mleko. Wtedy przepełniła go odraza i przepełniała go już zawsze, ilekroć wracało to wspomnienie. Było silne i przytłaczające. Blaise pamiętał ciężką dłoń ojca na swoim ramieniu podczas egzekucji, bo Galbert pilnował, by odwracając się, jego krnąbrne młodsze dziecko nie przyniosło mu wstydu. Nie było żadnego mroku, tajemnicy ani niebezpiecznej mocy w przerażonej kobiecie, która krzyczała, dopóki się nie udusiła w czarnym dymie, językach ognia i odorze płonącego ciała. W jakiś sposób Blaise wiedział to już wtedy.

Lecz najwyższa kapłanka Rian miała w sobie magię. Czuł ją na tamtej wyspie. Wiedziała o Rosali. Już to samo w sobie było niemal niemożliwe do pojęcia czy zapomnienia. A jeśli chodzi o truciznę: był tu roześmiany Bertran, radośnie zakładający się z Ariane de Carenu. Valery żadną miarą nie mógł być martwy. Nawet mimo syvarenu na grocie strzały.

W sercu Blaise'a zaczęło się rozluźniać coś mocno zaciśniętego, bolesnego, co zaczęło mu doskwierać od chwili, gdy ujrzał w locie biało-czarne drzewce. Pomyślał raptownie, że już niedługo Rudel Correze będzie bardzo zakłopotany. Jakaś jego część chciała się uśmiechnąć na tę myśl, lecz Blaise z powrotem opadł na krzesło i sięgnął po swój kielich. Obracał go w dłoniach, ale nie napił się wina. Patrząc na dwie kobiety i mężczyznę, pomyślał, że teraz będzie musiał być ostrożny. Nadzwyczaj ostrożny.

- Jak wielką masz moc? - zapytał spokojnie, patrząc na niewidomą.

Nadał stała za otomaną.

Nieoczekiwanie - wyglądało na to, że zawsze go zaskakiwała - kapłanka się roześmiała.

- Co? Chcesz teraz wysłuchać rozprawy o mocach naturalnych, niebieskich i obrzędowych z uzupełniającą dygresją na temat trzech głównych harmonii? Może masz mnie za wykładowczynię na uniwersytecie? Nawet nie zaproponowałeś mi zapłaty, przybyszu z północy!

Słyszając jej szyderczy ton, Blaise się zaczerwienił. Lecz ledwie najwyższa kapłanka skończyła mówić, wciąż się śmiejąc, rozległ się chłodny głos Ariane de Carenu, precyzyjny i ostry niczym sztylet wbity między żebra.

- Chociaż wymieniony temat może być niezwykle zajmujący, obawiam się, że pogłębienie twej edukacji będzie musiało zostać nieco opóźnione. Być może pamiętasz, że najpierw postawiłam ci pytanie. Odmówiłeś odpowiedzi, dopóki się nie dowiesz, kto znajduje się za drzwiami. Zgodziłam się na to. Teraz już wiesz. Byłabym wdzięczna za odpowiedź.

Jej pytanie brzmiało: co zaszło, kiedy się oddaliłeś od rzeki? Pytanie i sedno zagrożenia w tym pomieszczeniu. Bertran de Talair przestał niespokojnie chodzić w tę i z powrotem. Wziął z jednego ze stołów kryształ i trzymając w jednej ręce, obracał go na wszystkie strony, tak, by

skupiał i rozpraszał światło, lecz spojrzenie błękitnych oczu utkwił nieruchomo w Blaisie.

Coran odwrócił się do najwyższej kapłanki.

- Jeśli wiesz, co myślę - rzekł cicho - jak sprawiałaś wrażenie, kiedy ostatnio się widzieliśmy, możesz odpowiedzieć im na wszystkie takie pytania.

Wyraz jej twarzy dziwnie złagodniał, jakby Blaise uderzył w nieoczekiwaną strunę. Pokręciła głową.

- Powiedziałam ci także tamtej nocy, że nasze moce są mniejsze, niż jest to zgodne z naszymi pragnieniami, oraz że słabną, kiedy się oddalamy od palenisk Rian. Zapewne pamiętasz, że na wyspie bogini umiałam odczytać pewne sprawy w twoim sercu i w twojej historii, mające związek głównie z miłością i nienawiścią. Powiedziałam, że mogę ci przepowiedzieć przyszłość. To było kłamstwo. Nie potrafię też w tej chwili odczytać twoich myśli. Jeśli masz coś do powiedzenia, będziesz musiał to nam powiedzieć sam.

- Nie wszystko - rzekł spokojnie Blaise. - Na przykład mogłabyś im powiedzieć, kim jestem.

Zapadło krótkie milczenie.

- Ależ my wszyscy wiemy, kim jesteś, Blaisie de Garsenc. - Mówiąc te słowa, Bertran odłożył kryształ. W jego głosie pobrzmiwała nuta irytacji. - Naprawdę sądziłeś, że podróżujesz w tajemnicy? Że przyjąłem cię na służbę, nie wiedząc, kogo najmuje?

Światło świec padające na jego bystrą, cyniczną twarz podkreślało starą, białą bliznę.

Blaise przełknął ślinę. Wydarzenia toczyły się bardzo szybko. Nagle coś sobie przypomniał.

- Ale ty mnie zapytałeś. Kiedy się poznaliśmy, chciałeś wiedzieć, kim jestem. Skoro wiedziałeś, to po co pytałeś?

Bertran wzruszył ramionami.

- Czasami więcej się dowiaduję, zadając pytania, na które znam odpowiedzi. Doprawdy, Blaise, bez względu na to, co ty - albo ja, skoro już o tym mówimy - możesz sądzić o swoim ojcu, jest on jedną z potęg dzisiejszego świata, a jego młodszy syn od wielu lat jest coranem cieszącym się własną sławą. Nie było żadną tajemnicą - przynajmniej w pewnych kręgach - że syn Galberta de Garsenc opuścił Gorhaut natychmiast po podpisaniu Traktatu Mostu na Iersen. A kiedy jakiś czas potem doniesiono o pobycie bardzo wysokiego gorhauckiego corana o rudawej brodzie w zamku Baude... nietrudno było wyciągnąć oczywiste wnioski. Wtedy pojechałem zbadać sytuację osobiście. Nawiasem mówiąc, nigdy nie widziałem, by ktokolwiek dorównał mojemu kuzynowi w strzelaniu z łuku na taką odległość.

Czując się oszołomiony coraz szybszym tempem wyjawiania nowych wiadomości, Blaise

pokręcił głową.

- Nie dorównałem mu. A tak się składa, że człowiek, który strzelił dziś do Valery'ego, być może jest lepszy od każdego z nas.

Nie był pewien, czy naprawdę chciał to powiedzieć.

- No cóż - mruknęła Ariane de Carenu; jej głos zabrzmiał w ciszy komnaty niczym powolna pieszczota. - To nas w końcu do czegoś doprowadza.

Blaise na nią spojrzał. Usta miała lekko rozchylone, jej oczy błyszczały.

- Zamierzałem powiedzieć księciu rano - powiedział ostrożnie. - Zobowiązałem się poczekać do tego czasu.

- Czy podjęcie takiego zobowiązania należało do ciebie?

Pieszczotliwa nuta zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. W ten sposób Ariane mówiła w tawernie do Talaira i Miravala. Blaise'owi nie podobało się to wtedy i nie podobało się teraz. Rozwarł szeroko oczy, wytrzymując jej wzrok. To było dziwne, i będzie musiał to sobie potem przemyśleć, lecz teraz, kiedy jego tożsamość wyszła na jaw, czuł się nie gorszy od tych ludzi. Podejrzewał, że kiedy się nad tym zastanowi, nie będzie zadowolony z wniosków, ponieważ w ostatecznym rozrachunku wszelkie takie uczucia będą się wywodzić z tego, że jest synem swego ojca.

- Może zechcesz pamiętać - powiedział cicho do księżnej Carenu - że miałem wrażenie, że tej nocy en Bertran będzie opłakiwał śmierć swego kuzyna.

- Jakiś ty troskliwy - odezwał się Bertran. - Czy to było powodem podjęcia tego zobowiązania?

- Częściowo - odparł Blaise, odwracając się do niego. - Były też i inne.

- To znaczy?

Blaise się zawahał. Kryło się tu niebezpieczeństwo.

- Pragnienie uniknięcia problemu politycznego nadzwyczaj delikatnego dla nas wszystkich oraz jeszcze jeden, prywatny powód.

- Nie jestem pewien, czy dzisiejszej nocy możemy uznać tę prywatność, a sądzę, że obecni w tym pomieszczeniu potrafią samodzielnie oceniać i reagować na wszelkie problemy polityczne - nawet gdyby były bardzo delikatne - jakie mogłyby wynikać z twoich słów. Sądzę, że powinieś mi powiedzieć, kim jest ten człowiek.

Z postawy i głosu księcia przebijała nonszalancja, lecz Blaise przebywał z nim wystarczająco długo, by nie dać się zwieść pozorom.

- Nie bądź tępy, Bertranie. Doskonale wiemy, kim jest ten człowiek.

Piąty głos w pokoju, dobiegający od dwóch foteli przed kominkiem, pewny siebie,

kategoryczny. Blaise okręcił się błyskawicznie na pięcie, lecz nikogo nie zobaczył, dopóki osoba, która wypowiedziała te słowa, ostrożnie nie wstała. Wtedy w końcu zrozumiał. Stwierdził ponuro, że pozostali nie są zaskoczeni.

Oczywiście spojrzął na te fotele, kiedy wchodził do komnaty; były szerokie, bogato tapicerowane, o prostych oparciach, lecz nie tak obszerne, by skryć mężczyznę.

Tu jednak była Arbonne, a kobieta stanowiła odmienne zagadnienie. Szczególnie niewysoka, drobnokoścista, siwowłosa kobieta, o której wiedział, że jest to - widział ją już bowiem wcześniej, jak obdarzała zaszczytami zwycięzców na turniejach - Signe de Barbentain, hrabina Arbonne.

Patrzyła na księcia.

- Gdybyś słuchał choć trochę uważnie, Bertranie, to powinno to być jedno z tych pytań, na które znasz już odpowiedź. A skoro tak jest, to nie powinieneś zawstydzać corana, który mówi, że zobowiązał się nic nie mówić. Tu nie zachowujemy się w ten sposób, bez względu na to, co się może dziać gdzie indziej w tym upadającym świecie.

Miała na sobie suknię w kolorach błękitnym i bladokremowym, zapinaną z przodu na gęsto przyszyte od góry do dołu guziki z pereł. Jej włosy przytrzymał złoty diadem. Oprócz dwóch pierścieni nie miała innej biżuterii. Blaise wiedział, że w swoim czasie służyła jako najpiękniejsza kobieta na świecie. Widział to nawet teraz. Miała zdumiewające oczy, tak ciemne, że niemal czarne.

Skłonił się, wysuwając do przodu wyprostowaną nogę i jedną ręką muskając dywan. Nakazywało mu to jego wykształcenie jako corana, nawet jeśli instynkt się z tym nie zgadzał.

- Nie tylko moje źródło informacji doniosło w zeszłym roku, że młodszy syn Galberta de Garsenc spędził sezon w Mignano i Faennie w pałacach Delonghich - powiedziała. - Na pewno też nie ja jedna słyszałam pewne pogłoski - których nie musimy teraz roztrząsać - dotyczące niefortunnej śmierci Engarro di Faenna. Lecz imieniem, które należy z tym wszystkim łączyć - imieniem, które zaiste spowodowałoby komplikacje w sprawach stanu oraz wywołało osobistą reakcję naszego tu przyjaciela - jest z pewnością imię Rudela Correze. To, wedle wiarygodnych informacji, wzięty zabójca, w dużej mierze dzięki jego umiejętnościom łuczniczym. Nie musisz robić sobie wyrzutów - dodała spokojnie, po raz pierwszy patrząc wprost na Blaise'a - za złamanie zobowiązania. Nie powiedziałeś mi tego.

Blaise odchrząknął. W ciszy, jaka zapanowała, dźwięk ten zabrzmiał ostro.

- Najwyraźniej powiedziałem - rzekł.

Uśmiechnęła się.

- Nawet nie wiedziałeś, że tu jestem.

Blaise nieoczekiwanie odpowiedział jej uśmiechem.

- A zatem powinienem robić sobie wyrzuty z tego powodu. Zachowałem się nieprofesjonalnie i lekkomyślnie. - Odetchnął głęboko. - Pani, poradziłem Rudelowi Correze, by dziś w nocy wsiadł na statek, ponieważ rano zamierzałem poinformować miejskie władze o jego tożsamości.

- Miejskie władze? Śmiem zakładać, że miałaś na myśli mnie.

Bertran obszedł już otomanę i stanął obok Ariane. Beatritz, najwyższa kapłanka, od pewnego czasu nie poruszała się ani nic nie mówiła. Blaise pokręcił głową.

- On myśli, że cię zabił. Nie wyprowadziłem go z błędu.

Po chwili Bertran odrzucił głowę w tył i się roześmiał.

- A zatem odpłynie, by odebrać zapłatę od tego, kto mu ją zaproponował. Och, wspaniale, Blaise! Długo nie pozbędzie się wstydu.

- Też tak pomyślałem. A za posłużenie się syvarenem to najmniejsza kara, jaką powinien ponieść. Sądzę jednak, że się zgodzisz, że niedyplomatycznie byłoby schwytać ulubionego syna rodziny Correze. W tej sytuacji.

Ariane de Carenu kiwała głową.

- Nadzwyczaj niedyplomatycznie. Zatrzymanie go tutaj w areszcie mogłoby być bardzo niezręczne.

- Też doszedłem do takiego wniosku - rzekł łagodnym tonem Blaise.

Teraz grał na zwłokę; wciąż unikał poruszania pewnej ukrytej kwestii, czekającej jak pułapka.

I, naturalnie, w końcu odezwała się najwyższa kapłanka, niemal dopasowując się do jego myśli:

- Czy jest jeszcze coś, co powinniśmy wiedzieć?

Kiedy to mówiła, biała sowa nagle się poderwała do lotu i przysiadła na ramieniu hrabiny. Czyli matki Beatritz, jak przypomniał sobie nagle Blaise. Signe de Barbentain wyciągnęła rękę i delikatnie pogłaskała ptaka.

Wiedział, że się dowiedzą. Dowiedzą się już niedługo, wraz z całym światem. Nie chciał, żeby to się stało w taki sposób. Odwrócił się do Bertrana de Talair.

- Są jeszcze dwie ważne sprawy. Jedna to zapłata. - Zacerpnął tchu. - Za pozbawienie cię życia Rudel Correze miał otrzymać dwieście pięćdziesiąt tysięcy w złocie.

Blaise z prawdziwym zadowoleniem zobaczył, że en Bertran, światowy, nieskończenie wyrafinowany książę Talair, podobnie jak wcześniej on sam w ogrodzie Correze'ów, nie potrafi ukryć, jak bardzo wstrząsnęła nim wysokość tej sumy. Ariane de Carenu uniosła dłoń



do ust. Hrabinę Blaise miał za plecami. Najwyższa kapłanka się nie poruszyła, a jej twarz pozostała obojętna. Tak jak Blaise się spodziewał.

- A zatem kto? - zapytał w końcu Bertran, po raz pierwszy z nutą napięcia w głosie. - To jest ta druga sprawa?

Blaise skinął głową. Znowu poczuł zadawniony gniew, trudny, nieustanny ból, który bez końca wypływał wciąż z tego samego miejsca, niczym z niewyczerpanego, podziemnego źródła. Coran mówił bez ogródek, bo inaczej nie potrafił.

- Mój ojciec - powiedział. - W imieniu króla Gorhaut.

Po czym został rozłożony na łopatki, co później zrozumiał, wspominając następne słowa wypowiedziane w komnacie.

- Ależ to musi być dla ciebie okropne - powiedziała z zarem w głosie hrabina Arbonne.

Wszyscy się zwrócili w jej stronę. Patrzyła na Blaise'a szeroko rozwartymi oczyma.

- Posłużył się do tego twoim przyjacielem? Spośród wszystkich możliwych zabójców? Jakże on cię musi nienawidzić! Cóż zrobiłeś, by wzbudzić taką nienawiść własnego ojca?

Blaise'owi się wydało, że widzi w tych oczach współczucie nagromadzone przez całe życie. I, o dziwo, część tego współczucia była przeznaczona dla niego. Pomyślał nagle, przypomniawszy sobie zablakany fragment tej opowieści, że jej mąż zmarł przed niespełna dwoma laty i powiadano, że ich, związek był tym najrzadszym, związkiem z prawdziwej miłości. Powodowany impulsem, odwrócił się, by spojrzeć na jej siostrzenicę, Ariane, także mającą ciemne oczy i niespodziewanie smutną minę, a potem na córkę, kapłankę, która nie miała oczu i na której twarzy malowało się ogromne skupienie. Przypomniał sobie niejasno, że była jeszcze jedna córka. Nie żyła. Kryła się za tym jakaś gorzka opowieść, którą zapewne powinien znać. Kiedy dorastał albo spędzał czas wśród armii i na turniejach, sprawy Arbonne niezbyt go zajmowały.

Odwrócił się do starej kobiety, o której urodzie za czasów jej rozkwitu mówił niegdyś cały świat, i zobaczył, że teraz, u schyłku życia, jest pełna innej świetności, ukształtowanej ze smutków i z trudem zdobytej wiedzy. Mimo porażającego znaczenia tego, co właśnie im powiedział, hrabina najpierw wspomniała o jego najbardziej prywatnym bólu. Nawet Rudel, który znał go tak dobrze i miał aż nadmiar subtelności i bystrości, nie domyślił się tego, co natychmiast pojęła Signe de Barbentain.

W pokoju zapadła cisza; z oddali dobiegały późne, zanikające odgłosy Karnawału. Blaise zastanawiał się, czy hrabina naprawdę chce usłyszeć odpowiedź na swoje pytanie.

- Niektórzy ludzie nie lubią, gdy ktoś im się przeciwstawia - rzekł ostrym tonem. - W czymkolwiek. Przypuszczam, że synowskie nieposłuszeństwo doskwiera bardziej niż

nieposłuszeństwo innych. Miałem wstąpić w szeregi duchownych boga, pójść w ślady ojca i najwyższych kapłanów Corannosa. Zaczęło się od tego. Były też inne sprawy. Nie jestem bez winy.

- Usprawiedliwiasz go?

Zadała to pytanie z powagą.

Blaise pokręcił głową.

- Nie, nie chodzi o to. - Zawahał się. - Stanowimy dla siebie nawzajem trudną rodzinę. Moja matka nie powinna była umrzeć.

- Przy twoich narodzinach?

Dziwnie było rozmawiać o tych sprawach z hrabiną Arbonne, a mimo to, pod innym względem wydawało się nieoczekiwanie stosowne. Skinął głową.

Charakterystycznym ruchem lekko przechyliła głowę.

- Czy naprawdę sądzisz, że gdyby żyła, sprawiłoby to jakąkolwiek różnicę? W Gorhaut?

- Lubię tak myśleć - odparł Blaise. - Takich rzeczy nie możemy wiedzieć.

- Martwi mogą człowieka nękać - odezwał się cicho Bertran de Talair.

Blaise i kobiety odwrócili się do niego. Książę wyglądał na dziwnie rozkojarzonego, zatopionego w myślach, jakby to wszystko otworzyło go bardziej, niż chciał. W tę noc niepowstrzymanego napływu nieproszonych wspomnień Blaise przypomniał sobie coś jeszcze - ciemne schody późną nocą w zamku Baude, manierkę seguignaca podawaną z rąk do rąk i pełen znużenia smutek na twarzy mężczyzny, który właśnie uwiódł ledwo co poznaną kobietę.

- Mogą go też nękaniem zniechęcić do życia - stwierdziła kapłanka Beatritz, a w jej głosie Blaise usłyszał surowość, świadczącą, że nie jest to między nią i księciem sprawa świeża. Napomniawszy, że wszyscy ci ludzie znają się od dawna.

Bertran zacisnął usta.

- Pełna miłości siostrzana myśl - powiedział zimno. - Czy znowu mamy rozmawiać o rodzinach?

- Po ponad dwudziestu latach nazwałabym tę myśl dojrzałą - odparła najwyższa kapłanka.

- Powiedz mi, panie, jaki dziedzic władałby dziś twoimi ziemiami, gdyby ta strzała cię zabiła? A gdyby Ademar z Gorhaut postanowił wybrać się z armią na południe, to według ciebie nienawiść między Miraval i Talair czyni nas silniejszymi czy słabszymi? Zechciej się z nami podzielić swoimi myślami. Wybacz - dodała z ostrym sarkazmem - jeśli pytam cię o dzisiejszy świat, nie prosząc o słodkie wiersze sprzed dwóch dziesięcioleci.

- Dosyć - rzekła stanowczym tonem Signe de Barbentain. - Proszę was. Albo oboje

sprawicie, że poczuję się, jakbym żyła za długo.

To Ariane uratowała sytuację.

- Zdecydowanie dosyć - mruknęła, sięgając po wino. Upiła łyk i nieśpiesznie odstawiła kielich. - To męczący, dawny zatarg, a najwyraźniej są nowe sprawy wymagające naszej uwagi. Przede wszystkim twój brodaty przyjaciel. - Obrzuciła Blaise'a taksującym spojrzeniem ciemnych oczu. - Jesteś nim? - spytała bez ogródek. - Jesteś przyjacielem?

Właściwie był na to przygotowany.

- Jestem wynajętym coranem w służbie księcia Talair - odparł.

Prawidłowa, profesjonalna odpowiedź.

- To za mało - stwierdziła spokojnie Ariane. - W tej chwili to za mało. Twój ojciec zapłacił za zabicie twego pracodawcy ćwierć miliona w złocie. Obawiam się, że będziesz musiał stać się czymś więcej, niż mówisz, albo czymś mniej. Rudel Correze nie jest jednym z wielu innych zabójców, a jego nazwisko i pochodzenie stwarzają niezwykle dylematy, podobnie jak twoje. W tych okolicznościach nawet większe. Może wybuchnąć wojna. Implikacje wyzbycia się ziemi przez Gorhaut na mocy Traktatu Mostu na Iersen znasz co najmniej tak dobrze, jak my. Syn Galberta de Garsenc nie może pozostawać w Arbonne jako zwykły coran, a Bertran nie może udawać, że jest jednym z trubadurów pijących i grających w kości w „Liensenne”.

Głos miała równy i odmierzony, i w gruncie rzeczy pobrzmiwały w nim tony dowodzącego w bitwie.

A mówiła prawdę. Wiedział to, mimo że znów ogarnął go dawny, cierpki gniew. I znów to samo: dokądkolwiek się udawał, sam czy w towarzystwie, w tajemnicy czy też powiewając w bitwie albo na turnieju jaskrawym sztandarem swej reputacji, miał wrażenie, że zawsze jest tam jego ojciec, zastępujący mu drogę i zatraskujący drzwi, niczym cień kładący się na światło.

Blaise zdał sobie sprawę, że zaciska pięści. Zmusił się do ich rozluźnienia. Odetchnął głęboko i odwrócił się do księcia.

- Dotrzymuję moich kontraktów - rzekł. - Sądzę, że wiesz o tym.

Bertran wzruszył ramionami.

- Oczywiście, ale to już raczej nie ma znaczenia. Ludzie, nawet królowie i duchowni boga, nie wydają dwustu pięćdziesięciu tysięcy na pozbycie się śpiewaka, którego pieśń wprowadziła ich w zakłopotanie. Zasady gry się zmieniły, Blaise, wyszła ona poza ciebie, mnie i nasze prywatne układy. Teraz jesteś ważnym graczem, czy tego chcesz, czy nie.

Blaise pokręcił głową.

- Jestem coranem do wynajęcia. Zapłać mi dość pieniędzy, a będę ci służył w czasie wojny czy pokoju. Odpraw mnie, a poszukam zatrudnienia gdzie indziej.

- Przestań recytować wyuczone formułki, Blaisie de Garsenc. Nie wypada ci udawać, że nie rozumiesz, o czym tu się mówi. - Wysoka i nieustępliwa Beatritz odezwała się tonem surowego potępienia. - Jesteś synem najważniejszego człowieka w Gorhaut. Król jest narzędziem w rękach Galberta, o czym wszyscy wiemy. Bez względu na wewnętrzne zawirowania, twoja rodzina ma posiadłości o wiele większe niż ktokolwiek inny w kraju, szczególnie że wszyscy panowie z północy zostali na mocy Traktatu wydziedziczeni. Chcesz stać przed nami, przed hrabiną Arbonne, i twierdzić, że jedyną różnicą między tobą i Luthem z Baude jest to, że lepiej władasz mieczem? Uciekasz przez te wszystkie lata przed ojcem, bo nie chcesz mu się przeciwstawić?

- Nie chcę mu się przeciwstawić? - powtórzył Blaise, zdumiony i naprawdę wściekły. - Na przeciwstawianiu mu się spędziłem całe życie, w domu, a potem poza nim. Nienawidzę wszystkiego, co reprezentuje Traktat. Opuściłem Gorhaut, by nie żyć w kraju odartym z dumy. Wszyscy tam o tym wiedzą. Złożyłem oświadczenie. Co jeszcze mam uczynić? Pojechać do domu w strasliwym gniewie i ogłosić się prawdziwym królem Gorhaut?

Przerwał, zmieszany i przerażony ciszą, jaka zapadła po jego słowach. A także skupionym, skoncentrowanym, wiele mówiącym wyrazem twarzy dwóch kobiet i mężczyzny stojących obok otomany. Blaise z trudem przełknął ślinę; zaschło mu w ustach. Na chwilę zamknął oczy, słysząc swe ostatnie słowa jako dziwacznie zniekształcone echo w głowie. Otworzywszy na powrót oczy, z sercem walącym jak po długim biegu, obrócił się powoli i spojrzał w stronę kominka, gdzie stała hrabina Arbonne, drobna i delikatna, siwowłosa, nadal piękna, jedną ręką wsparta o fotel. Jej zdumiewające oczy patrzyły na niego i się uśmiechały, zobaczył, że się uśmiechają i promienieją zadowoleniem matki z dziecka, które nieoczekiwanie przeszło próbę uznaną za przekraczającą jego siły.

Nikt się nie odezwał. W sztywnej ciszy tej komnaty w Tavernel w noc letniego przesilenia, w punkcie zwrotnym, w osi, w sercu roku biała sowa raptem wzbiła się cicho w powietrze na szerokich skrzydłach i przysiadła na ramieniu Blaise'a niczym błogosławieństwo albo ciężar ponad miarę.

## ROZDZIAŁ 8

Odziana w szkarłat straż Carenzu przeprowadziła Lisseut przez nocne ulice i z kolejnym bezbłędnym ukłonem zostawiła ją pod drzwiami „Liensenne”. Śpiewaczka stała tam przez chwilę, niezdecydowana, słuchając panującego wewnątrz harmideru, miotana sprzecznymi uczuciami. Kiedy się wahała, czy woli wesołą, towarzyską atmosferę tawerny, czy względną intymność pokoju na piętrze, hałas się zmniejszył i przez okno dobiegł cienki, piskliwy głos, śpiewający melancholijny hymn do Rian.

Lisseut szybko skręciła za róg w uliczkę biegnącą za tawerną, otworzyła tylne drzwi i ruszyła po schodach na górę. W tej chwili naprawdę nie miała ochoty słuchać nabożnych pień Evrarda z Lussan. Na schodach, a potem na korytarzu mijała pary w namiętnych uściskach - większość pokoi została zarezerwowana, i to dawno temu - aż wreszcie stanęła pod drzwiami pokoju, który zawsze, od lat był rezerwowany na ten tydzień.

Zastukała. Wiedziała, że drzwi nie będą zamknięte, lecz przed dwoma laty stała się przyczyną niejakiego zażenowania, kiedy swoim pojawieniem się zaskoczyła trzech mężczyzn i kobietę w nadzwyczaj nieodpowiednim, jak się okazało, momencie. Jej trudne stosunki z Elisse datowały się właśnie od tamtej pory.

W odpowiedzi na stukanie usłyszała melodyjny śpiew:

*Sam jestem i smutny, bo miłość odeszła,  
Odjechała na siwym koniu i porzuciła mnie w żalobie...*

Uśmiechnęła się i otworzyła drzwi. Aurelian, rzeczywiście sam, siedział na jednym z dwóch łóżek oparty o ścianę i przebiegał palcami po strunach lutni. Koszulę miał rozchyłoną i zdjął wysokie buty; długie nogi wystawały mu daleko za krawędź łóżka. Przywitał Lisseut poważnym uśmiechem i, nie przerywając pieśni, pokazał ruchem ręki stół, na którym stała otwarta butelka wina i kilka kielichów. Na drugim łóżku wały się pomięte ubrania, a na jednej z koszul Lisseut ujrzała krew. Nalała sobie wina, wypila bardzo potrzebny haust i przyniosła butelkę do łóżka, by dopełnić też kielich Aureliana. W pokoju było jedno niewielkie okno. Podeszła do niego i wyjrzała. Wychodziło na uliczkę; nikogo pod nim nie było, lecz Lisseut słyszała dochodzące z dołu odgłosy i muzykę Evrarda.

Aurelian śpiewał cicho dalej; była to już inna pieśń, lecz ten sam temat:

*Me serce jest samotne i pełne żalości,  
Kiedy wspominam minione noce,  
Kiedy moja ukochana dawała mi  
Radość nad wszelką ziemską miarę...*

- Nigdy mi się nie podobała ta zwrotka - oznajmił, przerywając raptownie - ale próby rozmowy z Jourdanem na temat czegokolwiek, co napisał, nie mają chyba wielkiego sensu, prawda? Nawet nie wiem, dlaczego wciąż to śpiewam.

- Chodzi o melodię - odparła z roztargnieniem Lisseut, wciąż wyglądając przez okno. - Mówiłam ci już wcześniej. Jourdainowi zawsze lepiej wychodzi muzyka niż słowa.

Aurelian parsknął śmiechem.

- Świetnie. Możesz mu to powiedzieć. - Przerwał. Niemal czuła na plecach jego badawczy wzrok. - Jesteś zbyt zamyślona jak na karnawałową noc, moja droga. Chyba wiesz, że Valery odzyskuje siły?

- Co? - Zawirowała na pięcie. - Nie... nic mu nie jest? Jak to?

- W Tavernel była dzisiejszej nocy najwyższa kapłanka, nie pytaj nieświadomego trubadura dlaczego. Sprawy wielkich. Valery prawdopodobnie powinien przez resztę życia oddawać bogini dziesięcinę z tego, co zarobi u Bertrana. Umiała poradzić sobie z trucizną, a sama rana była niewielka. Powiedzieli nam w świątyni, że nic mu nie będzie. Więc większość wróciła tu w cudownym nastroju. Nie słyszysz? Na dole świętuje mnóstwo twoich znajomych, może do nich zejdziesz?

- A ty?

Znali się z Aurelianem bardzo dobrze.

Sięgnął po swój kielich.

- Ostatnio nie mogę hulać bez końca, nawet w noc przesilenia. Czy ja się starzeję, Lisseut?

Wykrzywiła się do niego.

- Nie wiem, czcigodny mędrze. A starzejesz się?

Aurelian był w rzeczywistości starszy od niej tylko o dwa czy trzy lata, ale zawsze był z nich wszystkich najspokojniejszy i nie brał udziału w co bardziej szalonych przejawach życia trubadurów.

- Gdzie jest Remy?

To pytanie było naturalnym przedłużeniem tej ostatniej myśli. Spojrzała na drugie, rozburzone łóżko, a potem z powrotem na Aureliana. Wymownie uniósł brew.

- Głupie pytanie. Sądzę, że to zależy od godziny. Był umówiony na kilka spotkań.

- Jak się czuje?

- Zraniono jego dumę. Nic ponadto, ale duma bardzo ucierpiała. Zapewne doprowadzi się dziś piciem do wściekłości. Przez kilka następnych dni wszyscy powinniśmy postępować ostrożnie.

Lisseut pokręciła głową.

- Ja nie. Jest mi winien kapelusz i koszulę. Nie mówiąc już o mojej dumie. Nie mam najmniejszego zamiaru być dla niego miła. Zamierzam mu powiedzieć, że kiedy en Bertran go łajał, wyglądał jak nadąsany chłopczyk.

Aurelian się skrzywił.

- Te kobiety z Vezét... Jak myślisz, co jest przyczyną? Oliwa z oliwek? Coś związanego z jej słodyczą, co dla równowagi czyni was wszystkie takimi gwałtownymi?

Z pomieszczenia poniżej przedarł się natarczywy głos Evrarda, wciąż wzywający Rian w ten sam oklepany sposób. Czując się nagle zmęczona, Lisseut uśmiechnęła się blado, odstawiła kielich i usiadła na łóżku obok Aureliana, opierając się o jego ramię. Przysunął się i ją objął.

- Nie czuję się bardzo gwałtowna - powiedziała. - To była trudna noc. - Uścisnął jej rękę.

- Nie podobał mi się ten Arimondańczyk - dodała po chwili.

- Ani ten z północy, widziałem. Ale nie myśl o nich. To nie ma nic wspólnego z nami. A, przy okazji, na dole jest Alain, szczęśliwy jak wrona na polu zboża. Wszyscy o tym mówią, nawet po tym wszystkim, co się wydarzyło.

- Tak? Świetnie, bardzo się cieszę ze względu na niego.

- Ciesz się ze względu na jego zonglerkę, Lisseut. I nie podpisuj jutro żadnych umów bez konsultacji ze mną - teraz jesteś warta o wiele więcej niż jeszcze tego popołudnia. Uwierz mi.

- To może zaproponujesz mi pracę?

Stary żart, chociaż wiadomość była naprawdę ekscytująca. Wydarzyło się jednak zbyt wiele; Lisseut nie potrafiła odnaleźć w sobie żadnych emocji.

W typowy dla siebie sposób Aurelian postanowił potraktować ją poważnie.

- Jeśli napiszę taką kobiecą pieśń, jak Alain, to będzie twoja. Lecz jeśli chodzi o resztę, to nie jestem dumny, moja droga... wciąż śpiewam własne pieśni. Wyruszyłem na szlak jako zongler i zapewne jako zongler zakończę życie.

Uścisnęła jego kolano.

- Nie mówiłam poważnie, Aurelianie.

Będąc jednym z najlepszych trubadurów, Aurelian prawdopodobnie był najlepszym zonglerem, może z wyjątkiem Bertranowego Ramira, który już się starzał i coraz rzadziej wyprawiał na szlak.

Na dole rozległy się uprzejme oklaski. Instrument zaczął stroić nowy wykonawca. Aurelian i Lisseut wymienili krzywe spojrzenia pełne ulgi, a potem cicho się roześmieli. Lisseut uniosła głowę i pocałowała go w policzek.

- Ile to już lat z rzędu? - zapytała, doskonale znając odpowiedź.

- Razem w Karnawał? Jest mi przykro i czuję się dotknięty, że te noce są wyryte w moim sercu, a ty ich nawet nie pamiętasz. Cztery, moja droga. Czy to już tradycja?

- A chciałbyś? - zapytała.

Jego dłoń powędrowała wyżej, głaszcząc ją po karku. Miał delikatny dotyk. Był delikatnym mężczyzną.

- Chciałbym cię znać i być twoim przyjacielem do końca mego życia - powiedział cicho Aurelian.

Opuścił głowę. Pocałowali się.

Czując fizyczną ulgę i prawdziwy komfort psychiczny w noc, kiedy naprawdę tego potrzebowała, Lisseut osunęła się na łóżko i wplątawszy place w czarne, gęste włosy Aureliana, pociągnęła go na siebie. Kochali się jak każdego roku... z czułością i śmiechem oraz świadomością, że razem tworzą oazę spokoju wśród otaczającego ich szaleństwa, muzyki na dole i letnich gwiazd wirujących wokół osi roku.

Jakiś czas później leżała z głową na jego piersi, znów otoczona jego ramieniem, i razem z nim słuchała głosu śpiewającego jedną z najstarszych melodii, ogromnie czułą pieśń Anselme'a z Cauvas. W noc letniego przesilenia w „Liensenne” ktoś zawsze do niej wracał.

*Gdy ciemny jak noc jest cały świat,*

*Tam, gdzie mieszka ona, lśni blask...*

- Aurelianie, co wiesz o Luciannie Delonghi? - zapytała cicho Lisseut, nie bardzo wiedząc dlaczego.

- Wystarczająco wiele, by jej unikać. Teraz nazywa się Lucianna d'Andoria, jako że znowu wyszła za mąż, lecz nazywa ją tak tylko rodzina jej męża. Nie stawiałbym wiele na długie życie Borsiarda d'Andorii ani na jego małżeńskie szczęście.

- To dlaczego się z nią ożenił? Jest przecież potężnym człowiekiem, prawda? Dlaczego



miałby zapraszać Delonghich do Andorii?

Aurelian zaśmiał się cicho.

- Dlaczego mężczyźni i kobiety w ogóle postępują niezbyt racjonalnie? Dlaczego w naszych działaniach nie kierują nami nauki metafizyków z uniwersytetu? Mamy to nazwać wpływem Rian na serca i dusze? Powodem, dla którego bardziej kochamy muzykę niż retorykę?

Nie tego się chciała dowiedzieć.

- Czy jest piękna, Aurelianie?

- Widziałem ją tylko raz, z daleka.

- I?

- Lepiej umiałby ją opisać Remy.

- Remy albo się z kimś kocha, albo się upija. Ty mi powiedz.

Zapadło chwilowe milczenie. Napłynęła do nich muzyka słodkiej pieśni Anselme'a.

- Jest piękna jak obsydian na świeżym śniegu - rzekł powoli trubadur. - Lśni niczym brylant w blasku świec. Ma w sobie ogień jak rubin albo szmaragd. Jaką jeszcze biżuterię mam jej dać? Tak jak góry czy wojna, obiecuje niebezpieczeństwa i mroczne zapomnienie, i chyba jest równie okrutna.

Lisseut przełknęła z trudem ślinę.

- Mówisz jak Remy, kiedy wypije za dużo wina - stwierdziła w końcu, starając się, by zabrzmiało to ironicznie. Nigdy nie słyszała, by Aurelian tak mówił. - I wszystko to dojrzałeś z daleka?

- Z drugiego końca stołu w Faennie - potwierdził spokojnie. - Nie ośmieliłbym się podejść bliżej, lecz to było wystarczająco blisko. Jej nie można mieć. Gdyby nie była to bezbożność, powiedziałbym, że ma w sobie ciemną stronę bogini. Niszczy tych, którzy wyciągają po nią rękę.

- Lecz mimo to ktoś je po nią wyciągnął.

- Wszyscy mamy w sobie ciemność i pragnienia, do których wolelibyśmy się nie przyznawać za dnia. - Zawahał się. - Czasami mi się śni.

Lisseut milczała, znów niespokojna; żałowała teraz, że zapytała. Zdawało się, że z całą swoją kakofonią wrócił zamęt panujący poprzednio w jej umyśle. Leżeli razem, słuchając muzyki dobiegającej z dołu, i w końcu to muzyka ją uspokoiła, jak prawie zawsze. Zanim umilkła, oboje zasnęli. Leżąc w ramionach Aureliana Lisseut śniły się jednak strzały i słyszała we śnie śmiech Rudela Correze w ogrodzie.

Rano obudzi ją słońce wpadające przez okno i Lisseut odkryje, że Aurelian wyszedł.

Rozciągnięty w poprzek drugiego łóżka będzie leżał w butach i w ubraniu chrapiący i przemoczony Remy z Orreze. Lisseut zawaha się tylko przez moment, a potem, wznosząc pobożne i prawdziwie dziękczynne modły i do Rian, i do Corannosa, weźmie miskę, którą przed wyjściem troskliwy Aurelian napełnił wodą, i wyleje ją na śpiącego jasnowłosego trubadura, swego pierwszego kochanka. A potem ucieknie w dół po schodach, zostawiając za sobą jego pełne oburzenia okrzyki, by obudziły wszystkich tych, którzy jeszcze spali w „Liensenne” w jasny dzień letniego przesilenia.

Po tym będzie się czuła o wiele, wiele lepiej.

\*\*\*

Co drugi albo trzeci rok, jeśli nie było wojny czy zarazy, Guibor IV, hrabia Arbonne, miał zwyczaj spędzania nocy letniego przesilenia w Tavernel na Karnawale, oddając w ten sposób cześć bogini i upewniając mieszkańców południa, że zawsze ma świadomość swoich obowiązków wobec nich oraz znaczenia morza dla Arbonne. Raz, w młodości, wystąpił w próbie Łódek i Pierścieni na rzece, zrywając trzy girlandy, mijając czwartą i wpadając do wody, z której się wyłonił z dobrodusznym, tubalnym śmiechem, będącym jednym z powodów, dla których ludzie w jego kraju go kochali.

Leżąc w pokoju w świątyni Rian, gdzie rozpalono niewielki ogień, by rozpędził zawsze, nawet w lecie, nękający ją chłód, Signe de Barbentain przypomniała sobie, że w tamte noce nie martwiła się dawnym powiedzeniem Tavernel, że samotnie spędzona noc letniego przesilenia przynosi pecha. Spędzała ją z mężem, a szaleńcze okrzyki dobiegające z dworu tworzyły część uroku tkanego w ciemności.

Tej nocy jednak była sama i czuła strach. Nie o siebie; Rian wezwie ją, kiedy nadejdzie pora, czyli zapewne już niedługo. Dawno już się z tym pogodziła. Bała się o ziemię, o niebezpieczny rozwój wydarzeń, które najwyraźniej wszędzie wokół nabierały tempa.

Tej nocy zostały odkryte nowe części wzoru i, zupełnie rozbudzona, wpatrzona w migotliwe cienie, rzucane na ściany pokoju przez ogień i pełgający płomień świecy, hrabina Arbonne jeszcze raz usiłowała zastanowić się nad tymi nowymi elementami. Gorhaut wybiera się na południe. Tej prawdzie nie dało się już uczciwie zaprzeczyć. Kanclerz Roban przewidział to tego dnia, kiedy do Barbentain dotarła wiadomość o Traktacie Mostu na Iersen. A teraz doszła do tego bajeczna zapłata za śmierć Bertrana de Talair. Naprawdę mógł zginąć tej nocy, pomyślała Signe, tłumiąc dreszcz. Gdyby wtedy nie nadeszły chmury albo gdyby Beatritz nie była w Tavernel i ten brodaty coran Blaise, nie poznałby strzały i nie znał zabójcy, dzięki czemu domyślił się obecności syvarenu na grocie, to Bertran mógłby tak

łatwo umrzeć, zostawiając Talair bez odpowiedniego dziedzica, a Arbonne bez człowieka, którego rozpaczliwie potrzebuje.

A gorhaucki coran Blaise, sam w sobie stanowił oddzielny problem. Po raz pięćdziesiąty albo nawet setny Signe spróbowała zrównoważyć elementy ryzyka i korzyści w tym niepewnym przedsięwzięciu, jakie wspólnie podjęli Beatritz i Bertran, starając się związać ze swoją sprawą młodszego syna Galberta de Garsenc. Roban nie chciał mieć z tym nic wspólnego; kiedy ta sprawa została podniesiona po raz pierwszy, krążył ponuro wokół sali rady. Tak naprawdę nie mogła mieć mu tego za złe; Beatritz i Bertran, tak niepodobni do siebie pod większością względów, mieli to samo zaufanie do swoich własnych ocen i skłonność do podejmowania ryzyka, co czasami mogło działać na nerwy.

Nie bardzo też się spodziewała kogoś takiego, jak Blaise de Garsenc. Plotka mówiła o najemniku, który przez wiele lat zdobywał reputację na turniejach i wojnach toczonych przez sześć krajów. Według Robana ona sama przed sześciu laty podała mu wieniec laurowy na Jesiennym Jarmarku w Lussan; choć nie pamiętała tego. Teraz trudno było pamiętać wszystkich młodych mężczyzn. Wydawało się, że oni są zawsze młodzi, a ona cały czas się starzeje.

Ten coran nie był ponurym wojownikiem z północy, jakiego się spodziewała. Miał w sobie gniew, owszem, i to dość łatwy do zauważenia, ale był bystry, a nade wszystko rozgoryczony. Zanim tu przybył, wyraźnie został skrzywdzony w Portezzie; o tym też krążyły plotki. Zapewne prawdziwe. Cóż, nie był zapewne pierwszym młodzieńcem, którego serce zostało porzucone na dywanie pod drzwiami sypialni Lucianny Delonghi, i nie będzie ostatnim.

W ciemności Signe potarła pod kołdrą bolące palce; ostatnio ciągle było jej zimno. Za jej czasów wszyscy młodzieńcy zakochiwali się w niej w ten sam sposób. Wiedziała jednak, jak sobie dawać z tym radę. Jak odmawiać im łaski, której trzeba było odmówić, zostawiając im zarazem dumę, a nawet jeszcze silniej wiążąc ze sobą oraz z Guiborem i sprawami Arbonne. Rytuały dwornej miłości były sztuką i miały swój cel. Signe to wiedziała - to ona określiła i ukształtowała zarówno ten cel, jak i sztukę.

Przed trzydziestu laty mogły istnieć zabiegi, którymi by się posłużyła, by związać ze sobą tego gorhauckiego corana. Lecz nie teraz; to były narzędzia i podstępny młodzieńcy, w jej ocenie skuteczne - a te sprawy potrafiła oceniać doskonale - w odniesieniu do innego człowieka. Blaise z Gorhaut nie wstąpiłby na ścieżkę wytyczoną przez kobiety powab tak szybko po tym, jak skończyła z nim Lucianna Delonghi.

Zatem uczuciami, do których mogli się odwołać najłatwiej, pozostawały gniew i

nienawiść; z żadnym z nich Signe nie umiała sobie dobrze radzić, ani dawno temu w młodości, ani teraz, kiedy zabrakło Guibora, a świat stał się smutny i pusty. Odwoływanie się do synowskiej nienawiści wobec ojca dla osiągnięcia jej własnych celów, choć rozpaczliwie pragnęła je osiągnąć, nie przychodziło jej z łatwością.

A jednak. A jednak on sam wypowiedział te słowa, przez nikogo do tego nienakłaniany ani niesprowokowany: „Co jeszcze mam uczynić? Pojechać do domu w straszliwym gniewie i ogłosić się prawdziwym królem Gorhaut?”.

Nie mówił poważnie, nie wiedział, że mógłby mówić choć odrobinę poważnie, lecz palił go ból Mostu na Iersen, podobnie jak wiedza o zamiarach ojca. Większość liczącego się świata wiedziała, że młodszy syn Galberta de Garsenc opuścił Gorhaut, potępiając traktat opracowany przez ojca.

To mogłoby być możliwe. Być może rzeczywiście dałoby się znaleźć w Gorhaut na północ od gór pęknięcie, które można by poszerzyć. Signe czuła się jednak stara i zmęczona. Pragnęła zasnąć. Nie chciała się zajmować sprawami związanymi z wojną. Pragnęła muzyki i ciepła, jakie mogło jeszcze dać słońce, kiedy pod dotykiem lata dojrzewały winogrona. Pragnęła łagodniejszego ciepła wspomnień.

Rozległo się ciche stukanie do drzwi. Tylko jedna osoba mogła pukać do jej drzwi tak późno w nocy.

- Wejdz - powiedziała.

Wciąż płonął ogień na kominku i pojedyncza świeca. W ich chwiejnym blasku ujrzała, jak jej ostatnie żyjące dziecko otwiera i zamyka za sobą drzwi; kobieta w nocnym stroju weszła do środka pewnym krokiem, zadającym kłam jej ślepotcie. Biała sowa rozpostarła skrzydła i przeleciała na jedną z kolumnienek łóżka.

Signe pamiętała, kiedy po raz pierwszy ujrzała Beatritz po tym, jak zostały złożone w ofierze jej oczy. Nie chciała przywoływać tego wspomnienia. Mimo że znała prądawne, święte powody złożenia takiej ofiary i wiedziała, jaką się dzięki niej zyskuje moc, matka z trudem patrzyła na okaleczenie dziecka.

Beatritz zatrzymała się obok łóżka.

- Obudziłam cię?

- Nie. Za dużo myślę, żebyś mogła zasnąć.

- Ja też. Ścigam zbyt wiele myśli w noc Rian. - Zawahała się. - Znajdzie się dla mnie miejsce czy będę ci przeszkadzać? Jestem niespokojna i nęka mnie strach.

Signe się uśmiechnęła.

- Zawsze jest dla ciebie miejsce obok mnie, dziecko.

Odsunęła kołdrę i córka położyła się przy niej. Signe objęła ją jedną ręką i zaczęła gładzić siwiejące włosy córki, pamiętając, jak były niegdyś miękkie, jak były ciemne, lśniące i miękkie, kiedy Beatritz była jeszcze dzieckiem. Wtedy miała też dwóch braci, siostrę i ojca. Zostałyśmy tylko my dwie, pomyślała Signe, nucąc ledwie pamiętaną melodię. Tylko my dwie.

\*\*\*

Wracając piechotą z kaplicy boga do miejskiego pałacu Bertrana, Blaise świadomie i z wysiłkiem oczyścił umysł z wszelkich myśli. Na rozmyślania będzie miał dość czasu rano i potem każdego dnia; wtedy spróbuje dojść do ładu z wydarzeniami tej nocy oraz nieprawdopodobnymi, zdradliwymi ścieżkami, które się najwyraźniej przed nim otwierały. Było już bardzo późno, a on był wykończony.

Gwar na ulicach ucichł; mijały go tylko sporadycznie jakieś pary albo grupki terminatorów z winem i zgniecionymi maskami w rękach. Oba księżycy przesunęły się na zachód, a wiatr przegonił chmury. Do świtu brakowało jednak jeszcze trochę czasu, chociaż była to najkrótsza noc roku; gwiazdy świeciły jasno. W Gorhaut mówiono, że to światła boga; tutaj - że Rian. Blaise po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, jakie w ostatecznym rozrachunku znaczenie ma ta różnica. Bez względu na to, z jaką potęgą powiąże je śmiertelny człowiek, nadal będą tkwić na niebie, nadal tak samo odległe i lodowato jasne. Podobno daleko na południu za pustyniami i morzami istniały lądy - baśniowe i tajemnicze - gdzie czczono innych bogów i boginie. Czy świeciły tam te same gwiazdy i tak samo jasno?

Blaise pokręcił głową. To nocne, bezużyteczne myśli. Mógłby paść na łóżko i spać całymi godzinami. W gruncie rzeczy prawdopodobnie mógłby zasnąć tu, na ulicy, jak ludzie rozciągnięci w wejściach do domów. Większość nie była samotna i Blaise się domyślał, co poprzedzało ich sen.

Wcześniej udał się do największej z nakrytych kopułami świątyń Rian; znalazł się w środku po raz pierwszy w życiu. Chciał przed świtem zobaczyć Valery'ego. Wpuszczono go bez sprzeciwu; spodziewał się, że będzie musiał złożyć w ofierze krew albo dopełnić jakiegoś podobnego rytuału, lecz nie stało się nic podobnego. Valery spał. Blaise'owi pozwolono stanąć w drzwiach do pokoju corana i zajrzeć do środka. W blasku świecy Blaise dostrzegł, że ramię zostało starannie zabandażowane; jeśli zaś chodzi o to inne uzdrowienie, do którego tam doszło, to nie potrafił go ani ocenić, ani pojąć. W jego doświadczeniu syvaren zawsze zabijał.

W drodze powrotnej widział grupę ludzi obojga płci zebraną w największej części

świętyni, pod wysoką kopułą. Przewodziła tam obrzędowi kapłanka w białej szacie. Blaise się nie zatrzymał. Poszedł stamtąd do najbliższego domu Corannosa; przy wejściu umył rytualnie ręce, wypowiadając słowa błagalnej modlitwy, i ukląkł w małej, pustej kamiennej kaplicy coranów przed fryzem. Był tam sam, po raz pierwszy od bardzo długiego czasu, i spróbował poddać się głębokiej, wszechogarniającej ciszy, by doprowadziła go do spokojnej obecności boga.

Nie doszło jednak do tego, nie tej nocy. Nawet w kaplicy jego umysł zawracał, niczym drapieżny ptak nad polem, na którym dostrzegł zająca, do tego pokoju w pałacu Carenu, gdzie powiedział to, co powiedział. Nie mówił poważnie, żadną miarą; słowa te miały uświadomić im wszystkim, jak naprawdę jest bezradny, bez względu na to, co może myśleć o tym, co jego ojciec i król Ademar zrobili w Gorhaut. Lecz słuchający nie zrozumieli tego w ten sposób, a w ciszy, jaka zapadła po jego wybuchu, kiedy biały ptak wzbił się w powietrze i usiadł mu na ramieniu, Blaise czuł uderzenia serca tak, jakby czyjaś pięść waliła w drzwi przeznaczenia.

Teraz, idąc do domu cichymi, zaśmieconymi ulicami, znów to poczuł, więc spróbował oderwać umysł od takich myśli. Był zbyt zmęczony, to była zbyt wielka sprawa.

Na straży pod lampami płonącymi przy wejściu do miejskiego pałacu księcia stał młody Serlo. Kiwnął Blaise'owi głową zza żelaznych wrót, rozejrzał się w lewo i w prawo wzdłuż ulicy, i otworzył je. Nie były zamknięte na klucz - to jedna z tutejszych tradycji nocy letniego przesilenia - lecz po próbie zabójstwa postawienie strażnika przy głównym wejściu wydawało się odpowiednim posunięciem. Corani Bertrana, dowodzeni przez Valery'ego z Talair, byli bardzo dobrzy; nie potrzebowali żadnego szkolenia, a Blaise mógł się tu nawet czegoś nauczyć. W dużym stopniu przyczyniły się do tego ciągłe utarczki z coranami z Miraval. Długotrwała waśń między sąsiadującymi zamkami wytworzyła własne zasady konfliktu, bardzo odmienne od tych obowiązujących podczas starć wojsk.

- Zajrzałem do Valery'ego - rzekł Blaise, wchodząc. - Śpi spokojnie.

Serlo skinął głową.

- Sam będę spał spokojniej, kiedy się dowiemy, kto wypuścił tę strzałę - powiedział. - Mam tylko nadzieję, że bogini i bóg przeznaczyli dla ludzi posługujących się syvarenem miejsce, gdzie będą zaznawać wiecznego bólu.

- Podczas wojny widziałem gorsze rzeczy - rzekł cicho Blaise. Przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl, ale był zbyt zmęczony, by ją właściwie sformułować. - Dobranoc.

- Dobranoc - odparł strażnik.

Usłyszał zgrzyt zamykanej bramy. Czułby się lepiej, gdyby w zamku przekreślił się klucz;

miał własne poglądy na tradycje Arbonne. Z drugiej strony, było bardzo nieprawdopodobne, by książę przebywał tej nocy w pałacu. Blaise pokręcił głową. Przeciął dziedziniec, wszedł przez wewnętrzne drzwi, a potem po schodach i ruszył korytarzem do niewielkiego pokoju, jaki mu się należał z racji pozycji dowódcy najemników. Nie była to drobnostka; większość coranów spała razem w dormitoriach albo w wielkiej sali Talair, gdzie wyższy stopień dawał tylko miejsce bliżej ognia w zimie albo okien w letnie upały.

Otworzył drzwi, niemal ślaniając się ze zmęczenia. Wyczuł woń perfum na moment przedtem, nim ujrzał kobietę siedzącą na jego łóżku.

- Być może pamiętasz - odezwała się Ariane de Carenu - że mieliśmy kilka spraw do rozważenia, ty i ja. Wygląda na to, że zajęliśmy się tylko tymi najbardziej publicznymi.

- Jak się przedostałaś mimo straży? - zapytał Blaise.

Puls znów mu przyśpieszył. Już nie czuł zmęczenia. Dziwne, jak szybko się to stało.

- Nie przedostałam się. Do tego pałacu można wejść innymi drogami. Do mojego też, skoro już o tym mowa.

- Czy Bertran wie, że tu jesteś?

- Mam nadzieję, że nie. Wątpię. Chyba sam gdzieś wychodził. To noc letniego przesilenia, Blaise, a my jesteśmy w Tavernel.

Wiedział, co to znaczy; powiedziała mu o tym ta śpiewaczka na chwilę przedtem, jak przyszli po niego żołnierze tej kobiety.

Włosy miała oczywiście rozpuszczone, nigdy ich nie upinała, a jej delikatny zapach napelniał pokój subtelnymi, niepokojącymi znaczeniami. Lecz Blaise de Garsenc miał swoje własne zasady i swój własny kodeks, i minionego lata złamał w Portezzie i te zasady, i ten kodeks, zostawszy uwikłany w świat kobiecych perfum.

- Akurat wiem, gdzie jesteśmy - rzekł. - A gdzie jest książę Carenu?

Chciał ją tym zranić; nie bardzo wiedział dlaczego.

Pozostała nieporuszona, przynajmniej w jego oczach, w blasku świecy.

- Mój mąż? Podejrzewam, że w zamku Ravenc z en Gaufroyem. Mają swoje własne tradycje letniego przesilenia i obawiam się, że kobiety nie są w nich brane pod uwagę.

Blaise słyszał o Gaufroyu de Ravenc. Powiadano, że jego młoda żona po niemal trzech latach małżeństwa wciąż jest dziewicą. Nie dotarły doń podobne opowieści o Thierryem de Carenu, no, ale się o nie nie dopytywał czy też nie był nimi szczególnie zainteresowany.

- Rozumiem - powiedział ponuro.

- Nie, nie rozumiesz - rzekła ostro Ariane de Carenu głosem pozbawionym już ironii i rozbawienia. - Myślę, że w ogóle nic nie rozumiesz. Zapewne właśnie doszedłeś do wniosku,

że błąkam się po nocy, ponieważ mój mąż woli w łóżku chłopców. Zapewne uznasz, że trzeba mnie rozumieć w świetle tego faktu. Posłuchaj zatem: znalazłam się tu z własnego wyboru, a poza fizycznym ograniczeniem mojej swobody na tę decyzję nie miałyby wpływu żadne upodobania czy orientacja człowieka, za którego wydał mnie ojciec.

- A więc przyjemność jest wszystkim? A co z lojalnością?

Niecierpliwie pokręciła głową.

- Mów mi o lojalności, kiedy nadejdą czasy, w których mężczyzna i kobieta z naszego towarzystwa będą mogli się pobrać z wolnego wyboru. Dopóki jednak kobiety będą niczym pieniądź w grze o zamki i narody, nawet w Arbonne, to nie uznaję żadnego takiego obowiązku i poświęcę całe życie, by zmienić ten stan rzeczy. A to nie ma nic wspólnego ze zwyczajami czy gustami Thierry'ego. - Wstała i, ponieważ weszła między Blaise'a i świecę, jej twarz znalazła się w cieniu. - Z drugiej strony, nie wiem nic o twoich zwyczajach czy gustach. Wolałbyś, żebym wyszła? Mogę wyjść cicho tą samą drogą, którą przyszłam.

- Dlaczego miałyby być istotne, czy poruszasz się cicho, czy nie? - odparł, uparcie trzymając się swego gniewu. - Jesteśmy przecież w Arbonne, prawda? W letnie przesilenie w Tavernel.

Nie potrafił nic wyczytać z jej oczu, jako że jedyna świeca migotała za jej plecami, lecz znów dostrzegł niecierpliwe ruchy głowy.

- Daj spokój, Blaise, jesteś bystrzejszy. U podłoża tego wszystkiego leży dyskrecja. Nie przyszłam tu, by przynieść komuś wstyd, a już najmniej sobie samej. Nie zaniedbałam żadnego publicznego obowiązku, którego wypełnienie jestem winna mojemu panu czy mojemu ludowi. Śmiem tak twierdzić i wiem, że to prawda. Darzę Thierry'ego szacunkiem i jestem dość pewna, że z wzajemnością. Obowiązki, które jestem winna sobie, są odmienne. To, co zdarza się nocą pomiędzy dwojgiem dorosłych ludzi, nie musi wywierać żadnego istotnego wpływu na świat.

- To po co zadawać sobie ten trud? Trud bycia razem? Czy twój Dwór Miłości wydał osąd w tej sprawie?

Chciał, by zabrzmiało to sardonicznie, ale nie całkiem mu się to udało.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Schodzimy się, by upajać się darem życia, który mamy od bogini... albo od boga, jeśli wolisz. Czasami to co najlepsze w naszym życiu przychodzi do nas nocą i znika nad ranem. Nigdy się o tym nie przekonałeś?

Przekonał się o czymś bardzo do tego zbliżonym, lecz ostatecznym dziedzictwem poranka był trwały ból. Zapadła cisza. W cieniu jej sylwetka mogła być niemal sylwetką Lucianny. Wyobrażał sobie taki sam dotyk jej czarnych włosów i pamiętał lekki dotyk palca,



wiodącego po...

Ale nie. Jego gniew brał się ze wspomnień. O ile wiedział, ta kobieta nie wyrządziła mu żadnej krzywdy, a wedle własnych kryteriów zaszczycała go swoją obecnością. Przełknął ślinę.

- W porządku - rzekła. - Jesteś zmęczony. Nie chciałam cię obrazić. Odejdę.

Blaise nie umiałby później powiedzieć, w jaki sposób znaleźli się w swoich ramionach. Biorąc ją w objęcia, miał świadomość, że drży; nie dotykał kobiety od czasu Rosali, a tamta noc też niosła swój własny, wielki ciężar gniewu i samooskarżenia, i wtedy, i potem. Jeszcze zbliżając usta do warg Ariane, głęboko wdychając zapach jej perfum, Blaise szykował się do przeciwstawienia się kuszącym zabiegom kolejnej wyrafinowanej mieszkanki południa. Lucianna na pewno nauczyła go chociaż tyle; gdyby niczego się nie nauczył podczas wiosny i lata spędzonych w Portezzie, byłby człowiekiem prowadzącym całkowicie zmarnowane życie. Blaise był przygotowany, uzbrojony.

Nie był. Tam bowiem, gdzie Lucianna Delonghi posługiwała się miłością i uprawianiem miłości jako narzędziami, bronią w subtelnych, starannie zaplanowanych kampaniach, gdzie dążyła do zaznania przyjemności i władzy przez wiązanie ze sobą bezradnych męskich dusz, Blaise otrzymał tej nocy w Tavernel dar kochania przez silną duszę, bez uników, kochania gwałtownego jak wiatr, a jednak pełnego wdzięku i własnych potrzeb Ariane, ofiarowany mu uczciwie i bez zahamowań.

I owej nocy w miejskim pałacu Bertrana de Talair Blaise znalazł w swoim łóżku - przez krótką chwilę w ciemności po tym, jak wypaliła się jedyna świeca - ulgę w swym podwójnym bólu, tym dawnym i tym świeżym, i wspólnotę dotąd mu niedostępną. Dał Ariane to, co miał do dania, a nawet, pod koniec, kiedy ironia została odepchnięta, także część tego, czego się nauczył w Portezzie, umiejętności i to, co mogą robić mężczyźni i kobiety, kiedy schodzą się zaufanie i pożądanie. Przyjmując to wszystko, Ariane de Carenu raz się roześmiała bez tchu, jakby szczerze zaskoczona, i z kolei obdarzyła go czymś intensywnym i rzadkim, jak bezlistne drzewo kwitnące nocą, a Blaise, mimo całej przepelniającej go goryczy, był na tyle mądry i przenikliwy, że przyjął to bez zastrzeżeń i okazał jej swą wdzięczność.

W końcu zasnął, trzymając ją w objęciach, wdychając jej zapach, zaspokoivszy pragnienia, i wróciwszy do swego zmęczenia jak do ogrodu przez zarośla i jeżyny własnej historii.

Jakiś czas później obudził go dźwięk dochodzący z ulicy. Blaise wciąż miał przy sobie Ariane, która leżała z głową na jego piersi, a jej ciemne włosy przykrywały ich oboje jak zasłona. Pogłaskał je z zachwytem jedną ręką.

- No - odezwała się Ariane. - No, no, no...

Roześmiał się cicho. Chciała, by się roześmiał. Pokręcił głową.

- To najdłuższa noc, jaką pamiętam.

Trudno było uwierzyć, ile się wydarzyło, od kiedy przybyli po południu do Tavernel i przeszli zatłoczonymi ulicami do „Liensenne”.

- A już się skończyła? - zapytała szeptem Ariane de Carenu. Zaczęła wolno poruszać dłońią, ledwie muskając paznokciami jego skórę. - Jeżeli pieśni mówią prawdę, mamy czas do chwili, kiedy o świcie zaśpiewa słowik.

Poczuł nawrót pożądania, niepowstrzymanego jak pierwsze poruszenie fali budzącej się daleko na morzu.

- Zaczekaj - powiedział niezręcznie. - Mam pytanie.

- Ojej.

- Nie, nic strasznego czy trudnego. Coś dotyczącego Arbonne, ludzi, których znamy. Coś, o co powinienem zapytać dawno temu.

Jej ręka spoczywała nieruchomo na jego udzie.

- Tak?

- O co chodzi między Talair i Miraval? Co to za nienawiść?

Prawdą było to, co powiedział, to, co sobie uświadomił wcześniej tej nocy: że jest coś nienaturalnego w niechęci do zdobywania informacji, która pomogła mu przeżyć te kilka miesięcy w Arbonne. Ariane przez chwilę milczała, a potem westchnęła.

- W gruncie rzeczy to jest straszne i trudne pytanie. Chcesz, żebym ściagała dawne wspomnienia.

- Wybacz, nie...

- Nie, nic nie szkodzi. I tak o nich myślałam. Te wspomnienia zawsze kryją się w pobliżu. Ukształtowały bardzo wiele z tego, czym jesteśmy. - Zawahała się. - Czy przynajmniej słyszałeś o Aelis de Barbentain, która została Aelis de Miraval?

Pokręcił głową.

- Przykro mi. Nie.

- Najmłodsze dziecko Signe i Guibora. Dziedziczka Arbonne, ponieważ jej siostra Beatritz poszła na służbę do bogini, a dwaj bracia umarli w dzieciństwie na zarazę. W wieku siedemnastu lat poślubiona Urtému de Miraval. Moja kuzynka. - Zawahała się. - Kochanka Bertrana i chyba jedyna prawdziwa miłość jego życia.

Znów zapadła cisza. Blaise usłyszał w niej jeszcze raz - zupełnie jakby Bertran znajdował się z nimi w pokoju - jego słowa wypowiedziane na ciemnej klatce schodowej w środku innej

nocy: „Bóg jeden wie, tak jak wie słodka Rian, że próbowałem, ale przez te dwadzieścia trzy lata nie znalazłem jeszcze kobiety, która by jej dorównała”.

Blaise odchrząknął.

- Sądzę, że to ostatnie to prawda. Powiedział mi coś w zamku Baude, co pasowałoby... do tego, co właśnie powiedziałaś.

Ariane uniosła głowę, by spojrzeć na niego.

- Musiał być w dziwnym nastroju, żeby w ogóle o tym wspomnieć.

Blaise skinął głową.

- Był.

- I co dziwne, musiał ci też ufać.

- Albo wiedzieć, że te słowa nic dla mnie nie będą znaczyć.

- Możliwe.

- Opowiesz mi o tym? Pora, żebym zaczął zdobywać informacje.

Ariane znów westchnęła, czując się niemal schwytaną w pułapkę przez to całkowicie niespodziewane pytanie.

W owym roku miała trzynaście lat, była bystrym, roześmianym dzieckiem. Potem odzyskanie umiejętności śmiania się zajęło jej dużo czasu, a w noc śmierci Aelis ukryte w niej dziecko zniknęło na zawsze.

Teraz była dorosłą kobietą, odgrywającą skomplikowane role na scenie świata i dźwigającą związane z nimi ciężary: była królową Dworu Miłości, córą szlacheckiego rodu, poślubioną potomkowi podobnego rodu. Nie była ryzykantką z natury, jak Beatritz czy Bertran; przed wykonaniem każdego ruchu rozważała sytuację wolniej od nich. Nie wymyśliłaby planu, jaki wiązali z synem Galberta de Garsenc, ani go nie poparła, kiedy jej o nim powiedzieli. Teraz jednak wyrobiła sobie własne zdanie o tym mężczyźnie, którego twarda skorupa goryczy tak wyraźnie mu służyła, niczym zbroja na polu bitwy, do chronienia jakiegś rany.

Opowiedziała mu więc tę historię, leżąc obok niego po miłosnej nocy na łóżku w pałacu Bertrana i wracając w rytm własnych słów do przeszłości, a ciemność na zewnątrz powoli ustępowała szaremu świtowi. Powiedziała mu wszystko - cicho snując smutną opowieść o tamtym dawno minionym roku - prócz jednego wątku, jedynej rzeczy, o której nigdy nie mówiła. Ta ostatnia tajemnica tak naprawdę nie należała do niej i Ariane nie mogła wyjawić jej nikomu, nawet w zaufaniu czy po to, by ze sobą kogoś związać albo ulżyć czyjejś wielkiej potrzebie.

W końcu, kiedy skończyła i zamilkła, nie oddali się miłości. Ariane zawsze się

przekonywała, że trudno jej podtrzymać jakiekolwiek własne pragnienia, kiedy wspominała Aelis.

\*\*\*

Elisse z Cauvas była próżna i może poniekąd słusznie. Miała figurę dojrzałej kobiety, przyjemny głos, roześmiane oczy i długie rzęsy, które sprawiały, że w jej towarzystwie mężczyźni czuli się dowcipniejsi i bystrzejsi niż zwykle. Pochodziła z miasta, które szczyciło się, że to w nim urodził się pierwszy trubadur, sam Anselme, i często czuła, że jej przeznaczeniem było zostać zonglerką i prowadzić życie w drodze z zamku do zamku, z miasta do miasta. Uważała, że w cudowny sposób została zwolniona - i dziękowała za to bogini niemal każdego ranka - z monotonii i przedwczesnego starzenia się, które wiązała z życiem, jakiego mogłaby się spodziewać jako córka rzemieślnika. Wyjść za terminatora, przeżyć - jeśli się miało szczęście - zbyt wiele porodów w ciągu zbyt krótkiego czasu, walczyć o wyżywienie rodziny i zapewnienie jej nieprzeciekającego dachu nad głową, a w zimie pilnować, by zimny wiatr nie wciskał się przez szpary w ścianach.

Nie dla niej takie życie. Nie teraz. Z może jednym denerwującym wyjątkiem, była niemal na pewno najślynniejszą śpiewaczką wędrującą z muzykami po Arbonne. Jeśli chodzi o ten jeden wyjątek, to jeszcze do niedawna jedyny powód uznania, z jakim spotykała się Lisseut, stanowiło chyba to, że jej imię było podobne do imienia Elisse! Przed rokiem Jourdain opowiedział o tym zabawną historyjkę, która wywołała spazmy śmiechu.

Jednakże ostatni sezon występów zmienił sytuację, a przynajmniej zaczął ją zmieniać. W dwóch czy trzech miastach oraz w zamku położonym wśród wzgórz niedaleko Götzlandu ona i Jourdain zostali poproszeni o opinię na temat cudownej muzyki, tworzonej przez Alaina z Rousset i jego nową śpiewaczkę. A potem, co było oburzające, jakiś bezmyślny wiejski zarządca zapytał ją po występie w domu zamożnego kupca w Seiranne, jak się mają drzewka oliwne w jej rodzinnym Vezét. Kiedy zdała sobie sprawę, w czym tkwił błąd wieśniaka, za kogo ją wziął, była tak wściekła, że na jakiś czas musiała wyjść z sali kupca, zostawiając Jourdaina, by sam bawił gości, dopóki nie odzyskała panowania nad sobą.

Nie ma co, pomyślała, leżąc w nadzwyczaj wygodnym łóżku w noc letniego przesilenia, rozpamiętywać takich rzeczy albo niepokojącego sukcesu, jaki wcześniej tego wieczoru odniosła Lisseut pieśnią Alaina - szczerze mówiąc, miernym utworem. Gdzie był rozum Jourdaina, pomyślała, walcząc z nawrotem furii, kiedy powstała ta wspaniała możliwość? Dlaczego nie był na tyle szybki, żeby zaproponować własną muzykę dla Ariane i książąt, i Elisse jako wykonawczynię? Jej własny trubadur, jej obecny kochanek, wystąpił dopiero

później, na rzece, w głupich zawodach, które tak ochoczo rozgrywali mężczyźni - i zaraz potem stał się powodem ogólnego rozbawienia, jako że w dole rzeki wpadł z pluskiem do wody.

Chociaż po dzisiejszej nocy wyrażenie „obecny kochanek” mogłoby - istniała taka drobna możliwość - okazać się nieodpowiednie. Elisse przeciągnęła się kocim ruchem; kołdra zsunęła się i prawie całkowicie odsłoniła nagie ciało śpiewaczki. Odwróciła głowę do okna, gdzie mężczyzna, z którym przed chwilą się kochała, siedział na parapecie i brzdąkał na jej lutni. Tak naprawdę nie lubiła, kiedy jej kochankowie wstawali z łóżka bez słowa, tak jak ten, a już na pewno nie lubiła, kiedy inni ludzie brali do ręki jej lutnię... lecz dla tego mężczyzny była gotowa na ustępstwa, tyle ustępstw i w tylu wymiarach, ile to było konieczne.

Przyniosła lutnię, bo nie miała pewności, czego będzie się od niej wymagać. Kiedy Marotte, właściciel „Liensenne”, podszedł do niej wcześniej tego wieczoru i wyszeptał do ucha, że będzie niecierpliwie oczekiwana - takie dokładnie były jego słowa - w największym pokoju na piętrze po trzecim nocnym wybiciu godziny w świątyni, Elissa zadała sobie pytanie, czy czas śpiewania z Jourdainem dobiega końca.

Kiedy jednak zastukała do drzwi, ubrana w najlepszą tunikę i z kwiatem we włosach, dla zaznaczenia, że to jest letnie przesilenie, mężczyzna, który je otworzył, obdarzył ją powolnym, taksującym uśmiechem, sprawiającym, że zmiękły jej kolana. To jednak było letnie przesilenie, środek nocy. Powinna była wiedzieć, że nie zapraszano jej na przesłuchanie. I, szczerze mówiąc, nie miała nic przeciwko temu; dla namiętnej, odważnej, pewnej siebie kobiety istniało w Arbonne wiele dróg do sukcesu, a jedna zaczynała się w tym pokoju.

W gruncie rzeczy jedna z nich siedziała na parapecie okna plecami do Elisse, obserwując niebo na wschodzie i leniwie grając na jej lutni. Mężczyzna grał bardzo dobrze, a kiedy zaśpiewał - tak cicho, że musiała wyteżyc słuch, jakby słowa nie były przeznaczone dla niej - głos miał dziwnie smutny, chociaż pieśń taka nie była.

Pieśń napisał sam, bardzo dawno temu. Jourdain nazwał ją kiedyś lekceważąco dość czarującą melodyjką; był zmęczony niekończącymi się wiosennymi prośbami o jej zaśpiewanie, nawet po tych wszystkich latach, bo ludzie woleli ją od jego utworów, o wiele bardziej złożonych pod względem muzycznym.

Elisse, słuchając teraz cichej muzyki i słów, była gotowa całkowicie się z tym nie zgodzić, jeśliby to było konieczne - uznać dzieło za kwintesencję miłosnych pieśni trubadurów. Leżąc samotnie na szerokim łożu, chociaż nie mogła się skarżyć na ledwie minioną godzinę, miała wrażenie, że nie zostanie zapytana o zdanie i że w gruncie rzeczy jest

ono nieważne. Uświadomiła sobie, że mężczyzna na parapecie prawdopodobnie zapomniał o jej obecności.

To ją niepokoiło, lecz nie nadmiernie. U kogoś innego mogłoby ją to doprowadzić do szału, być wystarczającym powodem, by opuściła pokój, lecz ten mężczyzna był kimś zupełnie wyjątkowym w jej świecie i Elisse z Cauvas bardzo chętnie dostosowała swoje postępowanie do jego oczekiwań; miała tylko nadzieję, że zrobi to wystarczająco szybko i że sprawi mu dość przyjemności, by wyrzucić na nim wrażenie. Jak dotąd zawsze się jej to udawało.

Leżała więc cicho i słuchała, jak Bertran de Talair gra na jej lutni i ofiarowuje własną pieśń świtowi nadchodzącemu pustą ulicą. Znała słowa; wszyscy je znali.

*Nawet ptaki nad jeziorem wiosną  
Śpiewają o mej miłości,  
I nawet kwiaty na brzegu  
Tylko dla niej kwitną i rosną.*

*Dojrzewają wszystkie winogrona  
I drzewa obsypują się pączkami,  
Bo kroki mojej miłości  
Przyzywają wiosnę.*

*Gwiazdy Rian jaśniej świecą  
Nad nią nocą,  
Księżycy boga i bogini  
Strzegą jej swym blaskiem.*

Elisse pomyślała, że melodia jest niemal dziecinnie prosta, podobnie jak słowa. Jourdain miał oczywiście rację - w porównaniu ze skomplikowanymi melodiami, które kazał jej bez końca ćwiczyć, to było coś, co mogła zaśpiewać osoba całkowicie nieprzygotowana, coś niewartego długiego terminowania, wymaganego od zonglerów Arbonne.

Tym dziwniejsze było to, że słuchając tej pieśni, nagle poczuła się bliska łez. Elisse nie pamiętała, kiedy ostatnio płakała nie z gniewu czy ze złości. Uznała, że to przez letnie przesilenie i wyjątkowe wydarzenia tego wieczoru, z których nie najpośledniejszym było długo hołubione w wyobraźni, choć tak naprawdę nigdy niebudzące prawdziwej nadziei,

zaproszenie do tego pokoju.

Sięgnęła po poduszkę, na której niedawno leżał obok w ciemności, i przytuliła się do niej, a słodki refren zabrzmiał jeszcze raz i zakończył pieśń. Kobieta, którą wysławiała, nie żyje, napomniała się Elisse, umarła ponad dwadzieścia lat temu, kiedy jej samej nie było jeszcze na świecie. Nie żyje i gdyby było inaczej, miałyby teraz ponad czterdzieści lat, jak obliczyła Elisse. Uznała, że to nie jest żadna konkurencja i że spokojnie może pozwolić na te wspomnienia wywołane pieśnią poranną. Umarli odeszli; ona jest kobietą, którą on teraz ma u boku, która leży w jego łóżku w kończącej się noc letniego przesilenia. To ona, Elisse, ma przewagę. Uśmiechnęła się, czekając na chwilę, w której śpiewak się odwróci i zobaczy, że ona na niego czeka, oddaje mu swe ciało i wszystko, czego od niej zechce.

Bertran de Talair patrzył, jak ciemność na ulicy ustępuje szarości, a potem ujrzał pierwsze blade odcienie poranka, malujące się na wschodnim niebie. Zadał sobie jałowe, beznadziejne pytanie, ile takich świtów widział w ten sposób, z niewłaściwą kobietą, czekającą, by wrócił do niej do łóżka. Nie zamierzał tego robić. Odsunął od siebie ten pomysł i zamknął oczy, wracając wiernie myślami do zakończenia swej pieśni.

*Nawet ptaki nad jeziorem wiosną*

*Śpiewają o mej miłości,*

*I nawet kwiaty na brzegu*

*Tylko dla niej kwitną i rosną.*

Wstawał świt, nadchodził dzień. Będzie wiele do zrobienia, mnóstwo skomplikowanych spraw, którymi trzeba się zająć. Otworzył oczy, czując, jak Aelis znów się oddala, oddala się we mgle, w pamięci, z dzieckiem na rękach.

## CZEŚĆ 3

# Jesień



## ROZDZIAŁ 9

Pogodnego, ciepłego jesiennego poranka, w którym jej życie na zawsze się zmienia, Rosala de Garsenc wraca po spacerze do zamku ulubioną, pochyłą ścieżką obsadzoną drzewami, prowadzącą do młyna, i widzi teścia, czekającego na nią na koniu przed mostem zwodzonym.

Budzi się w niej niepokój, więc zaczyna szybciej oddychać i kładzie opiekuńczo dłonie na zaokrąglonym brzuchu, lecz rozmyślnie nie zmienia kroku. Jej mąż pojechał na dwór i Galbert na pewno o tym wie.

- Dzień dobry, panie - mówi, zbliżając się powoli do dziedzińca.

Most zwodzony jest opuszczony; na dziedzińcu garstka coranów hałaśliwie ćwiczy walkę na okute drągi, za nimi chłopci pańszczyźniani wyładowują worki zboża pod uważnym spojrzeniem zarządcy. Na zamku Garsenc jest to tętniący życiem dzień zbierania dziesięciny. W pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby podsłuchać cokolwiek, co ci dwoje mieliby sobie do powiedzenia.

Galbert de Garsenc, potężny i imponujący w stroju do konnej jazdy, nie odpowiada natychmiast na pozdrowienie, patrząc na synową kamiennym wzrokiem z wysokości końskiego grzbietu. Powinien oczywiście zsiąść, czego wymaga zwykła uprzejmość wobec żony syna; to, że tego nie robi, jest pierwszym sygnałem, próbą zastraszenia. Rosala już wie, że niemal wszystko, co robi ten człowiek, służy do wywierania nacisku.

- Wjedziesz do środka? - pyta, jakby w jego zachowaniu nie było nic niestosownego. - Wiesz zapewne, że Ranalda nie ma, lecz z przyjemnością dołożę starań, by zapewnić ci wszelkie wygody.

Uśmiecha się, lecz przelotnie; przyrzekła sobie, że nie ukorzy się przed tym człowiekiem.

Galbert de Garsenc szarpie wodzami, by zdenerwować konia, bardzo blisko niej. Rosala stoi bez ruchu; nie boi się koni i z oczywistych powodów jest całkiem pewna, że teść nie zaryzykuje wyrządzenia jej fizycznej krzywdy.

Galbert odchrząkuje.

- Wejdz do środka - mówi lodowatym głosem. - Natychmiast wejdz do zamku, zanim przyniesiesz nam więcej wstydu. Słyszałem, że wyprawiasz się poza zamek, lecz nie chciałem dać temu wiary. Przyjechałem sam to sprawdzić, pewien, że plotki są bezpodstawne i

falszywe. Zamiast tego widzę, że bezwstydnie i nieprzyzwoicie obnosisz się ze swoim stanem na oczach chłopów, dokładnie tak, jak mi mówiono. Czy jesteś całkowicie zepsuta, że robisz coś takiego?

Właściwie pomyślała, że to o to może chodzić. Niemal odczuwa ulgę, wiedząc, że miała rację, że wie, skąd nadchodzi najświeższy atak.

- Krzywdzisz mnie i poniżasz siebie - mówi tak spokojnie, jak tylko potrafi. - Robię to, co kobiety Savariców robią od pokoleń. Wiesz o tym, panie, nie udawaj, że nie. Kobiety z mojej rodziny nigdy nie zamykały się w swoich pokojach, nosząc pod sercem dziecko, zawsze codziennie się przechadzały po rodzinnych posiadłościach.

Mężczyzna znów szarpie wdzami. Koń tańczy niespokojnie.

- Teraz nosisz nazwisko Garsenc, a nie Savaric.

- Nieprawda. Zawsze będę Savaric, panie. Nie oszukuj się. Nie można mi odebrać tego, z czym się urodziłam. - Waha się. - Można to jedynie ubogacić. - To ostatnie ma być ofertą pojednania. Pod nieobecność Ranalda Rosala naprawdę nie chce się ścierać z jego ojcem. - Mój mąż i pan wie, że nie pozostaję w łóżku. Kiedy tylko się dowiedzieliśmy o moim stanie, powiedziałam mu o mojej rodzinnej tradycji. Nie wnosił żadnych zastrzeżeń.

- Oczywiście, że nie. Ranald nie jest godzien nawet pogardy. Jest niewysłowionym głupcem. Przynosi wstyd naszym przodkom.

Rosala uśmiecha się słodko.

- Prosił mnie, bym mu powiedziała, gdybyś kiedykolwiek wypowiadał się o nim lekceważąco w mojej obecności. Czyż twoje słowa nie są właśnie takie?

Uważaj, mówi sobie w duchu. Ten człowiek nie znosi, gdy mu się ktokolwiek przeciwstawia. Trudno jej jednak zgiać przed nim kark i się poddać; tak bardzo trudno, mając w pamięci własnego ojca i dom, płaszczyć się przed najwyższym kapłanem, ulec jego nowej dominacji.

Widzi, jak Galbert powstrzymuje nazbyt szybką odpowiedź. Ranald jest porywczy i Blaise też, choć w mniejszym stopniu. W porównaniu z nimi ich ojciec jest jak lód - bezlitośnie utrzymuje w ryzach swój gniew i nienawiść.

- Jesteś rozmyślnie bezczelna - mówi. - Mam cię za to wychłostać?

Mówi te słowa rażąco łagodnym tonem, jakby proponował, że potowarzyszy jej w spacerze lub wezwie do pomocy służącego.

- Doprawdy - mówi hardo Rosala. - Zacna myśl. Przyjeżdżasz powodowany rzekomą troską o dziecko, które noszę, a potem proponujesz mi chłostę. Rozsądne postępowanie, panie.

Z kolei on się uśmiecha. Jego uśmiech przeraża ją najbardziej ze wszystkiego. Stara się tego nie okazać.

- Mogę zaczekać - mówi cicho Galbert de Garsenc. - Nie jesteś dzieckiem. Kara może zostać odłożona, a mimo to wciąż będziesz znała jej powód. Jestem cierpliwym człowiekiem. Teraz wracaj natychmiast do zamku, bo inaczej będę zmuszony zająć się tobą na oczach coranów i służby. Nosisz pod sercem pierwszego członka nowego pokolenia rodu Garsenc i nie pozwolę ci przez to szaleństwo stwarzać dla niego zagrożenia.

Rosala stoi w miejscu. On nie robi jej krzywdy. Wie o tym. Ogarnia ją fala oszłamiającej zuchwałości, nienawiści, której nie potrafi do końca opanować.

- Wybacz mi moją ignorancję oraz ignorancję mojej rodziny - mówi. - Najwyraźniej w tych sprawach należy się zdać na ciebie, panie. Tak wiele wiesz o pomaganiu kobietom w rodzeniu dzieci.

Niebezpieczny przytyk, za który może naprawdę później zapłacić. Żona Galberta umarła kilka godzin po urodzeniu Blaise'a, a dwie kolejne żony nie przeżyły zamknięcia w tym zamku po urodzeniu martwych dzieci.

Chciała go zranić, bez względu na to, czy było to mądre, czy nie, lecz nic w wyrazie jego twarzy nie świadczy o tym, że jej się udało.

- Jak mówiłem - mruczy Galbert, nadal się uśmiechając - wykonanie chłosty można nakazać w każdej chwili.

- Oczywiście - odpowiada Rosala. - Żyję całkowicie na łasce twej życzliwości, panie. Chociaż, jeśli poranisz mnie i zostawisz zbyt wiele blizn, mogłoby to zepsuć królowi przyjemność, kiedy zechce po mnie posłać, nieprawdaż?

Nie zamierzała powiedzieć nic podobnego, wymknęło jej się. Skoro jednak te słowa zostają wypowiedziane, nie żałuje tego. Ta myśl i towarzyszący jej strach nigdy jej nie opuszczają.

Widzi, że najwyższy kapłan nareszcie reaguje. Rosala uświadamia sobie, że Galbert de Garsenc nawet nie myślał, że ona może znać ten aspekt sytuacji. To niemal zabawne: uważa się, że kobiety kręcą się po dworze jak stadko owiec ze spuszczonego wzrokiem i zatrzaśniętym tępych umysłem, nieświadome niczego, co może się rozgrywać obok nich. Gdyby jej obawy nie były tak namacalne, mogłaby się roześmiać.

Uśmiech Galberta de Garsenc się pogłębia, a gładko ogolona, mięsista twarz marszczy się w prawdziwie nieprzyjemną maskę.

- Widzę, że nie możesz się doczekać tej chwili. Już ogarnęła cię żądza. Wolałabyś zabić dziecko, żeby tym prędzej przybiec, zdyszana i rozpalona, do łóżka Ademara, czyż nie? Jesteś

pełna ohydneho kobiecego zepsucia, widocznego zwłaszcza w twojej rodzinie. Poznałem to od razu, gdy tylko cię ujrzałem.

Rosala sztywnieje. Nagle kręci jej się w głowie. Spacer pod górę, jaskrawe słońce, a teraz ten obrzydliwy potok obelg. Naprawdę żałuje, że Ranalda nie ma w domu; jego obecność mogłaby się przyczynić do złagodzenia zjadliwości Galberta lub przynajmniej do skierowania jej na syna. Myśli z drzeniem, że sama to na siebie ściągnęła. Powinna była schować dumę i potulnie wrócić do zamku. Jak może, sama i będąc na jego łasce, walczyć z tym człowiekiem?

Podnosi nań wzrok, doprowadzona do mdłości. Moja rodzina jest równie dobra jak ta, mówi sobie z mocą, albo prawie tak dobra, że nie sprawia to żadnej różnicy. Wie, co trzeba teraz powiedzieć.

- Posłuchaj mnie - mówi, usiłując się opanować. - Prędzej się zabiję, niż pozwolę, by mnie dotknął. Nie miej wątpliwości, że tak uczynię. I nie próbuj zaprzeczać, że pochwalaleś karygodne myśli króla, z pogardą odnoszącego się do twojego syna czy też do jakiegokolwiek prawdziwego pojmowania honoru rodziny. Pragnąłeś w ten sposób, za pomocą wszelkich narzędzi, jakie ci się napatoczą, jeszcze mocniej związać ze sobą słabego człowieka, by tym łatwiej się nim posłużyć. Nie jestem narzędziem, które kiedykolwiek będzie pasować do twej dłoni, panie. Prędzej umrę, niż Ademar ze mną zlegnie. - Bacznie obserwuje jego twarz i dodaje: - Albo ty, najwyższy kapłanie Corannosa. Prędzej zakończę życie, niż zniosę, byś dotknął ręką czy batem to białe ciało, o którym marzysz w nocnej ciemności domu boga.

Była to strzała wypuszczona na oślepe, lecz Rosala widzi, że trafia prosto w cel. Rumiana twarz Galberta nagle blednie, oczy zwięzają mu się w szparki i po raz pierwszy umykają przed jej spojrzeniem. Rosala nie czuje tryumfu, tylko ponowną falę mdłości.

Odwraca się raptownie i rusza po moście zwodzonym na dziedziniec. Corani przerwali pojedynki, zaintrygowani czymś w zachowaniu tej dwójki stojącej poza murami. Rosala trzyma wysoko głowę i idzie z takim spokojem, jaki udaje się jej zachować.

- Pani Rosalo - mówi za jej plecami Galbert lekko podniesionym tonem.

Wiedziała, że ją zawoła. Przecież musi mieć ostatnie słowo. Jego charakter nie pozwoli, by było inaczej. Myśli, czyby go nie zignorować i iść dalej, ale corani słyszeli, jak ją wołał. Tego, co mogła zrobić prywatnie, narażając się na niejakie ryzyko, nie ośmiela się robić publicznie - mogła mu się przeciwstawić do pewnego stopnia, lecz na otwartą kompromitację Galbert sobie nie pozwoli. Za coś takiego kobietę można w Gorhaut zabić.

Zatrzymuje się na moście i powoli odwraca, by na niego spojrzeć. Potem będzie pamiętać ten moment, wysoko stojące słońce, wiatr poruszający czerwone i złociste liście

kasztanowców rosnących wzdłuż alei, ptasi śpiew rozbrzmiewający w ich gałęziach, strumień połyskujący za nimi błękitem. Wspaniały jesienny dzień.

- Zastanawiam się - mówi Galbert de Garsenc, ścisząc głos i podjeżdżając bliżej - czy twój drogi mąż powiedział ci o naszej ostatniej umowie? Zapewne tego nie zrobił, jako że o wszystkim zapomina. Postanowiliśmy, że jeśli urodzisz syna, będzie on mój. Ach! Wyglądasz na zaskoczoną, pani Rosalo! Tak jak myślałam, ten niefrasobliwy młodzieniec cię nie poinformował. Chłopiec został obiecany Corannosowi, dziewczynkę możesz sobie zachować; dziewczynka na nic mi się od razu nie przyda, chociaż jestem pewien, że później wymyślę dla niej jakieś przeznaczenie.

Rosala boi się, że zemdleje. Słońce zatacza nierówny łuk na błękitnym niebie. Rosala robi chwiejny krok w bok, by utrzymać równowagę. Serce wali jej w piersi młotem. Czuje smak krwi; przygryzła sobie wargę.

- Chciałbyś... chciałbyś pozbawić swoją rodzinę dziedzica? - pyta, oszołomiona, nie chcąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszała.

- Nie, nie, nie, niekoniecznie. - Galbert śmieje się dobrodusznie, udając pod czujnym wzrokiem ludzi na dziedzińcu rozbawienie. - Chociaż Potrzebujemy w naszej rodzinie jeszcze jednego kapłana przynajmniej tak bardzo, jak dziedzica w tym zamku. Brat Ranalda - nigdy nie wymawia imienia Blaise'a - miał pójść w moje ślady. W dużym stopniu zależała od tego nasza przyszłość. Jego odmowa zaszkodziła moim planom, postawiła mnie w trudnej sytuacji, lecz jeśli dasz mi chłopca, może uda się ją jeszcze naprawić. Oczywiście będę przez jakiś czas opóźniał ostateczną konsekrację, by ocenić, jak najlepiej wykorzystać to dziecko - tutaj, w Garsenc, czy w domu boga. Trzeba będzie rozważyć wiele spraw, lecz śmiem twierdzić, że pomożesz mi, rodząc następne dzieci, droga synowo. A jeśli nie - jednak poczęcie tego dziecka trochę trwało - cóż, wtedy Ranald będzie chyba mógł znaleźć sobie drugą, płodniejszą żonę. Ten problem nie budzi mojego wielkiego niepokoju. I muszę wyznać, że nie mogę się doczekać osobistego czuwania nad edukacją i wychowaniem wnuka. Proszę, nie zawieź mnie, pani Rosalo. Urodź silnego chłopca, żebyśmy mogli go zabrać do Corannosa.

Rosala nie może wydobyć słowa. Zupełnie jakby straciła mowę. Ledwie stoi. Czuje się nagle obnażona, naga pod obojętnym lub lekko zaciekawionym wzrokiem swoich coranów i chłopów z posiadłości.

- Naprawdę powinnaś wejść do środka - mówi życzliwie Galbert. - Nie wyglądasz dobrze. Powinnaś leżeć w łóżku, moje dziecko. Sam bym cię tam zaprowadził, ale obawiam się, że nie mam czasu na takie drobiazgi. Mnogość spraw do załatwienia wymaga mojej obecności na dworze. Ufam jednak, że mnie zrozumiałaś i nie będę musiał tu znów przyjeżdżać?

Odwraca się, nie czekając na odpowiedź, i unosi w stronę Rosali rękę, by corani zauważyli ten gest pozdrowienia; jednakże trzyma w tej ręce bicz. To nie przypadek. Nic, co ma związek z tym człowiekiem, nie jest przypadkowe. Rosala widzi, że odjeżdżając, uśmiecha się.

Nieco później, w zamku, siedząc samotnie w komnacie i ściskając dłonie tak, że bieleją jej kostki, Rosala de Garsenc uświadamia sobie, nawet nie wiedząc, kiedy dokładnie podjęła tę decyzję, że odejdzie.

Uważa, że Galbert popełnił błąd. Nie zamierzał powiedzieć jej o tych planach, ona jednak go rozzłościła, ujawniła, że zna jego myśli, a on zareagował ostro, chcąc ją przestraszyć i zranić.

Jeszcze nie wie, jak tego dokona, wie tylko, że nie zostanie i nie odda temu człowiekowi swego dziecka. Wypowiedziałam wojnę, myśli, zdając sobie sprawę, że jej jedyna przewaga leży w tym, że ona o tym wie, a Galbert być może nie. Jakby w odpowiedzi dziecko po raz pierwszy tego ranka mocno ją kopie.

- Ciii - szepcze. - Ciii, moje kochanie. Nie dojdzie do tego. Nie bój się, bo nie stanie ci się nic złego. Gdziekolwiek w świecie jest twój ojciec, czy przybędzie, by cię ochronić, czy nie, ja cię będę strzegła, maleństwo moje. Przysięgam to na własne życie i na twoje.

\*\*\*

Jadąc wraz z ludźmi z Talair na północ w chłodnych podmuchach jesiennego wiatru Arbonne, Blaise rozmyślał o dziecku: o synu Aelis de Miraval i Bertrana. Od kiedy Ariane opowiedziała mu tę historię owej nocy letniego przesilenia przed trzema miesiącami, myślał o niej częściej, niż mógłby się spodziewać, nie mogąc się wówczas powstrzymać od spoglądania z ciekawością na człowieka, za którego zabicie jego własny ojciec zapłacił ćwierć miliona w złocie.

Przed dwudziestu trzema laty rozegrała się tu tragedia, a jej skutki wciąż dawały się odczuć w Arbonne. Pamiętał cichy, odmierzony głos Ariane, snującej opowieść, gdy nad zaśmieconymi ulicami i zaułkami Tavernel szarzał świt.

- Jak dopiero co ci powiedziałam, w miłości dyskrecja jest wszystkim. Moja kuzynka Aelis była jej pozbawiona, chociaż była bardzo młoda, co można by uznać za usprawiedliwienie. Miała w sobie coś niepodlegającego kontroli, coś nazbyt gwałtownego. Dawała sobą powodować nienawiści i miłości, i nie była kobietą, która zaakceptowałaby swój los czy żyła w obrębie murów mających służyć jej za dom.

- Ty też nie - powiedział wtedy Blaise. - W czym tkwiła różnica?

Odpowiedziała nieco smutnym uśmiechem i przez jakiś czas milczała.

- Różnica tkwi chyba w tym, że widziałam, co ona zrobiła i co z tego wynikło. Różnicą w moim życiu jest sama Aelis. Bo widzisz, ona powiedziała mężowi. Zachowała prawdę na ostatni, przeszywający cios - maczając klingę w powoli działającej, zabójczej truciznie, jeśli wolisz. Kiedy kapłanka, która do niej przysła, powiedziała, że Aelis nie przeżyje, przyprowadzono do jej łóżka, gdzie leżała w połogu, Urtégo. Chyba był smutny. Zawsze uważałam, że przeżywał prawdziwy smutek, chociaż może bardziej z powodu utraty władzy, jaką mu dawała, niż z jakiegokolwiek innego. Aelis była jednak twarda, przepelniała ją duma i lekkomyślność, nawet na łożu śmierci. Uniosła się wtedy na łóżku i powiedziała Urtému, że dziecko spłodził Bertran de Talair.

- Skąd o tym wiesz?

- Byłam tam - odparła Ariane. - Jak mówię, ta chwila zmieniła moje życie, stworzyła mnie taką, jaką się stałam. Te słowa, wypowiedziane do Urtégo, zmieniły nasz świat. Gdyby Aelis się nie zemściła, mieszkalibyśmy w inaczej zorganizowanym kraju.

- Za co się zemściła? - zapytał wtedy Blaise, chociaż zaczynał powoli rozumieć.

- Za to, że nie była kochana - powiedziała po prostu Ariane. - Za to, że była ceniona za o wiele mniej, niż była warta. Za wygnanie ze światła i śmiechu, panujących na dworze jej ojca, do wilgotnej, ponurej fortecy Miraval.

Blaise myślał, że mogło o to chodzić. Kiedyś uznałby coś takiego - próżność kobiety, która szpeciła rozwijający się świat - za niegodne nawet pogardy. Trochę go zaskoczyło, że już tego nie postrzega w ten sposób - a przynajmniej nie postrzegał owej nocy z Ariane de Carenu w ramionach. Przyszło mu wtedy do głowy, co przyprawiło go o wstrząs, który starał się zamaskować, że ten nowy tok myślenia może stanowić jego najgłębiej skrywany bunt wobec ojca.

- Mogę zgadnąć, co myślisz - powiedziała wtedy Ariane.

- Nie, chyba nie - odparł bez wdawania się w szczegóły. - Co zrobił Urté? - zapytał, spychając swe rodzinne sprawy do zakamarków umysłu.

Owej nocy, kiedy słuchał tej dawnej historii, Blaise'a przepelniał smutek. Zadał to pytanie dla formalności. Był pewien, że wie, co zrobił en Urté de Miraval.

Jednakże odpowiedź Ariane go zaskoczyła.

- Nikt nie wie na pewno. I to stanowi sedno tragedii Bertrana, Blaise. Zanim Aelis umarła, urodziła syna. Patrzyłam, jak kapłanka sprowadza go na świat. Słyszałam jego płacz. A potem Urté, który czekał obok, zabrał go i ani Aelis, ani kapłanka, a już na pewno nie ja, wówczas trzynastolatka, nie miałyśmy możliwości powstrzymania go w murach jego własnego

zamku. Pamiętam, jak Urtému zmieniła się twarz, kiedy Aelis mu powiedziała, kto jest ojcem; nigdy tego nie zapomnę. I pamiętam, jak się nad nią pochylił, nad obolałą i umierającą, i szepnął jej coś do ucha. A potem wyszedł z komnaty z płaczącym dzieckiem Bertrana na rękach.

- I je zabił.

Pokręciła głową.

- Jak powiadam, nikt tego nie wie. To prawdopodobne, znając Urtého, wiedząc, w jak wielkim stopniu takie dziecko byłoby spadkobiercą wielkiej fortuny... spadkobiercą Barbentain, a zatem samej Arbonne, jako dziecko Aelis. To prawdopodobne, lecz my nic nie wiemy. Bertran nie wie. Nie ma pewności. Jeśli dziecko przeżyło, jeśli syn barona żyje, to tylko Urté de Miraval wie, gdzie się znajduje.

Wtedy Blaise wyraźnie ujrzał przyczynę bólu Bertrana.

- Tak więc przez te wszystkie lata nie można było zabić Urtého - nie można go zabić teraz - bo wraz z nim zginęłaby jakakolwiek możliwość dowiedzenia się prawdy o dziecku.

Ariane podniosła na niego wzrok w stłumionym szarym świetle świtu i w milczeniu skinęła głową. Blaise usiłował sobie wyobrazić, jak by to było mieć trzynaście lat i przeżyć taką noc, mieć ją we własnej przeszłości niczym ładunek kamieni.

- I tak bym go zabił - powiedział wtedy po bardzo długim milczeniu.

A ona odpowiedziała tylko:

- Ty i Bertran de Talair bardzo się różnicie.

\*\*\*

Jadąc na północ wzdłuż rzeki z księciem Bertranem i coranami z Talair na Jesienny Jarmark w Lussan, Blaise znów pomyślał o tej uwadze. Było to ostatnie, co mu powiedziała, zanim się ubrali; wyszła z jego pokoju, owinięta płaszczem, z kapturem nasuniętym na twarz, obdarzając go na pożegnanie w pierwszym świetle brzasku delikatnym, niewinnym pocałunkiem.

Co sprawia, że ludzie tak się między sobą różnią? Przypadki urodzenia, wychowania, szczęścia czy tragedii? Jakim człowiekiem zostałby Blaise, gdyby to on był starszym synem, dziedzicem Garsenc, a nie synem młodszym, któremu ojciec wyznaczył niechcianą przyszłość wśród duchownych boga? Co by było, gdyby żyła jego matka? Czy sprawiłoby to jakąkolwiek różnicę? Co by było, gdyby Galbert de Garsenc był innym, łagodniejszym człowiekiem, mniej opętany żądzą władzy?

Co prawda to ostatnie tak naprawdę było niemożliwe; po prostu nie można było



wyobrazić sobie jego ojca jako kogoś innego. Galbert wydawał się Blaise'owi czymś niepodważalnym, niczym siła natury czy gigantyczny pomnik Starożytnych, kimś, kto zadaje się tylko z władzą i jest na świecie niemal od zawsze.

Bertran de Talair też był młodszym synem. Jedynie przedwczesna śmierć jego brata umożliwiła mu objęcie tytułu i przeciwstawiła sobie dwa wielkie rody w tak ostrym konflikcie. Zanim do tego doszło, jego życie toczyło się zwykłą drogą: był mieczem do wynajęcia w bitwach i na turniejach, szukając majątku i miejsca w świecie. Taką samą drogę, zaczynając się w Gorhaut, miał wiele lat później obrać Blaise de Garsenc. To znaczy taką samą drogę, jeśli się nie uwzględniło muzyki.

Lecz muzykę trzeba było uwzględnić. Ona określa Bertrana, tak jak określa Arbonne, pomyślał z zaskoczeniem Blaise. Pokręcił głową, niemal rozbawiony samym sobą. Jest tu od pół roku, a jego umysł już ma tendencję ześlizgiwania się w rejony, których wcześniej Blaise nie znał. Zdecydowanie przywołał błądzące myśli do teraźniejszości, do bitej arbońskiej drogi, zbudowanej przez Starożytnych między rzeką i leżącymi na wschodzie polami uprawnymi.

Mrużąc oczy dla ochrony przed pyłem, Blaise wyrwał się z zadumy. Jechał prawie na końcu kolumny, za długim wężem wozów załadowanych różnymi towarami, które eskortowali na jarmark - głównie baryłkami z winem z Talair. Zobaczył, że Bertran i Valery zawracają w jego stronę. Jechali spokojnie, ale na tyle szybko, by się zorientował, że na czele długiej kolumny coś się dzieje. Za nimi widział w oddali jakieś chorągwie. Chyba właśnie kogoś doganiali. Nie było w tym nic wyjątkowego, w okresie jarmarku wszystkie drogi były zatłoczone, a najbardziej ta główna. Kiedy obaj mężczyźni zbliżyli się do niego i sprawnie zatoczyli końmi, biorąc Blaise'a między siebie, coran uniósł brwi.

- Rozrywki, rozrywki - odezwał się nonszalancko Bertran. Na twarzy miał niepokojący uśmiech, który Blaise już rozpoznawał. - Czekają nas nieoczekiwane przyjemności najrozmaitszego rodzaju. Co mi możesz powiedzieć - ciągnął książkę - o kimś, kto się nazywa Rudel Correze?

Po kilku miesiącach spędzonych z Bertranem Blaise już się przyzwyczajał do czegoś takiego. Czasami miał wrażenie, że Arbonianie nade wszystko pragną być znani z bystrości i dowcipu.

- Dość celnie strzela - odparł sucho, starając się dostosować do tonu Bertrana. - Zapytaj Valery'ego.

Rosły coran, już w pełni wyzdrowiały, stęknął i się skrzywił.

- Przez całe lato - rzekł lakonicznie Bertran, bez ostrzeżenia zmieniając ton - wspólnie

unikaliśmy podjęcia decyzji. Chyba nadszedł czas, by to nadrobić.

- Chorągwie Correze'ów przed nami? - zapytał Blaise.

- Owszem. Między innymi. Chyba rozpoznałem też d'Andoriów i Delonghich.

Dziwne, jak życie potrafi zaskakiwać człowieka swoimi zasadzkami. A może to wcale nie jest dziwne, poprawił się Blaise, bo inaczej to nie byłyby zasadzki, prawda? Mimo to nagle zrobiło mu się zimno. Zadał sobie pytanie, czy ci dwaj mężczyźni potrafią odczytać jego reakcję, a potem jeszcze jedno: dlaczego nigdy nie przyszło mu nawet do głowy, że Lucianna mogłaby przyjechać na Jarmark w Lussan.

Wraz z nadejściem jesieni na świecie działo się tyle ważnych spraw, że było rzeczą oczywistą spodziewać się na tym dorocznym spotkaniu Delonghich. Na pewno przyjadą handlować, oglądać albo obstawiać uczestników turnieju czy brać w nim udział, świętować żniwa i dzielić się wieściami z sześciu krajów, zanim zimowe śniegi i deszcze sprawią, że drogi staną się nieprzejezdne. A tam, gdzie mogą się pojawić mężczyźni z rodu Delonghich, niemal na pewno będzie można znaleźć cieszący się złą sławą klejnot tej rodziny. Lucianna nie pozwalała, by cokolwiek odbywało się bez jej udziału.

Jednakże bezpośrednie pytanie dotyczyło Rudela, a Bertran poruszył też inną kwestię.

- Będziesz musiał się postarać oficjalnie uznać obecność samego Rudela oraz jego ojca, jeśli się pojawi - odparł starannie odmierzonym tonem Blaise. - To całkiem możliwe. Wtedy, biorąc pod uwagę rozejm obowiązujący podczas jarmarku, Rudel nic nie robi. W gruncie rzeczy pokazywanie się w twoim towarzystwie będzie go zapewne bawiło.

- Mnie też - mruknął Bertran. - Bezgranicznie. Chyba z radością go poznam.

Większość świata już wiedziała o nieudanym zabójstwie i wyłożonych na nie pieniądzech. Kilka osób wiedziało, kto wypuścił zatrutą strzałę, trafiając niewłaściwą osobę. Zdaniem Blaise'a Rudel będzie poważnie skonsternowany - zwłaszcza po tym, jak udał się prosto do Götzlandu po obiecaną zapłatę. Informatorzy Bertrana na dworze króla Jörga - którzy byli niezwykle dobrze poinformowani - przysłali później wiadomość o tym, jak to Rudel został zmuszony do zwrotu tej sumy. Podobno już ją częściowo wydał i rachunki musiał wyrównać jego ojciec. Blaise z łatwością umiał sobie wyobrazić, jak się z tym czuł jego przyjaciel.

Na swój sposób bardzo chciał się znów z nim zobaczyć. W ich skomplikowanej rozgrywce, stanowiącej treść ich stosunków, odniósł w tamtym ogrodzie w Tavernel zwycięstwo i obaj o tym wiedzieli. Nieczęsto wygrywał tak wyraźnie; chciał się tym ponapawać.

Albo mógłby się napawać, gdyby nie było tu Lucianny, Blaise bowiem dobrze wiedział,

że jeśli Rudel poczuje, że przegrywa, to wykorzysta wszelką broń, by wyrównać wynik. Blaise będzie musiał spróbować sobie z tym poradzić, jeśli i kiedy do tego dojdzie. Było też coś jeszcze, czym należało się zająć, i Bertran z Valerym obserwowali go w milczeniu. Na czele ich kolumny powstawało coraz większe zamieszanie i posuwali się chyba coraz wolniej. Blaise już wyraźnie widział doganiane chorągwie: Correze, Delonghi, d'Andoria i kilka innych, których nie rozpoznawał.

Zwrócił się do Bertrana. Księżę jak zwykle miał odkrytą głowę i nijaki strój do konnej jazdy, który lubił wkładać w podróży. Kiedyś uratowało mu to życie, jak powiedział Valery Blaise'owi, kiedy inny niedoszły zabójca nie potrafił rozpoznać, kto w ich grupie jest Talaiem.

- Tak naprawdę nie trzeba podejmować żadnej decyzji. Jeszcze nie teraz. - Blaise mówił spokojnie. Zauważył, że w ich stronę podąża od czoła kolumny trzech jeźdźców, wzbijając kłęby pyłu. - Jeśli mamy jechać z Portezzanami, to kilku z nich mnie zna. Nie ma sensu, żebym się ukrywał.

- Też tak myślałem - rzekł Bertran. - Dobrze. Czy mogę od tej chwili przyjąć, że to Blaise de Garsenc zaszczyca mnie tymczasowym przystaniem do moich coranów, mimo że jego ojciec najwyraźniej pragnie mej śmierci?

Był to swego rodzaju punkt zwrotny, moment, w którym mogło się wiele zmienić.

- Jak sobie życzysz - odparł cicho Blaise.

Trzej jeźdźcy podjechali bliżej. Nie rozpoznawał ich. Mieli ekstrawaganckie stroje, nawet na zakurzonej drodze. Portezzanie tacy byli.

- A w tej drugiej sprawie? - zapytał Bertran. W jego głosie pobrzmiwała ledwie zauważalna nuta napięcia. - W tej, którą odwlekaliśmy?

Blaise wiedział, co księżę ma na myśli, oczywiście, że wiedział: „Co mam uczynić, ogłosić się prawdziwym królem Gorhaut?”. Jego własne słowa.

Pokręcił głową. Ilekroć o tym myślał, coś ścisnęło go w piersiach i kładło się na nich ciężarem.

Był to krok nad przepaścią tak szeroką, że Blaise nigdy nie sądził, że ujrzy coś takiego, nawet oczyma duszy.

- Nie - odparł. - Dajmy temu spokój. Jest jesień i rozejm z racji jarmarku. Gorhaut nic tu nie robi, nawet jeśli ktoś stamtąd przyjedzie, a potem Ademar będzie musiał zaczekać, aż wiosna znów uwolni góry. Poczekajmy i zobaczmy, co się stanie.

- Sami moglibyśmy coś zrobić w zimie, zamiast czekać na to, co zrobią inni - odezwał się Valery spokojnie.

Blaise odwrócił się do niego.

- Przepraszam - powiedział ostro - jeśli moja niechęć do bycia wykorzystanym jako figurant zepsuje ci zimę.

Jadący z jego drugiej strony Bertran wybuchnął śmiechem.

- W porządku, chociaż jeśli spojrzysz na sprawę uczciwie, to raczej nie jesteś figurantem. Jeśli się uważa, że podpisując Traktat Mostu na Iersen, Ademar zdradził swój kraj, to czy jest w Gorhaut poza tobą ktoś, kto ma większe prawo, by objąć po nim tron? Może twój brat?

- Może - odparł Blaise. - Ale on nic nie robi. Nim steruje mój ojciec. - Zawahał się. - Daj temu spokój, Bertranie. Na razie daj temu spokój.

Zapadło milczenie. Podjechali trzej jeźdźcy, a za nimi młody Serlo. Byli ubrani w znaną Blaise'owi, wspaniałą czarno-szkarłatną liberię. Nagle zdał sobie sprawę, czyimi muszą być ludźmi. Serce znów zaczęło mu szybko bić. Wyglądało na to, że cokolwiek robił, dokądkolwiek się udawał, wydarzenia wciągały go z powrotem w przeszłość. Pierwszy z jeźdźców ściągnął wodze i przesadnie nisko skłonił się w siodle.

- Dobrze, na razie zostawimy ten temat - powiedział cicho Bertran do Blaise'a.

A potem, nim jeszcze skończył mówić, mocnym, płynnym ruchem niby atakujący wąż skoczył z konia.

Uderzył Blaise'a ramieniem, pozbawiając corana tchu i zrzucając go z siodła. Razem padli ciężko w pył drogi, a nóż rzucony przez drugiego mężczyznę w czerni i szkarłacie świsnął nad pochyloną głową pierwszego i przeciął pustą przestrzeń, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się Blaise. Portezanie słynęli z legendarnej umiejętności posługiwania się nożem.

Lecz corani Bertrana de Talair byli wyszkoleni najlepiej w Arbonne. Valery zabił nożownika krótkim, dokładnym ciosem miecza, a Serlo z przekleństwem na ustach bez ceregieli zabił od tyłu trzeciego napastnika. Kiedy Bertran i Blaise wyplątali się ze swych objęć i wstali, pozostał już tylko przywódca. Bertran się skrzywił i zgiał nogę w kolanie.

Serlo i Valery mierzyli w Portezzanina mieczami z przodu i z tyłu. Wszystko się potoczyło tak szybko, tak cicho, że nikt na przodzie nawet się nie zorientował, że coś się stało. Na ziemi leżały jednak dwa trupy. Portezzanin popatrzył na zabitych, a potem na Bertrana. Miał szczupłą, opaloną twarz i starannie zakrecone wąsy. Jego palce zdobiło kilka pierścieni, nałożonych na rękawice do konnej jazdy.

- Chętnie zdam się na twoją łaskę - odezwał się spokojnie nieskazitelnym, arystokratycznym arbońskim. - Zapewniam cię, że mój kuzyn zapłaci za mnie sowity okup.

- Twój kuzyn właśnie pogwałcił rozejm oficjalnie gwarantowany przez hrabinę Arbonne -

rzekł lodowatym tonem Bertran. - Odpowie za to przed nią w jeszcze większym stopniu niż ty.

- Jestem pewien, że odpowie tak jak należy - odparł beznamiętnie mężczyzna.

Bertran poblądł; Blaise rozpoznał u księcia oznaki narastania prawdziwej wściekłości. Wciąż znajdował się w zbyt wielkim szoku, by się odezwać.

- Mam nieco mniej pewności od ciebie - rzekł cicho Bertran do Portezzanina. - Lecz tymczasem odpowiesz mi na pytanie: dlaczego miałbyś pragnąć zabić jednego z moich towarzyszy?

Po raz pierwszy mężczyzna się zawahał. Spojrzał z ukosa na Blaise'a, jakby chciał sobie coś potwierdzić. Twarz mu się rozjaśniła i wtedy, zanim jeszcze się odezwał, Blaise zrozumiał, co właśnie zaszło. Coś w nim, a właściwie w jego sercu, jakby zadźwięczało niby szarpnięta cięciwa albo struna lutni.

- Mój pan i kuzyn Borsiard d'Andoria ma śmiertelny żal do tego człowieka - oznajmił Portezzanin. - To nie ma nic wspólnego z tobą, en Bertranie. Mój pan żywi wobec ciebie jedynie szacunek i życzliwość, podobnie jak wobec hrabiny Arbonne, panie.

Słowa były melodyjne, niemal ociekały miodem.

- Obawiam się, że atak na człowieka znajdującą się w moim towarzystwie ma bardzo dużo wspólnego ze mną. A słowa pełne szacunku są pozbawione znaczenia, kiedy do tego ataku dochodzi podczas rozejmu ogłoszonego w związku z jarmarkiem. Twój pan i kuzyn popełnił błąd.

- A ja nigdy w życiu nie spotkałem się z Borsiardem d'Andorią - dodał Blaise. - Byłbym ciekaw, jakież to śmiertelny żal ma wobec mnie.

Co prawda wiedział to albo sądził, że może się domyślić.

- To nie jest sprawa do publicznego roztrząsania - rzekł wyniosłe Portezzanin. - Poza tym d'Andoriowie się nie tłumaczą.

- Kolejny błąd - stwierdził kategorycznie Bertran. - Nie widzę powodu, by to opóźniać. Jako książę Arbonne zaprzysiężony do stania na straży pokoju hrabiny, mam tu do wypełnienia oczywisty obowiązek. - Zwrócił się do Serla. - Weź trzech coranów i powieś tego człowieka na drzewie. Najpierw macie go rozebrać i napiętnować. Cały świat wie, jaką karę wyznaczono za pogwałcenie rozejmu.

Mimo swego pozerstwa, Portezzanin był odważnym człowiekiem.

- Mam wysoką pozycję i jestem kuzynem Borsiarda d'Andora - oznajmił. - Przysługuje mi traktowanie odpowiednie do mojego statusu.

Bertran de Talair pokręcił głową. Blaise zauważył zaniepokojoną minę Valery'ego. Czuł

ten sam niepokój. Książę nie zwracał na nich uwagi.

- Masz status niedoszłego mordercy, gwałciciela rozejmu, którego dotrzymanie zaprzysięgło sześć krajów. Nikt się dzisiaj za tobą nie ujmie. - Odwrócił się do Serla. - Powiesić go.

Serlo już wezwał trzech innych coranów. Bez ceregieli ściągnęli Portezzanina z konia. Jeden z nich miał przewieszony przez siodło zwój liny. Na skraju pola po wschodniej stronie drogi rósł dąb; tam zaprowadzili skazańca.

- Nie możesz tego zrobić! - krzyknął Portezzanin, wykręcając szyję, by obejrzeć się na Bertrana, a do jego głosu wkradły się pierwsze nuty strachu.

Blaise uświadomił sobie, że nożownik naprawdę nie sądził, że może się znaleźć w niebezpieczeństwie. Nietykalność, jaką zapewniały pozycja i rodzinne koneksje, pozwalała mu wierzyć, że może bezkarnie zabić i zostać wykupiony, że pieniądze i status mogą stanowić odpowiedź na wszystko.

- Jesteś tego pewien? - zapytał cicho kuzyna Valery. - Możliwe, że będziemy później potrzebować d'Andoriów.

W błękitnych oczach Bertrana de Talair, obserwującego swoich coranów krzątających się pod drzewem, było coś niemal okrutnego. Rozbierali Portezzanina. Mężczyzna zaczął krzyczeć.

- Nikogo nie potrzebujemy tak bardzo, byśmy, zabiegając o niego, mieli tracić honor - odpowiedział Bertran ponurym głosem, nie odwracając się do Valery'ego. - Gdziekolwiek odbywają się jarmarki, władca danego kraju jest zobowiązany stać na straży rozejmu, który pozwala nam wszystkim handlować. Wiesz o tym. Każdy o tym wie. To, co właśnie zaszło, było tak arogancką obelgą wobec hrabiny i Arbonne, że nie mogę jej puścić płazem. Niech Borsiard d'Andoria robi, co chce, ci trzej ludzie muszą umrzeć. Kiedy dotrzemy do Lussan i Barbentain, doradzę hrabinie, by zakazała d'Andoriom wstępu na jarmark. Sądzę, że mnie posłucha.

Wsiadł na konia; po chwili w jego ślady poszedł Blaise.

Na przodzie, przed czołem kolumny, powstało jakieś nowe zamieszanie. Corani Bertrana przewiesili linę przez gałąź przydrożnego drzewa, a skazaniec został rozebrany do bielizny. Teraz Serlo stanowczym gestem wyjął zza pasa nóż i chociaż Portezzanin wrywał się przytrzymującym go coranom, zabrał się do wykrawania na jego czole piętna zdrajcy. Blaise już to kiedyś widział. Zwalczył chęć odwrócenia się. Usłyszeli nagły, wysoki i rozpaczliwy krzyk mężczyzny. Od grupy przy czołe kolumny oderwało się teraz pięciu jeźdźców i ruszyło w ich stronę wściekłym galopem po trawiastym poboczu.

- Weź tylu coranów, ilu ci trzeba - rzekł spokojnie Bertran do Valery'ego. - Otoczcie drzewo. Jeśli ci ludzie spróbują zapobiec egzekucji, macie ich zabić. Blaise, zaczekasz tu ze mną.

Valery bez słowa pośpieszył wykonać rozkaz. Przewidując taki rozwój wypadków, pozostali corani już zaczęli szybko zajmować odpowiednie pozycje. Z dobytymi mieczami i strzałami nałożonymi na cięciwy utworzyli szeroki krąg wokół drzewa. Siedząc na koniu na końcu kolumny obok Bertrana, mając obok siebie na ziemi dwóch martwych ludzi, Blaise patrzył, jak corani wsadzają trzeciego Portezzanina na konia; mężczyzna miał ręce związane z przodu, a na szyi pętlę. Po twarzy ściekała mu krew po napiętnowaniu przez Serla. Pięciu jeźdźców teraz już krzyczało i szaleńczo wymachiwało rękami. Serlo obejrzał się na Bertrana, szukając potwierdzenia rozkazu. Księżę skinął głową. Młody coran dźgnął konia w zad nożem; zwierzę skoczyło do przodu. Portezzanin jakby zeskoczył z konia do tyłu w powietrze, a potem zawisł, kołysząc się bezwładnie. Usłyszeli trzask. Nie żył.

Pięciu wrzeszczących Portezzan gwałtownie ściągnęło konie tuż przed pierścieniem coranów Valery'ego. Przywódca krzyknął coś do Valery'ego, chłuszcząc swego pięknego konia w bezsilnej wściekłości. Bertran odwrócił się do Blaise'a, jakby znudzony tym, co się teraz działo.

- Mamy do załatwienia jeszcze jedną drobną sprawę - powiedział. - Uświadomiłem to sobie właśnie w tej chwili. Być może nie jesteś gotów do wysunięcia jakichkolwiek roszczeń w Gorhaut, ale jeśli wjedziemy do Lussan, otwarcie się przyznając, kim jesteś - a przez to, co się właśnie wydarzyło, nie mamy w tej kwestii wyboru - to nie mogę cię traktować jak po prostu jednego z moich coranów. Może ci się to nie podobać - z powodów, które potrafię zrozumieć - ale źle by świadczyło o nas obu, gdyby teraz widziano, jak ci wydaję rozkazy. Przyjmiesz zwolnienie ze służby? Przyjmiesz gościnność i towarzystwo w Talair jako mój przyjaciel i gość?

W tych okolicznościach było to jedyne właściwe posunięcie. I owszem, ta zmiana rzeczywiście niepokoiła Blaise'a; oznaczała ona kolejne przejście w roku, w którym jego życie pędziło z niepokojącą szybkością ku jakiemuś ukrytemu jeszcze w dali celowi.

Udało mu się uśmiechnąć.

- Zastanawiałem się, kiedy zaczniesz ci doskwierać wysokość mojego wynagrodzenia. Wyznaję, że nie sądziłem, iż tak niechętnie sięgasz do kiesy, panie; to nie pasuje do wyobrażenia, jakie ma o tobie cały świat.

Bertran się roześmiał, naprawdę zaskoczony. Właśnie wtedy wśród mężczyzn gestykulujących pod drzewem zapadła cisza. Nagły śmiech zabrzmiał donośnie. Pięciu

Portezzan odwróciło głowy. Ich przywódca, niski ciemnowłosy mężczyzna na wspaniałym koniu, przez długą chwilę patrzył w ich stronę, nie zwracając uwagi na otaczających go coranów. A potem bez słowa zawrócił i odjechał z powrotem na północ. Pozostali Portezzanie podążyli za nim.

- To było nieco niefortunne - zauważył Bertran.

- Kto to był?

Księżę odwrócił się do Blaise'a z zaskoczeniem.

- Mówiłeś prawdę, tak? Naprawdę go nie znasz. To był Borsiard d'Andoria, Blaise. Musiałeś przynajmniej słyszeć to nazwisko. Ostatnio się ożenił z...

- Z Lucianną Delonghi. Wiem - przerwał mu Blaise. A potem dodał: - Dlatego chce mnie zabić.

Nawet wśród tych wszystkich kłębiących się w nim tego ranka emocji Blaise wyczuwał gdzieś głęboko dziwne przebłyski dumy. Jeszcze teraz, po wszystkim, Lucianna o nim mówiła; oczywiście to musiało być to. Borsiard d'Andoria chciał zabić byłego gorhauckiego kochanka swojej nowej żony.

Bertran de Talair był bardzo bystry.

- Ach - powiedział cicho. - Engarro di Faenna? A zatem to prawdziwa pogłoska?

- Że go zabiłem dla Delonghich? Tak. - Blaise był zaskoczony tym, jak łatwo mu przyszła ta odpowiedź. Zawahał się, a potem dodał: - Z Rudelem Correze.

Patrzył, jak Bertran przyjmuje to do wiadomości.

- I dlatego ta kobieta chce cię teraz zabić? - Patrzył na Blaise'a z powątpiewaniem.

Blaise pokręcił głową.

- Nie sądzę. Nie przejmowałyby się tym na tyle, by zatrzeć ten ślad. Borsiard natomiast się przejmuje. Prawdopodobnie miał swój udział w zabójstwie Engarra, chociaż wtedy nic o tym nie wiedziałem. Niepokoi się mną. Boi się tego, co mógłbym powiedzieć albo zrobić. Rudelowi ufają; to kuzyn Delonghich. Ja jestem niewiadomą.

Przerwał.

- I to miałby być ten „śmiertelny żal” do ciebie?

Blaise spojrzał na księcia. Błękitne oczy Bertrana patrzyły badawczo, sceptycznie, a teraz dodatkowo pojawił się w nich błysk.

- Częściowo - odparł ostrożnie Blaise.

Bertran powoli skinął głową.

- Tak sądziłem - odezwał się po chwili. - Klejnot Delonghich, piękna Lucianna. A zatem nasz przyjaciel Borsiard jest zazdrosnym człowiekiem. Warto wiedzieć. - Znów skinął głową.



- To zaczyna mieć sens. Kiedyś musisz mi o niej opowiedzieć. Czy wszystkie pogłoski są prawdziwe? Oczywiście rozmawiałem z nią, lecz w zatłoczonym pomieszczeniu, i to wiele lat temu, kiedy była bardzo młoda. Czy powinienem odczuwać ulgę, że byłem wystawiony na jej wdzięki tak krótko? Czy jest tak zabójcza, jak się mówi?

Blaise wzruszył ramionami.

- Ja przeżyłem. Na razie.

- Uszkodzenia?

- Blizny. Pracuję nad nimi.

Bertran wykrzywił usta.

- To najwięcej, co można powiedzieć o kimkolwiek z nas w takich sprawach.

- Ty byłeś zakochany - rzekł Blaise, znów zaskakując samego siebie. - To zapada głębiej.

- Podobnie jak śmierć. - Po chwili Bertran wzruszył ramionami, a potem potrząsnął głową, jakby chciał się wyrwać z kręgu takich myśli. - Jesteśmy przyjaciółmi? Odwiedzasz Talair i zaoszczędzasz mi kosztów utrzymania wyszkolonego corana?

Blaise skinął głową.

- Chyba tak. Jednakże zaczęliśmy podążać dziwną ścieżką. Jak myślisz, dokąd nas ona zaprowadzi?

Bertran zrobił rozbawioną minę.

- To przynajmniej jest łatwe: do zamku Barbentain i leżącego pod nim Lussan. Nie słyszałeś? Ma się tam rozpocząć jarmark.

Zawrócił konia i ruszyli w drogę.

Nieskończenie dowcipny, pomyślał Blaise, i to, jak się czasami wydawało, za cenę niemal wszystkiego innego. Uświadomił sobie, że nie podziękował Bertranowi za uratowanie mu życia.

Powodowany impulsem, zawrócił i pojechał kawałek w przeciwną stronę. Potem zsiadł z konia i znalazł sztylet. Rękojeść była bogato wysadzana klejnotami w typowo portezzańskim stylu. Z powrotem wskoczył na siodło i galopem dogonił Bertrana. Księżę obejrzał się nań z uniesionymi brwiami.

Blaise wyciągnął ku niemu sztylet rękojeścią do przodu.

- Szkoda go zostawić - stwierdził. - Dziękuję. Szybko zareagowałeś jak na mężczyznę, który najlepsze lata ma już za sobą.

Bertran pokazał w uśmiechu zęby.

- W każdym razie najlepsze lata ma już za sobą moje kolano. - Wziął nóż i mu się przyjrzał. - Ładna robota, choć nieco kiczowata - ocenił i wetknął sztylet za pas.

Nie padły już żadne słowa; Blaise wiedział, że nie padną. Mężczyźni obznajomieni z wojną mieli w takich sprawach swój kodeks. Kiedyś myślał, że arbońskim coranom będzie czegoś pod tym względem brakować, że będą mieli skłonność do zamawiania u trubadurów entuzjastycznych wierszy dla uczczenia każdego swego drobnego wyczynu w walce czy na turnieju. Odkrył, że tak nie jest. Wydawało się, że naprawdę nie starając się tego robić, w ciągu pół roku odkrył sporo rzeczy.

Portezanie z przodu przyśpieszyli. Borsiard d'Andoria na pewno chciał dotrzeć do Barbentain przed Bertranem. W takich sprawach czasami miała znaczenie pierwsza skarga. Co prawda, od jarmarku dzieliły ich jeszcze dwa dni drogi.

Valery, jakby czytał w myślach Blaise'a, podjechał do nich galopem. Bertran spojrzął na kuzyna.

- Nie zamierzam próbować ich wyprzedzić. Nie będziemy się śpieszyć. Wybierz pięciu ludzi i pojedź naprzód - rzekł książę. - Znajdź hrabinę albo kanclerza Robana, obojętne, które z nich, a jeśli ci się uda, oboje. Moim zdaniem można pozwolić na swobodny wjazd do Lussan czy do zamku wszystkim Portezzanom oprócz d'Andoriów. Wyjaśnij hrabinie i kanclerzowi dlaczego.

Rosły siwiejący coran zawrócił, by odjechać.

- Valery - zatrzymał go Bertran. Jego kuzyn ściągnął wodze i obejrzał się przez ramię. - Blaise de Garsenc nie jest już w mojej służbie. Zaszczycą nas w Talair swoim towarzystwem i przyjaźnią. Może nawet będzie walczył u boku naszych ludzi w ogólnej potyczce podczas turnieju. Powiedz to hrabinie.

Valery skinął głową, popatrzył na Blaise'a i pogalopował wzdłuż kolumny, wzbijając kłęb pyłu.

Tak więc decyzja zapadła. Wziąwszy pod uwagę to, co się stało, mogła się nawet wydawać konieczna. Ponaglani biegiem wydarzeń, wszyscy trzej jednak o czymś zapomnieli. W tych okolicznościach nie było to może aż tak zaskakujące, lecz przeoczenie było przeoczeniem.

Bertran i Blaise minęli po prawej stronie niemal nagiego trupa, kołyszącego się na gałęzi dębu. Z czoła, gdzie miał wykrojone piętno zdrajcy, wciąż kapłała krew.

## ROZDZIAŁ 10

Zwykle powody, związane z Jesiennym Jarmarkiem, sprawiły, że Roban, kanclerz Arbonne, miał kilka bardzo ciężkich dni. Dłużej, niż sięgał pamięcią, odpowiadał za nadzorowanie wielostronnych przygotowań do dorocznego zjazdu połowy, jak się czasami wydawało, znanego świata.

W pierwszych latach lussańskiego jarmarku przygotowaniami zajmowali się z dumą sami mieszczanie, lecz w miarę, jak jarmark zyskiwał na znaczeniu, a związany z nim turniej zaczął przyciągać coraz więcej słynnych postaci z sześciu krajów, łącznie z królami i królowymi, mieszkańcy miasta w końcu z radością schowali dumę do kieszeni i poprosili o pomoc hrabiego z Barbentain. Stanąwszy twarzą w twarz z tak ważną, zależną od szczegółów i zasadniczo uciążliwą sprawą, jak logistyka przygotowania trwającego miesiąc jarmarku, hrabia przekazał to zadanie Robanowi. Naturalnie. Jakby kanclerz nie miał dość pracy.

Oczywiście mieszczanie pomagali - to jasne, skoro Jesienny Jarmark przynosił Lussan wielkie zyski - a hrabia przydzielił fundusze, pozwalające Robanowi wyznaczyć dwóch Opiekunów Jarmarku i dwóch Opiekunów Pieczęci do pomocy tym pierwszym. Roban już dawno się przekonał, że kontrola nad przydziałem stanowisk jest zawsze sprawą zasadniczą; pozwalała dobierać ludzi kompetentnych, dzięki czemu nie musiał pracować z tymi, którym po prostu był winien przysługi. Po ponad czterdziestu latach w Barbentain dobrze znał oba te scenariusze.

W tym roku do organizacji jarmarku zatrudnił też jednego z dowódców zamkowych coranów i upoważnił go do wybrania oraz nadzorowania stu uzbrojonych pachołków, którzy mieli pilnować porządku na terenie jarmarku od wschodu do zachodu słońca. Nocą pilnowanie gdziekolwiek porządku nie miało większego sensu. Hrabiowska gwarancja bezpieczeństwa w Lussan i na drogach w pobliżu jarmarku była ważna tylko do wieczora. Żaden władca w którymkolwiek z sześciu krajów tak naprawdę nie był w stanie narzucić przestrzegania zasad bezpieczeństwa po zapadnięciu ciemności, chociaż przed wielu laty Roban wpadł na pomysł, by na czas trwania jarmarku zapłacić za oświetlenie trzech głównych ulic Lussan.

Takie właśnie drobiazgi sprawiły, że lussański jarmark był najslynniejszym i najludniejszym jarmarkiem w sześciu krajach. Mimo wszelkich przeciwności i chronicznego

poczucia przeciążenia obowiązkami, Roban był z tego dumny; zawsze uważał, że jeśli jakieś zadanie w ogóle jest warte wykonania, to jest warte wykonania właściwie. Oczywiście stanowiło to część jego problemu i dlatego zawsze miał w końcu mnóstwo do zrobienia. Stanowiło to też źródło jego szczególnej dumy: wiedział - a był pewien, że wie też hrabia, a ostatnio hrabina - że po prostu w Barbentain, ba, w całej Arbonne nie ma nikogo innego, kto umiałby zająć się takimi szczegółami tak dobrze, jak on.

Poborczy podatkowi działający podczas jarmarku podlegali bezpośrednio jego władzy - cła nakładane na wszelkie towary opuszczające Lussan szły prosto do skarbcza hrabiny - lecz za wyznaczenie i opłacenie nadzorców, notariuszy, skrybów, urzędników i kurierów odpowiadali mieszczanie. W okresie żniw wysyłali także do okolicznych osad własnych heroldów, by przypomnieć rolnikom i wieśniakom Arbonne o zbliżaniu się Jesiennego Jarmarku z jego przedstawieniami kukielkowymi i tresowanymi zwierzętami, tancerzami i śpiewakami, połykaczami płonących węgli i magikami, którym znikwały gołębie, i handlarzami sprzedającymi świecidełka, zabawki, gliniane garnki i leki leczące wszystko - od bezpłodności do niestrawności. Oczywiście były też kobiety, które zbierały się w Lussan ze wszystkich części znanego świata i które można było kupić w karczmie na godzinę albo noc.

Roban bardzo chętnie zostawiał nadzór nad takimi sprawami mieszczanom; on sam zajmował się tymi, którzy przybywali z konkretniejszymi towarami zza gór albo morzem do Tavernel, a potem bitym traktem wzdłuż rzeki. Kupcy przybywali w gruncie rzeczy zewsząd, wioząc jedwab, wełnę i drewno, medykamenty, perfumy i oszałamiająco kosztowne przyprawy ze wschodu, sztylety z Arimondy, miecze i zbroje z kuźni Aulensburga, długie łuki z Valensy, rzeźbione wizerunki Corannosa z Gorhaut, złotą i srebrną biżuterię z Portezzy, valensańskie tkaniny i sery, wino, oliwki i oliwę z południa samej Arbonne. Na lussańskim jarmarku można było kupić właściwie wszystko, zobaczyć ludzi z najdalszych zakątków znanego świata i, za cenę dzbanka piwa kupionego w gospodzie, usłyszeć opowieści morskich kapitanów o legendarnych krainach, leżących na południu, daleko za granicami poznanego.

A w prywatnych domach, chroniących księząt i wielkich kupców przed zbyt uważnym wzrokiem i słuchem postronnych, w pokojach z zamkniętymi żaluzjami, niewpuszczającymi do środka słonecznego światła za dnia czy niewypuszczającymi blasku świec nocą, odbywały się dyskusje, które kształtowały rozwój wydarzeń w sześciu krajach przez najbliższy rok.

Lussański jarmark zawsze odbywał się jako ostatni w roku, nim zima zamykała drogi i przełęcze. Stanowił ostatnią okazję do przeprowadzenia osobistych rozmów, niemożliwych potem przez kilka miesięcy. Roban wiedział z doświadczenia, że właśnie za tymi groźnymi, ozdobnymi drzwiami działo się to, co stanowiło najważniejszą spuściznę każdego jarmarku.

Było to szczególnie prawdziwe tego roku, może najważniejszego, jaki się zapisał w pamięci, ponieważ Traktat Mostu na Iersen zawarty między Gorhaut i Valensą całkowicie zmienił długo utrzymującą się równowagę sił między sześcioma krajami, a Arbonne miała szczególne powody, by ważyć następstwa tego traktatu i się ich obawiać.

Zatem nie było zaskakujące, że kiedy bardzo zajęty i chronicznie zatroskany kanclerz Arbonne się dowiedział, że Valery, kuzyn księcia Bertrana, pilnie prosi hrabinę i jego samego o audiencję, z ponurą pewnością urodzonego pesymisty doszedł do wniosku, że nie otrzyma wieści mogących ukoić jego skołatane nerwy.

Oczywiście okazało się, że ma rację. Roban stał obok krzesła hrabiny w jej prywatnym pokoiku za salą audiencyjną i z przerażeniem słuchał, jak Valery z Talair spokojnie opisuje próbę zabójstwa tego problematycznego corana z Gorhaut, zabicie dwóch Portezzan z Andorii, a następnie przyśpieszoną egzekucję trzeciego - kuzyna samego Borsiarda i, jak się wydawało, bardzo możliwe, że jego faworyta. Valery nie oszczędził im żadnych szczegółów. Roban szybko ocenił, że napięcia, jakie powstaną z powodu tego zajścia, prawdopodobnie zniszczą jarmark, nim się jeszcze zacznie. Oraz prawdopodobnie wpędzą go do łóżka na cały dzień i noc z jednym z nieznośnych bólów głowy.

Czasami wydawało mu się, że całe swoje dorosłe życie spędził tu, w Barbentain, z hrabią, a teraz z hrabiną, usiłując zażegnawać kryzysy wywoływane przez działania zrzędlivych, kapryśnych szlachciców Arbonne. Roban sam był oczywiście Arbonianinem, niezbyt wysoko urodzonym, choć pochodzącym z zamku Vaux. Dość wcześnie poświęcono go Corannosowi, jak to się zwykle przydarzało młodszym synom młodszych synów, po czym, wciąż jeszcze nie mając zarostu, lecz już zdradzając zdolności w kierunku liczenia i pisania, został wyłuskany z kaplicy boga przez Guibora IV.

Przybył do Barbentain i szybko awansował na dworze na stanowisko kanclerza. W czasie, kiedy mu je powierzano, wiele się mówiło o jego młodzieńczych powiązaniach z duchownymi boga - co było ze strony hrabiego przemyślanym posunięciem, zmierzającym do zachowania politycznej równowagi. To było tak dawno temu, że Roban wątpił, by ktokolwiek coś jeszcze pamiętał. Niewiele osób oponowało przeciwko jego przyśpieszonemu wyniesieniu, nawet na tak niejednoznacznym dworze. Nawet kiedy był jeszcze młody, w zachowaniu Robana było coś uspokajająco poważnego. Wzbudzał zaufanie. Często myślał, że na nie zasługuje; gdyby tylko częściej go słuchano w tym kraju gorąckrwistych mężczyzn i kobiet, bardziej zainteresowanych muzyką niż uporządkowanymi rządami.

Roban nie miał nic przeciwko muzyce. Lubił słuchać trubadurów i zonglerów, kiedy nadarzała się po temu okazja. Sam nawet napisał kilka wierszy dawno temu, kiedy oficjalnie

się zalecał do kobiety, której poślubienie zalecił mu hrabia. Nie pamiętał melodii ani słów - i pewnie dobrze. Roban zawsze uważał, że istnieją granice, do jakich może porwać człowieka muzyka, lub raczej że istnieją wymiary w sprawach stanu, kiedy to trzeba odsunąć na bok romantyczne dźwięki wytwarzane przez trubadurów i być bezwzględnie praktycznym. W swoich własnych oczach Roban był pragmatycznym człowiekiem. Wiedział, jakie implikacje wypływają z jakich działań. Miał świadomość, że Bertran de Talair też na pewno wie takie rzeczy, może nawet lepiej od niego, ale że przez większość czasu księcia po prostu to nie obchodzi. Tak się mają sprawy w Arbonne, pomyślał ponuro kanclerz. Wystarczy sobie przypomnieć, co się stało przed dwoma dniami na drodze nad rzeką.

Nie było kwestii, że należy się kara, że coś trzeba zrobić. Andorian do wściekłości mogła doprowadzić pośpieszna akcja księcia Talair przy drodze, a podobno tego dnia przybyła także ich pokryta pyłem grupa na spienionych koniach. Szlachciców po prostu nie traci się tak, jak zwykłych złodziei. Bertran nawet kazał tego człowieka napiętnować; kiedy Valery o tym wspomniał, Roban się skrzywił i odwrócił, na próżno usiłując ukryć swą reakcję. Spróbował przekształcić ten gest w atak kaszlu, lecz podejrzewał, że hrabina wie, że to wybieg.

Rzadko udawało mu się cokolwiek ukryć przed hrabiną. Zakochał się od pierwszego wejrzenia, przed czterdziestu laty. Nadal ją kochał nad życie. Był niemal pewien, że przynajmniej o tym hrabina nie wie - to była jedna z rzeczy, która określała Robana z Vaux w jego własnych oczach. Kochał tylko jedną kobietę, i to właściwie przez całe swoje życie, mimo że miał żonę i dzieci i że dzieliła ich ogromna różnica statusu. Umrze, kochając hrabinę Arbonne nieustannie, trwającą całe życie namiętnością duszy. Nawet już o tym nie myślał, chociaż dawno temu spędzał w wąskim łóżku bezsenne, pełne westchnień noce. Teraz, cztery dekady później, był to po prostu fakt, na którym opierało się wszystko w jego życiu.

Stojąc w pokoju za salą audiencyjną, wygładził twarz, charakterystycznym ruchem przeciągnął dłonią po kaftanie i odwrócił się do kuzyna Bertrana. Valery dowodził spokojnym tonem rozsądnej perswazji, że nie wolno pozwalać, by szlachetnie urodzeni pogwałcili rozejm przez próby zabójstw na drogach i beztrząsco oczekiwali, że sprawę załatwi okup. Nadzwyczaj kompetentny kuzyn Bertrana - człowiek, który, nawiasem mówiąc, cieszył się uznaniem Robana - zauważył także, że swoim pośpiesznym działaniem Bertran zdecydowanie ochronił władzę hrabiny, zostawiając jej zarazem możliwość udzielenia mu ostrej nagany i ułagodzenia d'Andoriów, gdyby zechciała to zrobić.

W tym momencie Roban, widząc tu nikłą iskierkę nadziei i szybko analizując rozmaite możliwości, postanowił się wstawić za Portezzanami. Nie udało mu się. Nie przerywając nawet po to, by nabrać tchu, Valery dodał gładko, że Bertran przeciwstawia się nawet

rozważeniu jakiegokolwiek zadośćuczynienia. Roban zamknął oczy. Właśnie w tej chwili uświadomił sobie, że naprawdę zaczyna się jedna z jego migren.

Wiarogodność hrabiny jako kobiety rządzącej Arbonne, ciągnął z powagą Valery z Talair, właściwie wymaga od niej równej stanowczości, jaką by okazał w takiej samej sytuacji na przykład Jörg z Götzlandu. Bertran sugerował, by Borsiardowi d'Andorii zakazać wstępu na jarmark. Roban pomyślał z goryczą, że to zdumiewające, jak inteligentni ludzie mogą myśleć, mówić i beztrząsco proponować coś takiego.

- Götzland nie stoi przed realną możliwością inwazji w przyszłym roku - powiedział bez ogródek do Valery'ego, wykorzystując okazję do zabrania głosu. - Hrabina musi rozważyć sprawy wykraczające poza protokoły jarmarków. To zły czas - bardzo zły czas - na obrażanie ludzi tak ważnych jak Borsiard d'Andoria.

- Pozwoliłbyś mu wykupić życie jego człowieka? Pozwoliłbyś mu paradować z nowo poślubioną żoną na jarmarku w Lussan oraz w tym zamku po tym, jak usiłował dokonać zabójstwa na naszych drogach? A co by było, gdyby ten coran z Gorhaut zginął? Co wtedy?

- Jego śmierć mogłaby uprościć sytuację - odparł zbyt szybko Roban. To była drażliwa kwestia. - Wiesz, co sędzę o tym szaleństwie, które zaproponował en Bertran.

- Zaproponowała je moja córka - rzekła hrabina, po raz pierwszy zabierając głos. To, że wypowiedziała pierwsze słowa po to, by go poprawić, było złym znakiem. - Bertran zgodził się z propozycją Beatritz. Ja też. Ty się sprzeciwiłeś, przedstawiłeś swoje argumenty i otrzymałeś moją decyzję. Nie bądź męczący, Robanie. Znam twoje zastrzeżenia, ale nie widzę, jak moglibyśmy nie poprzeć tego, co już uczynił Bertran. Zamierzam zakazać Borsiardowi d'Andorii wstępu na jarmark.

Jej mąż, hrabia, też taki był: niezmiernie ważne decyzje zapadały z oszłamiającą dla Robana szybkością.

- Zapłacimy za to - powiedział, czując, że jego twarz przybiera niefortunny różowy odcień, towarzyszący wzburzeniu. - Mogę się założyć, że w przyszłym roku d'Andoriowie będą finansować Gorhaut.

Valery z Talair wzruszył ramionami.

- Oni nie potrzebują finansowania, panie kanclerzu. Dzięki pieniądзом, jakie otrzymali od Valensy na mocy Traktatu Mostu na Iersen, mają ich aż nadto. Zobacz, ile zapłacili za zabójstwo Bertrana. Czy wyglądało to na działanie kogoś, komu brakuje złota?

- W czasie wojny zawsze brakuje złota - rzekł ponuro Roban.

Tak się składało, że miał tajne informacje na temat dokładnych sum wypłaconych Gorhaut przez Valensę na mocy traktatu oraz sum jeszcze zaległych. Te liczby go przerażały.

- O, właśnie - powiedziała hrabina innym tonem, który Roban z niepokojem rozpoznał. - Daufriemu z Valensy musi ostatnio rozpaczliwie brakować pieniędzy, skoro tyle zapłacił Gorhaut za oddane mu ziemie.

- Śmiem twierdzić, że może mieć niejakie kłopoty - powiedział ostrożnie Roban.

Nauczył się, że rozsądnie jest zachować ostrożność, kiedy słyszy ten ton - oznaczał on zwykle, że zaraz zostanie przedłożony jakiś plan. Zwykle robił się od tych planów bardzo nerwowy. Coraz bardziej bolała go głowa.

Zobaczył uśmiech Valery'ego, zanim ten zdążył szybko unieść dłoń i zakryć usta. Ci z Talair byli tak bystrzy, że aż wydawało się to niesprawiedliwe.

- A zatem będziemy musieli o tym porozmawiać - mruknęła hrabina. - Mam pewien pomysł.

Roban nie miał pojęcia, do czego pije jego chlebodawczyni; bolało go, że Valery najwyraźniej wie, o co chodzi. Jako kanclerz zajmował nieskończenie irytującą pozycję człowieka, któremu pozostawiano do załatwienia szczegóły i drobiazgi; otaczali go ludzie o żywych umysłach, poruszających się bez wysiłku ścieżkami, które on uważał za niebezpiecznie mroczne.

Hrabina patrzyła znacząco na Valery'ego; ona też dostrzegła jego uśmiech.

- To znaczy, jeśli Bertran nie wpadł na ten sam pomysł na długo przede mną.

Jej ton wcale nie był tak surowy, jak życzyłby sobie Roban. Pomyślał, nie po raz pierwszy, że to jest jej słabość: za bardzo kochała swoich pełnych galanterii, nieodpowiedzialnych szlachciców, by trzymać ich w ryzach. A Bertran de Talair stanowił szczególny przypadek.

- Jestem pewien - rzekł Valery - że wszelkie myśli na temat Valensy, jakie mogły przyjść do głowy en Bertranowi, zostaną ci przekazane natychmiast po jego przyjeździe. Sądzę, że możemy się go spodziewać pod koniec dnia.

- Ja raczej uważam - powiedziała sucho Signe de Barbentain - że zgodzi się poinformować mnie o krokach, które już podjął. Dokładnie tak samo, jak uczynił z tymi wierszami, z powodu których omal nie został zabity tego lata. A przy okazji - zwróciła się do Robana - to ważne: chcę, by gdziekolwiek księżę Talair uda się podczas jarmarku, towarzyszyła mu wyraźnie widoczna straż Barbentain. Nie jest to afront dla coranów Bertrana, lecz ktokolwiek mający złe zamiary wobec niego musi mieć świadomość, że go pilnujemy.

Roban skinął głową. To miało sens; lubił dostawać od niej rozkazy mające sens.

- Z Delonghimi podróżuje Rudel Correze - powiedział nonszalancko Valery, jakby



właśnie to sobie przypomniał. - Wszyscy byli w grupie z d'Andoriami.

- Cudownie - stwierdziła cierpko hrabina. Roban ucieszył się, że jest zła na kogoś innego, chociaż kuzyn Bertrana nie był raczej odpowiednim celem jej gniewu. - Czy jemu też mam zakazać wstępu na jarmark? Czy mamy spędzić ten tydzień na zrażaniu do siebie wszystkich ważnych rodzin w Portezzie?

Signe de Barbentain rzadko traciła panowanie nad sobą, lecz Roban wyczuł, że może do tego dojść teraz. Cieszyło go, że hrabina rozumie i podziela jego troski. Znow przyglądał się kaftan.

Valery kręcił głową.

- Blaise de Garsenc mówi, że ten człowiek nic tu nie zrobi. Że rodzina Correze jest zbyt rozważna, by narażać się na ekonomiczne ryzyko związane z pogwałceniem rozejmu. Sądzi, że Rudel prawdopodobnie i tak wycofał się z tego kontraktu.

- Dlaczego miałby tak sądzić? - zapytał kwaśno Roban. - Nikt w tej rodzinie nie odwraca się plecami do dwustu pięćdziesięciu tysięcy w złocie.

Valery zrobił skruszoną minę.

- Pomyślałem to samo, panie kanclerzu. Blaise jednak mówi, że doskonale zna Rudela Correze. Teraz nie widzi z jego strony żadnego zagrożenia.

- Jakoś bardzo polegamy na tym coranie z Gorhaut, prawda?

- Dostyc, Robanie!

Zdał sobie sprawę ze swego błędu w chwili, kiedy się odezwała - rosnący w niej gniew zwrócił się raptownie przeciwko niemu. Zawsze tak było - jakby stanowił bezpieczny cel, jakby był kimś, na kogo mogła warknąć bez ryzyka. Co jest prawdą, pomyślał ze smutkiem. Było to prawdą od dziesięcioleci. Kiedyś, dawno temu, zastanawiał się, czy jego żona wie o jego uczuciach do hrabiny i czy ją to obchodzi. Teraz już nie.

- Nie będziemy jeszcze raz drażnić tego tematu - mówiła surowo Signe. - Ten człowiek nie jest po prostu coranem z Gorhaut. To syn Galberta de Garsenc, a jeśli mamy jakąkolwiek nadzieję na podzielenie Gorhaut w tej sprawie, to on jest tą nadzieją. Jeśli nas zdradzi, to zanim wszyscy zginiemy, przyznam, że miałeś rację. Czy to ci wystarczy, Robanie? Czy to cię zadowoli?

Kanclerz z trudem przełknął ślinę, czując się tak, jak zawsze się czuł, kiedy na niego naskakiwała. Gdy był młodszy, to po takiej reprimendzie nawet czasami płakał za zamkniętymi drzwiami swego pokoju. Już tego nie robił, ale czasami miał na to ochotę. To straszne wyznanie, pomyślał kanclerz, jak na człowieka w jego wieku i o jego pozycji. Zadał sobie pytanie, czy hrabina wie, kiedy zbliżają się jego bóle głowy, czy byłaby

przychylniejsza, może nieco łagodniejsza, gdyby ją o tym informował?

\*

Signe naprawdę nie pamiętała, by za życia Guibora Roban kiedykolwiek był tak męcząco nieznośny. No, ale wówczas nie miała z nim tak wiele do czynienia; był po prostu sprawnym administratorem w tle, a Guibor nie był człowiekiem, wobec których doradcy zbyt natarczywie wyrażali swoje zastrzeżenia. Wyglądało na to, że ona sama taka nie jest. Może zbyt polega na Robanie, może on uważa, że jest słaba i go potrzebuje? Tak naprawdę nie wiedziała; nieczęsto myślała o takich sprawach. On był pod ręką, zawsze był pod ręką, a ona wiedziała, że może mu ufać, że wyznaczone mu zadanie zostanie wykonane porządnie, jeśli nie było to coś niemożliwego. Tego dnia Roban był nieco zarumieniony i miał podkrążone oczy. Patrząc, jak charakterystycznym gestem wygładza przód swego nieskazitelnego kaftana, pomyślała, że może kanclerz jest przeciążony - jak to się zwykle przytrafiało sprawnym osobom.

W gruncie rzeczy sama się w tej chwili nie najlepiej czuła, lecz nie mógł tego zobaczyć ani się domyślić nikt, nawet Roban, nawet Valery.

- Poślij po Borsiarda d'Andorię - poleciła kanclerzowi. - Udzielę mu tutaj audiencji. Nie wydam zakazu wobec niego poprzez odgórną decyzję czy dekret. Usłyszysz go ode mnie w tym zamku.

I tak się stało jeszcze tego samego popołudnia. Borsiard wpadł do sali audiencyjnej, w nader nieprzyjemny sposób dając wyraz wściekłości, żądając potępienia i śmierci Bertrana de Talair jako zadośćuczynienie za masakrę trzech szlachciców z Andorii. Signe widziała, że Borsiard naprawdę wierzy, że ona może się na to zgodzić. Postrzegął ją jako kobietę, kobietę, którą może zastraszyć swoją wściekłością, zmusić do spełnienia jego żądań.

Ta świadomość pozwoliła jej wzbudzić w sobie zimny gniew, jakiego potrzebowała do uciszenia Portezzanina. W przeszłości dawała sobie radę z lepszymi od niego. Brawura Borsiarda opuściła go, kiedy tylko Signe zaczęła powoli mówić, a jej odmierzone słowa padały w ciszę sali niczym kamienie.

- Zabierz swoich ludzi, towary i odjedź - rzekła, przemawiając z prastarego tronu hrabiów Arbonne. - Nie otrzymasz pozwolenia na handel czy czerpanie zysków na jarmarku, którego prawa tak nikczemnie złamałeś. Ci, którzy zostali zabici, ponieśli zasłużoną śmierć z ręki księcia Talair, naszego przedstawiciela w tej sprawie, tak jak naszymi przedstawicielami jest cała szlachta Arbonne. Bez względu na to, o co prowadzisz spór z Blaisem de Garsenc z Gorhaut - który to spór zupełnie nas nie interesuje - miejscem po temu nie były drogi

prowadzące na lussański jarmark. Będiesz mógł opuścić Arbonne bez przeszkód. Co więcej, przydzielimy ci oddział naszych coranów, którzy odprowadzą cię bezpiecznie do granicy z Portezzą... chyba że chciałbyś się udać w jakieś inne miejsce?

Nauczył ją tego Guibor: samemu podnieść tę kwestię, odebrać inicjatywę drugiej stronie. Jak na zawołanie, ciemną, przystojną twarz Borsiarda d'Andorii wykrzywił grymas złości.

- Owszem, jest takie miejsce - powiedział. - Mam pewne sprawy do załatwienia w Gorhaut. Udam się stąd na północ.

- Nie mamy wątpliwości, że na dworze króla Ademara spotka cię serdeczne powitanie - rzekła spokojnie Signe. To nie był człowiek, który mógłby ją zaniepokoić, bez względu na to, ile może być wart i czego może się bać Roban. Był zanadto przewidywalny. Zadała sobie pytanie, jak długo potrwa jego małżeństwo. Pozwoliła sobie na uśmiech i wiedziała, jak w razie potrzeby uczynić z niego broń. - Mamy tylko nadzieję, że twojej szlachetnej małżonce nie będzie w Cortil chłodno i nudno, kiedy na północ zawita zima - mruknęła. - Jeśli woli wrócić do domu, z przyjemnością zaproponujemy jej eskortę. Właściwie - nasza ją nagła myśl - gdybyś pragnął udać się na północ bez niej, z ogromną przyjemnością udzielimy jej gościny na naszym dworze. Sądzymy, że moglibyśmy dostarczyć jej rozrywki. Byłoby niesprawiedliwością odmawiać damie przyjemności jarmarku z powodu wykroczeń jej męża. Nie zachowujemy się w Arbonne w ten sposób.

\*

Leżąc w łóżku tej samej nocy, zastanawiała się, czy mogłaby żałować utraty panowania nad sobą, która doprowadziła do tego zaproszenia. Goszczenie w tym miesiącu Lucianny Delonghi - mimo jej małżeństw prawie nie dawało się jej wiązać z żadnym innym nazwiskiem - w Barbentain i Lussan mogłoby się okazać pod wieloma względami niezręczne. Z drugiej strony, gdyby ta kobieta chciała zostać na jarmarku, mogła po prostu dołączyć do grupy ojca. Zaproszenie nadawało pozór kontroli nad tym, czemu i tak trudno byłoby zapobiec. Signe miała nadzieję, że tak to w każdym razie będzie odebrane. Poza tym prywatnie była nieco ciekawa tej kobiety i chciała się z nią jeszcze raz spotkać. Ostatnim razem Lucianna Delonghi była w Barbentain przed sześcioma czy siedmioma laty, przed pierwszym zamążpójściem. Jej ojciec przedstawił ją dworowi i hrabinie. Była wtedy bystra, jak cała jej rodzina, już piękna, czujna, bardzo młoda. W następnych latach najwyraźniej przydarzyło jej się bardzo wiele.

Mogłoby być interesujące zobaczyć, co dokładnie. Ale to później, pomyślała Signe. W tej chwili nie chciała widzieć nikogo. Położyła się spać wcześniej, zostawiając wykonanie jej

rozkazów dotyczących d'Andoriów Robanowi i Opiekunom Jarmarku. Wątpiła, by nastąpiły jakieś trudności; tak daleko od domu Borsiard miał niewielu coranów i raczej nie chciałby się kompromitować, doprowadzając do publicznego usunięcia go z Lussan. Było jednak całkiem prawdopodobne, że uda się na północ do Gorhaut - jak przewidział ponuro Roban. Kanclerz zwykle miał w takich sprawach rację. Trudniej było zgadnąć, co będzie tam robił Borsiard. Lecz nikt nie mógłby przeoczyć konsekwencji: Andoria przestawała być źródłem funduszy dla Arbonne, przestawała być sojusznikiem, gdyby rzeczywiście wybuchła wojna, i być może wystawiłaby jakieś oddziały, gdyby Gorhaut o nie poprosił.

Signe westchnęła w ciemności swego pokoju. Wiedziała, że Bertran postąpił słusznie, że ułatwił jej zadanie, biorąc na siebie ciężar tej sprawy. Żałowała tylko... żałowała tylko, że jakoś zawsze znajdował się w sytuacjach, w których właściwe zachowanie oznaczało tyle kłopotów dla nich wszystkich.

A w tej chwili pragnęła jedynie odpoczynku. Nocą, w objęciach snu, czasami zaznawała dziwnego złagodzenia trosk. Nie zawsze tak było, lecz kiedy już się zdarzało, prawie zawsze śniło jej się coś dobrego, uspokajającego. Spacerowała w zamkowych ogrodach albo, ze znów młodym Guiborem, po tej łące pod akweduktem Starożytnych nieopodal Carenu, którą tak kochała. Czasami była z nimi czwórka dzieci: bystra Beatritz ze swymi lśniącościami włosów, chłopcy - Guibor ciekawski i żądny przygód, Piers czujny, nieco odseparowany - a potem biegająca za nimi po trawie Aelis. W snach jej matki Aelis zawsze wydawała się starsza od pozostałych, chociaż była najmłodszym dzieckiem. Pojawiała się w snach tak, jak wyglądała na rok przed śmiercią, kiedy rozkwitła pełnią swej urody.

Tej nocy Signe sięgała ku snowi jak kobieta sięgająca ku ostatniemu czulemu kochankowi jej życia. Rano znów będą na nią czekać niepokoje dnia, pojawią się nowe troski, nowe zagrożenia z północy... tej nocy szukała swoich snów.

Nie było jej dane ich śnić.

Stukanie do zewnętrznych drzwi kompleksu pokoi było tak ciche, że gdyby spała, nawet by go nie usłyszała. Usłyszałyby je natomiast jedna z dwóch dziewcząt w pierwszym pokoju. U drzwi do komnaty Signe już krążyła Brisseau, starsza z nich, pełna niepokoju i w białym nocnym stroju podobna do zjawy.

- Zobacz, kto to taki - powiedziała hrabina, chociaż o tej porze mogła to być tylko jedna osoba.

Kiedy wkładała nocne okrycie, Roban czekał w zewnętrznym pokoju. Wyszła do niego; nie lubiła przyjmować mężczyzn czy też omawiać spraw państwowych w sypialni. Kanclerz wciąż miał na sobie ten sam kaftan. Z niejakim zaskoczeniem Signe pojęła, że jeszcze się nie

kładł. Było bardzo późno, a kanclerz nie wyglądał dobrze. Twarz miał wymizerowaną, a w blasku świec pośpiesznie zapalanych przez dziewczęta jego oczy były głęboko zapadnięte. Wygląda na więcej lat, niż ma ich w rzeczywistości, pomyślała nagle; razem z Guiborem zużyli go w służbie u nich. Zadała sobie pytanie, czy Roban uważa, że jego wysiłki są warte tej ceny. Po raz pierwszy się zastanowiła, co tak naprawdę myśli o nich obojgu. Albo raczej o niej. Guibor nie żył; o zmarłych myśli się tylko dobrze. Uświadomiła sobie, że naprawdę nie wie, co może o niej myśleć jej kanclerz. Niepoważna. Uznała, że zapewne ma ją za niepoważną i porywczą, i uważa, że potrzebuje kogoś, kto by nią spokojnie pokierował. To mogłoby stanowić odpowiedź na jej niedawne pytanie, dlaczego ostatnio tak bardzo forsuje swoje poglądy.

Ale naprawdę nie wyglądał dobrze.

- Usiądź - powiedziała. - Nim zaczniesz, usiądź. Brisseau, butelka cydru dla kanclerza.

Myślała, że Roban nie skorzysta z propozycji, ale się pomyliła; to tylko zwiększyło jej niepokój. Zmuszając się do cierpliwości, czekała, siedząc naprzeciwko niego, aż na stole pojawi się cydr. Potem czekała, aż Roban się napije.

- Powiedz mi - poleciła w końcu.

- Pani, wieczorem otrzymałem wiadomość ze świątyni Rian w mieście - odparł dziwnie słabym głosem. - Wyglądało na to, że wiadomość pochodzi od kogoś, kto żadną miarą nie mógłby się znajdować w Lussan; osoba ta prosiła cię o audiencję i.. i o udzielenie schronienia.

- Tak?

- Tak, więc sam się udałem do miasta, by sprawdzić, czy jakimś cudem wiadomość jest prawdziwa. Obawiam się, że jest, pani. Boję się, że mamy do czynienia z bardzo poważnym kryzysem, wobec którego sprawa d'Andoriów wydaje się niczym.

- Kto to jest? Kto jest w mieście?

- Już nie w mieście. Nie miałem wyboru, pani, musiałem sprowadzić ją do zamku, zanim ktokolwiek inny by się dowiedział, że ona tu jest albo co się dzieje. - Kanclerz odetchnął z trudem. - Hrabino, wydaje się, że pani Rosala de Garsenc z Gorhaut opuściła księcia, swego męża, bez jego wiedzy. Szuka u nas schronienia. Jest teraz w Barbentain, pani, i... chociaż bynajmniej nie jestem znawcą w tych sprawach, sądzę, że zaraz może zacząć rodzić, teraz, podczas gdy my tu rozmawiamy.

\*\*\*

Cadar de Savaric, który na znak sprzeciwu otrzymał imię i nazwisko po ojcu matki i jego

rodzinie, przyszedł na świat na zamku Barbentain tuż przed świtem.

Chociaż urodzony za wcześnie z powodu trudów podróży, w którą wyruszyła jego matka przez góry do Arbonne, ukazał się silny i różowy; kiedy kapłanka Rian, pośpiesznie wezwana do zamku, wydobyła go z łona matki i przecięła pępowinę, głośno krzyknął, co Rosala uznała za głos tryumfu.

Został uroczyście umyty w mleku podgrzanym przy ogniu, jak przystało wysoko urodzonemu dziecku, i starsza z dwóch kapłanek zawinęła go wprawnie w powijaki z błękitnego złotogłowiu, po czym podała hrabinie Arbonne, która przez ostatnie długie godziny bólów porodowych Rosali pozostawała w komnacie. Signe de Barbentain, kobieta o siwych włosach i bladej, nieskazitelnej cerze poznaczonej delikatnymi błękitnymi żyłkami, utuliła dziecko i spojrzała na nie z wyrazem twarzy, który Rosala nie w pełni rozumiała, lecz który mimo to bardzo ją uspokoił. Po chwili Signe podeszła do łóżka i delikatnie złożyła niemowlę w ramionach matki.

Rosala nie spodziewała się takiej łagodności. Nie wiedziała, czego się spodziewać. Uświadomiła sobie jedynie, po spotkaniu z Galbertem de Garsenc przed tygodniem, że zamierza się wyprawić na południe. Miała tylko ten plan.

Okazja nadeszła wraz ze zbliżaniem się terminu jarmarku w Lussan. Garsenc leżał w pobliżu głównej drogi, prowadzącej do przełęczy w górach i Rosala codziennie widziała grupki coranów i kupców mijających ich ziemie, często zatrzymujących się na chwilę modlitwy w kaplicy lub w celu ubicia jakiegoś interesu w zamku czy w leżącej poniżej niego wiosce.

Dwa dni po wizycie teścia Rosala napisała do męża liścik, w którym informowała, że wybiera się na północ do rodzinnej posiadłości, by tam oczekiwać narodzin dziecka. Skłamała, że miała sen, straszliwy proroczy koszmar. Napisała do Ranalda, że w zamku Garsenc umarło zbyt wiele niemowląt i kobiet w połogu. Bała się o dziecko. Bezpieczniej się czuła, udając się do domu, do Savaric. Miała nadzieję, że on to zrozumie. Miała też nadzieję, że przyjedzie tam do niej, kiedy pozwoli mu na to sytuacja na dworze. Podpisała się imieniem.

Tej samej nocy, niezauważona przez nikogo, opuściła zamek przez poternę. Jej ulubiony koń był trzymany w stajniach coranów za murami, żeby łatwo było mu zapewnić ruch, kiedy Rosala nie mogła już jeździć. W stajniach nie było straży - nikt nie byłby na tyle nierozważny, by narazić się na gniew Garsenców, zbliżając się do ich koni. Rosala usadowiła się niezdarnie na damskim siodle i odjechała w świetle dwóch księżyców; nocny krajobraz był piękny i przerażający zarazem. Na dotarcie do celu podróży miała bardzo słabą nadzieję,

tak słabą, jak światło gwiazd przy jasnym Vidonnie.

Po tej nocy nie była już w stanie jechać konno. Niechętnie, z prawdziwą rozpaczą, przed świtem zostawiła konia pod jakąś osadą i piechotą wróciła do drogi. O wschodzie słońca, wlokąc się głodna i bardzo zmęczona, natrafiła na obóz wędrownych artystów. Kiedy się do niego zbliżyła, zobaczyła dwie kobiety kąpiące się w strumieniu. Zakrzyknęły, widząc jej stan. Posłużyła się pierwszym imieniem, jakie jej przyszło na myśl, i powiedziała im, że podróżuje do Arbonne w poszukiwaniu akuszerki. Czyniąc za plecami znak od uroku, skłamała, że dwoje dzieci już umarło przy porodzie i oznajmiła, że jest gotowa zrobić wszystko, by uratować to dziecko.

To ostatnie było prawdą. Całkowitą prawdą.

Na wzmiankę o tym, że poszukuje magii, kobiety uczyniły własne znaki od uroku, lecz wielkodusznie zaprosiły ją do trupy na czas podróży na południe. Rosala przejechała przez góry w podskakującym, chwiejącym się wozie z dwiema złodziejskimi szarymi małpkami, gadającym ptakiem z północnych bagnisk, zmiją w koszyku i gadatliwym treserem zwierząt, który miał dziwaczne niebieskie zęby. Wyjaśnił, że to od trucizny węża, zanim ten został pozbawiony kłów. Karmił go złapanymi przez siebie myszami i jaszczurkami. Za każdym razem, kiedy wóz trafiał na koleinę, a było ich na drodze przez przełęcz wiele, Rosala z niepokojem spoglądała na koszyk, sprawdzając, czy zamknięcie wciąż trzyma. Niedźwiedź i górski kot jechały na szczęście w swoim własnym wozie tuż za nimi. Rosala mówiła niewiele, by uniknąć konieczności udawania akcentu. Z Othonem, z którym jechała, było to stosunkowo łatwe, ponieważ był jednym z tych mężczyzn, których utrata głosu przyprawiłaby o śmierć z rozpacz. Był jednak dla niej miły i w porze kolacji przynosił jej zupę i chleb od wspólnego ogniska. W ciągu trzech powoli mijających dni, bo tyle trwało przejechanie z Gorhaut przez przełęcz na szczycie do Arbonne, Rosala przyzwyczyła się do monotonnego brzmienia głosu Othona i w nieskończoność powtarzanych opowieści o minionych podróżach. Zaczęło się jej wydawać, że od zawsze jedzie w wozie z tymi ludźmi, że zamek Garsenc jest snem, wspomnieniem z życia jakiejś innej kobiety.

Czwartego dnia Rosala uniosła połę plandeki przykrywającej wóz i zeszła na ziemię w chwili, kiedy słońce wznosiło się zza wzgórz na wschodzie. Spojrzała na południe na zupełnie obcy krajobraz i w porannym świetle ujrzała jasnoniebieską rzekę płynącą bystrym nurtem obok drogi. W dali dostrzegła ledwie widoczne w ukośnych promieniach słońca migocące wieże.

- To pewnie Barbentain - powiedział za jej plecami Othon.

Rosala obejrzała się przez ramię i słabo się uśmiechnęła. Othon podrapał się nietaktownie

w intymnych miejscach, przeciągnął i stęknął.

- To najpiękniejszy zamek, w jakim w życiu byłem. Chyba zjawimy się tam dziś wieczorem. Był tam hrabia, nie tak dawno temu - może o nim słyszałaś - Guibor Trzeci, a może Czwarty. Wielki mężczyzna, wysoki jak drzewo, zajadły w wojnie... i w miłości, jak wszyscy tutaj. - Zarechotał lubieżnie, pokazując niebieskie zęby. - Tak czy siak, był najwspanialej zbudowanym mężczyzną, jakiego widziałem w życiu. Teraz rządzi wdowa po nim. Niewiele o niej wiem. Podobno kiedyś była ładna, ale teraz jest stara. - Othon ziewnął i splunął w trawę. - Wszyscy się starzejemy - oznajmił i odszedł by zająć się porannymi sprawami w krzakach. Poszła za nim jedna z małpek.

Rosala położyła dłoń na brzuchu i powiodła wzrokiem wzdłuż jasnej, wijącej się na południe rzeki. Na górskich grzbietach powyżej rosły cyprysy i jakiś gatunek sosny, którego wcześniej nie spotkała. Na tarasowatych zboczach na zachód od drogi rozciągały się legendarne gaje oliwne Arbonne.

Patrzyła na nie przez chwilę, a potem się odwróciła, by jeszcze raz spojrzeć na odległe, połyskujące w słońcu wieżyczki zamku, gdzie rządziła teraz wdowa po Guiborze IV. „Ożeń się z tą suką”, poradził jej mąż Ademarowi z Gorhaut nie tak dawno temu. Ojciec Rosali powiedział kiedyś, że hrabina Arbonne była swego czasu najpiękniejszą kobietą na świecie. To przynajmniej jedna rzecz, co do której się zgadzał z treserem Othonem.

Dla Rosali nie musiała być piękna, tylko życzliwa i odważna, bo Rosala wiedziała, że jej obecność wystawi odwagę hrabiny na wielką próbę. Zbyt dobrze się orientowała w sytuacji, by nie wiedzieć, co będzie oznaczać jej przybycie do Barbentain, i to z wkrótce mającym się urodzić dziedzicem Garsenc - albo następcą najwyższego kapłana boga w Gorhaut. Jednakże nie widziała dla siebie innego wyjścia poza oddaniem dziecka, a to nie było żadne wyjście.

Później, w ciągu dnia, kiedy słońce stało wysoko na jasnym, pogodnym jesiennym niebie, poczuła pierwsze bóle. Ukrywała je najlepiej, jak umiała, ale w końcu zorientował się nawet Othon i jego niekończący się potok słów powoli zamarł. Posłał po kobiety, które bardzo starały się jej pomóc, ale do Lussan było jeszcze daleko. Kiedy wysadzili ją przy świątyni Rian, było już dobrze po północy.

\*

Signe, zaskoczona przyjemnością, jaką sprawiało jej trzymanie niemowlęcia, pomyślała, że to zdrowy, dobrze rozwinięty chłopczyk. Wziąwszy pod uwagę wszystkie okoliczności, powinna odczuwać jedynie głęboką troskę o swój własny lud. To dziecko i jego matka reprezentowali niebezpieczeństwo w jego najczystszej formie, z łatwością mogliby stanowić



dla Gorhaut pretekst do wypowiedzenia wojny. W pokoju obok Roban krążył niczym ojciec rozpaczliwie pragnący dziedzica, lecz Signe wiedziała, że jego niepokój bierze się z czegoś zupełnie innego. Prawie na pewno miał nadzieję, że dziecko Rosali de Garsenc okaże się dziewczynką. Istniało o wiele mniejsze prawdopodobieństwo, że corani Gorhaut zostaną na nich napuszczeni z powodu dziewczynki.

Wyglądało na to, że nie mają takiego szczęścia, że w tym, co się tu dzieje, mają swój udział i Rian, i Corannos, a, jak głosiło stare porzekadło, kiedy bóg i bogini działają razem, mężczyźni i kobiety mogą jedynie uklęknąć i pochylić głowy. Signe pochyliła głowę i uśmiechnęła się do dziecka opatulonego w arystokratyczny błękit i zaniosiła je do matki. W blasku świec Rosala de Garsenc była blada jak kreda, a jej niebieskie oczy ogromniały w ściągniętej twarzy, lecz jaśniała w nich ta sama pozbawiona strachu stanowczość, jak przez całą noc. Signe ją podziwiała. Wysłuchiwała wszystkiego w mroku nocy, w przerwach między atakami bólów porodowych, poznała powód ucieczki i prośbę o udzielenie schronienia.

Nie była to prośba, której potrafiłaby odmówić; nawet Roban, za co należało mu się uznanie, sprowadził tę kobietę do Barbentain. Prawdopodobnie rano temu zaprzeczy, ale Signe była niemal pewna, że jej kanclerza też poruszyła historia Rosali. Sprowadził ją do zamku powodowany czymś więcej niż pragmatyzmem. Uświadomiła sobie, że jest z niego dumna.

Miała także świadomość, że to współczucie, to ulegnięcie ludzkiemu impulsowi, może im wszystkim przynieść zgubę. Było jasne, że Rosala też to rozumie. W ciągu długiej nocy, mówiąc niemal bez związku między nawrotami bólu, kobieta wykazała się imponującą inteligencją. Jej odwaga też była oczywista. Aby przeciwstawić się Galbertowi de Garsenc, tak jak ona, trzeba było mieć nie tylko odwagę.

- Oto twoje dziecko, pani - wypowiedziała cichym głosem oficjalną formułkę Signe. - Czy jego matka zechce mu nadać imię?

- Cadar - odrzekła Rosala, podnosząc głos, by po raz pierwszy wymówione imię zabrzmiało wyraźnie w świecie, na który przyszedł chłopiec. - Nazywa się Cadar de Savaric.

Uniosła rękę i Signe podała jej dziecko.

Hrabina wiedziała, że w tych słowach kryje się sprzeciw graniczący z prowokacją. Cieszyła się, że nie słyszał tego Roban; kanclerz miał dość stresów jak na jeden dzień. Ona sama czuła się stara i zmęczona, przygnieciona tą nocą i latami życia. Wydawało się, że czas muzyki i śmiechu w Barbentain przeminął nieskończenie dawno temu, że był snem, wymysłem trubadura, a nie częścią jej własnej historii.

- On ma ojca - poczuła się w obowiązku powiedzieć. - Postanawiasz go od tego odciąć? A

jeśli mimo wszystko ojciec zechce go uznać, dać mu ochronę? Czy to imię nie będzie po temu przeszkodą?

Kobieta była bardzo zmęczona, zmuszanie jej do takiego wysiłku było nieuczciwe, lecz konieczne, zanim to imię opuści ściany tego pokoju. Rosala spojrzała na nią swymi jasnoniebieskimi oczyma i rzekła:

- Jeśli jego ojciec postanowi po niego przyjechać i dać mu schronienie, to się nad tym zastanowię.

Powiedziała to z pewną intonacją, z akcentem na jedno słowo, które wzbudziło u Signe nowy niepokój, niczym ledwie słyszalna nuta, bardziej wyczuwalna niż słyszalna.

- Będzie potrzebował mężczyzny i kobiety, którzy staną w jego imieniu przed bogiem, oraz boginią, jeśli macie taki obrzęd w Arbonne - powiedziała Rosala.

- Mamy. Opiekunów Rian i Corannosa. Czycimy tu ich oboje, chyba o tym wiesz.

- Wiem. Czy zechcesz zaszczyścić moje dziecko i mnie, stając w imieniu Cadara? Czy proszę o zbyt wiele?

Prosiła, i to pod wieloma względami. Taka identyfikacja z tym dzieckiem samej hrabiny podwajała wszystkie niebezpieczeństwa, jakie ono mogło oznaczać dla Arbonne.

- Zechcę - odparła Signe de Barbentain, szczerze wzruszona, patrząc na dziecko.

Nigdy nie widziała własnego wnuka, urodzonego i utraconego w zimową noc tak dawno temu. Utraconego albo martwego, tego nikt nie wiedział prócz Urtégo de Miraval, a on nie zamierzał nic mówić. Nie zamierzał nic nigdy powiedzieć. Wydawało się, że tej nocy splotły się ze sobą i splątały czas, pamięć i strata, i że wszystkie prowadzą do smutku. Signe patrzyła na tę jasnowłosą kobietę i myślała o Aelis.

- To ja będę zaszczycona - rzekła.

Rosala przystawiła niemowlę do piersi. Zaczęło ssać, powodowane odruchem najbardziej pierwotnym ze wszystkich. Signe miała świadomość, że jest niebezpiecznie bliska łez. To przez tę bezsenną noc, powiedziała sobie surowo, lecz wiedziała, że tak nie jest.

- A drugi Opiekun? - zapytała. - Czy znasz tu kogoś, kogo chciałabyś poprosić?

W historii każdego mężczyzny, każdej kobiety i każdego dziecka istnieje kolejny etap, moment, w którym nowe wydarzenie w sposób nieodwołalny kształtuje to, co następuje potem. Takim punktem zwrotnym była chwila, kiedy Rosala, z jasnymi, wilgotnymi włosami splątanymi na poduszce i synem przy piersi, podniosła wzrok na hrabinę Arbonne i powiedziała:

- Jest ktoś taki, chociaż może to być kolejna zuchwałość z mojej strony. Mój ojciec powiedział, że cokolwiek innego może być o nim prawdą, to człowiek odważny i uczciwy i,

wybacz mi, wiem, że jest wrogiem Galberta de Garsenc. To może nie być w oczach Corannosa i Rian najczystszy powód wyboru Opiekuna, ale właśnie dlatego moje dziecko potrzebuje teraz opieki. Czy księżę Talair jest w Lussan? Jak myślisz, czy zechce to dla mnie zrobić?

Signe wtedy zaszlochała, a kilka chwil później, przerażając nieco samą siebie, zaczęła się bezradnie śmiać przez łzy.

- Jest tutaj. I jeśli go poproszę, to chyba zechce - odparła.

Było tu już tyle warstw posplatanych wspomnień, tyle ech, a teraz, skoro pojawił się i Bertran, doszło jeszcze jedno.

Wyjrzała przez okno; na wschodnim niebie pojawiło się pierwsze pasmo szarości. Przyszło jej wtedy coś do głowy, o wiele za późno, jeszcze jedna nić w tej ciemnej, tkanej przez czas materii.

- Chyba wiesz, że z księciem Talair jest też brat twego męża?

I wtedy, jako że przez całe życie była osobą wielce spostrzegawczą, zrozumiała dwie kwestie. Po pierwsze, że kobieta o tym nie wiedziała, a po drugie, że ta wiadomość ma dla niej ogromne znaczenie. Odezwał się wcześniejszy niepokój Signe. Nagle przyszło jej do głowy pytanie, kilka pytań, lecz to nie była pora na nie - i mogła nigdy nie nadejść. Nagle bardzo jej zabrakło Beatritz; żałowała, że córka została w tym roku na Wyspie Rian, zamiast przybyć tu, na północ, na jarmark.

- Nie chciałabym się z nim widzieć już teraz - powiedziała ostrożnie Rosala de Garsenc. - Nie chciałabym, żeby wiedział o mojej tu obecności. Czy byłoby to możliwe?

- Nie sądzę, by cię zdradził albo próbował odesłać do domu. Teraz już tu trochę wiemy o Blaisie.

Rosala pokręciła głową.

- Nie chodzi o to. Jestem... zanadto zaplątana w tę rodzinę. Czy księżę powie mu, że tu jestem?

Signe pokręciła głową, ukrywając rosnący niepokój.

- Bertran ma własny sposób postępowania z kobietami i nie można powiedzieć, żeby był najbardziej przewidywalnym mężczyzną na świecie, lecz nie zdradza zaufania.

Rosala spojrzała na niemowlę przy piersi, usiłując uporządkować sobie to, czego się właśnie dowiedziała. Cadar miał nieoczekiwanie bujne włoski, układające mu się na czole w zawijasy i pierścionki. W blasku świec przybierały wyraźny jasnokasztanowy odcień, były niemal rude. Pomyślała, że zupełnie jak u jego ojca.

Ta ostatnia informacja naprawdę nie powinna jej aż tak zaskoczyć; w ciągu lata

otrzymywali wieści, że Blaise znów wyjechał z Portezzy. Na chwilę zamknęła oczy. Trudno jej było w tej chwili zajmować się tyłoma sprawami naraz. Była bardzo zmęczona.

Podniosła wzrok na hrabinę.

- Jestem dla ciebie wielkim ciężarem. Wiem o tym. Nie widziałam jednak innego wyjścia dla dziecka. Dziękuję, że mnie tu przyjąłeś. Dziękuję, że przyjąłeś godność Opiekunki. Czy zechcesz zrobić jeszcze jedno? Poprosisz księcia Talair, by stanął tego ranka wraz z tobą w imieniu mojego syna przed Corannosem i Rian, a przeciwko tym wszystkim, którzy chcieliby mu wyrządzić krzywdę?

W końcu to sam kanclerz Roban udał się na poszukiwanie en Bertrana de Talair, biorąc do pomocy dwóch własnych coranów. Nie zastał księcia w jego łóżku, lecz nie ustawał w wysiłkach i wkrótce go znalazł, chociaż, niestety, nie samego. Doszło do umiarkowanie krępującego incydentu, lecz nie tak ważnego, by miał wpływ na misję kanclerza.

Wjechali po opuszczonym moście do wzniesionego na wyspie zamku w chwili, gdy za rzeką wstawało słońce, posyłając swoje światło niczym błogosławieństwo do pokoju, w którym leżała Rosala. Bertran de Talair wszedł do niego wraz z porannym blaskiem, spowity w swe charakterystyczne rozbawienie niby w płaszcz i ledwie skrywający sardoniczny błysk w oczach. Najpierw spojrzał na hrabinę, potem na łóżko, na którym leżała kobieta w połogu, a w końcu spojrzał w dół, na kołyskę stojącą w nogach łóżka, i zobaczył śpiące dziecko.

Po długiej chwili, w trakcie której powoli zmieniał mu się wyraz twarzy, z powrotem przeniósł wzrok na matkę odpoczywającą w łóżku.

Kapłanka Rian umyła ją i przebrała w niebieską jedwabną szatę, pomogła jej też przy włosach. Długie i złociste w łagodnych promieniach słońca, leżały rozczesane na poduszce i kołdrze. Oczy Rosala miała tak samo niebieskie, jak on.

- Gratulacje - odezwał się oficjalnym tonem. - Masz pięknego syna. Życzę mu szczęścia przez całe życie.

Chłonęła wszystko: lekki wyraźny głos, bliznę, okaleczone ucho, sposób, w jaki zmieniała się jego wyrazista twarz, kiedy pozbył się z niej ironii.

- To dziecko chciał mi odebrać Galbert de Garsenc, najwyższy kapłan Corannosa w Gorhaut - odezwała się bez wstępów czy zbędnych uprzejmości.

Mówiła starannie odmierzoną tonem; przygotowała te słowa, czekając na księcia. Było to suche, bez polotu, lecz nie miała sił, by się zdobyć na elokwencję, ledwie udawało się jej powiedzieć to, co musiała.

- Tak mnie poinformowano - odparł z powagą.

- Obawiam się, że w tych okolicznościach przyjęcie godności Opiekuna mego dziecka

będzie więcej niż formalne.

- Sądzę, że w tych okolicznościach tak.

- Zechcesz się tego podjąć? - zapytała.

- Tak - odparł spokojnie. I po chwili dodał: - Sam prędzej zginę, niż stracisz dziecko na jego rzecz.

Zobaczył, że się gwałtownie zarumieniała i zaczęła szybciej oddychać, jakby nie musiała już tak sztywno panować nad sobą.

- Dziękuję - szepnęła. W jej oczach pojawiły się łzy, po raz pierwszy tej nocy, chociaż tego Bertran nie mógł wiedzieć. Odwróciła głowę i spojrzała na hrabinę. - Dziękuję wam obojgu. To oznacza, że będzie tak bezpieczny, jak na to pozwoli świat. Chyba mogę teraz odpocząć.

Zamknęła oczy i zasnęła niemal w chwili, gdy skończyła mówić. Stojący po obu stronach łóżka Bertran i hrabina wymienili długie spojrzenia. Przez kilka chwil żadne się nie odzywało.

W końcu książę pokazał zęby w uśmiechu. Signe właśnie tego się spodziewała, przyjęła ten uśmiech niemal z ulgą, ponieważ zniweczył zły czar tej nocy.

- Ty to zrobiłaś - powiedział. - Nie ja. Nigdy nie czyń mi wyrzutów.

- Nie sądziłam, byś mógł się oprzeć dziecku - odparła cicho. - Nie będzie żadnych wyrzutów. Musimy być tym, kim jesteśmy, bo inaczej zmienimy się w naszych wrogów.

Był ranek, a ona nie spała całą noc. Nie czuła się jednak zmęczona, już nie. Podeszła do wschodniego okna i wyjrzała na wyspę, rzekę i złociste, jesienne barwy swojej ziemi.

Stojąc w drzwiach, kanclerz Roban słyszał tę wymianę słów i widział, jak jego hrabina podchodzi do okna. Wyglądała na bardzo małą i kruchą, a zarazem piękną jak figurka z kości słoniowej. Nic nie mówił, niepotrzebnie znów wygładzając przód koszuli. Rozmyślał nie tylko nad szlachetnością dopiero co wyrażonych odczuć, ale i nad gwałtownie rosnącym prawdopodobieństwem, że nim nastanie lato przyszłego roku, wszyscy oni będą pokonani i zabici.

\*\*\*

W czasie jarmarku gospody Lussan, a było ich bardzo wiele, przeżywały oblężenie. Dlatego tylko czysty pech zaprowadził późną nocą tresera Othona do karczmy „Pod Łukiem”, po tym jak odwiedził już trzy inne i zaczął świętować Jesienny Jarmark w charakterystyczny, płynny sposób. Jeszcze bardziej gadatliwy niż zwykle, Othon perorował przy stole zajęтым przez rozmaitych artystów, opisując niezwykłą towarzyszkę podróży, jaką miał w swoim

wozie. Jeśli człowiek znany z podróżowania z węzłem i małpkami nazywał jakiegokolwiek towarzysza kimś niezwykłym, było to wystarczająco dziwaczne, by poświęcić mu więcej uwagi niż zwykle.

- Była jasnowłosa i niebieskooka - oznajmił Othon - i zapewne piękna, chociaż trudno mi to stwierdzić, wzięwszy pod uwagę jej... stan, jeśli mnie rozumiecie. - Przerwał. Ktoś usłużnie napełnił mu kielich. - Z mojego doświadczenia wynika, że niewiele kobiet wygląda najlepiej, mając lada dzień urodzić.

Ktoś zrobił sprośną uwagę, wiążąc doświadczenie Othona z jego małpkami. Wśród salw śmiechu treser znów się napił i mówił dalej ze spokojną nieustępliwością gawędziarza nawykłego do przemawiania w trudnych warunkach. Nie zauważył trzech mężczyzn przy sąsiednim stole, którzy przerwali rozmowę, by go posłuchać.

- Usiłowała udawać, że jest żoną rolnika albo kogoś takiego, kowala, woźnicy, ale nietrudno było zauważyć, że nikim takim nie jest. Odwiedziłem dosyć zamków w życiu, żeby umieć rozpoznać szlachectwo. - Dowcipniś przy jego stole spróbował rzucić kolejny żart, ale tym razem Othon go przekrzyczał. - Zostawiliśmy ją w tutejszej świątyni i mogę się założyć, że dzięki pomocy kapłanek Rian jakiś gorhaucki pan ma już dzieciaka. I czyż nie jest to dobry żart?

Mogło tak być, ale tej jesieni taki żart był dość ryzykowny. Wszyscy wiedzieli, jak napięta stała się sytuacja między Gorhaut i Arbonne i nikt nie chciał się roześmiać pierwszy w gospodzie pełnym nieznanymi ludźmi z wielu krajów. Rozczarowany Othon zamilkł na kilka chwil, a potem z imponującym optymizmem zaczął nową, pełną dygresji opowieść o swej ostatniej wizycie w Barbentain. Wtedy jednak stracił już słuchaczy i właściwie mówił do siebie.

Trzej mężczyźni przy sąsiednim stole nie tylko przestali słuchać, ale też zapłacili rachunek i wyszli z gospody „Pod Łukiem”.

Na ulicy, w czasie jarmarku wystawnie oświetlonej przez latarnie, trzech corani, którzy przypadkiem pochodzili z Gorhaut, a dokładnie z zamku Garsenc, odbyli pośpieszną, wielce ożywioną naradę.

Najpierw rozważali losowanie słomek, żeby wyznaczyć spośród siebie posłańca, który zawiózłby do Garsenc wiadomość. Zajeżdżając konie na śmierć, dałoby się to zrobić w dwa dni. Chwila dalszych rozważań sprawiła, że zmienili plan. Przyniesienie takiej nowiny mogło się wiązać z istotnym ryzykiem lub korzyścią - z gorhauckimi panami nigdy nic nie było wiadomo, a zwłaszcza z Garsencami.

W końcu wszyscy postanowili zrezygnować z okupów, jakie mogliby zdobyć w ogólnej

potyczce podczas turnieju - po to przede wszystkim przybyli do Lussan - na rzecz wspólnego powrotu na północ z niemal pewną wiadomością, że zaginiona żona księcia Ranalda przebywa w tej chwili w Lussan. Nawet między sobą starannie unikali uwag na temat możliwych konsekwencji takiego stanu rzeczy. Wrócili do swojej gospody, zapłacili rachunki, osiodłali konie i ruszyli w drogę.

Część pecha - jego całość, w gruncie rzeczy, z punktu widzenia tresera Othona - stanowiło to, że jeden z coranów zatrzymał się nagle tuż przed szeroko rozwartymi wrotami w północnych murach Lussan i ponurym tonem powiedział coś do pozostałej dwójki. W milczeniu, wyraźnie wstrząśnięci jego słowami, spojrzeli po sobie z przestrachem, kiwając głowami.

Potem losowali słomki. Coran, któremu przyszła do głowy ta niepokojąca myśl, wyciągnął najkrótszą, co być może było stosowne. Pożegnał towarzyszy i patrzył, jak ruszają w ciężką drogę powrotną przez przełęcz. Samotnie wrócił do gospody. Jeszcze tej samej nocy zabił tresera pchnięciem noża między żebra, gdy ten wszedł chwiejnym krokiem do zaułka, by ulżyć pęcherzowi. W gruncie rzeczy było to łatwe zabójstwo, chociaż nie przyniosło mu jakiegoś szczególnego zadowolenia. Żaden władca nie mógł nikomu zagwarantować bezpieczeństwa po zachodzie słońca, nawet podczas jarmarku. Czynem tym jednak coran pogwałcił rozejm i akurat nie bardzo mu się to podobało, lecz w zaistniałej sytuacji jego własne upodobania nie miały wielkiego znaczenia. Umył klingę w pluskającej fontannie i wrócił do karczmy „Pod Łukiem” na kolejną szklanicę piwa. Przekonał się, że po zabiciu kogoś zawsze chce mu się pić.

„Nie można dopuścić”, powiedział pozostałym dwóm coranom przy miejskiej bramie, „by Ranald de Garsenc albo, co gorsza, sam najwyższy kapłan zapytał, dlaczego pozwoliliśmy, by niepotrafiący trzymać języka za zębami staruszek nadal bezmyślnie miał ozorem i rozsiewał złośliwe opowieści, mogące jedynie zaszkodzić rodzinie, której przysięgliśmy służyć”.

Lecz Othon opowiedział swoją historię przy zatłoczonym stole, a na każdym jarmarku najbujniej kwitł handel pogłoskami i plotkami. Pod koniec następnego dnia całe Lussan wiedziało, że z Gorhaut przybyła na południe jakaś szlachetnie urodzona kobieta, by powić dziecko. Kilka osób usłyszało nawet drugą historię, o tym że zaraz po nastaniu świtu widziano samą hrabinę oraz księcia Talair najpierw w świątyni Rian, a potem w kamiennej kaplicy boga w Barbentain. Jakaś bystra osoba wspomniała komuś innemu o obrzędach związanych z narodzinami z udziałem Opiekunów. To też do wieczora rozniosło się po całym jarmarku.

Śmierć Othona przeszła właściwie bez komentarzy. Bójki na noże wśród podróżnych po zapadnięciu zmroku zdarzały się zbyt często, by warto było im poświęcać czas. Zwierzęta zostały sprzedane innemu treserowi jeszcze przed zakończeniem jarmarku. O dziwo, jedna z małpek nie chciała jeść i zdechła.



## ROZDZIAŁ 11

- Wyzwanie! - zawołał trovaritz z Aulensburga.

Karczma była zatłoczona, mężczyzna nie miał zbyt mocnego głosu, usłyszeli go tylko ci siedzący najbliżej niego, z których większość się roześmiała. Siedząca przy sąsiednim stole Lisseut zorientowała się jednak, że przybysz się nie podda. Wszedł chwiejnie na swoje krzesło, a potem na stół, wokół którego siedział wraz z sześcioma innymi muzykami z Götzlandu. Lisseut spostrzegła, że jest kompletnie pijany. Wtedy już większość klientów „Senhala” była pijana. Ona sama dla uczczenia rozpoczęcia jarmarku wypłała dwa czy trzy kielichy wina. Jourdain i Remy, po odbyciu udanych objazdów - jeden Arimondy, drugi miast Portezzy - kolejno stawiali kolejki całemu stolowi i przerzucali się opowieściami o coraz bardziej nieprawdopodobnych tryumfach.

Götzlandczycy zaczęli rytmicznie walić ciężkimi dzbanami o drewniany blat stołu. Hałas był tak uporczywy, że na chwilę ucichł zwykły gwar. W tę lukę wdarł się ponownie głos trovaritza na stole:

- Wyzwanie!

- Niech go licho - powiedział Remy, znajdujący się w połowie opowieści o nocy w portezzańskiej Vialli, kiedy jego muzykę śpiewano na letniej uczcie tej społeczności, a on siedział przy wysokim stole z najpotężniejszymi ludźmi miasta. Śpiewał oczywiście Aurelian; Lisseut wciąż się jeszcze czasami irytowała, że jej chudy, ciemnowłosa przyjaciel zawiesił własne systematyczne wznoszenie się w hierarchii poetów, by wrócić do roli żonglera i spędzić cały sezon na przydawaniu swoim głosem blasku poezji i imieniu Remy’ego.

- Przyjaźń - powiedział łagodnie Aurelian, kiedy mu to wypomniała. - Lubię śpiewać. Lubię śpiewać pieśni Remy’ego. Dlaczego miałbym sobie odmawiać tej przyjemności?

Bardzo trudno było się pokłócić z Aurelianem.

- Wyzwanie dla trubadurów Arbonne! - ryknął Götzlandczyk.

Ponieważ hałas trochę przycichł, tym razem trovaritz został usłyszany wyraźnie. Z nagle znieruchomiałą twarzą odwrócił się nawet Remy, chcąc popatrzeć na mężczyznę stojącego niepewnie na sąsiednim stole.

- Sformułuj to swoje wyzwanie, zanim spadniesz i skręcisz sobie kark - powiedział Alain z Rousset, siedzący przy ich stole.

Lisseut zauważyła z niejaką przyjemnością, że ostatnio zrobił się o wiele bardziej stanowczy. Miała z tym coś wspólnego - sukces ich zespołu sprawił, że oboje zaczęli się spotykać z uznaniem.

- Nie spadnę - oznajmił trovaritz, nieomal spadając. Podtrzymało go dwóch z jego towarzyszy. W zatłoczonej sali zapadła zdumiewająca cisza. Mężczyzna sięgnął gorączkowo w dół i któryś z götzlandzkich muzyków podał mu dzban. Trovaritz pociągnął spory łyk, wytarł wąsy grzbietem dłoni i oznajmił: - Chcę, żebyście nam pokazali, dlaczego powinniśmy nadal brać przykład z Arbonne. W naszej muzyce. W Aulensburgu robimy wszystko to, co wy, są śpiewacy w Arimondzie i Portezzie. Robią wszystko, co wy. Robią tak samo dobrze! Czas wyjść z waszego cienia. - Znów się napił, zachwiał i dodał: - Zwłaszcza że za rok może was tu nie być!

Dwaj z jego towarzyszy przy stole mieli na tyle przyzwoitości, by się na te słowa skrzywić i ściągnąć trovaritza na dół. Lecz słowa padły. Lisseut chciała wzbudzić w sobie gniew, lecz poczuła jedynie smutek i strach, które towarzyszyły jej od letniego przesilenia. Nie trzeba było błyskotliwości, żeby dostrzec dość z przyszłości, by się przestraszyć.

Przy jej stole siedziało czterech trubadurów, chociaż wiedziała, że Aurelian nie zechce zaprezentować własnych kompozycji. Mógł jednak dla nich śpiewać. Remy i Jourdain spojrzeli po sobie, Alain nerwowo odchrząknął. Lisseut właśnie miała coś zaproponować, lecz ktoś wziął sprawy w swoje ręce.

- Ja odpowiem na to wyzwanie, jeśli można.

Znała ten głos, wszyscy go znali, lecz nie widzieli, żeby mężczyzna wchodził do środka. Nikt nawet nie mówił, że jest w Lussan. Rozejrzawszy się szybko, Lisseut spostrzegła Ramira z Talair, który z lutnią w ręce wychodził powoli z najdalszego kąta gospody na środek sali, ostrożnie lawirując między stołami.

Żongler Bertrana musiał mieć przynajmniej sześćdziesiątkę. Rzadko już jeździł z księciem. Dawno minęły czasy, kiedy Ramir niósł swą lutnię, harfę i muzykę Bertrana de Talair do wszystkich zamków i miast Arbonne oraz do większości głównych miast i twierdz pozostałych pięciu krajów. Teraz najczęściej przebywał w Talair, gdzie miał kilka własnych pokoi i zaszczytne miejsce przy kominku w wielkiej sali. Przez ostatnie dwa lata nie przyjeżdżał nawet w lecie do Tavernel. Wśród młodszych artystów przez ostatnie dwa sezony krążyły nader gorączkowe spekulacje, że być może niedługo nadejdzie czas, kiedy en Bertran będzie musiał wybrać nowego żonglera. Nie można sobie było wyobrazić wyższego statusu dla śpiewaka; takie fantazje doprowadzały do snów lub całonocnej bezsenności.

Lisseut spojrzała na starego artystę z mieszaniną sympatii i smutku. Dawno go nie

widziała. Naprawdę wyglądał starzej, słabowicie. Wydawało się, że jego okrągła, miła twarz, poznaczona dziobami po przebytej ospie, od zawsze stanowiła część świata śpiewaczki. Patrząc, jak szura nogami, uświadomiła sobie, że wiele się zmieni, kiedy Ramir odejdzie. Zauważyła, że stąpa z trudem.

- No nie... - zaczął Remy półgłosem.

- Zamknij się.

Aurelian powiedział to z zaskakującą u niego ostrością. Chudy trubadur miał dziwny wyraz twarzy.

Alain wstał i pośpiesznie przyniósł Ramirowi stółek i podnózek. Stary żongler podziękował mu łagodnym uśmiechem. Trubadurzy zwykle nie pomagali żonglerom, lecz Ramir to co innego. Nie przyjmując wyciągniętej ręki Alaina, starzec ostrożnie usiadł na niskim stołku i z wyraźnym westchnieniem ulgi wyciągnął przed siebie lewą nogę. Jeden z Götzlandczyków się roześmiał. Ramir miał jakieś kłopoty z rzemieniem od futerału lutni i Lisseut zobaczyła, że jeden z Arimondańczyków przy stole stojącym z drugiej strony uniósł rękę do ust, skrywając uśmiech.

Ramir wysunął w końcu instrument z futerału i zaczął go stroić. Lutnia wyglądała na tak starą, jak on sam, lecz brzmienie, nawet przy strojeniu, miała przeszywająco czyste. Lisseut oddałaby za taki instrument niemal wszystko. Rozejrzała się po „Senhalu”. Zapadła pełna nerwowości cisza; przerywały ją tylko szepty i rzucane półgłosem uwagi. Gospoda była tak zatłoczona, że trudno było się w niej poruszać. Na wyższych poziomach ludzie przyłgnęli do barierek. Przy wschodniej ścianie, na piętrze, Lisseut dostrzegła w blasku świec lśnienie długich ciemnych włosów. Była nieco zaskoczona. Ariane de Carenu - z włosami jak zwykle rozpuszczonymi w geście sprzeciwu wobec tradycji - siedziała obok szczupłego, przystojnego mężczyzny, swego męża. Lisseut już знаła księcia Thierry'ego. Przed przybyciem do Lussan spędziła z Alainem na specjalne zaproszenie królowej Dworu Miłości dwa tygodnie w Carenu. Oboje otrzymali po sakiewce srebra, a na nadchodzące zimne dni Lisseut dostała szkarłatną kamizelkę z delikatnej wełny, wykończoną kosztownym wiewiórczym futerkiem. Wcześniej tego wieczoru powiedziała Remy'emu, że jeśli w jakikolwiek sposób uszkodzi jej nową kamizelkę, będzie musiał ją odkupić albo zginie. W odpowiedzi trubadur zamówił butelkę złocistego wina cauvas. Wtedy żartowali, śmiali się, wspominając letnie przesilenie, świętowali.

Spojrzała na Ramira. Wciąż stroił lutnię, zarazem rozluźniając palce. Wuj Lisseut też ją tego nauczył; była to jedna z pierwszych lekcji, jakich jej udzielił: cokolwiek robisz, nigdy nie przyspieszaj rozpoczęcia. Zaczynij, kiedy jesteś do tego gotowa; widząc, że się

przygotowujesz, publiczność nie wyjdzie.

- Zostało tu rzucone wyzwanie - rzekł Ramir niemal swobodnym tonem; jedno ucho nadstawił ku lutni, a palce miał zajęte strunami.

Mówił cicho, więc wszyscy musieli się pochylić, by go usłyszeć. Lisseut wiedziała, że to kolejna stara żonglerska sztuczka. Zobaczyła kątem oka, że Remy też już się uśmiecha.

- To doprawdy dziwne wyzwanie. - Po raz pierwszy Ramir zerknął na stół Götzlandczyków. - Jak można dokonać sprawiedliwego wyboru między muzyką różnych krajów, różnych dziedziectw? Na pewno w Aulensburgu i w Arimondzie na dworze króla Vericenny powstaje piękna muzyka, o czym właśnie z taką... trzeźwością... zapewnił nas ten oto przyjaciel.

Rozległy się chichoty. Stopniowo, niemal niezauważalnie, głos Ramira zaczął się harmonizować i splatać z pozornie przypadkowymi akordami, które wygrywał na lutni. Lisseut zobaczyła, że Aurelian słucha jak urzeczony, w wielkim skupieniu.

- W świetle tej prawdy zapytano nas, dlaczego Arbonne powinna być pod tym względem przodująca. - Ramir przerwał i rozejrzał się po sali. - Zapytano nas także, niemal dosłownie, co tu będzie do oplakiwania, jeśli Arbonne zginie. Po tych słowach zamilkł, lecz jakby nieświadomie wydobywał z instrumentu delikatne, niemal przypadkowe tony. Lisseut przełknęła z trudem ślinę.

- Jestem tylko śpiewakiem - ciągnął Ramir - a na takie pytania trudno znaleźć odpowiedź. Pozwólcie, że zamiast tego zaśpiewam, i przyjmijcie przeprosiny, jeżeli pieśń okaże się nieodpowiednia i was nie zadowoli. - To była stara formułka, nikt już jej nie używał. - Zaśpiewam pieśń pierwszego z trubadurów.

- Ach - mruknął Remy. - Ach, tak.

Palce Ramira poruszały się teraz szybciej, muzyka zaczęła przybierać kształt, nuty się gromadziły na wezwanie żonglera jakby z porzrzuconych w świecie miejsc.

- Anselme z Cauvas był skromnego pochodzenia - rzekł Ramir, i to też należało do dawnego obyczaju; był to *vidan*, opowieść o kompozytorze. Nikt z młodszego pokolenia już tego nie robił, rozpoczynając pieśń. - Anselme był jednakże inteligentny i utalentowany, i został przyprowadzony do kaplicy boga w Cauvas, i wtedy książe Raimbaut de Vaux przyjął go w poczet swych domowników, i w końcu Anselme zwrócił na siebie uwagę samego hrabiego Folqueta i hrabia uhonorował go za mądrość i dyskrecję i przez wiele lat zatrudniał w wielu sprawach państwowych we wszystkich sześciu krajach. A Anselme miał kilka wielkich miłości wśród szlachetnie urodzonych dam, lecz zawsze był cnotliwy i honorowy, i nigdy nie wypowiedział imienia żadnej z tych kobiet, lecz powodowany namiętnością i

pożądaniem zaczął komponować dla nich pieśni, i taki był początek trubadurów Arbonne.

Muzyka stanowiąca podkład do wypowiedzianych słów była piękna, delikatna jak koronka czy klejnoty mistrza jubilerskiego cechu, dokładna, wieloaspektowa.

- Mógłbym zaśpiewać dziś pieśń o miłości Anselme'a z Cauvas - powiedział Ramir - mógłbym śpiewać jego pieśni miłosne przez całą noc, aż świt wywabiłby nas za drzwi, lecz dostaliśmy tu inny rodzaj wyzwania, zaśpiewam zatem pieśń innego rodzaju. Z pozwoleniem i łaskawą zgodą wszystkich tu zebranych zaśpiewam pieśń, którą napisał kiedyś Anselme, znalazłszy się z dala od domu.

Muzyka się zmieniła, tworząc miejsce dla piękna przy blasku świec i latarni w zatłoczonej gospodzie, kiedy na dworze zaczynał wiać zimny jesienny wiatr. Lisseut natychmiast rozpoznała melodię. Wszyscy przy jej stole ją rozpoznali. Czekąca, bliska łez, chcąc zamknąć oczy, lecz zarazem chcąc patrzeć na Ramira, na każdy jego ruch, i chwilę później usłyszała śpiew żonglera:

*Kiedy wiatr wiejący z Arbonne*

*Zawita na północ za góry,*

*Mam przepelnione serce, nawet w dalekim Gorhaut,*

*Bo wiem, że do Tavernel i Lussan zawitała wiosna,*

*Do gajów oliwnych ponad Vezét*

*I winnic Miraval,*

*I że na południu śpiewają słowiki.*

Głęboki głos Ramira ucichł ponownie, a proste, słodkie tony muzyki porwały słuchaczy. Pieśń, słowa i muzyka, miały w sobie starą, niewyszukaną szorstkość. Bardzo odbiegała od skomplikowanych melodii Jourdaina czy subtelnej wzajemnej zależności myśli, obrazu i zmieniającej się formy w najlepszych dziełach Remy'ego czy nowych pieśniach Alaina. To jednak był autentyczny głos kogoś, kto wszystko zaczął. Lisseut wiedziała, że tu są jej początki, początki wszystkich żonglerów i trubadurów i, tak, tego stołu götzlandzkich trovaritzów, i wszystkich arimondańskich oraz portezzańskich śpiewaków, a także tych ludzi z Gorhaut i Valensy, którzy mogliby się odważyć na stworzenie muzyki innej od niezmiennie grzmiących hymnów bitewnych tych północnych ziem.

Jakby w odpowiedzi na bieg jej myśli Ramir znów natężył głos, może już nie tak dźwięczny, jak niegdyś, lecz wysublimowany przez mijające lata i tych lat mądrość w instrument tak rzadki i piękny, jak jego lutnia.

*Tu, w Gorhaut, tak odległym od mego domu,  
Wśród ludzi, co za nic mają muzykę,  
I dam, co niewiele uprzejmości mają dla poetów,  
A jeszcze mniej miłości, pamięć ptasich treli  
Wśród gałęzi drzew, ogrodów zraszanych  
Słodczą samej Arbonne,  
Spływającej z gór do morza -  
- Taka wizja - błogosławieństwo Rian! - wiedzie mnie  
ku nocnemu poczynkowi, kusząc obietnicą powrotu.*

Ramir skończył śpiewać i grał jeszcze tylko chwilę, znów wedle dawnego obyczaju, a potem jego palce znieruchomiały. W gospodzie panowała cisza. Lisseut popatrzyła po przyjaciółach. Wszyscy już słyszeli tę pieśń, wszyscy ją sami śpiewali, lecz nie w taki sposób. Nigdy w taki sposób. Zobaczyła, że Remy ma łzy w oczach. Ból ścisnął jej serce.

Pochyliwszy głowę, Ramir ostrożnie wsuwał lutnię z powrotem do futerału. Znów dużo czasu zabrało mu poradzenie sobie z rzemieniem. Nikt jeszcze się nie odezwał. Ramir zamknął futerał. Skrzywił się, niezdarnie przesunął niesprawną nogę i wstał z niskiego stołka. Skłonił się z powagą Götzlandczykom. Oczywiście, pomyślała Lisseut, to przecież oni w pewien sposób poprosili o tę pieśń. Odwrócił się, by wyjść, lecz wtedy, jakby właśnie przyszła mu do głowy nowa myśl, obejrzał się na trovaritzów.

- Przepraszam - powiedział. - Pozwolicie mi cofnąć coś, po powiedziałem wcześniej?

Znów mówił cicho, musieli się pochylić, by go usłyszeć. I Lisseut wtedy usłyszała - zawsze już będzie to pamiętała - jak Ramir z Talair mówi ze swym łagodnym, stłumionym smutkiem:

- Powiedziałem wam, że nie zaśpiewam żadnej z miłosnych pieśni Anselme'a. Ale to nie była prawda. Zaśpiewałem jednak pieśń miłosną.

To Ariane de Carenu, siedząca na górnym poziomie gospody, jako pierwsza zerwała się chwilę później i zaczęła klaskać. Wstali wszyscy siedzący przy stole trubadurów, a wrzawa w „Senhalu” stawała się coraz większa. I wtedy Lisseut zobaczyła, że Götzlandczycy podnoszą się jak jeden mąż i zaczynają tłuc pięściami i cynowymi kubkami w ciemny dębowy blat swego stołu, wrzeszcząc z entuzjazmem. Lisseut się rozpląkała. Ledwie widząc przez łzy smutku i dumy, zobaczyła, jak Ramir obiema rękami przyciska futerał z lutnią do piersi i powoli odchodzi. Nie wrócił jednak do swego kąta. Zostawił światła i ogłuszającą wrzawę gospody i wyszedł w jesienną noc, pod gwiazdy.

\*\*\*

Wśród karczm i gospód w samym Lussan oraz wokół miasta były i takie, które w czasie trwania jarmarku robiły doskonały interes, wcale nie otwierając w tym obiecującym okresie podwoi. Właściciel cieszącej się dobrą sławą gospody „Pod Srebrnym Drzewem”, położonej wśród figowych i oliwnych gajów jakieś trzy mile za murami miasta, dołączył do tej niewielkiej, lecz doborowej grupy z zaskoczeniem i wielką radością. Przyjął od księcia Bertrana de Talair znaczną sumę za udzielenie schronienia pewnej liczbie jego coranów i służby przez miesiąc, na czas jarmarku. En Bertran oczywiście przebywał głównie w Lussan w tamtejszym miejskim pałacu lub w samym Barbentain z hrabiną, lecz wyraźnie uznał za wygodne posiadanie mniej rzucającej się w oczy, tymczasowej rezydencji, może takiej, której okolice można było baczniej obserwować. Właściciel gospody snuł rozmaite przypuszczenia, lecz zachował je dla siebie.

Siedząc w mniejszym, wygodniej umeblowanym z dwóch parterowych pokoi owej gospody, Blaise obracał w palcach kielich z winem i kolejny raz spojrzął na Valery’ego. Uniósł wymownie brwi. Kuzyn Bertrana tylko wzruszył ramionami. Na kominku buzował ogień, a na dworze dął nocny wiatr. Książę siedział przy stole i pisał coś na karcie pergaminu, od czasu do czasu zaglądając do innych pomiętych dokumentów, które miał pod ręką. Kiedyś Blaise założyłby, że Bertran zajmuje się jakimiś ważnymi sprawami. W rzeczywistości książę pisał pieśń i nawet im o tym powiedział, kiedy jakiś czas wcześniej prosił o ciszę.

Czekali na kogoś. Na zewnątrz czuwali corani, którzy mieli ich ostrzec o przybyciu gościa. Bertran, rzecz jasna, nie zadał sobie trudu, by powiedzieć, kogo się spodziewa. Oznajmił beznamytnym tonem, że to niespodzianka. Blaise nie lubił niespodzianek. Nie lubił czekać. Czasami nie miał pewności, czy lubi Bertrana de Talair.

Przynajmniej wino z Talair było doskonałe, a na miękko tapicerowanym krześle przy kominku Blaise’owi było przyjemnie ciepło. Na drugim, długim stole stało jedzenie, a pokój ocieplały i ożywiały gobeliny wiszące na kamiennych ścianach. Blaise powiedział sobie, że powinien podziękować Corannosowi, że nadal żyje. Tak łatwo mógł zginąć przed czterema dniami na drodze. Od kiedy przybyli do Lussan, wszyscy mówili tylko o zakazie uczestniczenia d’Andoriów w jarmarku. Blaise nie poświęcał zwykle wiele czasu na słuchanie plotek i nie bywał w miejscach, gdzie mógłby je usłyszeć, lecz teraz sprawa dotyczyła jego interesów i gdy tylko wjechali do miasta, Valery podał im wszystkie szczegóły.

Pierwszą noc spędzili w miejskim pałacu Talairów. Albo raczej spędzili ją Blaise i Valery. Bertran miał nocną schadzkę, z której oczywiście nie chciał zrezygnować ani jej

przełożyć. Zdarzył się dziwny incydent: na godzinę przed świtem przybył w poszukiwaniu księcia Roban, kanclerz Arbonne - apodyktyczny mężczyzna o zapadniętych policzkach, którego Blaise jeszcze nie znał. Valery, obudzony ze snu, niechętnie wskazał dom, gdzie ewentualnie można było znaleźć Bertrana. Kanclerz skrzywił się wtedy. Valery zaproponował, że pójdzie tam z pozostałymi, lecz Roban, szczelnie owinięty futrem, nie przyjął propozycji. Zanim odjechał, spojrzął na Blaise'a ze źle ukrywanym powątpiewaniem. Widząc to spojrzenie i napotkawszy wzrok Blaise'a, Valery też wzruszył wtedy ramionami. Ziewnęli razem i wrócili do łóżek na czas, jaki jeszcze pozostawał do rana.

Kiedy znów zeszli na dół, Bertran jeszcze nie wrócił. Pojawił się trochę później w milczącym nastroju, który towarzyszył mu cały dzień. Dwa razy na krótko wychodził samotnie. Nie oświecił ich po co. Potem jeszcze raz wyszedł wieczorem, uśmiechnięty i pachnący, do jakiegoś innego domu w mieście. Blaise nie zadawał sobie trudu, by zapytać Valery'ego, kto tam mieszka; wołał nie wiedzieć.

Pod koniec następnego popołudnia wszyscy trzej wyjechali konno z Lussan i ruszyli krętą wiejską drogą do gospody „Pod Srebrnym Drzewem”, gdzie zatrzymała się większość ludzi księcia. Po drodze Bertran znów milczał.

- Mamy się z kimś spotkać - powiedział tylko, kiedy wyruszali. - Po zapadnięciu zmroku.

Na spojrzenie Blaise'a Valery odpowiedział wzruszeniem ramion. Blaise uznał, że zaczyna go to już męczyć.

Patrzył w ogień, usiłując z niewielkim powodzeniem zastanowić się nad poważniejszymi, bardziej ponurymi sprawami, które na nich czekały, kiedy w drzwiach prowadzących do większego pokoju pojawił się nagle Serlo. Zaskoczony Blaise drgnął.

- Ktoś przybył, panie. Jest sam, w płaszczu z kapturem, i ma zasłoniętą twarz. Nie chce się przedstawić.

Bertran złożył papiery na stertę i wstał.

- W porządku. Wprowadź go, a potem stań na straży za drzwiami. Dopóki cię nie zawołam, Serlo, nikt nie powinien nam przeszkadzać.

Młody coran skinął głową i wyszedł. Valery wstał; Blaise poszedł w jego ślady. W błękitnych oczach księcia malowało się oczekiwanie i coś jeszcze - jakby młodzieńcza, zaraźliwa radość. Blaise mimowolnie zaczął odczuwać rosnące podniecenie.

Kilka chwil później wrócił Serlo, prowadząc mężczyznę, który rzeczywiście był owinięty w długi czarny płaszcz, a twarz zakrył szalem, znad którego było mu widać tylko oczy. Miał przy sobie miecz. Zaczekał, aż młody coran wyjdzie z pokoju i zamknie za sobą drzwi. A potem kilkoma zręcznymi ruchami pozbył się płaszcz i szala, które opadły na podłogę.



Blaise spojrział ostro na Bertrana, ujrzał szczere zdumienie na twarzy księcia i początki gniewu, i wybuchnął śmiechem.

- Cóż, w każdym razie dobry wieczór wam wszystkim - odezwał się pogodnie Rudel Correze. - Mam nadzieję, że się nie spóźniłem, nie przyszedłem za wcześnie ani nic takiego.

Bertran się zaczerwienił, a blizna na jego twarzy pobieliała.

- Lepiej powiedz mi, i to szybko, kim jesteś i co tu robisz? - rzekł lodowatym tonem.

Valery postąpił krok do przodu, z dłonią na rękojeści miecza, patrząc niepewnie to na Blaise'a, to na mężczyznę stojącego w drzwiach.

- Właściwie oznajmiłeś na drodze do Lussan, że chcesz poznać tego człowieka - powiedział Blaise, wciąż się śmiejąc z zuchwałości przyjaciela. - Czy mam dokonać prezentacji?

Bertran przeniósł wzrok z Blaise'a na przybysza.

- Ach - powiedział zmienionym tonem. Uniósł brew. - Syn Correze? Z zatrutymi strzałami?

Rudel skłonił się głęboko. W blasku ognia płonącego na kominku i świec jego rude włosy lśniły intensywnie. Wyprostował się z cierpkim grymasem na twarzy.

- Bardzo za to przepraszam. To był długi strzał w nocy. Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu, panie. - Odwrócił się do Valery'ego. - I ciebie. Rozumiem, że odzyskałeś siły?

- Całkowicie, dziękuję - odparł uprzejmie Valery, zdejmując dłoń z miecza. - Jestem chodzącym dowodem umiejętności kapłanek Rian.

Blaise dostrzegł w jego oczach błysk rozbawienia.

Stary przyjaciel zwrócił się do niego na końcu.

- Zapewne nasza ostatnia rozmowa sprawiła ci wiele przyjemności - powiedział cicho Rudel Correze. - Biorąc pod uwagę to, co wiedziałeś i postanowiłeś przede mną zataić.

- Nie bardzo - odparł Blaise. - A w każdym razie nie wtedy. Myślałem, że Valery nie żyje, a ty mnie zaskakiwałeś niemal wszystkim, co mi mówiłeś. Właściwie z trudem sobie radziłem. Ale nie powiedziałbym ci o twojej pomyłce, nawet gdybym miał na to chęć. Gdybyś się dowiedział, że księżę żyje, mógłbyś poczuć się zobowiązany spróbować jeszcze raz, a ja musiałbym wówczas nakazać cię schwytać, co pociągnęłoby za sobą kłopoty dla wszystkich w Arbonne.

- Nie mówiąc o mnie - zauważył swobodnie Rudel. Słuchał jednak uważnie.

- Należałoby ci się - rzekł Blaise. - Przyznam, że potem z radością myślałem o tym, jak się pojawisz w Götzlandzie, by odebrać pieniądze.

Rudel zrobił kwaśną minę.

- Nie wątpię. Zrobiłeś wszystko, żebyśmy przybył tryumfalnie do Aulensburga, poinformował o pomyślnym wykonaniu misji, potwierdził wpłatę mojego absurdalnego wynagrodzenia, a potem, po dwóch tygodniach, uporał się z odkryciem, że szanowny książę Talair - tu posłał szybki uśmiech Bertranowi - prowadzi w Aulensburgu dyplomatyczne rozmowy z królem Jörgiem, i to najwyraźniej nie z za grobu.

- A więc zwróciłeś pieniądze? - zapytał Blaise, udając, że nic nie wie. Bardzo go to bawiło.

- Oddałem, co mi zostało, ulegając dość nieprzyjemnym naciskom ambasadora Gorhaut na dworze w Aulensburgu. Nie jest to zbyt miły człowiek, wierz mi. Musiałem się zwrócić do filii banku ojca i poprosić o pewne kwoty, które... nie były w mojej bezpośredniej dyspozycji.

- Zaledwie po tygodniu? - Blaise uniósł brwi z udawanym zaskoczeniem. - Co kupiłeś? Wszystkie klejnoty Wschodu? Ile mogłeś wydać w ciągu dwóch tygodni?

- Wystarczająco - odparł zwięźle Rudel, a jego przystojna twarz przyoblekła się w rumieniec. - Wystarczająco dużo, byś mógł uważać nasz osobisty rachunek z tamtej nocy w Tavernel za co najmniej wyrównany. Mój ojciec ma obecnie o mnie zdanie, które, zdaje się, dorównuje zdaniu, jakie twój ojciec ma o tobie. Obawiam się, że taki wpływ ma na niego wypłacanie pieniędzy.

- Smutne wieści - rzekł Bertran de Talair, odzyskawszy spokój. Blaise rozpoznał ton jego głosu i błysk w oczach. - Zostawiając jednak na boku, bo chyba musimy to uczynić, minione udreki na rzecz spraw bieżących, uważam za ze wszech miar rozsądne pytanie: co tu robisz?

- Jest bardzo rozsądne. - Rudel zerknął na długi stół pod przeciwległą ścianą. - Wiele razy słyszałem, że jesteś znany z częstowania dobrym winem - dodał.

Kręcąc głową, Valery podszedł do stołu, napełnił kielich, po czym podszedł do Portezzanina, podał mu wino i stanął obok. Bertran na razie nic nie mówił, Blaise też milczał. Rudel upił łyk, uśmiechnął się z zadowoleniem i wrócił do tematu.

- Muszę ze smutkiem stwierdzić, że w tej chwili jestem między kontraktami - powiedział spokojnie, a Blaise zauważył, że i Bertran, i Valery dobrze go zrozumieli. - Biorąc pod uwagę wydarzenia minionego lata oraz nieoczekiwany udział w nich mojego starego przyjaciela Blaise'a, nadal się trochę tobą interesuję, en Bertran. Nie mając przed turniejem nic lepszego do roboty, przez ostatnie dwa dni, od kiedy wszyscy przybyliśmy do Lussan i szykujemy się do jarmarku - niestety, bez towarzystwa porywczego pana z Andorii - starałem się śledzić twoje ruchy. - Napił się ponownie, z wyraźną przyjemnością. - Kiedy wynajęłeś to miejsce za murami, nie zadowolając się tylko swoją zwykłą rezydencją w mieście, a pod koniec dnia

przyjechałeś tutaj tylko ze swoim kuzynem i moim przyjacielem Blaisem, wydał mi się odpowiednim wniosek, że nastąpi tu jakieś spotkanie o prywatnym charakterze.

Bez względu na to, jak mógł być opanowany Rudel, księżę Talair w niczym mu nie ustępował.

- Taki wniosek rzeczywiście mógł się wydawać odpowiedni - rzekł chłodno, już bez uśmiechu Bertran. - Zatem rodzi się pytanie, dlaczego, przeprowadziwszy tę dedukcję, miałbyś się podjąć zakłócenia tego spotkania?

Blaise pomyślał, że w tym dialogu jest coś nierzeczywistego, niemal fantasmagorycznego. Ledwie przed trzema miesiącami jeden z tych miło rozmawiających mężczyzn próbował zabić drugiego za ćwierć miliona w złocie.

Rudel znów upił łyk wina i obdarzył wszystkich swoim najbardziej olśniewającym uśmiechem.

- Szczerze mówiąc - mruknął - sądziłem, że to może być zabawne.

Patrząc na swego przyjaciela, na jego inteligentną, przystojną twarz, Blaise nabrał pewności, że to przynajmniej część prawdy, a zapewne nawet większa jej część. Spozrzegł, że Bertran też to sobie uświadomił.

Rozbawienie księcia było oczywiste. Pokręcił głową i spojrzał na Valery'ego. Jego kuzyn się krzywił.

- Czy ten gość kogoś ci przypomina? - zapytał Bertran.

- Owszem, kogoś, z kim dorastałem - odparł Valery. - Kuzyna, po którym nie spodziewałem się, że dożyje twojego wieku. - Blaise odwrócił głowę w stronę drzwi; już wcześniej słyszał jakieś głosy, a teraz na zewnątrz rozległy się kroki. - Co mamy z nim zrobić? - ciągnął spokojnie Valery.

- Powinienem wspomnieć - rzekł szybko Rudel, zanim Bertran zdążył odpowiedzieć - że rozwiązując tę zagadkę, miałem jeszcze jedną informację. Kiedy dziś wieczorem czuwałem pod murami Lussan przy bramie, przez którą wyjechaliście, zobaczyłem, jak po zapadnięciu nocy wyjeżdża z miasta grupka mężczyzn, z których jeden był zamaskowany, a pozostali zakapturzeni. Nie śpieszyli się. Dało mi to możliwość odbycia tego nadzwyczaj przyjemnego prywatnego spotkania z wami. Rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi.

- Tak, Serlo, o co chodzi?

Po głosie młodego corana można było poznać, że jest rozzłoszczony i zdezorientowany.

- Przepraszam, panie, ale przybył ktoś jeszcze. Mężczyzna w masce, który mówi, że ma tu z tobą spotkanie. Jest z nim eskorta.

- Czterech ludzi - podsunął życzliwie Rudel.

- Czterech coranów z bronią - ciągnął Serlo. - Nie rozpoznają ich liberii.

- Chyba nie powinieneś - rzekł Bertran, otwierając drzwi. - Myślę, że to nasz właściwy gość. Przeprowadź go tu, Serlo, a potem zajmij się jego eskortą. W ostatecznym rozrachunku ci ludzie mogą się nie okazać przyjaciółmi, lecz tej nocy są naszymi gośćmi. Potraktuj ich odpowiednio.

Serlo odszedł z niespokojną miną.

- Robię się coraz bardziej ciekawy - rzekł radośnie Rudel Correze. - Tak się cieszę, że mnie zaprosiłeś.

Bertran zamknął ciężkie drzwi. Miał poważną twarz.

- Mamy tylko moment - stwierdził. - Mogę kazać moim coranom pozbawić cię przytomności albo zwięzać i zakneblować w jakimś pokoju na tyłach. Być może będę musiał to zrobić. Pytam ostatni raz: czy sprowadza cię tu tylko jałowa chęć psocenia?

Wyraz twarzy Rudela, co nie było zaskakujące, też się zmienił, lecz nie tak, jak można się było spodziewać - chyba że się tego człowieka znało.

- W tym punkcie rozwoju mojej kariery nie jestem przyzwyczajony do konieczności szukania zleceń - powiedział z oczyma błyszczącymi w blasku ognia - lecz wspomniałem przecież, że jestem między zleceniami. Mógłbyś oszczędzić mi upokorzenia i potraktować to jako aluzję.

Zapadło krótkie milczenie, a potem Bertran de Talair zaczął się skręcać ze śmiechu. Blaise, patrząc na przyjaciela, wybuchnął śmiechem chwilę później. Rudel z zadowoleniem uśmiechnął się do nich obu, błyskając zębami. Cokolwiek można by powiedzieć o Rudelu Correze, pomyślał z żalem Blaise, to w jego towarzystwie rzadko bywało nudno.

Zresztą, to samo można było powiedzieć o en Bertranie de Talair.

- Szukasz u mnie zatrudnienia, zgadza się? - zapytał ksiązę.

- Tak.

- Mogę spytać, dlaczego?

I teraz Rudel w końcu spowaźniał; od razu można było poznać, że to potomek jednego z najbogatszych, najbardziej arystokratycznych domów bankowych w Portezzie, mającego rodzinne koneksje z większością szlachty w tym kraju. Odstawił kielich na stolik obok siebie.

- Możemy powiedzieć, że lubię, gdy się kupuje moje umiejętności? Właściwie moja profesja wymaga, by tak było. Nie lubię natomiast, i to bardzo, kiedy podobnie wykorzystuje się moje związki bez mej wiedzy. Przyjmując od jego ojca kontrakt, nie miałem świadomości, że Blaise jest z tobą. Gdybym o tym wiedział, odmówiłbym przyjęcia tego zlecenia. Mam powody przypuszczać, że Galbert de Garsenc wybrał mnie tylko ze względu na moją przyjaźń

z jego synem, a nie pochlebną ocenę mych talentów. Ta myśl nie sprawia mi przyjemności. Formalnie zrzekłem się tego kontraktu. Praca zmierzająca do zagwarantowania, że nikomu innemu nie uda się go wypełnić, gdyby ponownie zaoferowano taką sumę, zaspokoi moje poczucie honoru.

- Wątpię, czy będą to aż takie pieniądze. Ludzie w to zamieszani powiedzieli swoje i przystąpili teraz do większej gry.

- Sądzę, że masz rację, panie, lecz mimo to przyjąłbym pracę u ciebie z przyjemnością i dumą, en Bertranie.

Valery zakaszał.

- Raczej wątpię, czy byłoby nas stać na twoje obecne stawki - rzekł.

Blaise wyszczerzył w uśmiechu zęby. Rudel nadal zachowywał powagę.

- Chętnie o tym zapomnę. Była to pod wieloma względami nienaturalna propozycja. Będę zaszczycony, mogąc przyjąć to, co płacisz w tej chwili mojemu przyjacielowi Blaise'owi, chociaż nie mogę, jak z pewnością rozumiesz, pracować za mniejszą kwotę.

Blaise i Bertran spojrzeli po sobie, spojrzeli na Valery'ego, a potem wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem. Rudel usiłował zachowywać się z godnością, co, jak zauważył Blaise, jest rzeczą trudną, kiedy się jest obiektem wesołości trzech osób.

On był jednak przyjacielem, i to wyraźnie zaniepokojonym niebezpiecznymi wydarzeniami minionego lata. Proponował też, że się do nich przyłączy - chociaż Blaise nadal czuł niepokój, usiłując rozważyć swoje własne skomplikowane zobowiązania.

Wyjaśnił Rudelowi o co chodzi.

- Boję się, że podałeś zbyt niską cenę. W tej chwili nie otrzymuję żadnych pieniędzy. Zwolniłem się z pracy u księcia. Jestem z nim jako przyjaciel i towarzysz w turnieju, który rozpocznie się za dwa dni. Obawiam się, że nie zechcesz pracować za moją obecną stawkę.

Rudel znów poczerwieniał.

- Rozumiem. Jednakże jestem chyba związany tym, co właśnie zaproponowałem. Rozumiem waszą wesołość.

Bertran pokręcił głową; jednocześnie znów rozległo się stukanie do drzwi.

- Nie. Z przyjemnością skorzystam z twoich usług. - Pokazał w uśmiechu zęby. - I podejrzewam, że będę także korzystał z twego dowcipu. Zapłacę ci tyle, ile płaciłem Blaise'owi, zanim zmienił charakter swej współpracy z nami. Możemy to omówić później, w wolnej chwili - właściwie będziemy musieli to zrobić. Na razie bardzo sobie będę cenił waszą dyskrecję.

Odwrócił się do drzwi i sam je otworzył.

Ujrzeni Serla, stojącego za niezwykle wysokim, ciemnobrodym mężczyzną o szczupłej figurze wojownika. Rzeczywiście, był zamaskowany i zakapturzony, odziany w czerń, doskonale się nadająca do nocnej jazdy. Stając na progu, bacznie się przyjrzał całej czwórce, uśmiechnął blado i zdjął maskę, ukazując gęste brwi oraz głęboko osadzone szare oczy.

- Masz niespodziewanych towarzyszy, de Talair - powiedział po arbońsku. - W gruncie rzeczy, jeśli doliczymy mnie, zebrałeś tu cały pokój wrogów.

Mimo tej uwagi przestąpił próg z pełną swobody pewnością siebie. Bertran zamknął za nim drzwi.

- Mój kuzyn Valery - rzekł spokojnie książę. - Przynajmniej jeden przyjaciel. Wygląda na to, że znasz i Blaise'a de Garsenc, i Rudela Correze. A ja jestem pewien, że obaj znają ciebie.

To jasne, że go znali. Jeśli pojawienie się Rudela było dla Blaise'a szokiem, to przybycie tego mężczyzny niemal odebrało mu mowę.

Te pełne wyrachowania szare oczy pod gęstymi brwiami po raz ostatni widział niemal przed dwoma laty na zamarzniętym polu bitwy na północy. Zachodziło blade słońce, na szkarłatnym śniegu leżały w stertach trupy, a za zażarcie toczoną bitwą kładły się przekleństwem trzy pokolenia wojny.

Blaise skłonił się z ledwie widoczną formalnością, ukrywając myśli. Rudel i Valery się uklonili. A potem to samo zrobił książę Bertran.

Należy się kłaniać monarchom tego świata.

- Młodszy Garsenc odznacza się umiejętnościami, których się nauczyłem lękać - rzekł król Daufridi z Valensy, zerkając na Blaise'a. - Jeśli chodzi o potomka Correze'ów, sądziłbym raczej, że jego umiejętności stanowią przyczynę twoich lęków. Czy też może opowieści o minionym lecie były bezpodstawne?

- Nie były, wasza wysokość - odparł Bertran, prostując się. - Lecz wygląda na to, szczęśliwie dla mego kruchego spokoju umysłu, że Rudel Correze żałuje teraz przyjęcia kontraktu, mającego zakończyć życie człowieka tak nieszkodliwego jak ja, i dla zadośćuczynienia wstąpił do moich coranów. Czyż tak?

- Tak - rzekł Rudel. - Dostrzegłem szaleństwo mojego zachowania, wasza wysokość. En Bertran był na tyle łaskaw, że pozwolił mi to udowodnić w swojej służbie.

Mówił tonem obojętnym i spokojnym, lecz Blaise wiedział, że Rudel też na pewno usiłuje opanować szok wywołany tym spotkaniem. Nieoczekiwanie przyszło mu do głowy pytanie, czy o zamiarach Bertrana wie hrabina Arbonne.

- Zaczynam się obawiać, de Talair - powiedział król Daufridi z Valensy - że i ja ulegnę twojemu słynnemu urokowi. Będę musiał umocnić swoje postanowienie, przypominając sobie

twoje, hmm... nieszkodliwe słowa z zeszłej wiosny.

Przeciął pokój trzema długimi krokami, głośno stukając butami w deski podłogi, i wziął ze stołu lutnię Bertrana. Dość umiejętnie wydobyl z niej trzy akordy, odwrócił się do pozostałej czwórki i wyrecytował melodyjnie:

*I jakież król, wyzbyty honoru jak tchórzliwy Daufridi,  
Wycofuje się z tego lodem skutego pola, by nie powrócić?  
Gdzie zniknęło męstwo Gorhaut i Valensy,  
Kiedy zarzucili wojnę i sprowadzili wątły pokój*

*Słabi królowie i synowie dawno straceni dla swych rodów?*

Bertran, który nalewał wino przy bocznym stole, znieruchomiał ze speszoną miną, trzymając w ręce karafkę. Daufridi skończył, po raz ostatni uderzył w struny i ostrożnie odłożył lutnię.

- „Tchórzliwy Daufridi” - powtórzył w zamyśleniu. - Muszę przyznać, że zaintrygowało mnie, co według ciebie mógłbyś osiągnąć, zapraszając mnie tutaj. Nawet nie planowałem w tym roku jechać na południe na jarmark. Robię się za stary na turnieje.

Bertran wziął do ręki kielich i podszedł do króla.

- Miło mi, że zaintrygowałem cię na tyle, byś do nas przyjechał. Przynajmniej dowiedziałem się, że wasza wysokość doskonale wykonuje moją muzykę. Zostałem też napomniany, bym, dążąc do komponowania zrównoważonych i dobrze ułożonych pieśni, zwracał większą uwagę na możliwości kryjące się w przyszłości.

Daufridi parsknął śmiechem, ujął kielich i zagłębił się w miękkie krzesło, po czym wyciągnął długie nogi w stronę ognia i łaskawym gestem zezwolił, by pozostali też usiedli. Posłuchali. Król spojrział na Bertrana z wyraźną ironią na inteligentnej, brodatej twarzy. Blaise wiedział, że obaj są w tym samym wieku co książę, ale król wyglądał na starszego. Też miał bliznę - po lewej stronie jego szyi biegł czerwony ślad po cięciu mieczem i zniknął pod ubraniem. Blaise wiedział, gdzie kończy się ta blizna. Widział cios, który zakończył bitwę, chociaż człowiek, który go zadał, zginął przy Moście na Iersen.

- A teraz zaczniesz mi mówić - rzekł Daufridi z Valensy, unosząc kielich, by podziwiać rubinową barwę wina w blasku ognia - że twoje wersy o moim hańbiącym tchórzostwie zostały umieszczone w pieśni po prostu dla poetyckiej symetrii. Że twoimi prawdziwymi celami byli król Ademar z Gorhaut oraz ojciec tego człowieka - pokazał kielichem na Blaise'a

- i że jakakolwiek obelga skierowana pod moim adresem jest pożałowania godna i wielce niefortunna, i że szczerze za nią przepraszasz. Nawiasem mówiąc, Galbert de Garsenc poprosił mnie o dołożenie się do wynagrodzenia za zabójstwo. Uznałem je za nadmiernie wygórowane i odmówiłem. Tak tylko mówię, żebyś wiedział. - Upił łyk wina. - Wino jest doskonałe - oznajmił.

- Dziękuję. Podobnie, muszę stwierdzić, jak twoje rozumowanie i przewidywania, wasza wysokość. Całkowicie uprzedziłeś moje pierwsze słowa.

Bertran miał poważny wyraz twarzy i takież głos.

Daufridi nie tracił dobrego humoru.

- Jestem rozczarowany. Czy przez względy polityczne poeta wyrzeknie się własnego dzieła?

Blaise słyszał opowieści o tym królu, o jego inteligencji, cesze dotąd nieobecnej wśród przesiąkniętych piwem, wdających się w bójki królów wodnistej Valensy. Już same warunki Traktatu Mostu na Iersen mogłyby świadczyć o zdolnościach Daufridiego. Pieniądze, choćby bardzo dużo, w zamian za ziemię pożądaną i niezdobytą podczas pięćdziesięciu lat wojny. Nie trzeba było wielkiej błyskotliwości, by ocenić, kto zyskał na tym traktacie - jeśli się pominęło to, co teraz Gorhaut mógł zrobić z gwarantowanym pokojem na jego północnych granicach. Blaise po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy ci portezzańscy negocjatorzy zatrudnieni przez Valensę rzeczywiście kierowali wymianą listów i emisariuszy, prowadzącą do zawarcia traktatu, czy też pełnili jedynie rolę przeszkolonych rzeczników bystrego, twardego króla.

Przed dwoma laty tak bardzo chciał zabić tego człowieka.

Pamiętał, jak się przebijał z pełną żalu wściekłością do Daufridiego w bolesnych chwilach po tym, jak jego własny król Duergar ze strzałą w oku zwałił się z konia niczym wielkie drzewo, a jego krzyk śmierci unosił się w lodowatym północnym powietrzu jak kruk boga. Blaise mógłby go usłyszeć i teraz, gdyby tylko zamknął oczy. To Cadar de Savaric, ojciec Rosali, pierwszy się przedarł do Daufridiego i zadał mu tę straszną ranę, zanim sam zginął pod ciosami maczug i toporów królewskiej gwardii. Dwaj olbrzymi Gorhaut zabici w ciągu kilku chwil.

Dwaj ludzie, którzy woleliby wypruć sobie flaki, pomyślał z goryczą Blaise, niż podpisać Traktat Mostu na Iersen. Traktat, który tak przebiegle opracował jego własny ojciec, oddając pradawne północne ziemie Gorhaut za valensańskie złoto i skrywając własne plany w mrokach tajemnicy.

- Zawsze myślałem - mówił Daufridi ze swym bladym, chłodnym uśmiechem pod gęstą,



siwiejącą brodą - że trubadurzy niczego nie cenią w naszym przemijającym świecie tak, jak świętości swej sztuki. Chcesz mi teraz powiedzieć, że przez cały czas się myliłem?

Bertran, który siedział na krześle naprzeciwko króla, nie dał się sprowokować. Blaise wyczuł, że książę już wcześniej przygotował się na coś takiego.

- W zasadzie - zaczął cicho Bertran - cenimy naszą pracę tak wysoko, ponieważ może to być jedyne, co pozostawimy po sobie dla następnych pokoleń, jedyne, dzięki czemu zachowa się po śmierci nasze imię. Pewien znany mi poeta posunął się nawet do tego, że powiedział, że wszystko, co robią dzisiaj ludzie, wszystko, co się dzieje, czy to chwalebne, pięknego, czy bolesnego, ma jedynie dostarczyć tematów do pieśni dla tych, którzy przyjdą po nas. Nasze życie toczy się po to, by stać się ich muzyką. Daufridi zetknął przed twarzą długie palce.

- A ty, de Talair? Uważasz, że to prawda?

Bertran pokręcił głową.

- Jest to dla mnie zbyt rzadka myśl, zbyt czysta. Jestem, ku mojemu niejakiemu zaskoczeniu, bardziej związany z trudami tego świata. Kiedyś taka myśl nie przyszłaby mi do głowy. Kiedy byłem młodszy, niemal otwarcie igrałem ze śmiercią. Być może pamiętasz nieco z tamtych czasów. Teraz jestem starszy. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że pożyję tak długo. - Uśmiechnął się blado. - Rudel Correze bynajmniej nie jako pierwszy chciał mi pomóc w przejściu do Rian. Lecz nadal znajduję się wśród żywych i odkryłem, że cenię ten świat dla niego samego, a nie jedynie jako temat na czyjaś pieśń. Kocham go za uderzające do głowy wina i za bitwy, za urodę jego kobiet, ich wielkoduszność i dumę, za towarzystwo dzielnych mężczyzn, a także tych bystrych, za obietnicę wiosny w środku zimy i za jeszcze pewniejszą obietnicę, że bez względu na nasze czyny czekają na nas Rian i Corannos. A teraz, wasza wysokość, kiedy już dawno przeminęły płomienie młodości naszych serc, przekonałem się, że jest jedna rzecz, którą kocham jeszcze bardziej niż muzykę, która wyzwala mnie z bólu.

- Kochasz, de Talair? Nie spodziewałem się usłyszeć tego słowa od ciebie. Powiedziano mi, że wyrzekłeś się go przed ponad dwudziestu laty. Mówił o tym cały świat. Jestem pewien, że tyle jeszcze pamiętam. Moje informacje, tak odległe na naszej zimnej północy, najwyraźniej były niedokładne w jeszcze jednej kwestii. Co zatem jest tą jedną rzeczą, panie książę? Co takiego wciąż kochasz?

- Arbonne - odparł Bertran de Talair.

I przy tych słowach Blaise w końcu zrozumiał, dlaczego tu się wszyscy znaleźli. Przeniósł wzrok z Bertrana, drobnego, opanowanego, lecz jak zwykle napiętego niczym

götzlandzka kusza, na wysoką postać króla Valensy, i zaczął się zastanawiać, zmagając się z własnymi trudnymi emocjami.

Nie musiał długo czekać. Daufridi z Valensy nie był sentymentalnym człowiekiem; Blaise sam mógł to powiedzieć Bertranowi. Król rozplótł palce, sięgnął po kielich i upił kolejny łyk wina.

- Śmiem twierdzić, że wszyscy kochamy nasze kraje - stwierdził prozaicznie. - Nie jest to żadne nowatorskie uczucie, de Talair.

- Nie chciałem sugerować, że tak jest - odparł cicho Bertran.

- Przyznam się do podobnego gorącego uczucia wobec Valensy i wątpię, czy bardzo bym się pomylił, przypisując taki sam stosunek do Gorhaut młodemu Garsencowi, bez względu na to, co mógłby sądzić o pewnych... niedawno wprowadzonych w życie decyzjach politycznych. - Z tym samym chłodnym wyrazem twarzy co poprzednio uśmiechnął się blado do Blaise'a i zwrócił do Rudela: - Jeśli chodzi o Portezzan, to tak naprawdę nie mają kraju, prawda? Sądzę, że taką samą miłością darzą swoje miasta czy też może rodziny. Czy tak, Correze?

Blaise uzmysłowił sobie, że celowo mówi suchym, niemal pedantycznym tonem, gładko opierając się emocjonalnemu ciężeniu słów Bertrana.

- Tak, wasza wysokość - rzekł Rudel i zakaszłał. - Żywię szczerą nadzieję, że mój ojciec znów uświadomi sobie to ostatnie.

Król błysnął zębami.

- Ach. Jest z ciebie niezadowolony? Wydałeś nieco pieniędzy, zanim musiałeś je zwrócić, tak? Jaka szkoda. Jestem jednak pewien, że z czasem ojciec ci wybaczy.

Odwrócił się z powrotem do Bertrana, który cały ten czas trwał nieruchomo, czekając.

Obaj mężczyźni wymienili długie spojrzenia. Blaise miał niesamowite wrażenie, że on sam, Rudel i stojący przy kominku Valery zostali zapomniani. Zupełnie jakby ich tam nie było.

- Nierozsądnie jest kochać kogoś czy coś zbyt wielką miłością, de Talair - rzekł bardzo cicho Daufridi. - Ludzie umierają, przedmioty są nam odbierane. Takie jest nasze życie na tym świecie.

- Mam powody to wiedzieć. Żyję z tą prawdą dwadzieścia trzy lata.

- I dlatego utemperowałaś swe namiętności?

- I dlatego postanowiłem, że nie będę przechodził przez śmierć mojego kraju tak, jak wytrzymałem śmierć ukochanej kobiety.

Zapadło milczenie. Nie śmiać się poruszyć, Blaise spojrział kątem oka na Rudela i ujrzał

nieruchomą, skupioną twarz przyjaciela.

- Zatem poprosiłeś mnie tutaj - odezwał się w końcu Daufridi z Valensy - by się dowiedzieć, jaką mogę służyć pomocą.

- Tak. Jesteś zaskoczony?

- Bynajmniej. Natomiast czy ty będziesz zaskoczony, jeśli powiem, że niczym nie mogę ci służyć?

- Byłbym wdzięczny za wyjaśnienie dlaczego.

Bertran był blady, lecz opanowany.

Daufridi wzruszył ramionami.

- Podpisałem traktat i potrzebuję co najmniej pięciu lat na umocnienie mojej władzy na oddanych nam ziemiach. Musimy tam mieć naszych własnych rolników, musimy zapełnić wioski Valensanami i dać moim baronom czas na zapuszczenie korzeni w zamkach, które teraz należą do nas. Ci mieszkańcy Gorhaut, którzy postanowią zostać - a niektórzy zechcą to zrobić - muszą mieć czas, by poczuć, że są gorsze rzeczy niż bycie poddanymi króla Valensy. Z czasem traktat przyniesie nam wszystkim bogactwa tej rolniczej krainy położonej na północ od Iersen i zawiązką wynagrodzi wydatki już poniesione oraz te, które jeszcze będziemy ponosić przez następne trzy lata. Ale żeby do tego doszło, potrzebny mi jest pokój. - Upił łyk wina. - To nie jest bardzo skomplikowane, de Talair. Mógłbym się spodziewać, że będziesz to wszystko wiedział.

- Czyli jesteś zadowolony, że Gorhaut spogląda teraz na południe.

- Nie jestem całkowicie niezadowolony - odparł ostrożnie Daufridi.

Znów zapanowała cisza, lecz po chwili rozległ się w niej łagodny, chłodny głos.

- Wybacz mi - odezwał się Rudel Correze - wybacz mi zuchwałość, ale mam pytanie. - Daufridi i Bertran odwrócili się do niego. - Jak sądzisz, co się stanie z Valensą, wasza wysokość, jeśli Gorhaut rzeczywiście spadnie na południe z ogniem i mieczem i je podbije?

Była to również myśl Blaise'a, jego pytanie. Rudel zawsze szybciej mówił, co myśli. Portezanie mieli do tego skłonność. Po raz pierwszy zobaczył, że Daufridi zmienia pozycję, jakby mu było nieco niewygodnie.

- Zastanawiałem się nad tą kwestią - przyznał.

- I do jakiego wniosku doprowadziły cię te przemyślenia? - Tym razem odezwał się spod kominka Valery. Ręce miał skrzyżowane na szerokiej piersi.

Bertran pochylił się lekko i cicho powtórzył słowa kuzyna:

- Do jakich wniosków mogłeś dojść, wasza wysokość, gdyby Gorhaut zniszczył Arbonne i zdobył całe bogactwo tej ziemi oraz jej morskie porty? Gdyby za rok od tej chwili było pięć

krajów, a nie sześć? Czy naprawdę uważasz, że wtedy miałbyś te swoje pięć lat pokoju, by... jak mówisz, wzmocnić swą władzę w tej rolniczej krainie położonej na północ od Iersen? Ile czasu upłynie według ciebie, zanim Ademar ponownie zwróci się na północ?

Mniej więcej wtedy z Blaisem zaczęło się dziać coś dziwnego. Wydało mu się, że słowa wypowiedane przez każdego z nich stały się jakby wyznaczonymi mowami w jakimś świątynnym obrzędzie na cześć boga czy też dobrze znanymi pierwszymi posunięciami w tawernianej grze, następującymi jedno po drugim, wymuszającymi kolejne posunięcia.

- Jak mówię, zastanawiałem się nad tym - rzekł z lekkim napięciem w głosie Daufridi. - Nie doszedłem do żadnych bezpośrednich wniosków.

Widząc teraz następne posunięcia tak wyraźnie, jakby już nastąpiły, Blaise powiedział:

- Oczywiście, że nie doszedłeś. I dlatego tu przybyłeś, prawda, wasza wysokość? Przekonać się, czy księżę Talair ma dla ciebie jakiś wniosek. I ku swemu rozczarowaniu przekonałeś się, że chce on twojej pomocy, co cię przeraża. Wiesz, że nie leży w interesie Valensy, by Gorhaut rządził Arbonne. Dlaczego więc nie chcesz im udzielić tej pomocy, skoro cię o to proszą?

Daufridi z Valensy obrócił się na krześle, by spojrzeć na Blaise'a; jego twarde szare oczy niemal ginęły pod gęstymi, ściągniętymi brwiami.

- Najpierw mam własne pytanie - rzekł chłodno. - Być może powinienem je zadać na początku, zanim wykazałem się taką szczerością. Dlaczego ty się tu znalazłeś, Garsenc? Dlaczego nie jesteś na dworze Ademara w Cortil i nie czekasz na chwałę tego podboju, który zapoczątkowali twój ojciec i król? Być może nawet znalazłaby się dla ciebie jakaś ziemia. Młodszy synowie zawsze pragną ziemi, prawda? Mówiliśmy o miłości do kraju, gdzie zatem jest twoja miłość, de Garsenc?

Blaise czekał na to - była to następna przewidziana mowa, następny ruch w rozgrywanej partii. Zadał sobie pytanie, czy to Bertran ją przygotował, czy widział, że się zbliża, albo czy nawet pokierował ich ku tej chwili.

Tak naprawdę nie miało to znaczenia. Chwila nadeszła.

- Ponieważ stanowczo się sprzeciwiłem Ademarowi z Gorhaut - rzekł. - Ponieważ moim zdaniem jest słaby i niewart oddania. Ponieważ uważam, że poprzez Traktat Mostu na Iersen wydziedziczył i zdradził lud mego kraju. Ponieważ Gorhaut, który kocham, jest świętą ziemią, gdzie bóg Starożytnych Corannos po raz pierwszy wszedł między sześć krajów, które znamy, a pierwsi corani przysięgli służyć bogu i współbraciom oraz podążać ścieżką prawości. Ponieważ inwazja Arbonne byłaby ostatecznym zejściem z tej ścieżki w poszukiwaniu panowania, które nigdy by się w końcu nie utrzymało. Ponieważ mój ojciec o

tym wie. On nie chce rządzić w Arbonne, on ją chce podpalić. Ponieważ dawno temu stracił jakąkolwiek prawdziwą łączność z bogiem.

Zaczerpnął tchu, by przerwać ten potok słów, wylewających się zeń jak wezbrana rzeka po przerwaniu tamy. I wtedy wykonał ostateczny ruch w grze, dokonał wyboru:

- I ponieważ przed końcem jarmarku w Lussan ogłoszę się pretendentem do korony Gorhaut, by sprawdzić, czy w moim kraju - oraz gdzie indziej - są ludzie honoru, którzy zjednoczą się wokół mego imienia i tej sprawy.

Usłyszał, że Rudel wciąga ze świstem powietrze. Blaise pomyślał, że zaskoczył przynajmniej przyjaciela. Jeśli nie dokonał niczego innego, to chyba mu się udało wprawić w zdumienie niewzruszonego potomka rodu Correze. Oraz, jak teraz zobaczył, króla Valensy.

Dłonie Daufridiego powędrowały na poręcz krzesła i zacisnęły się na nich. Przez chwilę na nie napierał, jakby chciał się podnieść, lecz z widocznym wysiłkiem został na swoim miejscu.

W pokoju panowała cisza. Było słychać jedynie trzaskanie ognia i wysilone oddechy czterech mężczyzn. Zza drzwi, gdzie ludzie Bertrana zabawiali coranów króla, dobiegł nagły wybuch śmiechu.

- No tak - powiedział w końcu bardzo cicho Daufridi z Valensy. - No tak. Wydaje się, że jednak mamy kilka spraw do omówienia.

Blaise'owi kręciło się w głowie, był niemal otepiały. Sięgnął po wino i się napił. Gest ten wydał mu się dziwny, nienaturalnie powolny. Czuł się tak, jakby wraz z nimi w pokoju powinna się znaleźć sowa, biała sowa Beatritz de Barbentain, znów sadowiąca się na jego ramieniu, by wskazać go jako głupca czy kogokolwiek innego.

## ROZDZIAŁ 12

- Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że nie chcę jej odzyskać - mówi Ranald de Garsenc, patrząc wściekłym wzrokiem na mężczyznę znajdującego się po drugiej stronie komnaty.

Spodziewał się tego spotkania i przygotował się do rozmowy z ojcem. Wiadomość o ucieczce Rosali do Arbonne, przyniesiona przez dwóch jękających się, wyczerpanych coranów, wywołała szok, lecz, co sobie uświadomił Ranald w ciągu tego dnia, nie tak wielki, jak może można by się spodziewać.

Kiedy Ranald się dowiedział - podczas zacieklej dyskusji odbytej wcześniej tego ranka - o wizycie Galberta w Garsenc i o jego roszczeniach do dziecka, z goryczą roześmiał się ojcu w twarz.

- Ty zatem do tego doprowadziłeś - rzekł wtedy. - Nie ja ani nikt inny. Twoje własne szaleństwo, ojcze. Rozzłościła cię, prawda? Musiałeś coś powiedzieć, by pokazać, gdzie jest jej miejsce.

Galbert wściekle zmarszczył brwi i raz po raz zaciskał duże dłonie w pięści.

- Tak właśnie było, prawda? - ciągnął Ranald. - To ty jesteś głupcem i słabeuszem. To ty ostro zaatakowałeś pod wpływem chwili. Musiałeś jej powiedzieć, żeby się przekonać, czy potrafisz ją sprowokować, co? Powinieneś być mądrzejszy i nie grozić jej odebraniem jej dziecka.

- Grozić? Jej dziecka? - Galbert postarał się, by w jego głębokim głosie, którym posługiwał się jak instrumentem, zabrzmiały wszelkie możliwe odcienie pogardy. - Tak to widzisz? Nie jest to również twoje dziecko? Nie nasze? Czy naprawdę jesteś taki słaby? Przynosisz mi wstyd w oczach boga i wszystkich ludzi.

W komnacie był służący i niemal na pewno pod trojgiem drzwi prowadzących do niej nasłuchiwali inni. Pałac króla Ademara w Cortil nie był miejscem odpowiednim do prywatnych rozmów. Ranald nagle się zaczerwienił.

- Pomówimy później - rzekł - kiedy się uspokoisz. Najwyraźniej nie jesteś w nastroju, by prowadzić rozmowę. Będę cię tu oczekiwał w południe, ojcze.

Wyszedł szybko z komnaty, zanim Galbert zdołał odpowiedzieć. Coran w przedpokoju ledwie zdążył się czymś zająć przy oknie. Ranald nie zwrócił na niego uwagi. W gruncie

rzeczy był z siebie zadowolony za to wyjście, dopóki w zaciszu pałacowej komnaty nie zaczął się głębiej zastanawiać nad konsekwencjami czynu swojej żony.

Posłał służącego po piwo i usiadł w fotelu przy oknie; patrzył na niebo, na którym słońce usiłowało się przedrzeć przez gnane wiatrem jesienne chmury. Tego ranka król polował. Ktoś zapewne już pojechał do niego z wiadomością; na dworze Ademara ambitni dworacy wyłazili ze skóry, by jako pierwsi przynosić mu wieści, szczególnie te szkodliwe dla rodziny de Garsenc. Ranald wiedział, że Galbert był postrzegany jako zbyt potężny. Jeśli się cofnąć tylko o dwa pokolenia, to w ich rodzinie płynęła krew równie królewska, jak w żyłach Ademara, a najwyższy kapłan był teraz pierwszym spośród doradców króla. Nie trzeba się było zastanawiać, dlaczego się ich bano. Na dworze przebywały osoby - całkiem dużo osób - które wielce uradowała ucieczka Rosali oraz konsternacja jej męża i teścia.

Służący wrócił z dzbanem piwa i Ranald z przyjemnością wypił pierwszą porcję dnia. Wyciągnął przed siebie nogi i zamknął oczy. Nie miał jednak zaznać ukojenia. W swoim ostatnim liście żona go okłamała i uciekła, ze swoim dzieckiem pod sercem. Z jego dzieckiem. Wyglądało na to, że już je urodziła w Arbonne. Corani, którzy przynieśli tę wiadomość, jadąc na północ przez przełęcz dwie noce i jeden dzień z szybkością zabójczą dla koni, nie wiedzieli, czy to chłopiec, czy dziewczynka. To oczywiście miało dość duże znaczenie. Jednakże tego ranka Ranaldowi trudno było rozważać polityczne konsekwencje. Po pierwsze, nie bardzo mu to wychodziło. Wolałby w tej chwili polować z królem. Właściwie tak naprawdę wolałby się znaleźć z powrotem w Garsenc i polować konno w swoim lesie ze swoimi ludźmi. Odchyliwszy się na oparcie krzesła, zamknął oczy i spróbował wyobrazić sobie Rosalę z niemowlęciem. Spróbował nawet krótko wyobrazić sobie z niemowlęciem siebie. Otworzył oczy i nalał do szklanki piwo z dzbana stojącego obok na stole.

Nie pozwolił sobie na więcej. W południe miał się znów spotkać z ojcem. Jak się przekonał wielkim kosztem w ciągu wielu lat, na takich spotkaniach koniecznie trzeba być trzeźwym.

\*\*\*

- Nie chcę jej odzyskać - powtarza.

Jest południe; chmury zniknęły i słońce stoi wysoko na bladym niebie, przeświecając przez zachodnie okna. Ranald usiłuje mówić spokojnym tonem. Przybliżyła się nawet do ojca, by mogli rozmawiać ciszej. Tym razem odprawili służących. Ranald nie chce, by ta dyskusja rozniosła się po całym pałacu - czy po całym Gorhaut.

Ranald widzi, że Galbert też jest teraz spokojniejszy. Właściwie najwyższy kapłan sprawia wrażenie niebezpiecznie opanowanego. Nie odpowiada, tylko najpierw z rozmysłem wybiera krzesło i się na nim sadowi. Przebrał się w niebieskie szaty Corannosa. Blaise nie rozmawiał z ojcem, kiedy ten miał na sobie szaty boga. Raz nazwał je profanacją. Wtedy też po raz ostatni widzieli Blaise'a, w ferworze kolejnej straszliwej awantury o Traktat Mostu na Iersen. Skończyła się tym, że młodszy brat Ranalda wypadł z komnaty i zamku, przysięgając, że nie wróci do Gorhaut, dopóki traktat pozostanie w mocy. Wracając pamięcią do owego wieczoru, Ranald przypomniał sobie nagle obraz żony płaczącej w milczeniu przy kominku, podczas gdy oni trzej wrzeszczeli na siebie.

- Odrzucasz ją. Bardzo naturalna reakcja - mówi teraz jego ojciec, z dłońmi wygodnie splecionymi na wydatnym brzuchu. Ranald zauważa, że ojciec przytył. To idzie w parze ze zwiększoną potęgą, myśli cierpko. - W gruncie rzeczy prawdziwy mężczyzna już by poczynił kroki zmierzające do jej uśmiercenia. Mam to zrobić za ciebie?

- Tak jak w wypadku księcia de Talair? Dziękuję, ale nie. Nie jesteś zbyt skuteczny, ojczu.

Ranald nadal potrafi walczyć na przytyki, do pewnego stopnia, ale ten temat przyprawia go o niepokój. Prawda jest taka, że nie podoba mu się pomysł uśmiercenia Rosali. Nie chce jej odzyskać - to wie z całą pewnością - lecz to nie znaczy, że ma ona zostać stracona za gwałtowną reakcją na groźbę ze strony jego ojca.

- Jeśli będziemy ją w ten sposób ścigać, zbanalizujemy siebie samych - dodaje.

Galbert mruga, jakby był zaskoczony.

Prawdopodobnie jest, myśli jego starszy syn. Nieczęsto Ranald stawia się na spotkanie z tak jasnym umysłem. Czuje przyływ znajomej pogardy wobec siebie.

- A więc chcesz pozwolić jej odejść? - mówi ojciec. - I stać się pośmiewiskiem całego świata? - Galbert lekceważąco strzepuje dłonią, którego to gestu Ranald zawsze nienawidził. - Cóż, to twoja sprawa. Nie mogę w nieskończoność odgrywać za ciebie mężczyzny. Zgodzisz się jednak - ciągnie tonem przesadnej uprzejmości - że istnieje kwestia dziecka?

Oczywiście, że istnieje. Chociaż, w gruncie rzeczy, Ranald uwiadomił sobie tego ranka, że wobec niej też ma ambiwalentne uczucia. Już dawno temu uznał, że jest ambiwalentnym człowiekiem. Życie było o tyle prostsze w czasach, kiedy jako wyznaczony obrońca króla Duergara musiał jedynie wysadzić z siodła i pokonać każdego, kto został wysłany przeciwko niemu. Przed dziesięciu laty był w tym dobry, nadzwyczaj dobry. Nieco mniej dobry jest w rozważaniu takich spraw. Lecz jeśli Rosali zależy na tyle, że chciała zaryzykować życie i pogodzić się z wygnaniem, by nie oddać dziecka w ręce Galberta, to Ranald, szczerze



mówiąc, potrafi ją zrozumieć. Problem w tym, że nie może tego tolerować. Jest księciem de Garsenc, pierwszym wśród szlachty Gorhaut; jego ojciec, który sam powinien zostać księciem, kiedy jego brat Ereibert zmarł bezdzietnie, jest zamiast tego najwyższym kapłanem Corannosa i ma w związku z tym nawet więcej władzy. Dziecko Rosali - Ranalda - jest pionkiem w szeroko zakrojonej grze o władzę.

- Jeśli to chłopiec - mówi cicho Ranald - to go odbierzemy. Zaproponuję jej życie i możliwość udania się dokądkolwiek zechce, ale będzie musiała oddać niemowlę. Jeśli to dziewczynka, nic mnie nie obchodzi. Niech sobie odejdą. Król udzieli mi zezwolenia na powtórne małżeństwo. Choćby jutro, jeśli go poproszę. Spłodzę inne dzieci. Choćby tylko po to, by cię zadowolić, ojczu. - Znów się uśmiecha z goryczą. - Czy zechcesz wykorzystać wszystkie do swoich celów, czy tylko niektóre?

Galbert puszcza to mimo uszu.

- Powiadasz, że powinniśmy odebrać chłopca. Dlaczego wyobrażasz sobie, że Rosala w ogóle zgodziłaby się na coś takiego, skoro właśnie dlatego uciekła? - On też mówi cicho. Też nie chce, by plotkowano o tej rozmowie.

Ranald wzrusza ramionami.

- Ona też może mieć inne dzieci. Być może zechce to zrobić w zamian za życie bez nas.

- A jeśli nie? - dąży ojciec, niebezpiecznie spokojny. - Jeśli nie zechce?

Poniewczasie Ranald widzi, dokąd to zmierza. Tam, dokąd zmierza chyba wszystko, czego ostatnio dotknął Galbert de Garsenc. Wstaje z krzesła, raptem wzburzony.

- Zrobiłeś to celowo? - warczy. - Specjalnie sprowokowałeś ją do ucieczki? Żeby stworzyć tę sytuację?

Galbert uśmiecha się z zadowoleniem i jego oczy niemal nikną w fałdach skóry.

- A jak myślisz? Oczywiście - mruczy.

- Kłamiesz, prawda? - Ranald czuje, jak dłonie zwijają mu się w pięści. To gest jego ojca; bezskutecznie próbował się od niego odzwycząić. - Prawda jest taka, że cię sprowokowała, a ty rzuciłeś coś, czego nie chciałeś powiedzieć.

Jego ojciec powoli kręci głową, aż mu się kołyszą obwisłe policzki.

- Nie bądź kompletnym głupcem, Ranaldzie. Jak myślisz, dlaczego w ogóle pojechałem się z nią zobaczyć w Garsenc? Po co mi dziecko? Co miałbym robić z niemowlęciem? Sprawiasz dziś wrażenie trzeźwego. Wykorzystaj okazję i pomyśl. Tak się składa, że potwierdzenie mojej wersji wydarzeń - cokolwiek możesz sobie wyobrażać - będzie leżało w twoim interesie. Nie potrafię wymyślić układu wydarzeń, który byłby korzystniejszy dla naszych celów.

- Naszych celów? Chyba twoich. Żeby odzyskać dziecko, będziesz teraz chciał wydać wojnę Arbonne.

Istnieje niewielka możliwość, że jego ojciec mówi prawdę; że ta cała ucieczka Rosali została sprytnie zaplanowana. Tak właśnie postępuje z ludźmi, tak postępował całe życie.

Z trzaskiem rozbijającym ciszę rozwierają się największe drzwi komnaty i z hukiem odbijają się od kamiennej ściany. Ojciec i syn obracają się błyskawicznie w miejscu. Wypełniając całe wejście, z brodą i włosami ociekającymi potem, z plamami z krwi i trawy na szerokich ramionach i piersi, ze spodniami i butami pochłapanymi błotem, król Ademar rzuca na podłogę bicz i warczy:

- Ma wrócić! Słyszysz, Galbercie? Ona ma natychmiast wrócić! - Twarz ma czerwoną, oczy szkliste z wściekłości.

- Oczywiście, panie mój - mówi uspokajająco najwyższy kapłan, szybko odzyskując panowanie nad sobą. - Oczywiście. Jesteś świadom obelgi, jaka spotkała naszą rodzinę, i pragniesz pomóc nam na nią zareagować. Jesteśmy głęboko wdzięczni. W rzeczy samej mój syn i ja właśnie omawialiśmy następne posunięcie.

- Róbcie, co musicie! Ona ma wrócić! - powtarza Ademar, przeciągając po włosach dłonią w rękawicy.

- I dziecko oczywiście też - mruczy Galbert. - Dziecko jest bardzo ważne.

Jego głęboki, uspokajający głos chyba w końcu wywiera skutek. Król Gorhaut bierze głęboki wdech i potrząsa głową.

- Oczywiście - mówi, już nieco przytomniej. - Dziecko też. Bardzo ważne. Dziedzic Garsenc, jeśli to chłopiec. Oczywiście.

Po raz pierwszy spogląda na Ranalda i szybko odwraca wzrok.

- Jeśli będą ukrywać chłopca przed nami - mówi wtedy Galbert de Garsenc, wciąż cichym, kojącym głosem - to świat raczej nie będzie mógł kwestionować naszego prawa do pojechania po niego.

Ademar nagle się pochyła i podnosi bicz. Uderza się nim mocno po nodze.

- Słusznie. Zrób to. Götzland, Arimonda, Portezzanie... wyjaśnij to, niech wygląda, że mamy rację, zrób, co musisz. Ale ona ma wrócić.

Obraca się na pięcie i wychodzi ciężkim krokiem z komnaty. Stojący dotychczas za nim służący sięga do klamki i zamyka ciężkie drzwi, ponownie zostawiając obu Garsenców sam na sam.

Widząc minę swego starszego syna, Galbert zaczyna się cicho śmiać.

- No cóż - mówi, nawet nie starając się ukryć rozbawienia. - Właśnie dokonałeś odkrycia.

Wygląda na to, że przynajmniej jedna osoba pożąda powrotu twojej szlachetnej małżonki. Ciekawe dlaczego?

Ranald się odwraca. Jest mu niedobrze i musi się napić. Wydaje się, że ma w mózgu wypalony obraz stojącego w drzwiach olbrzymiego i gniewnego króla. Nie potrafi się go pozbyć. Zastanawia się, gdzie się podziała jego własna wściekłość, gdzie w ciągu tych lat zniknęła jego zdolność doznawania takich uczuć.

- Wszystko się ładnie układa na twoją korzyść, nieprawdaż? - mówi cicho, wyglądając przez okno na wewnętrzny dziedziniec pałacu.

Corani Ademara zsiadają z koni w jasnym słońcu, demonstrując krwawe trofea polowania.

- Jeśli udzielą schronienia żonie i dziedzicowi Garsenc - mówi spokojnie ojciec swym głębokim, dźwięcznym głosem - to nie mogą sobie wyobrazić, że ujdzie im to płazem. W oczach świata będziemy mieli potrzebny nam powód.

- A jeśli ich oddadzą?

Ranald odwraca się od okna. Zastanawia się, od jak dawna król Ademar pragnie jego żony. Zastanawia się, dlaczego wcześniej tego nie zauważył. Zastanawia się w końcu, czy jego ojciec kierował po cichu tym pragnieniem. Kolejne narzędzie, kolejny instrument polityki. Myśli, że powinien rzucić królowi wyzwanie. Prawie musi to uczynić. Wie, że nie zrobi nic podobnego. Czując nienawiść do samego siebie, Ranald uświadamia sobie, że jeśli się nie napije, dłużej tak nie pociągnie.

Jego ojciec kręci głową. Ranald przypomina sobie, że zadał Galbertowi pytanie. Trudno mu się skupić.

- Mieliby ich oddać? Arbonne? Rządzona przez kobietę Arbonne? - Najwyższy kapłan się śmieje. - Tak się nie stanie. Prędzej zniszczą samych siebie, niż oddadzą nam kobietę i noworodka.

Ranald czuje w ustach smak żółci.

- Albo ty ich zniszczysz.

- W rzeczy samej tak zrobię - mówi Galbert de Garsenc, po raz pierwszy podnosząc głos. - W imieniu Corannosa i dla jego wiecznej chwały w rzeczy samej zniszczę to miejsce nabrzmiewającego, pomazanego krwią, kobiecego zepsucia. To misja mojego życia, przyczyna wszystkiego, co robię.

- A jesteś już tak blisko, prawda? - mówi chrapliwie Ranald. Wie, że bardzo niedługo będzie musiał wyjść. Boi się, że zwymiotuje. Nie może pozbyć się z myśli widoku króla. - Wszystko się ładnie zbiegło. Śmierć Duergara, traktat, teraz ucieczka Rosali, Ademar, który

je ci z ręki. - To ostatnie mówi nieco zbyt głośno, ale już o to nie dba. - Teraz, żeby dać sobie radę z pozostałymi krajami, żeby sprawić, by stało się to dla nich do przyjęcia, wystarczy, by dziecko okazało się chłopcem.

- Masz rację - zgadza się z dobrotliwym uśmiechem jego ojciec. - Zdumiewasz mnie, mój synu. Modliłem się o to na klęczkach do boga. Mogę mieć tylko nadzieję, że Corannos wysłuchał moich słów i uznał mnie za godnego odpowiedzi, bym wkrótce mógł uderzyć w jego najświętszym imieniu ogniem i mieczem. Zaiste, tak jak mówisz, wystarczy tylko, by dziecko okazało się chłopcem.

\*\*\*

Rosala wróciła korytarzem z pokoju, w którym spał jej syn. Była z nim mamka, którą dla niego znaleźli, a przez pierwszy tydzień w zamku Barbentain zatrzymała się młodsza z dwóch kapłanek obecnych przy narodzinach Cadara. Rosala odkrywała, że w Arbonne dba się o niemowlęta, a przynajmniej o niemowlęta szlachty. Niektóre rzeczy się nie zmieniały bez względu na to, gdzie w świecie się przebywało. Rosala wątpiła, by taką samą uwagę poświęcano dziecku mamki w jego wiosce. Wiedziała, że umarło; nie chciała wiedzieć, w jaki sposób ani z jakiego powodu. Dzieci umierają na wiele sposobów. Zwykłą radą było nie przywiązywać się do nich za bardzo w pierwszym roku, żeby, gdyby odeszły, nie pękło serce. Rosala pamiętała, jak usłyszała to przed wielu laty i jak wtedy pomyślała, że to ma sens; teraz już tak nie myślała. Nie miała pojęcia, jak kobiety powstrzymywały się przed kochaniem tych drobnych, tak rozpaczliwie potrzebujących opieki niemowląt. Nie potrafiła wyrazić wdzięczności za opiekę, jaką otoczono Cadara. Kiedy w trzęsącym się wozie przecięła góry w drodze na południe, to jakby przeszła z niekończącego się koszmaru do bezpiecznej przystani.

Wiedziała, że to złudna myśl. Zbyt dobrze znała zwyczaje świata, by sobie wyobrazić, że tak po prostu uda się jej tu żyć spokojnie z dzieckiem i starą hrabiną, która będzie przyjmować trubadurów i ich żonglerów, że będzie mogła słuchać muzyki i jeździć konno po polach nad rzeką, pory roku będą następować po sobie, a Cadar wyrośnie na dziecko, a potem na mężczyznę. W Gorhaut zabijano kobiety nawet za impertynenckie odezwanie się do męża w miejscu publicznym. Co zrobiono by z kobietą, która uciekła z dzieckiem? I to nie z byle jaką kobietą i z nie byle jakim dzieckiem? W pokoju, z którego właśnie wyszła, spał dziedzic książąt Garsenc, a tak długo, jak Ademar pozostawał w bezzennym stanie, Cadar znajdował się niebezpiecznie blisko w kolejce do samego tronu. Wedle jednego toku rozumowania w istocie był trzeci albo czwarty, zależnie od tego, czy się liczyło wydziedziczony Blaise'a, czy nie.

Nie miało to wielkiego znaczenia. Na pewno przybędą po Cadara, a prawdopodobnie i po nią. Zacznie się od dworskich formalności, bogato odzianych emisariuszy z uczonymi mowami i darami dla hrabiny oraz pięknie sformułowanych listów, które przywiozą. Dary będą wyszukane - taki jest bieg rzeczy - mowy będą potoczyste i uprzejme. Żądania wyrażone w listach będą otwarte i chłodno precyzyjne oraz poparte ultimatum, które niczego nie pozostawi wyobraźni.

Rosala zastanawiała się, czy nie powinna wsiąść na statek udający się na wschód i uwolnić Arbonne od ciężaru swej obecności. Gdyby tylko gdzieś na jednym z legendarnych dworów pełnych magii mogła znaleźć w tych dalekich krajach dom dla siebie i Cadara. Kolejne złudzenie. Znała opowieści o tym, co się działo z jasnoskórymi kobietami na dworach i bazarach tych krain przypraw i jedwabiu. Wiedziała, co się działo z ich dziećmi płci męskiej.

Słyszała muzykę, rozmowy i śmiech, wznoszące się spiralą w klatce schodowej z leżącej poniżej wielkiej sali. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz słyszała śmiech, w którym nie dźwięczała nuta złośliwości. Powiedziano jej, że tego wieczoru muzyka skomponowana przez pewnego młodzieńca z Orreze będzie bardzo dobra. Rosala wiedziała, że jeśli zejdzie na dół, zostanie mile powitana. Nadal jednak czuła się zmęczona i nadzwyczaj wrażliwa, niegotowa, by spełniać wymagania związane z publicznymi wystąpieniami. Prywatność była w jej świecie czymś rzadkim, czymś, co należało cenić tak samo jak wszystkie inne dary otrzymane w Barbentain.

Usiadła ostrożnie w wykuszu okiennym. Kamienna ława była na szczęście wyściełana. Rosala otworzyła okno. Na witrażu przepięknie wytrawiono wizerunek zielonej wyspy na morzu. Do pokoju wpadł powiew wiatru i nieprzefiltrowane światło błękitnego księżyca. Tutaj nazywano go Riannon na cześć bogini, a nie Escoran na cześć boga. Pomyślała, że to właśnie z powodu tej różnicy Arbonne ma zostać zniszczona.

Po chwili odrzuciła tę myśl - i przesłanka, i wniosek były zbyt proste. Na świecie nic nie było aż tak proste.

Słyszała, jak płynąca w mroku rzeka nieustannie cicho mruczy, tworząc tło dla śpiewu zonglera. Na wyspie Barbentain było tego wieczoru chłodno; Rosala owinęła się ciaśniej otrzymaną tu wełnianą szatą. Świeże powietrze dodawało jej jednak sił i wraz ze swą przejrzystością przynosiło jej uspokajającą świadomość, że przybywając tu, uczyniła dla Cadara wszystko co było w jej mocy. Następne posunięcia, te w większej grze, nie należały do niej. Skala jej własnego życia stała się raptem o wiele mniejsza, skoncentrowana na biciu serca. Poczwała chęć - i niemal się zaśmiała z samej siebie - by znowu zajrzeć do śpiącego

syna. To dziwne, jak szybko, jak całkowicie do czyjegoś świata mogła powrócić miłość.

Ostatnią osobą, którą kochała, był jej ojciec, i zginął niemal przed dwoma laty u Mostu na Iersen. Matka odeszła przed nim, w ostatnim roku zarazy. Brat Rosali, Fulk, nie wywoływał u niej żadnych intensywniejszych uczuć, podobnie jak ona u niego. Nie poprowadzi pościgu za nią, ale i nie zaprotestuje przeciwko niemu. Był jednak dobrym zarządcą Savaric i za to go szanowała. Teraz ziemie Savaric były straszliwie odsłonięte, szeroko otwarte na ataki z Valensy przez nowo wytyczoną granicę na rzece Iersen. Gdyby traktat kiedykolwiek stracił moc, byłiby narażeni nie tylko na to.

A stracił moc, powiedział jej Fulk w zeszłym roku podczas jednej z rzadkich okazji, kiedy oboje znajdowali się w Cortil. Takie rozejmy nigdy nie są trwałe, lecz ziemie utracone na wystarczająco długo zwykle bywają utracone na zawsze. Powiedział to cicho, żeby usłyszała tylko ona. Nie dla ostrożnego Fulka de Savaric otwarta krytyka potężnego pana, gdy na tronie zasiadł nowy król. Rosala wiedziała, że ich ojciec wyrażałby swoje potępienie głośno, bez względu na konsekwencje.

Podobnie jak robił to Blaise de Garsenc, zanim opuścił kraj, tak za pierwszym razem, jak i rok później, po nieudanym powrocie do domu.

Trudno jej się myślało o Blaisie. Wiedziała, że jest teraz w Lussan z księciem Talair. Łatwo byłoby się z nim spotkać, posłać mu wiadomość tak jasną czy zagadkową, jak tylko by chciała. Zastanawiała się, czy już się dowiedział, że jego szwagierka jest w zamku. Kapłanki powiedziały jej, że cały jarmark plotkuje o wysoko urodzonej damie z Gorhaut, która tuż przed porodem została przyprowadzona do świątyni. Othon, pomyślała z żalem, byłby fizycznie niezdolny do zachowania tej historii dla siebie; po prawdzie nie miała żadnego prawa spodziewać się po nim, że to zrobi.

Jednakże Blaise nigdy nie słuchał plotek, a en Bertran przyrzekł, że mu nie powie, dopóki Rosala nie będzie na to gotowa. Istniało nawet prawdopodobieństwo - ostra, nowa myśl - że Blaise nie wiedział o jej ciąży. Od czasu, kiedy odszedł po raz drugi, z nikim nie utrzymywał kontaktów.

Rosala pamiętała tamtą noc. Siedząc przy otwartym oknie w Arbonne nad mruczącą rzeką i z muzyką płynącą w górę klatki schodowej, wróciła w wyobraźni do tamtej zimowej ciemności, kiedy zniknęły gwiazdy, a na dworze wiał huraganowy wiatr i siekł śniegiem i lodem w okna zamku Garsenc. Słuchała, jak ojciec i synowie nawzajem się przeklinają, słyszała niewybaczalne wyzwiska, paskudne, głęboko raniące słowa. Płakała bezgłośnie, całkowicie zapomniana na swoim krześle przy kominku, zawstydzona własną słabością; tak bardzo chciała wyjść z pokoju, znaleźć się z dala od splątanych, gwałtownych nienawiści

Garsenców, lecz nie mogła się oddalić bez pozwolenia Ranalda, a nie chciała zwracać na siebie uwagi prośbą o nie. Wiedziała, że gdyby tylko jego ojciec sobie o niej przypomniał, zaraz by ją wściekle zaatakował.

Odrętwiała z zimna przy dogasającym ogniu, którego podsycaniem nikt nie zawracał sobie głowy, bo służący roztropnie się wynieśli, Rosala czuła na policzkach stygnące łyzy i słyszała, jak jej szwagier, który osiągnął chyba ostateczny szczyt wściekłości, potępia ojca i brata głosem chrapliwym z bólu, nazywając pierwszego zdrajcą Gorhaut, nieprzyzwoicie niegodnym boga, a drugiego pijakiem i tchórzem. A potem wypadł z pokoju i z zamku w rozszałała noc. Rosala zgadzała się z jego oceną. Blaise de Garsenc był zimnym, twardym, zgorzkniałym człowiekiem, który nigdy nie okazał jej ani krzty uprzejmości, ale miał rację, tak wielką rację miał co do tej dwójki.

Pamiętała, jak leżała wtedy w łóżku, kiedy już się w końcu położyli. Ranald zasnął w przejściowym pokoju i chrapał tak, że słyszała go przez zamknięte drzwi. Czasami, pograżony w mrocznych snach, mówił coś albo krzyczał ze strachu jak dziecko. W pierwszych miesiącach małżeństwa Rosala starała się go wtedy pocieszać; teraz już tego nie robiła. Zmarznięta i przestraszona, nasłuchując opętańczego wycia wiatru, czekała, aż Blaise wróci po swoje rzeczy. Kiedy się pojawił, kiedy usłyszała odgłos ciężkich kroków w korytarzu, wstała z łóżka i poszła do jego pokoju, stąpając bosymi stopami po przeszywająco zimnych kamiennych płytach.

Kiedy weszła, pakował przy świecy juki. Nie zastukała do drzwi. Na ubraniu miał śnieg, w płowych włosach i brodzie tkwiły grudki lodu. Ona miała na sobie tylko koszulę nocną; na ramionach układały jej się rozpuszczone na noc włosy. Nigdy przedtem ich tak nie widział. Patrzyli na siebie przez zastygłą w czasie chwilę, milczący w nocnej ciszy zamku, a potem Rosala powiedziała cicho, by jej głos nie wydostał się poza pokój, poza niewielką przestrzeń oświetloną blaskiem świecy:

- Nie zechcesz mi raz ofiarować miłości? Tylko raz, zanim odejdiesz?

I Blaise przeciął pokój, unióś ją w ramionach i położył na swoim łóżku; jej jasne włosy rozsypały się na poduszce, a koszula z szelestem powędrowała powyżej bioder, kiedy Rosala je uniosła; zdmuchnął jedyną świecę, zdjął wilgotne ubranie i wziął ją w ciemności, nim znów opuścił własny dom; wziął ją w milczeniu, z wściekłością i goryczą i niekończącym się, przejmującym do szpiku kości bólem, z którym żył, jak wiedziała, ponieważ nie miał żadnej władzy. Nie było w tym pokoju, między nimi, żadnej miłości.

I nie miało to znaczenia.

Wiedziała, co mogło sprawić, że Blaise się tej nocy przemoże i jej dotknie, co nim będzie

powodować, i nie dbała o to. Wszystko, cokolwiek będzie konieczne, myślała przedtem we własnym zimnym łóżku, kiedy czekała na jego powrót i przyzywała jakby z jakiegoś odległego miejsca całą swoją odwagę. Wszystko, co sprawi, że ją weźmie przynajmniej ten jeden raz.

A później w jego pokoju, w tej ciemności, gdy na dworze szalał straszny wiatr, znów się pojawiła ta sama myśl. Przyjmie z radością wszystko, co sprawi, że Blaise da jej dziecko, którego nie mógł jej dać Ranald. Przyciskała Blaise'a mocno do siebie dłońmi, czuła coraz energiczniejsze pchnięcia, słyszała coraz szybszy oddech.

Potem raz wymówił jej imię. Rosala miała to pamiętać.

\*

Pamiętała, siedząc przy oknie w Barbentain. Nabrało to, o dziwo, znaczenia. Nie dla niej - nie była kobietą, która by pielęgnowała takie złudzenia - lecz dla Cadara. Czy było to racjonalne, czy nie, wydawało jej się teraz w jakiś sposób ważne, że przy poczęciu jej dziecka jedyny dowód łączącej ich więzi zabrzmiał tak wyraźnie. Na swego rodzaju ironię zakrawało, że sprawił to mężczyzna; jej własna nieprzeparta potrzeba uniemożliwiła Rosali wykonanie takiego gestu. Zastanawiała się, co powiedziałyby na ten temat kapłanki bogini. Co się dzieje wedle ich doktryny, kiedy Corannos i Rian schodzą się w miłości - jeśli się schodzą? Nie wiedziała prawie nic o obrzędach religijnych w Arbonne, znała tylko ich wypaczone wersje z pełnych nienawiści opowieści braci boga. Zadała sobie pytanie, czy będzie tu przebywać na tyle długo, by się dowiedzieć prawdy.

W korytarzu za nią rozległy się kroki. To mamka, pomyślała z niepokojem. Właśnie miała się wychylić z wykusza, w którym siedziała, lecz kroki zatrzymały się tuż przed nim i Rosala usłyszała nieznany jej kobiecy głos, a potem męski. Tkwiała nieruchomo w cieniach i po chwili uświadomiła sobie, że ci ludzie rozmawiają o popełnieniu morderstwa.

- Ma to być zrobione schludnie i cicho - powiedziała nerwowo kobieta z obcym akcentem. - To kazała mi powiedzieć.

- Raczej nie robię wiele hałasu białą bronią - odparł z rozbawieniem Mężczyzna.

Głos miał głęboki i pewny siebie.

- Nie rozumiesz. Ślady nie mogą prowadzić do niej. Ciało trzeba będzie się pozbyć i nikt o niczym się nie dowie. Powiedziała, że najlepiej będzie, jeśli cię nawet nie zobaczy, żeby nie krzyknął.

- Ach. Zadba, żeby był zajęty? Czy coś takiego ją podnieca? Czy potem będę miał jakieś inne obowiązki?



- Nie musisz być wulgarny - rzekła sztywno kobieta.

Mężczyzna zaśmiał się cicho.

- Nie bój się. Zrobię tylko to, co każe twoja pani. Jeśli zechce spróbować krwi, będzie musiała poprosić. Ale on musi mnie ujrzeć, bo inaczej cała rzecz nie będzie miała sensu. Musi wiedzieć, kto go zabija.

- Mógłby zawołać o pomoc. Nie możemy pozwolić...

- Nie zawoła. To nie jest mężczyzna skłonny wołać o pomoc. I nie będzie miał wiele czasu, obiecuję ci. No, które to drzwi? Trzeba ugłaskać ducha, a ja zwlekałem.

Przeszli obok Rosali; cienie chwiałały się najpierw za nimi, a potem, kiedy szli pod pochodnią umieszczoną w ściennym uchwycie, przed nimi. Korytarz był pusty. Rosala wtuliła się w wykusz. Żongler w wielkiej sali na dole śpiewał o niekończącej się miłości i nieodwzajemnionym pożądaniu. Ani kobieta, ani mężczyzna się nie odwrócili. Nie znała ich. Kroki ucichły pod drzwiami umiejscowionymi nieco dalej. Wstrzymując oddech, Rosala się nieznacznie wychyliła. Zobaczyła, jak mężczyzna się uśmiecha i wyciąga zza pasa nóż. Otworzył drzwi i wśliznął się do środka, poruszając się cicho i z kocim wdziękiem. Drzwi zamknęły się za nim. Z pokoju nie dochodził żaden odgłos. Kobieta wahała się przez chwilę, a potem szybko uczyniła znak od uroku, pośpiesznie oddaliła się korytarzem i zeszła schodami na jego drugim końcu.

Panowała cisza, delikatnie zakłócana jedynie odległym, melodyjnym głosem śpiewaka, płynącym z dołu na falach żalości. Rosala uniosła dłonie do twarzy. Niedługo miało się rozegrać coś strasznego. Wiedziała, że mogłaby zawołać o pomoc, i może przybyłaby ona na czas, choć było bardziej prawdopodobne, że nie.

Nie była kobietą skłonną do wrzasków.

Odetchnęła, by się uspokoić, usiłując podjąć jakąś decyzję. Pierwszy i jedyny obowiązek miała wobec Cadara, a zatem musiała strzec własnego bezpieczeństwa, ponieważ była jedyną na świecie ostoją swego dziecka. Nie podlegało to żadnej dyskusji, podobnie jak wybory, jakie taki obowiązek narzucał.

Rosala de Savaric wstała, spojrzała wzdłuż korytarza na drzwi, za którymi spał jej nowo narodzony syn i ruszyła stanowczym krokiem w przeciwną stronę. Była córką swego ojca i nie zamierzała cicho siedzieć w wykuszu okna i pozwolić, by w zamku, w którym znalazła schronienie, kogoś zamordowano.

Tak się składało, że wiedziała, do czyjego ciągu pokoi właśnie wszedł mężczyzna z nożem. Od czasu przybycia tego gościa korytarz pachniał mieszaniną perfum i przypraw. Kapłanki i mamka od dwóch dni mówiły tylko o tej kobiecie. Rosala zatrzymała się przed jej

drzwiami tylko na chwilę, by po raz ostatni spojrzeć w stronę pokoju Cadara, a potem gestem odziedziczonym po matce wyprostowała ręce, otworzyła drzwi Lucianny Delonghi i weszła do środka.

\*\*\*

Gospodę opuścili najpierw Daufridi i jego eskorta. Bertran dał im trochę czasu, a następnie sami pojechali do Lussan, najpierw pod drzewami, a potem wzdłuż zachodniego brzegu rzeki pod błękitnym księżycem. Tuż za murami miasta księżę odłączył się od pozostałej trójki.

Spojrzał na Blaise'a, zawahał się, a potem pokazał zęby w wilczym uśmiechu.

- Nie powiedziałem ci, że dziś rano przybył baron zamku Baude. Pomyślałem, że przed udaniem się na nocny spoczynek przywitam się z Mallinem. Mam mu przekazać pozdrowienia od ciebie?

Nawet mając w pamięci to, czego się dowiedział latem od Ariane de Carenu, Blaise nadal odczuwał niepokój na myśl o niespożytej energii Bertrana pod tym względem. Po wszystkim, co się właśnie stało, ledwie zakończywszy ponure dyskusje na temat bezpieczeństwa jego kraju, księżę Talair zamierzał włączyć się po nocy.

Blaise wzruszył ramionami.

- Proszę - mruknął. - I Soresinie, jeśli przypadkiem się z nią zobaczysz.

Bertran znów błysnął uśmiechem.

- Nie czekajcie. Wschód słońca ujrzy mnie na ścieżce do domu, kiedy wstanie ranek.

Zawsze tak mówił - był to refren jednej z jego dawnych pieśni. Zawrócił konia i zniknął wśród cieni.

- Powinien być sam? - zapytał Rudel. - W tych okolicznościach?

Blaise pomyślał, że w tym też jest coś nadzwyczajnego - człowiek, który zadał to pytanie, trzy miesiące temu usiłował Bertrana zabić.

- Nie będzie - odparł cicho Valery, patrząc w zaułek, którym odjechał jego kuzyn. - Patrzcie.

Chwilę później zobaczyli, jak z ciemności wypadają galopem trzej jeźdźcy i podążają za księciem. Przejeżdżając pod murami miasta przez plamę światła rzucanego przez pochodnie, jeden z nich im pomachał; Valery uniósł w odpowiedzi rękę. Blaise rozpoznał liberię i nieco się uspokoił - hrabina Arbonne najwyraźniej bardzo się starała strzec swego krnąbrnego księcia.

- Czy wjeżdżają też do sypialni? - zapytał.

Valery parsknął śmiechem i trącił konia ostrogami.

- Musimy założyć - powiedział - że w sypialniach sam potrafi o siebie zadbać.

Rudel się roześmiał.

- Wie, że jest pilnowany?

- Prawdopodobnie - odparł Valery. - Chyba go to bawi.

- Jak większość spraw - zgodził się Rudel.

Valery obrócił się w siodle, by na niego spojrzeć.

- Większość, ale nie wszystkie. Nie daj się zmylić, jeśli się do nas przyłączasz. Prawdziwe było to, co mówił dziś w nocy do Daufridiego, to, jak z nim postępował. Większość pozostałych spraw, to, co robi teraz, stanowi część długiej ucieczki.

Zapadło krótkie milczenie.

- Udanej? - Rudel Correze był nadzwyczaj inteligentnym człowiekiem. Zapytał o to z namysłem.

Blaise znów sobie przypomniał tamtą klatkę schodową w zamku Baude, przechodzącą z rąk do rąk manierkę seguignaca.

- Chyba nie - rzekł cicho. - Dlatego tak ciężko pracuje. Uważam - zwrócił się do Valery'ego - że już dawno temu powinien był zabić Urtégo de Miraval.

Ponieważ przejeżdżali pod arkadą spinającą ulicę, twarz Valery'ego skryła się w mroku.

- Ja też - odezwał się w końcu. Ponownie wyjechali na błękitne światło księżyca, padające ukosem wzdłuż stromych dachów domów. - Ale nie jesteśmy poetami, prawda? I było tam dziecko.

W jego głosie brzmiał zadawniony, wyblakły gniew; żar przysypany popiołem, lecz wciąż gorący.

- To mi trzeba będzie wyjaśnić - stwierdził Rudel.

- Później - odparł Blaise. - To zbyt skomplikowane na dzisiejszą noc.

Jechali dalej. Niektóre ulice w pobliżu placu targowego były oświetlone, lecz nie spotykali wielkich tłumów. Jarmark w Lussan, jak wszystkie inne jarmarki, nie przypominał karnawału. Przede wszystkim trwał miesiąc i Blaise pomyślał, że nawet Bertran de Talair nie przeżyłby takiej hulanki. Jarmarki służyły robieniu interesów, a odpowiednia doza nocnej aktywności dodawała im smaczku.

Rudel, co być może było do przewidzenia, myślał chyba właśnie o tym; podjechali do dwóch latarń palących się przed miodowymi ścianami pałacu Talair i odprowadzili konie do mieszczących się na jego tyłach stajni. Z ciemności wyłonił się zaspany stajenny i przejął wierzchowce. We trzech wrócili do drzwi frontowych. Kiedy znów się znaleźli pod

latarniami, Blaise dostrzegł u Rudela dobrze mu znaną minę.

- Tuż za portezzańską częścią targu jest wesoła karczma - powiedział Rudel. - Naprawdę idziemy spać czy też zostało w nas jeszcze trochę życia? Chętnie postawiłbym coś do picia pretendentowi do korony Gorhaut.

Valery rozejrzał się szybko, lecz Rudel bardzo ściszył głos, a plac przed domem był pusty. Mimo to Blaise poczuł, jak na wspomnienie tego, co powiedział tej nocy, gwałtownie przyspiesza mu puls.

„Wydaje się, że jednak mamy kilka spraw do omówienia”, powiedział Daufridi z Valensy, patrząc twardo na Blaise’a, a potem uważnie słuchał ze ściągniętymi brwiami, jak Bertran de Talair nakreśla kilka propozycji; niektóre były zaskakujące, a przynajmniej jedna dość przerażająca.

Stojąc na ulicy przed domem, Valery kręcił głową.

- Jestem dzisiaj starym człowiekiem. Zbyt wiele zakrętów na drodze jak na moją biedną głowę. Potrzebuję poduszki bardziej, niż mogą to wyrazić słowa. Wy idźcie. Bądźcie jeszcze chwilę młodzi.

W gruncie rzeczy Blaise był rozdarty między równie silnymi pragnieniami - jednym była potrzeba spokoju jego komnaty, a drugim chęć odreagowania targającego nim podniecenia. Kiedy w przeszłości Rudel proponował noc poza domem, rzadko mu się sprzeciwiał.

W pierwszych miesiącach w Götzlandzie, a potem w Portezzie, po tym, jak po raz pierwszy opuścił Gorhaut - ta zupełnie nowa myśl przyszła mu do głowy nagle - sam sprawiał wrażenie, że gorączkowo szuka jakiejś drogi ucieczki. W końcu wyszło na to, że kręta trasa przez tyle gospód i miast, przez wszystkie turnieje, dwory i zamki, noce i poranki spędzone na drogach, poranna mgła nad polami bitew i morderstwo w Faennie, że wszystko to sprowadziło go tego chłodnego jesiennego wieczoru w Arbonne z powrotem do Gorhaut, do kraju, który jest jego domem, i do Traktatu Mostu na Iersen, którego dwa razy przysiągł - drugi raz na krew matki w burzliwą noc w Garsenc - nigdy nie zaakceptować.

Przysięgi składane przez młodszych synów, nawet pochodzących z najpotężniejszych rodzin, rzadko miały jakieś znaczenie w świecie. Tej nocy wyglądało na to, że jego własna przysięga może się okazać nieco inna. Albo to, albo ścieżki szaleństwa były jeszcze szersze, gładsze i przyjemniejsze, niż powiadano, a on stanowczo wkroczył na jedną z nich.

Blaise zdał sobie sprawę, że nie zaśnie. Valery, uśmiechnąwszy się krzywo do nich obu, podszedł do drzwi i cicho zastukał. Kratka wizjera odsunęła się, a potem coran pełniący wartę otworzył drzwi.

- Dobranoc! - zawołał przez ramię kuzyn Bertrana. - Postarajcie się być cicho, kiedy już

wróćcie. Obiecuję, że ja będę spał.

Blaise popatrzył za nim, a potem odwrócił się do Rudela. Zobaczył w świetle latarni, że przyjaciel przechylił głowę i uniośł wyczekująco brwi. Valery powiedział, że młody Bertran był właśnie taki; nietrudno było dostrzec podobieństwo.

- Prowadź - rzekł Blaise. - Jeśli wydarzenia potoczą się tak, jak się zaczęły, a ty naprawdę zamierzasz wytrwać przy mnie, to może to być ostatnia okazja, kiedy będziemy mogli wejść do gospody wyłącznie jako corani do wynajęcia.

- Wytrwać przy tobie? - zapytał Rudel, podnosząc głos. Ruszyli ulicą. - Sądysz, że mógłbyś się teraz mnie pozbyć? - Skręcił za róg, zmierzając w stronę odległego blasku świateł przy placu targowym. Była piękna pogodna noc. - Wszystkie bogactwa mego ojca nie zdołałyby sprawić, bym porzucił tak zabawną grę, jaką się ona teraz stała.

- To świetnie - powiedział ponuro Blaise. - Cieszę się, że znów cię bawię. Co się stanie, kiedy pošlę cię do ojca z prośbą o wsparcie nas wszystkimi jego bogactwami?

Rudel Correze wybuchnął śmiechem. Wciąż się śmiał, kiedy z zaułka wybiegło sześciu mężczyzn i zastąpiło im drogę z przodu i z tyłu. Celowali w nich z łuków.

Na ciemnej ulicy było spokojnie, a jedyne światła znajdowały się daleko przed nimi albo za nimi. Patrząc na zabójczo stanowcze sylwetki przed sobą, Blaise ujrzał w wyobraźni Bertrana gdzieś w mieście, z Soresiną de Baude, a potem Valery'ego, powoli wchodzącego na kręte schody w miejskim pałacu rodu Talair i ze spokojem udającego się na spoczynek.

- Muszę powiedzieć - usłyszał słowa Rudela - że uważam to za głęboko obraźliwe. Bardzo się szykowałem na to picie w „Senhalu”. Chyba wiecie - ciągnął, podnosząc głos na użytek milczących napastników, którzy ich otaczali - że jestem synem Vitalle'a Correze i jeśli dalej będziecie się nam naprzykrzać, z pewnością staniecie się martwi, i to w bardzo nieprzyjemny sposób.

Wykorzystując czas zyskiwany przez przyjaciela na wypatrzenie wśród mrocznych zaułków jakiejś możliwości ucieczki, Blaise pomyślał, że jedno na pewno można powiedzieć o Rudelu - że nigdy nie wahał się powoływać na swego ojca. Być może brało się to z dobrych relacji. Blaise wolałby umrzeć, niż jako środkiem ratunku posłużyć się jeszcze bardziej znaczącym imieniem Galberta de Garsenc.

Preferencja ta wkrótce mogła się w dość ponury sposób ziścić. To nie byli banici ani jacyś renegaci. Czując nieprzyjemne laskotanie w żołądku, Blaise pomyślał, że chyba rozpoznaje jednego z łuczników. Nie mieli rozpoznawalnych liberii, lecz był niemal pewien, że najbliższego już kiedyś widział: zeszłego lata w Tavernel u boku en Urtégo de Miraval w wejściu do „Liensenne”.

- Chyba ich znam - mruknął do Rudela. - Obawiam się, że źle to wygląda.

- Nie sądziłem, że wygląda to szczególnie dobrze - odparł zgryźliwie Rudel. - Ty w lewo, ja w prawo?

Mieli miecze, bezużyteczne w starciu z łucznikami. Blaise nie umiał wymyślić żadnego lepszego planu. W tej części miasta ulice były puste. Znajdowali się daleko od placu targowego. Pozostała im nadzieja, że łucznicy być może chybią w niepewnym świetle.

- Przykro mi - powiedział. - Było dla ciebie lepiej, kiedy się na mnie złościłeś.

- Nie bardzo. Gniew źle robi na serce i wątrobę. Tak mówi lekarz mojego ojca. Radzi prowadzić spokojne życie. Chyba potem spróbuję się do tego zastosować.

Gotowy do skoku w chwili, gdy poruszy się Rudel, Blaise zadał sobie pytanie, dlaczego żaden z łuczników nie odezwał się choć jednym słowem czy nie wydał gestem żadnego rozkazu.

A potem, kiedy z zaułka wyszło szybkim krokiem jeszcze czterech i zbliżyło się od tyłu, Blaise zrozumiał. Po co wydawać rozkazy, jeśli chce się tylko unieruchomić ofiary na tyle czasu, by kaci mogli je zarżnąć? Jednego z tych ludzi też rozpoznał. To była jego ostatnia jasna myśl.

- Spokojne życie to jest to - usłyszał, jak powtarza rozmarzonym tonem Rudel.

Kątem oka dostrzegł, że jego przyjaciel pada na kolana, a potem sam stracił przytomność od zamaszystego ciosu drewnianą pałką.

\*\*\*

Wraz z odzyskaniem świadomości poczuł tak straszliwy ból głowy, że gdy tylko otworzył oczy, pokój się zakotłosał, niemal przyprawiając Blaise'a o mdłości. Natychmiast opuścił powieki. Świadomość, choć nie w pełni, pozostała i Blaise miał dziwne wrażenie, że leży na czymś nieoczekiwanie miękkim i że otacza go zapach perfum. Znał go, wiele mu się z nim kojarzyło. Bardzo wiele. I chwilę później, kiedy wróciła pełna świadomość, Blaise uzmysłowił sobie, gdzie się musi znajdować. Wstrząśnięty odkryciem, mimowolnie otworzył oczy i przekręcił głowę, by się rozejrzeć. Ruch ten wywołał falę mdłości i Blaise aż syknął z bólu.

- Bardzo tego żałuję - rozległ się kobiecy głos - ale musiałam im powiedzieć, że być może nie zechcesz przyjść dobrowolnie.

- Po co sobie zadawać taki trud? - wykrztusił Blaise. Nie widział jej. Znajdowała się za nim. Dopiero kiedy spróbował, kosztem sporego bólu, przekręcić się, zdał sobie sprawę, że jest skrępowany. Leżał na jej łóżku, co wyjaśniało miękkość, ręce i nogi miał przywiązane do

czterech słupków łóżka. Wszędzie wokół siebie czuł niezapomniany zapach jej perfum. - Dlaczego nie kazałaś mnie po prostu zabić na ulicy?

- Co? - powiedziała Lucianna Delonghi, wchodząc wreszcie w jego pole widzenia. - Miałabym pozbawić się tej przyjemności?

Nie widział jej od ponad roku. Miała na sobie jedwab tak przejrzysty, że równie dobrze mogłaby być naga. Otaczał ją blask biżuterii - diademu we włosach, szafirów w uszach, brylantów i morskich pereł na szyi. Na długich palcach miała pierścienie, na nadgarstkach złoto, srebro i kość słoniową, a między piersiami zwieszał się niezwykle, pamiętny wisior, czerwony niczym ogień trzaskający na kominku. Pamiętał, że lubiła biżuterię, że lubiła, by w jej pokoju płonął ogień, nawet jeśli nie było zimno, że lubiła w swoim łóżku sznury, węzły i zabawki.

Zabrano mu ubranie i buty, miał na sobie tylko bieliznę osłaniającą intymne części ciała. Znow bez powodzenia próbował poruszyć rękami i z niejaką rozpaczą uświadomił sobie, że oprócz wściekłości i kilku rodzajów bólu odczuwa powrót pożądania, nieubłagany niczym przyływ morza.

Była tak piękna, że poczuł ucisk wokół serca. Była ucieleśnieniem wizji z legendy o raj, który czekał na coranów poległych w bitwie. Miał sucho w ustach. Patrzył na nią, na jej lśniąco zawołaną nagość, i wróciło do niego wspomnienie uprawianej przez nich przed dwoma laty miłości, kiedy byli spleceni ze sobą, a jej nogi obejmowały w pasie jego rozkołysane nad nią ciało, paznokcie znaczyły jego ramiona i ręce, a gdy szczytowała, charakterystycznie wyginała do tyłu szyję - wszystko to znow przeżywał w wyobraźni, jakby działo się teraz, wszechogarniające jak unoszący się w komnacie zapach. Uświadomił sobie z poczuciem bezradności, że jego podniecenie na pewno jest widoczne. Lucianna też je zauważyła, zerknawszy w dół. Zawsze szybko się orientowała w takich sprawach. Na krótko odwróciła wzrok; wokół jej ust błąkał się leciutki, pełen zadowolenia uśmiech.

- Jakie to słodkie - mruknęła swym wieloznacznym, chropawym głosem. Na chwilę zniknęła mu z oczu, lecz zaraz powróciła. - A cały czas myślałam, że odszedłeś, ponieważ się rozgniewałeś, ponieważ przestałeś mnie pożądać. - Spojrzała na niego z góry, stojąc przy łóżku. - Nie lubię, kiedy mężczyźni ode mnie odchodzą, Blaise. Nie mówiłam ci tego?

Teraz w dłoni trzymała nóż, który wzięła z nocnego stolika. On też miał w rękojeści klejnoty - rubiny barwy krwi. Bawiła się nim, idąc w stronę nóg łóżka i przygryzając dolną wargę - jakby się nad czymś zastanawiała, ścigała wspomnienie - a potem zaczęła bezmyślnie wodzić klingą po podeszwie stopy Blaise'a. Nagle ją przekreśliła i Blaise poczuł, że czubek sztyletu przebił skórę. Czekał na to.

- Odszedłem, ponieważ tego chciałaś, Lucianno. Nie udawaj, że tak nie było. - Po ciosie w głowę i przy coraz intensywniejszym pożądaniu trudno mu było składnie myśleć. Otaczał go jej zapach, jeszcze bardziej mącąc mu w głowie. Lucianna dalej obchodziła łóżko, a blask ognia oświetlał płaszczyzny i krągłości jej ciała. - Wiesz, że mogłaś mnie zatrzymać, gdybyś tego chciała. Nie umiałbym ci odmówić, nawet po Engarrze.

- Ach - powiedziała i zatrzymała się, by spojrzeć na niego. Miała bladą, nieskazitelną skórę. Wciąż czasami szokowała go świadomość, jak jest młoda. - Ale ty chciałbyś odmówić, prawda, mój drogi? Zostałbyś tylko wbrew rozsądkowi, uwikłany w moje mroczne sidła... Czyż nie tak by było, Blaise?

Przełknął z trudem ślinę. Była córką swego ojca, najsubtelniejszą kobietą, jaką znał. Teraz nóż wędrował w górę po wewnętrznej stronie jego uda.

- Muszę się napić, Lucianno - powiedział.

- Znam twoje potrzeby. Odpowiedz na moje pytanie.

Blaise najpierw odwrócił głowę, a potem spojrzął jej prosto w oczy.

- Tak się składa, że się mylisz. Byłem nawet bardziej niewinny, niż sądziłaś. Rudel usiłował mnie ostrzec, a ja nie chciałem go słuchać. Myślałem, jeśli potrafisz w to uwierzyć, że byłaś taka tylko dlatego, że twój ojciec zmusił cię do zostania jego narzędziem, instrumentem polityki. Myślałem, że gdybyś dokonała wolnego wyboru, wciąż umiałabyś szczerze kochać, i myślałem, że mogłabyś tę miłość ofiarować mnie. - Poczul, jak krok po kroku zaczyna wracać gorycz, jak zwykle zmieszana z pożądaniem. - Byłem jeszcze większym głupcem, niż mogłoby się wydawać.

Co dziwne, kiedy to mówił, przyszło mu do głowy, że coś bardzo podobnego powiedziała mu latem w innym łóżku Ariane de Carenu o wyborach i ścieżkach miłości. Pomyślał też poniewczasie, że ta rozmowa jest dość absurdalna; został tu przecież sprowadzony, by umrzeć. Zadał sobie pytanie, gdzie jest jej mąż. Borsiard d'Andoria zapewne czeka na nią za murami miasta. Co prawda, Blaise'a przynieśli tu corani z Miraval; dziwny to sojusz. „Kiedy wrogowie człowieka naradzają się razem”, głosiło gorhauckie przysłowie, „trzeba mu ptasich skrzydeł do latania albo lwiej siły do walki”. W tej chwili nie miał ani jednego, ani drugiego. Był związany i bezradny na łożu Lucianny, a w głowie mu dzwoniło jak na świątynnej dzwonnicy.

- Rób, co chcesz - rzekł ze znużeniem, kiedy była kochanka nie poruszyła się ani nic nie powiedziała.

Starannie umalowane ciemne oczy miała szeroko rozwarte, lecz nic nie dawało się z nich wyczytać. Jej źrenice były większe, niż powinny. Uświadomił sobie, że zażyła swoje środki.



Zwiększały przyjemność. Zadał sobie pytanie, czy teraz używa ich już stale. Zadał sobie pytanie, jak śmiertelna kobieta może być aż tak piękna.

Jeszcze raz spróbował przełknąć ślinę.

- Można by sądzić, że chociaż honor twojej rodziny nie pozwoli ci torturować człowieka, który nigdy cię nie skrzywdził ani nie chciał tego zrobić. - Mówię jak prawnik proszący o łaskę, pomyślał. - Jeśli musisz mnie zabić, z jakichś własnych powodów czy też zachęcona przez męża, to skończ już z tym, Lucianno.

Znów zamknął oczy.

- Twoja sytuacja raczej nie pozwala ci wysuwać żądań, prawda, Blaise? Albo wygłaszać nieprzyjemnych komentarzy na temat postępowania mojego ojca czy męża - dodała ostrzejszym tonem.

Poczuł wbity w udo czubek noża. Nie zareagował. Wciąż miał zamknięte oczy; wydawało się, że to jego jedyna możliwość wyrażenia sprzeciwu. To oraz milczenie. Kiedyś, w Mignano, wiedziała, że nie spodobało mu się coś, co powiedziała podczas bankietu. Tamtej nocy jej służąca przyszła po niego znacznie później niż zwykle. Kiedy przybyli do jej pokoju, zobaczył dławce. Co najmniej setka świec rozmaitych kształtów i rozmiarów płonęła wokół łóżka, na którym leżała Lucianna, naga w roztańczonym świetle jak ofiara w jakiejś świątyni umarłych i zapomnianych bóstw. Ręce i nogi miała przywiązane do łóżka jak on teraz.

Zaczekała wtedy, aż służąca wyjdzie, i powiedziała:

- Jesteś niezadowolony. Nie masz po temu powodów. Rób ze mną, co chcesz.

Pamiętał, że nawet wówczas zauważył, że nie są to przeprosiny. Nie była kobietą skłonną do przepraszania. Bez uśmiechu, z ogromnymi oczyma, wykręcała się powoli w lewo i w prawo w blasku świec, a jej ciało lśniło od olejku. Blaise stał nad łóżkiem, patrząc na nią przez długi czas. Powoli się rozebrał, a ona leżała związana w oślepiającym blasku i patrzyła na niego... a potem rozwiązał wszystkie węzły i położył się obok niej.

Pamiętał, że Lucianna się roześmiała. Pomyślał wtedy, że być może z ulgą. Teraz, kiedy przeżywał te chwile ponownie, usłyszał ów śmiech inaczej, jako skutek szczerego rozbawienia jego niewinnością - zaprawiony w bojach gorhaucki coran, kopulujący w dekadencej Portezzie z najmniej niewinną kobietą świata. Chociaż Lucianna była młoda, wydawało się, że nigdy młoda nie była. Znów poczuł gorycz; możliwe, że zawsze będzie mu ona towarzyszyć. Pomyślał nagle, że Bertranowi de Talair nigdy się nie udało wyjść poza to, co przydarzyło mu się w miłości, kiedy był młody.

Nadal milczała. Blaise wciąż miał zamknięte oczy. Poczuł, że klinga przestaje go ranić, i chwilę później usłyszał głos Lucianny:

- Pomyślałam wtedy... pamiętam, że pod koniec tamtego lata, zanim został zabity Engarro... myślałam, że poznałam cię za późno.

W jej głosie pojawiła się dziwna nuta. Lecz nie to sprawiło, że Blaise w końcu otworzył oczy. Usłyszał jakiś inny dźwięk, dobiegający z przeciwległego krańca pokoju, i poczuł na skórze muśnięcie powietrza.

Kiedy podniósł wzrok, Lucianna była odwrócona w stronę drzwi i podążając za jej spojrzeniem, Blaise zobaczył stojącego w nich Quzmana z Arimondy. Mężczyzna pokazywał białe zęby w szerokim uśmiechu, a w ręce trzymał sztylet długi jak niewielki miecz.

Lucianna zerknęła na Blaise'a oczyma rozszerzonymi i pociemniałymi od narkotyku, a potem odwróciła się do niego plecami i podeszła do ognia, zostawiając pustą przestrzeń między Blaisem i Arimondańczykiem, który przyszedł zakończyć jego życie. Przynieśli go tu rzeczywiście corani z Miraval; ostatni element układanki trafił na swoje miejsce.

- Rozciągnięty jak koniokrad - odezwał się radośnie Quzman. - Gdyby to była Arimonda, zostawiłbym go na pustyni obok gniazda krwawych mrówek, a przedtem polałbym miodem intymne części jego ciała oraz oczy.

Lucianna nic nie mówiła. Nadal wpatrywała się w ogień.

- Jakie to dla mnie szczęście, że nie jesteśmy w Arimondzie - rzekł lodowatym tonem Blaise. Nie zamierzał sprawiać temu człowiekowi żadnej przyjemności ponad tę, jaką będzie czerpał z jego śmierci. - Krainie tchórzy i kazirodców uprawiających pederastię.

Uśmiech Arimondańczyka nie zmienił się ani na jotę.

- Jesteś głupi - powiedział Quzman. - Nie powinieneś mnie drażnić. Nie z genitaliami tak bezbronnymi przed moją klingą. Tu się skończy twoje życie. Duch mojego brata jest głodny twego cienia w zaświatach, a ode mnie zależy, czy przejdiesz do boga z łatwością, czy z wielkim trudem.

- Nie - odezwała się cicho Lucianna, odwrócona plecami do nich obu. - Zrób to, po co tu przyszedłeś, ale zrób to szybko.

- To, po co tu przyszedłem? Przyszedłem wykonać egzekucję - odparł Arimondańczyk, uśmiechając się jeszcze szerzej. - I może zaznać nieco przyjemności z jego ciałem, kiedy już będzie martwy.

- Spodziewasz się zbyt wiele - rzekła Lucianna, nadal nie odwracając się od ognia.

Mówiła beznamiętnym, bardzo cichym głosem. Arimondańczyk się roześmiał i zbliżył do łóżka.

- Zaiste, surową zdaje się to karą - powiedział Blaise do Lucianny, wędrując wzrokiem od mężczyzny ze sztyletem do kobiety, która nauczyła go wszystkiego, co wiedział o pewnych

wymiarach radości i bólu - za zbyt późne poznanie cię. Mam nadzieję, że ucieszy to twojego nowego męża, a może nawet następnego.

Wydała jakiś cichy dźwięk; Blaise pomyślał, że mógł to być śmiech. Nie zdążył jednak dobrze się nad tym zastanowić, bo w tej właśnie chwili, kiedy się odwrócił, żeby jak mężczyzna stawić czoło śmierci, z godnością i zgodą na nieskończoną, wieczną potęgę boga, znów rozwarły się drzwi i do pokoju za plecami Arimondańczyka weszła, ku najwyższemu zdumieniu Blaise'a, jego szwagierka.

- Jeśli użyjesz tego sztyletu - usłyszał Rosalę mówiącą swym najbardziej rzeczowym tonem - to przysięgam na świętego Corannosa, że jeszcze przed świtem każę cię sprowadzić przed oblicze hrabiny Arbonne i że nie spocznesz, dopóki nie spotka was kara za pogwałcenie rozejmu przez morderstwo.

I dopiero wtedy, kiedy wypowiedziała te słowa i jej potężny wewnętrzny impet jakby stracił na sile, dotarło do niej - Blaise to widział - kto leży na łóżku. Czując wpatrzony w siebie trzy pary oczu, powiedziała tonem tak całkowicie zmienionym, że można się było niemal roześmiać:

- Blaise?

Lucianna się roześmiała.

- Jakie to wzruszające. Rodzinne spotkanie - mruknęła, odwracając się od ognia. Wciąż trzymała w ręce własny wysadzany klejnotami sztylet. - Zabłąkane dzieci Garsenc w jaskini mrocznej damy. Ktoś na pewno stworzy o tym balladę.

- Nie sądzę - rzekł Quzman z Arimondy. - Ponieważ teraz trzeba zabić oboje.

Jego uśmiech zniknął. Postąpił krok w stronę Blaise'a.

- Teraz - powiedziała głośno i bardzo wyraźnie Lucianna DeLonghi.

Wewnętrzne drzwi, znajdujące się po obu stronach łóżka, rozwarły się z hałasem. Do pokoju wpadło sześciu coranów w barwach hrabiny, z dobytymi mieczami, zaraz za nimi pojawił się Roban, kanclerz Arbonne, a za nim, już trochę wolniej, czarnowłosa, bogato odziany przystojny mężczyzna o mrocznej urodzie. Na końcu do komnaty wszedł Rudel Correze; poruszał się z najwyższą ostrożnością i przykładał do skroni kompres.

Corani otoczyli Arimondańczyka. Jeden odebrał mu sztylet. Quzman nie spuszczał ponurego i złowrogiego wzroku z twarzy Lucianny. Odpowiadając mu krótkim, lodowato patrycjuszowskim spojrzeniem, rzekła:

- Popełniłeś błąd, a także jesteś nieokrzesanym, nieprzyjemnym człowiekiem. Jedno można by ci wybaczyć, gdyby drugie nie było prawdą. A mogłabym dodać, że oba te stwierdzenia są równie prawdziwe w odniesieniu do księcia Miraval, któremu służysz w tej

sprawie.

Te ostatnie słowa też wypowiedziała wyraźnie. Blaise spostrzegł, że przystojny mężczyzna, który był jej ojcem, uśmiechnął się blado, a kanclerz Roban się skrzywił. Blaise powoli zaczynał sobie uświadamiać, że przynajmniej na razie nie umrze. Że Lucianna przygotowała to wszystko jako zasadzkę na... na kogo? Quzmana? Urtégo? Na nich obu? Spojrzał w lewo i zobaczył Rudela opierającego się o słupek łóżka i patrzącego na niego z góry z miną, która mogłaby uchodzić za rozbawioną, gdyby nie miał tak zielonej twarzy.

- Jeśli nie przestaniesz się bezużytecznie gapić i nie przetniesz tych sznurów - warknął Blaise przez zaciśnięte zęby - to nie ręczę za to, co ci później zrobię.

- Mnie? - zapytał z naciskiem. - A cóż ty mi możesz zrobić gorszego od tego, co już mnie spotkało? Właśnie zostałem niemal zabity przez coranów z Miraval w interesie wybiegu mojej przekłętej kuzynki Lucianny, który nie miał nic wspólnego ze mną.

Ale zaczął, poruszając się bardzo ostrożnie, rozcinać więzy Blaise'a.

- Jesteś aresztowany w imieniu hrabiny Arbonne - mówił kanclerz do Quzmana. Nie wyglądał na zadowolonego. Blaise, który wreszcie mógł usiąść i powoli rozcierał nadgarstki, miał niejakię pojęcie dlaczego. - Rano zadecyduje o twoim losie - dokończył zimno Roban.

Arimondańczyk był odważnym człowiekiem.

- Tylko o moim losie? - zapytał. - Widzisz, jak ta kobieta kazała dla mnie związać tego przybysza z północy jak wieprza na rzeź. Wiesz, że jej mąż próbował go zabić na drodze. Pozwolisz jej prowadzić tę podwójną grę i śmiać się z nas wszystkich?

Blaise zerknął na stojącą przy oknie Luciannę. Nie raczyła spojrzeć na Quzmana ani na nikogo z obecnych.

- Nie widzę, by ktokolwiek się śmiał - zauważył kanclerz. - A jeśli jej gra była podwójna, to się skierowała tylko przeciwko niej. Poinformowała mnie o twojej propozycji zeszłego wieczoru, zaraz po tym, jak ją złożyłeś.

Dobra próba odwrócenia i zmniejszenia szkód, pomyślał Blaise, ale raczej się nie powiedzie. Nie przy tym drugim mężczyźnie, który wszedł do komnaty, a teraz stał i uważnie słuchał. Blaise akurat sporo wiedział o Massenie Delonghim. Przed dwoma laty mieszkał w jego pałacach i sypiał z jego córką. Razem z Rudelem Correze zabili dla niego księcia.

Jednakże, sądząc z rozwoju wydarzeń, wyglądało na to, że Lucianna nie zamierzała doprowadzić tej nocy do zamordowania Blaise'a, chociaż wciąż należało wyjaśnić sposób, w jaki kazała go związać, oraz to, co zrobiła i powiedziała. A może jednak nie, pomyślał. „Nie lubię, jak mężczyźni ode mnie odchodzą, Blaise. Nie mówiłam ci tego?”. Może otrzymał odpowiedź. Może powiedziała ni mniej, ni więcej, tylko prawdę. Jakież by to było

nowatorskie, pomyślał cierpko.

Tak jak się spodziewał, próba kanclerza, by odwrócić uwagę, nie powiodła się.

- Jest w to co prawda zamieszana jeszcze jedna osoba - odezwał się Massena Delonghi, reprezentacyjny, gładki w obejściu mężczyzna, o którym mówiono, że chce sobie podporządkować Portezę i że systematycznie dąży do tego celu, wykorzystując małżeństwa córki. - Powiedziano mi, że tego Arimondańczyka zatrudnia książę Miraval. Wiem od mojej drogiej córki, że naszego młodego przyjaciela oraz umiłowanego kuzyna zaatakowali corani księcia Urtégo.

- Dziękuję - powiedział pogodnym tonem Rudel. - Tak się cieszę, że ktoś sobie o tym przypomniał.

Roban wcale nie wyglądał na ucieszonego.

- Rano oczywiście postaramy się usłyszeć, co en Urté ma do powiedzenia o tym wszystkim. Na razie jest tylko ten mężczyzna, schwytany przez... knowania... twojej córki w trakcie usiłowania zabójstwa.

- Za co zostanie napiętnowany i powieszony, jak mniemam? - Lucianna w końcu się odwróciła, by na nich spojrzeć spod uniesionych brwi. Jej głos i zachowanie były chłodnym, skrzącym się odbiciem głosu i zachowania jej ojca. Blaise pamiętał i tę jej stronę. Spojrzała na kanclerza. - Dokładnie tak, jak został napiętnowany i powieszony przez księcia Talair biedny kuzyn mojego drogiego męża. Dokładnie w ten sam sposób, śmiem sugerować. Albo rzeczywiście będziemy mieli godne ubolewania powody, by kwestionować bezstronność hrabiny Arbonne w wymierzaniu sprawiedliwości obcym oraz tym, którzy służą jej własnym panom.

Słynne brwi pozostały wymownie uniesione.

- I zaiste rano musi zostać określona osobista odpowiedzialność księcia Urtégo za to niezwykle rażące naruszenie rozejmu - dodał teraz Massena Delonghi tonem raczej smutnym niż pełnym wyrzutu. - Wiem, że to dla hrabiny obowiązek godny pożałowania, lecz jeśli portezzańscy szlachcice mają podlegać egzekucjom jak pospolici złodzieje, to nie może ona patrzeć przez palce na wykroczenia swoich własnych poddanych, choćby zajmowali bardzo wysoką pozycję.

Blaise zdał sobie sprawę, że ojciec Lucianny bawi się każdą chwilą tego przedstawienia. Była to właśnie taka wieloaspektowa intryga, jaką Delonghi lubili najbardziej. Na upadku Urtégo albo skompromitowaniu hrabiny Massena tak naprawdę nie skorzystałby wiele, lecz obie możliwości sprawiłyby mu wielką przyjemność i w końcu - Blaise w to nie wątpił - przyniosłyby mu jakąś korzyść jako osobie odgrywającej zasadniczą rolę w nich obu. Jeśli

Arbonne miała nadzieję na zachowanie wewnętrznych waśni dla siebie, to teraz ta nadzieja prawie na pewno znalazła swój kres. Blaise zadał sobie cynicznie pytanie, czy Massena Delonghi wkrótce napisze do Galberta de Garsenc albo wyśle swego faktora w Cortil z nieformalną wizytą na dwór króla Ademara, by zaproponować jakąś cichą transakcję, mającą zrekompenzować Delonghim konsternację przeżytą w Arbonne.

Rudel, ponieważś pomocny, choć niezbyt w tej pomocy skuteczny, w końcu rozciął więzy krępujące Blaise'a w kostkach. Znalazł także ciśnięte w kąt pokoju jego ubranie i buty. Poruszając się w miarę żwawo - na ile pozwalało mu łupanie w głowie - Blaise się ubrał. Zobaczył, że Rosala usiadła na niskiej ławie przy drzwiach, z dala od wszystkich. Z dziwnie napiętym wyrazem twarzy obserwowała każdy jego ruch. Z niejakim zaskoczeniem uświadomił sobie, że kiedy się ostatnio widzieli, także był rozebrany. I, skoro już o to chodzi, ona też.

Drzwi komnaty wciąż były otwarte. Weszła przez nie służąca Lucianny, przerywając rozmyślenia Blaise'a. Dobrze pamiętał Imerę. Znacząco uśmiechnięta, towarzyszyła mu podczas licznych nocnych spacerów odbywanych w milczeniu przez ten czy inny pałac do komnat jego kochanki. Imera zatrzymała się w wejściu, przyjrzała się zastanej scenie i zauważywszy Arimondańczyka w wianuszkach dobytých mieczy, pozwoliła sobie na ledwie zauważalny uśmiech.

Kiedy Blaise na nią patrzył, poczuł się tak, jakby w ciągu tej nocy był zmuszony do odbycia podróży w przeszłość - najpierw w tej gospodzie za murami z Rudelem i królem Daufridim, a teraz w pokoju Lucianny - przez kolejne jej warstwy. Brakowało tylko jeszcze...

- Przybyła hrabina Arbonne - oznajmiła Imera.

Oczywiście, pomyślał Blaise, ostrożnie dotykając pokrytego zakrzepłą krwią guza na tyle głowy i szykując się do klęknienia. Tak naprawdę nie był zaskoczony; zaczynał nawet znajdować w tym wszystkim jakiś dziwaczny element humoru. Do pokoju weszła energicznym krokiem drobna, elegancka Signe de Barbentain, ubrana w bladobłękitną suknię wykończoną perłami. Za nią wkroczył - i to było szokujące - zwałisty, ponury książę Urté de Miraval.

- Pani! - zawołał Roban, wraz z pozostałymi składając głęboki ukłon. - Sądziłem, że śpisz, nie chciałem...

- Śpię? - odrzekła hrabina Arbonne. - Przy takiej pięknej muzyce na dole i zdradzie na górze w naszym pałacu? Za przyprowadzenie mnie tutaj na czas mogę podziękować jedynie księciu Miraval. Będziemy musieli rano porozmawiać, Robanie.

- Ależ, hrabino - zaczął kanclerz, nieco zbyt żarliwie - to sam książę Miraval...

- ...został poinformowany przez zatrudnionego u niego Arimondańczyka o spisku uknutym przez żonę wykluczonego z uczestnictwa w jarmarku Borsiarda d'Andorii, a stanowiącym drugą próbę zabójstwa naszego drogiego przyjaciela z Gorhaut.

Głos i zachowanie Signe były nadzwyczaj surowe.

- Quzman, co muszę z przykrością stwierdzić, ma osobisty żal do tego przybysza z północy - dodał gładko Urté. - Jest to nienawiść tak głęboka, że chcąc pomóc tej damie z Andorii w jej planie, był gotów pogwałcić rozejm ogłoszony na czas jarmarku. Postanowiłem pozwolić, by ta sprawa się przez pewien czas rozwijała, wierząc, że da się ją zatrzymać, i tym samym ujawnić leżące u jej źródła portezzańskie zło. Cieszę się, że tak właśnie się stało.

Mówiąc to, patrzył zimno na Luciannę.

Blaise zerknął na Rudela i zobaczył, że przyjaciel krzywo się do niego uśmiecha, wciąż przyciskając do skroni kawałek materiału. Jednocześnie odwrócili się w stronę kanclerza Arbonne. Zaskoczenie Robana znów było odrobinę zbyt wielkie. To bystry człowiek, pomyślał Blaise. Może mu się to jeszcze udać. Zauważył, że Massena Delonghi pobladł nieco pod ciemną opalenizną, lecz on też się lekko uśmiechał, dając wyraz uznaniu mistrza wobec zręczności intrygi.

- Ależ, hrabino, nie było żadnego portezzańskiego spisku - rzekł Roban, jakby podążając za myślą Blaise'a. - Łaskawa pani Lucianna Delonghi działała jedynie w celu zdemaskowania tegoż Arimondańczyka. Osobiście poinformowała mnie zeszłego wieczoru o jego zamiarach. Jedynie udawała, że zgadza się na jego plan, by zapobiec bardziej gwałtownemu morderstwu gorhauckiego corana. Zdaje się, że sądzi, że... w zamiary swego podwładnego był aktywnie zamieszany książę Miraval.

- Najwyraźniej sądziłam błędnie - mruknęła aksamitnym głosem Lucianna. - Z całą pewnością będę musiała to księciu wynagrodzić w bardziej prywatnych okolicznościach.

Posłała Urtému swój najbardziej oszałamiający uśmiech.

- Moja droga córka jest tak impulsywna - dodał Massena Delonghi, włączając się do gry - i naturalnie tak mocno pragnęła zadośćuczynić za... wcześniejsze wykroczenie jej równie impulsywnego męża. - Wzruszył ramionami i rozłożył ręce. - Wydaje się, że wszyscy działaliśmy tu w dobrej woli.

- Z wyjątkiem jednej osoby - rzekła lodowatym tonem Signe de Barbentain.

Patrzyła na Arimondańczyka.

Blaise widział to już wcześniej i miał okazję ujrzeć powtórnie: Quzman z Arimondy nie był ani tchórzem, ani głupcem. Otoczony stałą i wrogimi spojrzeniami, uśmiechał się.

- Zawsze tak jest, prawda? - zapytał cicho, patrząc bezpośrednio na swego pracodawcę.

Książę Urté zachowywał kamienną twarz i milczał. - To ja mam być ofiarą, a nie człowiek, który zamordował mojego brata. Zastanawiam się jednak - przy tych słowach zwrócił się z zuchwałym spojrzeniem i bez żadnych oznak szacunku do hrabiny Arbonne - jak zostanie wytłumaczone to, że dzisiejszej nocy posłużyłem się dziesięcioma coranami pana na Miraval bez jego wiedzy.

Słabe ogniwo, pomyślał Blaise, błyskawicznie analizując różne możliwości. Pograży Urtégo razem ze sobą. Jednakże znów nie docenił Arbonianina.

- Ta sprawa jest dla mnie źródłem niejakiego bólu - rzekł en Urté de Miraval, a w jego głębokim głosie pobrzmiwał żal. - Postanowiłem wypróbować lojalność i rozagę moich coranów i nie przestrzegłem ich o zamiarach Quzmana ani nie ujawniłem jego spisku. Z przykrością muszę stwierdzić, że, niestety, dziesięciu z nich uległo jego niezaprzeczalnej sile przekonywania. Sami żywią nienawiść wobec tego gorhauckiego corana, wywodzącą się z niefortunnego incydentu, w którym pół roku temu zginęło ich pięciu towarzyszy. Zgodzili się pomóc w tym strasliwym czynie.

- A zatem ci ludzie też z pewnością muszą ponieść karę - rzekł do hrabiny Massena Delonghi, kręcąc głową na tę ostatnią rewelację na temat ułomności świata, na temat zła, które najwyraźniej tak zuchwale kwitło pośród dobrych i uczciwych ludzi.

Blaise zobaczył, że Quzman z Arimondy nadal się uśmiecha - strasliwym uśmiechem, świadczącym o pełnym zrozumieniu.

- Już ponieśli karę - stwierdził krótko Urté. - Nie żyją.

Blaise uświadomił sobie, że kanclerz rzeczywiście wygrał. Wziąwszy pod uwagę, że jego jedynym celem było zapanowanie nad echami tych wydarzeń, zadbanie, by hrabina nie musiała zajmować się zawziętą waśnią między Miraval i Talair w tym tak bardzo delikatnym momencie sytuacji Arbonne, prawie na pewno mu się to udało. Blaise odwrócił się do Rudela i zobaczył w oczach przyjaciela, skierowanych na skromnego kanclerza Arbonne, kpiarski podziw.

Powodowany impulsem, Blaise znów się odwrócił w stronę drzwi, tam gdzie na ławie siedziała Rosala, i bez szczególnego zaskoczenia ujrzał w jej twarzy takie samo cyniczne zrozumienie. Zawsze była taka bystra. Zbyt łatwo było ją na początku widzieć tylko jako kobietę, wybraną żonę starszego brata, i nie zdawać sobie sprawy, jak jest inteligentna. Lecz były momenty, nawet podczas jego nielicznych, krótkich odwiedzin w domu, kiedy Blaise musiał sobie przypominać, czyją córką jest Rosala, i pamiętać, że każde dziecko Cadara de Savaric na pewno doskonale się orientuje w sprawach świata. Myśląc o tym, postąpił kilka kroków w jej stronę. Rosala stanowiła ostatnią i największą zagadkę tej nocy.



Z ponownym zaskoczeniem zobaczył, że Signe de Barbentain też się odwraca, uśmiecha do Rosali i siada obok niej na ławie. Hrabina Arbonne ujęła dłonie jego szwagierki.

- Myślałaś, że ratujesz komuś życie, tak? - zapytała.

Mówiła cicho, lecz Blaise, który podszedł bliżej, skupił się na nich obu i dosłyszał te słowa. Za jego plecami kanclerz rozkazywał związać Arimondańczyka.

- Tak sądziłam - odparła Rosala. - Nie wiedziałam, kto to jest.

- To sprawia, że ten czyn był jeszcze odważniejszy, moja droga. Jak się ma Cadar?

Blaise zamrugął.

- Śpi razem z mamką - odparła Rosala.

Mówiąc to, spojrzała na Blaise'a swymi czystymi, błękitnymi oczyma.

- To może zostawmy te nieprzyjemne sprawy i zajrzyjmy do twojego dziecka? - zaproponowała hrabina.

- Chętnie - mruknęła Rosala, wstając. Blaise uświadomił sobie, że serce mu wali jak młotem. - Nie widziałaś go od rana, prawda?

Signe też wstała. Uśmiechała się.

- Ale myślałam o nim cały dzień. Idziemy?

Blaise nie wiedział kiedy i jak, ale najwyraźniej przeszedł przez pokój w ich stronę. Hrabina spojrzała na niego. Blaise nie spuszczał jednak wzroku z Rosali. Pochylił się ostrożnie i złożył pocałunki na obu jej policzkach.

- To wielka niespodzianka, pani - powiedział niezręcznie, czując, że się czerwieni. Nigdy nie czuł się swobodnie w jej obecności. - Czy dobrze rozumiem? Powiłaś dziecko? Powiłaś dziecko tutaj?

Głowę trzymała wysoko, jej przystojne, inteligentne rysy nie zdradzały żadnego niepokoju, lecz znalazłszy się tak blisko, Blaise dostrzegł oznaki zmęczenia i napięcia. Mimo to wpadła do tego pokoju za mężczyzną ze sztyletem w dłoni, ryzykując życie, by uratować kogoś, kto znalazł się w niebezpieczeństwie.

- Przykro mi, że dowiadujesz się o tym w ten sposób - powiedziała. - Powiedziano mi, że tu jesteś, ale jakoś nie było łatwego sposobu, by cię zawiadomić, zważywszy na to, że opuściłam Garsenc bez wiedzy Ranalda i że nie zamierzam wracać. - Przerwała na chwilę, by mógł się z tym oswoić. - Rzeczywiście, powiłam dwa dni temu, z łaski Corannosa i Rian. Mój syn śpi kilka pokoi dalej. Nazywa się Cadar. Cadar de Savaric. - Ponownie przerwała. Blaise czuł się tak, jakby otrzymał drugi cios w głowę, w to samo miejsce, w które przedtem trafiła pałka. - Możesz go zobaczyć, jeśli chcesz.

- Jakie to słodkie, jak szczerze wzruszające - rozległ się rozbawiony głos tuż za jego

plecami. - Zaginione dzieci Gorhaut. Z pewnością miałam rację, o tym po prostu będzie musiała powstać ballada. Chodźmy wszyscy pozachwycać się dzieckiem.

Nie słyszał, jak podeszła do nich Lucianna; kiedyś całym jestestwem byłby skupiony na tym, gdzie dokładnie znajduje się jego kochanka. To bardzo dziwne, ale Blaise poczuł niejasny smutek wywołany tą zmianą.

- Nie przypominam sobie, bym cię zapraszała - rzekła spokojnie Rosala. - Nadal mogłabyś mieć ochotę użyć tej klingi, którą widziałam.

A więc widziała ten nóż i prawdopodobnie krew na jego ciele w miejscu, gdzie go skaleczyła Lucianna. Blaise zadał sobie pytanie, co wtedy pomyślała. Zadał sobie pytanie, co tu było do pomyślenia. Lucianna Delonghi nie była jednak przyzwyczajona, by inne kobiety mieszały jej szyki.

- Ja dżgam niemowlęta nożem tylko wtedy, gdy budzą mnie w nocy - mruknęła przeciągle swym najbardziej leniwym tonem. - podrośli mężczyźni dają mi raczej ważniejsze powody i odmienne przyjemności. Ponieważ nie śpię, twojemu dziecku na razie nic nie grozi. W każdym razie z mojej strony. Nie boisz się jednak, że Blaise porwie chłopca i zawiezie do domu, do swego brata i ojca?

- Nie bardzo - odparła Rosala. Spojrzała na Blaise'a. - A powinnam?

Lucianna wybuchnęła śmiechem. Hrabina Arbonne stała bez ruchu, patrząc na córkę Masseny Delonghiego z zamyśloną miną i pod tym spokojnym, taksującym spojrzeniem Lucianna ucichła. Mimo pulsującego bólu głowy umysł Blaise'a pracował na najwyższych obrotach. Było coś jeszcze, na wpół zagrzebanego u podstawy tej wielopiętrowej budowli - burzliwa noc w zamku Garsenc przed ośmioma miesiącami, kiedy po raz ostatni opuścił dom.

Szybko odepchnął od siebie tę myśl. Rosala zadała mu pytanie i czekała na odpowiedź.

- Jako że sam stamtąd wyjechałem, jest dość nieprawdopodobne, bym to ja zawoził kogokolwiek z powrotem do tego zamku. Przynajmniej o to nie musisz się niepokoić. Wiesz jednak, że mój ojciec i brat raczej tego nie zaakceptują.

- Wszyscy to wiemy - odezwała się Signe de Barbentain. - Wcześniej istniała pewna nadzieja, że mógłbyś mieć jakąś propozycję.

- Dotyczącą czego? - zapytał Rudel, podchodząc do nich. - Lekarstw na pękniętą czaszkę?

- Sprawy rodzinne - powiedział krótko Blaise, chociaż było to coś więcej, o wiele więcej, zważywszy, jaka to była rodzina.

I właśnie w tym momencie pojawiła się nowa myśl i natychmiast zaczęła z niepokojącą szybkością przybierać wyraźniejszy kształt. Blaise dokonał koniecznych prezentacji, a potem się odwrócił, by spojrzeć na osoby w przeciwległym końcu pokoju. Nagle zaczął myśleć

bardzo intensywnie, a myśli prowadziły go do pewnych wniosków z zimną logiką, swego rodzaju nieustępliwością. Nie cieszyły go one jednak. O, nie.

Obok kominka Urté de Miraval rozmawiał cicho z Masseną Delonghim. Corani Barbentain wiązali Arimondańczyka i nie robili tego szczególnie delikatnie. Quzman jednakże arogancko uniósł głowę i nie zadawał sobie trudu, by się szamotać. Stojący obok Blaise'a Rudel Correze skłonił się hrabinie, a potem pochylił nisko i ucałował dłoń Rosali. Lucianna mruknęła coś do kuzyna.

Blaise odetchnął głęboko. Życie mogłoby być łatwiejsze, pomyślał, gdyby wciąż go sobie nie utrudniał.

- Chwileczkę, jeśli można - powiedział cicho, zwracając się do kanclerza Arbonne.

Właściwie było interesujące to, że inne rozmowy ucichły w chwili, w której się odezwał, jakby wszyscy na to czekali. Nie był przyzwyczajony do bycia główną osobą na takich zebraniach. Zadał sobie pytanie, jak do tego doszło. Lucianna stała blisko niego. Starał się nie zwracać na to uwagi.

Kanclerz Roban, który niezbyt go lubił, uniósł brew.

- Jednak mam propozycję - rzekł Blaise. - Ta sprawa w ostatecznym rozrachunku dotyczy tylko tego człowieka i mnie. - Kiwnął głową w stronę Arimondańczyka. - Nie trzeba w to wciągać hrabiny ani... szerszych zagadnień... Jakiś czas temu zabiłem jego brata, kiedy zostałem zaatakowany. On widzi w tym powód do zemsty. Mógłbym powiedzieć, że gdyby to mój brat został zabity, czułbym to samo.

Usłyszał, jak za jego plecami Rosala energicznie wciąga powietrze. To też było interesujące; spośród nich wszystkich ona jako pierwsza wyczuła, do czego on może zmierzać. A w każdym razie jaką drogą. Nie mogła wiedzieć wszystkiego.

- To, co mówisz, nie do końca jest prawdą - wtrącił trzeźwo Massena Delonghi. - Pozostaje kwestia pogwałcenia rozejmu. Bez względu na to, co zaszło między wami, i co zaiste jest waszą sprawą, on był zobowiązany do wstrzymania się z jakimikolwiek aktem agresji do zakończenia jarmarku.

- Tak czy owak, nie jest to nawet ich osobista sprawa - odezwał się Rudel, wtrącając swoje trzy grosze. - Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale chyba pamiętam, że latem słyszałem o dekrete wydanym przez hrabinę Arbonne, a dotyczącym zabójstw pomiędzy Talair i Miraval.

Wtedy Blaise zrozumiał, co robi jego przyjaciel, i zganił się w myślach. Powinien wiedzieć lepiej. Rudel się nie wtrącał - podsuwał Blaise'owi następną kwestię, gdyby zechciał ją wygłosić. A wyglądało na to, że chyba chce ją wygłosić, bo inaczej w ogóle by tego nie

zaczynał.

- Jeśli o to chodzi, to w gruncie rzeczy od próby zamachu na moje życie na drodze nie jestem już coranem Talair. Ponieważ wtedy została ujawniona moja tożsamość, książę Bertran uznał, że nie powinien wydawać rozkazów synowi Galberta de Garsenc jak zwykłemu najemnikowi. Jestem z nim tylko jako przyjaciel. Zatem nic, co się rozegra między Quzmanem z Arimondy i mną, nie łamie dekretu hrabiny.

Arimondańczyk znów się uśmiechał. Jego białe zęby kontrastowały z ciemną skórą. Był inteligentny i bardzo niebezpieczny.

- Proponuję temu człowiekowi - powiedział spokojnie Blaise - walkę na turnieju. Jakikolwiek byłby jej wynik, zamknąłby on wszystkie poruszone dzisiaj kwestie.

Quzman patrzył na niego.

- Być może będę zmuszony jednak uznać cię za mężczyznę - rzekł. - Na śmierć i życie?

Blaise wzruszył ramionami. Stało się.

- Po co inaczej zadawać sobie trud?

Za jego plecami Rudel Correze zaklął pod nosem. Co oznaczało, że jednak nie zauważył, dokąd to wszystko zmierza. Sprawilo to Blaise'owi drobną przyjemność; rzadko tak bardzo wyprzedzał Rudela. Rosala milczała. Za to odezwała się bardzo cicho hrabina:

- Nie powinnam na to pozwolić. Wierzę, że masz jakiś powód?

- Ja też w to wierzę - odparł Blaise, nie odwracając się i nie spuszczać wzroku z oczu Arimondańczyka.

Dawno temu został nauczony, że pierwsze chwile po rzuceniu wyzwania często określają, co się stanie dalej. Było ważne, by nie odwracać wzroku. Urté de Miraval uśmiechnął się szeroko.

- Tysiąc w złocie na Arimondańczyka - powiedział. - Jeśli ktoś postanowi przyjąć zakład.

- Ja przyjmę - odparł Massena Delonghi. - To doda widowisku pikanterii. Jego córka się roześmiała.

- Wygląda na to - rzekła Signe de Barbentain - że oczekujecie, że się na to zgodzę. Nie rozumiem, skąd się bierze to oczekiwanie. Dlaczego Arimondańczyk miałby dostać szansę uratowania życia?

Blaise odwrócił się do odważnej, przepięknej kobiety, która rządziła tym krajem.

- Jedynym powodem jest to, że cię o to proszę - powiedział z powagą. - Arbonne zawsze słynęła z wielkości i wielkoduszności swych władców. Są w Gorhaut ludzie, którzy mogliby zechcieć temu zaprzeczyć. - Przerwał. Jej błękitne oczy bacznie wpatrywały się w jego. - Nie jestem jednym z nich, wasza miłość. Już nie.

Wydało mu się, że dostrzegł błysk zrozumienia, zastąpiony po chwili cieniem smutku, lecz nie był pewien ani jednego, ani drugiego. Powodowany impulsem, ukląkł przed nią. Poczł jej dłoń na głowie. Szczupłe palce zacisnęły się na włosach, a potem zsunęły wzdłuż policzka do brody. Uniosła mu podbródek, by na niego spojrzeć.

- Lubimy cię, Blaisie z Gorhaut - rzekła oficjalnym tonem. - Możemy jedynie żywić nadzieję, że to wyzwanie nie stanie się dla nas nowym źródłem bólu. Zgadzamy się na nie, ponieważ nas o to poprosiłeś. - Podniosła wzrok, patrząc ponad głowę Blaise'a. - Arimondańczyk pozostanie w areszcie do pojedynku, lecz nie może być źle traktowany. Ci dwaj mężczyźni będą walczyć w naszej obecności, aż jeden poniesie śmierć, a mocą naszej decyzji walka ta odbędzie się pierwszego poranka turnieju. Teraz udamy się na spoczynek. Te sprawy są dla nas niesmaczne, a jest pewne dziecko, którego nie widziałyśmy cały dzień.

W końcu Blaise poszedł korytarzem z hrabiną i Rosalą. Kiedy weszli do pokoju, mamka właśnie karmiła niemowlę. Blaise patrzył na nie długą chwilę, a potem odwrócił się do Rosali. Nic nie mówił ani nie znalazł w jej twarzy odpowiedzi na niezadane pytania. Prawdę mówiąc, tego się spodziewał.

Kiedy jakiś czas później wracał samotnie korytarzem, zauważył Imerę, która czekała na niego w ciemnym zakamarku przy schodach. Prawie się tego spodziewał. Poruszyła dłonią. Spojrzawszy za plecy kobiety, zobaczył uchylone drzwi komnaty Lucianny. Blask pochodni pełgał po korytarzu, poruszając cieniami.

I znów zalało go pożądanie, jak fala, jak nieubłagany przypyły czarnego, oświetlonego blaskiem gwiazd morza, rozbijającego się na kamienistym brzegu. Stojąc tak w cieniach ze służącą Lucianny, Blaise pojął, że już nigdy się od tego nie uwolni. A w następnej chwili uświadomił sobie, z uczuciem podobnym do tego, jakie czasami wywołuje biały księżyc, kiedy się wyłania zza chmur, by zalać spokojnym światłem ziemię, na której żyją i umierają mężczyźni i kobiety, że poskromił pożądanie. Nie jest wobec niego niewolnikiem. Może wznieść głowę ponad falę. Odetchnął powoli, łagodnie pokręcił głową, minął Imerę i zszedł ciemnymi, krętymi schodami.

W wielkiej sali Barbentain znajdowali się jeszcze ludzie i płonęły pochodnie. Śpiewał jakiś chudy, ciemnowłosy mężczyzna. Blaise stanął w drzwiach, słuchając przez chwilę. Głos śpiewaka był dźwięczny i smutny, i bardzo piękny. Blaise'owi wydało się, że rozpoznaje zonglera i kilku innych muzyków. A potem spostrzegł kobietę, którą znał na pewno - zonglerkę z letniego przesilenia, Lisseut. Tej nocy jej włosy wyglądały inaczej. Po chwili uświadomił sobie różnicę - były jasne i czyste, a nie przemoczone i płaczące się wokół ramion. Rozbawiony tym żywym wspomnieniem, zaczekał, aż oderwie wzrok od śpiewaka,

by popatrzeć na publiczność. Kiedy zobaczyła go w wejściu, uśmiechnęła się szybko i uniosła dłoń. Po sekundzie Blaise odpowiedział jej uśmiechem.

Właśnie myślał, czyby nie przejść przez salę i z nią nie porozmawiać, ale poczuł, że ktoś staje obok niego.

- Pomyślałem, że chwilkę zaczekam - odezwał się Rudel. - Nie miałem pewności, czy zejdziesz przed świtem.

Blaise spojrzał na przyjaciela.

- Ja też nie - odparł cicho - aż do teraz. Właściwie czuję się od czegoś wolny.

Rudel miał trzeźwą minę.

- Wolny, by móc umrzeć?

- Do tego zawsze jesteśmy wolni. To dar boga i jego brzemie.

- Nie bądź taki pobożny. Nie wszyscy jesteśmy tacy głupi, by się o to prosić, Blaise.

Blaise się uśmiechnął.

- Czy ja słyszę Rudela Correze? Najemnika najbardziej zuchwałego z nas wszystkich? Jeśli poprawi ci to humor, po drodze do domu pozwolę ci wyliczyć wszystkie powody, by nazwać mnie głupcem.

- Znacznie poprawi mi to humor - odparł Rudel.

I skorzystał z zaproszenia, drobiazgowo i klarownie wykładając swoje stanowisko przez całą drogę z zamku do lussańskiego pałacu Bertrana de Talair.

Blaise w zasadzie słuchał, lecz gdy zbliżyli się do domu Bertrana, jego myśli się rozproszyły; cofnęły się, a potem znów z wahaniem wróciły do ostatniej, najtrudniejszej kwestii trudnej nocy.

Nigdy przedtem nie widział nowo narodzonego niemowlęcia. Dziecko miało zaskakująco bujne rudawe włoski i, bezspornie, nos Garsenców. Było podobne do Ranalda. Było też podobne do Blaise'a. Rosala, która wzięła je na ręce, gdy przestało ssać i zanim znów zostało okutane w szlachetną materię, nie zdradziła niczego ani słowami, ani spojrzeniem. Niczego prócz miłości, kiedy patrzyła na syna śpiącego w jej ramionach.

To oczywiste, że po niego przyjadą.

Nie było najmniejszych wątpliwości, że jego dziadek i król Gorhaut przyjadą po to dziecko. Rosala opowiedziała Blaise'owi o swoim ostatnim spotkaniu z Galbertem. Zastanawiał się, czy ojciec celowo sprowokował tę słowną utarczkę.

- Nie powiedziałeś ani jednego słowa na swoją obronę - poskarżył się Rudel, kiedy po raz drugi w ciągu długiej nocy stanęli pod światłami płonącymi przed pałacem Bertrana.

- Bo ich nie mam. Każde wypowiedziane przez ciebie jest prawdą.

- Zatem?

Blaise przez chwilę milczał.

- Powiedz mi, dlaczego wydałeś tak dużo pieniędzy z wynagrodzenia za to zabójstwo na klejnot dla Lucianny?

Rudel znieruchomiał. Na brukowanej ulicy panowała cisza, wysoko nad nią świeciły gwiazdy.

- Skąd to wiesz? Powiedziała ci, że ja...

- Nie. Nie zrobiłaby tego. Ja go rozpoznałem, Rudelu. Kiedyś pokazałeś mi ten czerwony klejnot u jubлера w Aulensburgu. Nietrudno było powiązać ze sobą pewne rzeczy. Ale zrozum, co do ciebie mówię, Rudelu: obaj jesteśmy głupi.

Tam, gdzie stali, było całkiem ciemno, mimo że za nimi płonęły dwie pochodnie. Niebo było czyste, wiał wiatr. Oba księżycy już zaszły.

- Kocham ją - powiedział w końcu jego przyjaciel. - Nikogo, czy to żywego, czy martwego, nie powinienem nazywać głupcem.

Blaise naprawdę nie wiedział - dopóki nie ujrzał tej nocy tego niezapomnianego szkarłatnego klejnotu płonącego między piersiami Lucianny.

Odczuwał smutek. Uśmiechnął się jednak i dotknął ramienia przyjaciela.

- Dość dawno temu wspomniałeś o jakiejś wesołej gospodzie. Chyba nam przeszkodzono. Jeśli chcesz, nie mam nic przeciwko temu, by znów spróbować.

Chwilę czekał, a potem zobaczył, jak Rudel powoli odpowiada mu uśmiechem.

Wschód słońca zastał ich w drodze do domu.

## ROZDZIAŁ 13

Turnieje w Arbonne oraz pojedynki toczone w obecności kobiet odbywały się pod egidą królowej Dworu Miłości. Zatem to Ariane de Carenu była odpowiedzialna za dopełnienie formalności związanych z wyzwaniem, które rzucił na lussańskim jarmarku Blaise de Garsenc z Gorhaut Quzmanowi di Peraño z Arimondy.

Także Ariane udzieliła najbardziej suchej i prozaicznej odpowiedzi na to, co zeszłej nocy uczynił Blaise.

Rano Blaise, Bertran, Valery i nadzwyczaj błady Rudel Correze poszli do siedziby rodu Carenu. Długa noc picia po otrzymaniu potężnego uderzenia w głowę chyba wyszła na dobre zwykle wytwornemu potomkowi rodziny Correze.

Skoro już o tym mowa, Blaise sam nie czuł się nadzwyczajnie, lecz w gospodzie był ostrożniejszy od Rudela i spodziewał się, że z upływem dnia będzie funkcjonował coraz lepiej; a już na pewno nazajutrz rano. Wtedy miał stoczyć walkę na śmierć i życie.

- Nie mam pojęcia - powiedziała Ariane, spoczywając na tapicerowanej otomane w pokoju, w którym ich przyjęła - czy to, co zrobiłeś, jest czystym, czy tylko umiarkowanym szaleństwem.

Mówiła tonem uszczypliwym i sardonycznym, który dość mocno kontrastował z poranną świeżością jej wyglądu. Była ubrana w bladożółtą suknię z rozcięciami na staniku i rękawach, spod których wyglądała materia koloru nieba, a na ciemne włosy włożyła miękką czapkę w tym samym łagodnym, jasnobłękitnym odcieniu. Patrzyła na Blaise'a, a jej mina nie była szczególnie łagodna.

- Nie potrafię tego ocenić, ponieważ nie wiem, jak dobrze walczysz. Wiem natomiast, że Urté nie wynająłby tego Arimondańczyka - dwóch Arimondańczyków - gdyby rzeczywiście nie byli bardzo dobrzy.

- Quzman? Jest dobry - mruknął Bertran de Talair.

Nalewał poranny kielich wina z butelki stojącej na tacy. Teraz wyglądał na rozbawionego, chociaż kiedy powiedzieli mu, co się stało, jego pierwszą reakcją był namysł w ponurym milczeniu. Nie podzielił się swoimi wnioskami.

- Tak jak i Blaise - rzekł słabym głosem Rudel z głębi fotela, w który ostrożnie się zapadł. Widać mu było tylko czubek głowy. - Weź pod uwagę martwego brata i pięciu coranów



Miraval.

- To były strzały - rzekł cicho Valery. Tego ranka wyglądał na najbardziej z nich wszystkich niezadowolonego. - Teraz walka odbędzie się na miecze.

- Nie musi - stwierdziła Ariane. - Z łatwością mogłabym...

Blaise potrząsnął głową.

- To nie ma sensu. On posłuży się tym, czym zechce, podobnie ja. Próba wyboru broni okryłaby mnie hańbą.

- A zaniechanie możesz przyłacić życiem - stwierdziła cierpko Ariane.

Blaise zaczął stopniowo pojmować, że reakcje otaczających go ludzi na to, co miało nastąpić nazajutrz, nie były całkowicie podyktowane pragmatyczną oceną ryzyka i zysków; wiedzy tej towarzyszyło rosnące poczucie zakłopotania. Oni się o niego martwili. Hrabina, Bertran i Valery, na pewno Rudel, a teraz było równie oczywiste - nawet dla Blaise'a, który nigdy nie znał się na takich sprawach - że Ariane miała na myśli coś więcej niż abstrakcyjne zainteresowanie zasadami tego wyzwania.

Spotkali jej męża zaraz po wejściu do domu, a kiedy Bertran wyjaśnił, że odwiedzają jego żonę oficjalnie, księżę Thierry uprzejmie się wycofał. Był to człowiek szczupły, dobrze zbudowany, a zachowaniem zupełnie nie zdradzał swoich seksualnych gustów i upodobań. Valery powiedział też wcześniej, że jest nadzwyczaj uzdolnionym przywódcą.

Blaise uznał, że jego żona przewyższa go zdolnościami. Czuł dziwny niepokój pod jej jasnym spojrzeniem i w ten pogodny jesienny poranek przypomniał sobie spędzoną z nią letnią noc, jej słowa i zachowanie, i sam akt miłości. Przyszło mu do głowy, że gdyby byli sami, mogłaby mówić co innego. Podobnie jak on. Blaise uświadomił sobie raptem, że ufa tej kobiecie, i przeżył chwilę zaskoczenia.

Opowiedzieli jej już o spotkaniu z królem Daufridim. Bertran omówił je też z hrabiną i Robanem; odwiedził pałac wcześniej, zanim tu przyszli. Wydarzenia zaczynały nabierać tempa. Skoro w Barbentain przebywała Rosala de Garsenc i jej męski potomek, było jasne - musiało być jasne dla wszystkich, pomyślał Blaise - że bardzo szybko może dojść do wielu niebezpiecznych wydarzeń. Czuł tępy ból głowy. Zaczynał żałować drugiej części nocy niemal tak samo, jak pierwszej.

Patrząc na Ariane i chłonąc jej chłodną urodę niczym ożywczy napój, powiedział:

- W tym wszystkim chodzi o to, jak nas widzi świat. Jeśli ludzie uznają, że się boję Quzmana albo że ustawiam pojedynki na moją oczywistą korzyść, to stracę zbyt dużo. Jestem ci wdzięczny za troskę, ale jeśli będziemy nim manipulować, to ten pojedynek nie będzie miał sensu.

- A ma jakiś sens? Mamy to założyć? - zapytała Ariane.

Takie samo pytanie zadała wcześniej hrabina. Blaise zignorował jego ostry ton i dał taką samą odpowiedź:

- Mam nadzieję. Mam nadzieję, że ma.

Szczerze mówiąc, nie miał takiej pewności. W tej chwili niczego nie był pewien. Czuł się jak któryś z legendarnych tancerzy z odległej przeszłości Arimondy, którzy podobno przeskakiwali nad rogami byków ku uciesze swoich królów. W tym momencie znajdował się w środku takiego skoku, ponuro świadom lśniących, zabójczych rogów. Późno zeszłej nocy Blaise'owi wydało się - myśl ta powstała w połowie z pobożności, a w połowie ze zwykłego strachu - że to Corannos skierował go do Arbonne. Że jego podróż na południe nie była przypadkowa, nie była po prostu ucieczką od ciężarów i smutków w domu czy w Portezzie. Był to ruch w stronę przeznaczenia, jedynej szansy, jaką mógł dać mu świat na dotrzymanie przysięgi, którą złożył, opuszczając zamek Garsenc. Blaise nie wiedział, że powie Daufriemu z Valensy to, co mu powiedział. Nie przygotował zawnocześnie tego wyzwania, które rzucił Quzmanowi. Tańczył z bykami, poruszał się zgodnie z ich ruchami, a teraz unosił się nad rogami swego losu.

Odetchnął głęboko, by zebrać i zatrzymać myśli, a potem powiedział Ariane, jak widzi zorganizowanie pewnych spraw nazajutrz. Słuchała go ze spokojną, skupioną twarzą. Bertran podszedł bliżej, kładąc dłoń na oparciu otomany. Kiedy Blaise skończył, zasugerował coś jeszcze. Valery milczał; miał ponurą, niezadowoloną minę. Blaise nie wiedział, jaką minę ma Rudel; jego przyjaciel wciąż się rozpiekał w głębokim fotelu, zza oparcia którego wystawały tylko jasne, rozczochrane włosy Portezzanina. Blaise pomyślał, że Rudel mógł nawet zasnąć, ale po chwili przekonał się, że tak nie jest.

- Mój ojciec miał rację - oznajmił dziedzic fortuny Correze'ów. - Bardzo prawdopodobnie pożałuję tej mojej lojalności bardziej niż wszystkich innych błędów mego życia. Z całą pewnością powinienem wiedzieć lepiej i nie porzucać interesów, by się wiązać z szaleńcami z Gorhaut.

Można było udzielić na to kilku odpowiedzi - kąśliwych, dowcipnych, trzeźwych i rozsądnych. Nikt jednak nic nie powiedział.

\*\*\*

- Będzie chciał ciąć w dół pod kątem, a z powrotem nisko przez kolana - powiedział Valery.

Rudel dociągał troczki skórzanej zbroi, jakie mieli włożyć walczący.

- Wiem - odparł Blaise. - Zwykle tak się atakuje szablą.

Lecz tak naprawdę wcale się nie koncentrował, ani na poradach, ani na coraz większym hałasie dochodzącym od strony trybun. Kiedy wraz z Quzmanem będą gotowi do wyjścia ze swoich namiotów, wrzawa osiągnie apogeum, a potem przycichnie przy ceremonii przedstawienia przeciwników, by znów się wznieść, już inną nutą, gdy rozpocznie się zabijanie. Na całym świecie odbywało się to tak samo. Blaise widział wiele walk na śmierć i życie. W jednej takiej przed laty sam wziął głupio udział, kiedy coran z Valensy obraził króla Gorhaut w obecności jednego z najnowszych, najmłodszych jego coranów. Blaise miał szczęście, że przeżył, i zdawał sobie z tego sprawę; Valensanin zlekceważył swego młodego przeciwnika i zapłacił za to. Blaise nosił zbroję zabitego przez wiele lat.

- Będzie miał nóż za pasem, a drugi przy lewej łydce - mruknął Rudel. - I nie zawaha się nimi rzucić. Jest z tego znany i dobrze trafia obiema rękami. Nie opuszczaj tarczy.

Blaise ponownie skinął głową. Wiedział, że życzą mu jak najlepiej; instruowali go z troski o jego życie. Pamiętał, że pełniąc rolę giermka przyjaciół, którzy brali udział w turnieju, w tym Rudela - trzy razy, jeśli się nie mylił - sam zachowywał się dokładnie tak samo.

Jednakże tak naprawdę nie słuchał zbyt uważnie. To już mu się zdarzało - przed walką jego umysł wędrował nieoczekiwanymi ścieżkami. Pomagało mu to zachować spokój aż do rozpoczęcia walki, kiedy miał wrażenie, jakby szybko została odsunięta wyciszająca zasłona, a wszystkie jego zmysły skupiały się na polu walki niby zmierzające do niego strzały.

W tej chwili wspominał ostatni komentarz wygłoszony przez Rudela tamtego ranka w komnacie Ariane. Myślał o Vitalle'u Correze, który chciał, by jego ukochany syn został bankierem, a nie coranem, a potem o swoich stosunkach z własnym ojcem. Nie wiedział, dlaczego jego myśli podążają w tę stronę. Może w miarę tego, jak robił się starszy, jak widział więcej świata i rządzących nim relacji, zaczynał rozumieć stopień, do jakiego mężczyźni z rodu Garsenców wzajemnie się zatruli. Nagle po raz pierwszy zadał sobie pytanie, co czuł Ranald w związku z ucieczką Rosali. Zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia. Najmniejszego. Nie znał brata zbyt dobrze.

Valery klepnął go w ramię. Blaise posłusznie usiadł na stołku i wyciągnął przed siebie nogi. Przyjaciele uklękli i zaczęli sznurować miękką portezzańską skórę, osłaniającą mu uda i łydki. Przez szparę w klapie namiotu Blaise widział za ich pochylonymi głowami oślepiające w porannym słońcu kolory namiotów oraz zieloną trawę, na której miał wkrótce stoczyć walkę.

Zgodnie z wczorajszymi instrukcjami Blaise'a, nie podniesiono jeszcze flagi nad jego

namiotem. Dla większości widzów zasiadających w namiotach czy stojących z drugiej strony na miejscu dla pospólstwa był po prostu gorhauckim coranem wplątany w sprzeczkę z jakimś Arimondańczykiem. W sprzeczkę, która miała zaowocować podniecającym widowiskiem. Garstka ludzi wiedziała coś więcej i oczywiście krążyły plotki; w takiej sytuacji zwykle pojawiały się plotki.

Czuł się bardzo spokojny. Teraz zawsze był spokojny przed walką, chociaż na początku, dawno temu, tak nie bywało. Zeszłej nocy modlił się, klęcząc na zimnej kamiennej posadzce w zaskakująco pięknej kaplicy Corannosa w Lussan. Nie prosił o zwycięstwo, coran nigdy o to nie prosił. Przed dwiema wysokimi świecami nad fryzem odmówił prastare modlitwy o wschód i zachód słońca i o siłę boskiego życiodajnego złocistego światła. Sam fryz został wykonany po mistrzowsku i przedstawiał Corannosa dającego pierwszym ludziom ogień, by noce nie były już tak przerażające jak kiedyś.

Może nie powinien być tak zaskoczony spokojnym wdziękiem tutejszych domów boga. W Arbonne czczono Corannosa. Zawsze o tym wiedział, przecież tu byli corani, z tymi samymi obrzędami inicjacji i inwokacji, przez które przechodził w Gorhaut i które odprawiano we wszystkich sześciu krajach. Co prawda, trudno mu było zaraz po przyjeździe, w tych pierwszych dniach w górskim zamku Baude, przewyciężyć uprzedzenia i insynuacje, jakimi był karmiony przez całe życie i które w dużym stopniu pochodziły oczywiście od jego ojca. To dziwne, jak wiele ostatnio myślał o ojcu. A może nie tak dziwne, zważywszy na to, co zamierzał zrobić. Podobno kiedy życie człowieka jest w wielkim niebezpieczeństwie, umysł sięga wstecz.

Galbert de Garsenc zastrzegł sobie, że jego młodszy syn wstąpi za jego przykładem w szeregi duchownych Corannosa. Nie była to kwestia do dyskusji; najwyższy kapłan był przyzwyczajony, że dostaje to, co chce. Powtarzające się ucieczki Blaise'a z kaplicznej szkoły nieopodal Cortil, jego milczące przyjmowanie chłosty, jaką otrzymywał i w domu z ciężkiej ręki Galberta, i potem, kiedy wracał do kapłanów, a następnie, kiedy skończył szesnaście lat, jego uparta, zdecydowana odmowa złożenia ślubów podczas obrzędu konsekracji, stanowiły całkowite udaremnienie starannie ułożonych planów najwyższego kapłana.

Usiłowano głodem zmusić go do złożenia ślubów - na rozkaz ojca. Blaise nie zapomniał tych tygodni. Czasami budził się w nocy, myśląc o nich. Nawet tego dnia uczucie głodu przyprawiło go o irracjonalną panikę, nie potrafił też uderzyć batem człowieka.

„Czy gdyby żyła twoja matka, sprawiłoby to jakąś różnicę?“, zapytała Signe de Barbentain pierwszego wieczoru, kiedy ją poznał. Tego nie wiedział. Nigdy się tego nie dowie. Na takie pytanie nie mógł odpowiedzieć żaden człowiek, mający tylko jedno życie.

Pamiętał, jak będąc jeszcze małym chłopcem, nauczył się nie płakać, bo nie było nikogo na świecie, kto by go wtedy pocieszył. Bracia w kaplicznej szkole bali się jego ojca; żaden nie śmiał przyjść z pomocą niegodnemu, niewdzięcznemu synowi. Nigdy. Raz, w Garsenc, nocą do pokoju Blaise'a wśliznął się Ranald z balsamem na jego poranione plecy. Rano, kiedy Galbert spostrzegł leczniczą maść, wychłostał Ranalda, i jeszcze raz Blaise'a. Potem Ranald już nigdy się nie wtrącał do jego kar.

Blaise mógłby zaprzestać ucieczek. Mógłby złożyć śluby, jakich od niego wymagano. Żadna z tych możliwości nigdy nie przyszła mu do głowy, nawet jako pomysł, nad którym można by się zastanowić. Kiedy stało się jasne, że Blaise prędzej umrze z głodu, niż się złamie, Galbert spokojnie zaproponował jego publiczną egzekucję za nieposłuszeństwo. Sam król Duergar, który zdał sobie sprawę z tego rozgrywającego się rodzinnego dramatu, sprzeciwił się tej egzekucji, nakazał przyniesienie jedzenia i picia głodującemu chłopcu, a miesiąc później przyjął od wychudłego, milczącego szesnastolatka o głęboko osadzonych oczach przysięgę wierności i nazwał go coranem Gorhaut.

Książę Ereibert de Garsenc, człowiek mężny i wiekowy, zmarł bezdzietnie, kiedy jego dwaj bratankowie mieli dwadzieścia jeden i dziewiętnaście lat; jego mistrzowskie opanowanie wojennego rzemiosła pozwalało mu przez całe życie skutecznie stawiać czoło plotkom na temat braku spadkobierców. Dziedziczył po nim Ranald. Z konieczności wycofał się ze stanowiska obrońcy króla i został księciem Garsenc, panem najbogatszych, najpotężniejszych posiadłości w Gorhaut. Wtedy, wedle starannie ułożonych planów jego ojca, Blaise powinien już być silnie osadzony w hierarchii bractwa boga i gotów do gładkiego wznoszenia się aż do najwyższego stanowiska, piastowanego przez Galberta jako najwyższego kapłana Corannosa, którego decyzjom podlegali królowie i książęta. Rodzina Garsenc powinna być gotowa do objęcia władzy w Gorhaut na długie pokolenia - trzymając kraj niczym niedźwiedz stojący z rozwartymi łapami na ich tarczy herbowej - bez względu na to, kto mógł nominalnie zasiadać na tronie.

Ranald miał spłodzić synów, którzy objęliby po nim Garsenc i poszli w ślady Blaise'a jako duchowni; córki związałyby inne rodziny pętami przysięg małżeńskich. A w końcu, może nie w tak odległej przyszłości, mogłoby być coś więcej - mogłoby być sam tron. W Cortil panowałby Garsenc, a granice Gorhaut ciągle by się poszerzały, chociaż najpierw - oczywiście - sięgnęłyby poprzez górskie przełęcze na południe, do Arbonne, gdzie ludzie są bezbożnymi heretykami, rządzonymi przez kobiety i zniewieściałych mężczyzn, pogrążonych w krwawych rytuałach.

Blaise wiedział o tym prawie wszystko od wczesnych lat życia. To do niego mówił

Galbert, kiedy chłopcy byli mali. Przez krótki czas nie rozumiał, dlaczego tak jest, a potem, przez dłuższy, było mu żal Ranalda. To było dawno temu.

- Buty - powiedział Rudel.

Blaise uniósł najpierw lewą nogę, a potem prawą.

- W porządku - orzekł Valery.

Blaise wstał, a Rudel sięgnął mu za plecy i przypiął długi, wykuty w Aulensburgu miecz w prostej żołnierskiej pochwie. Ze stołu podniósł lekki hełm. Blaise go włożył. Valery czekał z okrągłą, pozbawioną zdobień tarczą. Ją też Blaise wziął.

- Gdzie chcesz mieć noże? - zapytał Valery.

- Jeden przy pasie. Mam jeszcze drugi.

Valery nie zadawał więcej pytań, Rudel też nie. Oni też już przez to przechodzili. Portezzanin wziął z kufra stojącego obok kłapy namiotu wąski czarny nóż i podał go Blaise'owi.

Blaise uśmiechnął się do niego.

- Pamiętasz? Podarowałeś mi go.

Rudel zrobił szybki gest od uroku.

- Nic podobnego. Ja go dla ciebie znalazłem. Zapłaciłeś mi za niego miedziaka. My nie dajemy noży w prezencie, ty ciemny przybyszu z północy.

Blaise się roześmiał.

- Wybacz mi. Zapomniałem, że w głębi serca jesteś zabobonnym portezzańskim rolnikiem. Jakim cudem pozwolono ci porzucić motykę i winnice, by podróżować wśród ludzi o wysokiej pozycji społecznej?

Była to niepoważna drwina, niezasługująca nawet na odpowiedź. Zabrzmiały trąbki.

Valery i Rudel stanęli po obu stronach wejścia do namiotu. Tradycja nakazywała, by giermkowie w tej chwili się nie odzywali; jakiegokolwiek życzenia były uważane za wyzywanie losu. Blaise o tym wiedział. Spojrzał na każdego z nich i się uśmiechnął. Nadal był spokojny, lecz teraz, kiedy na zewnątrz zapadła cisza, puls zaczął mu bić nieco szybciej.

Skinął głową; Valery i Rudel odciągnęli każdy swoją klapę. Minał ich, schylając głowę, i wyszedł na słoneczny blask i zieloną trawę pola bitwy.

Pierwszą osobą, jaką ujrzał, był Quzman z Arimondy, stojący u wejścia do swego namiotu po drugiej stronie pola. Za nim powiewała chorągiew - trzy czarne byki na szkarłatnym tle. Blaise zobaczył zakrzywioną szablę, którą Arimondańczyk przewiesił sobie na zachodnią modłę przez plecy, oraz wypolerowaną złocistą tarczę. Zerknął ku wschodowi, by sprawdzić i zapamiętać kąt, pod którym stało wschodzące słońce; gdyby Arimondańczyk

wykorzystał tarczę do odbijania światła, mógłby go oślepić. Blaise słyszał gdzieś w tle dochodzące zewsząd pełne podniecenia pomruki. Walka na śmierć i życie była najostrzejszą znaną rozrywką.

Trąbki znów dały krótki sygnał i Blaise odwrócił się w stronę środkowego namiotu, z którego wyszedł herold Arbonne. Coran miał świadomość, że serce bije mu jeszcze szybciej, lecz nie w oczekiwaniu na walkę, jeszcze nie. Przed walką miało nastąpić coś jeszcze.

Rozległ się głęboki głos herolda, który donośnie wyliczał najznamienitszych widzów. Blaise dostrzegł obok hrabiny króla Daufridiego z Valensy - jego brodata twarz nie zdradzała żadnych emocji prócz leniwego, uprzejmego zainteresowania.

- Po mojej lewej ręce - zawołał w końcu herold, którego wyszkolony głos bez wysiłku rozchodził się ponad trawą i gęsto ustawionymi namiotami - stoi Quzman di Peraño z Arimondy, gotów w sprawie honoru swej rodziny położyć życie u stóp Corannosa i Rian.

Blaise odetchnął. Nadeszła pora.

- Dobrze - powiedział do dwóch mężczyzn stojących za nim. - Zróbcie to.

Nie oglądał się, ale gdy herold Arbonne zwrócił się do niego, usłyszał szelest i trzepot dwóch chorągwi wciąganych na maszt nad namiotem, a chwilę później rozległ się potężny, narastający gwar, zupełnie jak odgłos morskiego przyboju porywany przez wiatr, który niemal zagłuszył wznoszący się głos herolda.

- Po mojej drugiej ręce - oznajmił - równie gotów bronić honoru swego imienia, stoi Blaise de Garsenc z Gorhaut, który przed tym zgromadzeniem przedstawiciele sześciu krajów i na tym świętym polu, gdzie bóg i bogini są sędziami honoru i wartości, zgłasza roszczenie do korony królestwa Gorhaut, bezpodstawnie noszonej przez zdradzieckiego Ademara!

Ludzie zerwali się z miejsc. Herold już krzychał.

- En Blaise oznajmił też, że ta walka, do której przystępuje z wolnej woli przeciwko zbrodniarzowi określonymu tym mianem przez hrabinę Arbonne, będzie służyć jako świadectwo wartości jego roszczenia oraz że w chwili zgłoszenia prawa do tej korony dobrowolnie kładzie na szali swe życie przed wami wszystkimi.

To ostatnie ledwie dało się usłyszeć z powodu wrzawy, jaka podniosła się w namiotach i miejscu dla pospólstwa, znajdującego się naprzeciwko. Nie miało znaczenia, czy herold był słyszalny, czy nie. Całą historię opowiadały chorągwie. Blaise odwrócił się powoli - teraz wszystko było teatrem, symbolem, dopóki nie zacznie się zabijanie - i skłonił głowę przed Signe de Barbentain, a potem Daufridim z Valensy. Hrabina Arbonne wstała, w obecności swojego ludu oraz przybyszów z innych krajów świata, i wyciągnęła w stronę Blaise'a rękę w geście powitania, jak równy do równego. Tłum już wrzeszczał. Blaise nie zwracał na to

uwagi. Czekał. Jedna długa chwila, potem druga, i w końcu, czując, jak jeżą mu się włoski na karku, ujrzał, że Daufridi wstaje. Wysoki i dumny, król Valensy nieśpiesznie zwrócił się na lewo i na prawo - był mistrzem takich chwil - a potem bardzo powoli, zwrócony twarzą do Blaise'a, położył prawą dłoń na lewym ramieniu w pozdrowieniu coranów.

Zrobił to. Żadną miarą nie można było przewidzieć, czy do tego dojdzie. Nie był to pełny gest powitania, jaki wykonała Signe - Daufridi miał do rozegrania o wiele bardziej złożoną własną grę, by to było możliwe - lecz dał im więcej, niż mieli prawo się spodziewać: uznanie Blaise'a za godnego, by król przed nim wstał.

Blaise zamknął z ulgą oczy, lecz zaraz je otworzył. Nikt nie może widzieć, że wątpił. Daufridi nie składał żadnych obietnic, a już na pewno dotyczących wydarzenia, które rozwinęło się tak niespodziewanie szybko. Odjeżdżając nocą z tej gospody za murami, powiedział tylko, że pomyśli o tym, co powiedział Bertran. Najwyraźniej pomyślał. Był z nimi, przynajmniej do tej chwili. Blaise nie miał jednak złudzeń: gdyby król Valensy kiedyś uznał, że stanowią większe zagrożenie od Ademara i Galberta, szybko by ich zdemaskował. Lecz w tej chwili, w panującym zgiełku, wstał, by powitać Blaise'a na scenie spraw świata. To było coś; w gruncie rzeczy było to bardzo wiele.

Zachowując tak kamienną minę, jak tylko mógł, Blaise odwrócił się od namiotów szlachty w stronę własnego i po raz pierwszy podniósł wzrok na powiewające nad nim chorągwie.

Stojący niedźwiedz Garsenców, szkarłatny na ciemnoniebieskim polu, niósł sam w sobie znaczenie dla tych, którzy aż do tej pory nawet nie wiedzieli, kim jest Blaise. A nad nim, z dumą, w chwale i jako znak bezczelnego oświadczenia, trzepotała chorągiew królów Gorhaut.

Stojąc pośrodku narastającej fali hałasu, Blaise patrzył w górę na złociste słońce na białym polu, z królewską koroną nad nim i mieczem boga pod nim, poczuł się tak, jakby nigdy naprawdę nie widział tej chorągwi. Pod pewnym względem tak było; nie widział jej w takich okolicznościach. Nie powiewającą na wietrze i w świetle z jego rozkazu. Zaczęło się. Od własnej chorągwi trzepoczącej mu nad głową i wciągniętej na maszt w jego własnym imieniu przed symbolem królów jego kraju, od zewsząd dobiegającej wrzawy, która właśnie osiągnęła apogeum, głośniejszej, niż sobie wyobrażał, że to możliwe.

Wiedział, jak ją uciszyć. Jak przywołać namioty i miejsca stojące, niczym psy myśliwskie do nogi, do tego, co je teraz czekało na tej zielonej trawie pod porannym słońcem. Tu się wszystko zaczynało i tu się mogło skończyć, bo nadal trzeba było zdobyć potwierdzenie boga. Corannosa i bogini Arbonne. Po raz pierwszy w życiu Blaise z Gorhaut pomodlił się do Rian. A potem odwrócił się do Arimondańczyka i dobył miecza.



Pojedynki dla przyjemności i zabawy odbywały się konno w pełnym stroju turniejowym, ze wspianymi zbrojami chroniącymi konia i jeźdźca, ponieważ pokaz zasadał się w równej mierze na splendorze wyposażenia corana. Turnieje stanowiły widowisko, prezentację bogactwa i sukcesu, pokaz sprawności, rozrywkę i dla namiotów, i dla pospólstwa, i za takie były uważane.

Walki na śmierć i życie odbywały się pieszo. Dopuszczano tylko ograniczoną ochronę. Nie było w nich splendoru, żadnych napierśników ze skomplikowanym wzorem czy ozdobnych hełmów. Walki na śmierć i życie były prymitywnymi, nawet świętymi starciami, zrodzonymi w odległych czasach przed przybyciem Starożytnych, w najczystszy sposób wystawiającymi na próbę odwagę i silną wolę mężczyzny, a także moc jego bogiń czy bogów. Oczywiście stanowiły również rozrywkę, o czym świadczyło podniecenie zebranych widzów, lecz rozrywkę mroczniejszego rodzaju, o ponurym, przewidzianym zakończeniu: na zdeptanej trawie leżał poraniony, umierający człowiek, a widzowie zebrani jako świadkowie otrzymywali surowe przypomnienie, że są śmiertelni i jaki czeka ich koniec.

I głównie z tego powodu wrzaski ucichły, kiedy Blaise dobył miecza. W samotniach przy świątyniach Corannosa, dokąd czasami wycofywali się ze świata mężczyźni i kobiety, kiedy czuli, że zbliża się ich kres, na ścianach wisały gobeliny albo obrazy. W każdym sanktuarium przynajmniej jedno z tych dzieł przedstawiało wychudłą, roześmianą Śmierć pod postacią mężczyzny z maczugą - którą pozbawiał ludzi życia - prowadzącego krętą ścieżką przez zimowe wzgórze procesję zmarłych ku zachodzącemu słońcu. I zawsze, zgodnie z długą tradycją, jako pierwszy w tej procesji, poprzedzając nawet koronowanych królów i królowe, szedł, trzymając się ze Śmiercią za rękę, wysoki coran w kwiecie wieku, z mieczem spoczywającym w pochwie.

Quzman di Peraño, uśmiechając się, sięgnął przez ramię i wyjął szablę z pochwy na plecach. Potem pociągnął za zameczek i pochwa upadła za nim na trawę. Jeden z jego wyznaczonych giermków z Miraval szybko ukląkł i ją podniósł. Arimondańczyk ruszył do przodu, mimo swego wzrostu lekko niczym akrobata, a obserwujący go bacznie Blaise zauważył, że pierwsze kroki skierował nieco ku zachodowi. Tego się spodziewał. Widział już ten manewr, kiedy ostatnim razem stanął do pojedynku na śmierć i życie z człowiekiem z Arimondy. Owego dnia omal nie zginął.

Idąc na spotkanie wojownika, brata którego zabił, Blaise nie po raz pierwszy żałował, że tak mało wie o swoim wrogu i jego sposobie walki. Mimo wszystkich rad Valery'ego na temat skłonności osób posługujących się szablami - które Blaise znał bardzo dobrze - tak naprawdę niewiele wiedzieli o Quzmanie. Był roslim, szybkim jak kot, odważnym

mężczyzną pragnącym zemsty i niemającym tego dnia nic do stracenia. Mógłbym zginać, zanim słońce wniesie się dużo wyżej, pomyślał Blaise.

To zawsze było możliwe. Nie miało sensu szukanie chwały w pozbawionym znaczenia wyzwaniu, bo jej tam nie było, ani wyniesienia w oczach zebranego świata pod chorągwią królów Gorhaut - o co w tym wszystkim oczywiście chodziło.

Posuwając się do przodu, Blaise znalazł to, czego szukał. Niewielką okrągłą tarczę wsparł na lewym przedramieniu i miał wolną dłoń. Przełożył do niej miecz i szybko się pochylił. Tym samym ruchem chwycił bryłkę ziemi i cisnął ją w lśniącą tarczę idącego prosto na niego Quzmana. Arimondańczyk zatrzymał się, zaskoczony, a Blaise miał czas, by jeszcze jedną celnie rzuconą garścią błota przyciemnić złocistą tarczę. Następnie się wyprostował i przełożył miecz do prawej ręki.

Quzman już się nie uśmiechał. To Blaise ukazywał teraz w uśmiechu zęby, wyraźnie kpiąc z przeciwnika.

- Zbyt ładna zabawka - odezwał się. Było cicho, nie musiał podnosić głosu. - Każę ją oczyścić, kiedy już będziesz martwy. Ilu ludzi zabiłeś, oślepiwszy ich jak tchórz?

- Zastanawiam się, czy masz pojęcie, jak wielką przyjemność sprawi mi twoja śmierć? - warknął Quzman po krótkim milczeniu.

- Prawdopodobnie mam. Krwawe mrówki na równinie. Już mi mówiłeś. Dla mnie jednak - odparł Blaise - twoje życie czy śmierć prawie nic nie znaczą. A zatem, chcesz rozmawiać cały ranek, czy może potrafisz się posługiwać tą klingą?

Potrafił. Potrafił bardzo dobrze, a był bardzo rozdrażniony. Pierwszy cios, zgodnie z przewidywaniami Valery'ego, zadał w dół ukosem na odlew. Blaise gładko go sparował, kierując z dala od ciała - lecz potem ledwie zdołał zablokować wściekły powrotny zamach zakrzywionej klingi na poziomie kolan, mimo że był na to przygotowany. Od zgrzytliwego zderzenia broni niemal zdrętwiał mu nadgarstek. Przeciwnik był silny, bardzo silny, a jego reakcje były szybsze, niż Blaise się spodziewał.

Z tą myślą przekreślił rozpaczliwie ciało i rzucił się na ziemię, powodowany jedynie odruchem. Postąpił całkowicie instynktownie, dzięki doświadczeniu nabytemu podczas wielu lat walk toczonych na turniejach i wojnach; prymitywna chęć przeżycia pozwoliła mu właściwie zareagować na raptowne wbicie szabli w ziemię, sięgnięcie przez Quzmana urękawiczoną dłonią za łydkę i błyskawiczny rzut nożem w stronę gardła Blaise'a. Ostrze je minęło - prawie. Blaise poczuł palący ból z boku głowy. Szybko uniósł prawą dłoń do ucha, a kiedy ją opuścił, była czerwona od krwi. Wtedy usłyszał od strony dużych namiotów głęboki, niski pomruk, jak wiatr wiejący na wrzosowisku.

Quzman, który ponownie chwycił szablę, zanim ta przestała wibrować od gwałtownego wbicia w ziemię, znów się uśmiechał, błyskając zębami.

- A to ładny widok - stwierdził. - Może zalepisz to błotem, jak jakiś wieśniak? Chyba lubisz grzebać się w ziemi.

Ból był silny i zapewne stanie się jeszcze silniejszy, lecz Blaise nie sądził, by stracił ucho. A w każdym razie nie całkowicie. Chyba wciąż słyszał dźwięki dochodzące z tamtej strony. Nagle pomyślał o Bertranie i jego brakującej małżowinie. Pomyślał, jak wiele zależy od tego, czy zejdzie z tego pola żywy. I z tą myślą zapłonął w nim z całą siłą gniew, znajomy duch walki, który nawiedzał go w bitwach.

- Nie strzęp języka po próżnicy - powiedział zduszonym głosem i rzucił się do ataku.

Nie padły już żadne słowa, nie było na nie miejsca. Rozlegał się tylko niemal nieprzerwany brzęk odbijających się od siebie i ześlizgujących po sobie kling albo mocniejsze, twardsze szczęknięcia, kiedy ostrze napotykało tarczę, kontrolowane stęknienia krążących wokół siebie mężczyzn, szukających zimnym metalem i zimnym wzrokiem miejsc, w które mogliby zadać śmierć.

Quzman z Arimondy naprawdę był dobry, powodowała nim szaleńcza duma typowa dla jego kraju i rodziny oraz zaprzysiężona zemsta. Walczył z płynną, zabójczą pasją i w pierwszych trzech starciach Blaise odniósł jeszcze dwie rany, w przedramię i z tyłu w łydkę.

Lecz Quzman miał rozcięte udo, a skórzana zbroja chroniąca żebra nie wytrzymała zamasztygo cięcia aulensburskim mieczem, dzierzonym przez człowieka także powodowanego pasją i wściekłością.

Blaise nie zaprzestał walki, by ocenić, jak bardzo zranił przeciwnika. Parł do przodu, zadając ciosy z obu stron, za każdym razem parowane z siłą, która wibrowała w łokciu i ramieniu. Zauważył krew wypływającą z lewego boku Quzmana, starając się nie zwracać uwagi na bolesne sztywnienie nogi, kiedy się z niej wybijał. Wiedział, że ten nisko zadany cios z łatwością mógł go okaleczyć na całe życie. Ale nie okaleczył. Wciąż trzymał się na nogach, a przed sobą miał człowieka, który stał na drodze do... czego?

Do wielu rzeczy, z których nie najmniej ważną było jego własne marzenie o Gorhaut. O tym, jaki powinien być jego dom w oczach świata, w oczach Corannosa, w jego własnej duszy. Powiedział to dwie noce wcześniej, w bardzo podobnych słowach, królowi Daufridiemu z Valensy. Usłyszał pytanie, czy kocha swój kraj.

Kochał. Kochał go sercem zbolałym jak palce starca na deszczu, tęskniąc za Gorhaut ze swojej własnej wizji, za ziemią godną boga, który ją wybrał, i szacunku ludzi. Nie za miejscem machinacji i intryg, zepsutego króla, ludzi wydziedziczonych z własnych

posiadłości przez tchórzliwy traktat ani za miejscem, gdzie pod fałszywą, wypaczoną egidą Corannosa rodzą się podle zamiary sprowadzenia zniszczenia tu, na południe od gór.

Ambicje związane z ojczyzną, marzenia o możliwościach i rozwoju to jedno. Czymś zupełnie innym było posługiwanie się niebieskim jak niebo płaszczem boga do ukrycia spowitego w dymy piekła mężczyzn i kobiet - całego narodu - rzuconych na płonące stosy. Blaise widział takie stosy dla heretyków w dzieciństwie. Nigdy nie zapomni pierwszego z nich. Ojciec ścisnął go za ramię i nie pozwalał mu się odwrócić.

Dokładnie wiedział, czego chce Galbert, do czego zostanie nakłoniony Ademar z Gorhaut, kiedy przybędzie na południe. Wiedział, jak silna, jak dobrze wyposażona będzie armia Gorhaut, kiedy wiosną stopnieją śniegi. Widział te stosy; nie zamierzał oglądać ani jednego więcej. Przysiągł to sobie bardzo dawno temu, patrząc, jak ginie stara kobieta z płomieniami w siwych włosach. A żeby ich powstrzymać, by powstrzymać swego ojca i swego króla, najpierw musi pokonać tego Arimondańczyka, który stał mu teraz na drodze z szablą już czerwoną od krwi Blaise'a.

\*

Najsłynniejsi trubadurzy i co lepiej znani żonglerzy nie oglądali turniejów z miejsca dla pospólstwa. Dzięki uprzejmości Ariane de Carenu, na znak wielkich względów, jakimi się cieszyli w Arbonne, otrzymali własny namiot stojący przy szrankach nieopodal jej namiotu. Zaproszenie do zajęcia miejsca w ich namiocie stanowiło co roku wśród muzyków jedną z głównych miar sukcesu, a tej jesieni w gronie wybrańców po raz pierwszy znalazła się Lisseut. Wiedziała, że zawdzięcza to Alainowi, jego rosnącej sławie i aroganckiej pewności siebie owego pamiętnego wieczoru w Tavernel, kiedy Lisseut zaśpiewała pieśń drobnego trubadura w obecności królowej Dworu Miłości oraz książąt Talair i Miraval.

Oraz rudobrodemu coranowi z Gorhaut, który walczył w tej chwili o życie na rozciągającej się przed namiotem trawie. Jednakże od chwili, kiedy nad jego namiotem pojawiły się te dwie kolorowe chorągwie, a głos herolda niemal utonął w ryku publiczności, wyglądało na to, że nie jest tylko coranem. Od letniego przesilenia wiedziała, kim jest Blaise de Garsenc, i dochowała wiary, nikomu o tym nie mówiąc. Teraz on sam ujawnił światu swoją tożsamość i zrobił coś jeszcze. Mężczyzna, którego tak zjadliwie skarciła w „Liensenne” i za którym tej samej nocy podążyła do ogrodów Correze'ów, rościł sobie prawo do korony Gorhaut.

Lisseut z poczuciem nierzeczywistości przypominała sobie, że owej nocy w Tavernel zaprosiła go, by z nią wrócił. Powiedziała mu, że samotne spędzenie tej nocy w Tavernel

przynosi pecha. Jeszcze większego pecha przynosi tak wielki tupet i brak rozważli. Gdyby jej matka się o tym dowiedziała, zapewne poczułaby się zmuszona sypiać w jednym łóżku z Lisseut. Jeszcze teraz, po kilku miesiącach, śpiewaczka rumieniła się na samo wspomnienie tej sytuacji.

Patrząc na dwie powiewające na wietrze chorągwie, zastanawiała się, co musiał sobie o niej pomyśleć, o tej przemoczonej, rozczochranej, wścibskiej, bezczelnej zonglerce, która zaczepiła go dwa razy w ciągu jednej nocy, a potem wzięła pod rękę i zaprosiła do łóżka. Przypomniała sobie, że nawet nie lubił śpiewu. Siedząc wśród znajomych w kolorowym namiocie, Lisseut skrzywiła się na tę myśl. Nikt tego nie zauważył. Wszyscy byli zajęci obstawianiem zbliżającej się walki, zakładając się o śmierć człowieka.

A potem wspomnienia lata odfrunęły w dal, ponieważ dwaj mężczyźni stojący na trawie dobyli broni, prosty miecz i szablę, i ruszyli ku sobie. Blaise pochylił się, by cisnąć w tarczę przeciwnika trawą i błotem, czego nie rozumiała, dopóki Aurelian, niepytany, nie pochylił się i nie wyszeptał jej do ucha wyjaśnienia. Nie odwróciła się do niego. Nie była w stanie oderwać oczu od dwóch mężczyzn na trawie, choć jakaś jej część wzdragła się z przerażenia tym, co oglądała. Coś do siebie powiedzieli. Zobaczyła, że Arimondańczyk zareagował, jakby został oparzony słowami, po czym skoczył do ataku. Ze ściśniętym gardłem patrzyła, jak jego ciosy zostały sparowane. Wisiała nad nimi śmierć. To się nie odbywało na pokaz. Uświadomiła sobie realność walki i właśnie wtedy ujrzała, jak Arimondańczyk nieoczekiwanie wbija szablę w ziemię.

I w następnej chwili - sztylet rzucony przez Arimondańczyka przeciął ucho robiącego desperacki unik Blaise'a i zaraz potem wykwitł w tym miejscu jaskrawy kwiat krwi, Lisseut z Vezét uświadomiła sobie z rodzącą się rozpaczą, że opuściło ją jej serce. Zrobiło to bez jej wiedzy, jak ptak zimą, pofrunąwszy na północ do beznadziejnie niewłaściwego miejsca, w którym nie można było sobie nawet wyobrazić schronienia, ciepła ani miłego powitania.

- Matko - szepnęła wtedy cicho do kobiety znajdującej się daleko wśród gajów oliwnych nad nadmorskim miastem.

Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Wszyscy patrzyli, jak dwaj mężczyźni usiłują się nawzajem zabić; jeden z nich zażądał korony. Bez względu na to, co się wydarzy, to był temat na pieśń, to był temat na rozmowy po gospodach i zamkach na wiele nadchodzących lat. Lisseut, zaciskając mocno dłonie na podołku, odmówiła wtedy modlitwę do słodkiej Rian, i patrzyła dalej, czując, jak serce ucieka z piersi na jasnozieloną trawę.

Niektórych rzeczy o walce Blaise musiał się nauczyć sam albo od brata, w tych rzadkich chwilach, gdy bywał w domu, a Ranald zgadzał się udzielić mu w tajemnicy lekcji - Blaise szykował się do wstąpienia w szeregi braci, na cóż mogłaby mu się przydać umiejętność władania mieczem? Innych elementów nauczył się od ludzi udzielających mu lekcji fechtunku, w roku, kiedy król już go uczynił coranem, bardziej w formie nagany dla swego najwyższego kapłana niż w dowód jakiegokolwiek uznania dla zalet Blaise'a.

Lecz większą część edukacji zdobył w polu, na wojnie i w ogólnych potyczkach na turniejach, które stanowiły najbliższy odpowiednik wojny w czasach pokoju. Miał szczęście, że przeżył w ciągu tych pierwszych miesięcy i lat. Teraz to wiedział. Był zbyt niedoświadczony i niewyszkolony, by mieć prawo się spodziewać, że o własnych siłach zejdzie z pola walki pod Thouvars, Graziani czy Brissel albo na turniejach w Aulensburgu czy Landestonie w Valensie. Kiedy jednak nadszedł czas Mostu na Iersen, znał już sztukę zabijania i zachowywania życia nadzwyczaj dobrze. I to na tym zimowym polu znalazł się najbliżej śmierci - to, oczywiście, było najbardziej ironicznym z licznych ironicznych wydarzeń, leżących u podstawy żołnierskiego życia.

Tak czy owak to, co w tej chwili zrobił Blaise, było dla niego tak oczywiste, jak miejsce, w którym wschodzi słońce, czy właściwy lot ptaków w zimie. Arimondańczyk był poważnie ranny w lewy bok, a zatem należało zmusić go do ciągłego posługiwania się tarczą, do unoszenia jej wysoko w obronie przed ciosami mierzonymi w ramię czy głowę. Nie miało znaczenia, czy ciosy trafiały celu; dobry wojownik umiałby je sparować. Lecz przy każdym odbiciu klingi szarpniętą w górę tarczą rana Quzmana otwierałaby się coraz bardziej, a ramię by słabło. To było proste, rutynowe działanie; musiał o tym wiedzieć każdy dobry żołnierz.

Po pewnym czasie Blaise uświadomił sobie, że to właśnie się dzieje. Zaczęło to być widoczne w twarzy Arimondańczyka, chociaż tak naprawdę przyklejony do niej wyraz aroganckiego skupienia się nie zmienił. Teraz z jego boku wypływało więcej krwi. Blaise drobiazgowo i z precyzją, do której się przyznawali wszyscy polowi chirurdzy, lecz której większości z nich brakło, zabrał się do badania zadanej przez siebie rany.

Robił to z takim skupieniem, spokojem, skrupulatnością i cierpliwością, że niemal poniósł śmierć.

Powinien zginąć, ponieważ dał się fatalnie zwieść. Quzman zamarkował rzut drugim nożem. Po raz drugi się cofnął i wbił szablę w zdeptaną trawę, sięgając uwolnioną w ten sposób ręką do łydki. Blaise, wystrzegając się noża, już robił unik, znów nisko się pochylając, kiedy Quzman, który klęczał na jednym kolanie, lewą ręką rzucił swoją ciężką tarczą niby dyskiem. Tarcza uderzyła Blaise'a w golenie tak mocno, że go powaliła i wydarła mu z gardła

okrzyk bólu. Arimondańczyk chwycił szablę, z przerażającą szybkością zerwał się na nogi i rzucił się naprzód, tnąc z góry z zamiarem obcięcia Blaise'owi głowy.

Blaise odtoczył się rozpaczliwym ruchem w tył i na bok, spazmatycznie chwytając powietrze; obie nogi straszliwie go bolały. Spadająca szabla wbiła się w ziemię o szerokość klingi od jego głowy, lecz Quzman teraz już naprawdę sięgał po drugi nóż, znajdując się za blisko na walkę mieczem.

Nie dosięgnął tego noża.

Przed wielu laty podczas jednej z niekończących się kampanii przeciwko Valensie król Duergar z Gorhaut, który nadal się interesował dziwnie buntowniczym młodszym synem Galberta de Garsenc, pewnego ranka wezwał Blaise'a, by pojechał z nim na objazd obozowiska armii. Podczas tej wiosennej przejażdżki zauważył, jaką dobrą kryjówką dla łuczników są kwitnące drzewa czereśniowe, a potem zupełnie mimochodem wspomniął, gdzie można przy sobie ukryć nóż.

Blaise cierpiał prawdziwy ból i nie mógł się posłużyć mieczem; znów się desperacko przetoczył i rozluźnił chwyt dłoni trzymającej tarczę. Jednocześnie wyjął własny nóż z żelaznej pochwy, którą umieścił, zgodnie z sugestią króla, na wewnętrznej stronie tarczy. Zaparł się prawą ręką w ziemię, by zahamować ruch, mocno uderzył Quzmana w ramię tarczą, a potem wysunął z jej uchwytu lewą dłoń z nożem i dźgnął Arimondańczyka dwa razy: raz głęboko w mięśnie prawej ręki, a potem przeciągnął mu ostrzem po już zranionych żebrach.

A potem wysunął się spod wijącego się wroga i chwiejnie stanął na nogach. Szybko chwycił miecz. Quzman leżał na zakrwawionej trawie u jego nóg, zwijając się z bólu, nie mając władzy w prawej ręce, z mocno krwawiącym lewym bokiem. Rozlegały się dziwnie przytłumione krzyki publiczności. Blaise miał świadomość, że się chwieje. Miał wrażenie, że ucho ma w strzępach; straszliwie go piekło. Ledwie stał, co zawdzięczał pierwszej ranie od szabli i temu ostatniemu uderzeniu tarczą. Stał jednak wyprostowany i znów dzierżył miecz, a jego przeciwnik leżał na ziemi.

Tak spokojnym ruchem, jak tylko potrafił, przytknął czubek miecza Quzmanowi do szyi. Czarne oczy Arimondańczyka patrzyły na niego nieustępliwie, bez strachu, mimo że zbliżała się śmierć.

- Zrób to - rzekł - żeby mój duch mógł się połączyć z duchem mego brata.

- Nie będę winny twojej krwi przed bogiem? Walka była uczciwa? Mam twoją dyspensę?

- zapytał Blaise, z trudem łapiąc oddech.

Quzmanowi udało się uśmiechnąć z goryczą.

- Ma to dla ciebie znaczenie? - Zaczerpnął tchu. - Masz ją. Walka była uczciwa. - Kolejny chrapliwy oddech. - Była bardziej niż uczciwa, po tym, co się stało w pokoju tej kobiety. Nie jesteś winien mojej śmierci. Zrób to.

Okrzyki i wrzaski umilkły. Teraz wszędzie wokół panowała niesamowita cisza. Dobiegł jakiś okrzyk od strony pospólstwa. Głos się wzniósł i zamilkł, i znów było cicho. Blaise uświadomił sobie, że tego ranka może zrobić coś jeszcze. Co dziwne, wyglądało na to, że i tak chciał to zrobić.

- Twoje rany nie są śmiertelne - powiedział powoli, bo starał się zapanować nad oddechem. - Aby dokonać tego, czego muszę dokonać, będę potrzebował dobrych ludzi. Zabiłem twego brata zaatakowany przez sześciu coranów i dopiero po tym, jak to oni pierwsi strzelili do mnie. Zechcesz uznać, że ta walka zamknęła naszą przeszłość? Nie mam ochoty zabijać odważnego człowieka. Nie chcę mieć na rękach twojej śmierci, nawet mimo dyspensy.

Quzman pokręcił głową; teraz miał dziwnie spokojny wyraz twarzy.

- Mógłbym się zgodzić - powiedział, oddychając szybko i płytko - gdyby nie jedno. Mój brat nie miał łuku, nigdy go nie używał, a zginął od strzały w gardle. Powinieneś być z nim walczyć, przybyszu z północy. Za zabicie go na odległość musisz zginąć albo zginąć muszę ja.

Blaise pokręcił głową. Czuł teraz wielkie znużenie.

- Czy musi zostać zapisane przed bogiem, że jesteśmy wrogami? - Zwalczył kolejną falę bólu. Czuł, jak z ucha kapie mu krew. - Tamtego dnia nad jeziorem to nie był turniej. Walczyłem o życie z sześcioma ludźmi. Nie zabiję cię, Arimondańczyku. Jeśli poproszę, pozwolę ci odejść. Zrób ze swoim życiem, co zechcesz, lecz wiedz, że z przyjemnością przyjąłbym cię do drużyny.

- Nie rób tego - rzekł Quzman z Arimondy.

Blaise puścił to mimo uszu. Odwrócił się i ruszył wolno w stronę namiotu, w którym hrabina zasiadała z Ariane, Bertranem i królem Valensy. Wydawało się, że są bardzo daleko. I to, że Blaise nie usiłował iść szybciej, oglądać się za siebie, było niemal najtrudniejszą rzeczą, jaką zrobił w życiu.

Zrobił tylko pięć czy sześć kroków. Tak sądził, że tyle ich będzie. Przecież to był Arimondańczyk. Istniała drobna szansa, nic więcej.

- Mówiłem ci, żebyś mnie zabił! - krzyknął Quzman di Peraño.

Blaise usłyszał kroki. Wyrecytował w duchu modlitwę do kogokolwiek, kto mógłby go usłyszeć z tego pola w Arbonne, boga albo bogini, która tutaj była kimś więcej niż jego



dziewiczą córką. I zanosząc tę milczącą inwokację, usłyszał uderzenia strzał.

Za jego plecami Arimondańczyk stęknął dziwnie i wypowiedział jakieś imię, a potem rozległ się odgłos ciała padającego na trawę.

Przez długą chwilę Blaise stał bez ruchu, przeżywając niespodziewany żal. Wreszcie odwrócił się w stronę swego namiotu; zobaczył zbliżających się Valery'ego z Talair i Rudela Correze, dwóch najlepszych łuczników, jakich znał, obu z zaciętymi twarzami, obu z łukami w rękach i bez strzał. Wrócił powoli i stanął nad ciałem Arimondańczyka. Quzman leżał twarzą do ziemi, wciąż ściskając swoją wspaniałą szablę, lecz Blaise spostrzegł coś, czego nie potrafił zrozumieć. W ciele zabitego tkwiły cztery, a nie dwie strzały. Było zwiotczałe, wyglądało niemal komicznie, naszpikowane strzałami niczym lalka czarnoksiężnika. Paskudny koniec dumnego człowieka.

Blaise podniósł wzrok, marszcząc czoło, i zobaczył, jak do przodu występuje trzeci mężczyzna z łukiem, jakby czekał, aż zostanie zauważony. Ruszył z wahaniem w ich stronę z dalekiego krańca grupy dużych namiotów. Chwilę później Blaise zamrugał, rozpoznawszy ze zdumieniem, kto to jest. Był to daleki strzał, ale pamiętał Hirnana z Baude, najlepszego tamtejszego corana, jako wyjątkowo dobrego łucznika.

Hirnan podszedł do niego i się skłonił; minę miał zakłopotaną i pełną niepokoju.

- Muszę cię prosić o wybaczenie - rzekł. - Zobaczyłem, jak wstaje z szablą w ręce. Nie wiedziałem, że inni mieli od ciebie polecenia.

- Nie mieli - odparł łagodnie Blaise. - Nie wiedziałem, że to zrobią. - Dotknął ramienia rosnącego corana. - Dobrze cię widzieć, Hirnanie, i nie jest to raczej pora, by prosić o wybaczenie - możliwe, że właśnie ocaliłeś mi życie.

Hirnan odetchnął z ulgą, lecz się nie uśmiechnął. Sprawiał wrażenie skrepowanego tym, że obserwuje ich tak wielu ludzi.

- Słyszałem, co powiedział herold - mruknął. - Rozumiesz, my nie wiedzieliśmy, kim jesteś. - Spojrzał Blaise'owi prosto w oczy. - Ale zeszłej wiosny wyrobiłem sobie własne zdanie. Nie twierdzę, że mam specjalnie wielkie umiejętności, lecz jeśli przyda ci się w drużynie ktoś godny zaufania, to byłbym zaszczycony. Panie.

Blaise poczuł, jak zaczyna go ogarniać zupełnie nieoczekiwane uczucie ciepła, wypierające ból. Lubił tego człowieka i go szanował.

- W równym stopniu będę zaszczycony ja - rzekł z powagą. - Również wyrobiłem sobie w górach własne zdanie. Lecz ty jesteś zaprzysiężonym coranem pana na zamku Baude. Wątpię, by Mallin chciałby stracić kogoś takiego jak ty.

Hirnan pozwolił sobie na słaby uśmiech.

- Spójrz jeszcze raz - powiedział. - To sam en Mallin polecił mi przygotować łuk, pod koniec, kiedy Arimondańczyk padł, a ty stałeś i coś do niego mówiłeś. Naprawdę nie sądzę, że będzie miał coś przeciwko temu, bym się do ciebie przyłączył.

Blaise spojrział tam, gdzie pokazywał Hirnan, ku jasnożółtemu namiotowi rozbitemu daleko przy szrankach, i zobaczył, że Mallin de Baude stoi. Nawet z tej odległości widział, że młody baron się uśmiecha. Kiedy Blaise uniósł rękę w geście pozdrowienia, zalała go fala wiosennych wspomnień. A potem Mallin de Baude, jakby urodzony do wykonywania takich gestów na oczach świata, pozdrowił Blaise'a uniesioną ręką, po czym skłonił mu się tak, jak poddani kłaniają się królom. Stojąca obok niego Soresina de Baude, w sukni zielonej jak trawa, z niespotykanym wdziękiem złożyła głęboki ukłon i chwilę w nim trwała. Z namiotów i od strony pospólstwa dobiegł pomruk.

Blaise przełknął ślinę, usiłując bez większego powodzenia dopasować myśli do takich zdarzeń. Trudno mu było oprzeć się chęci odpowiedzenia tym samym, lecz człowiek roszczący sobie prawa do korony nie kłania się pomniejszym baronom. Zasady gry się zmieniały; tego ranka zmieniły się na resztę życia Blaise'a, bez względu na jego długość. W tej myśli było coś przerażającego.

Za jego plecami rozległo się suche kasznięcie. Obejrzał się przez ramię na Rudela i Valery'ego.

- Trzeba będzie się zająć tym uchem. I jest tu jeszcze czwarta strzała - rzekł Valery.

Rudel miał dziwną minę, jakby zdumienie zmagало się w nim z wesołością.

- A człowiek, który ją wystrzelił, właśnie się ujawnia, jak coran ze zdjętą maską pod koniec przedstawienia kukielkowego. To już koniec przedstawienia, Blaise. Lepiej szybko coś wymyśl. Spójrz na drugi namiot.

Blaise spojrział. Zza namiotu Arimondańczyka, rzeczywiście zupełnie jak zza kurtyny, olśniewający w zieleni i złocie, z łukiem w ręce, wyszedł Urté de Miraval.

Widzieli go teraz i siedzący w namiotach, i stojący w miejscu dla pospólstwa, więc, co nie było zaskakujące, wrzawa znów zaczęła się wzmacniać. Przy jej akompaniamencie Urté ruszył ku nim odmierzoną, nieśpiesznym krokiem, jakby się przechadzał po Miraval.

Podszedł do Blaise'a i się zatrzymał, prosty jak włócznia. Mimo rosnącego hałasu, wokół nich panowała cisza.

- Nie spodziewaj się kolejnego pozdrowienia - odezwał się Urté. - Kiedy ostatnio interesowałem się tą sprawą, królem Gorhaut był Ademar. Obawiam się, że nie kłaniam się bezczelnym pretendantom.

- To dlaczego ratujesz im życie? - zapytał Rudel, jako że Blaise milczał, myśląc

najszybciej, jak potrafił.

Książę nie raczył spojrzeć na Portezzanina. Uśmiechnął się blado, nie spuszczać wzroku z oczu Blaise'a.

- Arimondańczyk mnie rozczarował. Dwie noce temu kosztował mnie dziesięciu coranów, a dziś rano tysiąc w złocie przegrany do Masseny Delonghiego. I tak naprawdę nie chciałem być zwierzchnikiem corana, który zabił tego człowieka od tyłu w walce na śmierć i życie. Źle by to wpłynęło na mój wizerunek. Pojmujesz?

- Chyba pojmuję - rzekł Blaise. Zbudził się w nim zimny gniew. - Gdyby przeżył, byłbyś zagrożony, prawda? Ponieważ zdradziłeś go w pokoju Lucianny, mógłby nadal rozpowiadać, jak to dwie noce temu byłeś zamieszany w próbę pozbawienia mnie życia. To bardzo źle by wpłynęło na twój wizerunek, zgadzam się. Nie uratowałeś mnie, panie, zabiłeś niewygodnego człowieka.

Książę zachowywał niezmałony spokój.

- Rzekłbym, że to dość dobry powód, by kogoś zabić. Powinieneś się postarać, by samemu nie stać się tak niewygodnym, jak jesteś bezczelny.

Rudel, zaskoczony, parsknął śmiechem.

- Oszalałeś? Grozisz mu?

I znów Urté nawet na niego nie spojrział.

- Czy to, co zrobię, ma jakieś znaczenie? - powiedział wtedy powoli i wyraźnie Blaise. - Słyszałem, że wystarczyła prosta pomyłka, byś zabił. Muzyków śpiewających niewłaściwą melodię, lojalnych coranów, którzy popełnili ten błąd, że wykonali twoje polecenia w niewłaściwym czasie. - Przerwał, wbijając spojrzenie w Urtého. Wiedział, że nie powinien tego mówić, lecz teraz miotała nim wściekłość i o nic już nie dbał. - No i było to dziecko, które wpadło na pożałowania godny pomysł zostania spłodzonym przez niewłaściwego człowieka oraz młodą żonę, która...

- Chyba powiedziałeś już dosyć - rzekł Urté de Miraval.

Jego uśmiech zniknął.

- Doprawdy? A jeśli ja mam inne zdanie? A jeśli postanowię stwierdzić coś przeciwnego? Stać się prawdziwie, jak to ująłeś, niewygodnym? Osobiście oskarżyć cię o spisek mający na celu pozbawienie mnie życia? Oraz o inne rzeczy, niezależnie od tego, jak dawno się wydarzyły? - Blaise czuł, że zaczynają mu drżeć ręce. - Jeśli sobie życzysz, z przyjemnością stanę z tobą do walki. Mam tu swoich giermków, a przy tamtym namiocie już czeka dwóch coranów z Miraval. Z przyjemnością się z tobą zetnę. Nie lubię ludzi, którzy zabijają niemowlęta, mój panie na Miraval.

Urté de Miraval zrobił zamyśloną minę. Znów był spokojny, choć bardzo blady.

- De Talair ci to powiedział?

- Nic mi nie powiedział. Nie pytałem go. To nie ma nic wspólnego z Bertranem.

Książę znów się uśmiechnął. Tym razem też nie był to przyjemny uśmiech.

- Ach, zatem była to Ariane, zeszłego lata - mruknął. - Oczywiście. Powinienem się być domyślić. Szczerze kocham tę kobietę, lecz w łóżku rozpuszcza język.

Blaise poderwał głowę.

- Zaproponowałem ci to raz. Muszę powtórzyć? Zechcesz stanąć ze mną do walki, panie?

Po chwili Urté de Miraval pokręcił głową; sprawiał wrażenie, że całkowicie odzyskał panowanie nad sobą i że jest szczerze rozbawiony.

- Nie zechcę. Przede wszystkim jesteś ranny, a po drugie, być może masz dla nas w tej chwili jakieś znaczenie. Dzielnie walczyłeś tego ranka, przybyszu z północy. Potrafię okazać za to szacunek i niniejszym to robię. Posłuchaj, czekają na ciebie kobiety. Idź i dokończ tę grę, a potem niech ktoś się zajmie twoim uchem, coranie. Obawiam się, że po zmyciu krwi będziesz wyglądał jak de Talair.

W gruncie rzeczy była to odprawa, jakby wysoko postawiony pan rozmawiał z obiecującym młodym szermierzem, lecz Blaise, chociaż doskonale to rozumiał, nie bardzo wiedział, jak obrócić to w coś innego. Zrobił to za niego Valery.

- Pozostaje bez odpowiedzi jeszcze jedno pytanie, panie - mruknął do księcia kuzyn Bertrana. I Urté odwrócił się do niego, mimo że przedtem ignorował Rudela. - Czy to ze wstydu trzymasz się tak prosto? Ze wstydu, ponieważ wstąpiłeś z Arimondańczykiem na ciemną ścieżkę morderstwa, podczas gdy reszta z nas, łącznie z en Bertranem, usiłuje ocalić Arbonne przed zniszczeniem, które jej zagraża? Jak daleko w teraźniejszość będziesz wciągał przeszłość, panie, bez względu na to, czy zabiłeś to dziecko, czy nie?

Urté de Miraval na chwilę zaniemówił i wtedy Blaise, czując, jak uchodzi zeń wściekłość, a na jej miejsce napływa zadowolenie niby chłodny powiew wiatru, skinął mu uprzejmie głową i na oczach wszystkich odwrócił się do niego plecami. Usłyszał, że przyjaciele idą za nim w stronę namiotu hrabiny Arbonne i królowej Dworu Miłości; książę Miraval został sam na trawie ze swoim łukiem, przy ciele swego martwego corana, zalany jasnym blaskiem słońca.

\*

Kanclerz Roban, który stał w tylnej części złoto-białego namiotu, gotów do działania na każde skinienie hrabiny, zobaczył, jak syn Galberta de Garsenc odwraca się plecami do

Urtégo de Miraval i rusza w ich stronę. Skrzywił się. Oczywiście nie usłyszał ani słowa z tego, co tam zostało powiedziane, lecz chłodna beczelność tego gestu niosła własny przekaz.

Przekazy nadchodziły tego ranka we wściekłym tempie, a wszystkie najwyraźniej zmierzały do jednego. Nadal nie podobało mu się to, co się działo - było to dla Robana o wiele za ekstrawaganckie, zbyt prowokacyjne - lecz musiał przyznać, że ten coran z Gorhaut radzi sobie z sytuacją z prawdziwym wdziękiem. Po tym, co właśnie zaszło, nie mógłby uczciwie powiedzieć, że wciąż w niego wątpi. Może mu się nie udać, im wszystkim może się nie udać, lecz kiedy Blaise de Garsenc kazał tego ranka wzniesć nad swoim namiotem chorągiew królów Gorhaut, tym samym odzegał się od jakiejkolwiek możliwości zdrady.

Roban przywołał dyskretnym gestem jednego ze swoich ludzi, czekających na wolnej przestrzeni za namiotem, i wysłał go biegiem po lekarza hrabiny i kapłankę uzdrawiania.

Zobaczył, jak na środku pola en Urté poniewczasie przyzywa władczym gestem dwóch coranów Miraval, by usunęli ciało Arimondańczyka. Roban większość życia spędził na dworze. Doskonale wiedział, dlaczego Urté posłał ten długi, wspaniały strzał zza namiotu. Był pewien, że kiedy dwie noce wcześniej księżę przybył z hrabiną do pokoju Lucianny, spodziewał się zastać Blaise'a z Gorhaut martwego. Nie powodowała nim jakaś szczególna nienawiść do młodego corana - bardzo możliwe, że de Miraval nawet nie wiedział, kim naprawdę jest Blaise - byłby to po prostu kolejny cios, kolejny głupi, banalny, niszczycielski cios w niekończącej się wojnie Miraval i Talair. Bertran cenił tego corana i trzymał go przy sobie - z tego też powodu Urté de Miraval chętnie widziałby go martwym. Potem Arimondańczyk i tak byłby pozostawiony swemu losowi, a ta niepokojąca, potencjalnie niebezpieczna dama z Portezzy przypadłaby hrabinie. Oraz oczywiście Robanowi; trudne sprawy zawsze zostawiano Robanowi.

Patrzył na Blaise'a de Garsenc, idącego z wyraźnym trudem. W pewnej odległości za nim biegli po trawie dwaj odziani w zieleń corani z Miraval, wezwani przez swego pana. Roban był człowiekiem myślącym i od dawna go dziwiło - i znów zdziwiło go teraz - że żaden z ciosów wymienianych między wojującymi księżętami nigdy nie był wymierzony bezpośrednio w przeciwnika. Zupełnie jakby - wedle jakiegoś milczącego, niepotwierdzonego porozumienia - potrzebowali się nawzajem, by podtrzymywać wyraźne, gorzkie wspomnienia tego dawno minionego roku, by dostarczać temu drugiemu, jakkolwiek niewytłumaczalne mogło się to wydawać, powodu do dalszego życia.

Dla Robana było to beznadziejnie irracjonalne, mroczne niczym jakiś pogański obrzęd, lecz zarazem wciąż zgadzał się z tym, co kiedyś powiedziała hrabina: że właściwie nie można myśleć o którymś z nich, nie przypominając sobie natychmiast tego drugiego. Roban

pomyślał, że śmierć Aelis de Miraval związała ich ze sobą i omotała jak siecią. Spojrzał w bok i zobaczył Bertrana, siedzącego swobodnie na krześle pod złocistym baldachimem hrabiny. Z szerokim uśmiechem patrzył na Urtégo, który szedł sztywnym krokiem przed swoimi coranami, niosącymi ciało Arimondańczyka.

To się nigdy nie kończyło. I nie skończy się, dopóki oni będą żyli. A kto wiedział, jakich ludzi - i narody - wciągną do swojej ciemnej sieci, na zawsze zawieszanej w tym czasie przed ponad dwudziestu laty, kiedy w Miraval umarła czarnowłosa kobieta?

Przed hrabiną stał człowiek, który właśnie zgłosił roszczenia do tronu Gorhaut. Roban pomyślał, że wygląda jakoś inaczej niż przedtem, nawet wzięwszy pod uwagę, że kiedy kanclerz widział go po raz ostatni, leżał związany i niemal nagi na łóżku kobiety. Gorhautczyk, choć wyraźnie cierpiał ból - z rozciętego ucha kapłała mu krew - ze spokojem stanął przed dwiema panującymi damami Arbonne i królem Valensy. I wcale nie był taki młody, jak początkowo sądził Roban. W tej chwili na jego twarzy nieoczekiwanie gościł też cień smutku. Nie była to mina człowieka młodego.

Za nim stali kuzyn Bertrana, syn Vitalle'a Correze i trzeci coran w barwach zamku Baude. Kanclerz pomyślał, że już wyglądają jak świta. Czy może sprawiało to tylko zachowanie samego Gorhautczyka? Czy samo postawienie roszczeń może wywołać taką zmianę? Roban uznał, że może, jeśli roszczenie dotyczy czegoś tak wielkiego. Ludzie często są tylko tym, co widzą w nich inni, a nikt na świecie nie będzie już patrzył tak samo na tego wysokiego corana z północy. Być może to jest przyczyną tego smutku, pomyślał nagle kanclerz.

Hrabina wstała, gestem nakazując siedzącym obok niej, by pozostali na swoich miejscach. Roban nie widział jej twarzy, lecz wiedział, że hrabina się nie uśmiecha. Nie teraz, nie przy tak wielkim ryzyku podjętym tego ranka.

- Zachowałeś się na tym polu z honorem, Blaisie de Garsenc, i zaskarbiłeś sobie przychyłność Rian i Corannosa - powiedziała donośnie swoim jasnym, czystym głosem. - Wzywamy wszystkich tu obecnych na świadków, że sprawa krwi między tobą i Quzmanem di Peraño została zakończona i na zawsze rozwiązana. - Z rozmysłem zerknęła na chorągiew królów Gorhaut, łopocącą na wietrze nad jego namiotem. - Jeśli zaś chodzi o inne sprawy, które wypłynęły dziś rano, będziemy sobie mieli wiele do powiedzenia w najbliższych dniach i nie wątpimy, że król Valensy zechce nam udzielić w tych sprawach mądrych rad. Wkrótce się tym wszystkim zajmiemy. Na razie proponujemy ci opiekę naszych uzdrowicieli w Barbentain - obejrzała się na Robana, który skinął głową - i w tej chwili nie powiemy już nic prócz modlitwy, by święta Rian obdarzyła cię swą łaską.

Chociaż to, pomyślał ponuro Roban, znaczyło bardzo dużo. Hrabina dała już wiele do zrozumienia, wstając i pozdrawiając Gorhautczyka, kiedy ten wciągnął na maszt swoje chorągwie, lecz teraz sygnalizowała to samo, i to dość dobitnie. Kanclerz obejrzał się przez ramię. Przybyli lekarz i kapłanka; zbliżali się szybko, niemal biegiem. Lecz Roban wiedział, że zanim Blaise de Garsenc będzie mógł zejść z oczu tłumu i zostać oddany pod ich opiekę, trzeba zrobić coś jeszcze. To był teatr, a on znajdował się na scenie.

Kiedy hrabina usiadła, wstała Ariane, piękna w jesiennych odcieniach rdzawości i bladego złota. Wschód i zachód słońca, pomyślał kanclerz, patrząc na obie kobiety, albo, ponieważ Ariane tak naprawdę nie była już młoda, może lepszymi odpowiednikami byłyby wyobrażenia południa i zmierzchu. W jasnym świetle uroda pani na Carenu była niemal oślepiająca. On jednak kochał tę starszą kobietę, wdzięk kończącego się dnia, i tak będzie aż do jego śmierci.

Teraz trzeba było wręczyć różę. W gruncie rzeczy umiarkowanie ciekaw, co zrobi Gorhautczyk, Roban słuchał, jak Ariane wypowiada oficjalną formułkę odwołującą się do symbolicznych rytuałów Dworu Miłości. Nie był trubadurem, coranem, tancerzem ani kpiarzem czy typem człowieka, który wyznacza style mody wśród dam na dworze. Mimo to kanclerz Roban kochał swój kraj z trwałym oddaniem, miłością płonąca wewnętrznym płomieniem, i wiedział, że te rytuały, choć mogą się wydawać niepoważne, określają Arbonne i wyróżniają ją na tle reszty świata. I on też, chociaż za dnia w korytarzach zamkowych mógł być prozaiczny, oschły i trzeźwy, miał własne marzenia o zdobyciu tej róży i podarowaniu jej - oczywiście - hrabinie na oczach wiwatujących tłumów. Nie śniło mu się to już od pewnego czasu, ale też nie tak znów dawno temu.

- Mamy w Arbonne swoje tradycje - mówiła Ariane. - Tutaj, gdzie bogini Rian jest czymś znacznie więcej niż tylko Corinną, dziewiczą córką boga. Nasza bogini ma wiele wcieleń, a zawierają się w niej i śmierć, i życie. Dlatego też po zakończeniu każdej walki na śmierć i życie odbywa się ceremonia ku czci Rian i śmiertelnych kobiet, które są jej córkami. Prosimy zwycięzcę, wybrańca bogini i boga, by podarował różę. - Przerwała na chwilę. - Czasami, na znak większego uznania dla jego wartości, prosimy, by podarował tych róż trzy.

Otworzyła podaną jej szkatułę i Roban zobaczył, że istotnie postanowiła przeprowadzić tego ranka pełną ceremonię. Rzadko się to zdarzało, lecz było oczywiste, że Signe i Ariane chciały uświetnić chwilę i uhonorować tego mężczyznę w niezapomniany sposób. Zadał sobie pytanie, czy ten coran z Gorhaut w ogóle ma pojęcie, jak wiele wzięł na siebie tego dnia. Zastanawiał się, jak długo będzie żył - ale to oczywiście było związane z tym, jak długiego życia może się spodziewać każde z nich w związku ze zbliżającą się wojną, która była pewna

jak zima i następująca po niej wiosna.

- Biała oznacza wierność - rzekła Ariane, podnosząc szkatułę, by wszyscy mogli ją zobaczyć. W namiotach rozległ się pomruk radosnego oczekiwania. Poranek dostarczał więcej rozrywki, niż ktokolwiek mógł sobie wyobrazić. - Żółta oznacza miłość, a czerwona pożądanie. - Uśmiechnęła się. - Możesz je podarować wedle uznania, panie de Garsenc. Wszyscy będziemy tym zaszczytzeni.

Blaise z Gorhaut, poplamiony sokiem z trawy i krwią, skłonił się Ariane i wziął szkatułę z jej długich palców. Roban wiedział, że to czysta ceremonia, widowisko całkowicie przeznaczone dla ludzi w innych namiotach i stojących w miejscu dla pospólstwa, oraz temat dla trubadurów i żonglerów, którzy po zakończeniu jarmarku zanoszą je do zamków i wiosek leżących daleko za tym polem. Wiedząc to i pamiętając liczne takie ceremonie z przeszłości, Roban mimo wszystko był wzruszony.

Mężczyzna wręczył z powagą otwartą szkatułę synowi Vitalle'a Correze i wyjął z niej białą różę. Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, po czym z powrotem odwrócił się do królowej.

- Wierność ofiarowuję tam, gdzie najbardziej na nią zasłużono, jeśli wolno mi wymienić imię kobiety, której nie ma tu z nami na tym polu. Czy mogę cię prosić, byś strzegła tej róży dla niej i kazała ją złożyć u stóp tej kobiety, gdy nadarzy się ku temu odpowiednia pora?

Ariane skinęła poważnie głową.

- Możesz, i tak zrobię. Gdzie powinnam ją zanieść?

- Do mojej szwagierki - rzekł Blaise, a Roban był niemal pewien, że wzruszenie, słyszalne w jego głosie, nie jest udawane. - Do Rosali de Savaric de Garsenc, która dochowała wiary swemu dziecku i swej własnej wizji Gorhaut. I powiedz jej, jeśli zechcesz, że dopóki żyję, nie zdradzę jej.

Roban wiedział, że ta kobieta nadal przebywa w zamku. Ten otwarty teren nie był miejscem dla kogoś, kto zaledwie przed kilkoma dniami urodził dziecko. Herald ogłaszał jej imię, by wszyscy mogli je usłyszeć. Krążyły już plotki, lecz to było pierwszym oficjalnym potwierdzeniem tożsamości tajemniczej kobiety z Barbentain. Będą o tym rozmawiać we wszystkich sześciu krajach przez długi czas, pomyślał Roban, kręcąc głową.

Blaise już się odwrócił, by ująć czerwoną różę. Wyglądało na to, że się waha, zmarszczywszy czoło, lecz po chwili Roban zobaczył, że coran po raz pierwszy od chwili, kiedy podszedł do namiotu, lekko się uśmiecha. Niosąc różę przed sobą na wyciągniętych dłoniach, pokuśtykał kawałek wzdłuż rzędu namiotów i zatrzymał się przed pięknie rzeźbionym i udekorowanym krzesłem Lucianny Delonghi, która dwie noce wcześniej



związała go i skaleczyła sztyletem. Wyciągając przed siebie dłonie, podał jej, z kolejnym niskim ukłonem, czerwoną różę pożądania.

Roban, który obserwował to wszystko ze szczerą ciekawością, zobaczył, że kobieta błędnie, a stojący obok niej ojciec się uśmiecha - a potem powoli poważnieje, uzmysłowiwszy sobie konsekwencje tego wyboru. Lucianna Delonghi nic nie powiedziała; wydawało się, że jej spokój został zburzony po raz pierwszy, odkąd kanclerz pamiętał. Powodowany nabytym na dworze instynktem Roban popatrzył w tym momencie na Ariane i zauważył, jak mocno miała zaciśnięte usta. Nowy element, pomyślał. Ciekawe, kiedy to się stało?

- Zaczynam myśleć - mruknął Bertran de Talair, przerywając długie milczenie - że być może wszyscy znaleźliśmy w tym człowieku więcej, niż się spodziewaliśmy. Być może nauczę się go jeszcze bać. Właśnie całkowicie się zemścił na Borsiardzie d'Andorii.

Roban uświadomił sobie, że to prawda. To była bardzo publiczna róża pożądania podarowana zamężnej kobiecie, której mężowi zakazano wstępu na jarmark za próbę zabójstwa Blaise'a. Wszyscy w namiotach i większość pospólstwa będą teraz pewni, że wiedzą dlaczego. Nic dziwnego, że Massena Delonghi już się nie uśmiechał. Roban odwrócił się z powrotem do portezzańskiego namiotu i zdążył jeszcze zobaczyć, że Gorhautczyk wypowiada do kobiety jedno słowo, a kanclerz miał na tyle odsłonięty widok, że nabrał niemal całkowitej pewności, że tym słowem było „żegnaj”. Pomyślał, że zemsta mogła zostać wywarta nie tylko na mężu.

Herold wykrzykiwał z zapalem imię Lucianny d'Andorii, a Blaise wrócił po żółtą różę.

Ujął ją obiema dłońmi, tak jak poprzednie dwie, i zwrócił się do hrabiny oraz królowej. Popatrzył kolejno na każdą z nich, a potem powiedział spokojnie:

- Tę, jeśli pozwolicie, przez jakiś czas zatrzymam. W moim kraju, w Gorhaut, o miłości mówimy sam na sam, a dopiero potem oznajmiamy ją światu.

A potem, zanim zdążyła odpowiedzieć którakolwiek z nich, bez żadnych dramatycznych efektów, zemdlął.

I to, pomyślał kanclerz Arbonne, przywołując jednocześnie ruchem ręki uzdrowicieli, jest zapewne pierwszy czyn tego poranka nieprzeznaczony dla publiczności.

\*

Tak się składało, że się mylił.

- Gdyby to się zanadto przedłużało i chciałbyś się stąd wydostać, mógłbyś się zastanowić nad zemdleniem - mruknął Rudel, kiedy Blaise wziął pierwszą różę. - Waleczny zwycięzca doprowadzony do granic wytrzymałości. Spodoba im się to.

Pod koniec ceremonii, wracając od namiotu Lucianny, Blaise uznał, że zaiste trwa to zbyt długo. W gruncie rzeczy nie spodziewał się, że ujrzy w jej oczach prawdziwy ból. Gniew, owszem, i może pełną pogardy dumę, lecz nie ów nagły ból.

Po tym wszystkim poczuł się bardzo dziwnie. Nie chciał zemdleć naprawdę, więc posłuchał rady Rudela i udał, że traci przytomność, osuwając się na trawę i zamykając oczy. Usłyszał dobiegające zewsząd okrzyki pełne niepokoju, wołanie hrabiny o pomoc, głos Bertrana, który prowadził do niego lekarza między siedziskami w namiocie. Rudel i Valery szybko sprokurowali dla niego nosze, a Blaise słyszał głos Hirmana, który torował drogę wynoszącym go ze zbyt jasnego słońca i badawczych spojrzeń zbyt wielu ludzi.

W drodze powrotnej na zamek Blaise faktycznie stracił przytomność, lecz najpierw zupełnie niespodzianie przysłała mu do głowy myśl, biegnąca chwilowo niebronionymi ścieżkami jego umysłu, że dziecko Rosali Cadar, niemal na pewno jest jego synem.

\*

Większość trubadurów głośno, a nawet szaleńczo ekspresyjnie wyrażała entuzjazm wobec tego, co właśnie się wydarzyło. Nawet osunięcie się na ziemię zemdlonego en Blaise'a de Garsenc nie stłumiło ich uniesienia. Wydawało się, że Remy postanowił zapomnieć o letnim spotkaniu z tym człowiekiem, zakończonym raną zadaną mieczem. Prawdopodobnie skończy się na tym, że uzna to za łączące ich więzy krwi. Jourdain i Alain już rozmawiali o pośpiesznej popołudniowej współpracy, by na wieczorną ucztę w Barbentain mieć przynajmniej jedną gotową pieśń.

- Źle wyglądasz. Co się stało?

Zapytał oczywiście Aurelian, który zawsze wszystko zauważał, nawet pośrodku pandemonium.

Lisseut udało się do niego słabo uśmiechnąć.

- Właśnie się przekonałam, że nie bardzo mi się podoba coś takiego.

- Mnie też nie, ale ja to odkryłem jakiś czas temu. Już po wszystkim. Możemy iść. - Zawahał się, patrząc na nią z namysłem. - Nic mu nie będzie. Widziałem, jak przyszedł lekarz i kapłanka.

- Ja też. Na pewno nic mu nie jest.

Miała świadomość, że za jego słowami kryła się wiedza, a w jej krótkiej odpowiedzi potwierdzenie. Nie dbała o to. Podarował białą różę szwagierce, a czerwoną Luciannie Delonghi, która była tak piękna, jak mówił Aurelian. Żółtą zachował.

Aurelian przez chwilę nic nie mówił. Kilkoro dzieci wbiegło teraz na trawę i zaczęło się

bawić w bitwę. Ze wszystkich namiotów wychodzili ludzie, tworząc kłębiący się, rozgorączkowany tłum. Gospody w Lussan będą miały dużo pracy.

- A ty, moja droga? - zapytał w końcu Aurelian. - Czy też nic ci nie będzie?

- Nie wiem - odparła zgodnie z prawdą.

## ROZDZIAŁ 14

Błękitny księżyc jest dzisiaj w pełni, uświadamia sobie poniewczasie Ranald, widząc, jak dziwny blask zalewa drzewa i skały na górskiej przełęczy. Podobno w nocie pełni Escoran stwory z zaświatów mogą poruszać się między swoją krainą i tym światem. W opowieściach pasterzy góry są siedliskiem wielu z nich: eterycznych istot wielkości kwiatów, włochatych potworów o wielkich stopach, które potrafią schwycić i pożreć nieostrożnego konia z jeźdźcem i zostawić porannemu słońcu jedynie ich kości, albo duchów kradnących niemowlęta z kołysek przy ogniu, by po wsze czasy zatrzymać je pod kurhanami i wzgórzami.

Ranald ponownie usiłuje dojść, dlaczego tak mu się tu nie podoba. Lubi polowania i z pewnością nie boi się nocy, zwłaszcza w towarzystwie pięćdziesięciu najlepszych ludzi króla. W pewnym sensie jest to po prostu większe, zakrojone na szerszą skalę polowanie.

W innym, uczciwszym sensie, nie jest to nic podobnego.

Spogląda na lewo i przez długą chwilę wpatruje się w ponury profil jedyne go człowieka, który wydaje się jeszcze mniej zadowolony od niego. Kiedy nadeszła wiadomość o ucieczce jego siostry, Fulk de Savaric miał nieszczęście składać jedną z rzadkich wizyt w Cortil, a król postanowił się wyprawić jeszcze tego samego wieczoru. Ademar dał jasno do zrozumienia, że książęta Garsenc i Savaric nie otrzymywali jedynie możliwości dołączenia do jego oddziału. Spodziewano się tego po nich. Przekaz był dość wyraźny - że podczas tej wyprawy wielką rolę będzie odgrywać lojalność.

Znajdowali się w siodłach od dwóch dni; teraz zbliżała się druga noc jazdy. Zmieniali konie trzy razy, jedli szybko i zwykle w galopie. Ranald nigdy nie widział króla Ademara w takim stanie, tak skupionego na swojej wściekłości.

Uznaje, że prawdopodobnie to go najbardziej niepokoi. Że król jest rozsierdzony ucieczką Rosali z dzieckiem wyraźnie o wiele bardziej od niego samego. Zupełnie jakby uciekła od Ademara, a nie Ranalda. Pod pewnymi względami mogłoby to nawet być prawdą. Ranald nie żywi złudzeń co do siły swego związku z żoną, lecz naprawdę się zastanawia, niemal ze smutkiem, czy zaryzykowałyby tak wiele, łącznie z życiem nienarodzonego dziecka, tylko po to, by opuścić Garsenc i jego towarzystwo, gdyby części obrazu nie stanowili także jego ojciec i król. Dużej części - Galbert groził odebraniem dziecka, a Ademar groził... czym?

Uwiedzeniem żony najpotężniejszego księcia w kraju? Zniewoleniem jej, gdyby nie okazała mu przychylności?

Sądząc po dowodach, chyba rzeczywiście mu jej nie okazywała; wybrała zdumiewające, z pewnością przerażające wyjście i wołała samotnie uciec do innego kraju niż zawierzyć swemu mężowi, że ustrzeże ją i ochroni przed jego ojcem i ich królem. I bez względu na to, czy zastanawia się nad tym w świetle dnia, czy w błękitnym blasku tego księżycy, mąż Rosali zadaje sobie pytanie, w jaki sposób to wszystko świadczy o charakterze i sile Ranalda, księcia Garsenc, który w tej właśnie chwili jedzie, jakkolwiek niechętnie, za swym królem przez górską przełęcz ku rzezi w Arbonne.

W końcu jest to dokładnie tak łatwe, jak mógłby przewidzieć każdy doświadczony żołnierz. Trzej arbońscy corani w wieży obserwacyjnej na południowych stokach górskiego łańcucha są przyzwyczajeni do podróźnych zdążających z północy podczas jarmarku w Lussan i całkowicie ufają rozejmowi, który zawsze towarzyszy jarmarkowi.

Ademar zatrzymuje oddział w ukryciu i wysyła do wieży pięciu coranów. Strażnicy witają ich, proponują schronienie i posiłek, a na noc posłania ze słomy. Trzej Arbonianie giną jeszcze w trakcie przedstawiania tych propozycji. Kiedy zostaje wysłany sygnał i oddział podejżdza do wieży, zgodnie z poleceniem króla trzej strażnicy zostają pozbawieni głów i wykastrowani, a drewniane budynki obok kamiennej wieży podpalone.

Potem jadą szybciej, by wyprzedzić wszelkie wieści przekazywane przez płomienie. Niedługo później napadają na pobliską osadę Aubry, niby dziki gon z nocnych koszmarów pasterzy - pięćdziesięciu wyjących ludzi na koniach, z dobytymi mieczami i pochodniami, palących i zabijających bez ostrzeżenia, bez powodu, bez litości. Ten napad w czasie rozejmu jest przekazem, a przekaz musi być jak najbardziej jednoznaczny.

Ranald, świadom, że obserwuje go król i kapłan obecny tu jako przedstawiciel jego ojca, stara się, lekko zamroczony, wyszukiwać tych nielicznych wieśniaków, którzy mają w rękach jakąś broń, kiedy wypadają chwiejnie z chat wśród ryku bydła i płaczu dzieci. Jest doskonałym wojownikiem, niegdyś bardzo sławnym, chociaż ostatnio jego reputację mógł przejąć brat, podróżujący po świecie w poszukiwaniu turniejów i wojen. Lecz to Ranald uczył Blaise'a podstaw fechtunku i to Ranald de Garsenc został mianowany w wieku dziewiętnastu lat obrońcą króla w Gorhaut przez ojca Ademara, Duergara.

Często myślał, że to były najlepsze lata jego życia. Był darzony szacunkiem przez króla i dwór za swoją sprawność, podekscytowany zainteresowaniem wysoko i nisko urodzonych kobiet, nieustannie zadowolony ze swoich umiejętności, pogrążony w niezważającej na nic, wylewnej pewności siebie młokosa, i wolny - przede wszystkim na krótki czas wolny od

swego ojca.

A potem umarł jego wuj, Ereibert de Garsenc, i Ranald został księciem, przyjmując na siebie wszystkie ciężary i władzę związane z tą pozycją, oraz specyficzne konsekwencje znajdowania się blisko tronu, wzbudzającego częste kontrowersje. Uroczyście wyznaczono nowego obrońcę; Ranald wrócił do zamku Garsenc na południu, a ojciec znów zaczął nim dyrygować. To było ponad dziesięć lat temu. Przez cały ten czas robił głównie to, co mówił mu Galbert.

Teraz zadaje sobie pytanie, co mógłby wskazać jako coś, co sprawiło mu w tym okresie prawdziwą przyjemność.

Z pewnością nie tę rzeź ani jej znaczenie w czasie rozejmu. Ranald de Garsenc nie jest bynajmniej sentymentalnym człowiekiem i wojna nie budzi jego skrupułów, podobnie jak pomysł podboju Arbonne. To jednakże nie jest wojna, jeszcze nie. To jest coś paskudnego i mściwego. Wie, że to ma być jego własna zemsta. Nikt się go w tej sprawie nie radził; pojechał, bo tego wymagał od niego król, by przekazać wiadomość zapisaną krwią i ogniem.

Niedaleko wioski znajduje się niewielka świątynia bogini Rian; jest to najdalej wysunięta na północ świątynia Arbonne, najbliższa Gorhaut. Dlatego tu są. Trzydziestu czy czterdziestu mieszkańców Aubry, obudzonych w środku nocy, zostaje zabitych, do ostatniego dziecka. Podobnie jak strażnikom w płonącej wieży, mężczyznom - w większości pasterzom i rolnikom - obcina się głowy i genitalia. Ademar z Gorhaut dokładnie wie, jak powiedzieć to, co myśli o mężczyznach w rządzonej przez kobietę Arbonne.

A potem jada do świątyni.

W świetle Escoran w pełni i chwilę po tym, jak na niebie pojawia się sierp Vidonne'a osiem kapłanek Rian z tego małego sanktuarium zostaje wywleczonych z łóżek i spalonych żywcem. Lecz przedtem z rozkazu króla żołnierze mogą sobie na nich poużywać do woli. Ademar niecierpliwie kieruje swego rosłego konia tu i tam, obserwując najpierw jedną grupkę coranów z kobietą, a potem drugą. Słychać krzyki i coraz głośniejszy huk naprędce ułożonego ogniska z suchego jesiennego drewna. W pewnej chwili Ademar, którego jasne włosy poczerwieniały od blasku ognia, spogląda na Ranalda i wybucha śmiechem.

- Nie chcesz kobiety, panie na Garsenc?! Daru od swego króla, pocieszenia za swą stratę?!

Wykrzykuje te słowa, by mogli je usłyszeć inni.

Ranald, wciąż z mieczem w ręku, choć już bezużytecznym, mówi:

- Nie przed tobą, panie mój. Wezmę z ciebie przykład, jak we wszystkim innym.

Ademar odrzuca w tył głowę i znów się śmieje. Przez chwilę Ranald się obawia, że król

rzeczywiście zsiądzie z konia i dołączy do swoich coranów wśród kobiet rozciągniętych na ziemi, lecz Ademar tylko znów zacina wierzchowca i podjeżdża do miejsca, z którego kapłan wysłany przez Galberta ogląda stos. Ranald patrzy za królem z ciężkim sercem. Wie, co powinien zrobić. W zmieszonym blasku ognia i księżyców krzyżuje na krótko spojrzenia z Fulkiem de Savaric. Obaj w milczeniu odwracają wzrok.

Widział już przedtem palenie na stosie, sam rozkazał zorganizować ich kilka na ziemiach Garsenc, zgodnie z zasadą ojca, by takie widowisko rozgrywało się mniej więcej co roku dla utrzymania chłopów pańszczyźnianych i wieśniaków w ryzach. Raz po raz oglądał je z niezmaconym spokojem, dając przykład. Nigdy jednak nie widział ośmiu kobiet palonych żywcem naraz. Liczba nie powinna mieć znaczenia, lecz, kiedy w końcu zaczynają płonąć, wygląda na to, że jednak ma.

Ranald słyszy przez pełen przerażenia hałas czyniony przez zwierzęta gospodarskie głos kapłana wyznaczonego przez jego ojca, intonującego obrzęd potępienia oraz formalną klątwę Corannosa, a potem, głosem wznoszącym się w szczerym tryumfie, wzywającego boski dar ognia, by wypalił herezję.

Kiedy król wyszedł ze spotkania ze swoim najwyższym kapłanem i oznajmił w sali tronowej Cortil, że jeszcze tej samej nocy wyrusza na Arbonne, Galbert nazwał ten wypad biczem bożym.

Krzyki wśród płomieni rozlegają się, dopóki nie uśmierza ich dym. Ciało kobiet powoli czernieją, w powietrzu unosi się swąd palonego mięsa. Ademar postanawia odjechać. Uczyniwszy to, po co przybył, uciszywszy na chwilę wściekłość, król Gorhaut prowadzi swoich coranów z powrotem ku górskiej przełęczy. Kiedy mijają wciąż tłące się zabudowania gospodarze przy samotnej wieży, jeden z coranów zaczyna śpiewać i wkrótce dołączają do niego niemal wszyscy pozostali - śpiewają pieśń o Gorhaut zwycięskim w bitwie, o wybranych wojownikach Corannosa na jego ukochanej ziemi.

Trzej strażnicy w wieży, osada pasterzy i rolników, osiem zgwałconych i podpalonych kapłanek. Bicz boży.

To jest dopiero początek.

\*\*\*

Zachodni wiatr przegonił dym w przeciwną stronę, więc z grzbietu na skraju lasu dość dokładnie widział, co się działo poniżej. Beznamiętnie obserwował masakrę w wiosce i poczuł niepokojące, lecz charakterystyczne mrowienie w lędźwiach, kiedy znani mu ludzie wywlekali ze świątyni kobiety, niektóre nagie, inne w nocnych koszulach, które szybko z nich

zdzierano. Właściwie znajdował się bardzo blisko, choć ukryty wśród drzew. Słyszał nie tylko krzyki, lecz i żarty coranów. Natychmiast rozpoznał króla, a zaraz potem ujrzał swego pana, księcia Garsenc. W gruncie rzeczy pojechał na północ, by znaleźć właśnie tych ludzi.

Zaniepokoiło go palenie na stosie, chociaż samo w sobie nie wystarczyłoby ono, by dać mu do myślenia. Zaczął się jednak zastanawiać, siedząc czujnie na koniu powyżej Aubry, kiedy corani z Gorhaut skończyli się zabawiać, a potem kiedy ucichły krzyki. Nie poruszył się też, chociaż powinien już dawno zjechać na dół, kiedy zobaczył, jak na nagły, szeroki gest króla pięćdziesięciu jeźdźców szybko dosiada koni i odjeżdża na północny wschód w stronę przełęczy.

Drżał, skonsternowany i zaniepokojony własnym wahaniem, dręczony, tak jak przez cały dzień, myślami, które przed tym porankiem nawet by mu nie przyszły do głowy. Przyzwyczajenie i strach, wyznaczniki jego dyscypliny, kazały mu wyjechać w południe z Lussan na północ do Cortil z wieściami o tym, co widział tego ranka podczas turnieju. Zatrzymał się na piwo w przydrożnej gospodzie, a potem absurdalnie długo mitrężył, ciągle sobie powtarzając, że czas znów się znaleźć w siodle, że jego wiadomość ma decydujące znaczenie, że jest niebezpieczna, że jeśli będzie się zbyt długo ociągał, to nawet może paść na niego podejrzenie.

Jednakże opuścił gospodę niemal pod koniec dnia; jechał galopem, ale nie przemęczał konia. Mówił sobie, że do Cortil jest daleko i że musi uważać, by nie wyczerpać wierzchowca. W ciemności rozświetlanej błękitnym blaskiem Escoran zbliżył się do Aubry i kiedy zamierzał objechać osadę drogą prowadzącą do przełęczy, usłyszał konie i krzyki ludzi, zatrzymał się więc na skraju lasu, skąd ze zdumieniem ujrzał króla, do którego zdązał z ostrzeżeniem.

I został tam, obserwując, jak oddział wyrzyna ludzi w wiosce i świątyni, a potem odjeżdża. Nie był szczególnie wstrząśnięty tym, co corani robili z kapłankami, ani właściwie nawet spaleniem kobiet, kiedy z nimi skończyli, chociaż nikt choć w połowie normalny nie mógł się temu przyglądać z przyjemnością. Nie to zatrzymało go na tym grzbiecie. Widział rzeczy gorsze, a przynajmniej równie złe, w czasach brutalnych zmagania z Valensą, zwłaszcza między gospodarstwami i miasteczkami po obu stronach granicy. „Im dłużej to trwa”, powiedział mu kiedyś ojciec, „tym straszniejsze rzeczy się widzi”. I tak było. Wydawało mu się, że ojciec mówi prawdę; to samo sądził o większości wypowiedzi ojca.

Nie chodziło nawet o dreszczyk emocji, który ogarnął go tego ranka, wędrując po kręgosłupie i mrowiąc na skórze głowy, kiedy Blaise de Garsenc podniósł nad swoim namiotem chorągiew królów i ruszył do walki. Zawsze uważał - a kilka razy nawet



powiedział, chociaż tylko zaufanym przyjaciołom - że najmłodszy z de Garsenców jest najlepszy z całej trójki.

To nie sprawiłoby różnicy, nie samo w sobie. Coran w Gorhaut wcześniej się nauczył trzymać swoje myśli na właściwym miejscu, czyli z dala od wszelkich działań, do których wykonania mógłby zostać zmuszony rozkazem. Jego panem, któremu zaprzysiął wierność, był Ranald, książę Garsenc, a jeśli książę otrzymywał większość rozkazów od swego ojca w Cortil, to, cóż, corani z Garsenc nie mieli się nad tym zastanawiać.

Wciąż siedząc na koniu, jeszcze długo po tym, jak odjechał królewski oddział, i patrząc, jak pożar rozprzestrzenia się z dwóch domów na trzeci, uświadomił sobie w końcu, że zjechałby na dół ze swą wiadomością, gdyby nie jedna dodatkowa sprawa, wyciągana powoli tego dnia z jego własnej historii niczym wiadro ze studni.

Teraz było już słycać tylko trzask ognia i bardzo słabe zawodzenie dziecka albo zwierzęcia, które jakimś sposobem jeszcze żyło. Po chwili również i ten dźwięk ucichł i rozlegał się tylko coraz głośniejszy szum wiatru oraz ryk płomieni, ogarniających ostatni już drewniany dom.

Obserwował swego króla, suwerena i coranów, których znał od lat, przykuty do tego grzbietu ze względu na wspomnienie swego ojca z zeszłego roku.

Jego domem rodzinnym był niewielki obszar ziemi uprawnej, dumnie wpisany pod ich nazwiskiem do ksiąg barona, jako że ostatnia zaraza przerzedziła szeregi robotników rolnych i zostawiła po sobie zbyt wiele zaniedbanych gospodarstw. Był to mały kawałek ziemi, lecz stanowił własność jego ojca - po całym beznadziejnym życiu spędzonym na wyniszczającej pracy dla kogoś innego. Gospodarstwo to leżało na żyznych terenach na północy Gorhaut. Albo, mówiąc poprawnie, na północy byłych ziem Gorhaut. Teraz to była Valensa, od czasu podpisania traktatu, na mocy którego została oddana ziemia strzeżona dotąd własnym mieczem przez króla Duergara, przez królewskich coranów oraz przez odwagę rolników i wieśniaków, walczących o swoją własność.

On sam walczył przy Moście na Iersen. Walczył i wygrał w lodzie i krwi wśród wojsk Gorhaut, chociaż kiedy miecze wróciły do pochew, a włócznie zostały odłożone, serdecznie oplakiwał swego króla. Kilka miesięcy później, nie dłużej, kiedy znów przebywał na południu w zamku Garsenc, gdzie ku wielkiej dumie rodziny służył młodemu księciu jako namaszczony coran, dowiedział się, że jego rodzice wraz ze wszystkimi innymi rolnikami i mieszkańcami wiosek na północy otrzymali polecenie spakowania się i przeniesienia gdziekolwiek na południe, gdzie mogą znaleźć schronienie.

Posłańcy nowego króla, Ademara, powiedzieli, że to tylko na jakiś czas. Powiedzieli, że

nowy król pomyślał o nich w swej mądrości i że wkrótce znajdą się dla nich rozleglejsze, żyzniejsze ziemie. Tymczasem życiowe marzenie i modlitwa jego ojca o własne gospodarstwo przypadły, oddane Valensanom, z którymi walczyli od pięćdziesięciu lat. Ot, tak po prostu.

Z jednego punktu widzenia jego rodzice znaleźli się w gruncie rzeczy wśród szczęśliwców, ponieważ zamieszkali u szwagra jego matki na wschód od Cortil; znów pracowali dla kogoś innego, lecz przynajmniej mieli dach nad głową. Spotkał się tam z ojcem dwa razy, ale chociaż staruszek w ogóle mało mówił, jak to mieszkaniec północy, to w jego oczach syn nie dostrzegł poczucia szczęścia.

Wszyscy wiedzieli, gdzie leżą obiecane nowe ziemie. Powszechnie się o tym mówiło tak na wsi, jak w gospodach i zamkach. Ojciec powiedział o tym tylko jedno, pod koniec jego drugiej, ostatniej wizyty w szopie na podwórku, stanowiącej teraz dom rodziców.

O zmierzchu poszedł z ojcem na spacer; patrzyli na szare wrzosowiska spowite mżawką.

- Co ja wiem o drzewkach oliwnych? - zapytał wtedy ojciec, odwracając się, by splunąć w błoto.

Jego syn nie odpowiedział. Patrzył, jak na wrzosowisko pada rzadki deszcz. Nie mieli nic do powiedzenia. To znaczy nic, co nie stanowiłoby zdrady albo nie było kłamstwem.

Jednakże tego ranka na polu turniejowej walki w Arbonne pod pogodnym niebem usłyszał, jak w obecności panów i pań ze wszystkich sześciu krajów młodszy syn Garsenca nazywa Ademara zdrajcą i zgłasza roszczenie do tronu Gorhaut. I siedząc na koniu na tym grzbiecie wzgórza nad płonąca osadą, w końcu uświadomił sobie prostą prawdę: że się zgadza z Blaisem de Garsenc.

Miał pewność, że jego ojciec myślałby tak samo, chociaż nigdy nie ująłby tego w słowa. Stanowili lud Gorhaut, którego życie i ziemie zostały powierzone opiece króla - a on oddał jego bezpieczeństwo, historię i zaufanie na mocy świstka papieru z podpisem. Mówiono, że za tym wszystkim stał najwyższy kapłan Galbert. Że chce zniszczyć lud Arbonne z powodu tej ich bogini.

Niewiele o tym wiedział ani go to nie obchodziło, lecz widział, jak jego ojca zniszczyło życie w cudzym gospodarstwie z dala od północnych ziem, które znał przez całe życie. Ojciec zmarł jeszcze pod koniec tego lata; pewnego ranka położył się do łóżka, jak pisał w liście skryba, i cztery dni później odszedł do boga, nie wypowiedziawszy jednego słowa. Skryba pisał, że nie sprawiał wrażenia, że cierpi wielki ból. Jego matka postawiła na końcu, po fragmencie z życzeniami wszystkiego najlepszego, swój znak. Wciąż miał przy sobie ten list.

Ostatni raz spojrzął na płonąca Aubry. Odetchnął głęboko, mając wreszcie jasny umysł,

choć wcale się z tego powodu nie bał mniej. Kiedy ruszył w drogę, skierował się na południe, tam skąd przyjechał. niosąc teraz inną wiadomość, ponurą, pełną ognia, śmierci i zapowiedzi dalszych takich ataków, pewnych jak to, że śmiertelnicy rodzą się, by umrzeć.

Zdał sobie sprawę, że tak naprawdę wyboru dokonał owego wieczoru, kiedy po raz ostatni poszedł z ojcem na spacer w deszczu. Wtedy nie miał żadnej możliwości wprowadzenia tej decyzji w życie. Teraz ją miał.

Dał koniowi ostrogę i zostawił płomienie Aubry za sobą. Wzrok utkwił w pustej drodze rozciągającej się przed nim, jasnej i dziwnej w zmieszonym świetle obu księżyców.

\*\*\*

Blaise nie był z tego zadowolony, lecz kapłanka i lekarz jednogłośnie obstawali przy tym, by wypić ziołową miksturę, która uśpi go na większość dnia.

Kiedy się obudził w jednej z komnat Barbentain, zachodnie niebo za oknem było miękkie od rozmaitych odcieni różu i fioletu, a niedługo miał się pojawić granatowoczarny zmierzch. Ze swego łóżka nie widział rzeki, lecz słyszał przez otwarte okno jej bystry nurt; w dali zaczynały się zapalać w domach Lussan światła. Patrzył przez chwilę na niebo, czując dziwny spokój, chociaż czuł ból nóg i miał świadomość opatrunku na lewym uchu. Dotknął go.

Ostrożnie odwrócił głowę w drugą stronę i zorientował się, że nie jest sam.

- Mogło być gorzej - odezwała się cicho Ariane. Siedziała w fotelu w połowie drogi do drzwi. - Straciłeś część małżowiny, ale mówią, że na tym się skończy. Właściwie będziesz wyglądał tak samo jak Bertran.

- Od jak dawna tu jesteś?

- Od niedawna. Powiedzieli, że będziesz spał do zachodu słońca. Zapytałam, czy będę mogła z tobą porozmawiać sam na sam, kiedy się obudzisz.

Kolorowy uroczysty strój zmieniła na skromniejszy - granatową suknię z charakterystycznym szkarłatem tylko w wykończeniu rękawów. wydawała mu się bardzo piękna. Uśmiechnęła się.

- Bertran cały dzień chodzi po zamku, twierdząc, że teraz się wyjaśniło, że jesteście dawno rozdzielonymi braćmi. Obecna wersja jest taka, że zostałeś wykradzony z kołyski w zamku Talair przez zbójców i sprzedany w wiosce w Gorhaut za trzy kozy.

- Trzy kozy? Jestem oburzony - rzekł Blaise z westchnieniem. - Co najmniej pięć. Powiedz mu, że nie pozwolę, by zaniżano moją wartość, nawet w jakiejś historyjce.

Uśmiech Ariane zniknął.

- Raczej nikt nie będzie zaniżał twojej wartości, Blaise, tutaj czy gdziekolwiek indziej.

Nie po wydarzeniach dzisiejszego ranka. Najprawdopodobniej będziesz miał problemy wręcz przeciwne.

Powoli skinął głową. Wyglądało na to, że tyle mógł zrobić bez bólu. Usiadł z wysiłkiem. Na stoliku przy łóżku stała buteleczka.

- Co to? - zapytał.

- To, co piłeś wcześniej. Powiedzieli, że może zechcesz się jeszcze napić.

Pokręcił głową.

- Jest coś innego?

W karafce pod przeciwległą ścianą stało wino. Było też jedzenie - zimne mięsa, sery i świeży chleb z zamkowej kuchni. Odkrył, że straszliwie zgłodniał. Ariane rozcieńczyła wino wodą i przyniosła tacę; Blaise przez kilka chwil szybko jadł, a potem znów podniósł wzrok. Przyglądała mu się z uśmiechem ze swego fotela.

- Powiedzieli, że po tych ziołach możesz się obudzić bardzo głodny.

Stęknął.

- Skoro sprawiają wrażenie, że tak dobrze mnie znają, to co jeszcze powiedzieli?

- Że nie mam cię pobudzać ani ekscytować - odparła ze skromną miną.

Blaise nagle poczuł się dziwnie szczęśliwy. Patrząc na tę kobietę, czując jej spokój i chłonąc ciszę zmierzchu, doznał wszechogarniającego zadowolenia. Kiedy już opuści tę komnatę, będzie czekało na niego brzemie świata. Lecz w tej chwili, choćby miała być bardzo krótka, wszystko to wydawało się przyjemnie odległe. Znów czuł zapach jej perfum.

- Wiesz, nie jesteś w tym szczególnie dobra - powiedział.

O dziwo, zarumieniła się. Blaise uśmiechnął się, pokazując zęby. Przesunął się i odstawił lakierowaną tacę na komodę obok łóżka. Ariane siedziała w fotelu.

- Czy stało się coś, o czym powinienem wiedzieć? - zapytał. Naprawdę czuł się nadzwyczaj dobrze. Właściwie lepiej niż dobrze. Zadał sobie pytanie, czy jego lekarze to przewidzieli. - Czy ty albo ja będziemy komuś potrzebni przez najbliższy czas?

Ariane pokręciła głową i szeroko rozwarła ciemne oczy.

- Czy te drzwi mają zamek?

Na jej twarz wrócił cień uśmiechu.

- Oczywiście. Na zewnątrz jest też czterech strażników hrabiny, którzy usłyszą przekręcanie klucza. Wszyscy wiedzą, że tu jestem, Blaise.

Oczywiście miała rację. Przygnębiony, oparł się o poduszkę. Wtedy Ariane wstała. Była wysoka i szczupła, czarne włosy jak zawsze miała rozpuszczone.

- Z drugiej strony - mruknęła, podchodząc do drzwi - corani z Barbentain słyną z

dyskrecji. - Przekręciła klucz z lekkim trzaskiem. - A ponieważ cały zamek wie, że tu jestem, żadną miarą nie moglibyśmy robić nic innego, niż omawiać następne wydarzenia, prawda?

Powoli podeszła do łóżka. Blaise podniósł na nią wzrok, chłonąc jej nieskazitelną urodę, jakby to był łyk chłodnego, ożywczego wina.

- Zastanawiałem się nad tym - rzekł po chwili. Bawiła się kołdrą; zsunęła mu ją nieco z piersi, a potem podciągnęła z powrotem. Blaise był nagi. - To znaczy nad następnymi wydarzeniami.

Ariane się roześmiała i ściągnęła z niego kołdrę.

- Będziemy musieli to omówić - zgodziła się i, usiadłszy na łóżku, zbliżyła usta do jego warg. Pocałunek był krótki, delikatny, przelotny. Pamiętał te pocałunki. Jej usta przesunęły się w dół, znalazły zagłębienie pod szyją, a potem zsunęły się jeszcze niżej, przesunęły po piersi, i powędrowały w dół.

- Ariane - powiedział.

- Sza - mruknęła. - Obiecałam, że nie doprowadzę cię do wzburzenia. Nie rób ze mnie kłamczuchy.

Teraz on się roześmiał, bezradnie, ale zaraz przestał, jako że zawładnęły nim inne wrażenia. Wtedy w komnacie zrobiło się już ciemno; zapadła noc. Nie zapalili świec. Ujrzał w mroku, jak Ariane unosi głowę znad jego ciała, a potem podnosi się i staje przy łóżku, niby jeszcze jeden cień, i zsuwa ubranie. A potem w wirze perfum i szeleście materiału znów znalazła się nad nim.

- A teraz pamiętaj, masz się nie ekscytować - powiedziała z powagą Ariane de Carenu i gładkim, płynnym ruchem opuściła się na jego męskość.

Za wodą, w mieście lśniły już światła, na korytarzu rozległy się kroki, ktoś odpowiedział na ciche pytanie strażników, a potem kroki się oddaliły. Pod oknem płynęła miękko rzeka, zdążając do odległego morza. Blaise czuł ruchy Ariane, jakby to był rytm fal. Uniósł dłonie do jej piersi, a potem zaczął wodzić w ciemności palcami po jej twarzy, jak ślepiec. Przeczesał jej gęste włosy. Jeszcze raz, świadom, jakie to nieuczciwe, nie mógł się oprzeć, by nie porównać jej z Lucianną. Pomyślał nagle, że chodzi o tę różnicę między uprawianiem miłości jako procesem dzielenia się i aktem sztuki. Blaise uznał, że dla nieostrożnych w obu czały się niebezpieczeństwa. Przyszło mu do głowy, że gdyby nie chciał tego ranka dostarczyć pod portezzański namiot osobistej i publicznej wiadomości, bardzo łatwo mógłby podarować czerwoną różę tej kobiecie.

Potem zasnął, nie wiedział na jak długo. Ariane się ubrała, a w całym pokoju płonęły świece. Nie wyszła jednak, znów obserwowała go z krzesła, jakby się budził po raz pierwszy.

Było coś głęboko uspokajającego w tym, że budząc się, widział, że przy nim czuwa; zadał sobie pytanie, czy ona o tym wie. Tym razem czuł się inaczej, bardziej sennie. Przeniósł wzrok z jej spokojnej twarzy na okno. Kiedy spał, zmieniło się światło nocy; po chwili uświadomił sobie dlaczego - nad zamkiem i światem unosił się błękitny księżyc w pełni.

Blaise odwrócił się do Ariane. I wraz z tym ruchem załała go fala wspomnień poranka, ujrzał w wyobraźni wyraźny, oświetlony słonecznym blaskiem obraz chorągwi królów trzepoczącej nad jego namiotem. Instynktownym gestem uniósł dłoń. I nadal na wpół śpiąc, szepnął jakby we śnie:

- Ale ja nie chcę być królem Gorhaut.

- Wiem - odpowiedziała Ariane. - Wiem, że nie chcesz. - Ze swoimi kruczoczarnymi włosami i bladą, niemal przezroczystą skórą wyglądała w blasku świec jak duch, jak *racoux*. Uśmiechnęła się ironicznie. - Nie martwiłabym się tym, Blaise. Nie pożyjemy tak długo.

Niedługo potem wyszła. Z krótką wizytą pojawił się Bertran, dzieląc się z nim swoim nowym żartem o ich braterstwie, celowo unikając ważniejszych tematów. Przyszli Rudel i Valery. Wtedy Blaise zjadł porządny posiłek, przyniesiony przez Hirnana; wciąż był głodny. Potem przybyli lekarz i kapłanka i zalecili, by się jeszcze napił ich ziołowej mikstury. Odmówił. Właściwie czuł się dobrze. Odczuwał lekki ból w uchu, w tej chwili znacznie większy w goleniach i z tyłu łydki, gdzie dosięgła go szabla Arimondańczyka, lecz w zasadzie wyszedł z tego mniejszym kosztem, niż mu się należało. Nie chciał znów dać się uśpić.

Na jakiś czas zostawili go samego; zeszli na dół na ucztę, do śpiewaków. Blaise się zdrzemnął, a potem wstał z łóżka i usiadł przy oknie, by popatrzeć na świat. Z dołu dochodziła stłumiona muzyka. Akurat myślał o Rosali, kiedy rozległo się stukanie do drzwi i do środka weszła sama hrabina z Ariane i Bertranem. Tuż za nimi pojawił się Rudel i kanclerz Roban. Wszyscy mieli ponure miny. Blaise natychmiast zauważył, że Ariane płakała. Zanim ktokolwiek się odezwał, zmusił się do powolnego, głębokiego oddechu, jakby wracał do świata.

- Przybył pewien człowiek - oznajmił Bertran, jako że hrabina, bardzo blada, milczała. Jej twarz była maską, rzeźbą z marmuru. W oczach jednak płonął gniew tak wielki, jakiego przedtem nie widział. - Człowiek z Gorhaut. Przyniósł nam pewne nadzwyczaj złe wieści i poprosił, by go przyprowadzić do ciebie.

Valery i Hirnan wpuścili mężczyznę. Blaise go znał, choć bardzo słabo. Był to coran z Garsenc, jeden z lepszych, jak kiedyś powiedział Ranald. Przybysz bez słowa ukląkł przez Blaisem i uniósł złożone dłonie jak do przysięgi. Powoli, świadom, że to też jest początek

czegoś nieodwołalnego, Blaise wstał z siedziska przy oknie i zamknął dłonie corana w swoich.

I w tej wysokiej komnacie na zamku Barbentain usłyszał złożoną mu starodawną przysięgę Corannosa tak, jakby nigdy wcześniej nie słyszał tych słów. Pomyślał, że tak samo było z chorągwią - jest zupełnie inaczej, kiedy coś takiego dotyka człowieka osobiście. Zerknął na Ariane. Znów szlochała. Odwrócił się do corana, koncentrując się na słowach.

- Przysięgam ci na imię wysokiego boga Corannosa ognia i światła, i na krew mego ojca i jego ojca, że dotrzymam ci wiary. Oddaję ci się na służbę aż do bram śmierci. W oczach ludzi i najświętszego boga uznaję cię za mego suwerena.

Mężczyzna przerwał. Właśnie wtedy Blaise przypomniał sobie jego imię: Thaune. Pochodził z północy, a i tak zdradzał go akcent. Thaune podniósł wzrok i po raz pierwszy spojrzął Blaise'owi w oczy.

- I uznaję cię też - powiedział zaskakująco silnym głosem, wychodząc poza ramy starodawnej przysięgi - za mojego prawdziwego króla. Nie spocznię spokojnie w nocy ani nie odpaszę miecza, dopóki nie zasiądziesz na tronie w Cortil w miejsce zajmującego go zdrajcy. Przysięgam to wszystko na imię Corannosa.

Blaise odchrząknął. Czuł przerażenie; łyż Ariane, milczenie otaczających go ludzi.

- Przyjmuję twój hołd - rzekł. - Przyjmuję cię jako mego człowieka, Thaune z Gorhaut. Daję ci schronienie, pomoc i własną przysięgę wierności przed bogiem jako twój suweren. Wstań. - Pomógł coranowi podnieść się z kłęczek. - A teraz lepiej powiedz mi, co się stało.

Thaune opowiedział. W trakcie jego relacji Blaise nagle odkrył, że nie odzyskał sił w takiej pełni, jak mu się wydawało. Hirnan, który pilnie mu się przyglądał, szybko podsunął mu krzesło spod okna. Blaise osunął się na nie.

Wyglądało na to, że jego ojciec i król Ademar nie zaczęli od posłańców i elegancko sformułowanych żądań powrotu Rosali z dzieckiem. Zaczęli od ognia.

\*\*\*

Cadar dziwnie się zachowywał tej nocy; często się budził, a gdy mamka przystawiała go do piersi, niemal natychmiast znów zasypiał. Kapłanka przyjęła to ze spokojem. Powiedziała, że niektórym maleństwom nauczenie się, że ciemne godziny są przeznaczone bardziej do spania niż jedzenia, zajmuje kilka tygodni. Rosala, świadoma, że w normalnych okolicznościach w domu znajdowałaby się z dala od dziecka, bo Cadar i jego mamka mieszkaliby w innym skrzydle zamku albo w ogóle gdzie indziej, nadal nie potrafiła się powstrzymać przed zaglądaniem do niego, kiedy płakał.

Gdy wracała zaspana korytarzem, odziana jedynie w nocne okrycie, które dała jej hrabina, zobaczyła, że ktoś czeka w mroku pod jej drzwiami. Zatrzymała się, instynktownie czując strach, i gorączkowo poprawiła okrycie.

- Wybacz - odezwał się książę Talair, wchodząc w krąg światła. - Nie chciałem cię przestraszyć.

Rosala odetchnęła z ulgą.

- Ostatnio łatwo mnie przestraszyć. Przedtem nigdy tak nie było.

- Jesteś w obcym miejscu - mruknął en Bertran - i masz nowe obowiązki. Nie ma w tym nic dziwnego.

- Zechcesz wejść? - zapytała. - Chyba zostało mi trochę wina. Mogę posłać służącego po więcej.

- Nie trzeba - odparł - ale dziękuję, wejdę. Mam wieści, które powinnaś usłyszeć.

Była późna noc. Serce Rosali zabiło, jakby ktoś uderzał w bęben.

- Co się stało? - zapytała szybko.

Nie odpowiedział natychmiast, lecz otworzył drzwi i wpuścił ją do pokoju. Zaczekał, aż usiądzie na jednym z krzeseł przy kominku, i sam usiadł na niskiej ławie naprzeciw. W blasku ognia jego oczy były bardzo niebieskie, a szrama na policzku biała.

- Chodzi o Blaise'a? - zapytała.

O wydarzeniach poranka słyszała już wiele razy od rozmaitych osób. Księżna Carenzu przyniosła jej biały kwiat i wyjaśniła jego znaczenie. Teraz róża stała w wazonie przy oknie. Po wyjściu Ariane długo siedziała wpatrzona w nią, myśląc o tym, co zrobił Blaise, i zaskoczyła samą siebie łzami.

- Czuje się dobrze - powiedział Bertran de Talair uspokajająco. Dotknął ucha. - Obawiam się, że kiedy zdejmą mu bandażę, będzie mnie przypominał, przynajmniej pod jednym względem, ale poza tym nie odniósł poważnych obrażeń. - Zawahał się. - Nie wiem, ile to dla ciebie w tej chwili znaczy, ale mogę powiedzieć, że tego ranka przyniósł chlubę swemu imieniu i swemu krajowi.

- Tak słyszałam. Oczywiście, że to dla mnie coś znaczy, zważywszy, co oznajmił przed walką. Nie będą się ociągać z przybyciem po niego.

Wtedy książę Talair poruszył się na ławie, nic nie mówiąc.

- Rozumiem - rzekła Rosala, mocno zaciskając dłonie spoczywające na podolku. - Już przybyli.

- Tak, ale nie po niego. O nim nie dowiedzą się jeszcze przez parę dni. Dziś w nocy napadli wioskę Aubry, zabijając wszystkich mieszkańców, a potem spalili kapłanki tamtejszej



świętyni.

Rosala zamknęła oczy. Zaczęły jej drżeć ręce.

- A zatem to z mojego powodu - rzekła. Jej własny głos ją zaniepokoił, był suchy i słaby jak strumień w czasie suszy. Wydawało się jej, że pochodzi od kogoś innego, znajdującego się bardzo daleko.

- Obawiam się, że tak.

- Ilu ludzi?

- Jeszcze nie mamy pewności. Może pięćdziesięciu.

- Kto tam był? To znaczy z Gorhaut.

Nie otwierała oczu. Mocno się objęła rękami. Nagle zrobiło jej się zimno.

Mówił łagodnym tonem, lecz niczego jej nie oszczędzał. Rozumiała, że w ten sposób okazuje jej dużo szacunku.

- Podobno sam król. - Zawahał się. - Oraz twój mąż i twój brat.

Rosala otworzyła oczy.

- Nie mieli wyboru. Nie sądzę, by którykolwiek z nich zrobił to dobrowolnie.

Bertran de Talair wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Byli tam.

Przez chwilę przyglądał się jej badawczo, a potem wstał, by dołożyć do ognia. Płomień przygasł, ale obok kominka leżało drewno i podpałka, więc ukląkł, by się nimi zająć. Patrzyła na jego staranne, dokładne ruchy. Nie okazał się taki, jak się spodziewała po jego wierszach albo po opowieściach o miłostkach z kobietami w wielu krajach.

- Skąd to wiemy? - zapytała w końcu.

- Od corana z Garsenc, który przyjechał tu na turniej - odparł, nie odwracając się. - Widział dziś rano Blaise'a i jechał na północ opowiedzieć królowi, co się stało.

- Dlaczego zmienił zdanie?

Bertran zerknął na nią przez ramię i pokręcił głową.

- Tego nie wiem. Będę musiał później zapytać Blaise'a. - Odwrócił się z powrotem do ognia i poruszył polanami. Najpierw zajął się jeden kraniec stosiku, potem drugi. Bertran mruknął z zadowoleniem i wstał. - Dziś w nocy złożył przysięgę na wierność Blaise'owi jako swemu suwerenowi i prawdziwemu królowi. Nazwał Ademara zdrajcą.

- A więc chodzi o Most na Iersen - rzekła cicho Rosala. - Dlatego to zrobił. Zapewne pochodzi z północy. Wielu ludzi myśli o tym traktacie to samo.

- Ilu? - zapytał książę Talair.

Uświadomiła sobie, że zadał to pytanie poważnie, że traktuje ją jak kogoś, czyje poglądy

na ten temat mają znaczenie.

- Trudno ocenić - stwierdziła. Ogień się rozpałił i zaczynał grzać. - Chyba niewystarczająco wielu. Większość wysoko urodzonych, którzy mogliby mieć jakieś znaczenie, boi się króla, a zwykli ludzie nawet bardziej się boją bractwa Corannosa, którym rządzi mój teść.

Milczał. Patrząc w ogień, Rosala widziała w nim przyszłość zrodzoną z płomieni. Z jej powodu zginęło tej nocy pięćdziesiąt osób. Znów zamknęła oczy, lecz pod powiekami wciąż miała obraz ognia. Szok powoli mijał.

- Och, mój synu - powiedziała. - Och, Cadarze. - Po chwili dodała: - Będę musiała odwiedzić go do Gorhaut. Nie mogę pozwolić, by robili takie rzeczy mieszkańcom Arbonne. Bo widzisz, to dlatego że on jest chłopcem. Nie zostawią nas w spokoju.

Znów płakała, a łzy ściekały jej po policzkach, lśniąc w blasku ognia. Usłyszała szurnięcie krzesła po podłodze, szelest, a potem dotyk silnych dłoni; objął ją i oparł jej głowę na swym ramieniu.

- Żadne z was nigdzie nie jedzie - powiedział Bertran de Talair chrapliwie. - Sama hrabina stanęła w imieniu twego dziecka przed Corannosem i Rian, i ja tak samo. W noc narodzin Cadara złożyłem ci przysięgę. Nie zrobiłem tego lekkomyślnie. Składam ją ponownie: dopóki żyję, żadne z was tam nie wróci.

W trzewiach Rosali jakby się rozluźniło coś twardego, napiętego, i pozwoliła sobie bez wstydu na szloch w ramionach księcia Talair. Płakała nad Cadarem, nad sobą, nad zabitymi i spalonymi tej nocy, i nad zabijaniem i paleniem, które miało nadejść. Bertran obejmował ją mocno i mruzczał słowa pociechy. Rosala pomyślała, że nikt jej tak nie obejmował od śmierci jej ojca. Nad tym też płakała.

Nie mogła tego wiedzieć, lecz w tej chwili myśli Bertrana de Talair stanowiły niemal odzwierciedlenie jej myśli - nie pamiętał, kiedy ostatni raz tak obejmował kobietę, dając jej schronienie i siłę, a nie po prostu namiętność. A chwilę później uświadomił sobie, że to nieprawda, że jednak pamięta ten ostatni raz, i to dość dobrze, jeśli tylko pozwoli, by pamięć pokonała postawione przez niego bariery.

Ostatnia kobieta, którą obejmował w taki sposób z sercem bijącym dla niej, umarła później w Miraval, rodząc jego dziecko. Było to przed dwudziestu trzema laty.

\*

Blaise zatrzymał się przed niedomkniętymi drzwiami komnaty Rosali. Szedł do niej, by przekazać wieści, które dotarły do nich tej nocy, czując przerażenie właściwe wszystkim

takim posłańcom, lecz nie chcąc, by szwagierka dowiedziała się tego w niedobry sposób, od kogoś obcego. Thayne powiedział, że w Aubry był Ranald i Fulk de Savaric, jej brat. Już miał zastukać, kiedy usłyszał głosy i chwilę później uzmysłowił sobie, że ktoś go uprzedził. Poczł nieoczekiwaną mieszaninę uczuć. Przeważała w nich ulga.

Niepewny, czy ma wejść, czy odejść, usłyszał, jak Rosala nagle mówi znękany głosem o odwiezieniu dziecka do Gorhaut. Bolejąc nad nią, doskonale rozumiejąc, co ma na myśli, i znów otrzymawszy lekcję pokory przez to, kim się wydawała, usłyszał nieoczekiwane szorstki głos Bertrana de Talair, wypowiadający przysięgę, którą najwyraźniej już raz jej złożył. Wtedy Blaise usłyszał, jak Rosala zaczyna szlochać, i przez szparę w drzwiach ujrzał w blasku ognia, że księżę podchodzi do jej krzesła, by ją przytulić.

Poczł się jak intruz, poczł, że jest powodem cierpienia, które usiłuje uśmierzyć ten drugi mężczyzna. Pomyślał, że to on powinien ją pocieszać. Przynajmniej tyle był jej winien. Blaise rzucił okiem wzdłuż korytarza i dostrzegł Hirnana, czekającego dyskretnie w drugim jego końcu. Znów czując rany i znużenie, lecz z nagle nieprzewartą potrzebą, by przynajmniej dokończyć to, co zaczął rano białą różą, zastukał do drzwi i powiedział cicho, by ich nie zaskoczył:

- Jeśli ma to jakiegokolwiek znaczenie, mam do powtórzenia własną przysięgę z tego ranka.

Oboje podnieśli wzrok - Bertran spokojnie, Rosala szybko wycierając oczy. Poruszyła się lekko i księżę wstał, pozwalając jej również wstać i postąpić kilka kroków do przodu. Blaise nieco zbyt późno się zorientował, co zamierza zrobić. Szybko, usiłując ją powstrzymać, wszedł do pokoju i w końcu oboje znaleźli się na kolanach naprzeciwko siebie przed kominkiem. Nie winiłby Bertrana, gdyby ten się roześmiał, lecz księżę patrzył w milczeniu.

„Zaginione dzieci Gorhaut”, powiedziała dwie noce wcześniej Lucianna. To prawda, pomyślał Blaise. Zobaczył, jak Rosala uśmiecha się przez łzy.

- Zechcesz przyjąć ode mnie przysięgę, panie?

Pokręcił głową.

- Będziesz musiał do tego przywyknąć - mruknęła. - Królowie nie mogą klękać przed kobietami.

- Jeszcze nie jestem królem - powiedział - i sędzę, że przed niektórymi mogą. Rozumiem, że księżę Talair przyrzekł, że dopóki żyje, nie pozwoli im cię odebrać. - Spojrzał na Bertrana, na którego twarzy nie gościła ani krztyna ironii. - Posłuchaj mnie więc. Przysięgam na imię najświętszego boga, że dochowam ci wierności, Rosalo. Moje roszczenia do tronu okażą się niczym, jeśli oddamy cię i Cadara.

Właściwie po raz pierwszy wymówił imię dziecka. Wydawało mu się dziwne jako imię

niemowlęcia. Dla Blaise'a, dla całego pokolenia w Gorhaut „Cadar”, ze względu na postać ojca Rosali, było imieniem kojarzącym się z potęgą. Z dumą, nadzieją... jeśli dziecko będzie żyło odpowiednio długo.

Rosala pokręciła głową.

- On i ja nie powinniśmy mieć tak wielkiego znaczenia - mruknęła. - Stawka jest za wysoka.

- Czasami okazuje się, że ludzie znaczą więcej, niż można by się spodziewać - rzekł stojący za jej plecami Bertran. - To wy dwoje jesteście stawką, pani. Posłużą się wami, by rozpocząć wojnę. Już to zrobili.

- A więc odeślijcie nas z powrotem - szepnęła.

Patrzyła na Blaise'a, nie na Bertrana.

- To nic by nie dało - odparł cicho książę. - Nie teraz. Zabiliby ciebie, jego zatrzymali i mimo to i tak znaleźliby powód, by nas zaatakować. Muszą zaspokoić żądania wszystkich wydziedziczonych z ich północnych ziem. To nie jest jak historia ze starych romansów, w których Elienna została porwana do Royaunce i ruszyła po nią cała armia. Teraz to jest czysta polityka, twarda gra między narodami. Arbonne stanowi ostatnią klauzulę Traktatu Mostu na Iersen, pani Rosalo.

Blaise, który bacznie jej się przyglądał, poznał z jej przystojnych, inteligentnych rysów, że przyjmuje prawdę słów Bertrana. Wiedziała o tych sprawach tyle samo, co Ariane albo Lucianna, a nawet tyle, co on i Bertran. Zawsze tak było. Na policzkach miała jeszcze łzy, widoczne w blasku ognia; niezręcznie, żałując, że takie gesty wydają mu się tak trudne, Blaise uniósł rękę i je starł. Żałował, że nie zachowuje się z większym wdziękiem, że nie jest bardziej swobodny.

- Nie jesteś mi winna żadnej przysięgi, Rosalo - powiedział.

Sprawiła wrażenie, jakby chciała zaprotestować, lecz w końcu powiedziała tylko:

- Mogę ci podziękować za kwiat?

Blaise przekonał się, że może się uśmiechnąć.

- Spodziewałbym się tego.

Bertran roześmiał się cicho. Chwilę później Rosala też się uśmiechnęła, ale zaraz ukryła twarz w dłoniach.

- Jak my możemy tak rozmawiać?! - wykrzyknęła. - Tej nocy spalili kobiety. Z mojego powodu. Nawet nie wiedziały, kim jestem, a zostały wywleczone z łóżek i zgwałcone przez coranów Ademara i - nic nie mów, wiem, że tak było! - potem żywcem spalone. Wiedząc to wszystko, co obaj wiecie, chcecie mi mówić, jak mam z tym żyć? Ja słyszę ich krzyki.

Blaise otworzył usta i zaraz je zamknął. Spojrzał nad jej głową na Bertrana; płonący za nim ogień sprawiał, że jego oczy kryły się w mroku. Księżę też nic nie mówił. „Wiedząc to wszystko, co obaj wiecie”. W obliczu tego on nic nie wiedział. Nie przychodziły mu do głowy żadne słowa.

Wypowiedział więc jej imię. Co takiego jest w wypowiedzeniu imienia? Powoli uniół rękę i delikatnie ujął jej głowę i, pochyliwszy się, złożył pocałunek na jej czole. Żałował, że nie może zrobić nic więcej, zresztą chyba nic takiego nie istniało. Tej nocy, na stosie od dawna będącym marzeniem jego ojca, spłonęły kobiety. Zostali zabici i okaleczeni mężczyźni. On też słyszał te krzyki.

- Rano... - rzekł chrapliwie. - Rano wszyscy będziemy silniejsi.

Kulawe słowa, pusta prawda. To z tą nocą trzeba było się uporać. Przez moment patrzył na księcia, a potem wstał i wyszedł z pokoju. Pomyślał, że Bertran będzie w tym lepszy od niego. Dla księcia kryło się tu mniej historii, znał kobiety o wiele lepiej. Blaise oddalał się jednak od jej pokoju z bólem.

Och, Ranaldzie, pomyślał; właściwie wypowiedział cicho te słowa w pustym korytarzu. Mogłaby nawet zrobić z ciebie mężczyznę, gdyby jej na to pozwolono. Jego brat znalazł się tej nocy w Aubry. Blaise był niemal pewien, że Ranald tego nie chciał, ale to nie miało znaczenia, prawda? On się tam znalazł.

Przygnieciony ciężarami, tymi z przeszłości i przyszłości, Blaise raptem się zatrzymał i znieruchomiał. W pokoju tuż za nim krzyknęło dziecko. Nasłuchiwał, lecz dźwięk się nie powtórzył. To musiał być krzyk we śnie. Cadara.

Czy niemowlęta śnią? Blaise tego nie wiedział. Wiedział tylko, że nie może zawrócić, nie może teraz, jeśli w ogóle kiedykolwiek, zadać Rosali tego pytania. To nie ma znaczenia, powiedział sobie. To bez różnicy.

To było oczywiście kłamstwo, lecz takie, które pozwala człowiekowi dalej żyć.

\*\*\*

Kiedy dotarła do szczytu schodów i zobaczyła strażników przed drzwiami, Lisseut już żałowała, że w ogóle tu przysła. Nie powinna się tutaj znaleźć, nie miała prawa absorbować tego mężczyzny, szczególnie tak późno w nocy po tym, jak został poważnie ranny w walce. Nie wiedziała nawet, co dokładnie chciała zrobić albo powiedzieć, gdyby jeszcze nie spał i przypadkiem ją przyjął. Kiedyś, pomyślała z rozpaczą, naprawdę będzie musiała przyswoić tak często powtarzaną lekcję jej matki i pogodzić się z tym, że nie zawsze trzeba iść ścieżką wskazywaną przez impuls i pierwsze odruchy.

Przede wszystkim wiedziała, że sprowadziły ją tu wieści z Aubry. Nie trzeba było długo czekać, by przeniknęły na dół przez Barbentain i pomknęły przez wielką salę, gdzie po kolacji występowali żonglerzy i trubadurzy zaszczytzeni rano miejscami w dużym namiocie.

Muzyka oczywiście umilkła. Kiedy nadchodzą wieści o zniszczeniu wioski i spaleniu kobiet żywcem przez króla Gorhaut, nie śpiewa się *liensennes* o dwornej, neodwzajemnionej miłości czy sprośności o entuzjastycznie odwzajemnianej namiętności w lasach Arbonne. W takich okolicznościach nie było miejsca na miłość.

Lecz jeśli tak było, to co Lisseut tu robi? Dlaczego zbliża się z wahaniem do drzwi na górnym poziomie Barbentain? Alain zgodził się zaczekać na nią na dole. Nie bardzo chciała sama wracać piechotą do gospody. Kilka nocy wstecz zamordowano w zaułku jakiegoś staruszka. Podczas jarmarku po Lussan kręciło się po zmroku zbyt wielu nieznanymi ludźmi ze zbyt wielu krajów. Nie miała odwagi, by poprosić Aureliana, żeby na nią czekał - po tym poranku wiedział zbyt dużo. Po raz pierwszy Lisseut chciała coś przed nim ukryć. Z Alainem było łatwiej; po dwóch wspólnie spędzonych sezonach wzajemnie się rozumieli. Nawet nie będzie spekulował.

Potworność wieści z Aubry cofnęła ją jednym ciemnym skokiem pamięci do owego ogrodu w Tavernel minionego lata, kiedy podsłuchując z ukrycia na murze, dowiedziała się, kim jest ten brodaty coran z północy, i usłyszała jego rozmowę z Rudelem Correze o zbliżającej się wojnie z Gorhaut. Od dzisiejszego ranka już wszyscy wiedzieli, kim on jest, a wojna się nie zbliżała, tylko została rozpoczęta. A coran, za którym impulsywnie poszła owej letniej nocy, dziś zgłosił roszczenie do korony Gorhaut.

Na tę myśl omal nie zawróciła, lecz dotarła już do miejsca, gdzie ścienne pochodnie oświetlały korytarz, i zdała sobie sprawę, że obserwują ją strażnicy przed jego drzwiami. Jednego znała, corana z Vezét, ponieważ pochodził z gospodarstwa położonego niedaleko gospodarstwa jej ojca. Nie wiedziała, czy jest z tego zadowolona, czy nie.

Skoro jednak została zauważona i niemal na pewno rozpoznana, nie zamierzała się odwrócić i czmychnąć. Wdzięczna losowi, że w najnowszej tunice kupionej na jarmark i kamizelce otrzymanej od Ariane przynajmniej porządnie wygląda, i świadoma, że jeśli strażnicy ją rozpoznali, to prawie na pewno wiedzą też, że tego wieczoru znalazła się wśród wybranych śpiewaków, Lisseut podeszła do nich z wysoko uniesioną głową.

- Witaj, Fabrise - odezwała się do mężczyzny, którego znała. - Nie wiedziałam, że jesteś w Barbentain. Twój ojciec ma się dobrze?

Skrzywił się.

- Tak, dziękuję. Zechcesz nam powiedzieć, co tutaj robisz?

Oficjalnie, nadzwyczaj oficjalnie. Żadnego ciepła. Wyraźnie zostali poinstruowani, że tej nocy służba strażnicza pod jego drzwiami nie jest ceremonialna. Po porannej deklaracji Blaise'a miało to sens, a po dzisiejszym ataku na Aubry wszyscy corani w Arbonne mieli prawo być podenerwowani. Lisseut znów zadała sobie pytanie, dlaczego nie słuchała uważniej matki.

- Pomyślałam, że jeśli Blaise de Garsenc nie śpi, mógłby zechcieć ze mną porozmawiać - rzekła śmiało. Na coś takiego nie istniała odpowiedź. - Jesteśmy przyjaciółmi - dodała; poniekąd była to niemal prawda - i chciałam zobaczyć, jak się czuje. Śpi?

Czterej ponurzy corani przyglądali się jej w milczeniu przez długą chwilę. W końcu jeden najwyraźniej doszedł do wniosku, że kimkolwiek jest, to raczej nie stwarza bezpośredniego zagrożenia.

- Możesz mi powiedzieć, co jest z tymi waszymi kobietami z Vezét? - zwrócił się do Fabrise'a.

Fabrise zmarszczył brwi. Lisseut poczuła, że się rumieni. Czegoś takiego właśnie się obawiała. O, matko, pomyślała. Właściwie kilka razy w ciągu tego dnia przychodziło jej do głowy, że może nadeszła pora, by odwiedzić dom. Mogłaby spać w swoim starym łóżku, zobaczyć ludzi, z którymi się wychowywała, porozmawiać z matką przy niekończących się robótkach albo z ojcem, spacerując wśród gajów oliwnych. Pomyślała, że mogłoby to być rozsądne posunięcie. Dawno już nie odwiedzała rodziców, a dom czasami był miejscem, gdzie jej serce mogło znaleźć ukojenie.

- Ja tę kobietę znam. Nie jest taka - stwierdził Fabrise z Vezét.

Ten dowód lojalności sprawił, że przyśpieszył jej puls.

- Nie jest to też noc - powiedziała, ośmielona, jak zwykle nie cierpiąc, by ktokolwiek ją wyreczał, nawet w tak drobnej sprawie - w którą mężczyzna z Arbonne powinien mówić coś złego o kobietach tego kraju. Przyjmę przeprosiny, coranie, jeśli je wygłosisz.

Wiele przemawiało za doświadczeniem, jakie dają człowiekowi regularne występy przed publicznością. Lisseut z łatwością umiała stawić czoło coranowi, który tak sobie zażartował. Opuścił głowę i wymamrotał jakieś słowa, w których naprawdę brzmiała skrucha. Lisseut pomyślała, że jest młody. Prawdopodobnie nie chciał jej obrazić, chociaż naprawdę musiał się jeszcze dużo nauczyć.

Z drugiej strony, jaki mogła podać niewinny powód swej wizyty? Prawda była taka, że ten młody coran miał rację, jeśli nie w kwestii kobiet z Vezét, to zdecydowanie w kwestii tej jednej. „Jesteśmy przyjaciółmi”, powiedziała. Jeśli przyjaźń można zbudować na szpiegowaniu z ogrodowego muru oraz odrzuconym zaproszeniu do jej łóżka w noc letniego

przesilenia. Dwie noce temu uśmiechnął się do niej tu, w Barbentain. Czy to się liczy? Pomyślała nawet, że do niej podejdzie, ale u jego boku pojawił się Rudel Correze i obaj gdzieś poszli.

To jednak było przed poranną walką, zanim wszystko się zmieniło. Zmusiła się do powtórzenia sobie w myślach, że ci corani w korytarzu są strażnikami przydzielonymi człowiekowi, który zgłosił roszczenia do tronu.

Przygryzła wargę i rozpoczęła odwrót.

- Wiem, że jest późno... - mruknęła.

- Nie śpi - rzekł Fabrise - ale nie ma go tu. Poszedł zobaczyć się z siostrą. To znaczy, z żoną brata. Tą, która powiła w zeszłym tygodniu. Chyba jako pierwszy chciał jej zanieść tę wiadomość.

- Tam był jej mąż - zwierzył się coran, któremu udzieliła reprimendy, jakby chciał się zrehabilitować. - To znaczy, w Aubry. A także jej...

Przerwał i stęknął, szturchnięty łokciem w żebra przez jednego z towarzyszy.

Czterej mężczyźni spojrzeli szybko na korytarz i Lisseut też się odwróciła, by ujrzeć wyłaniającego się z cieni Blaise'a de Garsenc.

- A także jej brat - dokończył Blaise. Szedł powoli, lekko utykając; wyglądał blado pod zarostem, a oczy miał podkrążone ze zmęczenia. Podeszedł do nich i się zatrzymał, patrząc na coranów, nie na nią. - Oczywiście będą plotki, ale chyba powinniśmy je zostawić innym, nie sądzicie?

Powiedział to łagodnie, lecz młody coran poczerwieniał aż po linię włosów na czole. Lisseut zrobiło się go żal. A potem zupełnie o nim zapomniała, napotkawszy badawczy wzrok Blaise'a.

- Witaj, Lisseut - powiedział.

Nie miała pewności, czy zapamiętał jej imię. Nie wydawał się zaskoczony jej obecnością na korytarzu przed swoim pokojem.

Zaczerpnęła tchu i powiedziała, usiłując mówić normalnym tonem:

- Nie jestem pewna, mam złożyć ukłon?

- Ja też nie jestem pewien - odparł spokojnie. - Może na razie to zostawmy? Wydawało mi się, że słyszałem wcześniej twój głos. Tę pieśń z letniego przesilenia, kobietę śpiewającą w ogrodzie?

- Nie sądziłam, że słuchałeś wtedy tak uważnie.

- Ja też nie - mruknął. - Najwyraźniej coś z tego zostało mi w pamięci. Zechcesz wejść?

Otworzył drzwi do pokoju i stanął z boku, by ją przepuścić.



Czując nagły przyływ nieśmiałości, Lisseut weszła do pokoju. Blaise wszedł za nią i zamknął drzwi. Na komodach obok łóżka i w jego nogach oraz na dwóch stołach paliły się świece. Niektóre zgasły i Blaise zajął się zapalaniem nowych.

- Pod przeciwległą ścianą jest wino - powiedział. - Nalej nam do kielichów, jeśli łaska.

Zadowolona, że ma coś do roboty, podeszła do kredensu i zrobiła, o co prosił. W powietrzu unosił się delikatny zapach perfum. Pomyślała, że gdyby się postarała, rozpoznałaby je. Nie postarała się. Stała niepewnie na środku pokoju z kielichami w dłoniach. Zauważyła, że pościel na łóżku jest rozburzona. Chyba zauważył to w tej samej chwili, bo podszedł do łóżka i szybko ją wygładził.

- Wybacz - powiedział. - Ten pokój nie jest w stanie nadającym się do przyjmowania damy.

Pomyślała, że jest zdumiewająco uprzejmy. Nie potrzebowała jednak uprzejmości.

- Nawet takiej, która cię szpieguje w nocy?

Pokazał w uśmiechu zęby, chociaż bardzo wyraźnie był zmęczony. Podeszedł i wziął swój puchar, ruchem ręki wskazując jej jedno z krzesel pod oknem. Usiadł na drugim z na w pół stłumionym westchnieniem ulgi.

- Jednak odczuwasz ból - rzekła szybko Lisseut. - Nie mam prawa nie dawać ci spać.

- Nie uda ci się to - powiedział z niejakim smutkiem. - Chociaż bardzo chciałbym porozmawiać, dali mi wcześniej jakieś zioła i wciąż mi się chce po nich spać. Chcieli, żebym wypił więcej, ale się nie zgodziłem.

- Zapewne powinieneś ich posłuchać.

Uśmiechnął się drwiąco. Pamiętała jego refleks z owej letniej nocy. Była to jedna z rzeczy, których się nie spodziewała u corana z Gorhaut.

- Nie wziąłbym cię za tak posłuszną kobietę. Zawsze robisz to, co ci każą? - zapytał.

Wtedy ona się po raz pierwszy uśmiechnęła.

- Zawsze - odparła. - Nie pamiętam, kiedy ostatnio nie posłuchałam poleceń.

Roześmiał się i upił łyk wina.

- Widziałem cię rano w namiocie trubadurów - stwierdził, ponownie ją zaskakując. - Ariane powiedziała mi, że są tam zapraszani tylko ci najlepsi. Czy to dla ciebie coś nowego? Powinienem ci pogratulować?

Ariane. To były te perfumy Oczywiście, pomyślała, po nadejściu tych wiadomości musieli tu zrobić naradę. Ale pamiętała głównie to, że w noc letniego przesilenia odprowadziło go pięciu coranów w szkarłacie.

Zadał pytanie. Lisseut pokręciła głową, odsuwając od siebie takie myśli.

- Pogratulować? Nie byłoby to absurdalne? Po tym, jak nie pozwoliłeś mi oddać ci honorów?

Oczy lśniły mu w blasku świecy stojącej na stole.

- Proszę, jeśli naprawdę chcesz. Złóż ukłon i uklęknij. Ucałuj moją stopę trzy razy. Pomożesz mi do tego przywyknąć. - W jego głosie brzmiała gorycz, której się nie spodziewała. - Wiesz co, nie jestem jeszcze królem. Prawdopodobnie nigdy nim nie zostanę. Jestem tylko kimś, kto zgłosił duże i niemądre roszczenie, ponieważ nie podoba mi się to, co zostało uczynione mojemu krajowi.

- Z tego, co wiem o mężczyznach z Gorhaut, już samo to jest warte szacunku - mruknęła.

Wyraz jego twarzy się zmienił.

- Nie wiem, czy to nie jest w takim samym stopniu atak, jak komplement.

- Czy po dzisiejszych wydarzeniach możesz mnie za to winić?

Zapadło milczenie. Blaise pokręcił głową. Lisseut łyknęła wina i odwróciła wzrok. To wcale nie był kierunek, w jakim chciała, by rozwijała się ta rozmowa. Tak naprawdę to nie wiedziała, czego chciała, ale na pewno nie tego. Szybko poszukała nowego tematu i powiedziała:

- Dziś wieczorem straciłeś w wielkiej sali coś... wyjątkowego. *Canzone* o twym porannym zwycięstwie, napisane w oszalamiającym tempie trójwierszem, z refrenem, składającym się po prostu z twojego imienia odśpiewanego czterokrotnie coraz niższym głosem.

- Co takiego?

Mówiła beznamiętnym, niewinnym tonem.

- Jeśli jednak chodzi o ten ostatni kawałek, powinniśmy być uczciwi: do „Garsenc” trudno znaleźć rym w arbońskim.

Zrobił zbolalą minę.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Jestem poważną osobą, nie zauważyłeś? A pieśń ułożył twój dawny towarzysz, Evrard z Lussan.

- Kto dawny? - Zamrugał. - Evrard? Tak o sobie powiedział? - Wyglądał na tak zdumionego, że musiała się roześmiać. - Skąd... skąd ktokolwiek wie o moim powiązaniu z tym człowiekiem?

Teraz się uśmiechała, bawiła ją ta rozmowa.

- Z Wyspy Rian? Zaczął nam wszystko opowiadać natychmiast po zakończeniu walki. Nikt tego przedtem nie wiedział, ale od dziś jesteś postacią, której historię warto zgłębiać.

Najwyraźniej zeszłej wiosny en Mallin de Baude powierzył delikatną misję uleczenia zranionych uczuć Evrarda nie jakiemuś pomniejszemu śmiertelnikowi, lecz właśnie tobie. Czy to prawda, Blaise?

Powoli kręcił głową, lecz ze zdumienia, a nie w geście zaprzeczenia.

- Uznałem go za napuszonego, odstręczającego głupca, ale Mallin poprosił, żebym sprowadził go z powrotem, więc to uczyniłem. Tak się składa, że nieprzytomnego. Mój towarzysz. - Prychnął. - Wrzuciliśmy go do łódki jak worek zboża. Nie zmartwiłbym się, gdyby wypadł za burtę. - Znów pokręcił głową, jakby speszony tym wspomnieniem. - Myślałem, że tacy są wszyscy trubadurzy.

- I wszyscy żonglerzy? Nadal tak uważasz?

- Bynajmniej - odparł, nie starając się obrócić swej odpowiedzi w żart ani komplement, ani w cokolwiek innego.

Patrzył jej w oczy, i to Lisseut odwróciła wzrok, by wyrzec przez okno. Przez chwilę panowało milczenie. Siedziała, patrząc na gwiazdy, słuchając szumu rzeki.

- Mogę cię o coś poprosić? - zapytał cicho. Spojrzała na niego. - Jestem naprawdę znużony, Lisseut. Obawiam się, że nie nadaję się do roli dobrego gospodarza. Jestem niemal zbyt zmęczony, by spać, a jutro będzie mnóstwo do zrobienia. Nie wiem, czy ci się nie narzucam, czy o coś takiego nie prosi się profesjonalistki, ale czy zechciałabyś dla mnie zaśpiewać, żebym mógł odpocząć? - Słaby uśmiech w pełgającym świetle. - Pokazać mi jeszcze raz, że nie wszyscy z was są tutaj jak Evrard?

- Nie sądziłam, że lubisz muzykę.

Pożałowała tych słów w chwili, gdy je wypowiedziała. Dlaczego zawsze mu się przeciwstawia?

Nie obraził się, a może był dla niej bardzo cierpliwy.

- Jeśli tak powiedziałem, żałuję. W Gorhaut wychowywałem się wśród muzyki, chociaż na pewno była inna. Kiedyś będę chciał spróbować ci wyjaśnić, że mój kraj nie jest tylko... taki, jakim go uczyniła dzisiejsza noc. - Zawahał się, dobierając słowa. - Myślę, że są... elementy tutejszego świata trubadurów, dworna miłość, które mnie niepokoją. Może potrzebuję czasu, by go lepiej zrozumieć. Kiedyś sądziłem, że z tego powodu wasi mężczyźni są słabi, a wasze kobiety bezczelne. - Znów przerwał. - U mężczyzn Arbonne nie znalazłem żadnej słabości.

- A u kobiet?

Uświadomiła sobie, że czekał na to pytanie.

- Kobiety są nieznośnie bezczelne.

Teraz już jednak знаła ten ton, a mimo zmęczenia, Blaise błysnął zębami w uśmiechu. Przekonała się, że potrafi odpowiedzieć mu uśmiechem.

- Z przyjemnością dla ciebie zaśpiewam - rzekła cicho. - To nie jest narzucanie się. Nie, kiedy prosi się o to przyjaciela.

No, powiedziała to.

Znów zrobił zaskoczoną minę, ale nie sprawiał wrażenia skrepowanego. Otworzył usta i je zamknął. Siłą woli chciała go zmusić do wypowiedzenia na głos myśli, z którą się zmagał, lecz po chwili Blaise powiedział tylko:

- Dziękuję.

Wstał z wysiłkiem, którego nawet nie usiłował ukryć, i pokuśtykał do łóżka. Położył się, ściągnąwszy buty.

Nie zostało uczynione ani powiedziane nic, co miałyby jakieś wielkie znaczenie, lecz Lisseut też wstała, czując wewnętrzne ciepło i nieoczekiwany spokój. Zaczęła cicho krażyc po komnacie i zdmuchiwać świece. Zostawiła dwie, jedną na kredensie i jedną na stoliku pod oknem, a potem, w niemal całkowitej ciemności, zaczęła śpiewać. Nie o miłości, o wojnie czy o bogini albo o bogu, ani o niczym, co dotyczyło świata dorosłych. W noc, w którą nazwał się królem Gorhaut, w noc, w którą spłonęło Aubry, Lisseut śpiewała dla Blaise'a z Gorhaut kołysanki z dzieciństwa, które tak wiele lat temu śpiewała jej matka.

Dopiero widząc miarowe unoszenie się i opadanie jego klatki piersiowej, nabrała pewności, że zasnął, i wtedy pozwoliła sobie na ostatnią pieśń dla ukojenia własnego serca. To była kolejna bardzo stara melodia, tak stara, że nikt nie wiedział, kto ją skomponował ani nawet jaką zatartą, na wpół zapomnianą legendę czy opowieść przekazywała. Lisseut zawsze się wydawało, że jest nieznośnie smutna. Nigdy nie sądziła, że uzna ją za pasującą do jej życia. Lecz tej nocy zaśpiewała ją w pokoju śpiącego Blaise'a de Garsenc, zaśpiewała ją cicho samej sobie, a kiedy doszła do końcowych wersów, zdała sobie sprawę, że traktuje je niemal jak modlitwę:

*Najcenniejsze wino podane do stołu,  
Wyborne mięsa, dojrzałych owoców słodycz  
I blask świec, gdy do kolacji siadamy pospołu  
W Fionvarre.*

*Święty księżyc nas blaskiem zaleje,  
Nad obojgiem nas zaświecą gwiazdy.*

*Jeśli nie tu, będziesz do mnie należeć*

*W Fionvarre.*

Nauczył ją tej pieśni wuj w Vezét, na długo przedtem, nim zabrał ją z domu ojca i zaproponował życie pieśniarki będącej wciąż w drodze. A drogi były dla niej przychylne, dały jej przyjaciół i towarzyszy, spore sukcesy, niemal sławę, i tej nocy doprowadziły ją tutaj; poszła, jak zwykle, za impulsem swego ducha, a teraz uległa nieproszonej potrzebie serca.

Czując dziwny spokój, Lisseut zdała sobie sprawę, że przyszła do tej komnaty w poszukiwaniu odpowiedzi i że mimo wszystko ją znalazła. To nie był mężczyzna, którego życie ma prawo dzielić. Był przyjacielem; teraz to wiedziała, wiedziała, że uczyni dla niej miejsce we wzorze swoich dni, bez względu na to, jak się okażą długie czy krótkie. Lecz do czegoś więcej, do czegoś więcej niż ta niewielka przestrzeń, nie miała prawa, a on nie miał na to miejsca w swoim nowym życiu. Sprawiała to chorągiew powiewająca na wietrze tego ranka.

I tak będzie dobrze, pomyślała Lisseut, kończąc pieśń. Nie była już dzieckiem. Życie zwykle nie przynosi spełnienia życzeń. Czasami się do tego zbliża, czasami nie zbliża się wcale. Z wdzięcznością przyjmie to, czym, jak się wydaje, została obdarowana tej nocy - z nadzieją, z modlitwą do Rian, by otrzymała więcej takich chwil, zanim bogini wezwie do siebie jedno z nich albo oboje.

Zostawiła go śpiącego, z dopalającymi się ostatnimi dwiema świecami; księżycy dawno już zaszły, a pod oknem swoją nieskończenie starszą, niekończącą się pieśń mruczała rzeka.

## CZEŚĆ 4

# Zima

*Dopóki nie spadnie słońce  
i nie zgasną księżycy...*

## ROZDZIAŁ 15

W wyznaczoną noc na Zamku Garsenc pojawiła się mgła. Napływając pod koniec dnia kłębamii ze wschodu wraz z ciemnością, pochłonięła donżon i zewnętrzne wieże strażnicze zamku niczym jakiś mgielny smok ze starych opowieści o czasach, kiedy Corannos jeszcze nie poruszył słońca.

Stojąc samotnie na murze nad mostem zwodzonym, Thaune z Garsenc zadrżał, choć miał na sobie długą wełnianą koszulę i futrzaną kamizelę, którą nosił w zimie. Myślał o przysiędze złożonej przed trzema miesiącami, o ślubach wierności, które zmieniły go z nisko urodzonego corana ze skromnymi widokami na przyszłość w spiskowca o dużych szansach na śmierć przed końcem tej nocy.

Patrzył, jak jego oddech tworzy obłoczki pary w szarym zimnie, powiększając mgłę; dalej już nic nie widział. Księżycy oczywiście były niewidzialne, podobnie jak gwiazdy. Wybrali noc, kiedy oba księżycy powinny stać wysoko i jasno świecić, by łatwiej było pokonać przełęcz, lecz ludzie nie mogą panować nad zsyłaną przez boga pogodą; żywioły zniweczyły niejedną kampanię w przeszłości, łącznie z nie tak dawną przeszłością. Pamiętał dojmujące zimno przy Moście na Iersen. Zawsze je będzie pamiętać. Położył dłonie na kamieniu i wyteżył wzrok, wpatrując się w kłębiącą się szarą ciemność. Nic. Pod murami na dole mogłoby być stu ludzi i gdyby się zachowywali wystarczająco cicho, o ich obecności nie wiedziałby ani on, ani nikt inny w Garsenc.

Dobiegł go pomruk głosów z niewielkiej wartowni obok brony. W nocy stróżowało czterech ludzi. Zapewne grają w kości przy blasku ognia. Przez mgłę nawet nie widział tego światła. Nie miało to znaczenia. Słyszał głosy, stłumione w szarości, a trzech strażnicy byli z nim. Z czwartym postąpią odpowiednio do okoliczności.

Ale go nie zabiją. Otrzymał wyraźne polecenia. Blaise de Garsenc chciał, by w tych pierwszych dniach zginęło jak najmniej ludzi. Sprawiał wrażenie, że dokładnie wie, czego chce, nawet wtedy jesienią, tuż po swojej pierwszej deklaracji. Wysłał Thaunego na północ wraz z innymi coranami z Gorhaut, by zaniósł wieści o tym, co zostało uczynione i powiedziane przed tamtą walką podczas jarmarku. Thaune pamiętał, że wszyscy Gorhautczycy przebywający na jarmarku zostali zgromadzeni w ogromnej sali w Barbentain; hrabina Arbonne kazała im się wynosić z kraju i skonfiskowała ich towary, a potem Blaise

przemówił do nich z robiącą ogromne wrażenie chłodną precyzją. Powiedział, że z powodu Traktatu Mostu na Iersen - traktatu, który sam w sobie stanowił zdradę - król Ademar zamierza uwikłać Gorhaut w kolejną wojnę, w wojnę tutaj, w Arbonne. To wojna, której nie potrzebują, sprowadzona przez traktat, który nigdy nie powinien być zostać podpisany. Poprosił obecnych, by się zastanowili nad jego słowami, i obiecał, że wszyscy będą mogli przejść na północ przez góry cali i zdrowi.

Udało im się nawet zaaranżować próbę zabójstwa - kiedy następnego ranka Blaise wychodził z zamku, odpowiednio blisko niego upadła starannie wystrzelona strzała. W następstwie wydarzeń w Aubry i w wieży strażniczej leżącej na południe od przełęczy odwołano ogólną turniejową potyczkę - wtedy znaleziono już trzy okaleczone ciała strażników. Na obrzędy żałobne w świątyni Rian przybył cały dwór Signe de Barbentain, a wśród niego znajdował się Blaise de Garsenc, który szedł obok hrabiny.

Thaune otrzymał polecenie, by i w drodze na północ przez przełęcz, i po przybyciu do zamku przyznać się do próby zabójstwa pretendenta - Blaise powiedział mu, że coran z Garsenc będzie potrzebował takiej opowieści. Pamiętając własne obawy, które kazały mu zabić tresera zwierząt, Thaune zgodził się na to z wdzięcznością. Właściwie dziwnie było pracować dla przywódcy myślącego o tak wielu szczegółach dotyczących jego ludzi. Po pewnym wahaniu Thaune nawet powiedział Blaise'owi o tym zabójstwie w zaułku. Nie chciał, żeby między nim a tym człowiekiem istniały jakieś tajemnice.

Blaise sprawiał wrażenie, że żałuje zabitego, lecz nie oceniał Thaunego.

- Bałeś się - rzekł - i spełniłeś swój obowiązek ze strachu. W Garsenc zawsze tak było. Mam nadzieję, że teraz też uczynisz to, co uważasz za swój obowiązek, lecz bez strachu.

Thaune o tym pamiętał. Zrobił, co mógł, i, jak się okazało, było to dość dużo. Miał do takich intryg większy talent, niż sądził. Grupa żołnierzy jadących na północ liczyła tylko dwanaście osób - corani z Gorhaut rzadko wybierali się na południe na turnieje w Arbonne; w gruncie rzeczy nie robili tego od lat.

Nie istniały związane z tym reguły, lecz corani mający dobrą reputację zwykle czekali miesiąc i udawali się na wschód, na turniej do Aulensburga. Götzland uważano za lepszy od Arbonne; walka w tym kraju była do przyjęcia. Tylko młodszy corani i czasami garstka szpiegów jechali jesienią do Lussan. W tej grupce nie było jednak szpiegów; Thaune był tego pewien. Młodzi corani słuchali z nabożną czcią jego opowieści o tym, jak to wiatr zepsuł mu długi strzał.

Tej pierwszej nocy spędzonej w przydrożnej gospodzie wśród spadających jesiennych liści Thaune pomyślał, że zapewne żałują, że sami nie spróbowali tego uczynić. Zapewne



nawet im się śniło, że dokonali zamachu i wracają do króla Ademara w niewyobrażalnym tryumfie. Młodzi ludzie miewają takie sny.

Uznał, że dwóch coranów w jego grupie może myśli albo śni o czymś innym. Zaryzykował i zanim się rozstali, porozmawiał z jednym z nich. Okazało się, że ocenił go właściwie; został wysłany do domu, by podejmować ostrożne ryzyko. Zanim się rozjechali, Thaune do Garsenc, a coran do pałacu w Cortil, Thaune zdobył pierwszego zwolennika rebelii Blaise'a de Garsenc. Przekonał go akcent. Niemal zawsze można było mieć pewność, że mieszkaniec północy nie będzie zadowolony z króla Ademara.

Stojąc na murach Garsenc, pochylił się, nagle wpatrując się z napięciem we mgłę. Była tak gęsta, jak podobno są gęste opary nad rzeką płynącą do krainy zmarłych. Thaune nic nie widział, ale wydało mu się, że z trawiastej przestrzeni za murem zewnętrznym i suchą fosą dobiegł jakiś dźwięk.

\*\*\*

Tej samej nocy niebo nad innym zamkiem, leżącym za górami na południu, było czyste; gwiazdy lśniły na nim jak brylanty, a oba księżycy świeciły tak jasno, że przydawały cieni drzewom gnącym się pod uderzeniami *sirmalu* - północnego wiatru, który wiał Doliną Arbonne, pchany całą siłą zimy.

We wszystkich kominkach Barbentain płonął ogień; Signe ubierała się w kilka sukien z delikatnej wełny, wykończonych przy szyi i mankietach futrem, a na głowę wkładała podbitą futrem czapkę, nawet w pomieszczeniach. Nie znosiła zimy; nigdy jej nie lubiła, a zwłaszcza kiedy wiał *sirmal*, od którego łzawiły oczy i bolały palce. Zwykle razem z Guiborem znajdowała się w tym czasie na południu, w Carenu z Ariane i Thierrym lub w zimowym pałacu w Tavernel. Na południu pogoda zawsze była łagodniejsza, a *sirmal*, złagodzony przez ukształtowanie terenu i wpływ morza, mniej dokuczliwy.

W tym roku było inaczej. Musiała zostać w Barbentain, ponieważ ta zima nie miała być czasem chronienia się za murami zamku i ścianami wioski przed wiatrem smagającym doliny i puste drogi. Tej zimy rozgrywały się wydarzenia, które w taki czy inny sposób miały określić przyszłość dla nich wszystkich. Właściwie rozgrywały się tej nocy, w blasku dwóch księżyców, za górami, w Gorhaut. Signe zastanawiała się, co widzą w dole Vidonne i błękitna Riannon.

Niespokojna, nie umiała usiedzieć w miejscu i krążyła między oboma kominkami w swoim salonie. Wiedziała, że przeszkadza swym damom do towarzystwa i niemal na pewno Rosali, która mimo wszystko siedziała przy jednym z kominków, zajęta robótką.

Zastanawiała się, jak ta kobieta może zachowywać taki spokój, wiedząc, o jaką stawką toczy się tej nocy w Gorhaut gra.

Wszystko się sprowadziło do Blaise'a de Garsenc, jak przewidziała Beatritz niemal przed rokiem, kiedy po raz pierwszy uświadomili sobie, że ten nowy coran w zamku Baude był kimś ważniejszym, niż się wydawał. Kimś ważniejszym. W gruncie rzeczy okazał się o wiele ważniejszy. Hrabina po raz kolejny zapragnęła, by Beatritz była tutaj z nią zamiast na wyspie leżącej na morzu tak daleko na południu. Przez cały wieczór towarzyszyły jej obrazy z minionego roku, tańcząc w błyskach płomieni. Czasami wydawało się jej, że teraz połowę życia spędza z obrazami przeszłości. Nie myślała jednak o Guiborze. Wspominała słowa Bertrana wypowiedziane w chwili, gdy ten przybysz z północy stanął z czerwoną różą przed portezzańskim namiotem: „Być może wszyscy znaleźliśmy w tym człowieku więcej, niż się spodziewaliśmy”.

Wtedy w jej pamięci pojawił się inny obraz, wspomnienie z tego zamku, także z jesieni, kiedy to rano po rzezi Aubry wezwali wszystkich kupców i coranów z Gorhaut i oznajmili, że konfiskują im towary i odsyłają ich z jarmarku do domu.

Urté de Miraval chciał ich wszystkich skazać na śmierć, a Signe, przepełniona wściekłością, musiała się oprzeć temu samemu pragnieniu. Istniały nawet odpowiednie precedensy. Każdy mieszkaniec danego kraju był osobiście odpowiedzialny za pogwałcenie rozejmu przez jego panów. To Blaise poprosił, a właściwie nalegał, by wypuścić kupców, a potem to uzasadnił.

- W tej chwili nie mam jeszcze nic do zaproponowania w Gorhaut - powiedział żarliwie w tej samej komnacie, zanim wszyscy zeszli na dół, by załatwić sprawę z zebranymi. - Muszą wrócić do domu ze świadomością, że ocaliłem im życie - życie zagrożone przez pogwałcenie rozejmu przez Ademara. Dacie mi tyle? - Przerwał. - Czy też wcale nie jesteśmy lepsi od tego, z czym usiłujemy walczyć?

Wówczas była na niego naprawdę zła. Gorhautczyk mówił do niej w ten sposób po nocy, podczas której zostało zabitych tak wielu jej poddanych. Lecz była hrabiną kraju znajdującego się w niebezpieczeństwie, a zawsze potrafiła opanować emocje, kiedy trzeba było pomóc Guiborowi w podjęciu decyzji lub samej ją podjąć. Uznała w końcu, że Blaise ma rację, i dała mu to, o co prosił.

Kiedy stanęła przed kupcami w sali na dole, jeden z nich głośno zaprotestował przeciwko ogłoszonej konfiskacie towarów, zdumiewająco nieświadom tego, jak bardzo wszyscy oni otarli się tego ranka o śmierć, a byli przecież tak samo niewinni, jak wieśniacy i kapłanki z Aubry. Ten sam kupiec sprzeciwił się z wściekłością po raz drugi, a potem jeszcze trzeci,

przerywając Signe bez krzty szacunku. W dziwny, niepokojący sposób nawet ją to ucieszyło. Skinęła głową Urtému, który patrzył na nią, tylko czekając na znak. Książę Miraval spokojnie oznajmił, że kupiec straci życie. Mężczyzna zaczął wtedy krzyczeć i do sali weszli pałacowi corani, by go wyprowadzić.

Blaise sprawiał wrażenie, jakby chciał się przeciwstawić nawet temu, ale widząc, jak strażnicy wywlekają szamoczącego się kupca, zaniechał tego zamiaru. Trzeba tu było przekazać jeszcze jedną wiadomość i Signe o tym wiedziała; od pewnego czasu rządziła przecież całym narodem, najpierw wraz z Guiborem, a teraz sama. Obrazy władzy są ważne - nie można pozwolić, by w Gorhaut sądzili, że tutaj, w rządzonej przez kobietę Arbonne, ludzie są słabi i miękcy. Signe wiedziała, że już mają takie wrażenie. Nie wolno pozwolić, by je pielęgowali. Spojrzała z groźną miną na Blaise'a i zaczęła, aż Gorhautczyk skinie głową.

- Nie potrafię ocalić głupca - powiedział wtedy do kupców i coranów z Gorhaut.

Były to właściwe słowa; miały zostać przez nich zapamiętane. Szybko się uczył. Później tego samego ranka wykonano wyrok śmierci na niepokornym kupcu, chociaż czysto, nie piętnując go i nie łamiąc kości; był symbolem, a nie kimś, kto pogwałcił rozejm. Tutaj, w Arbonne, ludzie zdecydowanie różnili się od tych, z którymi mieli teraz walczyć. Signe zamierzała bronić tego twierdzenia do końca swoich dni.

To wszystko wydarzyło się jesienią, na początku zbiorów winogron, kiedy zaczynały żółknąć liście. Teraz, w zimnym, jasnym lśnieniu zimowej nocy, słuchała, jak *sirnal* dobija się do okien niczym duch zmarłego, i sączyła grzane wino z korzeniami, trzymając kielich w obu dłoniach; jego ciepło dodawało jej otuchy w takim samym stopniu, jak zapach i smak wina. Dwie młode służące siedziały na swoich ławkach przy drzwiach, trzymając w dłoniach wydrażone srebrne kule z żarzącymi się węglami w środku. Signe pamiętała, że wynalazek ten przywiózł bardzo dawno temu Bertran z podróży na pustkowie na wschód od Götzlandu. Po śmierci Aelis odbywał mnóstwo takich niebezpiecznych podróży.

- Wini siebie - tłumaczył cierpliwie Guibor. - Nic nie możemy na to poradzić.

Przyjrawszy się baczniej dwóm dziewczętom, Signe zauważyła, że Perrette, młodsza, się trzęsie. Pokręciła niecierpliwie głową.

- W imię Rian, usiądźcie bliżej ognia - powiedziała z większą irytacją, niż zamierzała. - Na nic mi się nie przydadacie, jeśli się przeziębicie i umrzecie.

To oczywiście było nieładne, nie powinna odreagowywać własnego niepokoju na otoczeniu. Ale cóż innego mogła poza tym robić? Była starą kobietą w zimnym zamku w zimie. Mogła teraz tylko siedzieć albo stać przy kominku i czekać, czy bogini i bóg pozwolą

im na dobry rzut kostką w grze o tyle żywotów i przeznaczenie dwóch narodów.

Dziewczęta nerwowo pośpieszyły wykonać polecenie. Rosala podniosła wzrok znad robótki i się uśmiechnęła.

- Jak możesz być tak spokojna? - spytała ją raptem Signe. - Jak możesz siedzieć tak odprężona?

I Uśmiech zniknął. Rosala uniosła robótkę i hrabina po raz pierwszy ujrzała wymęczony, popsuty ścieg i wyraźnie drżące ręce kobiety.

\*\*\*

Mgła straszliwie wszystko utrudniała. Thaune nadal nie widział nic w dole, chociaż wyteżał wzrok, wpatrując się w gęstą, szarą ciemność. Na skraju lasu miała się pojawić jedna na krótko zapalona pochodnia. Tej nocy nie zobaczyłby z tych murów pochodni, nawet gdyby ją zapalono tuż pod miejscem, w którym stał.

Nawet dźwięki były przytłumione, lecz nie na tyle, by - o, tam! - nie mógł w końcu usłyszeć podzwaniania uprząży, a potem jeszcze raz, już blisko. Przybyli. Nadszedł czas. Mając świadomość, że wszystko może zależeć od jego działania, i jednocześnie czując strach, Thaune przeszedł szybko po podeście do klatki schodowej i ruszył w dół do wartowni, trzymając się w mroku jedną ręką ściany.

Kiedy pojawił się w drzwiach, wszyscy czterej strażnicy poderwali się od stołu. Kiwnął głową.

- Już czas - powiedział.

- Na co? - zapytał Erthon, tuż zanim Girart trzepnął go trzonkiem noża w potylicę.

Erthon, co do którego Thaune nie umiał się zdecydować, czy ma mu zaufać, czy nie, osunął się w przód, i Thaune musiał go szybko schwycić, by nie przewrócił stołu i nie rozsypał z hałasem kości.

- Takie mam szczęście - rzekł Girart. - Właśnie miałem po raz pierwszy wygrać.

Thaune zdołał się uśmiechnąć; pozostali dwaj strażnicy, młodszy i wyraźnie zdenerwowany, nie zdołali.

- Teraz bierzemy udział w większej grze - rzekł Thaune. - Pomódlcie się, otwórzcie bramę i opuśćcie most.

Wyszedł i stanął za żelazną broną, która zaczęła się unosić. Oczywiście rozległ się zgrzyt nawijanych łańcuchów, lecz tym razem mgła się na coś przydała; Thaune wątpił, by ktokolwiek w zamku po drugiej stronie dziedzińca usłyszał ten stłumiony dźwięk.

Kiedy brona uniosła się wystarczająco wysoko, przeszedł pod nią, pochyliwszy się pod

kolcami, i znów stanął wyczekująco, wpatrując się w zimną nocną mgłę. Nie było jeszcze widać żadnych pochodni, w ogóle nie było nic widać, tylko znów słabo usłyszał w kłębiącej się nisko mgłę konie. A potem rozległ się za nim inny dźwięk - to brona wskoczyła z brzękiem na swoje miejsce u szczytu bramy, po czym strażnicy zaczęli szybko opuszczać most nad suchą fosą.

Po opuszczeniu mostu zamek Garsenc stanął otworem przed czekającymi we mgle; pierwsza część zadania Thaunego została wykonana. Ta łatwa część.

Wszedł na drewniany most i raczej wyczuł niż usłyszał, że ktoś się zbliża z drugiego końca. Nadal nic nie widział. Mgła wzmogła jego niepokój, budząc prymitywne, irracjonalne przerażenie. Nie widział nawet desek mostu pod butami. Zatrzymał się.

- Zapal pochodnię - powiedział najspokojniej, jak umiał.

Jego głos rozległ się słabo we wszechogarniającym mroku i zanikł. Zbliżające się kroki też ucichły. Thaune czuł się tak, jakby był spowity w szary całun, gotów do pochówku. Zadrżał na samą myśl o tym.

- Zapalcie pochodnię - powtórzył do milczących postaci stojących z nim na moście.

W końcu usłyszał trzask krzesiwa i chwilę później poczuł żywiczny zapach rozpalającej się pochodni. We mgle światło nie rozchodziło się daleko, stworzyło niewielki krąg, niepewną wyspę światła na moście.

Na tyle jasną, by ukazać tuż przed Thaunem rosłą, charakterystyczną postać Galberta de Garsenc, najwyższego kapłana Gorhaut, oraz dwóch coranów po obu stronach.

- Nader chętnie spełniam twoją prośbę - odezwał się najwyższy kapłan - by oświetlić pierwszego ze zdrajców, których teraz z przyjemnością spalimy. Pochodnię, o którą prosiłeś, podpalę twój stos.

Thaune poczuł się tak, jakby świat uciekł mu spod nóg, jakby nadeszła ostateczna ciemność. Z przerażenia zabrakło mu tchu. Nie mógł się poruszyć. Właściwie bał się, że upadnie.

- Nawet nie myśl o ucieczce - dodał Galbert z nieskończoną pogardą w głosie. - Za mną jest czterech łuczników z wymierzonymi w ciebie strzałami, a to światło w zupełności im wystarczy.

Na przeciwnym krańcu mostu, za kapłanem, rozległy się kroki; ktoś się zbliżał zza kuli światła.

- Zgadzam się, że byłoby dość dobre - rozległ się lżejszy, chłodniejszy głos - gdyby nadal byli przytomni, a zatem wciąż dzierżyli łuki. Już dobrze, Thaune - rzekł Blaise de Garsenc - panujemy nad sytuacją.

Rozległ się inny dźwięk, dwukrotnie, i corani z obu stron Galberta stęknęli i osunęli się na pomost; ich miecze zaklekotały na drewnie. Pochodnia też spadła na deski, lecz natychmiast pochwyciła ją czyjaś niewidzialna ręka, by nie zgasła.

- Powiedz mi, ojczy - rzekł Blaise, wchodząc w krąg światła - co sprawia, że tak bardzo chcesz palić ludzi żywcem?

Słowa były nonszalanckie, lecz Thaune wyczuwał w głosie Blaise'a ogromne napięcie. Zadał sobie pytanie, kiedy ojciec i syn widzieli się po raz ostatni. Galbert nic nie mówił; wściekłość płonąca w jego oczach, widoczna w blasku pochodni, wprost przerażała.

- Blaise - rozległo się w mroku słowo wypowiedziane z portezzańskim akcentem - chyba jest tutaj też twój brat.

- Wspaniale! Rodzinne spotkanie! - rzekł Blaise, znów z wymuszoną radością. - Przyrowadź go, Rudelu, niech ujrzą te drogie, miłe rysy.

Galbert nadal milczał. Thaune nie umiał spojrzeć na twarz najwyższego kapłana. Znów usłyszał kroki i dwóch mężczyzn przyprowadziło między sobą trzeciego.

- Poradziliśmy sobie z pozostałymi - rozległ się głos, który Thaune pamiętał z Arbonne. - Jak się domyślałeś, było ich około piętnastu.

Teraz płonęło już więcej pochodni; w ich świetle Thaune rozpoznał Bertrana de Talair.

- Dobra robota, Thaune - rzekł Blaise, nie spuszczając wzroku z ojca i z sylwetki Ranalda de Garsenc obok niego. - Musieliśmy jednak założyć, że będzie informator, że będziesz musiał zaufać zbyt wielu ludziom, by na wszystkich móc polegać. Przybyliśmy tu o dwa dni wcześniej, niż ci powiedziałem, a ja kazałem obserwować drogi wiodące na wschód, by sprawdzić, kto może się pojawić. Pomyślałem, że być może mój ojciec będzie chciał osobiście czynić honory domu. Przecież upłynęło kilka miesięcy - dodał z nagłą, zjadliwą ironią - odkąd kazał kogoś spalić, a i to prawie się nie liczy, bo nie mógł sam pojechać do Aubry. Powiedz mi, drogi bracie, podobało ci się tam? Czy to było dobre polowanie? Czy kobiety krzyczały zabawnie?

Ranald de Garsenc poruszył stopami, lecz nie odpowiedział.

Tymczasem do zamku zaczęli wchodzić ludzie Blaise'a, mijając Thaunego z obu stron. Zatrzymał się obok niego rosły arboński coran imieniem Valery.

- Dobra robota - rzekł cicho. - A teraz powiedz mi, ile osób jest w środku. Czy czeka nas walka?

- A ilu was tu jest?

- Tylko pięćdziesięciu. Są to co prawda wyszkoleni najemnicy z Portezzy i Götzlandu. To nie inwazja Gorhaut z Arbonne. To jest rebelia. Taką mamy nadzieję.

Thaune odchrząknął.

- Sądzę, że połowa zamku będzie z nami. - Sięgnął do pasa i odpiął duże kółko z kluczami. - Ten otwiera zbrojownię - na prawo przez dziedziniec, podwójne sklepienie drzwi. Girart, który stoi tuż za mną, pokaże ci drogę. Możesz mu zaufać we wszystkim. Może być stu, może więcej ludzi, którzy stawiają opór, ale nie będą dobrze uzbrojeni. - Ponownie odchrząknął. - Myślę że jeśli en Blaise da im znać, że tu jest, chętnych do walki może być trochę mniej.

Blaise to usłyszał.

- Da im znać? - powtórzył z udawanym oburzeniem. - Oczywiście, że dam im znać. Jestem zbłąkanym synem, który wrócił do domu w otwarte ramiona ojca. Powinna być muzyka, uczta, wino i płonące kobiety ku mojej uciechu. Może dlatego przybyłeś, ojczu? By mnie zaskoczyć ciepłem swego przyjęcia?

Mówił gorączkowo, łamiącym się głosem. Stojący obok Thaunego Valery z Talair mruknął coś pod nosem.

Thaune uświadomił sobie, że najwyższy kapłan zaczął coś cicho mamrotać, lecz do żadnego z nich. Jakimś sposobem dźwięk jego głosu, jego skupienie i intensywność wymusiły ciszę na tym moście we mgle i stopniowo, z rosnącym przerażeniem, które kąsało silniej od zimna, Thaune zdał sobie sprawę, że najwyższy kapłan wzywa boże potępienie.

- ...Na nieskończone zimno, które było, zanim stał się świat czy zostały wypowiedziane księżycy, zanim zostało poruszone słońce i gwiazdy otrzymały światło. O, najświętszy Corannosie lodu i wszystkich świętych języków ognia, choć niewątpliwie jestem w twych oczach niegodny, błagam cię, na twe pradawne dary dla nas, byś zesłał na tego człowieka niezliczone katusze po kres czasu. Larwy pod skórą i robactwo w sercu, gnicie ciała i czarną krew, której nie da się zatamować. Błagam cię, byś zesłał na tego człowieka, który już nie jest moim synem...

- Dosyć.

Drugi głos, zimny i pełen niesmaku. Bertran de Talair. Sam Blaise milczał, znieruchomiał w obliczu tego, co robił jego ojciec.

- ...szaleństwo i ból skrecający wnętrze, ślepotę, czyraki, śmierdzące zepsucie ciała...

- Powiedziałem: dosyć!

- ...wszystko to i jeszcze więcej, najświętszy Corannosie. Błagam też, by dotknęła go zaraza, która...

Bertran obszedł Galberta, stanął przed nim i w trakcie wygłaszania przez niego najczarniejszej klątwy znanej kapłanom Corannosa uderzył go w twarz otwartą dłonią, tak jak

się karci służącego. Galbert przerwał, głównie z zaskoczenia. Blaise nadal stał jak skamieniały. Otworzył usta, a potem zamknął je bez słowa. Ranald de Garsenc poblądł i lekko się chwiał.

- Zamilkniesz - powiedział z wściekłością w głosie Bertran. - Jeszcze dziesięć słów, a łucznik wypuści strzałę. Z powodów, które mi umykają, twój syn może nie chcieć wydać takiego rozkazu, lecz zapewniam cię, że ja się nie zawaham. Błagam, nie staraj się tego sprawdzić.

- Kim jesteś? - warknął przez zaciśnięte zęby Galbert.

Wtedy en Bertran wybuchnął śmiechem. Thaune nie słyszał tej nocy we mgle dziwniejszego dźwięku.

- To są dwa słowa - rzekł. - Zostało osiem. Oszczędzaj swój zapas. Co prawda jestem ciężko urażony, mogłem się spodziewać, że na pewno wiesz, jak wygląda człowiek, za którego zabicie tyle zapłaciłeś zeszłego lata.

- Bertran de Talair - odezwał się po raz pierwszy Ranald de Garsenc. - Pamiętam cię z turniejów.

Galbert zmrużył oczy, lecz milczał, zeszywniały z gniewu. Thaune widział, że bezustannie zaciska i rozluźnia dłonie w rękawicach, jakby chciał je zamknąć na czyimś gardle.

Ranald odwrócił się od księcia Talair i spojrzał na brata.

- Coś ty uczynił? Stałeś się zdrajcą? Dokonałeś inwazji z Arbonne?

- Bynajmniej - odparł Blaise, zaczynając odzyskiwać panowanie nad sobą, lecz starannie unikając patrzenia na ojca. - Bertran przybył tu jako przyjaciel. Moi ludzie to najemnicy zwerbowani dla mnie przez Rudela Correze, zapewne znasz wielu spośród nich, głównie z Götzlandu. To jest odebranie ci zamku Garsenc, bracie. Przykro mi, ale wydaje się to koniecznym pierwszym posunięciem, skoro ty sam nic nie robisz. A właściwie robisz mniej niż nic. Zamierzam odebrać Ademarowi Gorhaut z pomocą moich własnych rodaków, i to bez palenia kobiet.

- Nie miałem w tej kwestii wyboru - rzekł z ogniem w głosie Ranald.

- Nieprawda. - Powiedział to, o dziwo, Valery z Talair, stojący za Thaunem przy bronie. Był niewidoczny we mgle, a jego głos, stanowczy i ostateczny, mógłby należeć do jakiegoś sędziego u żelaznych bram zaświatów. - Możemy się nie zgodzić i zginąć. Istnieje taki wybór, panie na Garsenc. W obliczu wymagania od nas pewnych rzeczy jest to wybór jedyny.

Nikt mu nie odpowiedział. Na moście panowało milczenie gęste jak mgła. Thaune słyszał tylko szybkie kroki i widział odziane w płaszcze postacie najemników Blaise'a, mijających go



pośpiesznie w drodze na dziedziniec. Na zamku nie podniesiono alarmu; świat był spowity mgłą niczym obraz ze snu.

I w tej ciszy, jakby stanowiło to część takiego właśnie snu, Thaune usłyszał dobiegający od wschodu grzmot kopyt. Bardzo wielu kopyt, jakby zjechali pośród nich z nieba jeźdźcy Nocnej Drużyny, świty boga, by puścić się galopem nad spowitą w mgłę ziemią i niszczyć.

- Co to?

Valery postąpił dwa kroki do przodu i się zatrzymał.

- Wprowadź ludzi do środka! - rozkazał ostrym tonem Blaise. - Musimy opanować zamek. Jednak wysłali armię! Thaune, każ opuścić brone, szybko!

Thaune już biegł, krzycząc do swych dwóch strażników. We mgle coraz głośniejsz rozbrzmiewał tętent kopyt. Teraz było już widać pochodnie i podobne cieniem konie, a po odległości między pierwszymi i ostatnimi światłami Thaune się zorientował, że istotnie przybyła armia.

Zawsze istniało prawdopodobieństwo, że im się nie uda. Zeszłej jesieni nie podjął tej decyzji dlatego, że ocenił szanse powodzenia tego przedsięwzięcia. Nie chciał jednak zginąć na stosie. W tej chwili modlił się jedynie o to, by dostąpić takiego miłosierdzia. Zadał sobie pytanie, czy, kiedy już przejdzie do boga, będzie mu wolno znów spacerować z ojcem po rozległych łąkach Corannosa, w łagodnym świetle.

- Osobiście przytknę pochodnię do stosu, na którym zostaniesz spalony - rzekł Galbert de Garsenc do swego syna, jakby czytał w myślach Thaunego.

Teraz znów się uśmiechał, a blask pochodni odbijał się w jego tryumfalnie lśniących oczach.

- To - stwierdził Bertran de Talair - jest o jedno słowo za dużo.

- Bertranie! - powiedział pośpiesznie Blaise.

- Valery! - rzekł w tym samym momencie książę Talair.

I równocześnie z wypowiedzeniem tych dwóch imion coś świsnęło obok Thaunego we mgle; najwyższy kapłan Corannosa krzyknął, a w jego ramieniu utkwiała strzała, przebijając kolczugę.

- Jeszcze dziesięć - powiedział spokojnie Bertran de Talair - i pošlemy ci drugą w drugie ramię. Powiedz mi - ale nie więcej niż w dziesięciu słowach - czy według ciebie ci jeźdźcy zaatakują nas, ryzykując twoje życie, najwyższy kapłanie? Może zaczekajmy na nich tutaj i zastanówmy się spokojnie nad tą kwestią?

Thaune pomyślał, że de Talair jest niewiarygodnie opanowany.

Tętent kopyt przypominał grzmot, lecz teraz stopniowo ucichł za mostem na rozległej,

wolnej przestrzeni pod lasem. Było tam mnóstwo pochodni; Thaune widział zarysy sylwetek koni i jeźdźców, uzbrojonych po zęby zwalistych mężczyzn.

- Mamy tu najwyższego kapłana i księcia Garsenc! - zawołał Blaise, a jego głos niczym nóż rozcinał mgłę. - Nie szafujcie ich życiem. Zechcecie się opowiedzieć?

Wtedy jego ojciec, ściskając lewe ramię, parsknął śmiechem. Był to chrapliwy, paskudny dźwięk, kontrastujący z wrodzoną urodą jego głosu.

- A jak myślisz, kto to jest? - warknął.

- Sześć słów - stwierdził cicho Bertran.

- Nie ma takiego zakładnika, który powstrzymałby mnie czy też moich ludzi, gdybyśmy chcieli zaatakować! - dobiegł z mgły, spomiędzy chwiejących się pochodni zimny, surowy głos. - Czy zwracam się do Blaise'a de Garsenc?

- Ostrożnie! - powiedział półgłosem Rudel.

- Nie ma co temu zaprzeczać - usłyszał Thaune cichą odpowiedź Blaise'a. - Bez względu na to, co mówi, naszą jedyną nadzieją są zakładnicy. Może blefować. Musi blefować.

Usłyszeli, jak do przeciwległego krańca mostu zbliżają się jeźdźcy, a potem rozległ się charakterystyczny odgłos towarzyszący zsiadaniu z konia. Thaune nareszcie usłyszał za sobą brzęk i szcęk, świadczący o tym, że strażnicy skończyli opuszczać broń. Obok niego stał Valery z Talair ze strzałą nałożoną na cięciwę łuku. Thaune dobył miecza.

- Jestem Blaise de Garsenc - powiedział wysoki coran, któremu Thaune przysiągł służyć i uznać go za króla.

- Tak sądziłem - odparł niewidoczny mężczyzna stanowczym tonem. - Miałem nadzieję, że moje informacje są prawdziwe i że cię dziś w nocy tutaj zastanę.

W światło pochodni wkroczył Fulk de Savaric, grubo odziany dla ochrony przed zimnem, i ukląkł na moście przed Blaisem.

Podniósł wzrok i pełgający blask pochodni padł na uczciwą, inteligentną twarz, charakterystyczną dla całej jego jasnowłosej rodziny. Thaune wstrzymał oddech i mimowolnie postąpił krok do przodu; zauważył, że księżę Savaric się nie uśmiecha.

- Czy zechcesz przyjąć moją przysięgę na wierność i dłoń przyjaciela, panie? Przyda ci się tysiąc ludzi z Savaric i ziem północy, którzy podzielają twoje zdanie na temat Traktatu Mostu na Iersen i ludzi, którzy teraz nami rządzą?

Długo potem Thaune pamiętał, jak spojrzał w górę, niemal się spodziewając widoku księżyców niczym latarni we mgle, jakby niebiosa i otaczająca ich ciemna ziemia musiały w jakiś sposób odzwierciedlić blask, który jakby bił od tego mostu. Lecz mgła nadal była gęsta jak rzeczny muł, nieba w ogóle nie było widać i tylko najbliższe pochodnie oświetlały

rozgrywającą się przed nim scenę. Kiedy opuścił wzrok, zobaczył, jak en Blaise formalnym gestem bierze złożone dłonie Fulka de Savaric między swoje.

Thaune uświadomił sobie, że księżycy zaczynają znów lśnić w jego sercu, a nie na niebie. Ciepło tego wewnętrznego światła jakby niweczyło zimno tej długiej nocy. Potem się zastanawiał, czy inni obecni na moście też mieli takie złudzenie, czy wszyscy spojrzeli w górę, by sprawdzić, czy niebo naprawdę się zmieniło.

To mogłoby wyjaśnić, choć w żadnym razie nie usprawiedliwić, to co się stało.

A stało się to, że w chwili, kiedy jego młodszy syn oficjalnie przyjmował hołd najpotężniejszego pana północnych rubieży Gorhaut, Galbert de Garsenc pchnął ramieniem corana z prawej strony, uderzył łokciem swojego drugiego strażnika w twarz, mimo strzały tkwiącej w ramieniu zeskoczył z mostu i zniknął w mroku suchej fosy.

Po chwili na moście zawrzało. Valery z Talair i Rudel Correze rzucili się do fosy za uciekinierem. Thaune usłyszał plugawe portezzańskie przekleństwo - ten drugi musiał źle wylądować na nierównym, zarzuconym kamieniami podłożu.

- Nie ucieknie daleko - powiedział Fulk de Savaric, któremu Blaise pomagał wstać, i rzucił przez ramię w ciemność kilka rozkazów.

Chwilę później Thaune usłyszał tętent galopujących koni i zobaczy pochodnie poruszające się we mgle.

Z nich wszystkich najmniej zaskoczony wydawał się Blaise.

- Jeśli dotrze do lasu, to wążpię, czy go odnajdziemy - powiedział.

- Najpierw musi się wydostać z fosy - stwierdził Bertran de Talair - a jest ranny w ramię.

- Lekko ranny - odparł Blaise, kręcąc głową, wciąż z tą dziwną obojętnością, jakby się tego spodziewał. - Ma na sobie kolczugę z podwójnych kółek. Strzała na pewno nie utkwiła głęboko. Ale otoczcie fosę - rzekł do Fulka de Savaric. - Jest przynajmniej szansa, że zauważą go twoi ludzie, gdy będzie z niej wychodził.

Wtedy rozległ się szyderczy śmiech; brzmiała w nim też nuta, której Thaune nie potrafił rozpoznać.

- Nie będzie wychodził z fosy - poinformował brata Ranald, księżę Garsenc. - Już jest pod zamkiem, a nim nastanie ranek, znajdzie się daleko od niego. Z fosy prowadzi do zamku tunel, o którym nikt nie wie, a drugi wychodzi na zewnątrz z poziomu lochów. Daleko stąd. Nie znajdziesz go, bracie.

Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu.

- Blaise, szybko, wiesz, dokąd on prowadzi? Możemy dotrzeć do wyjścia przed nim. - Bertran po raz pierwszy odezwał się ze zniecierpliwieniem w głosie.

Thaune nagle sobie przypomniał, że zeszłego lata Galbert de Garsenc proponował za śmierć de Talaira dwieście pięćdziesiąt tysięcy w złocie. Lecz Blaise kręcił głową i patrzył na brata.

- Został wykopany po moim odejściu. - Wykrzywił lekko usta. - Inaczej Ranald by o nim nie wspomniał.

- Moglibyśmy cię zmusić, byś nam powiedział, gdzie są te tunele - powiedział bardzo cicho en Bertran do Ranalda de Garsenc.

W jego głosie dźwięczała teraz przerażająca nuta. Thaune się zastanawiał, jak w ogóle mogło mu przyjść do głowy, że Arbonianie są miękcy.

Książę Garsenc wciąż był przystojnym mężczyzną; wysoki i dobrze zbudowany stanowił wzór szlachcica. Spojrzał z góry na drobną, niepozorną postać księcia de Talair i powiedział z pogardą:

- Doprawdy, panie? A co chcesz zrobić? Podpalić mnie?

Wtedy Blaise powiedział coś, czego Thaune nie dosłyszał. Usłyszał to jednak Ranald i szybko zwrócił się z powrotem do brata, już bez arogancji.

- Idź - rzekł Blaise, tym razem głośniej. - Mówię poważnie. Jeśli chcesz z nim odejść, nikt cię nie zatrzyma ani za tobą nie pójdzie.

Na twarzy Ranalda zagościło wahanie i niepewność. Thaune pomyślał, że wygląda jak człowiek, który potrzebuje wina. Wiedział, że to okrutna myśl, ale go nie opuszczała. Mieszkał w tym zamku wystarczająco długo.

Znał księcia.

- Ale jeśli chcesz, możesz zostać - dodał Blaise. - Jeśli złożysz mi przysięgę, zaufam ci i przyjmę między nas. Wiem, że nigdy nie kłamiesz, Ranaldzie. Nie założę, że mógłbyś to zrobić teraz. Jeśli tej nocy potrafisz cokolwiek zobaczyć jasno, to z pewnością musisz sobie zdawać sprawę, że to twoja życiowa szansa. Zapewne ostatnia, bracie. Chcesz się od niego uwolnić czy nie? Odszedł tym tunelem od nas obu do Ademara. Nie musisz za nim iść, a ja cię nie zmuszę do pozostania. Masz pierwszy wolny wybór od bardzo długiego czasu.

- Jeśli uklękne i złożę przysięgę na wierność młodszemu bratu, który powinien być zostać duchownym Corannosa? Czy taki mam wybór?

- A czy to taka zła droga? Czy ma jakiegokolwiek znaczenie, kim tak dawno temu miał zostać? - odezwał się Fulk de Savaric.

Blaise patrzył na brata przy nikłym blasku pochodni we mgle.

Thaune słyszał za mostem nawoływania ludzi i tętent koni - to corani śpieszyli otoczyć fosę. Podzielał pewność Ranalda - nie znajdą Galberta de Garsenc, nie w tej mgle, nie rano,

nawet gdyby wyrzało słońce. W zakamarkach umysłu, mimo świadomości cudu ich tryumfu oraz hołdu złożonego przez Fulka de Savaric, czuł szpilki strachu.

Blaise, tak samo dziwnie nieśmiały wobec brata, jak wobec ojca, odchrząknął i powiedział:

- Nie proszę, byś przede mną ukląkł, tylko żebyś poszedł w moje ślady, Ranaldzie. - Zawahał się. - Chyba wiesz, że gdyby role były odwrócone, z dumą złożyłbym ci przysięgę na wierność. - Znowu przerwał, wyraźnie szukając odpowiednich słów, jakby się z czymś zmagał. - Wiesz chyba także i to, że kiedyś poszedłbym za tobą na koniec świata, gdybyś mnie o to poprosił.

- A po co miałbym kiedykolwiek chcieć udać się w takie miejsce? - zapytał po chwili milczenia księżę Ranald de Garsenc. - Albo brać cię ze sobą?

Blaise nic na to nie odrzekł. Opuścił głowę.

- Jesteś większym głupcem, niż się nawet domyślałem - odezwał się Bertran de Talair, lecz już cicho, niemal z żalem. - Przeprowadźcie panu Ranaldowi konia! - zawołał do niewidocznych coranów za mostem. - Potężny księżę Garsenc opuszcza nasze skromne towarzystwo, przedkładając nad nie towarzystwo swego ojca oraz wielkie łaski dworu Ademara.

Blaise nadal milczał. Thaune stał za nim i nie widział jego twarzy. Właściwie się z tego cieszył. Mimo wielu lat spędzonych w tym zamku przekonał się, że to, co stoi między trzema panami Garsenc - niczym gąszcz włóczni wbitych w ziemię, z żelaznymi grotami ustawionymi pod morderczym kątem - czasami go przerasta. Tak jak przerosło go tej nocy, jakby przeznaczenie narodów było związane w mroku tego zamku, mroku, który sięgał o wiele głębiej niż mgła zimowej nocy. Rozległ się stukot kopyt konia wprowadzanego na most.

- Niech ktoś pomoże księciu wsiąść - polecił Bertran z tą samą ponurą uprzejmością.

- Nie trzeba - rzekł krótko Ranald i dosiadł konia jednym płynnym ruchem, po czym zmusił go do wspięcia się i spojrzał z góry na brata. - Spodziewasz się podziękowań? - zapytał.

Znowu w jego głosie zabrzmiała nuta, której Thaune nie umiał rozpoznać.

Blaise podniósł wzrok. Pokręcił głową.

- Pomyślałem jednak, że może zapytasz o swego syna.

Okrutne słowa, choć może nie wypowiedziane z okrucieństwa. Thaune tego nie wiedział; młodszego syna też nie rozumiał. Zobaczył, że Ranald zacisnął szczęki.

- Gdybym zginął w tej wojnie - dodał bezbarwnym tonem Blaise - zamierzam wyznaczyć

go na mojego dziedzica w Gorhaut, a Fulka na regenta. Czy to cię w ogóle interesuje?

Thaune uznał, że musiał być szybki, bardzo szybki, by już o tym pomyśleć. Odwrócił się, by spojrzeć na Fulka de Savaric, lecz z jego twarzy nic nie wyczytał, podobnie jak z rysów stojącego obok Bertrana de Talair. Ci ludzie byli przyzwyczajeni do rozgrywek o władzę i do ukrywania swoich reakcji.

Ranald de Garsenc nie potrafił tak dobrze zamaskować własnych uczuć.

- Jakie to wzruszające - odpalił, jakby zwalniał cięciwę kuszy. - Jak cudownie widzieć, że wszyscy w mojej rodzinie mają plany wobec mojego syna. Muszę powiedzieć, że uwalnia mnie to od ojcowskiego niepokoju.

- Zważywszy, że nawet nie chciało ci się zapytać o jego zdrowie czy choćby imię - powiedział Blaise z tą samą powagą - nie przystoi ci używać takiego tonu, bracie.

Zapadło milczenie. Spokój, z jakim Blaise wypowiedział te słowa, sprawił, że zaboląły tym bardziej. Thaune poczuł, że on sam i pozostali na moście stali się nieistotnymi, postronnymi obserwatorami tej długiej, zajadłej walki toczącej się w łonie rodziny de Garsenc.

- No więc? - odezwał się w końcu Ranald, jakby te dwa słowa kosztowały go bardzo wiele wysiłku. - Powiedz mi.

Thaune ujrzał, jak Blaise znów na dłuższą chwilę opuszcza głowę, a potem ją unosi.

- Ma się dobrze. To dorodne, zdrowe dziecko. Wygląda na Garsenca. Ma na imię Cadar, po dziadku z Savaric.

Wówczas Ranald się roześmiał, co zabrzmiało tak samo gorzko i zjadliwie, jak wtedy, kiedy uciekł jego ojciec.

- To oczywiste - stwierdził. - Mogłem się tego po niej spodziewać.

- A możesz ją za to winić?

O dziwo, Ranald de Garsenc przestał się śmiać. Pokręcił głową.

- Nie uwierzysz mi, ale powiedziałem ojcu i królowi, że jestem gotów zostawić ją w spokoju, jeśli odeśle dziecko. Nie chcieli się na to zgodzić, pomijając kwestię, czy w ogóle by to zrobiła. - Przerwał na chwilę. - Gdybym jesienią nie pojechał z Ademarem do Aubry, groziła mi przyspieszona egzekucja. Zapytaj księcia Savaric, swojego dzielnego nowego sprzymierzeńca. Też tam był, z tego samego powodu.

Teraz milczał Blaise.

- Wiem - powiedział w końcu. - Wiem, dlaczego tam byłeś, Ranaldzie. Ale tej nocy Fulk de Savaric udzielił na to odpowiedzi. Teraz jest z nami. Ty zamierzasz pojechać do Cortil, do jego podłości. Nie rozumiem. Nie potrafię zrozumieć. Powiesz mi, dlaczego, Ranaldzie? - W

jego głosie brzmiał ból. Usłyszał go każdy na moście.

Ranald de Garsenc jeszcze raz powoli pokręcił głową.

- Nie - rzekł w końcu. - Nie jestem ci tyle winien. - Wydawało się, że teraz on jest spokojniejszy od młodszego brata. - I nie podziękuję ci też, że mnie nie torturowałeś, by się dowiedzieć, gdzie jest ten tunel. Powiem tyle - odwrócił się do księcia Talair - nie wracam do Cortil. Nie zapomnij, w swym pragnieniu wyszydzania i pomniejszania wrogów, z kim i z czym masz do czynienia. Ja nigdy o tym nie zapominam, przez wszystkie dni i noce mego życia.

Znowu odwrócił się do brata.

- Żegnaj, mały Blaisie, który chcesz zostać królem nas wszystkich. Pamiętam, jak cię uczyłem władania mieczem, który nosisz u pasa. Ciekawe, czy i ty pamiętasz?

Zawrócił i zniknął w nocy i we mgle; tylko tętent jego konia świadczył, że skierował się na wschód.

- Oczywiście, że pamiętam - powiedział Blaise.

Odwrócił się i ruszył po moście do zamku, mijając dwóch książąt i coranów, którzy szybko zrobili mu przejście. Stał bez ruchu przed broną, dopóki znów jej nie podniesiono; wtedy mógł wejść do środka, do swej rodowej siedziby.

\*

Oszołomiony tempem, z jakim toczyły się wydarzenia, Thaune z Garsenc bardzo się ucieszył, ujrawszy zarumienione i lekko speszone twarze innych, kiedy już się zebrali w wielkiej sali.

W końcu nikt nie stawiał oporu. Przybycie Blaise'a de Garsenc, połączone z jeszcze bardziej namacalną obecnością niemal tysiąca uzbrojonych ludzi pod księciem Savaric, sprawiło, że nawet ci corani z Garsenc, którzy mogli mieć inne zamiary, pogodzili się z bieżącą sytuacją.

Nie to stanowiło problem. Problem wyłonił się po rozpoczęciu wyjaśnień, gdy zamkowa służba zajęła się gorączkowo winem, jedzeniem i szukaniem noclegu nie tylko dla zgromadzonych w sali, ale i dla żołnierzy z północy oraz rolników, którzy też przybyli z Fulkiem, uzbrojeni w różną broń.

Problem powstał z powodu rolników, których Fulk miał rozkaz przyprowadzić. Przecież była zima. Corani często podążali za swoim panem, gdziekolwiek ten się udawał, i nie było niczym niezwykłym, że jakiś książę zabierał ze sobą część domowników do Cortil, gdzie zamierzał spędzić zimne miesiące na picu i awanturach z królewską świtą. To był zwyczaj o

długiej tradycji. Dlatego też założyli, że zamek Garsenc raczej nie będzie zażarcie broniony. Lecz jeśli Ademar kazał zwykłym mieszkańcom kraju chwycić za broń w środku zimy, to w powietrzu coś wisiało.

Fulk de Savaric o tym wiedział. Nie wiedział jednak, co się szykuje, ponieważ instrukcje zostały zmienione, zanim jeszcze dotarł do Cortil. Jego opowieść była prosta. Otrzymał polecenie sprowadzenia na południe jak największej liczby ludzi. Biorąc pod uwagę nastrój, w jakim znajdował się król od jesieni, Fulk uznał, że nie są to rozkazy, które może zignorować. Doszedł do wniosku, że jest prowadzona wczesna mobilizacja do wiosennego ataku; to zawsze był najbardziej prawdopodobny bieg wydarzeń.

W połowie drogi do Cortil dotarł do niego posłaniec od najwyższego kapłana, który zmienił rozkazy i polecił mu skręcić na zachód do zamku Garsenc i tam się spotkać z Galbertem. Posłaniec twierdził, że od południa zagraża niebezpieczeństwo, że w zimowym centrum Gorhaut rodzi się zdrada. Podobnie jak większość Gorhaut, Fulk już wiedział, że jesienią Blaise de Garsenc zgłosił roszczenia do tronu.

Książę Fulk był niezależnym człowiekiem, chociaż brakowało mu ekstrawagancji ojca czy też jego zaufania do monarchy. Zgodnie z rozkazem zwołał tysiąc ludzi i ruszył z nimi przyprószoną śniegiem doliną, lecz po dwóch dniach, o pół dnia drogi od zamku Garsenc, zatrzymał ich nad zamarzną rzeką. Tam, pod szarym niebem, wygłosił mowę.

Nie był dobrym mówcą, a mieszkańcy północy nie przepadali za słuchaniem oracji, zwłaszcza na zimnie. Mówił zwięźle i jasno, a słowa te wyznaczyły zmianę w jego życiu. Zaprzeczyłby, że to Aubry doprowadziło go do tego punktu, lecz nie powiedziałby też, że nie miało z tym nic wspólnego.

Powiedział swoim ludziom, usiłując przekrzyczeć wzmagający się wiatr, że nigdy mu się nie podobał Traktat Mostu na Iersen. Nigdy mu się nie podobała władza, jaką najwyższy kapłan Corannosa ma nad coraz bardziej lubiącym sobie dogadzać królem. Sposób, w jaki czwarta część mieszkańców Gorhaut została wydziedziczona ze swojej ziemi i zmuszona do znalezienia sobie schronienia gdzie indziej, gdziekolwiek, podczas gdy król i jego najwyższy kapłan przygotowywali podbój południa, wzbudzał u Fulka pogardę i szczery gniew. Fulk de Savaric nie sądził, by udało im się utrzymać jakiejkolwiek ziemię zajęte na południe od przełęczy; powiedział, że nie pozwoli im na to inne kraje ich świata. Równowaga zostałaby zachwiana w zbyt wielkim stopniu.

„Zamieniliby tylko graniczne starcia z Valensą na wielką wojnę ze wszystkimi pozostałymi narodami, a Arbonianie” - mówił - „zginą, zanim się poddadzą jarzmu gorhauckiej okupacji. Zostaną wypędzeni z Arbonne, zostawiając za sobą zniszczenia,



popioły i mnóstwo zabitych.

To prawdopodobnie nawet nie ma znaczenia dla najwyższego kapłana, który dąży do tej wojny. Prawdziwy cel tego, co się teraz dzieje, ma niewiele wspólnego z ziemią dla wydziedziczonych z północy. Galbert chce tylko zniszczyć Arbonne i jego boginię, a Traktat Mostu na Iersen był pierwszym pokrętnym krokiem zmierzającym do tego celu. Mnie bogini Arbonne ani grzeje, ani ziębi; nigdy mi nie przeszkadzała. Przeszkadzają mi natomiast, rozwścieczają, ludzie wysiedleni z północnych ziem. Ich król sprzedał ich Valensie za srebro i złoto, by zebrać armię do palenia kobiet w Arbonne”.

Potem dodał, że są inni, którzy podzielają jego poglądy. Prawdopodobnie wielu zna Blaise’a de Garsenc, młodszego syna najwyższego kapłana. Nie był nawet mieszkańcem północy, lecz wolał wyjechać z Gorhaut, niż pogodzić się z warunkami Traktatu Mostu na Iersen. Bardzo możliwe, że właśnie wraca do domu, może nawet tej nocy, przewodząc powstaniu przeciwko tym krzywdom, o których mówi Fulk. Książę stwierdził, że zamierza się do niego przyłączyć, w imię honoru północy oraz pamięci jego ojca i króla Duergara, który szczerze kochał Gorhaut i ofiarnie mu służył. Zaprosił tych członków swej armii, którzy uważają podobnie i ufają jego osądowi, by pojechali razem z nim. Ci mający odmienne zdanie mogli odejść z jego wyrazami szczerzej wdzięczności za dotychczasową służbę.

Nie powiedział nic więcej. Wiatr wiał wzdłuż doliny, nagarniając śnieg w zasy na brzegach zamarznętej rzeki, strząsając go z nagich gałęzi drzew.

Z armii liczącej niemal tysiąc ludzi odeszło osiemnastu.

Mieszkańcy północy zawsze mieli własne twarde poglądy, a panowie na Savaric rzadko nie byli z nimi szczerzy, bez względu na to, co robili królowie w Cortil. Książę Cadar zginął pod Mostem na Iersen, broniąc ich ziem oraz swoich własnych. Podczas zmian, jakie nastąpiły po objęciu tronu przez króla Ademara i wejściu w życie podpisanego przezeń traktatu, syn Cadara de Savaric z ostrożną gorliwością dbał o interesy północy. Jeśli skończył się czas ostrożności, to czas lojalności trwał nadal, a pierwszym prawem północy była lojalność wobec północy.

Nie będąc człowiekiem podatnym na wielkie uczucia, Fulk de Savaric był mimo to wzruszony tym, co nastąpiło po jego przemówieniu w to zimowe popołudnie. Mówił przecież o zdradzie.

Kiedy skończył, nie rozległy się żadne okrzyki, żadne głosy poparcia czy szybko wznoszone wiwaty na jego cześć. Nie takie mieli zwyczaje. Gdy od oddziałów odłączyło się sześciu jeźdźców i dwunastu piechurów i ruszyło na wschód do Cortil i króla Ademara, będącego, w ostatecznym rozrachunku, namaszczonego boga, panowała tylko ponura, surowa

cisza, która zawsze określała północ.

Pozostali przybyli za Fulkiem tutaj, na zamek Garsenc, i pójdą za nim wszędzie, dokąd ich poprowadzi, powiedział trzeźwo książę Savaric Blaise'owi, Bertranowi i innym zebranych w wielkiej sali.

- Obawiam się, że prawdziwym pytaniem jest to ostatnie - rzekł Blaise. Najwyraźniej stopniowo odzyskiwał panowanie nad sobą po starciach z ojcem i bratem. - Planowaliśmy zająć ten zamek, wykorzystać go jako zimową bazę, punkt zborny dla wszystkich, którzy mogliby się przyłączyć do naszej sprawy, a potem zobaczyć, co nam przyniosła wiosna pod względem liczebności i możliwości. Nie zamierzałem prowadzić wojny w zimie.

- Kiedyś to zrobiliśmy, przed Mostem na Iersen - rzekł Fulk de Savaric.

- Wiem. Byłem tam. To była wojna z najeźdźcą, nie mieliśmy wyboru. Jest jeszcze jedno: nie chcę sam zacząć atakować w kraju, niszcząc zamki czy miasta. Jeśli tylko się uda, to chciałbym, żeby się to skończyło jedną i tylko jedną bitwą z Ademarem. Moja armia - o ile ją będę miał - przeciwko jego armii na jakimś polu. Jeśli mam wrócić do domu jako zbawca Gorhaut - ktoś, kto zaprowadzi nas z powrotem do boga i naszego prawdziwego przeznaczenia - to nie mogę zacząć od zabijania rodaków i niszczenia ich domów i pól. Nie zrobię tego, Fulku, z tego samego powodu, z którego nie chcę dokonać inwazji z armią z Arbonne.

- A czy zaproponowali ci ją? - zapytał Fulk de Savaric.

Blaise odwrócił się do Bertrana de Talair. Thaune spostrzegł, że książę ma nieobecny minę, jakby nie śledził ostatniej części rozmowy. Po chwili Thaune uświadomił sobie, że w istocie tak było.

- Pamiętasz, co powiedział twój brat tuż zanim odjechał? - zapytał cicho Blaise'a Bertran, nie odpowiadając na pytanie. - Ostatnie słowa, jakie wypowiedział do mnie?

W jego głosie brzmiało coś dziwnego, coś, co sprawiło, że w pomieszczeniu znów jakby zapanowało zimno mimo ognia płonącego we wszystkich kominkach. Thaune, który stał przy drzwiach prowadzących na korytarz, usiłował sobie przypomnieć, co takiego powiedział Ranald de Garsenc.

- Powiedział, że nie wraca do Cortil.

Blaise stał przy największym z kominków, teraz postąpił dwa kroki w stronę księcia Talair.

- Czy chciał ci coś przez to powiedzieć? - zapytał ostrym tonem Rudel Correze. Wstał z krzesła. - Bo jeśli tak...

- Bo jeśli tak - dokończył beznamiętnie książę Bertran - to wiemy, dlaczego Fulk miał

przyprować wszystkich ludzi, jakich zdoła. I dlaczego twój brat nie wybierał się do Cortil. Ademara nie ma w Cortil.

- Którędy przebyliście góry? - zapytał nagle Fulk de Savaric. On też wstał z krzesła.

- Przez Mniejszą Przełęcz Gaillarda na zachodzie - odparł Blaise. - Było nas tylko pięćdziesięciu, bez wozów czy towarów. Nie chcieliśmy, by nas dostrzeżono. Gdybyśmy jechali przez Przełęcz Wysokiej Drogi, ktoś mógłby nas zobaczyć.

- Oczywiście - rzekł Fulk. - Lecz jeśli en Bertran ma rację...

- To kiedy my jechaliśmy na północ, Ademar i jego armia przemieszczali się z Cortil na południe w stronę Przełęcz Wysokiej Drogi. - Bertran de Talair odstawił kielich z winem. Thayne zauważył, że bardzo zbladł, a dawna blizna się uwypukliła. - Jestem pewien, że tak właśnie było. To pasuje do tego, co wiemy. Jednak postanowili nie czekać do wiosny. To jest zimowa wojna, przyjaciele. W Arbonne. Może nawet już tam są.

- A co mamy tu zrobić z tysiącem ludzi? Zająć Cortil? Poderwać kraj do buntu?

Oczy Rudela Correze lśniły w blasku ognia. Blaise nic nie mówił; utkwiał wzrok w księciu Talair.

- Tu nie ma kogo podrywać - rzekł powoli Fulk de Savaric. - Wszyscy mężczyźni zdolni do walki są z królem. Chyba wiem, co myśli: jego wcale nie obchodzi, co tu zrobisz. Jeśli zajmie Arbonne wystarczająco szybko - a teraz, w zimie, Arbonne będzie przed nim szeroko otwarta - będzie mógł wrócić do domu z tryumfującą armią po splądrowaniu tego kraju i rozprawić się z nami wiosną, gdziekolwiek Blaise będzie.

- Zdajesz sobie sprawę, że to nie jest tok myślenia Ademara - odezwał się w końcu Blaise. W jego głosie było wyraźnie słycać gorycz. - To jest dowód przebiegłości mego ojca i jego marzenie. Zawsze chciał zniszczyć Arbonne. Zawsze. Kiedy byłem chłopcem, opowiadał mi, jak to trzeba zburzyć świątynie Rian, by ocalić cały świat przed rozprzestrzeniającym się z nich zepsuciem. I zna mnie. Wiedział, że nie sprowadzę tu armii, że Ademar będzie mógł bezpiecznie zostawić Gorhaut niemal bez obrony, a potem wrócić, jak mówi Fulk, by rozprawić się ze wszystkim, co zaszło podczas jego nieobecności. - Zwrócił się do Bertrana. - Wiesz, co robi, prawda?

Księżę miał twarz ponurą niczym zimowa noc. Powoli skinął głową.

- Nie będzie sobie zawracał głowy zamkami czy miastami. Nie będzie próbował ich oblegać w zimie. Będzie chciał wciągnąć naszych coranów do walki, wypowiadając wojnę wioskom i świątyniom. Tak jak to zrobił w Aubry.

- Tak jak to zrobił w Aubry - powtórzył Blaise.

- Czy zatem mamy tam jechać? - zapytał Fulk de Savaric. - Chciałeś jednej bitwy, Blaise.

Wygląda na to, że możesz ją stoczyć, ale w Arbonne.

- Oczywiście, że w Arbonne - potwierdził książę Talair ze zjadliwą ironią. - Tam jest cieplej, prawda? Słońce świeci nawet zimą. Jeśli się pojedzie wystarczająco daleko na południe, nie będzie żadnego śniegu. Można nawet poczuć zapach morza.

- Poprzez dym - rzekł krótko Blaise. - Jedźmy.

Zostawili dwustu ludzi Fulka do utrzymania zamku Garsenc i rozprzestrzenia wieści, że w nim są. Reszta oddziału jeszcze tej samej nocy wyruszyła we mgle i w zimnie w długą drogę powrotną przez góry. W pewnej chwili mgła wreszcie zaczęła się podnosić i zanim nastał ranek, w przerwach między poszarpanymi, pędzonymi wiatrem chmurami ujrzeli nisko na zachodzie białego Vidonne'a.

## ROZDZIAŁ 16

Kapłan Roche, który służył na wyspie Rian na morzu, był w niełasce. Jakiś drwal zbierający drewno na opał poczuł zapach dymu przy zatoczce na południowym brzegu i przyszedł sprawdzić; zawsze istniało, choć w zimie mniejsze, ryzyko pożaru lasu. Wścibiśki zbieracz znalazł palenisko wykopane w wilgotnym piasku, przykryte płaskim kamieniem. Uniósłszy kamień długą gałęzią, odkrył kilka piekących się pod nim lampionek.

Roche usiłowałby zaprzeczyć, że jest winowajcą, gdyby kilka chwil później ten sam człowiek nie znalazł go w nieodległym szałasie, gdzie drzemał w radosnym oczekiwaniu na przysmak; obok niego leżała żyłka, a ręce pachniały mu rybami.

Obudzony bezczelnym szturchnięciem gałęzi, wyjąkał propozycję wspólnego spożycia owoców owego tajnego porannego połowu na plaży z widokiem na spokojne morze pod łagodnym zimowym słońcem. Zbieracz opału nie dał się przebłagać ani idylliczną scenerią, ani nawet obietnicą soczystej ryby. Był to jeden z tych przygnębiająco pobożnych ludzi, którzy opuszczali swe domy po doznaniu jakiejś nocnej wizji i przybywali na wyspę, by służyć bogini; pracowali dla kapłanów i kapłanek i często stawali się bardziej zagorzałymi wyznawcami doktryn i form zachowania niż sami duchowni.

Grożąc kapłanowi palcem, drwal oznajmił, że wedle nienaruszalnego prawa śmiertelnym mężczyznom i kobietom nie wolno chwycić żadnych ryb i ptaków wokół wyspy, ponieważ są one, jak zaintonował z poczuciem wyższości, poświęcone świętej Rian w jej wcieleniu obrońcy zwierząt.

Roche usiłował bez szczególnej nadziei wytłumaczyć drwalowi, że dotyczy to jedynie rybaków i myśliwych ze stałego lądu. Zgodnie z jego oczekiwaniami, drwal wiedział lepiej. „O takiej bezbożności”, oznajmił, „trzeba bezpośrednio poinformować samą najwyższą kapłankę”. Zarzucił sobie na ramię wiązkę drewna, ujął wodze równie obciążonego osiołka i ruszył energicznym krokiem na północ, w stronę kompleksu świątynnego. Zawsze chcą iść prosto do najwyższej kapłanki, pomyślał żałośnie Roche, patrząc za drwalem. Jakby nie miała nic lepszego do roboty, niż wysłuchiwanie doniesień o drobnych wykroczeniach jej kapłanów i kapłanek.

To jednakże było jego trzecie takie drobne wykroczenie w ciągu roku. Zadał sobie z rozpaczą pytanie, czy zostanie odesłany z wyspy i zdegradowany do służby w jakiejś świątyni

na terenach rolniczych albo w górach. Nie chciał opuszczać Wyspy Rian. Nie chciał oddalać się od morza. Wychowywał się nad oceanem; znał go i kochał - tak jak kochał szczodre żniwa, zsyłane łaskawie przez Rian wśród fal. A zwłaszcza lampionki, nade wszystko lampionki.

Posępny i przygnębiony, przeklinając własną słabość oraz głupotę, która sprawiła, że zasnął tak blisko paleniska, zastanawiał się, czyby nie dogonić drwala i nie spróbować go powstrzymać albo nie wysmażyć jakiejś historyjki, która by go uratowała, zanim obaj dotrą do kompleksu. Uznał ponuro, że to nie ma sensu. Roche czuł się tak fatalnie, że niemal stracił apetyt.

Po unoszącym się w powietrzu zapachu poznał, że ryby są gotowe. Z ciężkim westchnieniem wrócił do paleniska i ze smutkiem spojrzął na sześć skarbów skwierczących zachęcająco pod starannie dobranymi ziołami. Z niejakim zaskoczeniem stwierdził, że mimo nadzwyczaj trudnej sytuacji, w jakiej się znalazł, chyba jednak wraca mu apetyt.

Wrócił do kompleksu jakiś czas później, chociaż znacznie wcześniej, niż się zaczynała jego dzisiejsza służba w świątyni. Jestem dobrym kapłanem, powiedział sobie Roche, tyle że lubię ryby.

Tak jak się spodziewał, kazano mu się natychmiast stawić przed najwyższą kapłanką. Zobaczył drwala i jego osiołka przy drzwiach piekarni. Służący wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie. Ocierając usta i starając się zetrzeć plamy z szaty, Roche udawał, że go nie widzi.

Po drugiej stronie świątynnej kopuły, gdzie znajdowały się komnaty najwyższej kapłanki i Wewnętrznego Kręgu oraz pokoje spotkań, Roche został zaprowadzony do kobiety o kamiennej twarzy, pochodzącej z Cauvas. Pomyślał nagle, że nigdy nie lubił ludzi z Cauvas - ani w ogóle z głębi łądu. Tylko ludzie wychowani nad morzem rozumieli rytm życia na wodzie. Zastanawiał się, czy mógłby to powiedzieć najwyższej kapłance. Ona jednak pochodziła z Barbentain; nie sądził, by zapoznanie jej z tą opinią było rozsądnym posunięciem.

Czekał w ponurym milczeniu, sam w przedpokoju, co pewien czas na próżno pocierając znamienne smugi na swojej szacie. Raptem powąchał dłonie i się skrzywił. Zdał sobie sprawę, że powinien był się umyć. Wnosił dowody swego grzechu prosto do świątyni Rian. I to trzeci raz w ciągu roku. Roche uznał z prawdziwą rozpaczą, że zostanie wysłany na północ. Zasłużył na pobyt w górach, z dala od ukochanych wód oceanu i ich kuszących darów. Zganił się, że w ogóle nie panuje nad sobą, nie ma odpowiedniego szacunku dla tradycji świętej Rian, które przysiągł podtrzymywać przez całe życie, żadnego prawdziwego poczucia własnej

poważnej odpowiedzialności w dawaniu przykładu...

Otworzyły się drzwi. Kolejny służący o ponurej twarzy skinął mu obojętnie głową. Świeccy zawsze uwielbiali sytuacje, w których kapłan czy kapłanka mieli kłopoty. Roche ostatni raz wytarł dłonie o szatę i z taką godnością, na jaką go było stać w obłoku woni lampionek i węgla drzewnego, wszedł do komnaty, by usłyszeć z ust najwyższej kapłanki Rian w Arbonne, jaki go czeka los.

Niedługo potem wyszedł z komnaty bardzo zdenerwowany. Najwyższa kapłanka ledwie zauważyła jego wykroczenie. Skarciła go krótko, nawet się do niego nie odwracając, kierując niewidzące oczodoły ku ogniu na kominku. Wybaczyła mu niemal z roztargnieniem, kończąc rytualnie sformułowanym napomnieniem, by pomodlił się w świątyni o siłę do zwalczania swej słabości. To było wszystko. Za trzecie wykroczenie w ciągu roku. Został odprawiony. Nawet jej biała sowa nie zadała sobie trudu, by na niego spojrzeć.

Roche nic z tego nie rozumiał. Popelił dość poważne wykroczenie, dając straszny przykład świeckim pracownikom. Zastanawiał się, jak najwyższa kapłanka mogła potraktować to tak obojętnie? Jak obyczaje bogini miały być prawidłowo zachowywane, skoro wielcy świątyni zwracali na nie tak mało uwagi? Poczul się niemal oburzony tak niedbałym ulaskawieniem. Jak to? Przecież zasłużył na co najmniej czasowe wygnanie! Chociaż tak ukarany, czułby się fatalnie, z pewnością na to zasłużył. A co to było? Wygłoszone z roztargnieniem kazanie i szybka odprawa?

Roche był tylko podrzędnym kapłanem, ale nie mógł się nie zastanawiać, czy najwyższej postawieni duchowni Rian dobrze jej ostatnio służą. Pokręcił głową. Do czego to dochodzi?

W drodze powrotnej nie mógł się jednak powstrzymać i uśmiechnął się szeroko do skwaszonej kobiety przy drzwiach, a kiedy mijał piekarnię skąpaną w jasnym świetle popołudnia, pomachał radośnie do drwala. Nie było to może najrozsądniejsze zachowanie, lecz Roche przekonał się, że niektórych pokus nie potrafi pokonać.

Kiedy wieczorem skończył służbę w sanktuarium, starannie umył ręce, twarz i całe ciało na coraz większym chłodzie wieczoru, włożył czyste ubranie i wrócił do świątyni, by się tam modlić przez pełne dwie wieczorne wachty. Tak jak mu zalecono, Roche pokornie poprosił boginię, by go łaskawie obdarzyła siłą do zwalczania nieodpowiednich pokus, a potem, jakby po namyśle, pomodlił się do Rian o udzielenie swej świętej mądrości najwyższej kapłance oraz obdarzenie jej swą wieczną obecnością, jako że ostatnio sprawiała wrażenie przygniecionej kłopotami przekraczającymi jego skromną zdolność pojmowania.

Kiedy się w końcu podniósł, poczul się lepiej, chociaż w zeszywniałych kolanach i plecach strzykało mu z zimna. Wyszedł ze świątyni, by pod zimowymi gwiazdami i oboma

księżycami wrócić do swego łóżka w dormitorium.

Wychodząc spod kopuły, zobaczył grupkę kapłanów i kapłanek, skupioną w atrium wokół tamtejszego jedyne go ognia. Było już bardzo późno i ten widok był dość niezwykły. Roche podszedł do nich, a kiedy zrobili mu miejsce, Maritte, bardzo już bliska urodzenia dziecka, które poczęła z nim wiosną, powiedziała mu, że właśnie przyszła wiadomość, że przed dwoma dniami na Przełęczy Wysokiej Drogi widziano armię Gorhaut, która z machinami wojennymi zmierzała na południe do Arbonne.

\*\*\*

To zawsze było prawdopodobne, a nawet bardziej niż prawdopodobne.

Od chwili podpisania Traktatu Mostu na Iersen Beatritz była pewna, że Gorhaut zaatakuje. „Dopóki nie spadnie słońce i nie zgasną księżycy, Gorhaut i Arbonne nigdy nie będą leżeć spokojnie obok siebie”. Tak brzmiało prastare powiedzenie - w obu krajach. Wiedziała, że słońce nie spadło i że na zimowym niebie wiszą tej nocy dwa księżycy - chociaż nie widziała ich światła, wyczuwała ich obecność.

Zagłębiona w miękki fotel, wyczuwała też ogień na kominku, na pewno jako przyjemne ciepło, lecz także jako coś jeszcze - nie dźwięk czy gorąco, na pewno nie jako światło - jako źródło zagrożenia i wiedzy. W noc, kiedy oddała swoje oczy za to drugie widzenie Rian, wkroczyła w tak bardzo skomplikowany świat. Widziała teraz w odmienny sposób, lepiej w ciemności, najlepiej na wyspie, a wcale bez Brissela na ramieniu. Sięgnęła w górę i pogłaskała sowę; czuła jej niepokój, a raczej reakcję na jej zachowanie. Spróbowała posłać ptakowi uspokajające myśli pasujące do łagodnych ruchów dłoni, lecz było to trudne. Tej nocy było to trudne.

Aubry stanowiło cios dla jej serca, ciężki jak uderzenie młota, a był to tylko pierwszy ruch, ledwie garstka gorhauckich coranów pisząca ogniem pierwszą wiadomość zeszłej jesieni. Teraz nadchodziła armia i wyglądało na to, że niedługo spełni się marzenie Galberta de Garsenc o paleniu Arbonne.

A ona nie mogła nic na to poradzić. Już zrobiła, co mogła, daleko zarzucając sieci swej wiedzy, opuszczając wyspę częściej, niż powinna, zaniedbując miejscowe, lecz żywotne potrzeby swoich kapłanów i kapłanek, by spotykać się z matką, Robanem i najważniejszymi szlachcicami - Bertranem, Thierrym i Ariane, Urtém. To Beatritz, czując w sobie rzadkie pulsowanie obecności bogini, doradziła ostrożne zbliżenie się do Blaise'a de Garsenc, o którym wiadano, że opuścił Gorhaut w gniewie. Pamiętała pierwsze reakcje na jej słowa - był synem najwyższego kapłana, ich największego wroga. Kanclerz Roban nazwał go



sztyderczo nieokrzesanym, nieprzyjemnym najemnikiem.

Ufając intuicji i milczeniu swojej sowy, Beatritz powiedziała im, że ów coran jest kimś więcej. To Bertran się z nią zgodził, chociaż niemal z rozbawieniem, a także dlatego - co zrozumieli dopiero później - że jej propozycja zbiegła się idealnie z jego uwodzicielskimi planami. Czasami tak z nim bywało. Człowiek przyjmował go takim, jakim był - a książkę Talair miał wielką osobowość - i starał się zachować dla siebie żal, że mógł się stać kimś znacznie większym.

Poznała, że ma rację co do Blaise'a de Garsenc, kiedy Rian swoim świętym działaniem sprawiła, że pojawił się on na wyspie, jeszcze zanim Bertran udał się do zamku Baude. Beatritz tutaj też zrobiła, co mogła, usiłując przestraszyć go tak, by pozbył się tak wyraźnego ponurego samozadowolenia i sięgnął poza swe bariery do tego, co tak starannie ukrywał, a co ona wyczuła. Brissel dał jej znać, że on też coś tam wyczuł, a ona już dawno temu nauczyła się słuchać, kiedy sowa przekazywała jej coś takiego.

Pamiętała, jak Brissel odleciał z jej ramienia, kiedy w noc letniego przesilenia w Tavernel Blaise po raz pierwszy mówił o koronie Gorhaut. Nie spodziewała się ani słów wypowiedzianych przez tego mężczyznę, ani nagłego przelotu białej sowy na jego ramię. Kiedy nie miała Brissela przy sobie, była prawdziwie niewidoma, lecz jej matka wzięła ją za rękę i powiedziała cicho, dokąd poleciał ptak. W tej chwili Beatritz poczuła obecność Rian.

Gdyby tylko była to obecność, którą mogłaby przyzywać częściej. Gdyby tylko miała dziesiątą część magii i mocy umysłowych, przypisywanych jej przez przesądnych! Lecz w Arbonne magia była bardzo słaba, niemal wcale nie istniała - bez względu na to, jaka mogła być w tych niezbadanych krainach za pustyniami na południu, o których opowiadali jej zagnani tam sztormami żeglarze. Tutejsza magia ograniczała się do drobnych spraw, związanych z ogniskiem domowym i sercem. Kontrola poczęć, przewidywanie płci dziecka - a i to nie zawsze dokładnie. Znajomość smutków, pewna umiejętność ich łagodzenia. Umiejętności związane z darami ziemi: ziołami, kwiatami, owocami, drzewami. Pewna świadomość, jaką miała sama Beatritz - chociaż tylko tu na wyspie czy na wyspie na Jeziorze Dierne, i tylko od czasu oślepienia - w kwestiach życia wewnętrznego, związanych z miłością i nienawiścią. Pewne moce uzdrowicielskie, chociaż w równej mierze zależały one też od przekazywanej z pokolenia na pokolenie wiedzy dotyczącej ziół i innych remediów.

To była suma ich magii; taka była ich niebezpieczna moc. Dobrze, że inni myśleli, że jest w niej coś więcej; strach przed duchowieństwem Rian i jego nocnymi zgromadzeniami mógł stanowić rodzaj obrony.

Do czasu, gdy ten strach zmieniał się w tak wielkie i zimne przerażenie, że zaczynał im

zagrozić. Wydawało się, że Galbert de Garsenc przekroczył tę granicę pewnego dnia czy nocy we własnej przeszłości. Właśnie jego strach przed kobietami Arbonne, jego nienawiść do Rian i wszystkiego, co oznacza ta bogini, były powodem obecności armii w górach w środku zimy, armii doprowadzonej do szału zabijania przez najwyższego kapłana Corannosa. Teraz już zapewne opuściła góry, poprawiła się Beatritz z bólem serca. Przenikało ją zimne przerażenie, rozchodzące się powoli po ciele niczym trucizna we krwi.

Nie wiedziała co robić. To było najgorsze. Mogła się modlić, zebrać wszystkich przebywających na wyspie pod świątynną kopułą, by dniami i nocami śpiewali hymny i zaklęcia, szukając dostępu do bogini, błagając ją o wstawiennictwo. Rian jednak nie można było do niczego zmusić. To było najstarsze, najgłębiej zakorzenione prawo; była kapryśna i niezmienna, a część jej dziedziny stanowiła śmierć - w gruncie rzeczy było to jedno z wcieleń bogini. Była matką, panną młodą, lecz także zbierała zmarłych.

Być może nawet to sama Rian postanowiła w ten sposób ich ukarać, oczyścić ich czasy ze zła. Beatritz nie wiedziała, jakie miałyby być te wielkie akty zła, lecz ona tylko służyła bogini, a nie była wtajemniczona w boską świadomość. Mogłaby pomyśleć - mogłaby powiedzieć - że w Arbonne nie ma mroku czy zła, zasługujących na to, co zeszłej jesieni stało się z coranami w strażnicy pod Wysoką Przełęczą albo z kapłankami ze świątyni w Aubry.

Mogłaby to powiedzieć samej świętej Rian. Jakby to miało jakieś znaczenie. Sowa nastroszyła pióra, sprowadzając myśli kapłanki do terażniejszości. Beatritz zastanawiała się nad możliwościami, nad reakcjami. Pamiętała, że tak robił jej ojciec, rzeczowo przepowiadając na głos wszystkie możliwości, a potem stanowczo wybierał jedną drogę. Czasami nadal było jej trudno przyjąć, że ojciec nie żyje, że wszystkie te ciężary spadły teraz na matkę i na nią i że mogą liczyć tylko na niewielką pomoc podzielonej szlachty Arbonne.

Nie było dziedzica. To zawsze stanowiło problem, a w ostatnich latach życia Guibor IV z Barbentain nie umiał go wyznaczyć, ze strachu, że w ten sposób doprowadzi do rozdarcia kraju. W roku po śmierci Aelis z jej dzieckiem w Miraval próbował nawet zmusić Beatritz do opuszczenia sanktuarium bogini. Guibor przewidział, że po śmierci jego najmłodszego dziecka pojawią się kłopoty. Zawsze wiele przewidywał, to była jego wada; starał się, by zbyt wiele rzeczy udawało się w tym samym czasie. Tak też było z wydaniem Aelis za Urtégo de Miraval - potężny książę, jeden z najpotężniejszych w kraju, wybór, którego nie można było zakwestionować, i mężczyzna chcący płodzić dzieci, syna albo nawet córkę, by rządziły Arbonne po śmierci Guibora.

Lecz Aelis umarła pierwsza, a wraz nią niemal na pewno jej syn. Nikt nie mógł być tego całkowicie pewien, chociaż wszyscy wiedzieli, co powiedziała mężowi na łożu śmierci o

ojcostwie dziecka; robiąc to, wywołała straszną, zgonną waśń, kształtującą od tej pory Arbonne. Z Urtém nawet nie można było o tym porozmawiać. Beatritz spróbowała to zrobić raz, pod koniec roku, w którym umarła Aelis, i spotkała się z najbardziej jadowitą naganą w życiu. Musieliby wziąć księcia Miraval na tortury, żeby chociaż spróbować zmusić go do mówienia. A wszyscy wiedzieli, że nic by to nie dało, że nawet wtedy nie powiedziała, co się stało z dzieckiem.

Nawet hrabia Guibor nie był w stanie zdusić tego, co tamtej dawno minionej nocy zapoczątkowała Aelis między Talair i Miraval, ani nad tym zapanować. Szukając więc alternatywy, próbował zmusić Beatritz do porzucenia stanu duchownego, powrotu do Barbentain, przygotowania się do małżeństwa i urodzenia dziecka.

To właśnie wtedy kazała się oślepić, w tej małej świątyni w götzlandzkich górach, czyniąc krok, jakiego od wielu lat nie zrobiła żadna kapłanka, nieodwołalnie wiążąc się z Rian. Dwa lata później została najwyższą kapłanką i przybyła na tę wyspę.

Ojciec nigdy jej do końca nie wybaczył. To zawsze ją bolało, ponieważ go kochała. Nie tak, jak jej matka, dozgonną namiętnością duszy, ani nawet jak jej siostra Aelis, u źródła miłości której leżało coś złożonego i tęsknego. Beatritz zbyt dobrze znała słabości i wady ojca, widziała go zbyt wyraźnie, by kochać go którymkolwiek z tych rodzajów miłości - rozumiała jego dumę, to, że chciał panować nad zbyt wieloma sprawami na zbyt wiele różnych sposobów, osobiście kierując wszystkimi i wszystkim. Oczywiście rozumiała to, bo taka była główna wada jej samej. Była dzieckiem Guibora. Jednakże jej powołanie do Rian było rzeczywiste, było najbardziej prawdziwą rzeczą w jej życiu, a odczuła je jeszcze w młodości.

Matka, o dziwo, zrozumiała. Signe, piękna i lśniąca w blasku pochodni Barbentain niczym ozdobny klejnot, mimo wszystko zawsze chyba bardzo wiele rozumiała. Tej nocy Beatritz bardzo za nią tęskniła, wyobrażając ją sobie w zimowym zamku po otrzymaniu tych brutalnych wieści i ze straszną, druzgocącą świadomością, że może być władczynią Arbonne w czasie, kiedy kraj umrze.

Sowa znów się poruszyła niespokojnie, w ten sposób ją napominając Możliwości. Zastanawiała się nad możliwościami. Mogła wyruszyć na północ, opuszczając wyspę i siedzibę wszelkiej mocy czy wiedzy o przyszłości, jakiej mogłaby dostąpić, by służyć matce oraz tym, którzy teraz przebywają z hrabiną, swą czysto śmiertelną pomocą i wiedzą.

Uświadomiła sobie z dręczącą bezradnością, że jej nie potrzebują. Mogła służyć radą w czasie pokoju lub podczas przygotowań, w kwestiach mniejszych i większych intryg, wieści, które mogła zebrać jej własna siatka informatorów, lecz co ona wie o prowadzeniu wojny?

Nadszedł czas mężczyzn, powiedziała sobie z goryczą. Ironia zawarta w tym stwierdzeniu aż się skrzyła. Arbonne miała zostać zniszczona z powodu kobiet, z powodu bogini, która dzieliła ich miłość i oddanie z Corannosem w niebie, z powodu tego, że teraz rządziła nią kobieta, z powodu symboli i muzyki Dworu Miłości i przykładu dawanego przez postacie takie jak Signe i Ariane. I mimo że zagraża im teraz zniszczenie od miecza, topora i żagwi, mimo że pod powiekami wszystkich kobiet w Arbonne będą tańczyć obrazy gwałtów i pożarów, ocalenie zdołają przynieść tylko mężczyźni.

I mimo ponad dwudziestu lat usiłowań jej ojca, a po jego śmierci mimo usiłowań jej matki, mimo cierpliwości, zabiegów, a nawet rozkazów Guibora, dwaj najpotężniejsi mężczyźni w Arbonne nadal się wściekle nienawidzą, a nienawiść ta stała się ich zamkniętą w czasie obsesją, która nigdy ich nie opuściła i nie opuści, nigdy nie pozwoli działać razem, choćby dla ocalenia samych siebie i kraju.

Beatritz o tym wiedziała. Wiedziała o tym z niemal obezwładniającą rozpaczą. Ta waśń zawsze stanowiła w ostatnich czasach wewnętrzną słabość Arbonne, słabość, która czyniła ich podatnymi na zniszczenie. Nie był tą słabością fakt, że rządzi nimi kobieta, czy też rzekoma miękkość ich coranów; te plotki były fałszywe. Do słabości Arbonne nie przyczyniał się też demoralizujący wpływ trubadurów i ich muzyki; w rozkwicie tej sztuki nie było nic demoralizującego. Niebezpieczeństwem, wyniszczającą raną byli Talair i Miraval.

Beatritz pomyślała z zadawnioną, bezlitosną goryczą, że jej siostra Aelis ma wiele na sumieniu.

Pomyślała też, że to chyba niesprawiedliwa myśl. Matka powtarzała jej to w kółko przez te wszystkie lata. Niesprawiedliwa czy nie, tkwiła w jej umyśle; będzie ją nawiedzała aż do śmierci, a ona sama umrze, pamiętając Aelis, o wiele za dumną, mającą wolę niczym kute żelazo i niechęć do wybaczenia.

Beatritz pomyślała, że tę ostatnią cechę jej siostra dzieliła z Bertranem. I z Urtém. A potem, kiedy sięgnęła ręką, by uspokoić sowę, przyszła jej do głowy nowa myśl: a także ze mną.

- Och, Aelis - mruknęła. - Och, siostrze, czy w tę noc, kiedy ty umarłaś, z dzieckiem czy bez niego, my też zaczęliśmy umierać?

Pomyślała, że to możliwe. Wydarzenia powodują zmiany, które rozchodzą się od nich niczym kręgi na wodzie; czasami bardzo daleko poprzez ciemne jeziora czasu i świata.

Brissel znów poruszył się na jej ramieniu, a potem nagle zacisnął ostre szpony w znajomy sposób. Zawsze tak było - obecność bogini mogła ją nawiedzić bez żadnego ostrzeżenia. Beatritz czekała, oddychając szybko i czując znajome przyspieszenie pulsu, i otrzymała

kojącą odpowiedź w postaci obrazów w ciemności, obrazów, które wirowały i przybierały kształt, jakby się wyłaniały z pierwotnej mgły przed stworzeniem świata.

Zobaczyła dwa zamki i natychmiast je rozpoznała. Miraval i Talair - te dumne budowle znała całe życie. Szybko pojawił się następny obraz: niepomierne stary, potężny, upokarzający łuk z rzeźbami przedstawiającymi wojnę i podbój, niczym przepowiednia z dawnych czasów. A potem najwyższa kapłanka Rian ujrzała w myślach jezioro, a pośrodku niego niewielką wyspę z trzema pióropuszami dymu wznoszącymi się w bezwietrzne zimowe niebo prosto niby miecze. Na koniec zobaczyła drzewo. A potem obrazy zniknęły i Beatritz znów została tylko z ciemnością i Brisselem na ramieniu.

Te wizje pojawiały się i znikaly właśnie tak, nigdy niewymuszane, nigdy niewyproszone. Bogini czasami pamiętała o swoich dzieciach, a czasami o nich zapominała. Potrafiła obsypywać darami jak błogosławionym deszczem na wiosnę, mogła też odwrócić się plecami i oddać świat na pastwę lodu i ognia. Miała twarz roześmianą i twarz płonąca pożądaniem, oblicze pełne prawdziwego współczucia i straszliwe oblicze osądu. W naukach Arbonne to bóg Corannos był życzliwszy, to on poważniej troszczył się o mężczyzn i kobiety. Rian ich tolerowała i kochała, lecz potrafiła być okrutna tak, jak okrutna jest przyroda. To bóg zawsze pamiętał o ich śmiertelnych dzieciach, to on zawsze dostrzegał ich cierpienia. Tak uczono w Arbonne od pokoleń.

Gdzie indziej nauki były odmienne. W Gorhaut były bardzo odmienne.

Beatritz zrozumiała, że będzie musiała tu zostać. Tylko na wyspie mogła doznawać takich przeczuć, jak to. Musiała wysłać tej nocy wiadomość do Barbentain. Poprosi dwóch młodych trubadurów, którzy spędzali tu zimę. Nie odmówią jej; to nie byli mężczyźni, którzy ukrywaliby się na morzu, kiedy z północy nadciąga śmierć i zniszczenie. Wyśle ich do hrabiny z ostrzeżeniem, z wiadomością, gdzie rozegra się kulminacyjna bitwa.

Bogini dała jej znać, że nastąpi ona w miejscu z tej wizji: obok tej wysepki na Jeziorze Dierne, obok łuku, dwóch zamków - wszystko tam się zakończy.

Oczywiście, pomyślała, świadoma wewnętrznego spokoju po zaznaniu obecności Rian. Oczywiście, że stanie się to tam. Poczula muśnięcie dawnego smutku. Powinnam byłam wiedzieć. To tam się wszystko zaczęło.

Beatritz de Barbentain była mądra i już nie młoda, doskonale obznajomiona z działaniem władzy w świecie i od dawna przyzwyczajona do otaczających ją ciemności i dostępu do wiedzy, jaki jej czasami owe ciemności dawały. W gruncie rzeczy była bardziej wtajemniczona w działanie Rian, niż przyznawała się sama przed sobą, zawsze bowiem chciała mieć więcej, niż miała. To leżało w naturze jej rodziny, takie było dziedzictwo krwi.

Mimo wszystko bogini jeszcze nigdy całkowicie jej nie opuściła, chociaż mogła być nieobecna bardzo długo. Beatritz wiele wiedziała, ponieważ w chwilach takich jak ta doświadczała poprzez szczeliny w czasie wyraźnych, ostrych wizji, ukrytych przed wszystkimi innymi żyjącymi dziećmi Corannosa i Rian.

Z drugiej strony, istniały sprawy, o których nie wiedziała nawet najwyższa kapłanka na swej wyspie, czy była to przyszłość, teraźniejszość, czy rozchodzące się na wodzie kręgi przeszłości. I nie byłoby właściwe, gdyby o tych sprawach wiedziała. Przysięgi złożone umierającym były w Arbonne święte.

\*\*\*

Kiedy w końcu gorhaucka armia schodzi z zaśnieżonej przełęczy do Arbonne, jej duchowy przywódca zatrzymuje oddziały i wszyscy zbrojni klękają na płaskowyżu, by wysłuchać modlitwy dziękczynnej najwyższego kapłana do boga.

Przebyli góry z napętniającą pokorą, budzącą strach i podziw łatwością; na zimnie i oblodzonej, zdradzieckiej drodze stracili tylko kilkuset ludzi i koni. Jedna - o dziwo - lawina ominęła armię o strzał z łuku, zabierając w białą śmierć bez pogrzebu tylko straż tylną.

Mogło być - powinno być - o wiele gorzej; szaleństwem było przeprowadzenie armii przez góry w zimie, by zyskać przewagę zaskoczenia. Nawet sam najwyższy kapłan otarł się o śmierć. Stojąc obok króla, przemawia do armii, wysoko unosząc w jednej ręce strzałę; lewe ramię ma zabandażowane, a przesiąkająca krew jaskrawi się na tle jego błękitnej szaty i bieli śniegu. Ranny, dogonił ich na środku przełęczy, jadąc w pojedynkę - co, jak wszyscy wiedzą, było nad wyraz lekkomyślne. To jest lekkomyślne u kogoś, kto nie w pełni zawierzył Corannosowi, kto nie cieszy się - jak wyraźnie dzieje się to w przypadku Galberta de Garsenc, najwyższego kapłana Gorhaut - błogosławieństwem i ochroną boga. Oznacza to, że oni, żołnierze tej armii, są też błogosławieni, są wybrańcami, bronią Corannosa.

Kiedy po skończonej modlitwie wstają z klęczek, takie właśnie mają odebrać przesłanie. Galbert unosi wysoko arbońską strzałę - strzałę wypuszczoną z łuku przez tchórze i nie w trakcie wojny - która mogła go pozbawić życia w jego własnym zamku, by wszyscy ją zobaczyli.

„Bóg jest z nami”, mówi im, „jesteśmy jego pośrednikami i narzędziem”.

Trudno się z tym nie zgodzić, a w obecności swego króla żołnierze armii Gorhaut nie są skłonni do cynizmu czy zwątpienia. W cudowny sposób przebyli zimą góry, a przed nimi rozpościera się obiecana im ziemia, pod błękitnym niebem jasna i piękna jak sen.

To znaczy obiecana po dokonaniu oczyszczenia. Najwyższy kapłan oznajmia, że są

młotami boga. Kowadłami, na które muszą spaść ich najświętsze, oczyszczające uderzenia, są świątynie i wioski Arbonne oraz zamieszkujące je zdeprawowane, nieczyste kobiety.

Mówi im, że świątynie są pierwsze, zamki przyjdą później. Jeśli tylko będą podążać za swym wielkim królem, wszystko samo do nich przyjdzie. Mężczyźni Arbonne to tchórze, panują nad nimi kobiety, a ich muzycy i parobcy przyprawiają im rogi.

„Co”, pyta Galbert de Garsenc, „co zrobią tacy ludzie, kiedy staną twarzą w twarz ze zgromadzoną potęgą Gorhaut, spadającą na nich z boską siłą?”.

„Umrą”, mówi im, odpowiada na własne pytanie, a w szeregach armii podnosi się pomruk głodu i podniecenia. Umrą jak tchórzliwi niewierni, którymi są, a kiedy będzie po wszystkim, kiedy święty Corannos znów będzie odpowiednio czczony w tym kraju, wtedy będzie wiadomo, że mężczyźni Gorhaut okazali się godni wielkiej przychylności, jaką ich zawsze darzył bóg. Wtedy cały świat pozna ich wartość. Wtedy ten słoneczny blask, te wysoko położone zielone doliny, winnice, zamki i uprawne pola, bogate miasta, porty i leżące za nimi wielkie morze - wtedy to wszystko zostanie prawdziwie oddane Gorhaut z wielkiej, czystej łaski Corannosa.

„Czyż nie tak ma być?!”, woła do nich, a jego wspaniały głos niesie się z wiatrem do wszystkich zgromadzonych poniżej.

Dają mu żarliwą, pełną uniesienia odpowiedź.

Wtedy król zjeżdża ze wzniesienia, mając u boku najwyższego kapłana z wciąż uniesioną strzałą. Razem, wspaniali, przystojni mężczyźni, zajmują miejsce na przodzie armii. Niedaleko za nimi, lecz w odpowiedniej odległości, jedzie na czele własnego oddziału Borsiard d'Andoria. Obecność Portezzanina wśród nich, jak usłyszała armia, świadczy o tym, że w tym dziele wykorzenia mrocznej bezbożności jest z nimi nie tylko bóg, lecz wszystkie kraje świata.

Król Ademar z Gorhaut unosi dłoń i w czystym, chłodnym powietrzu pod niebem, po którym w blasku słońca krążą i śmigają ptaki, rozlega się dźwięk gorhauckich trąbek. Przed armią rozciągają się opadające na południe zbocza, zielone od zimowej trawy. Niedaleko skrzy się błękitem rzeka, której większość tych wojowników nigdy nie widziała; dalej pieni się bielą na bystrzach, a potem znów lśni błękitem w drodze do morza. Wkrótce porty leżące na jego wybrzeżach będą należeć do nich; zostało im to obiecane. Bóg jest z nimi.

Najeżdźcza armia Gorhaut rusza na południe błyszczącą rzeką włóczy i zbroi. Jeszcze tego samego dnia straż przednia przejeżdża nad zniszczoną, pustą wioską Aubry i przybywa do następnej osady. I tam, mieczem, maczugą i żagwią, wśród wrzasków zdeprawowanych kobiet i ich heretyckich, pozbawionych dusz dzieci oraz rozpaczliwych krzyków tchórzliwych

mężczyzn - rolników, robotników, rzemieślników, samych tchórzy - zaczyna się nękanie Arbonne.

Bóg jest ze swoją armią. Po szarym zimnie gór i cudzie przebycia ich czują to w lśniącej łasce jego świętego słońca, świecącego nad nimi. I Wszystko, co mijają, jest kolorowe, przyjazne, cudownie lśni w świetle. Są młotami Corannosa, plagą herezji, ta wojna ma błogosławieństwo nieba; teraz wie to każdy z nich, więc zabijają ze śpiewem na ustach.

Niech Arbonne pozna bojowe pieśni Gorhaut. Niech usłyszy, jak wśród monotonnego trzasku pożarów śpiewają je dzielni mężczyźni, prawdziwi wojownicy północy.

\*\*\*

- Wcale się nie śpieszą - powiedziała ponuro hrabina w sali narad. - Czekają, aż wyjdziemy w pole.

Minęły cztery dni od pierwszego pożaru tej wojny. Wedle raportów armia Gorhaut poruszała się powoli i metodycznie na południe, siejąc po drodze zniszczenie.

- Zajmują każdą wioskę, palą wszystkie świątynie - ciągnęła hrabina. Rosala, która siedziała na jednej z ław z dłońmi splecionymi na podolku, podziwiała jej opanowany głos; znała już Signe na tyle dobrze, by wiedzieć, z jakim trudem zdobywała się na tak beznamiętny ton. W komnacie znajdowało się około dwadzieścioro osób, zebranych w Barbentain na rozkaz hrabiny. - Nie interesuje ich obleganie nas w zamku czy miastach - rzekła Signe. - Nie w zimie, kiedy żywność jest dla nich problemem.

- To zasadniczo prawda, lecz nie do końca, wasza miłość. Obawiam się, że prowiant nie stanowi dla nich problemu - rzekł ciężkim tonem Urté de Miraval. Opierał się o gzyms większego kominka, rosły i onieśmielający; miał na sobie ciemnozieloną szatę podbitą futrem. - Mam nowe informacje na ten temat. Wykorzystali pieniądze Valensy, tę ogromną sumę otrzymaną za oddane jej północne ziemie, do zapewnienia sobie zaopatrzenia z Götzlandu, które po prostu podąża tutaj za nimi. Ponieważ nasi wieśniacy chronią się w miastach i zamkach, głód zagrozi nam wcześniej niż Gorhautczykom. Moglibyśmy się zastanowić nad zaatakowaniem ich linii zaopatrzenia.

- To nie będzie konieczne - rzekł krótko i z lekceważeniem Bertran de Talair spod przeciwległej ściany.

Rosala odwróciła się, by na niego spojrzeć.

Przybył zaledwie zeszłego wieczoru, z Blaisem, jego najemnikami i ośmiuset uzbrojonymi ludźmi z Gorhaut. Zebrana rada nadal usiłowała dojść do ładu z tym ostatnim faktem oraz z obecnością w tej komnacie księcia Fulka de Savaric. Rosala też się starała do



tego dostosować, choć z innych powodów. Ilekroć patrzyła na brata, zalewała ją fala dumy, strachu i niedowierzania. Jeszcze nie mieli okazji porozmawiać na osobności.

- Bardzo byłbym ciekaw, dlaczego - rzekł Urté do Bertrana, wpatrując się weń nieprzyjaźnie. - Czy w ostatnich latach strategia wojskowa zmieniła się aż tak bardzo?

- Wcale się nie zmieniła. - Bertran, odziany w zwykły brązowy strój do konnej jazdy, odwrócił się do hrabiny. - Zapewne pamiętasz, wasza miłość, że podczas jarmarku w Lussan nawiązałem kontakt z królem Daufridim z Valensy. - W komnacie powstało poruszenie; dla większości zebranych była to nowa informacja. Bertran nie zwracał na to uwagi. - Kontakt ten przyniósł pożyteczne, chociaż, obawiam się, nie zasadnicze owoce. Daufridi przekonał Jörga z Götzlandu, że zniszczenie Arbonne nie posłuży ich wspólnym interesom. Nie posuną się do tego, by się za nami wstawiać, zostałem jednak poinformowany, że obiecane dostawy ze wschodu będą, niestety, spóźnione. Żywność, kiedy już dotrze do armii Gorhaut, będzie niebezpiecznie złej jakości, a większość nie nada się do jedzenia. Król Jörg oczywiście gorąco przeprosi Ademara. Obieca dochodzenie i zaproponuje zwrot części otrzymanych pieniędzy. Pomocne jest posiadanie aktualnych informacji w czasie wojny.

- Pomocne jest - rzekła lodowatym tonem hrabina Arbonne - dzielenie się posiadanymi informacjami przez służących nam dowódców między sobą i z nami.

Mimo oficjalnego tonu hrabiny, Bertran nie wyglądał na speszzonego.

- Wróciłem ledwie wczoraj w nocy - powiedział łagodnie. - Zostałem czekające na mnie potwierdzenie z Valensy. Za to, co zrobiłem, mógłbym się spodziewać od mojej hrabiny i tutaj zebranych pochwały, a nie potępienia.

- Ty arogancki pawiu! - wychrypiał Urté de Miraval. Porównując strój obu mężczyzn, Rosala uznała to słowo za niemal zabawne. Lecz w tej chwili naprawdę nie było tam miejsca na brak powagi. - Przez Arbonne wypala sobie drogę armia więcej niż dwakroć liczniejsza od tej, jaką możemy zebrać - warknął, wbijając wzrok w Bertrana - a ty domagasz się pochwał jak próżne dziecko, obnosząc się dumnie z powodu drobnych zwycięstw dyplomatycznych.

- Może i drobnych, panie - sam zacząłem od tego stwierdzenia, jeśli zechcesz sobie przypomnieć - lecz proszę, zaszczyć nas opisem tego, co ty osiągnąłeś w tym czasie.

Niebieskie oczy Bertrana napotkały wzrok Urtého i tym razem żaden nie skapitulował. Rosala wyczuwała nienawiść panującą w komnacie jak zimną, krzepnącą obecność.

- Byłoby bardzo przyjemnie - ciągnął Bertran wcale nie przyjemnym głosem - móc donieść o lepszych rezultatach moich starań w kwestii Valensy, lecz przecież nie możemy winić Daufridiego czy Götzlandczyków za ostrożność, prawda? Zamiast tego być może moglibyśmy wygłosić kilka uwag na temat panów Arbonne, których głównym zajęciem w

minionym roku wydaje się aprobowanie, jeśli nie podżeganie do próby zabójstwa przyjaciela i sprzymierzeńca.

Rosala, która doskonale pamiętała tamtą noc w komnacie Lucianny Delonghi, zobaczyła, że w tej chwili Blaise robi krok do przodu.

- Chyba już wystarczy - rzekł cicho do Bertrana. - Nie osiągniemy niczego pożytecznego, cofając się starymi ścieżkami.

W tym krótkim czasie między udaniem się na północ i powrotem Blaise bardzo się zmienił. Tuż przed rozpoczęciem spotkania Rudel Correze powiedział Rosali, że w Garsenc był i jego ojciec, i Ranald. Ten pierwszy uciekł, a drugi został puszczonej wolno; trudno było się nie zastanawiać, co tam zaszło.

- Wystarczy? Naprawdę? - zapytał Bertran de Talair, odwracając się od Urtégo. - Strasznie mi przykro. Wybacz mi moją pożałowania godną skłonność do przesady.

Jego głos ociekał jadem, lecz Rosala zauważyła, że się nie sprzecza ani nie draży tematu. Blaise patrzył na niego jeszcze przez chwilę, lecz nic już nie powiedział.

- Dzisiaj wybaczymy niemal wszystko, ponieważ nie mamy wielkiego wyboru - odezwała się hrabina. Odwrócili się do niej. Trzymając w dłoniach jedną z metalowych grzejących kul tak lubianych przez jej służące, Signe odczekała chwilę, a potem dodała: - A także dlatego, że rozpaczliwie cię potrzebujemy, panie na Talair, wraz ze wszystkimi twymi... skłonnościami. Po bardzo starannym zastanowieniu postanowiliśmy niniejszym powierzyć ci zadanie dowodzenia naszymi armiami w tej wojnie. W twoje ręce oddajemy suwerenność Arbonne oraz los naszych dzieci.

Rosala na moment zamknęła oczy. Cadar znajdował się na górze z mamką i Rosala zastanawiała się, czy Fulk poprosi, by mu pokazała syna. Pewnie nie. Podniosła wzrok. Signe znów przerwała, patrząc swymi słynnymi oczyma w równie słynne niebieskie oczy księcia Talair. Kiedy znów się odezwała, mówiła już innym tonem.

- Bertranie, być może nieuczciwie będzie powiedzieć „nie zawieź mnie”, bo wiem, co sprowadził na nas Ademar z Gorhaut, niemniej to powiem, bo jeśli zawiedziesz, zginiemy i z popiołów pożarów, które niechybnie nastąpią, już się nie podniesiemy.

- Nie. Nie możesz tego zrobić! - W głuchej ciszy, która zapadła po słowach hrabiny, głos Urtégo de Miraval zabrzmiał ostro i chrapliwie. Dźwięczała w nim pasja i prawdziwy ból.

Rosala zobaczyła, jak odrywa się od kominka, robi niezdarnie kilka kroków i pada ciężko na kolana przed hrabiną.

- Padam przed tobą na twarz, pani - rzekł żarliwie. - Nie będę prosić, ale błagać. Nie rób tego. Nie stawiaj mnie w tej sytuacji, błagam cię, wasza miłość. Nie będę pod nim służył. Nie

mogę. Wiesz, że nie mogę. Na miłość do Arbonne, na pamięć twego męża, na szacunek, jaki jeszcze możesz żywić wobec mego imienia, wybierz innego dowódcę! To nie muszę być ja, to nie mogę być ja, bo wtedy zrobisz to samo de Talairowi, lecz wybierz innego dowódcę, hrabino, bo inaczej rozbijesz mnie na kawałki.

Jego wciąż przystojna, mięsista twarz pod krótko ostrzyżonymi siwymi włosami była pełna napięcia i bólu.

Natomiast rysy Signe de Barbentain, patrzącej z góry na klęczącego przed nią księcia, przypominały piękną i nieprzejednaną maskę.

- Czy pomyślałeś kiedykolwiek - rzekła lodowato - jak bardzo jesteście dziecinni?

Nabrała tchu, a Rosala skrzywiła się, przeczuwając, co teraz nastąpi. Nie myliła się.

- Moja córka Aelis - rzekła powoli i wyraźnie - była uparta i dumna i była dzieckiem, kiedy umarła. To się stało dwadzieścia trzy lata temu, na naszą najświętszą boginię! Czy żaden z was się nad tym nie zastanowił? - Rosala zauważyła, że na brzmienie imienia Aelis Urté się wzdrygnął, a Bertran odwrócił głowę. Signe nie zwróciła na nich uwagi, mówiła dalej głosem stanowczym niby uderzenia młota. - Zdradziła Urtégo z Bertranem. Wszyscy to wiemy. Powiła syna, który nie był dzieckiem jej męża i któremu o tym powiedziała. O tym też wiemy. To było bardzo niemądre posunięcie. Dziecko umarło albo i nie. Moja córka umarła. To stara historia. Czy obaj mnie słyszycie? To stara historia! Zostawcie ją w spokoju! Niech Aelis spoczywa w grobie, ze swoim dzieckiem czy też bez z niego. Nie pozwolę pogrzebać Arbonne w tym samym grobie albo uwięzić w labiryncie, jaki wy obaj zbudowaliście sobie wzajemnie z tej historii. Dość tego! To się musi skończyć. Zrozum mnie dobrze, mianuję dziś na dowódcę człowieka, który rozumie Gorhaut lepiej, niż ktokolwiek z tu obecnych, i który ma u swego boku Blaise'a de Garsenc i Fulka de Savaric. To moja stanowcza decyzja. Nie podlega ona starym, zużyтым namiętnościom z zamierzchłej przeszłości, panie de Miraval.

Zapadła cisza. Przerwał ją w końcu cichy, odmierzony, a zarazem dziwnie nieśmiały głos Bertrana de Talair:

- Jestem świadom wielkiego zaszczytu, jakim mnie obdarzasz, wasza miłość. Chcę powiedzieć, że bez najmniejszego problemu usunę się na rzecz kogoś innego, jeśli to... złagodzi napięcie między nami. Na przykład z dumą będę służył pod księciem Thierryem czy też pod twoim bratem z Malmont, jeśli wolisz.

- Nie wolę - oznajmiła szorstko Signe. - Zrozum mnie, Bertranie, to nie jest prośba, to rozkaz. Jeśli odmówisz, uznam to za zdradę w czasie wojny i podejmę odpowiednie kroki.

- Pani! - zaczęła Ariane de Carenu. - Hrabino, to jest coś, co... - Przerwała raptownie na

szybki, władczy gest hrabiny.

Signe nawet nie raczyła na nią spojrzeć. Nadal patrzyła na Bertrana de Talair, rzucając mu spojrzeniem wyzwania, by się odezwał.

- Poprowadzisz nasze armie, panie - rzekła stanowczo. - To rozkaz. - A potem powiedziała bardzo wyraźnie, akcentując każde słowo z osobna: - Nie zawieźdź mnie.

Urté de Miraval powoli, ciężko, wstał z kolan. Rosala poczuła, jak na jej ramiona kładzie się wielkie brzemie niczym stos kamieni. To nie była jej historia, jej kraj, ale wiedziała, co się zbliża i co to oznacza. Wyglądało na to, że cała komnata, wszyscy zgromadzeni tu, w Barbentain, zostali schwytni w mroczną, lepką sieć, uplecioną dawno temu, i są w niej zawieszni.

- A zatem poprowadzi te armie bez ludzi Miraval - rzekł Urté z pełnym powagi, nienaturalnym spokojem, który w jakiś sposób pasował do zachowania Signe. - Ciężar tego, hrabino, musi spocząć na twoich ramionach. Być może przypomniałaś sobie, skoro postanowiłaś z taką swobodą mówić o zmarłych, że spośród obecnych w tym pomieszczeniu ja najbardziej się kwalifikuję na twego syna.

Obrócił się na pięcie i podszedł sztywnym krokiem do drzwi.

- Zaczekaj, panie! - zawołał Thierry de Carenu.

Urté nie zareagował. Otworzył drzwi i przestąpił próg. Rozległo się trzaśnięcie, w którym dźwięczała nieodwracalność.

Echa, pomyślała Rosala, przełykając z trudem ślinę. Echa przeszłości, grożące zniszczeniem teraźniejszości. Rozejrzała się po komnacie; na twarzach obecnych rysowały się powaga i niepokój. Tylko hrabina sprawiała wrażenie odpornej na emocje, tylko Signe nie okazywała lęku czy zwątpienia.

- Ilu ludzi?

To były pierwsze słowa, jakie wypowiedział jej brat, Fulk. Jak zwykle zainteresował się najbardziej prozaicznym aspektem całej sytuacji.

- Tysiąc pięciuset, może trochę więcej. Niemal wszyscy są wyszkoleni.

Odpowiedź dał Thierry de Carenu, który jako jedyny usiłował zapobiec wyjściu Urtégo. To była bardzo duża liczba i Rosala przebywała w Arbonne już dość długo, by znać tego powód: dwa dziesięciolecia starć między Talair i Miraval sprawiły, że obaj książęta zgromadzili wokół siebie spore armie wojowników. I tego ranka ta głęboko zakorzeniona wrogość kosztowała Arbonne połowę tych oddziałów.

- Rozumiem - rzekł cicho Fulk. Brat Rosali nie zwykł rozwijać swoich myśli. Nie było to tutaj potrzebne; wszyscy obecni znali konsekwencje opuszczenia sali przez Urtégo. - Każesz

go aresztować? - zapytał.

Nikt mu nie odpowiedział. Bertran wyglądał przez okno, wyraźnie wstrząśnięty. Kanclerz Roban opierał się o ścianę, jakby rozpaczliwie potrzebował oparcia; był blady jak kreda. Podobnie większość obecnych w komnacie. Wydawało się, że spokój zachowuje tylko hrabina, drobna i sztywno wyprostowana.

Rosala odchrząknęła.

- Czy on naprawdę będzie się trzymał na uboczu? - zapytała.

Pomyślała, że to niewiarygodne, a mimo to w jakiś przerażający sposób zarazem nieuchronne. Z jakiegoś powodu zwróciła się do Ariane de Carenu.

Ariane też pobladła.

- Obawiam się, że tak. Jeśli nie zrobi czegoś więcej - odparła słabym głosem, zupełnie niepodobnym do jej zwykłego rzeczowego i władczego tonu.

- To niesprawiedliwe! - powiedział szybko jej mąż, machnąwszy ręką, i pokręcił głową. - On nie jest zdrajcą.

- Nie? - znów odezwał się Blaise, wciąż z tą niepokojącą nową nutą opanowania w głosie.

- Jak nazwałbyś człowieka, który robi to, co on właśnie uczynił, bez względu na to, jaką później obierze drogę?

Było to uczciwe, choć surowe pytanie. O to pytał Fulk. Odpowiedź była łatwa: takiego człowieka nazywa się zdrajcą.

Rosala spojrzała na brata i zobaczyła, że po raz pierwszy tego ranka Fulk patrzy na nią. W jego oczach ujrzała tę samą odpowiedź. Gdyby to był Gorhaut, pomyślała nagle, Urté de Miraval nie wyszedłby z tej komnaty żywy.

W tej myśli było coś naprawdę przerażającego. Rosala zaczynała dostrzegać część ceny, jaką Arbonne płaciła za swoje swobody i subtelność.

Zadała sobie pytanie, jaką część tej ceny trzeba będzie jeszcze zapłacić.

Potem pamiętała, że w tej właśnie chwili rozległo się stukanie do drzwi. Strażnicy otworzyli je i wpuścili dwóch wyczerpanych, zabłoconych trubadurów, jednego ciemnowłosego, drugiego z jasną czupryną, przybyłych z wiadomością z Wyspy Rian na morzu, z wiadomością, że najwyższa kapłanka miała zesłaną przez boginię wizję bitwy nad Jeziorem Dierne.

## ROZDZIAŁ 17

Tego samego ranka inny posłaniec przyniósł identyczną wiadomość na wyspę na jeziorze. Lisseut, która, mądrze czy też nie, jednak nie wróciła na zimę do domu, do matki, usłyszała tę wiadomość, przyszedłszy na śniadanie do jadalni.

Nie była to wielka niespodzianka. Wiedzieli, że może do nich przybyć armia Gorhaut. Ta wyspa była najświętszym sanktuarium Rian na północy Arbonne, a wszyscy już wiedzieli, że wojownicy z Gorhaut wyprawili się na krucjatę w imieniu boga. Nie miało znaczenia, że czczono tu też Corannosa. Lisseut pomyślała z goryczą, że gdyby takie sprawy miały znaczenie, to kapłanki, dzieci oraz ci, co usiłowali ich bronić, nie leżeliby teraz zwęgleni i martwi.

Odsunęła się nieco od garstki rozmawiających niespokojnie kapłanów i kapłanek. Niełatwo było znaleźć zaciszne miejsce w ciasnocie wyspy, a ostatnio, co może było zaskakujące u kogoś, kto dojrzywał w niezwykle ożywionym towarzysko środowisku trubadurów, Lisseut pociągała samotność. A dokładnie pociągała ją od owej nocy, kiedy uspiła Blaise'a kołysankami z dzieciństwa, a potem wyszła z jego pokoju i wróciła do gospody z Alainem. Nie czuła już jednak zamętu ani dojmującego bólu. Wydawało się, że opuściły ją wraz z nadejściem zimy. Kamień wpada do wody z pluskiem, pomyślała Lisseut, stojąc nad tym samym brzegiem co w dniu, kiedy tu przybyła pod koniec jesieni, lecz spada na dno bezdźwięcznie. Uznała, że tak właśnie się czuje - albo czuła, dopóki nie nadeszła wojna ze strasznymi wieściami o zabitych i pożarach, i wszelkie myśli o takich prywatnych sprawach zostały zbanalizowane i usunięte w cień.

Spojrzała ponad wzburzonymi wodami Jeziora Dierne na miodowej barwy kamienie Talair, leżącego na północnym brzegu, a potem wyżej, za porośniętą trawą dolinę na zimowe winnice i wznoszący się w dali las. Gdzieś z tamtego kierunku nadciągała armia uzbrojona w topory, miecze i żagwie, a nad nią tańczyły na pikach odcięte głowy. O takich potwornościach opowiadali ocaleńcy, uciekający na południe przed wściekłością Gorhaut.

Lisseut wtuliła dłonie w fałdy kamizelki, którą dostała od Ariane w Carenu. Poranek był zimny, przejrzysty niczym brylant, a silny wiatr spychał trzy pióropusze dymu niemal prosto na południe. Powietrze było rześkie, czyste i Lisseut widziała bardzo daleko. Kiedy się odwróciła ku zachodowi, na końcu szpaleru wiązków wyraźnie rozróżniała potężne kamienie

Łuku Starożytnych. Nie znosiła go, i to od chwili, kiedy przed wielu laty ujrzała go po raz pierwszy - tkwiło w nim zbyt wiele przytłaczającej potęgi; rzeźbiarz oddał cały swój niezaprzeczalny kunszt na usługi brutalnie jednoznacznego przekazu. Teraz ten łuk codziennie przypominał jej o tym, co się zbliżało.

Wiedziała, że bezpieczniejsza byłaby w domu. Armia najeźdźcza jeszcze przez długi czas nie dotrze do Vezét, a gdyby do tego doszło, znana żonglerka mogłaby wsiąść na statek i spotkać się z serdecznym powitaniem w Portezzie czy Arimondzie.

Ta ostatnia myśl nie trwała nawet na tyle długo, by się poważnie nad nią zastanowić. Nawet kiedy stało się jasne, że pochlebne zaproszenie do przezimowania na Wyspie Rian, które przyjęła wraz z Alainem, umieściło ich na środku ścieżki, którą podążała śmierć, Lisseut wiedziała, że nie opuści tego miejsca.

Gdyby ktoś ją zapytał, mogłaby podać powód swojej decyzji, ale nikt nie pytał. To pieśń Ramira, usłyszana w Lussan na Jesiennym Jarmarku, kształtowała teraz uczucia Lisseut. Jeśli istniała jakaś rola, którą mogłaby odegrać w tym przerażającym czasie, to na pewno nie było nią ukrywanie się na południu nad morzem czy ucieczka na statku. Mogła z tym też mieć coś wspólnego wyimaginowana obecność tego kamienia, zapadającego się w nią cicho niczym w ciemne, spokojne wody jeziora. Przyznałaby to. Zwykle była ze sobą uczciwa, a wydawało się, że najgorsza część tego bólu już zniknęła. Od jarmarku w Lussan upłynęło kilka miesięcy; nawet nie wiedziała, gdzie jest Blaise. Teraz nazywała go w myślach po imieniu. Chyba na tyle mogła sobie pozwolić?

Alain też został na wyspie. Spodziewała się tego. Jej sympatia do drobnego trubadura rosła z każdym dniem. Zaczął nawet ćwiczyć szermierkę, każdego popołudnia wiosłując przez jezioro, by dołączyć do coranów Talair. Nie szło mu najlepiej. Pewnego dnia Lisseut popłynęła go podpatrzeć i od tego czasu złe przecucie ciążyło jej jak kamień.

Kiedy tak patrzyła nad grzywaczami na kamienie łuku nad zachodnim brzegiem i usiłowała jakoś się uporać z wiadomością, którą posłaniec przyniósł od najwyższej kapłanki, znów ogarnęły ją złe przecucia.

- Jak myślisz, czy jeśli zniszczą nas wszystkich, to wybudują własny łuk?

Nie słyszała kroków Rinette. Niezbyt zadowolona, ponieważ wciąż nie rozgryzła swoich uczuć wobec tej chłodnej i aroganckiej młodej kapłanki, odwróciła się do niej.

Jak zwykle sowa wzbudziła jej wątpliwości. Ptaka nosiła na ramieniu tylko najwyższa kapłanka w każdej świątyni lub kapłanka wyznaczona na jej następczynię i przygotowywana do objęcia tego stanowiska. Rinette, wcale nie starsza od Lisseut, została dziedziczką najwyższej kapłanki z Wyspy Rian w bardzo młodym wieku. Kiedy już obejmie to

stanowisko, w hierarchii bogini w Arbonne wyżej od niej będzie stała już tylko sama Beatritz de Barbentain. Lisseut słyszała nawet krążące wśród kapłanów i kapłanek z wyspy plotki, że kiedy nadejdzie ten dzień, Rinette zamierza pójść w ślady Beatritz i złożyć w ofierze wzrok.

Lisseut z Vezét, dziecko tego świata, znajdujące radości i smutki wśród mężczyzn i kobiet, niepokoiła już sama ta myśl. Łatwiej byłoby jej sobie z nią poradzić, gdyby Rinette była starsza, gdyby była posepną, pobożną fanatyczką, lecz ta kapłanka była piękna i bystra, choć oschła, i najwyraźniej znała i lubiła pieśni trubadurów niemal tak samo, jak Lisseut i Alain. Kiedyś nawet poprawiła Alaina, kiedy recytował jeden ze starych wierszy księcia Folqueta. Lisseut, prawdziwie wstrząśnięta takim wtrącaniem się, szybko sprawdziła w pamięci i uświadomiła sobie, że kapłanka ma rację. Oczywiście nie zmniejszyło to jej niezadowolenia, że któryś ze słuchaczy poprawił trubadura.

Pomyślała wtedy, że źle się dzieje na świecie.

Sprawa ta wydawała się nadzwyczaj mało ważna od czasu zimowej inwazji, a szczególnie teraz, po tej ostatniej wiadomości. Patrząc na wysoką, szczupłą kobietę stojącą obok niej, Lisseut zdała sobie sprawę, że w razie zwycięstwa Gorhaut los Rinette będzie jeszcze brutalniej oczywisty niż jej, a z racji przysięgi złożonej bogini kapłanka nie miała nawet możliwości ucieczki na południe czy za morze. Biorąc to pod uwagę, biorąc pod uwagę mroczne czasy, żal do tej kobiety za poprawienie źle wyrecytowanego wersu wydał się nagle Lisseut wielką nieuprzejmością.

Od czasu, gdy Ademar z Gorhaut sprowadził armię z gór między zielone wzgórza i doliny Arbonne, świat się bardzo zmienił.

- Drugi łuk? - powtórzyła cicho Lisseut, zastanawiając się nad odpowiedzią. - Nie wiem. Czy ci przybysze z północy budują cokolwiek?

- Oczywiście. Są ludźmi, tak naprawdę nie różnią się zbyt od nas - odparła spokojnie Rinette. - Przecież wiesz. Są tylko źle uczeni, to wszystko.

- Mnie się wydaje, że jest między nami wielka różnica - rzekła ostrym tonem Lisseut - jeśli palą żywcem kobiety i odcinają martwym mężczyznom głowy i genitalia.

- Źle uczeni - powtórzyła Rinette. - Pomyśl, ile tracą z tajemnicy i mocy życia, odrzucając Rian.

- Wybacz, ale w tej chwili nie bardzo mam czas, by ich żałować. Dziwię się, że ty to potrafisz.

Rinette wzruszyła z wdziękiem ramionami, patrząc na zachodni brzeg i stojący dalej łuk.

- Uczy się nas tak myśleć. Czasy są złe - powiedziała. - Śmiertelni mężczyźni i kobiety są tacy, jacy zawsze byli. Za pięćset lat zamienimy się w pył, pamięć o nas i naszych losach



zaginie, lecz Rian i Corannos nadal będą kierować biegiem świata.

Lisseut miała dosyć tego świętego pozerstwa.

- Ciekawe, czy będziesz patrzeć na to tak dalekowzrocznie, kiedy ujrzysz armię Gorhaut płynącą po jeziorze z pochodniami w rękach - powiedziała ostro, zapominając o dobrych intencjach.

Pożałowała tych słów w chwili, gdy je wypowiedziała.

Rinette odwróciła się do niej i w jasnym świetle poranka Lisseut zauważyła, że oczy kapłanki nie są tak spokojne, jak mogłyby to sugerować jej głos i słowa. Poniewczasie pojęła, że to, co słyszy, jest próbą opanowania strachu.

- Nie cieszy mnie perspektywa spalenia żywcem, jeśli to masz na myśli - rzekła Rinette. - Jeśli nie to masz na myśli, może powiedz mi, co naprawdę usiłujesz powiedzieć.

Wtedy oczywiście Lisseut nie pozostało nic innego, jak gorąco przeprosić kapłankę, a potem przeżyć ten dzień i następne dwa, otulona kamizelką dla ochrony przed wiatrem i zimnem własnych głębokich obaw. Alain codziennie wiosłował po wzburzonym jeziorze do Talair z pożyczonym mieczem u boku. Drugiego popołudnia wrócił z czerwonym śladem od uderzenia na czole. Żartował o zwodzeniu innych udawaną niezdarnością, lecz Lisseut widziała, że trzęsą mu się ręce. Czwartego dnia przybyły armie.

\*\*\*

W gruncie rzeczy ledwie zdążyli. Stojąc w południe wysoko na murach Talair po forsownym marszu z Barbentain i Lussan, Blaise spojrzął na wycieńczonych ludzi zgromadzonych poniżej na otwartej przestrzeni, a potem ku północy, szukając pierwszych oznak zbliżania się tych, z którymi mieli walczyć. Miał niemiłą świadomość, że oprócz tego niesamowitego przeczucia najwyższej kapłanki jedyną rzeczą, dzięki której mieli cień szansy dotarcia do Jeziora Dierne z armią na czas, była pełna rozwagi ostrożność Thierry'ego de Carenu.

Oszalając zaskakująca zimowa inwazja poprowadzona przez góry zastała Arbonne całkowicie nieprzygotowaną - nikt nie ryzykuje tłumnego przejścia przez przełęcz zimą - gdyby pod koniec jarmarku w Lussan książę Carenu nie wydał w imieniu hrabiny rozkazów, by armie Arbonne stopniowo się gromadziły pod rozkazami baronów i książąt. Chodziło o to, by przez zimę uzbroić je i wyszkolić tak, by były przygotowane na wiosenny atak, którego się wszyscy spodziewali.

Blaise nigdy nie czuł się swobodnie w towarzystwie mężczyzn, którzy w łóżku woleli przedstawicieli własnej płci, a noce spędzone z Ariane raczej skomplikowały tę kwestię, lecz

musiał przyznać, że ma coraz większy i gwałtownie rosnący szacunek dla księcia Carenu. Thierry był mężczyzną trzeźwym, pragmatycznym i zdecydowanie godnym zaufania. Blaise uznał, że w kraju, gdzie innymi dwoma najważniejszymi szlachcicami są książęta Talair i Miraval, nie są to błahe zalety.

Kiedy nadeszła wiadomość, że armia Gorhaut pokonała przełęcz i schodzi z gór, to dzięki tym działaniom Arbonianie byli o wiele lepiej przygotowani, niż gdyby nic nie robili. Mogli się przemieścić w szyku, i to dość szybko - mimo że południowe drogi były błotniste od zimowych deszczy - na północ w stronę Barbentain, a stamtąd, kiedy nadeszła wiadomość od Beatritz, tutaj, do Talair, nad jezioro.

Czekali na nich corani Bertrana, a Blaise wiedział, że niedaleko znajdują się żołnierze Miraval, lecz teraz nie stanowili oni żadnej pomocy, jeśli nie gorzej.

Po raz setny od owego spotkania w Barbentain przed czterema dniami Blaise zastanawiał się nad roztropnością decyzji hrabiny, by wyznaczyć Bertrana na dowódcę armii. Musiała przecież wiedzieć, że Urté tak zareaguje. Nawet Blaise, jeszcze przed rokiem nieświadom tej przepełnionej goryczą historii, mógłby się domyślić, jak Urté się rozzłości na rozkaz poddania się władzy Bertrana. Zgoda, jeśli chodziłoby o dowódcę sił Arbonne, pierwszą osobą, która by przyszła na myśl, byłby de Talair, ale czy jest to warte półtora tysiąca ludzi? Czy mianowanie Thierry'ego de Carenu byłoby czymś strasznym?

A może Signe się spodziewała, że przy tak wysokiej stawce Urté się wzniesie ponad to, co dzieli Talair i Miraval? Przecież teraz ważyło się wszystko. Jeśli tak, to się pomyliła, a Blaise na tyle dobrze znał historię wojen, by wiedzieć, że Arbonne nie byłaby pierwszym krajem, który uległ najeźdźcy dlatego, że nie umiał zażegnać swoich własnych wewnętrznych wojen.

Stojąc w jasnym blasku słońca na murach zamku Bertrana, pokręcił głową, lecz zachowywał ponure milczenie, tak jak w sali narad i później. Pod pewnymi względami to wszystko mogło być wyłącznie sprawą dla przyszłych historyków i oschłych filozofów, ludzi, którzy oskubują z treści kości martwych lat niczym padlinożercy, co to po bitwie wychodzą nocą, by ograbiać zabitych i umierających.

Naga rzeczywistość była taka, że aby mieć jakąkolwiek realną szansę obrony, to nawet dysponując coranami z Miraval, potrzebowaliby ogromnej liczby najemników, a zimowa inwazja wyeliminowała tę możliwość. Armia, którą Ademar z Gorhaut przeprowadził bezpiecznie przez góry, znacznie ich przewyższała liczebnie. Ademar i Galbert - Blaise wiedział bez cienia wątpliwości, że tę zimową wojnę wymyślił jego ojciec, którego spryt i długie planowanie łączyły się z głębokim, niezachwianym przekonaniem, że bóg

przeprowadzi go przez przełęcz. A przerażające było oczywiście to, że Corannos to uczynił. Armia Gorhaut, która była armią boga, znajdowała się w Arbonne, a Blaise, który patrzył ku północy z murów wraz z Bertranem, Fulkiem de Savaric i innymi, czuł, jak serce uciska mu strach.

Tylko głupcy i szaleńcy nie znają strachu przed bitwą. Powiedział mu to jego pierwszy dowódca, a Blaise tymi samymi słowami pocieszał młodzieńców pod swoją komendą. Był jednak głęboko przekonany, że zmierzając tu w pogoni za marzeniem swego życia, jego ojciec się nie boi. Nie wiedział natomiast, co to marzenie oznacza.

- Ustawimy się przy południowo-wschodnim krańcu doliny - usłyszał głos Bertrana, wyjaśniającego swoje zamiary trzem nowo przybyłym na mury baronom z południa. Jednym z nich był Mallin de Baude. On i Blaise mieli czas tylko na wymianę pozdrowień i szybkich spojrzeń. Może nigdy nie będą mieli go więcej. - Za plecami będziemy mieli zamek i jezioro - ciągnął Bertran - więc nie mogą nas oskrzydlić. Dno doliny jest lekko nachylone ku zachodowi - zobaczycie to, jeśli się uważnie przyjrzyjecie - co może nam pomóc, dając trochę więcej miejsca łucznikom.

Blaise pomyślał, że Bertran zna ten teren jak melodię z dzieciństwa. Zaskoczył siebie samego tym porównaniem. Może powinien zacząć mniej się dziwić? Przecież znajduje się wśród wojowników Arbonne.

- A co z Wyspą Rian? - zapytał jeden z baronów. - Czy mogą do niej dotrzeć z zachodniego brzegu jeziora, jeśli zostawimy im dostęp od tamtej strony?

- Nie ma tam łodzi. Wszystkie przeprowadziliśmy do naszej kei albo na wyspę. W każdym razie chyba nie będą o tym myśleć, dopóki nie rozprawią się z nami.

Bertran mówił spokojnym głosem. Blaise był pod wrażeniem, choć nieszczerze zaskoczony - zdążył już wyrobić sobie o nim opinię. Ufał mu i go lubił, a jeszcze przed rokiem nie sądził, że kiedykolwiek mogłoby do tego dojść.

Bertran jak zawsze miał odkrytą głowę - nie włożył też zbroi i miał na sobie swój zwykły skromny strój w rozmaitych odcieniach brązu. Kiedy Blaise ujrzał go po raz pierwszy zeszłej wiosny, zbliżającego się konno do zamku Baude, to jego zwyczajne ubranie uznał u tak potężnego i bogatego pana za perwersyjną pozę; teraz wygląd Bertrana wydawał się całkowicie odpowiedni dla przywódcy wojennego w przededniu bitwy. Zupełnie jakby w jakiś niewytłumaczalny sposób de Talair zawsze się na to przygotowywał. Blaise zadał sobie pytanie, czy to może być prawda. Pamiętał - narzucił mu się kolejny obraz - zjadliwe, sardoniczne strofy, które księżę odśpiewał w zamku Baude o Ademarze, Galbercie i Daufredim z Valensy. Człowiek, który napisał takie słowa, mógł się spodziewać reakcji na

nie. Pierwszą, jak pamiętał Blaise, była strzała zanurzona w syvarenie. Zerknął na Rudela, stojącego nieco dalej na podeście biegnącym wzdłuż murów. Drugą była chyba wojna.

Spojrzał ku zachodowi. Na końcu alei wiązów lśnił w słonecznym blasku potężny Łuk Starożytnych. Nieco bliżej dostrzegł miejsce przy drodze nad brzegiem jeziora, gdzie sześciu coranów Miraval zastrzeliło mu konia i jucznego kuca, a potem zginęło od jego strzał. Pamiętał młodą kapłankę z wyspy, która przybyła, by zawieźć go do Talair. „Czekaliśmy na ciebie”, powiedziała, pewna siebie i arogancka, jak wtedy wydawali mu się oni wszyscy. Nigdy dobrze nie zrozumiał, co miała na myśli. Stanowiło to część tej samej niepokojącej sieci tajemnic, która sprowadziła ich tu w odpowiedzi na ostrzeżenie Beatritz.

„Kto wie, co robią kobiety, kiedy idą nocą do lasu?”. Tak powiedział kiedyś jego ojciec przed spaleniem kolejnej domniemanej czarownicy na ziemiach Garsenc. Wolał nie pamiętać takich rzeczy. Jeśli jednak Galbert zwycięży, pojawią się tu stosy i ogień, niemal niewyobrażalne piekło. Z pewnym wysiłkiem Blaise odsunął tę myśl, by przypomnieć sobie muzykę rozlegającą się w tym zamku, kiedy owego wiosennego dnia wszedł do niego po raz pierwszy u boku Valery’ego. Wydawało mu się, że to było dawno temu.

Podszedł do niego Fulk de Savaric i oparł łokcie na murze.

- Myślisz o jakimś nadzwyczaj sprytnym posunięciu? - mruknął cierpko, nie odrywając oczu od północnego krańca doliny.

Usta Blaise’a drgnęły.

- Oczywiście - odparł podobnym tonem. - Zamierzam wyzwąć Ademara na pojedynek. Kiedy niemądrze przyjmie wyzwanie, zabiję go, przejmę dowództwo nad jego wdzięczną armią i wrócimy do Gorhaut na czas, by zacząć wiosenne siewy.

Fulk parsknął z rozbawieniem.

- Brzmi nieźle. Będę się mógł policzyć z twoim ojcem? - zapytał.

Tym razem Blaise się nie uśmiechnął.

- Jest parę innych osób, które mogłyby chcieć to zrobić - rzekł.

- Włącznie z tobą? - Fulk spojrzał na niego.

- Chyba tak. - Nie spojrzał szwagrowi w oczy.

W pewnej odległości na południowym zachodzie rysowały się wieże Miraval, wyraźnie widoczne z tej wysokości w czystym, zimowym powietrzu. Nawet teraz, tyle wiedząc i przed oczyma mając widok księcia Urtégo na kolanach przed Signe de Barbentain, a potem wychodzącego sztywnym krokiem z sali narad, Blaise nie potrafił do końca uwierzyć, że jeśli dojdzie do bitwy, wewnątrz tych murów zostanie półtora tysiąca wojowników.

Nie wiedział, czy to powód do odrobiny nadziei, czy do głębszego, zimniejszego

przerażenia.

Wiedział natomiast, że większość własnego życia spędził na dążeniu do spełnienia marzenia o Gorhaut czy też swojej wizji tego, czym Gorhaut powinien być, czym był niegdyś, i że w samym sercu tej wizji tkwi Corannos. A teraz, zgłosiwszy pochopnie roszczenia do korony, miał w imieniu bogini wyruszyć do bitwy wśród mężczyzn z rządzonej przez kobietę Arbonne przeciwko swemu własnemu krajowi i królowi - oraz ojcu, jeśli do tego dojdzie - a także przeciwko armii maszerującej pod sztandarem boga, któremu przysiągł służyć z honorem do końca swych dni.

Jak, pomyślał Blaise, można się cofnąć po linii życia, by zobaczyć, w którym miejscu pojawiły się rozstaje, które doprowadziły go na te mury? Nie potrafił sobie odpowiedzieć na to pytanie. Może umiałby to zrobić poeta albo kapłanka, lecz on był żołnierzem i, tak, przysłym królem, lecz czas...

- Są - odezwał się cicho Rudel, dostrzegłszy oczyma łucznika pierwszy odległy błysk metalu, odnalezionego wśród drzew przez słońce.

...lecz czas na takie myśli już przeminął, jak liść odegnany wiatrem, fala na kamienistym brzegu, jak wszystkie poranki zaginionej przeszłości. Nad Jezioro Dierne przybyła armia Gorhaut.

Wtedy Blaise ich ujrzał, posuwających się drogą, która wychodziła zakrętami z lasu, a ich sztandary były sztandarami jego domu, śpiewali - właśnie ich usłyszał - znaną mu pieśń, a on sam rozpoznawał, nawet z tak daleka dzięki przejrzystemu powietrzu Arbonne, króla, którego nazwał zdrajcą, i ojca... ojca, którego ta armia była marzeniem. Zobaczył, jak zza zakrętu drogi wyjeżdża Ranald, i bez zbytniego zaskoczenia rozpoznał proporzec Andorii powiewający nad Borsiardem, jadącym na czele swego oddziału. Oto człowiek, którego zabije z przyjemnością, pomyślał.

A potem, jakby szydząc z takiej myśli, w polu widzenia pojawiły się rozchwiane, podrygujące piki niesione przez piechurów, a na czubkach niektórych z tych pik, nadziane jak mięso do opieczienia, tkwiły odcięte ludzkie głowy.

Bertran de Talair wykonał gwałtowny gest; chwilę później Blaise zauważył niezapomnianą grzywę jasnych włosów i uświadomił sobie, że on też rozpoznał pierwszą z tych odciętych głów. Zrobiło mu się niedobrze i musiał się mocno chwycić kamieni muru, by nie upaść. W następnym momencie poczuł się jeszcze gorzej. Pośrodku rozśpiewanej, rozgestykulowanej armii Gorhaut pojawiła się platforma na kołach, a na niej ujrzeli nagiego człowieka przywiązanego do pala ustawionego na środku platformy. Człowiek ten został pozbawiony genitaliów; krocze miał zakryte poczerniałym skrzepem krwi. Na sznurach

wiszących mu u przekrzywionej szyi kołysały się szyderczo martwe ptaki - Blaise dostrzegł, że to sowy.

Pomyślał, że ten człowiek też jest martwy, lecz w pewnej chwili jakimś sposobem uniósł on głowę - zapewne w pełnej bólu odpowiedzi na jakiś wewnętrzny impuls - i nawet z murów było widać w jego twarzy dziury po wyłupionych oczach.

Oczywiście, pomyślał Blaise ze wstrętem, walcząc z mdłościami. To część szyderstwa - ślepoty i ptaki Rian. A potem, z coraz większym przerażeniem, Blaise uświadomił sobie, że zna też tego okaleczonego, ciemnowłosego mężczyznę. Jeszcze raz spojrzął na głowę zatknętą na najwyższej z podskakujących pik i, oniemiały, odwrócił się do Bertrana de Talair. Książę opuścił głowę, by nie patrzeć.

Krajobraz i ludzie na murach stali się dziwnie niewyraźni i Blaise zdał sobie sprawę, że jest bliski łez, on, który zabił tylu ludzi podczas wojny czy nad brzegiem tego samego jeziora albo w gęstej ciemności portezzańskiej nocy, on, który widział innych zabitych na wiele straszliwych sposobów i który uważał to wszystko za element swej profesji. Lecz nigdy nie spalił bezradnej staruszki, nazywając ją czarownicą, nie wywlekał krzyczącej kapłanki z łóżka ani nigdy nie okaleczał ludzi w taki sposób. To była wojna innego rodzaju.

Przypominał sobie, niemal wbrew woli, noc letniego przesilenia w Tavernel. Jasnowłosy był Remy, mający może więcej polotu i talentu niż dojrzałej mądrości, a ciemniejsze włosy miał Aurelian, ten spokojniejszy. Obaj byli muzykami, nie żołnierzami, i obaj byli młodzi. To oni przynieśli do Barbentain wiadomość od Beatritz; Blaise pomyślał, że po spełnieniu poselstwa zapewne udali się razem na północ. Nie wiedział po co; być może nigdy się już tego nie dowie.

- Spójrzcie tam - rozległ się czyjś pełen napięcia głos.

Głos Rudela.

Blaise przetarł oczy dłonią i znów spojrzął w dół. Podążając wzrokiem za ręką Portezzanina, zobaczył, jak przez szeregi rozłożonej pod murami armii Arbonne przeciska się zwinnie do przodu kilkunastu odzianych w szkarłat łuczników. Nie wiedział, kto im wydał rozkaz, może nikt. Może to była po prostu instynktowna reakcja jednych z najlepiej wyszkolonych ludzi w kraju, tych, którzy przysięgli strzec honoru królowej Dworu Miłości - której z kolei przysięgli dozgonną służbę i oddanie wszyscy trubadurzy Arbonne.

Blaise ujrzał, jak łuczniczki Carenzu ustawiają się w jednej linii, jednocześnie napinają cięciwy i wypuszczają strzały wysoko pod wiatr. W szeregach Gorhaut śpiew się urwał, zagłuszony nagłą burzą okrzyków; żołnierze unieśli tarcze i pośpiesznie opuścili zasłony hełmów.

Nie musieli tego robić. Strzały nie oznaczały ataku. Zostały wysłane niczym wznoszące się łukiem modlitwy odmawiane w żalości, z pasją i wściekłością, w bolesnej próbie skrócenia mąk okaleczonemu człowiekowi na platformie. Większość nie doleciała do celu. Trafiły weń trzy, a jedna przebiła serce nieszczęśnika. Głowa ciemnowłosego mężczyzny podskoczyła do góry tak, że jego puste oczodoły skierowały się ku jasnemu, utraconemu słońcu. Zobaczyli, że otwiera usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Żaden dźwięk nie towarzyszył śmierci Aureliana, żadna ostatnia nuta jak u umierającego łabędzia, chociaż przez całe życie sływał z czystego, niedoścignienie pięknego głosu.

- Och, Pani - szepnął Bertran de Talair. - Och, bogini, uzdrów go i daj mu schronienie w nieskończonej łasce swych ramion.

Blaise uświadomił sobie, że trzęsą mu się ręce. Zaciśnął je na kamieniu przed sobą.

- Wybaczcie - odezwał się Thierry de Carenzu, z wielkim trudem zachowując spokój. - Chyba muszę zejść i powiedzieć Ariane. Nie powinna się o tym dowiedzieć od nikogo innego.

Blaise milczał. Nie wiedział co powiedzieć. Pomyślał nagle, że jest ktoś jeszcze, kto powinien się dowiedzieć o tych dwóch zabitych od kogoś, komu jest droga, ale nie wiedział, gdzie jest Lisseut, i wzięwszy pod uwagę, kto to zrobił, nie sądził, że do niego należy zawiadomienie jej. Patrzył, jak w leżącej poniżej dolinie jego ojciec zdejmuje bojowy hełm, a potem jego wysoki, przystojny, namaszczonego król uczynił to samo. Blaise miał suche oczy i kiedy spoglądał na nich w dół, ręce przestały mu drżeć.

\*\*\*

W tej wietrznej zielonej dolinie nad Jeziorem Dierne Ademar z Gorhaut jest szczęśliwy. Obecność arbońskiej armii naprzeciwko stanowi pewne zaskoczenie, lecz nie nieprzyjemne. Najwyższy kapłan od początku mówił mu, że nad tym jeziorem rozegra się bitwa, która położy kres Arbonne. Spodziewali się, że wydarzenia potoczą się nieco inaczej - liczyli, że wywabią nawiedzonych przez boginię żołnierzy tej krainy do bitwy, plądrując i paląc Wyspę Rian.

Nie spodziewali się czekającej na nich armii. Ademar odwraca się od martwego śpiewaka na platformie - jednego z dwóch głupców, schwytych, gdy obserwowali przemarsz wojska - i widzi, że jego najwyższy kapłan też się uśmiecha.

- Jest dobrze - mówi Galbert z zadowoleniem. - Nie tylko są tchórzliwi, ale i głupi. Gdyby wiedzieli o tym, że brakuje nam żywności, nie byłoby ich tu. A tak już jutro będzie po wszystkim, panie, i spichlerze Arbonne staną przed nami otworem. Widzisz, ilu ich jest?

Widzisz, ilu jest nas? Spójrz na słońce boga nad nami.

- Jest dobrze - mówi krótko Ademar.

Czasami męczą go recytowane monotonnym głosem pobożne zapewnienia Galberta i nawet jego zblazowany apetyt jest już niemal zaspokojony przez namiętność do palenia i okaleczania. Ademar wybrał się, by podbić bogatą krainę i udaremnić wątłą rebelię, wywołaną przez młodszego syna Garsenca oraz Fulka de Savaric. Galbert przybył tu po coś innego. Bóg otrzyma to, co mu się należy, a nawet więcej - król mu to obiecał. Ma tylko nadzieję, że nie potrwa to zbyt długo i że zostanie mu trochę pól do obsiania i zebrania plonów oraz kraj do rządzenia, kiedy skończy już z paleniem. Rzeczywiście, liczby są bardzo dobre, Galbert ma tu rację, a w zanadrzu mają niespodzianki.

- Jeśli mamy jutro walczyć - mówi Borsiard d'Andoria, podjeżdżając bliżej na swoim wspaniałym koniu - to czy mogę prosić, bym mógł się rozprawić z wydziedziczonym synem najwyższego kapłana, tym pretendentem? Rozumiesz, mam swoje powody.

Ademar nie lubi tego próżnego, wybuchowego człowieka, lecz został zmuszony do zaakceptowania wagi, jaką będzie miała obecność Portezzan w ich szeregach po wojnie. Czasami wydaje mu się, że przyjmuje zbyt wiele od najwyższego kapłana, lecz na razie król Gorhaut postanawia być tolerancyjny. Obiecano mu bardzo dużo i te obietnice niedługo przyniosą owoce.

Zbliża się jeszcze jeden koń i Ademar słyszy sardoniczny śmiech jeźdźca.

- Mój brat - zwraca się książę Ranald de Garsenc do elegancko odzianego Portezzanina, a wszyscy trzej mężczyźni odwracają się, by nań spojrzeć - mógłby posiekać cię na kawałki, jednocześnie zajmując się czymś zupełnie innym. Nie śpiesz się tak, panie, by go sobie wybrać do walki, chyba że chcesz, by twoja droga żona znów została wdową i mogła po raz kolejny wyjść za mąż.

Słowa te nieco zlewają się ze sobą. Ranald nie wygląda dobrze. Można bezpiecznie założyć, że już pił podczas porannego marszu. Jego ojciec marszczy brwi, lecz Ademar jest szczerze rozbawiony; lubi patrzeć na tarcia między de Garsencami i podoba mu się konsternacja zarumienionego Portezzanina.

- Cóż, jeśli rozmawiamy o drogich żonach... - zaczyna kąśliwie Borsiard d'Andoria.

- Nie rozmawiamy o nich - mówi szybko Ademar, manifestując swoją władzę nad biegiem rozmowy.

Nie chce, by omawiano tę sprawę, nie teraz i nigdy nie publicznie. Zastanawia się, czy Rosala de Garsenc jest teraz w zamku Talair, czy nadal w Barbentain. Domyśla się, że przybyła wraz z armią i że hrabina Arbonne też znajduje się w murach tego zamku nad



jeziorem. Jeśli tak, to nazajutrz rzeczywiście będzie po wszystkim i okaże się, że Galbert miał rację. Przypomina sobie, znów rozbawiony, że to Ranald kiedyś mu zasugerował, by ożenił się z Signe de Barbentain i w ten sposób zyskał kontrolę nad Arbonne. Wydaje się, że to nie będzie konieczne.

- Pozostają formalności - mówi teraz jego najwyższy kapłan, odwracając się plecami do starszego syna. - Mam wysłać herolda, by przedstawił twe żądania, panie?

To też bawi króla - to staranne przestrzeganie protokołu i rytuałów mimo tego, co robili nieuzbrojonym mężczyznom, kobietom i dzieciom w drodze na południe. Tak się dzieje, myśli Ademar, kiedy się łączy religijną krucjatę z wojną zaborczą.

- Wyślij - mówi leniwie - ale sami z nim pojedźmy, żeby zobaczyć, kogo wysłali przeciwko nam. Kto wie, najwyższy kapłanie, może nawet będziemy mieli szansę porozmawiać z twoim ambitnym młodszym synem. Wciąż się zastanawiam, skąd się u niego wzięła ta niebezpieczna cecha.

- To nie jest mój syn! - mówi Galbert, trochę za szybko, wietrząc niebezpieczeństwo. - Oficjalnie się go wyrzekłem w sanktuarium Corannosa w górach. Byłeś tam ze mną, panie.

Tym razem Ademar śmieje się na głos. Podoba mu się łatwość, z jaką potrafi zdenerwować swoich doradców, nawet Galberta, którego trzeba uważnie pilnować. W tej chwili król z niejakim zaskoczeniem odkrywa, że potrzebuje kobiety. Od czasu zejścia z przełęczy oglądał swoich żołnierzy zabawiających się z kapłankami. Trzymał się od tego z dala, gratulując sobie siły woli, by zachować godność korony podczas tej świętej krucjaty. Zerka przez ramię na Ranalda de Garsenc, a potem na mury Talair. W gruncie rzeczy jest dość pewien, że ją za nimi znajdzie.

Jutro, myśli z uśmiechem. Właściwie nie jest przyzwyczajony do czekania na zaspokajanie swoich potrzeb, ale czasami można mieć większą przyjemność, gdy się to zaspokojenie trochę opóźni. Ale tylko trochę. Uważa to za prawdę, którą sam odkrył. Znów spogląda na jej męża.

\*\*\*

Lisseut ujrzała, co zrobiono z dwoma mężczyznami, których kochała, kiedy pojechała z hrabiną Arbonne i kilkoma innymi osobami na rokowania z królem Gorhaut.

Gdyby nie ostrzeżenie Thierry'ego, mdłości, które ją ogarnęły na widok ich ciał, mogłyby zniweczyć wszystkie jej postanowienia. Przejechanie obok tego, co zostało z Remy'ego i Aureliana, i niepoddanie się szarpiącemu bólowi było najtrudniejszą rzeczą, jaką musiała zrobić w życiu. Nie odrywała wzroku od wyprostowanej postaci jadącej przed nią hrabiny i

ściskała wodze rozedrganymi dłońmi. Chciała krzyżeć. Nie mogła sobie pozwolić na krzyk.

Kiedy książe Carenu zszedł z wieży, by powiedzieć, że przybył Gorhaut i że ludziom, których wszyscy znali, uczyniono coś strasznego, była razem z Ariane, hrabiną i Rosalą de Garsenc w galerii muzycznej Talair.

Mogłaby się spodziewać, że wybuchnie rozpaczliwym płaczem, zemdleje, poczuje, że umysł się jej zatrząskuje niby drzwi. Może to sprawił szok lub wewnętrzna niechęć do uwierzenia, lecz nie zrobiła nic podobnego, tak jak żadna z obecnych tam kobiet. Ariane, której mąż oficjalnie przekazał wiadomość o Remym i Aurelianie, podniosła się sztywno z krzesła, podeszła do kominka i stanęła przy nim odwrócona plecami do pokoju, wpatrując się w ogień. Jednakże po pewnym czasie odwróciła się i wróciła na swoje miejsce. Była bardzo blada, lecz na jej nieskazitelnej twarzy malował się kamienny spokój. Usiadła obok hrabiny i obiema rękami ujęła dłoń Signe.

Ze wszystkich obecnych w tym pokoju otwarcie szlochał tylko Alain z Rousset; Lisseut podeszła do niego. Drobny trubadur miał u boku swój miecz. Nadal nie władał nim dobrze, lecz chciał się przyłączyć do żołnierzy z Talair - przepłynął łodzią jezioro, by walczyć razem z nimi.

Wyglądało na to, że Remy i Aurelian myśleli podobnie i zaczęli szpiegować posuwającą się na południe armię Gorhaut. Lisseut pomyślała, że nawet mogli być w tym dobrzy, lecz tak naprawdę niewiele wiedziała o prowadzeniu wojny.

Oni też.

Napotkała spojrzenie niebieskich oczu kobiety imieniem Rosala. Krył się w nich ból i coś równie przykrego, choć trudniejszego do zrozumienia, lecz Lisseut zaczerpnęła z tej wymiany spojrzeń stanowczość i pewną pociechę i ze wszystkich sił postarała się odwdziżyć tym samym.

- Powinna powstać o nich pieśń - rzekła hrabina, wstając z krzesła i odwracając się do Lisseut, która stała obok Alaina. Trubadur uniósł głowę i otarł oczy. - Nie będę jednak prosić o nią teraz - ciągnęła Signe de Barbentain. - To nie czas na muzykę.

Właśnie wtedy znów usłyszeli w korytarzu odgłos kroków i do pokoju wszedł Bertran de Talair z kilkoma osobami. Jedną z nich był Blaise. W wyrazie jego twarzy było coś ponurego i przerażającego, jakby na murach przeszła nań część zimy. Najpierw spojrzał na Rosalę i pozdrowił ją skinieniem głowy. Potem jednak zwrócił się w stronę Lisseut i po chwili wykonał rękoma drobny, bezradny gest. Wtedy poczuła, że zbiera się jej na płacz. Pamiętała, jak zranił Remy'ego mieczem. Wystąpiła wtedy w jego obronie. To było w noc letniego przesilenia. Karnawał w Tavernel. Trudno uwierzyć, że kiedyś w Arbonne się świętowało.

- Zadęli w rogi i przybywają na rokowania - rzekł Bertran do hrabiny. - Razem z heroldem jedzie Ademar.

- A zatem ja powinnam pojechać z naszym - stwierdziła spokojnie Signe. - Jeśli uważasz to za właściwe.

- To my ci służymy, wasza miłość. Ale tak, uważam to za właściwe. Uważam, że powinnaś pojechać, i Ariane również. To wojna wywołana także przeciwko naszym kobietom i uważam, że armia, obie armie, powinny cię tu ujrzeć.

- Mnie też - rzekła Rosala de Garsenc, wstając. - Ja jestem pretekstem do wywołania tej wojny. Bertran zerknął na nią z dziwnym wyrazem twarzy. Sprawiał wrażenie, jakby chciał się sprzeciwić, lecz tego nie zrobił. Kiedy Lisseut wyraziła taki sam zamiar, nikt się jej nie przeciwstawił. Spodziewała się tego. Nawet nie uważała się za bezczelną. Nie w tej sytuacji. Wydawało się jej, że może nawet się pojawić ogólne wrażenie, że powinien tam też się znaleźć ktoś spośród muzyków.

W tej chwili po prostu zapomniała, że Bertran de Talair jest również trubadurem.

\*

Wkrótce się okazało, że król Gorhaut o tym nie zapomniał. Obie grupki spotkały się na oczach armii, lecz w bezpiecznej od nich odległości. W szeregach i jednej, i drugiej, znajdowali się znakomici łucznicy. Heroldzi wybrali miejsce położone nieco na zachód, na północnym brzegu Jeziora Dierne, przy kamienistej plaży. Nieopodal stał wielki kamienny łuk, a dalej na południowym zachodzie nad lasem widniały niczym złudzenie wieże Miraval.

W tym towarzystwie, obok pokrytego grzywaczami jeziora rozległ się lodowaty głos Signe de Barbentain.

- Sądziłam, że od czasu śmierci twego ojca Gorhaut nieco podupadł - rzekła, patrząc na barczystą postać Ademara. - Dopiero bardzo niedawno uświadomiłam sobie, jak wielki był to upadek. Mężczyzna na tej platformie cieszył się szacunkiem we wszystkich krajach świata. Nie wstyd ci przed Corannosem za ten ohydny uczynek?

- Imię boga jest w twoich ustach bluźnierstwem - odezwał się szybko Galbert de Garsenc, zanim Ademar zdążył odpowiedzieć.

Król rzucił mu ostre spojrzenie.

- Czy twój król nie może samodzielnie udzielić odpowiedzi chociaż na kilka pytań? - zapytała Signe ze zwodniczą łagodnością.

Lisseut zobaczyła, że Ademar się zaczerwienił. Zanim odpowiedział, spojrzął na Rosalę de Garsenc.

- Został schwytany jako szpieg. - Głos miał nieoczekiwanie łagodny, lecz opanowany. - Zostałby osądzony i stracony jako taki, podobnie jak ten jasnowłosy, lecz popełnił błąd. - Ademar zwrócił się do Bertrana de Talair. - Niemądrze postanowił zaśpiewać kilka linijek z pieśni, którą ty napisałeś, panie. Niewłaściwe linijki, niewłaściwa pieśń. A ten drugi postanowił się roześmiać. Można by powiedzieć, że to ty jesteś odpowiedzialny za to, co się z nimi stało. - Po raz pierwszy się uśmiechnął.

Lisseut na ten widok zadrżała. Zobaczyła, że Rosala de Garsenc się odwraca. Lecz wtedy, mimo strachu, a może z jego powodu i może dlatego, że nie było jasne, co się wydarzyło, odważyła się przemówić, nawet w tym towarzystwie, ze względu na dwóch zabitych mężczyzn, których kochała.

- Zaśpiewał dla ciebie? - odezwała się do króla Gorhaut. - W najmniejszym stopniu nie zasługiwałeś na ten zaszczyt. Czy przypadkiem to były te słowa? „Jakiż człowiek, którego ojciec ledwie co padł, ruchem pióra niweczy długie marzenie o chwale?”. - Poczula, że ogarnia ją taki gniew, jakiego jeszcze nie zaznała. Dodała, niemal wywarkując słowa: - A może zadał to inne, oczywiste pytanie z tej samej pieśni: „Gdzie zniknęło męstwo Gorhaut...?”. No właśnie, gdzie? Na całym świecie ludzie zadają sobie to samo pytanie o naród, który pali bezbronne kobiety.

Wypowiedziała te słowa z całą żarliwością swego serca.

I spotkała się z brutalnym śmiechem.

- Mógłbym sądzić, że pytanie o utracone męstwo może raczej dotyczyć tego na platformie. - Rozbawienie króla Ademara przygasło, spojrzenie małych jasnych oczu utkwił w oczach Lisseut. - Lecz skoro już postanowiłaś podnieść tę kwestię, postaram się zapamiętać twoją nijaką twarz i osobiście dać ci odpowiedź na to pytanie, kiedy jutro skończymy robić to, po co przybyliśmy.

- Twój ojciec - odezwał się cicho Bertran de Talair - nigdy się nie przechwalał. To o nim pamiętam.

- Ach - rzekł Ademar, odwracając się szybko do niego. - To się sprowadza do ojców, prawda? - Spojrzał znacząco ku odległym wieżom Miraval. - Powiedziano mi, że równie dużo ma to wspólnego z synem z nieprawego łoża i lubieżną kobietą, rozkładającą szeroko nogi przed każdym mężczyzną oprócz swego męża. Jaka szkoda, że nie ma tutaj tego rogatego księcia Miraval, by mógł ci służyć swą światłą radą. I bardzo też szkoda - dodał, odwracając się od pobladłego Bertrana - że musiałaś znaleźć tak wątplych sprzymierzeńców z północy do zapelnienia swych żalonych szeregów.

Lisseut już od pewnego czasu się zastanawiała, kiedy Ademar dojdzie do Blaise'a.

Podczas następnych kilku chwil została zmuszona do stwierdzenia, że jednak nie zamieniła tęsknoty na akceptację. Wtedy opuścił ją obraz kamienia pogrążającego się w ciszy w ciemne wody i nigdy już nie wrócił.

Blaise, mimo twardego spojrzenia Ademara, zupełnie nie zwracał na niego uwagi, jakby król Gorhaut był jakimś pomniejszym szlachcicem, niegodnym zainteresowania. Wzrok utkwił w twarzy ojca i Lisseut z przerażeniem patrzyła na złowrogą minę, z jaką Galbert de Garsenc w niebieskiej szacie duchownego spogląda na swego młodszego syna. Do tej pory sądziła naiwnie, że podróże nauczyły ją czegoś o świecie. Widząc teraz tę wymianę spojrzeń, uświadomiła sobie, że nic nie wie. Zrozumiała też w tym momencie, że tak naprawdę wszystko to sprowadza się do nich dwóch.

- W Księgach Othaira - rzekł cicho Blaise - które są najświętszymi pismami Corannosa, jest powiedziane, że ziemia Gorhaut dźwiga boże brzemień przyniesienia światu sprawiedliwości. Księgi te uczą, że Corannos nałożył na nas święty obowiązek chronienia bezbronnych i prześladowanych na wszystkich ziemiach, które przemierzamy, w zamian za co otrzymamy jego wielką łaskę i obietnicę znalezienia u niego wiecznego schronienia po śmierci.

Zamilkł, i w tym milczeniu kryło się oskarżenie.

- Śmiesz mi mówić o naukach boga? - rzekł Galbert, a w jego głębokim głosie brzmiało szczere niedowierzenie.

Za jego plecami Lisseut dostrzegła kogoś, kto, sądząc z wyglądu, musiał być drugim synem Galberta. Siedział na pięknym koniu wśród kilku osób towarzyszących najwyższemu kapłanowi i królowi. Na jego pełnej napięcia twarzy gorzkie rozbawienie walczyło o lepsze z bólem. Lisseut zerknęła odruchowo na Rosalę. Ta patrzyła na męża. Śpiewaczka pomyślała, że widzi tu pokłady rozpacz.

Blaise najwyraźniej nie zwrócił uwagi na pytanie ojca. Mówił dalej, jakby nikt się nie odezwał.

- W świetle tych nauk w takim samym stopniu zdradziłeś Corannosa, w jakim ten fałszywie namaszczony król zdradził swój lud. Ponieważ jesteś moim ojcem, a bóg uczy nas szanować dziecięcych rodziców, to kiedy wrócimy do Gorhaut, nie zostaniesz stracony, lecz pozbawiony swego urzędu.

- Jesteś szalony - rzekł beznamyślnie lekceważącym tonem król Ademar.

Blaise zwrócił się do niego dopiero wtedy.

- Jestem wściekły. - W jego głosie po raz pierwszy dał się słyszeć gniew, pierwszy wybuch ognia. - Jestem przepełniony wstrętem. Nie podoba mi się to, w jaki sposób

pozwoleń wykorzystać siebie i swój kraj. Jaki król pozwala, by haniebna obsesja jego doradcy zawiodła go tak daleko na ścieżkę bezbożności i zdrady?

- Fałszywy król - odezwał się Fulk de Savaric, a jego głos zabrzmiał wyraźnie jak uderzenie dzwonu. - Niegodny swej korony.

- Albo swego życia - powiedział cicho Bertran de Talair.

- Albo pamięci po śmierci, którą już mu szykuje Rian - dodała hrabina Arbonne i ze wszystkich głosów jej był najbardziej ponury, jakby naprawdę przemawiała w imieniu mocy spoza świata.

Po raz pierwszy król Gorhaut, który wodził po nich kolejno wzrokiem, sprawiał wrażenie wstrząśniętego. Co było zatem do przewidzenia, jego doradca gładko wypełnił ciszę.

- To są ostatnie wojownicze pozy skazanych na zagładę - rzekł Galbert głębokim, rozkazującym głosem. - Mamy struchleć, słysząc to mamrotanie? To raczej wy wszyscy powinniście teraz paść na kolana i błagać o łaskę łagodnej śmierci.

- Chciałbyś, żeby do tego doszło, prawda? - zapytała Ariane de Carenu, podjeżdżając nieco do przodu. Uśmiechała się, lecz nie oczyma. - Widzę, że chciałbyś, by uklęknęły przed tobą kobiety Arbonne. Naprawdę to widzę. Nic dziwnego, że twoja synowa przed tobą uciekła. Co Corannos mówi o takich pragnieniach, Galbercie de Garsenc?

- Są odrażające - rzekł cicho Blaise. - Trzeba za nie odpokutować. - Wyraźnie pobladł.

- To się stało męczące - oznajmił król Gorhaut, odzyskawszy panowanie nad sobą. - Jestem tu tylko dlatego, że protokół wojenny wymusza to spotkanie heroldów. Wysłuchajcie mnie zatem: przybyliśmy na południe, ponieważ hrabina Arbonne udzieliła schronienia i pomocy kobiecie z Gorhaut i odmówiła przekazania jej nam. Wszystko inne, jak mówi najwyższy kapłan, to poza. Nie mam już do tego cierpliwości. Przygotujcie się na jutrzejszą śmierć.

- A jeśli wrócę? - odezwała się nagle Rosala. - Czy poprowadzisz swoją armię do domu, jeśli wrócę na północ?

Galbert de Garsenc roześmiał się chrapliwie. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz król powstrzymał go gestem uniesionej dłoni.

- To bardzo spóźniona decyzja - rzekł miękko Ademar. - Teraz trzeba dać nauczkę tym, którzy nie spełnili naszych jakże słusznych żądań. Miło mi, że chcesz wrócić, lecz w tej chwili to nie ma znaczenia. Nie ma tu ani nigdzie na świecie żadnej siły, Rosalo, która może mnie teraz powstrzymać przed sprowadzeniem cię z powrotem do Cortil.

- Z dzieckiem - dodał pośpiesznie Galbert.

Król nie zwrócił nań uwagi.

- Do Cortil, panie? - zapytała Rosala, podnosząc głos. - Tak otwarcie teraz o tym mówisz? Nie chcesz powiedzieć, że powrotem do Garsenc i mego męża?

W ciszy, która nastąpiła po tych słowach, Lisseut pojęła, że w jakiś sposób, który nie całkiem rozumiała, król Gorhaut właśnie popełnił błąd.

\*\*\*

Daleko na południu, na leżącej na morzu Wyspie Rian, gdzie tego dnia nie wiał wiatr, a błękitne wody falowały spokojnie pod bladym zimowym słońcem, Beatritz de Barbentain, najwyższa kapłanka Rian, wstała nagle sprzed ognia, w który wpatrywała się ślepo przez większość dnia.

- Coś się właśnie stało - powiedziała na głos, chociaż w jej pokoju nie było nikogo prócz białej sowy, siedzącej na jej ramieniu. - Coś, co może mieć znaczenie. Och, słodka Rian, wspomnij nas, zlituj się nad swymi dziećmi.

A potem zamilkła, czekając, sięgając w otaczających ją ciemnościach po tę ulotną, niedającą się wymusić wizję bogini, która mogłaby jej pomóc choć częściowo poznać, co się teraz działo tak daleko w miejscu nawiedzanym przez wiatr.

\*\*\*

I w tej właśnie chwili, nad jeziorem, w miejscu spotkania wrogów, ktoś odezwał się po raz pierwszy.

- Obawiam się - rzekł Ranald, ksiązę Garsenc, wjeżdżając na otwartą przestrzeń między dwiema grupami - że zostało to powiedziane raczej zbyt otwarcie jak na mój gust oraz honor mojej rodziny.

Wbił wzrok w króla Gorhaut. Nie użył żadnego tytułu.

Nikt nie odpowiedział. Nikt się nie poruszył. Potem Lisseut się wydawało, że po słowach księcia wszyscy po prostu zastygli ze zdumienia. Ranald de Garsenc, jedyna poruszająca się postać w nieruchomym świecie, odwrócił się do żony. Teraz wyglądał na zdumiewająco rozluźnionego, jakby to działanie czy decyzja, ten ruch, od czegoś go uwolniły.

- Wybacz mi, pani - rzekł - ale muszę cię o to zapytać, a przyjmę prawdę twoich słów: czy król Gorhaut jest twoim kochankiem?

Lisseut uwiadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Kątem oka dostrzegła, że Blaise zbladł jak kreda. Rosala de Garsenc siedziała jednak swobodnie na koniu i wyglądała na niemal tak spokojną, jak jej mąż.

- Nie, panie - rzekła tak samo wyraźnie, jak poprzednio - chociaż od pewnego czasu

usiłuje nim zostać. Zwlekał tylko dlatego, że byłam w ciąży. Przykro mi to mówić, lecz dla jakichś swoich celów nakłaniał go do tego twój ojciec. Chcę ci jednak przysiąc na życie mojego dziecka, że nie ległam z Ademarem i że umrę, nim zrobię to dobrowolnie.

- Dlatego odeszłaś? - W głosie Ranalda pojawiła się inna nuta.

Lisseut nagle zapragnęła znaleźć się gdzie indziej. Nikt z nas nie ma prawa tego słuchać, pomyślała.

Lecz Rosala uniosła wysoko głowę i powiedziała:

- Zaiste, dlatego odeszłam, panie. Bałam się, że nie będziesz mógł albo nie zechcesz ochronić nas przed swoim ojcem i swoim królem, jeden bowiem, jak wiesz, zażądał dziecka, które nosiłam, a drugi pragnął mnie.

Ranald powoli kiwał głową, jakby te słowa coś mu przypominały.

- Ranaldzie, na imię boga, nie przynoś mi wstydu - zaczął Galbert de Garsenc. Jego piękny głos zaczął brzmieć nieco chrapliwie. - Nie pozwól, by ta zdeprawowana, godna pogardy kobieta dawała wyraz takim...

- Zamilcz - rzekł bez ogródek książę Garsenc. - Potem się zastanowię, co zrobić z tobą. - Ton jego głosu był szokująco ostry.

- Po czym? - zapytał Ademar z Gorhaut.

Sam trzymał wysoko uniesioną głowę i wspaniale się prezentował w siodle. Oczy mu błyszczały. On zna odpowiedź na to pytanie, pomyślała Lisseut.

- Po tym, jak się publicznie z tobą rozprawię za hańbę, jaką chciałeś ściągnąć na mój ród. Żadnemu królowi Gorhaut nigdy nie było wolno dokonywać zniszczeń wedle swej woli wśród wysoko postawionych panów naszej ziemi. Nie zamierzam pozwolić, byś został pierwszym takim królem. Żona księcia de Garsenc to nie świecidełko do zabawy, bez względu na to, jak ślepy może być ten książę. - Przerwał na chwilę. - To oficjalne wyzwanie, Ademarze. Będziesz walczył ze mną osobiście czy wskażesz obrońcę, za którym się schowasz?

- Oszalałeś?! - zawołał Galbert de Garsenc.

- Już drugi raz to pytanie pada pod adresem któregoś z twoich synów - stwierdził z powagą Ranald. - Właściwie sędzę, że nie dotyczy żadnego z nas. - Zwrócił się do Rosali: - Można mnie słusznie oskarżać o inne rzeczy. Mam nadzieję, że potem będę miał okazję zająć się tymi oskarżeniami.

Popatrzyła mu w oczy, lecz nic nie powiedziała, surowa i dumna, pomyślała Lisseut, jak jakaś jasnowłosa bogini północy. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że to jednak czysta fantazja: na północy nie dopuszczano do istnienia bogiń.



Ranald odwrócił się z powrotem do Ademara. Wszyscy się odwrócili do Ademara. Król Gorhaut już ochłonął z pierwszego zaskoczenia i się uśmiechał; co prawda tylko ustami, ponieważ spojrzenie miał twarde jak kamień.

- Znajdujemy się w obcym kraju i prowadzimy wojnę - rzekł. - Ty jesteś dowódcą mojej armii. Proponujesz, byśmy walczyli ze sobą, ponieważ twoja żona, której ucieczka z twego domu jest powodem naszej tu bytności, twierdzi, że jej pragnąłem. Czy tak mam to rozumieć, panie na Garsenc?

Sformułowane w ten sposób stwierdzenie brzmiało absurdalnie, wręcz szaleńczo, lecz Ranald de Garsenc się nie wycofał. On też się teraz uśmiechał; był drobniejszy od króla, lecz na koniu siedział z równą swobodą.

- Być może tego nie pamiętasz - powiedział - ale byłem z moim ojcem w tamtej komnacie w Cortil, kiedy wszedłeś i zażądałeś sprowadzenia Rosali z powrotem. Sprowadzenia jej do ciebie.

Wyraz twarzy króla się zmienił. Na chwilę oderwał wzrok od oczu Ranalda.

- To wyzwanie powinienem ci rzucić wtedy, Ademarze - ciągnął książkę. - Posłużyłeś się ucieczką Rosali ode mnie jako pretekstem do wojny. Oczywiście był to pomysł mego ojca. Ty nie jesteś ani trochę tak sprytny. Chyba ośmielę się powiedzieć, że ona nie uciekła ode mnie, Ademarze. Opuściła swego męża i naraziła nasze dziecko na straszliwe niebezpieczeństwo przez ciebie i mego ojca. Chyba po raz pierwszy od bardzo wielu lat widzę wszystko jasno i wyraźnie. Jeśli został ci jeszcze jakiś honor czy odwaga, doładź miecza.

- Każę cię aresztować i przed spaleniem wykastrować - warknął Galbert de Garsenc, wyciągając w stronę starszego syna palec okrytej rękawicą dłoni.

Ranald się roześmiał.

- Kolejny stos? Rób, co chcesz - powiedział. - Król mógłby się ucieszyć z takiej ochrony. Ja już jednak nie będę rozmawiał ze stręczycielami - dodał, wciąż z nienaturalnym spokojem. Nawet nie zadał sobie trudu, by oderwać wzrok od Ademara, do którego rzekł: - Chętnie rzucano tu oskarżeniami o zdradę. Oskarżano mego brata, on oskarżał mego ojca i ciebie. Dla mnie to wszystko gra słów. Wolę nazwać cię tym, kim jesteś, Ademarze: naiwniakiem i tchórzem kryjącym się za swoim doradcą, niechętnym do walki na miecze w kwestii honoru.

- Ranaldzie - rzekł niemal łagodnie Ademar - Ranaldzie, Ranaldzie, wiesz, że mogę cię zabić. Od dziesięciu lat tylko pijesz, to dlatego twoja żona uciekła na południe. Wątpię, czy kiedykolwiek w ciągu tych lat zadowoliliś ją w nocy. Nie oszukuj się, idąc do boga.

- Rozumiem, że to oznacza, że będziesz walczył.

- Nic podobnego! - warknął Galbert.

- Owszem, będę walczył - rzekł w tym samym momencie Ademar. - Synowie mojego najwyższego kapłana stali się w końcu nieznośnie męczący. Chcę z nimi skończyć.

I król Gorhaut dobył miecza.

Przez armie zgromadzone na północ od nich przebiegł pomruk, światło bowiem było niezwykle jasne i wszyscy widzieli błysk klingi. A potem do pomruku wkradł się nieco wyższy ton zaskoczenia, bo Ranald de Garsenc dobył w odpowiedzi swego miecza i odjechał nieco od zgromadzonych nad jeziorem. Ademar pojechał za nim. Kiedy opuszczał zasłonę hełmu, zobaczyli, że się uśmiecha. Niedaleko na zachód od nich lśniły miodową barwą kamienie Łuku Starożytnych.

- No? - mruknął półgłosem Bertran.

- Dziesięć lat temu walka mogłaby być równa - odparł cicho Fulk de Savaric. - Przykro mi mówić, że teraz już taka nie będzie.

Blaise milczał, chociaż musiał to usłyszeć. Patrzył na brata z bolesnym wyrazem oczu. Rosala też patrzyła, lecz z jej twarzy nie można było nic wyczytać. Lisseut zauważyła, że Ranald nie zadał sobie trudu opuszczenia zasłony.

- Wiecie, że to nie sprawi żadnej różnicy - powiedział Galbert de Garsenc z powagą do Arbonian. - Nawet jeśli Ademar zginie, jutro was zniszczymy. A on nie zginie. Ranald cały dzień pił. Inaczej nigdy by tego nie zrobił. Spójrzcie na jego twarz. Zaraz trafi pod osąd boga, pijany i skompromitowany.

- Raczej odkupiony - rzekł głuchym głosem Blaise.

Nie spuszczał z oczu przeciwników krążących wokół siebie na drodze obok plaży.

I to, co ujrzeli, kiedy długie, jasne miecze zetknęły się po raz pierwszy delikatnie, a potem już z wielką, wyginającą nadgarstki siłą, rzeczywiście było swego rodzaju odkupieniem. Tu naprawdę jest obecna łaska, pomyślała nagle Lisseut, jednocześnie opierając się tej myśli. Nigdy przedtem nie widziała Ranalda de Garsenc, więc również nigdy go nie widziała w walce. Ktoś jej kiedyś powiedział, że był obrońcą króla Gorhaut, ojca Ademara. To było dawno temu.

Przez chwilę wydawało się, że jednak nie tak dawno temu, kiedy obrócił konia w miejscu samymi tylko łydkami i dosiadem i trafił Ademara w bok mocnym, szybkim ciosem z góry. Klinga odbiła się od krzywizny zbroi, lecz król Gorhaut zachwiał się w siodle i od strony armii dobiegł kolejny pomruk. Lisseut nie mogła się powstrzymać, by nie zerknąć na Blaise'a, ale zaraz się odwróciła od tego, co ujrzała w jego twarzy, i skupiła się na walczących na drodze.

\*\*\*

Blaise nawet nie widział, gdzie padł pierwszy cios Ranalda. Kiedy walka się zaczęła, zamknął oczy. Usłyszał jednak brzęknięcie miecza o zbroję i podniósł wzrok na czas, by zobaczyć, jak Ademar chwieje się w siodle, a potem prostuje i tnie na odlew. Ranald sparował uderzenie, przekręciwszy rękę, w której trzymał miecz, i odsunął konia, zanim Ademar zdążył ponowić cięcie z drugiej strony.

To ten ruch jeźdźca, instynktowny, niemal podświadomy efekt życia spędzonego w siodle z mieczem w ręku, porwał Blaise'a w czasowy wir i przeniósł do dzieciństwa i pierwszych potajemnych lekcji, które dawał mu brat, kiedy Galbert zakazał Blaise'owi dotykać miecza. Kiedy oszustwo wykryto, obaj chłopcy zostali wychłostani, chociaż o ukaraniu brata Blaise dowiedział się dużo później, i to tylko dlatego, że mówił o tym jeden z coranów. Ranald nigdy nie pisał słowa. Ale więcej lekcji już nie było. Galbert dopiął swego. Niemal zawsze mu się to udawało.

Wtedy Blaise zerknął na ojca, na jego gładkie, władcze rysy - już nie marszczył z troską czoła; uśmiechał się z zadowoleniem, zaciskając usta w dobrze znanym synowi grymasie. A dlaczego nie miałby się uśmiechać? Czasy bojowej świetności Ranalda minęły przed dziesięciu laty, a Ademar był prawdopodobnie najsilniejszym wojownikiem w Gorhaut. Wynik walki był przesądzony w chwili rzucenia wyzwania, a Galbertowi, co Blaise zrozumiał w tym momencie, w ogóle nie zależało na życiu syna. Jego śmierć nawet uprościłaby sytuację. Niemal przestał mieć dla najwyższego kapłana znaczenie, chyba że w takich okolicznościach, kiedy stawał się uciążliwy, a nawet groźny dla władzy, jaką miał Galbert nad królem.

W gruncie rzeczy, jeśli opowieść Rosali była prawdziwa - a oczywiście musiała być prawdziwa - to wyglądało na to, że dla Galberta przestały się liczyć honor i godność rodu Garsenc. Wydawało się, że dla najwyższego kapłana są ważne tylko jego panowanie nad Ademarem i palenie ludzi w Arbonne, na które to panowanie mu pozwalało. Dojrzały owoc długich marzeń. To się liczyło, i jeszcze jedno: Cadar. Wnuk także stanowił część ułożonych na zimno planów Galberta, zmierzających do przejęcia władzy w Gorhaut i unicestwienia Arbonne.

Nie może go dostać, pomyślał Blaise.

Zadał sobie pytanie - ta straszna myśl bolała niczym uderzenie włóczni - czy Rosala wydała rozkaz zabicia dziecka, gdyby przegrali tę bitwę. Uświadomił sobie, że to prawdopodobne, a właściwie niemal pewne.

Wydawało się, że rozpacz i ból osaczają go ze wszystkich stron; przeniósł wzrok z ojca na brata i teraz widział Ranalda jakoś inaczej, jakby z odległości, jakby już cofał się w przeszłość, we mgłę, w ten dzień w Arbonne jasny od światła.

Ranald de Garsenc także myśli o przeszłości, pozwalając, by jego ciało odruchowo reagowało na przebieg walki. Przez chwilę, kiedy zaczynają się przytłaczające, znajome pierwsze kroki tańca, czuje się dobrze, a nawet, zupełnie nieoczekiwanie, jest niemal zadowolony. Przyjmując serię ciosów na tarczę i miecz i samemu uderzając w odpowiedzi, wie, że nie da się tego przedłużyć. Nie jest aż tak dużo starszy od króla, lecz jego najlepsze lata minęły, a Ademar, silny jak drzewo, jest w kwiecie wieku.

Jakby dla podkreślenia tego, o czym obaj wiedzą, dzięki samej sile króla jego klinga przebija się przez spóźnioną próbę jej odbicia i miecz uderza w lekką zbroję Ranalda. W siodle zawsze wolał być lżejszy, polegając na swej szybkości. Teraz, krzywiąc się na ostry ból w żebrach i wycofując konia z zasięgu Ademara, uświadamia sobie, że większa część tej szybkości zniknęła.

Dziesięć lat temu, myśli Ranald, chociaż bez goryczy, już bym go powalił na ziemię. Nie ma w tej myśli żadnej fałszywej dumy - przed dziesięciu laty król Duergar mianował go swoim nadwornym obrońcą i przez dwa pełne lata, walcząc w imieniu króla, Ranald nie przegrał ani jednego pojedynku od Götzlandu po południową Portezzę i arimondański dwór. A potem, pewnej nocy w środku zimy, zmarł Ereibert de Garsenc i po obowiązkowym czuwaniu w kaplicy Corannosa przy zapalonych świecach Ranald został księciem. Turnieje, uczy i opiewanie jego męstwa przez kobiety i mężczyzn ustąpiły zarządzaniu posiadłości w Garsenc oraz nieuniknionemu, ograniczającemu zagłębieniu się w plany ojca. Oczywiście nie jako powiernik - Galbert w takim samym stopniu ufał Ranaldowi, w jakim jego syn dzielił się z nim myślami. Ranald, jako księżę Garsenc, stał się narzędziem w intrygach Galberta, niczym więcej, a czasami nawet mniej niż narzędziem. To było dawno temu. Wtedy po raz pierwszy zaczęły przynosić mu pociechę piwo i wino, drogi do zapomnienia.

Lecz jego umysł nie zatrzymuje się na dłużej wśród tych wspomnień. Parując kolejną serię ciosów, czując, jak siła królewskiego ataku niemal obezwładnia mu rękę i ramię, cofa się myślami jeszcze dalej, właściwie bardzo daleko.

W przeciwieństwie do Blaise'a, który nigdy jej nie widział, Ranald pamięta swoją matkę.

Właściwie są to dwa czy trzy obrazy, chociaż kiedy po raz pierwszy wspomniął o nich jako dziecko, jego nauczyciel powiedział mu surowo, że są to fałszywe wspomnienia, fantazje niegodne przyszłego wojownika. Kiedy umarła matka, Ranald miał dwa lata. Nauczyciel orzekł, że chłopcy w tym wieku nic nie pamiętają. Kiedy niedługo potem Ranald próbował

wpytać ojca o powracające wspomnienie rudowłosej kobiety śpiewającej mu przy świecy, Galbert stanowczo mu zakazał, pod karą chłosty, kiedykolwiek do tego wracać. Ranald miał sześć lat. Wtedy po raz ostatni próbował wyznać ojcu coś ważnego. Albo, uświadamia sobie raptownie, komukolwiek innemu.

Przez te wszystkie lata towarzyszyło mu wspomnienie tej rudowłosej kobiety, chociaż nigdy już o nim nie mówił. Po raz pierwszy przychodzi mu do głowy myśl, że mógłby o nim wspomnieć Rosali. Byłoby to coś, co by z nią dzielił. Kieruje koniem szybkim naciskiem lewej łydki i ze stęknieniem pochylając się pod zamaszystym ciosem z boku, sam mocno uderza na odlew w zbroję Ademara. Widzi, że król ma skłonność do takich płaskich, bocznych ciosów - część jego umysłu wciąż zauważa takie rzeczy, jakby to mógł do czegoś wykorzystać. Powinienem był jej powiedzieć, myśli Ranald. Rosala może chciałaby wysłuchać takiego wspomnienia, w każdym razie na początku. Był mniej pewny jej zainteresowania w późniejszej części ich pożycia, ale temu zawinił już sam.

Tak jak sam zawinił temu, że zaczyna mu teraz brakować tchu. Odczuwa skutki porannego piwa jako ociążałość kończyn, dodatkowe drgnienie czasu między świadomością zagrożenia czy możliwości i powolną reakcją swego ciała. Wie, że będzie jeszcze gorzej. Ademar nawet jeszcze nie dyszy, a Ranald ma ponurą świadomość, że jego własna tarcza i zbroja są już powgniatane przez miecz króla. Obawia się, że może mieć połamane żebra z lewej strony; trudno mu robić coś więcej niż parować ciosy.

Ademar chyba o tym wie.

- Mógłbym się niemal nad tobą zlitować, gdybyś nie był taki głupi. - Król Gorhaut mówi cicho, żeby go nie słyszał nikt inny, przez opuszczoną czarną zasłonę przyłbicy, z pogardą dając Ranaldowi chwilę wytchnienia. - Jutro będzie moja, chcę, byś o tym pomyślał. Mam nadzieję, że będziesz o tym myśleć w chwili, kiedy cię zabiję. Jak sądzisz, czy jutro wieczorem, kiedy rozpuści włosy i weźmie do ust moją męskość tak, jak ją tego nauczę, będzie oplakiwać biednego, nieszczęsnego, pijanego mężczyznę, który kiedyś leżał obok niej?

Ranald chciałby odpowiedzieć, ale brak mu tchu, by marnować go na szyderstwa, i właściwie nie wie, co miałby powiedzieć. Żebra już go bardzo boją; każdy oddech to nóż wbijany w jego bok. Podejrzewa jednak, że król się myli. Jest przekonany, że Rosala powiedziała prawdę, oświadczając, że pierwiej umrze, nim zlegnie z Ademarem. Ta myśl raptem mu coś uświadamia: jeśli król go zabije, tym samym niemal na pewno zabije Rosalę. I - druga nowa myśl niczym ukąszenie zimnego wiatru - tym pewniej zabije dziecko. Syna, którego on nigdy nie widział.

Wszystko, co o mnie mówi, jest prawdą, myśli Ranald de Garsenc, i teraz do jego umysłu

wkrada się gorycz. Zmarnowałem życie.

Pamięta - a z tym wspomnieniem wiąże się teraz także smutek - swojego brata Blaise'a we mgle na moście zwodzonym Garsenc: „Nie musisz za nim iść, Ranaldzie. Masz pierwszy wolny wybór od bardzo długiego czasu”. Odpowiedział ostro, niemal dusząc się z wściekłości i konsternacji. Corannos jeden wie, ile w nim było gniewu tamtej nocy. Co prawda źle ukierunkowanego; chyba przez całe życie skręcał w złą stronę.

„Kiedyś poszedłbym za tobą na koniec świata”, powiedział wtedy Blaise. Nie wiedziałem, myśli Ranald, nie spuszczać czujnego wzroku z króla Gorhaut. Blaise też tu jest, patrzy na niego, zgłosił roszczenia do korony, przeciwstawił się ich ojcu - nawet wziął na świadka Corannosa. Kroczy ścieżką honoru, która mogłaby uczynić człowieka dumnym, nawet brata.

Ademar unosi miecz i kieruje go w przód niczym kat. Ranald wie, że teraz odgrywa przedstawienie przed armiami. Słyszy je, nieustanny pomruk głosów z północy, przerywany nagłymi, ostrymi okrzykami. Zaraz znów się zaczniesz. I skończy, myśli Ranald de Garsenc. Przez moment patrzy na jasne słońce, świecące nad polami i lasami Arbonne.

Naprawdę się nie boi, przepęlnia go tylko smutek i żal, ale myśli, że jest już za późno. Nigdy nie byłoby dość czasu, by naprawić tak wiele błędów i słabości. Myśli o rudowłosej kobiecie śpiewającej mu kołysankę. Zadaje sobie pytanie, czy na niego czeka, czy bóg mógłby obdarzyć taką łaską człowieka, jakim on był. Znów myśli o bracie, a potem, na końcu, o żonie i dziecku, którym pozwolił się wymknąć. O Cadarze. To mocne imię, cieszące się w świecie szacunkiem. O wiele lepsze niż pamięć jego imienia, myśli Ranald, i to boli go najbardziej ze wszystkiego. A także daje siłę do ostatniego gestu, próby zadośćuczynienia.

Nie zważając na ból w boku, Ranald unosi miecz nad głowę teatralnym, zwracającym uwagę ruchem. Ademar się waha.

Ranald nabiera wtedy cennego powietrza i najgłośniejszy, jak potrafi, krzyczy przez otwartą zasłonę hełmu, mając nadzieję, że armie go słyszą:

- Przed naszym najświętszym bogiem nazywam cię fałszywym królem, Ademarze, i dobywam przeciwko tobie miecza w imię Gorhaut. - Słyszy, że na północy podnosi się nowy dźwięk i poznaje, że jego słowa zostały usłyszane. Przerywa, nabiera tchu i znów mówi, tym razem do corana ze swojej grupy, jednego ze swoich ludzi, a raczej wydaje mu chrapliwy rozkaz: - Bergenie, wracaj do armii. Oto moje rozkazy i powierzam ci ich wykonanie: coranom z Garsenc nie wolno walczyć dla tego człowieka. - Przerywa i wreszcie to wypowiada: - Teraz słuchajcie mego brata.

Zrobił to, powiedział, i właściwie nie było to takie trudne, jak mógłby się spodziewać.

Odrywa wzrok od króla, by spojrzeć w oczy dowódcy swoich coranów. Widzi, że Bergen się waha, a potem nerwowo kiwa głową, zaskoczony i przestraszony. Widzi, że daje koniowi ostrogę, by wykonać rozkaz. Wtedy Ranald się odwraca, ponieważ musi stawić czoło atakowi nagle rozwścieczonego króla.

I z prawdziwą nieśmiałością ofiarowuje swoją duszę Corannosowi, po czym, powodowany impulsem, postanawia zrobić jeszcze jedno, bardziej dla zaprawionej kroplą goryczy ironii tej sztuczki niż z jakiegokolwiek innego powodu. Chce im zostawić coś z dzieciństwa. Zadaje sobie pytanie, czy ktoś w ogóle zda sobie sprawę albo rozpozna, co chce zrobić. Blaise mógłby to pamiętać, myśli ze smutkiem, a potem przestaje myśleć, miecz Ademara świszczy i taniec niemal się kończy.

\*

Dla obserwujących tę walkę wydarzenia potoczyły się potem bardzo szybko.

Blaise odwrócił wzrok, kiedy Ranald, wzniosłszy dramatycznym ruchem miecz, zawołał do armii, a potem wydał swe zdumiewające polecenie Bergenowi, długoletniemu dowódcy coranów z Garsenc. Serce mu podskoczyło, kiedy uświadomił sobie, co robi jego brat, i kiedy zobaczył, jak Bergen, bezgranicznie lojalny całe swoje życie, rusza, by wykonać rozkaz.

Bergen z Garsenc został powalony ciosem miecza zadany z tyłu, nim zawrócił konia. Elegancki, poważny Borsiard d'Andoria niedbale wyciągnął ostrze z ciała corana i wszyscy ujrzeli, jak Bergen spada na ziemię. Portezzanin spojrział na Blaise'a i się uśmiechnął.

Wśród armii Gorhaut rozległ się krzyk gniewu i niepokoju. Żołnierze słyszeli słowa Ranalda, a teraz zobaczyli, jak Portezzanin zabija jednego z nich. Niektórzy wojownicy z obu armii zaczęli się do siebie niebezpiecznie zbliżać.

Blaise nie miał czasu zająć się ani tym, ani Borsiardem, bo kiedy jeszcze rozgrywała się przed nim ta scena, zaczęło do niego wracać oderwane wspomnienie z odległego dzieciństwa, z czasów, kiedy się przyglądał, jak jego brat ćwiczy na dziedzińcu z coranami. W tym pretensjonalnym uniesieniu miecza przez Ranalda było coś dziwnego, jakby jakieś celowe echo, gra, kaprys.

I wtedy wspomnienie się wyklarowało i z okrzykiem, który, jak dopiero sobie później uświadomił, był imieniem Ranalda, Blaise się obrócił, by zobaczyć to, co tak czy inaczej miało być zakończeniem.

Oglądał coś takiego tylko jako zabawę wśród przyjaciół, i to przed dwudziestu laty. Uniesiony miecz był zaproszeniem, niemal zbyt oczywistym, mającym zachęcić przeciwnika do bocznego uderzenia na odlew w odsłonięty prawy bok. Kiedy próbowano to robić w

szrankach w Garsenc, następnym posunięciem był niemądry, śmieszny manewr, który zwykle kończył się tym, że obaj przeciwnicy przetaczali się po ziemi, klnąc i się śmiejąc.

Na brzegu Jeziora Dierne nie rozbrzmiał śmiech. Blaise patrzył, jak król Gorhaut, zaślepiony wściekłością na rozkaz Ranalda wydany jego ludziom, nabiera się na ten podstęp. Ademar wyprowadził szaleńczy cios z taką siłą, że gdyby trafił Ranalda, to rozciąłby mu tors mimo kolczugi.

Nie trafił. Ranald de Garsenc położył się płasko na końskiej szyi i opuścił miecz, a klinga Ademara zaświszczała mu nad głową, tnąc tylko powietrze. Niesiony siłą zamachu, król zachwiał się w siodle i częściowo zawrócił konia. Zanim, klnąc, zaczął się prostować, Ranald, jak zwykle w lekkiej zbroi, rzucił się ze swego konia na siodło za królem. Zupełnie jak chłopiec, pomyślał Blaise, jak chłopiec, dla którego to wszystko stanowiło radosne odkrycie, a ból, smutek i starzenie się były zupełnie niezrozumiałymi pojęciami.

Ranaldowiomal się udało. Przerzuciwszy nogę przez koński zad, wylądował zręcznie za Ademarem. Właśnie sięgał do pasa po nóż, którym miał zabić króla, kiedy tuż nad obojczykiem trafił go belt z małej kuszy i zagłębił się w szyję.

Na wpół dobyty sztylet wypadł z rozwartych palców i chwilę później Ranald de Garsenc zsunął się powoli na ziemię, na zimową trawę tuż obok sztyletu. Z szyi tryskała mu krew, jasnoczerwona w blasku słońca.

Ademar z Gorhaut spojrzał nań z góry, z trudem panując nad koniem, a potem przeniósł wzrok na człowieka, który strzelił z małej, ukrytej kuszy.

- Wtrąciłeś się do pojedynku - rzekł król Gorhaut cienkim, pełnym niedowierzania głosem.

Był wyraźnie wstrząśnięty.

- Wolałbyś być teraz martwy? - zapytał Galbert de Garsenc, najwyższy kapłan Gorhaut.

Nie spojrzał na ciało syna. Ademar nic nie powiedział. Na północ od nich rozlegał się coraz głośniejszy gwar.

- Pilnujcie go - rzucił Blaise i zsunął się z konia.

Nie zważając na Ademara, ukląkł przy bracie. Usłyszał za sobą czyjeś kroki, lecz się nie odwrócił. Ranald miał zamknięte oczy; życie się już w nim ledwie tliło. Bardzo ostrożnie Blaise lekko go przesunął, tak by móc ułożyć głowę brata na swych kolanach. Krew z rany zabarwiła ziemię; teraz zaczęła wsiąkać w ubranie księcia.

Z góry i z tyłu dobiegł go głos ojca, mówiącego do króla Gorhaut:

- Nie po to tak bardzo się zbliżyłem do celu, by moje plany miało zniweczyć szaleństwo pijaka albo twoja nieostrożność.



Wtedy Ranald otworzył oczy i Blaise spostrzegł, że brat jest świadom jego obecności. Po jego twarzy przemknął słaby, lecz szczerzy uśmiech.

- Udałoby się - szepnął - choć próbowałem tego tylko dla zabawy.

- Oszczędzaj siły - mruknął Blaise.

Ranald pokręcił głową.

- Nie ma po co - udało mu się powiedzieć. - Czuję truciznę. Na bęlcie jest syvaren.

Oczywiście. Oczywiście, że jest. Tym razem to Blaise zamknął oczy, czując żal i straszliwy, pradawny gniew, który lada chwila mógł nim całkowicie ovladnąć. Rozpaczliwie walczył o zachowanie spokoju i kiedy znów otworzył oczy, zobaczył, że Ranald patrzy na kogoś za jego plecami.

- Nie mam prawa o nic prosić - usłyszał szept brata.

Blaise obejrzał się przez ramię i zobaczył stojącą za sobą wysoką i poważną Rosalę.

- Wiem - zgodziła się cicho, trzymając się, nawet w ostatniej chwili, własnych zasad. - Ale ja mam prawo dać, co chcę. - Zawahała się i Blaise pomyślał, że uklęknie, ale tego nie zrobiła. - Postąpiłaś bardzo dzielnie, Ranaldzie.

Zapadło milczenie. Gdzieś daleko Blaise słyszał odgłosy walki. Wiedział, że powinien się odwrócić i zobaczyć, co się dzieje, lecz nie potrafił.

- Strzeż go, jeśli możesz - odezwał się Ranald. - To znaczy Cadara. - A potem dodał tak cicho, że trudno go było usłyszeć: - To piękne imię.

I w tym momencie, kiedy usłyszał to co niewypowiedziane, kryjące się za tymi słowami utracone całe życie smutku, Blaise'owi wydało się, że poczuł, jak zaczyna mu pękać serce.

Rosala chyba też to usłyszała, bo wtedy jednak uklękła w nasiąkniętej krwią trawie u boku męża. Nie wyciągnęła ręki, by go dotknąć, lecz Blaise usłyszał jej słowa, wypowiedziane tym samym poważnym, spokojnym tonem:

- Teraz Cadar Ranald de Garsenc. Zasłużyłeś na to. Jeśli sprawi ci to radość, panie.

Blaise zobaczył przez łzy, jak jego starszy brat uśmiecha się wtedy po raz ostatni, i dobiegły go ledwie słyszalne słowa:

- Spraw mi to radość, pani.

Ścisnął dłonie Ranalda - nie pamiętał, by je ujmował - i był niemal pewien, że przez moment poczuł, jak silne palce zaciskają się na jego palcach, a potem wiotczeją.

Blaise spojrział na martwego brata, czując, jak owiewa ich zimny wiatr. Po chwili wysunął rękę spod ciała Ranalda i zamknął mu oczy. Widział bardzo wielu nieżywych ludzi. Kiedy wyciekało z nich życie i zaczynali swą drugą podróż do boga, czasami ich twarze stawały się pełne spokoju. Ranald jednak wyglądał tak jak zawsze; może kiedy to był ktoś, kogo się

dobrze znało, trudniej było się doszukać pocieszających złudzeń łaski.

Uświadomił sobie, że właściwie się nie pożegnał. Nic nie powiedział. Tylko „Oszczędzaj siły”. Dość bezmyślne słowa wypowiedziane do człowieka z beltem w szyi i syvarenem krążącym w żyłach. Może dotyk, to że trzymali się za ręce, wystarczył. Musiał wystarczyć; nigdy nie zrobi już nic więcej.

Zmusił się do podniesienia wzroku. Nad nimi siedział na koniu Ademar, wyraźnie wstrząśnięty tym, co zaszło. Blaise się do niego nie odezwał. Obejrzał się przez ramię i spostrzegł, że ojciec wciąż trzyma niewielką, śmiercionośną kuszę. Starodawne zasady obowiązujące podczas takich spotkań, rytuały oraz prawa rokowań i pojedynków nie miały dla Galberta żadnego znaczenia. Blaise zawsze o tym wiedział. Ademar chyba nie.

Król Gorhaut zapewne się zastanawiał, jak ma teraz chodzić z podniesioną głową wśród narodów - nawet wśród własnego ludu - po tak wstydlwym wybawieniu w trakcie oficjalnego pojedynku. Prawdopodobnie byłoby sensowne z niego szydzić, jeszcze bardziej wytrącić go z równowagi, lecz Blaise zupełnie nie miał do tego serca. Właściwie w innym czasie, w innym miejscu, może mogłoby mu się zrobić żal Ademara, który chyba dopiero teraz odkrywał stopień, w jakim nawet on był po prostu kolejnym narzędziem w rękach Galberta de Garsenc.

Znów patrzył na brata, jakby usiłował zapamiętać rysy Ranalda, tak podobne, a jednocześnie niepodobne do jego własnych.

- Lepiej wstań - usłyszał głos Rosali.

Ona już się podniosła. Spojrzał na nią. Nigdy tak bardzo mu nie przypominała jednej z Corannosowych panien z włóczyniami; wyprostowana i dumna, przywodziła na myśl postać z fryzu w kaplicy, a jej twarz wyglądała jak wyrzeźbiona w kamieniu. Spojrzała na niego spokojnie.

- Umarł oplakiwany jak mężczyzna - rzekła Rosala de Savaric de Garsenc. - Chyba zaczęła się bitwa.

Najwyraźniej.

Włożył dłonie pod głowę Ranalda i uniósł ją, by wysunąć spod niej kolana, a potem ułożył brata na trawie. Wstając, spojrział na Ademara i powiedział podniesionym głosem, by nie zagłuszył go coraz większy harmider dobiegający z północy:

- Jako jego brat zgłaszam roszczenia do jego ciała. Czy się im sprzeciwiasz?

Ademar pokręcił głową.

- Wierz mi, nie chcę go.

Blaise skinął głową.

- Doskonale. - Czuł teraz wielki, niemal niesamowity spokój. Ogarniało go coś w rodzaju

odrętwienia. - Poszukam cię o zachodzie słońca, jeśli obaj będziemy żyli.

Ademar zerknął na ciało Ranalda, lecz zaraz spojrzął w oczy Blaise'owi. Cokolwiek można było o nim powiedzieć, nigdy nie był tchórzem.

- Nietrudno będzie mnie znaleźć - rzekł, zawrócił konia i odjechał na północ w stronę pola bitwy.

Dopiero wtedy Blaise odwrócił się do ojca.

Wyglądało na to, że Galbert, który patrzył, jak odjeżdżają pozostali, czeka na niego. Jego gładkie rysy były może lekko zaczerwienione, lecz poza tym spokojne.

- Nie ja cię zabiję - zaczął Blaise, starannie dobierając słowa - nie chcę bowiem, by na mojej duszy pojawiło się piętno ojcobójstwa, jednakże czeka cię podróż do boga - czy rozpocznie się ona dziś, czy wkrótce, czy później - a Corannos będzie wiedział, jak cię osądzić za ten czyn. - Przerwał na chwilę. - Będzie też wiedziała Rian, jak osądzić złamanie zasad rokowań i pojedynku oraz zamordowanie syna.

Galbert zaśmiał się i otworzył usta, by odpowiedzieć.

- Odjedź stąd - odezwał się Bertran de Talair, zanim najwyższy kapłan zdążył coś powiedzieć. - Nigdy nie zabiłem człowieka w obecności heroldów, ale teraz mógłbym to zrobić.

- Co? - zapytał szyderczo Galbert. - I stanąć przed takim samym sądem, jak ja?

Mówiąc to, zawrócił konia i zaczął się oddalać. Najbliższe oddziały obu armii już nacierały na siebie w dolinie leżącej na północ od Talair. Wiatr szarpał sztandarami.

Blaise spojrzął na martwego brata, leżącego na ziemi, a potem na odjeżdżającego na północ ojca, rosłego, ogromnego mężczyznę, a mimo to siedzącego w siodle swobodnie, a nawet z wdziękiem. Oba te obrazy miały w sobie coś głęboko dla niego nierzeczywistego, jakby jego umysł nie chciał przyjąć tego związku. Lecz teraz ludzie już walczyli i Blaise sięgnął ku tej prostej twardej prawdzie, ku tej naglącej potrzebie, jako ścieżce prowadzącej z odrętwienia, które usiłowało nim zawładnąć.

Usłyszał za sobą zgrzytliwy dźwięk i kiedy się odwrócił, ujrzał dwie łodzie wyciągane na kamienistą plażę. Zaczęły do nich wsiadać kobiety. W jednej łodzi Blaise zobaczył wysoką szczupłą młodą kapłankę, którą spotkał nad tym jeziorem, kiedy przybył tu po raz pierwszy. Pamiętał, że wtedy też leżeli na ziemi martwi ludzie. Spojrzała na niego, lecz tylko przelotnie i bez wyrazu, a potem wyciągnęła rękę do hrabiny i pomogła jej wejść do łodzi.

Pozostałe kobiety też szybko wsiadły i łodzie zostały ponownie zepchnięte na wzburzoną wodę. Podniesiono żagle, by mógł je wypełnić północny wiatr. Kiedy Blaise tak na nie patrzył, wahając się na tej kamienistej plaży, zobaczył, że odwraca się do niego Ariane. Jej

ciemne włosy falowały na wietrze. Zanim się odwróciła z powrotem, ich spojrzenia na moment się zetknęły. Chwilę później Blaise ujrzał, jak znajdująca się w drugiej łodzi Lisseut z Vezét, która tego dnia też utraciła ukochanych mężczyzn, także się odwróciła, by na niego spojrzeć. Zaczęła niezdarnie unosić rękę, ale zaraz ją opuściła. Widział, że płacze.

Rosala się nie odwróciła, więc w końcu nie ujrzał jej twarzy. Widział ją tylko od tyłu, jak siedziała z wyprostowanymi plecami obok drobnej, delikatnej hrabiny Arbonne. Łodzie mknęły po wodach Jeziora Dierne ku wyspie, zostawiając za sobą trawiasty teren przy kamieniach północnego brzegu, gdzie leżało ciało jej męża.

Blaise odetchnął powoli, a potem jeszcze raz. Odwrócił się od kobiet na łódkach. Podszedł do niego Bertran de Talair.

- Dobrze się czujesz? - zapytał cicho książe.

Za Bertranem Blaise dostrzegł Fulka de Savaric z tym samym pytaniem w oczach.

W tej chwili do plaży przybiła ze zgrzytem trzecia łódź. Uświadomił sobie, że przyplęnęła po Ranalda. Będzie musiał pozwolić im się nim zająć i zaufać duchowieństwu Rian, że oddadzą honory jego bratu. Nie miał w tej kwestii wyboru, nie miał czasu. Odebrano im czas. Teraz miał do wykonania zadanie gdzie indziej, wśród żywych oraz tych, których miał zamiar zabić.

- Nie ma znaczenia, jak się czuję - odpowiedział, nieco przerażony brzmieniem własnego głosu. - To naprawdę nie ma znaczenia. Chodźmy.

## ROZDZIAŁ 18

Bitwa, która położyła kres Gorhaut i Arbonne takim, jakie znał je świat, rozpoczęła się o dzień za wcześnie. W następstwie przerwanych rokowań nad jeziorem najbliższe oddziały obu armii zwały się ze sobą, a kiedy już do tego doszło, nie mogłaby ich rozdzielić żadna siła, chyba że na niebie pojawiłaby się sama bogini albo bóg. Cała przewaga wynikająca z taktyki i znajomości terenu, jaką mógłby wykorzystać Bertran de Talair, mając czas na przygotowania, została zniweczona w zamęcie spontanicznie rozpoczętej walki, która niemal natychmiast zmieniła się w szaleńczy, rozwrzeszczany chaos.

Uwikłany w walkę toczącą się najbliżej jeziora Blaise wiedział, że podczas takiej bitwy prawie zawsze decyduje liczebność. Mniejsza armia mogła mieć szansę tylko wtedy, gdyby większa była tchórzliwa albo źle dowodzona, albo składała się z najemników, którzy mogliby mieć skłonność do wcześniejszego wycofania się.

W dolinie nad Jeziorem Dierne nie mógł zadziałać żaden z tych czynników. Podczas niemal roku spędzonego na południe od górskich przełęczy Blaise się nauczył, że nie należy lekceważyć mężczyzn Arbonne - a teraz walczyli o swój kraj, i to na własnej ziemi. Za to wojownicy Gorhaut zostali wychowani i wyszkoleni w surowej czystości, zgodnie z zaleceniami której czcili Corannosa od Bitew jako najwyższe wcielenie boga, ściśle wedle tradycji Starożytnych, przybyłych tu, by podbić kraj, i których złowieszczy łuk stał na zachód od tej doliny.

Tak zawsze było wśród narodów północy, w Gorhaut, Valensie i Götzlandzie. Południowe kraje nie charakteryzowały się taką wojenną obsesją, a Arbonne przedkładała nad boga boginię. Wszystko to miało swoje niuanse i subtelności, o których przed rokiem Blaise nie miał pojęcia, lecz w pierwotnym piekle pola bitwy nie było miejsca na subtelności. Liczyła się broń, wyszkolenie i wola ludzi dzierzących ową broń. A także, w ostatecznym rozrachunku, ich liczba po obu stronach.

Tu by trzeba było cudu, pomyślał, zanurzając się w bitwę tego zimowego popołudnia jak człowiek chcący ugasić straszliwe pragnienie. Blaise zawsze wierzył w Corannosa i, o dziwo, zaczynał pojmować zupełnie odmienną moc Rian, lecz nadal nie wierzył w cuda. Znani mu ludzie - a zaliczał do nich i siebie - po prostu nie zasługiwali na taką świętą interwencję. Rąbał i ciął mieczem, będąc śmiertelnym, rozdzielał śmierć, wiedząc, że zabija ludzi, u boku

których walczył przy Moście na Iersen i wiele razy przedtem. Tylko siłą woli powstrzymywał się przed zrozumieniem, co to oznacza, bo wtedy byłby zgubiony.

W omiatanej wiatrem dolinie Arbonne armie dwóch krajów uderzyły na siebie w jasnym świetle zimowego dnia i Blaise wiedział, że on i jego wojsko zostaną odepchnięci przez wroga mającego przewagę liczebną. Do jeziora, na skraj zamkowej fosy, do kresu życia. Odwaga, sprawność i słuszność sprawy czasami nie wystarczają, pomyślał, czując w ustach smak tej prawdy niby truciznę. To Corannos i Rian ukształtowali świat, w którym tak było. Miał świadomość śmierci krążącej w błękitnie nieba, szykującej się do ogarnięcia walczących, do spowicia świata w mroku.

Nagle doznał przeszywającej wizji nocnych ognisk na Wyspie Rian po zniszczeniu ich armii. Ujrzał Signe de Barbentain, drobną, elegancką i dumną, związaną i płonącą na jednym ze stosów jego ojca, z ustami otwartymi w bezdźwięcznym krzyku i siwymi włosami w płomieniach. Wtedy ogarnęła go fala gniewu, wściekłego zaprzeczenia, i odrętwienie, które spadło na niego niczym całun z mgły, kiedy umarł Ranald, w końcu zniknęło.

Blaise rozejrzał się, jakby po raz pierwszy wyraźnie zobaczył pole bitwy; tym samym porzucił wewnętrzną żalność i przyjął czekającą na niego rolę, brzemień przeznaczone mu od chwili, kiedy zgłosił roszczenie do korony.

Dowodził lewą flanką; miał przy sobie Rudela, Fulka i baronów oraz coranów południowej Arbonne, łącznie z Mallinem de Baude. Bertran i Valery utrzymywali środek linii, głównie dzięki ludziom z Talair, a Thierry de Carenu i corani ze wschodu walczyli po prawej stronie. O ile się nie mylił, nadal utrzymywali pozycje na wszystkich frontach. Widział Ademara na czele armii Gorhaut, w gruncie rzeczy niedaleko Bertrana, chociaż dzieliły ich setki żołnierzy. Król miał przy sobie Galberta z czarną maczugą w ręce. Na oczach Blaise'a jego ojciec, ogromny, potężny, przechylił się w siodle i wbił maczugę w czaszkę arbońskiego pikiniera. Żołnierz nie zdążył nawet krzyknąć, nim cios zmiażdżył mu głowę. Padł na ziemię jak worek zboża.

W bitwach ginęli ludzie. W bitwach ginęli ludzie, których znał i kochał. Nie można było dać się przez to osłabić. Utrzymywali się na pozycjach, lecz nie potrwa to już długo. Blaise, ujrawszy nagle jasny obraz, podjął decyzję.

I ta sama szybka trzeźwość umysłu pomogła mu zrozumieć, że to też jest jedna z rzeczy idących w parze z rolą na światowej scenie, jaką zaczął odgrywać: w bitwie wydaje się rozkazy takie jak ten, mogące kształtować przeznaczenie narodów.

To była prawda, to za chwilę miało się stać prawdą. Blaise uświadomił sobie, że będzie musiał przyjąć to brzemień, ponieważ alternatywą było wycofać się w mrok i umrzeć,

zdradzając wszystkich, którzy w niego wierzą. Wtedy dokonał wyboru i przygotował się, by wziąć za ten wybór odpowiedzialność przed bogiem, gdy nadejdzie jego godzina.

Wycofując się pośpiesznie z tłoku panującego w pierwszych szeregach, skierował się do Fulka de Savaric, machając zawzięcie ręką. Fulk go dostrzegł i też się wycofał.

- Nie możemy tego tak dłużej ciągnąć! - zawołał brat Rosali, przekrzykując bitewną wrzawę.

Obok nich upadł żołnierz; wypuścił z ręki miecz i obie ręce zacisnął na strzale tkwiącej w szyi.

- Wiem! Posłuchaj mnie! Wycofaj swoich ludzi i spróbuj oskrzydlenia. Będziemy utrzymywać tę pozycję ze wszystkich sił. Postaraj się dostać za Ademara! Zepchnij go w stronę Bertrana.

- Nie utrzymasz się tu bez nas! - wrzasnął Fulk.

Na twarzy miał krew spływającą na jasną brodę. Blaise nie wiedział, czy to krew Fulka, czy cudza.

- Musisz spróbować! - krzyknął. - Nic innego nie przełamie ich linii, a nie możemy walczyć twarzą w twarz z dwakroć silniejszym wrogiem.

Wtedy przyszło mu do głowy coś jeszcze, więc spojrzał na linię frontu. Zobaczył, że Rudel patrzy na niego wyczekująco. Często walczyli ramię w ramię; właściwie nie była to niespodzianka. Ujrzał, jak przyjaciel unosi brwi, i skinął głową.

- Zrób to! - zawołał Blaise i spostrzegł, że Rudel go zrozumiał; Portezzanin odwrócił się do stojącego obok najemnika i wydał mu krótki rozkaz.

Chwilę później ludzie Fulka wydali dziki, chrapliwy okrzyk, bo nad ich głowami obok chorągwi Arbonne wyrósł trzymany przez tego corana obok Rudela sztandar królów Gorhaut. My dwaj pod tym samym sztandarem, pomyślał Blaise. Czy to będzie miało znaczenie?

Chwilę później zdał sobie sprawę, czując przyśpieszone bicie serca, że może mieć.

- Spójrz! - zawołał Fulk, pokazując ręką.

Blaise już to zauważył.

- Do mnie! - ryknął, ściągając wodze i pędząc w stronę sztandaru wzniesionego przez Rudela. - W imię Gorhaut, do mnie, corani Garsenc!

Wykrzykując te słowa na całe gardło, zobaczył, że corani z jego rodzinnej posiadłości z oddziału za jego ojcem i Ademarem rzeczywiście wycofują się z walki pośrodku linii i zmierzają w jego stronę z mieczami uniesionymi w geście pozdrowienia.

Blaise uświadomił sobie, że ostatnie słowa wykrzywane przez Ranalda zostały jednak usłyszane. Ci ludzie zapewne widzieli, jak jeden z nich, Bergen z Garsenc, został powalony

przez Portezzanina, gdy zamierzał do nich wrócić. I na pewno wśród tych coranów, między którymi dorastał, są tacy, których perspektywa palenia kobiet i okaleczania bezbronnych mężczyzn nie napełniała radością.

Zobaczył, że jego ojciec się odwraca, słysząc zmianę w odgłosach dobiegających z tyłu. Galbert, początkowo wyraźnie zaskoczony tym, co zobaczył, zaczerpnął tchu i nad polem bitwy rozbrzmiał jego wspaniały, donośny głos niczym głos przeznaczenia, głos boga:

- Zatrzymać tych ludzi! Wśród nas są zdrajcy!

Zapanował chaos. Niektórzy corani w szeregach Gorhaut posłusznie się odwrócili i zaczęli siec mieczami tych, którzy jeszcze przed chwilą walczyli u ich boku. Wojownicy Gorhaut, których miał przed sobą Blaise, zwrócili się ku środkowi frontu, chcąc zobaczyć, co się dzieje, i korzystając z ich krótkiego wahania, żołnierze Arbonne przepchnęli się do przodu obok twardych najemników Rudela, walczących teraz pod dziwnym sztandarem królów Gorhaut. Blaise zobaczył, że w powstałą lukę jako pierwszy rzucił się Mallin de Baude.

- Teraz, szybko! - zawołał przez ramię do Fulka. - Mamy szansę!

Fulk de Savaric rzucił rozkazy swoim dowódcom i po kilku chwilach - szybciej niż Blaise mógł mieć nadzieję - żołnierze Savarica cofnęli się i w desperackiej próbie oskrzydlenia wroga zaczęli zataczać krąg ku południowi, w stronę jeziora.

To musiało się potoczyć szybko, uzmysłowił sobie ponuro Blaise, widząc, jak liczba żołnierzy w ich sektorze stopniała niemal o połowę. Rudel obejrzał się na niego, pojął, co się dzieje i, co nieprawdopodobne, pokazał w uśmiechu zęby.

- Czy to jakaś zemsta na mnie?! - zawołał, przechylając się w siodle w stronę Blaise'a. - Za jakieś grzechy młodości, o których dawno zapomniałem?

- A czym innym mógłbym się teraz kierować?! - odkrzyknął Blaise, podjeżdżając do przyjaciela.

Rudel roześmiał się w głos. A potem zamilkł, ponieważ wojownicy Gorhaut, widząc otwierającą się przed nimi wolną przestrzeń i nagle zmniejszoną liczbę wrogów, z bojowymi okrzykami i nowym zapałem wrócili do przerwane go ataku.

Potem nie było już szansy nawet na to, by unieść głowę, nie mówiąc o objęciu dowództwa na większą skalę. Bitwy w punkcie kulminacyjnym zawsze tak wyglądały, podzielone na wyspy rozpaczliwej walki wręcz wśród krzyków i ścisku spoconych ludzi i koni, żywych, umierających i zabitych, co uniemożliwiało jakąkolwiek szansę uchwycenia obrazu całości. Blaise stracił Mallina z oczu. Wiedział, że Bertran musi trzymać środek linii, bo w przeciwnym wypadku znaleźliby się pod beznadziejnym naciskiem z tamtej strony. Wiedział, że tak musi być, lecz nie miał chwili, by unieść głowę i popatrzeć.



Świat Blaise'a skurczył się do najmniejszych, najbardziej krwawych rozmiarów, do unoszącego się i opadającego miecza, kwiku umierającego konia, wibrującego uderzenia klingi o zbroję albo innego, zasysającego uczucia, kiedy miecz wcinał się w ciało, do świadomości obecności Rudela z lewej strony i jakiegoś innego człowieka, nieznanego mu najemnika, z prawej. Kiedy kilka chwil później ten najemnik padł, do przodu przepchnął się inny coran i zajął jego miejsce. To był Hirnan z Baude i Blaise poniewczasie pojął, że ci ludzie go chronią. Że już nie jest jednym z wielu dowódców. Był człowiekiem, w którego imieniu powiewał nad nimi ten sztandar.

Tak naprawdę to w tym momencie Blaise uświadomił sobie, z czym może się wiązać bycie królem. Ta wiedza spadła na niego na tym polu rozpaczliwej walki i jako brzemię, i jako uniesienie. Lekkomysłne szaleństwo, które zapoczątkował minionego lata w Tavernel, a potem kontynuował jesienią - zgłaszając roszczenia do korony na jarmarku w Lussan - stało się w tej dolinie na północ od Talair czymś namacalnym i przybrało realny kształt.

Wyrósł przed nim wojownik z toporem, dosiadający szpakowatego konia; Rudel Correze eleganckim, niemal niedbałym ruchem pchnął go mieczem w szyję między zbroją i hełmem i napastnik na oczach Blaise'a zwałił się na ziemię. Hirnan natychmiast pchnął konia do przodu, by zająć miejsce przed Blaisem.

Zrozumiał, że strzegą go z narażeniem własnego życia.

W tym momencie, całkowicie spokojny w środku zażartej bitwy, mając pod nogami martwego człowieka wdeptanego w ziemię, Blaise de Garsenc w pełni uświadomił sobie, czym jest dla niego władza. Na polu śmierci, walcząc przeciwko swoim rodakom w dniu, w którym jego ojciec zabił jego brata, Blaise uzmysłowił sobie, że naprawdę wie, czego pragnie dla Gorhaut, i że gdyby dostał choć cień szansy, chyba potrafi to osiągnąć.

Nie spodziewał się, prąc do przodu między Rudelem i Hirnanem, czując, jak kopyta jego konia depczą ciało topornika, że pożyje wystarczająco długo, by te pragnienia zrealizować.

Później będzie pamiętał, że ta ostatnia ponura myśl przyszła mu do głowy, zanim jeszcze usłyszał wściekłe, pełne goryczy przekleństwo Rudela, jego towarzysza broni na tyłu bitewnych polach; Blaise spojrział ku zachodowi, zobaczył to, co wcześniej ujrzał jego przyjaciel, i poczuł, jak do serca zakrada mu się coś zimniejszego od zimy: świadomość zdrady i ostatecznej, nieubłaganej zemsty przeszłości.

Na zalesionym grzbiecie wznoszącym się na zachód od doliny było widać na skraju drzew oddział. Bardzo duży oddział, ustawiony w równych szeregach, dobrze uzbrojony i chroniony zbrojami. Nad głowami ludzi powiewały nie jedna, lecz dwie chorągwie. Zieleń widniejącą na jednej z nich Blaise dobrze już w Arbonne poznał. Druga była chorągwią

królów Gorhaut.

Do wojny włączył się Urté de Miraval i kiedy te ponure, równe szeregi zaczęły schodzić w dół stoku, ziściły się najgorsze koszmary Arbonian. Blaise zauważył, że Fulkowi de Savaric jakoś się udało przedrzeć wzdłuż brzegu jeziora. Razem ze swoimi ludźmi skręcił na północ i właśnie był gotowy uderzyć od tyłu w środek sił Ademara.

Nie miało to już znaczenia. Zostaną zmieceni z powierzchni ziemi, mając tyły całkowicie odsłonięte na atak żołnierzy z Miraval, którzy spadali w dolinę, nabierając szybkości. Gdyby Fulk się odwrócił, by stawić czoło Urtému, byłby równie bezbronny wobec coranów Ademara. Blaise wysłał tych ludzi na najgorszy rodzaj śmierci.

Wkrótce spotka ona też i jego ludzi. Blaise spojrzał daleko przed siebie - na tej flance mieli trochę wytchnienia, jako że wojownicy po obu stronach odwrócili się, by sprawdzić, co się dzieje - i wypatrzył walczącą zażarcie postać Bertrana de Talair. Kiedyś uważał go tylko za pana, który hańbił się przestawaniem ze śpiewakami oraz niepoważnym uganiem się za każdą kobietą, na jaką padło spojrzenie jego błękitnych oczu. Rzeczywiście tak postępował, nie można było temu zaprzeczyć, lecz człowiek, którego teraz ujrzał, walczył o swój kraj w obliczu zdrady i niechybnej wiedzy, gorzkiej jak trucizna, że źródłem ich klęski jest Urté de Miraval.

Blaise patrzył z pełną przerażenia fascynacją - tak jak się obserwuje zwiniętego węża, nim zaatakuje - jak w dolinę spada fala półtora tysiąca coranów z Miraval, jadących za majestatyczną postacią księcia. Zobaczył, jak dopadają pierwszych zawracających, przepychających się żołnierzy Fulka z uniesionymi i wymierzonymi mieczami, włóczniami i toporami.

I zobaczył, jak nie wypadając z rytmu, mijają tych zdesperowanych ludzi, by z hukiem i siłą, od których zadrżała ziemia, uderzyć na tyły armii Gorhaut.

Na moment przed tym uderzeniem, kiedy z gwałtownym biciem serca zrozumiał, co się dzieje, znów usłyszał głos ojca, który się wznosił nad doliną i wzywał rozpaczliwie imię boga. Nie było jednak odpowiedzi, żadnej reakcji ze strony Corannosa na zimnym, błękitnym niebie. Słyszał tylko grzmot kopyt na twardej ziemi i krzyki przerażonych ludzi - to corani z Miraval zderzyli się z ludźmi Ademara; wojownicy z Savaric błyskawicznie zawrócili, by się do nich przyłączyć, a z drugiej strony nadciągali z rykiem żołnierze Bertrana, by wziąć wroga w bezlitosne kleszcze.

- Oszukał ich! - wrzasnął Rudel Blaise'owi do ucha. - On ich oszukał!

Blaise ujrzał, że tak rzeczywiście było: zamęt powstały w szeregach Gorhaut po pierwszym przejściu niektórych żołnierzy z Garsenc na stronę Arbonne zmienił się w

całkowity chaos. Corani z zamku Garsenc, ludzie, których znał całe życie, dołączali teraz do Fulka de Savaric i na oczach Blaise'a zaczęli otaczać osobistą straż Ademara.

- Dalej! - zawołał Blaise.

Przed nimi żołnierze cofali się w panice, bojąc się, że zostaną odcięci. Blaise pchnął lekkomyślnie konia w lukę, jaka się utworzyła między armiami. Czuł się tak, jakby zdjęto mu z ramion ciężar, brzemień z mrocznej przeszłości. Czuł się lekki, niezniszczalny, i chciał dopaść Ademara. Nawet się nie obejrzał, by sprawdzić, czy ktoś za nim podąża. Wiedział już, że podążają; był ich przywódcą, a w chwili, kiedy nikt się nie mógł tego spodziewać, pojawiła się szansa, nadzieja, obietnica niczym odległe światelko ujrzone nocą w lesie.

Pędził w sam środek bitwy, prosto do Ademara, więc kiedy zobaczył, jak księżę Urté de Miraval spotyka się z królem Gorhaut pośrodku kłębiącej się bitwy, znajdował się dość blisko.

\*\*\*

Ademar ma wrażenie, że zaraz się udusi z wściekłości. Trudno mu było oddychać. Mimo chłodu zimowego popołudnia jest zlany potem pod zbroją i hełmem. Wie, że to na skutek złości. Gniew niemal przyprawia go o zawroty głowy. Najpierw te zdrady coranów z Garsenc; zadając tak potężny cios piechurowi z Miraval, że niemal odcina mu głowę, myśli, że to zawsze Garsenkowie udaremniają mu plany. Z przekleństwem na ustach uwalnia miecz. Nie wierzy, nie może uwierzyć, że mając zapewnione tak łatwe zwycięstwo, ci corani z Garsenc byli na tyle szaleni, by zwrócić się przeciwko własnym szeregom. Przecież żaden zdrowy na umyśle człowiek z odrobiną instynktu samozachowawczego nie pobiegłby pod sztandar tego skazanego na niepowodzenie pretendenta!

Tak myślał, zanim uświadomił sobie, że Fulkowi de Savaric - kolejny zdrajca, jeszcze jeden człowiek, który powinien stać u jego boku! - jakoś się udało przeprowadzić swój oddział na jego tyły. Powstało tam realne zagrożenie i Ademar wydawał pilne rozkazy, kiedy jeden z jego dowódców wskazał tryumfalnie na zachód i nieco w górę. Król Gorhaut spojrział w tym kierunku i poczuł, jak jego wściekłość zanika, zneutralizowana i ochłodzona przez uczucie zbliżone do radości. Nigdy się nie bał, nie był człowiekiem ulegającym strachowi, lecz na widok coranów z Miraval stojących na tym grzbiecie pod sztandarem Gorhaut Ademar się roześmiał, czując smak przyszłej słodyczy.

Miał kilka chwil, by tak myśleć, patrząc, jak dobrze wyszkoleni żołnierze Urtégo de Miraval ruszają gładko w dół stoku, nabierają szybkości i niosą ze sobą koniec tej wojny oraz ostateczne wyniesienie Gorhaut.

A potem wszystko poszło źle, szaleńczo, rozpaczliwie źle.

Był jeden moment, kiedy Urté de Miraval chłostał konia, mijając coranów z Savaric, w którym Ademar rzeczywiście poczuł strach. A potem poczuł uderzenie tych pędzących jak burza jeźdźców z Miraval na tyły jego szeregów; spychali przed sobą wojowników, jakby to były bezradne dzieci.

A teraz król Gorhaut miota się w zamęcie jak z koszmarne go snu i wściekłość pieni się w nim niby wezbrana rzeka. Słyszy, jak jego najwyższy kapłan wzywa na pomoc boga, i przeklina w duchu imię Galberta de Garsenc, który go tu sprowadził, który przekonał go, że księcia Miraval, którego propozycje w ciągu kilku minionych dni były bezpośrednie i jednoznaczne, koniecznie trzeba pozyskać dla ich sprawy, żeby po zdobyciu Arbonne został jej pierwszym regentem.

To była pułapka. Teraz jest już jasne, że wszystko, co robił Urté de Miraval, było pułapką, a oni znajdują się w jej środku, pomiędzy coranami Talair i Miraval, wściekle atakowani przez Fulka de Savaric i renegatów z Garsenc. Ademar popędza konia i rusza ku zachodowi, wrzeszcząc z wściekłości; ludzie ustępują mu z drogi i król szybko podjeżdża do człowieka, którego musi zabić, zabić w tej chwili, natychmiast, zanim ta bitwa przybierze beznadziejny dla nich obrót. Ma niejasną świadomość, że jego corani się cofnęli, że wokół nich dwóch powstał pierścień ludzi, jakby nawet w środku wojny istniało przekonanie, że ta walka musi się odbyć. I tak Ademar z Gorhaut rozpoczyna swój drugi pojedynek tego dnia.

Bez słowa, ponieważ teraz już brak mu słów, a zresztą żadne nie byłoby usłyszane, zatacza mieczem szeroki, potężny łuk, celując w okrytą hełmem głowę księcia Miraval. Nie trafia, ponieważ Urté, niespodzianie szybki jak na mężczyznę swych rozmiarów i mającego ponad sześćdziesiąt lat, nurkuje pod klingę. Chwilę później Ademar chwieje się w siodle, otrzymawszy potężne uderzenie w hełm. Czuje, że świat na moment spowija czerń. Hełm ma przekrzywiony, nic nie widzi. Po policzku spływa mu lepka, ciepła krew.

Rycząc niczym człowiek nawiedzony przez furie, Ademar odrzuca tarczę i obiema rękami zrywa hełm z głowy; czuje szarpnięcie i ostry ból w lewym uchu. Ciska hełm de Miravalowi w twarz, po czym zadaje mieczem najsilniejszy cios w całym swoim życiu.

Spadająca klinga zahacza o zbroję księcia dokładnie w tym miejscu, w którym osłania mu ona szyję i ramię, przebija się przez kółka i zagłębia w ciało. Ademar ma rozmazany i pociemniały obraz, ale widzi, że księżę Miraval przechyla się gwałtownie i wiedząc, że przeklęty stary oszust spada z konia, że właściwie już jest trupem, i tak wyszarpuje miecz, by pozbawić go życia.

Król Gorhaut nie zauważa strzały, która go zabija.

Strzały, która spada z pustych niebios, by trafić go w oko - dokładnie tak, jak przed dwoma laty zginął jego ojciec wśród lodu i stert ciał przy Moście na Iersen.

Król Gorhaut, martwy w jednej chwili, nie widzi, że drzewce strzały jest w głębokim odcieniu szkarłatu, jak krew. I nie zdaje sobie sprawy, w przeciwieństwie do innych, którzy wkrótce podchodzą do miejsca, gdzie zabity król leży na ziemi obok śmiertelnie rannego Urtégo de Miraval, że strzałę opierzono - rzecz to bez precedensu - piórami sowy, także ufarbowanymi na szkarłatno.

Ludzie widzą to wszystko i nic nie rozumieją, nie pojmują też, skąd mogła zostać wypuszczona ta przerażająca, śmiertelna strzała, by spaść, jak się wydaje, z nieba prosto na króla. Corani z obu armii czynią znaki chroniące przed ciemnością i nieznanym.

Król Gorhaut zginął od szkarłatnej strzały, która spadła z nieba, opierzonej sowymi piórami. Nawet wojownicy Gorhaut wiedzą, jaki ptak jest poświęcony Rian. Po dolinie natychmiast zaczyna się rozprzestrzeniać opowieść o zemście nieśmiertelnej bogini za zbezczeszczenie i zabicie jej sług. Opowieść nie zostanie w dolinie. Ma przed sobą daleką drogę. Jak wszystkie takie opowieści o śmierci króla.

\*\*\*

Potem właściwie było już łatwo. Łatwiej, niż powinno być, pomyślał Blaise. Przy Moście na Iersen król Duergar zginął, lecz Gorhaut i tak odniósł zwycięstwo. Śmierć króla nie musi oznaczać całkowitego chaosu w szeregach jego armii.

Jednakże tego popołudnia tak się stało. Blaise mógłby podać wiele powodów i za każdym razem mógłby mieć rację, lecz prawda - jaśniejąca w popołudniowym świetle - była taka, że armia Gorhaut przestała istnieć w chwili, gdy zaatakował ją Urté de Miraval, a z nieba spadła czerwona strzała i zabiła króla.

Przebijając się do Bertrana i znalazłszy się bliżej centrum bitwy, Blaise zaczął rozpoznawać poszczególnych żołnierzy z obu armii. „O zachodzie słońca”, powiedział do Ademara. Jednak nie dane mu było stoczyć tej walki. Rozglądając się, przypomniał sobie, że na tym polu jest ktoś jeszcze, kogo chciał zachować dla siebie. Wtedy ujrzał tego człowieka w pewnej odległości i zdał sobie sprawę, że tego też zostanie pozbawiony.

Do Borsiarda d'Andorii podjechał Bertran de Talair; Portezzanin znajdował się na trawiastym pagórku w centrum przesuwanego się środka bitwy. Było widać, że coś do siebie mówią, lecz Blaise był za daleko, by cokolwiek usłyszeć. A potem patrzył, jak Bertran, który wstąpił na ścieżkę wojownika przed ponad dwudziestu laty po tym, jak Aelis de Miraval umarła w zamku jej męża, wysyła pana z Andorii na tamten świat z precyzją, która niemal

ośmieszała pojęcie pojedynku. Dwa uderzenia w czoło, finta, a potem ominięcie zasłony, pchnięcie w przód i trafienie Borsiarda w szyję. Była to bardziej egzekucja niż pojedynek, a kiedy już było po wszystkim. Blaise pomyślał, że Lucianna właśnie znów została wdową.

Jego drugą myślą, kiedy zobaczył, że, zgodnie z oczekiwaniami, Andorianie zaczynają rzucać broń i pośpiesznie poddają się najbliższym ludziom Bertrana, było, że ma teraz do zrobienia coś, co będzie trudniejsze od wszystkich pojedynków. Rozejrzał się szybko w poszukiwaniu Rudela i stwierdził, że nie ma już przyjaciela u swego boku. Nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Na jego oczach bitwa nad Jeziorem Diene zamieniała się w rzeź.

A on musiał ją powstrzymać. Powstrzymać, chociaż żołnierze Arbonne widzieli odcięte głowy nadziane na piki, znajdujące się w tylnych rzędach wojsk Gorhaut, wciąż widzieli, jak ohydnie okaleczono śpiewaka imieniem Aurelian, i nosili w sercach bolesne obrazy kobiet palonych na północy ich kraju. W chwili, kiedy pewna klęska zmieniła się w zwycięstwo, nie będą skłonni do litości i umiarkowania. Wszyscy w armii Arbonne wiedzieli, jaki spotkałby los ich i ich rodziny, gdyby na tym polu zatryumfował Gorhaut.

Blaise zobaczył, że Bertran już mu teraz nie pomoże. Księżę odwrócił się od trupa Borsiarda, minął poddających się Portezzan i torował sobie mieczem drogę przez najbliższych Gorhautczyków. Valery posuwał się obok niego i robił to samo.

Blaise popędził konia za nimi; jego głos przebił się przez krzyki umierających i wściekłe, pełne zaciekłości wrzaski coranów Arbonne:

- Dosyć! Wystarczy, Bertranie!

Valery zwolnił i się odwrócił. Księżę nie usłyszał Blaise'a albo nie zwrócił na niego uwagi. Po lewej stronie Fulk de Savaric poderwał głowę na krzyk Blaise'a, uniósł w odpowiedzi dłoń i odwrócił się, by wydać swoim ludziom rozkazy. Corani z Miraval wciąż atakowali, dążąc do spotkania z Bertranem, a ogarnięci paniką żołnierze Gorhaut miotali się między nimi, otoczeni już ze wszystkich stron nieprzejednanymi wrogami i osłabieni przejściem na stronę przeciwnika ludzi z ich własnych oddziałów.

Blaise podjechał do najbliższych coranów z Garsenc, tych, którzy się zbiegli do niego, gdy Rudel podniósł sztandar.

- Dość zabijania! - rozkazał. - Zmuście ich do rzucenia broni! Jeśli to zrobią, nie zostaną zabici!

Sądził, że tak będzie, ale całkowitej pewności nie miał. Armia Arbonne znajdowała się na granicy wymknienia się spod kontroli.

Pojechał dalej śladem księcia Talair. Doskonale rozumiał, co się działo z Bertranem, wiedział, jak szalony bitewny potrafił opanować choćby najbardziej rozważnego człowieka - lecz

wiedział też, że w tej chwili Bertran de Talair ma więcej powodów do zabijania Gorhautczyków, niż powinien ich mieć jakikolwiek człowiek.

W końcu to Thierry de Carenzu, znajdujący się na prawej flance, najbliższej odciętych głów i okaleczonego, martwego trubadura, kazał zadać w rogi i w ten sposób przerwał rzeź.

Blaise zawsze będzie pamiętał, że zrobił to Thierry; on sam pochodził z Gorhaut i tego dnia nie byłby w stanie powstrzymać armii Arbonne.

Nawet Bertran ściągnął konia, kiedy usłyszał wznoszące się nad doliną wysokie, czyste dźwięki. Blaise wreszcie przepchnął się do Bertrana.

- Bertranie, przestań, musisz przestać. To są teraz tylko żołnierze. Rolnicy i wieśniacy. Ademar nie żyje, to już koniec!

Księżę Talair odwrócił się od niego i to, co Blaise dostrzegł w jego oczach, otrzeźwiło go i zmroziło.

- Ale ja go nie zabiłem - rzekł powoli Bertran, jakby znajdował się w transie.

W tych słowach kryło się coś strasznego.

Blaise odetchnął głęboko i powiedział ostrożnie:

- Ja też nie, chociaż być może miałem równie ważny powód. Nie wolno dopuścić, by miało to znaczenie dla któregoś z nas, Bertranie. Zwyciężyliśmy. I spójrz, corani z Garsenc zmuszają innych do poddania się.

Tak było. Żołnierze Gorhaut, wojująca armia boga, rzucali broń. Blaise zobaczył jadącego w ich stronę Thierry'ego, który krzyknął:

- Nie możemy zabijać nieuzbrojonych ludzi, Bertranie!

- Zechcesz mi powiedzieć, dlaczego? Ja najwyraźniej zapomniałem.

Wzrok Bertrana wciąż był dziki, zagubiony.

- Nie, nie zapomniałeś - odezwał się Valery zza pleców kuzyna. Odwrócili się do niego; miał już spokojną twarz, chociaż Blaise widział, że to opanowanie wiele Valery'ego kosztuje.

- Wcale nie zapomniałeś. Po prostu chcesz zapomnieć. Ja też. Och, Bertranie, ja też, ale jeśli to zrobimy, staniemy się tym, co właśnie pokonaliśmy.

Blaise kiedyś powiedział to samo, w spokoju sali narad. To było pole bitwy, a w niebieskich oczach mężczyzny, do którego zwracał się Valery, płonęło szaleństwo. Bertran długo patrzył na kuzyna, a potem kilka razy potrząsnął głową, jakby usiłując się od czegoś uwolnić. Blaise rozumiał, rozumiał lepiej, niż mógł to wiedzieć Bertran, jak trudno jest się pozbyć bitewnego szału.

Kiedy jednak Bertran odwrócił się do niego i stojącego obok Thierry'ego, jego twarz miała znajomy wyraz.

- Dobrze - odezwał się książę Talair - przyjmujemy ich kapitulację. Jest jeszcze ostatnia rzecz, którą należy zrobić, chociaż może ci to sprawić przykrość, Blaise, nie wiem. - Przerwał na chwilę. - Gdzie jest najwyższy kapłan Gorhaut?

O dziwo, Blaise'owi udało się nie myśleć o ojcu, chociaż może, zważywszy wszystko, co się rozpadło w świetle na kawałki, wcale nie było to aż tak dziwne. Zwrócił się w stronę grupki ludzi znajdującej się na zachód od nich i ujrzał pośrodku nich - spieszzonego, lecz górującego nawet nad najwyższymi - swego ojca.

Galbert zdjął hełm albo mu go zdjęto. Stał z odkrytą głową w świetle późnego popołudnia. Na twarzy i niebieskiej szacie miał krew. Wokół niego zostawiono wolną przestrzeń i Blaise poniewczasie zobaczył, dokąd odszedł Rudel. Jego przyjaciel stał z Galbertem na tej przestrzeni, spokojnie celując mieczem w człowieka, który nieco więcej niż przed pół rokiem zaproponował mu ćwierć miliona w złocie za zabicie Bertrana de Talair.

Blaise w końcu pojął, że jest świadkiem wyrównania jeszcze jednego rachunku. Słońce przesunęło się na zachód po zimowym niebie. Zastanawiał się, dlaczego ojciec nie popełnił samobójstwa i wolał zostać przekazany wrogom w ten sposób. To jednak była przelotna myśl. Galbert nie był człowiekiem, który by wybierał takie wyjście, a w każdym razie bóg takiego działania zabraniał.

Wydawało się, że w dolinie zapadła cisza. Na północnym zachodzie pojawiło się trochę chmur. Blaise patrzył, jak przepływają przez tarczę słońca. Zrobiło się chłodniej; dzień się kończył i wyglądało na to, że już było po wszystkim - ustał szum broni. Z rozmaitych części pola dobiegały jęki i okrzyki bólu. Blaise wiedział, że to będzie długo trwało. Zadrżał.

- Mam dla ciebie płaszcz - rzekł Hirnan.

Blaise spojrział na arbońskiego corana, który go ochraniał przez całe popołudnie.

Kiedyś, wiosną, popłynęli na Wyspę Rian, by zabrać z niej poetę. Tam to się zaczęło; wydawało się, że dla Blaise'a zaczęło się to od najwyższej kapłanki w lesie, od ciemnej pustki jej oczodołów i białej sowy na jej ramieniu.

Po chwili skinął głową i Hirnan udrapował na ramionach Blaise'a ciężki ciemnopurpurowy płaszcz. Blaise zadał sobie pytanie, skąd coran go wziął; purpura jest kolorem królów. Miał jednak pewne podejrzenie. Ta myśl sprawiła, że na chwilę się odwrócił od ojca stojącego w kręgu mieczy i spojrział na Thierry'ego, a potem jeszcze dalej - na wyspę położoną na jeziorze, gdzie były kobiety.

\*\*\*

Skoro ustała walka, można było z trudem rozróżnić poszczególne postacie w dolinie za



wodami jeziora. Stojąc wraz z innymi na północnym brzegu wyspy, Ariane widziała swego męża; z tego, jak siedział na koniu, wyglądało, że nic mu się nie stało. Nieopodal Thierry'ego Hirnan z Baude okrył Blaise'a de Garsenc purpurowym płaszczem, który mu powierzyła. Rozpłakała się.

Teraz wiele osób szlochało. Jeszcze nie było wiadomo, ilu ludzi zginęło. Hrabiny nie było z nimi na plaży; razem z kapłankami i kapłanami brała udział w uroczystościach dziękczynnych w świątyni. Ariane wiedziała, że powinna jej towarzyszyć, lecz od kiedy zabrzmiały rogi, jej myśli należały całkowicie do tego świata.

Po wzburzonej wodzie nieustannie kursowały niewielkie łódki; trwało to od początku bitwy. Ostatni posłaniec powiedział im, że król Gorhaut nie żyje, trafiony w oko szkarłatną strzałą. „Nikt nie wie, kto ją wystrzelił”, powiedział kapłan, klęcząc na piasku bogini. Wiadomo natomiast, że pióra były sowie. Strzała spadła prosto z nieba.

Powiedział im też, że Urté de Miraval, który wbrew wszystkiemu ich na koniec ocalił, umiera, jeśli już nie jest martwy. I ta ostatnia wiadomość oznaczała dla Ariane więcej niż dla kogokolwiek na wyspie czy w ogóle wśród żywych.

Oznaczała, że skończył się okres obowiązywania przysięgi, której dochowywała, od kiedy skończyło się jej dzieciństwo, że może wyjawić światu tajemnicę, którą przyrzekła zachować. I właśnie dlatego płakała na tym brzegu, patrząc ku leżącej na północy dolinie, na postać męża w czerwonym kaftanie, na stojącego obok niego wysokiego mężczyznę odzianego w purpurę i na trzeciego, drobniejszego człowieka, który tak dawno temu zaskoczył grupkę podróżnych wśród wiązów, widocznych obok stojącego na zachodzie łuku.

Odsunęła się od pozostałych na plaży, wycofując się we wspomnienia. Zbliżała się następna łódka z jeszcze nowszymi wiadomościami; inne kobiety podeszły do niej zaniepokojone. Ariane oddaliła się w przeciwną stronę i stanęła samotnie, patrząc na drugi brzeg, ten najbliższy Miraval.

Pamiętała, że wtedy, dwadzieścia trzy lata temu, też była zima; kiedy w środku nocy przybyła na ten brzeg, wiatr siekł deszczem drzewa i jezioro. Minęły dwadzieścia trzy lata, lecz jeśli cofnęła się myślami, miała wrażenie, że to się działo zaledwie wczoraj. Było tak samo intensywne, trudne i straszne, jakby znów miała trzynaście lat, dopiero co złożyła przysięgę i stała na tamtej plaży pod osłoną szalasu sygnalizacyjnego, szlochając spazmatycznie z żalu i przerażenia.

Kiedy zaczęła się tamta noc, była dzieckiem. Bystrą, ciekawską, rozpieszczoną dziewczynką. Kiedy ta długa noc się skończyła, a ona patrzyła, jak blade słońce wreszcie wstaje nad jeziorem, i słuchała, jak z otaczających ją drzew kapie woda, już przestała być

dzieckiem.

Dotrzymała obietnicy. Przez te wszystkie lata dotrzymała obietnicy złożonej kuzynce Aelis, którą bardzo kochała. Widziała bardzo wyraźnie swój obraz: chuda, drżąca dziewczynka jadąca na koniu podczas szalejącej burzy, blada twarzyczka i czarne włosy zatarte w ciemności, oprócz chwil, gdy rozdzierała ją błyskawica. I wtedy płakała, płakała pod okrutną chłostą deszczu. Teraz też płakała, tak wiele lat po tamtych wydarzeniach, płakała nad utraconą niewinnością, nad zmarłymi owej nocy i nad straszliwym brzemieniem, którym ją wówczas obarczono i które dźwigała przez te wszystkie lata.

Po długim czasie Ariane otarła oczy, wyprostowała ramiona i odwróciła się od zachodniego brzegu oraz związanego z nim brzemienia wspomnień. Była księżną Carenzu, królową Dworu Miłości w Arbonne, kobietą mającą władzę w świecie, i miała wiele do zrobienia.

Poczynając od przerwania milczenia.

Aelis, pomyślała, właściwie wyszeptala - tylko to imię, nic więcej, lecz wymawiając je, uświadomiła sobie, że jest to jakby uwolnienie.

Poszła do świątyni i zaczęła tam na zakończenie powolnego, pięknie odśpiewanego obrzędu.

A potem, w prywatności niewielkiego pokoiku obok kopuły, z konieczności oszczędzając słowa, lecz z taką łagodnością, na jaką umiała się zdobyć wśród gorączkowych emocji tego dnia, powiedziała pierwszej osobie, która powinna się o tym dowiedzieć.

Potem wróciła samotnie na plażę i mimo przeciwnego wiatru kazała się przewieźć na brzeg wiosłową łodzią, owijając się szkarłatnym płaszczem, bo pod koniec dnia zrobiło się zimno, i poszła szukać drugiej osoby, której trzeba było powiedzieć, zanim się dowie cały świat.

Powiedziano jej, że już wyjechał z doliny, więc tylko objęła męża i coś mu szepnęła, po czym wsiadła na konia i pojechała za tym człowiekiem. Po drodze, kiedy zdała sobie sprawę, dokąd się udał, dokąd za nim jedzie, znów zaczęła płakać, nic nie mogąc na to poradzić. Na zachodzie zniżało się czerwone jak ogień słońce.

\*\*\*

Blaise podszedł z Bertranem i Thierrym do leżącego na ziemi Urtégo de Miraval; umierającemu podłożono pod głowę zwinięty płaszcz, a drugim, ciężkim i podbitym futrem, miał okryte ciało. Urté był bardzo blady i Blaise od razu zauważył, że kawałki materiału, których użyto do zatamowania krwi, są całkowicie przesiąknięte. Znał ten widok, to nie

potrwa długo.

Urté wciąż jednak był przytomny, a w oczach miał twardy błysk tryumfu. Thierry zawahał się, a potem ostrożnie się cofnął, by przy rannym mógł stanąć tylko Bertran de Talair. Cisza, która wtedy zapadła, była napięta niby cięciwa łuku.

Kolejna chwila wahania - Blaise wiedział, że nic tu nie przychodzi z łatwością - i Bertran ukląkł przy starszym mężczyźnie.

- Zwyciężyliśmy - oznajmił spokojnie. - Twoja decyzja, by mimo wszystko się do nas przyłączyć, przeważała szalę bitwy.

Wtedy Urté de Miraval się roześmiał, co zabrzmiało strasznie i wywołało kolejny krwotok. Pokręcił głową, choć wyraźnie cierpiał ból.

- „Mimo wszystko”? Nie rozumiesz, prawda? Nie musiałem podejmować żadnej decyzji. Ukartowaliśmy wszystko, nawet to, że w Barbentain wyjdę z sali.

Zszokowany Blaise wpatrywał się w obu mężczyzn. Usłyszał, że Thierry de Carenu wydał jakiś cichy dźwięk.

- My? - zapytał Bertran.

- Hrabina i ja. Poprzedniego wieczoru doradziłem jej, by mianowała cię dowódcą armii. Zgodziliśmy się, że opuszczę naradę i następnego dnia skontaktuję się z Ademarem.

- Och, słodka Rian, nie wierzę - odezwał się Thierry, jakby odmawiał modlitwę.

- Czemu? - zapytał prozaicznie umierający. - Mieliliśmy mniej wojska, musieliśmy wymyślić jakąś pułapkę. Wygląda na to, że trzeba było do tego dwoje członków starszego pokolenia. Młodszy nie mieli żadnych pomysłów, prawda?

Znów na długą chwilę zapanowała cisza.

- Żadnych - odezwał się w końcu Bertran. - Jestem zdumiony, że hrabina mi nie powiedziała.

- Poprosiłem ją o to - rzekł Urté. - Powiedziałem jej, że znając plan, mógłbyś zmienić strategię. Wykonać posunięcie, które mogłoby ich ostrzec, że coś jest nie tak. Taki dałem jej powód.

- Tak naprawdę nie był tym właściwym powodem, tak?

Urté de Miraval się uśmiechnął.

- Oczywiście, że nie.

Bertran pokręcił głową.

- Tak się składa, że nie miałem dzisiaj żadnej strategii. Bitwa rozpoczęła się zbyt szybko.

- Wiem. Dlatego się spóźniliśmy.

Znów milczenie. Zachodzące słońce posyłało wzdłuż doliny poczerwieniałe światło. Urté

raptem się skrzywił; Blaise wiedział, że taką minę robi silny człowiek, który walczy z wielkim bólem.

- Cóż mam ci powiedzieć? - zapytał Bertran de Talair.

Westchnienie, które mogło być śmiechem.

- Daruj sobie - szepnął Urté. Lecz chwilę potem Blaise zobaczył, że lekko odwraca głowę i teraz patrzy prosto na Bertrana. Otworzył usta i je zamknął, jakby się z czymś zmagał w duchu, i po chwili bardzo wyraźnie powiedział: - Nie zabiłem jej. Ani dziecka.

Bertran znieruchomiał i poblądł tak jak Urté.

- Wziąłem je od niej - rzekł umierający, nie spuszczać wzroku z oczu Bertrana - po tym, jak mi powiedziała... to, co mi powiedziała. Zaniósłem je do kuchni, gdzie płonął ogień. Było bardzo zimno, tamtej nocy szalała burza. Kazałem wyrzucić kapłankę z zamku. Zostawiłem dziecko z kobietami w kuchni. Nie chciałem, żeby Aelis je miała... po tym, co powiedziała, i nie zamierzałem go wychowywać jako swego syna. Mogłem postanowić je zabić, mogłem odesłać w jakieś miejsce, gdzie nikt by go nie poznał ani nie znalazł. Nie myślałem jasno i miałem tego świadomość; potrzebowałem czasu. To dziecko, gdybym to ja je spłodził, byłoby dziedzicem Miraval i Barbentain, rządziłoby Arbonne.

- A zamiast tego?

Głos Bertrana był tak cichy, że ledwie go było słyhać. Blaise zobaczył, że księżę mocno splótł palce.

- A zamiast tego Aelis była martwa, kiedy wróciłem do jej pokoju. Szedłem na górę, żeby jej powiedzieć, że nigdy nie ujrzy swego syna, że nikt się nigdy nie dowie, kim on jest, nawet jeśli pozwolę mu żyć. Chciałem... tak bardzo ją zranić za to, co zrobiła. Ale kiedy wróciłem, już nie żyła. Kiedy znów zszedłem na dół, kazałem podać sobie dziecko. Poszedłem z nim do wielkiej sali i usiadłem przy ogniu, trzymając je na rękach. Widziałem, że nie jest silne. Wkrótce umarło. Tak wcześnie urodzone dzieci rzadko przeżywają. Urodziło się o dwa miesiące za wcześnie.

- Wiem. Dlatego mnie tam nie było.

Znów milczenie. Blaise słyszał wiatr świszczący w dolinie oraz krzyki rannych i umierających. Bardzo wysoko na niebie stado lecących na południe ptaków przecięło tarczę słońca. Widział, że z wyspy przyplłynęli kapłani i kapłanki, by opatrywać rannych. Na polu bitwy rozpalano ogniska. Znów zadrżał pod swym grubym płaszczem.

- Mogłeś mi to powiedzieć - odezwał się w końcu Bertran.

- Po co? Żeby cię uspokoić? Dlaczego miałbym to robić? Podobało mi się, że się zastanawiasz, czy chłopiec żyje. To oznaczało, że nie możesz mnie zabić, prawda? - Znów ten

słaby uśmiech. Lecz po chwili wyraz jego twarzy się zmienił i Urté dodał: - I tak byś mi nie uwierzył. Przecież to jasne.

Bertran pokręcił głową.

- Nie. Nie uwierzyłbym. Byłem niemal pewien, że zabiłeś ich oboje.

- Wiem. Niemal pewien, nie całkiem. Podobało mi się, że tak myślisz. Mam nadzieję, że przez te wszystkie lata tkwiło to w tobie niczym trucizna.

- Tkwiło. Przez te wszystkie lata. Niczym trucizna.

- Była moją żoną - rzekł Urté de Miraval. - Jak sądzisz, co bym zrobił, gdybym się dowiedział?

Bertran trwał w bezruchu z opuszczoną głową. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał tak, jakby gardło miał zdarte do krwi.

- Kochałem ją. Nigdy nie przestałem jej kochać. Ty jej nigdy nie kochałeś, panie. Tobie przez te wszystkie lata chodziło tylko o dumę.

Urtému udało się z ogromnym wysiłkiem unieść na łokciu.

- To by wystarczyło - stwierdził. - Aż nadto. Ale ponownie się mylisz. Zawsze się w tej sprawie myliłeś, ty i wszyscy inni. - Przerwał, by z trudem zaczerpnąć tchu; z jego rany sączyła się krew. - To Aelis mnie nie kochała, a nie na odwrót. Bo widzisz, ja nie umiałem pisać pieśni... Cieszę się, że zwyciężyliśmy. Niech Rian już zawsze tuli tę ziemię Arbonne w swoich ramionach.

A potem powoli, z żołnierską lekkością i wielką odwagą w obliczu śmiertelnego bólu, osunął się na ziemię i umarł, zamykając oczy.

Bertran długo klęczał przy jego ciele. Nikt się nie poruszył ani nic nie powiedział. Kiedy Bertran w końcu się podniósł, odwrócił się do Thierry'ego de Carenu.

- Czy mogę resztę spraw pozostawić tobie? - zapytał.

- Oczywiście - odparł książę.

Patrzyli, jak książę Talair wsiada na konia i powoli wyjeżdża z doliny, kierując się na zachód, ku alei drzew prowadzącej do łuku.

Valery poruszył się niezdarnie, jakby chciał się udać za kuzynem, lecz tego nie zrobił. Kiedy Blaise na niego spojrzał, zobaczył na zwykle spokojnej twarzy corana wryty wielki, gryzący żal. Podszedł do Valery'ego; nie dotykał go, lecz chciał się znaleźć blisko niego. A chwilę później zorientował się, że Thierry patrzy na niego ze współczuciem, i uświadomił sobie, co jeszcze zostało do zrobienia. Blaise zamknął oczy i to Valery dotknął przelotnie jego ramienia.

Blaise spojrzął na Thierry'ego de Carenu.

- Czy mam prawo prosić, by zostało to zrobione czysto? - zapytał cicho.

- Tak będzie - odparł mąż Ariane. - Ze względu na ciebie i ze względu na nas, na to, jacy jesteśmy, jacy nie chcemy się stać.

Blaise skinął głową. Thierry się odwrócił i Blaise ruszył za nim przez mroczniejące pole do miejsca, gdzie w pierścieniu mieczy wciąż stał jego ojciec.

- Zatrzymałem tego człowieka - odezwał się Rudel Correze, kiedy się zbliżyli - aby został osądzony przez Arbonne.

Mówił wyraźnie i z niezwykłą powagą.

- Ostateczny osąd należy do Rian i Corannosa, a nie do nas - rzekł Thierry - lecz wymierzenie kary zaiste należy teraz do nas. Nie za czyny wojenne. Gdyby chodziło tylko o nie, można by ustalić okup i wypuścić jeńca. Za to jednak, co zostało uczynione kapłankom, ten człowiek musi umrzeć.

Nikt nic nie powiedział. Ciszę zakłócało jedynie wołanie rannych i świst wiatru. Teraz już w całej dolinie płonęły ogniska, głównie ze względu na ciepło, które dawały; światło wciąż jeszcze było jasne, mimo że dzień chylił się ku końcowi.

- Chcesz zaprzeczyć, że palenie kobiet odbywało się z twego rozkazu? - zapytał Thierry mężczyznę w kręgu.

- Bynajmniej - odparł Galbert de Garsenc.

Tylko tyle. Najwyższy kapłan stał z krwią na gładkiej, przystojnej twarzy i błękitnej szacie, otoczony w ostatnich chwilach życia przez śmiertelnych wrogów, a jego młodszemu synowi wydawało się, że nawet w takiej chwili traktuje wszystkich z pogardą.

- Z szacunku dla twego syna pozwolimy ci umrzeć od strzał - oznajmił beznamiętnie Thierry.

Nieopodal odwiązano Aureliana od platformy na kołach. Ktoś przykrył jego ciało płaszczem.

- Chciałbym - rzekł Galbert de Garsenc - spędzić przed śmiercią parę chwil z synem. - Blaise poczuł, że robi mu się sucho w ustach. Nikt nic nie mówił. - To ostatnia prośba - dodał najwyższy kapłan Gorhaut.

Thierry odwrócił się do Blaise'a, podobnie jak Rudel; w oczach obu mężczyzn malowała się troska, chęć chronienia go. Blaise pokręcił głową. Odchrząknął.

- To chyba uczciwa prośba. Możemy ją spełnić. - Spojrzał uważnie na Thierry'ego. - Czy możesz się na to zgodzić?

Thierry powoli skinął głową. Rudel nadal sprawiał wrażenie, jakby chciał zaprotestować, i Blaise usłyszał, jak stojący za nim Valery mamrocze coś pod nosem, lecz księżę Carenu

szerokim ruchem ręki nakazał kręgowi strażników się cofnąć.

Kiedy wykonali polecenie, Blaise ruszył do przodu. Pierścień ludzi rozstał się przed nim.

- Wygląda na to - rzekł spokojnie ojciec - że źle oceniłem Urtégo de Miraval.

Mówił tak, jakby omawiał zły obrót polowania albo niewłaściwą zmianę zasiewów na ziemiach Garsenc.

- Raczej nie przyłączyłby się do was po tym, jak paliliście kobiety.

Galbert wzruszył ramionami.

- Myślisz, że o to chodziło? Zmienił zdanie czy to było zaplanowane?

- Było zaplanowane - odparł Blaise. - Przez niego i hrabinę. Nie wiedział o tym nikt inny.

- A zatem postąpili sprytnie - stwierdził jego ojciec i westchnął. - Cóż, przynajmniej dożyłem pewności, że mój syn będzie rządził w Gorhaut.

Blaise roześmiał się z goryczą.

- Przy tak wielkiej pomocy i opiece z twojej strony.

- Ależ oczywiście - powiedział Galbert. - Pracowałem na to od lat.

Blaise przestał się śmiać.

- To kłamstwo - stwierdził ostro.

Raptem poczuł się tak, jakby w jego piersi zagnieździło się coś twardego i nieprzyjemnego. Przełknął z trudem ślinę.

- Doprawdy? - zapytał spokojnie Galbert. - To ty podobno jesteś ten bystry. Myśl, Blaise.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio ojciec zwrócił się do niego po imieniu.

- A o czym tu myśleć? - warknął. - Okazałeś przywiązanie do rodziny przy Rosali, a teraz przy Ranaldzie. Zabiłeś syna.

- Dałem mu życie i mu je odebrałem - rzekł Galbert, wciąż łagodnym tonem - chociaż żałowałem, że musiałem to zrobić. Był bezwartościowy do końca, ale zamierzał zniweczyć moją jedyną szansę na oczyszczenie tej ziemi.

- Oczywiście. Na to pracowałeś przez te wszystkie lata.

- Między innymi. Sam nie byłbym wiele wart, gdybym miał w życiu tylko jeden cel. Chciałem oczyścić Arbonne, jeśli dałoby się to zrobić, chciałem ujrzeć mojego syna na tronie Gorhaut, jeśli dałoby się to zrobić. Nigdy się nie spodziewałem, że osiągnę oba te cele, lecz rzeczywiście istniały powody, by mieć nadzieję na jedno lub na drugie.

- Kłamiesz - powtórzył Blaise. Usłyszał we własnym głosie nutę rozpacz i z trudem ją zwalczył. - Dlaczego to robisz? Wiemy, czego chciałeś: zamierzałeś pchnąć mnie na ścieżkę służby bogu.

- Ależ naturalnie. Byłeś młodszym synem, gdzie indziej miałbym cię umieścić? Królem miał zostać Ranald. - Galbert pokręcił głową, jakby Blaise okazał się nieoczekiwanie tępy. - A potem mi się sprzeciwiłeś, nie pierwszy i nie ostatni raz, a nieco później okazało się jasne, że Ranald jest... tym, kim był.

- Ty go takim uczyniłeś.

Galbert znów wzruszył ramionami.

- Jeśli nie umiał dać sobie rady ze mną, to nie umiałby dać sobie rady z królewską władzą. Ty najwyraźniej znalazłeś sposób i na jedno, i na drugie. Po tym, jak udało mi się wygnać cię dzięki Traktatowi Mostu na Iersen.

Blaise poczuł, że blednie.

- Zamierzasz mi teraz powiedzieć...

- Że miałem kilka powodów do zawarcia tego traktatu. Tak, zamierzam. Miałem. Myśl, Blaise. Pieniądze na tę wojnę i sztylet przytknięty do pleców Ademara przez wydziedziczonych z północy. I wreszcie udało mi się zmusić cię do opuszczenia Gorhaut, żebyś się udał tam, gdzie mógłbyś się stać kimś, wokół kogo będą się zbierać niechętni Ademarowi. Oraz mnie - dodał po chwili. - Nawiasem mówiąc - ciągnął Galbert tym samym beznamiętnym, spokojnym tonem - będziesz potrzebował mnóstwa pieniędzy, żeby odzyskać północne rubieże, szczególnie po naszych dzisiejszych stratach. Na szczęście Lucianna d'Andoria znów jest wdową. Zamierzałem zlecić zabójstwo Borsiarda, gdyby nikomu z twojej armii nie udało się go tutaj zabić. Widziałem w niej możliwą żonę dla Ranalda, gdyby wydarzenia potoczyły się odpowiednio. Będziesz musiał teraz ją poślubić, a wiem, że uszczęśliwi cię to niemal tak samo, jak jej ojca. Kiedy jego córka zostanie królową, może nawet przestanie sprowadzać ją do domu do własnego łóżka. - Galbert się uśmiechnął. Blaise'owi zrobiło się słabo. - Uważaj na niego, bardzo uważaj na Massenę Delonghiego. Mając jednak do dyspozycji banki Correze'ów i Delonghich, powinieneś poradzić sobie ze wstrzymywaniem przez Valensę reszty zapłaty, jaką są nam winni zgodnie z traktatem.

Blaise poczuł, że zaczyna go boleć głowa, jakby spadały na nią ciosy.

- Ty kłamiesz, prawda? Powiedz mi, dlaczego? Co chcesz teraz zyskać, usiłując mi wmówić, że zaplanowałeś to wszystko?

- Nie zaplanowałem tego wszystkiego, Blaise, nie bądź głupi. Jestem śmiertelnym sługą Corannosa, nie bogiem. Kiedy wyjechałeś do Götzlandu i Portezzy, sądziłem, że Fulk de Savaric i paru innych baronów północy wyślą za tobą ludzi z propozycją objęcia tronu. Nie spodziewałem się, że sam ją wysuniesz. Nie wiedziałem, że masz w sobie tyle... nierozwagi. Owszem, dopuszczałem myśl, że kiedyś możesz przybyć do Arbonne, choćby tylko dlatego,



że wiedziałeś, że ja tu się pojawię, ale nie wiedziałem, jak wielki wywrze to na ciebie wpływ. Przyznaję, że to była niespodzianka.

- Ademar - powiedział Blaise, nadal oszołomiony. - Wszystko robiłeś dla niego. Nawet usiłowałeś dać mu Rosalę.

Jego ojciec spojrzał na niego z pogardą.

- Dla Ademara nie zrobiłem niczego prócz dania mu sznura, by się na nim powiesił. Nigdy nie był wart więcej. Był narzędziem, które miało mi umożliwić zajęcie Arbonne dla boga. To wszystko. - Wzruszył ramionami. - Chyba się nam to nie udało. Będę tego żałował w chwili śmierci. Naprawdę sądziłem, że nie możemy przegrać. W takim wypadku spodziewałem się, że chłopak Correze'ów zabierze cię stąd do Portezzy i że po pewnym czasie jeszcze będę mógł spełnić oba moje marzenia. Ademar nigdy nie byłby w stanie utrzymać Arbonne, nie po tym, co zamierzałem tu zrobić. - Blaise pomyślał, że piękny głos ojca jest uwodzicielsko klarowny. - A jeśli chodzi o Rosalę, doprawdy, Blaise... to miało tylko jeszcze bardziej nastawić przeciwko niemu baronów, no i ciebie, gdybyś potrzebował kolejnego bodźca, a poza tym miało do tego dojść dopiero po urodzeniu przez nią dziecka Garsenca. Powiedz mi, ten chłopiec, Cadar, jest twój, prawda?

Blaise poczuł, że zaczynają mu drżeć dłonie.

- Chcesz zbrukać wszystko, czego dotkniesz w życiu, nawet u jego schyłku? Czy nic nie może zostać czyste?

- Moja śmierć, a przynajmniej tak mi obiecano - rzekł oschle Galbert. Drgnęły mu kąciuki ust. - No, Blaise, jeśli to nie twoje dziecko, to umrę, zastanawiając się, czyje. Kiedy Ranald po pewnym czasie od ślubu nie miał jeszcze dziedzica, trochę się porozpytywałem. Po tych wszystkich latach, kiedy był obrońcą króla, a kobiety jedna przez drugą pchały mu się do łóżka, nie znalazłem ani jednego dziecka, którego mógłby być ojcem. Zapewne pamiętasz, że mojemu bratu także się nie udało spłodzić potomka. Być może nasze nasienie jest skażone, chociaż mnie to najwyraźniej ominęło. A ciebie?

Blaise spojrzał na swoje drżące dłonie.

- Nic się nigdy nie liczyło oprócz celów, prawda? - zapytał. - Nic nie miało znaczenia samo w sobie. Wszyscy byliśmy narzędziami, każde z nas, Ademar, Rosala, Ranald i ja, nawet w dzieciństwie.

Ojciec machnął lekceważąco dłonią.

- A czego chciałeś, Blaise? Kołysanek? Klepnięcia w plecy? Uścisku kochającego ojca za ramię, kiedy coś ci dobrze poszło?

- Tak - odparł wtedy Blaise najspokojniej, jak potrafił. - Tak, chyba tego chciałem.

Po raz pierwszy Galbert jakby się zawahał.

- Dawałeś sobie radę bez nich.

- Tak - powtórzył Blaise i powoli odetchnął. - Dawałem. - Spojrzał na ojca. - Gdybyśmy mieli czas to omówić, może powiedziałbym ci coś o moim pojmowaniu spraw, ale chyba mi się nie chce. - Przerwał. Teraz był bardzo spokojny. - Czy coś jeszcze, ojcze?

Milczenie. Galbert pokręcił głową. Jeszcze przez chwilę patrzyli na siebie, a potem Blaise się odwrócił i wyszedł z kręgu. Żołnierze znów zrobili mu przejście. Zobaczył, że teraz dołączył do nich oddział łuczników w szkarłatnych barwach Carenu. Za nimi ujrzał swego konia; wodze trzymał Hirnan. Podeszedł do niego, wsiadł na siodło i ruszył przed siebie. Nie obejrzał się.

Usłyszał za sobą głos Rudela zadającego jakieś pytanie, bardzo wyraźną odpowiedź Thierry'ego, a potem rozkaz i świst strzał.

## ROZDZIAŁ 19

Początkowo Blaise nie wiedział, że jedzie tą samą drogą, którą z pola walki odjechał Bertran. Kierując się na zachód w stronę czerwieniejącej tarczy słońca, przybył do alei wiązów, prowadzącej do łuku. Wtedy się zatrzymał i obejrzał na ogniska, którymi było usiane pole bitwy. Czuł się bardzo dziwnie. Przyszło mu do głowy, niemal jako nieistotny fakt, że teraz jest zupełnie sam na świecie.

I wtedy, zerknąwszy w dół, dostrzegł świeże tropy pojedynczego konia i uświadomił sobie, że przed nim jechał tędy Bertran. Pomyślał, że księżę teraz też jest sam. Dawno temu wspomniała o tym Ariane: że wraz ze śmiercią Urtégo Bertran straci namiętą nienawiść, która kształtowała jego życie przez ponad dwadzieścia lat. Nienawiść, pomyślał Blaise, potrafi być równie potężna, jak miłość, chociaż śpiewacy mogą usiłować mówić coś innego.

Znów ruszył przed siebie. Przejechał pod ogromną, przytłaczającą krzywizną łuku; mimo płaszcza przez chwilę czuł chłód jego cienia, a potem wyjechał po drugiej stronie na gasnące światło słońca. Na niebie kolejne stado ptaków leciało na południe, gnane wiatrem. Jego ojciec nie żył. Brat nie żył. Zapewne już wkrótce on zostanie koronowany na króla Gorhaut. Cadar Ranald de Savaric jest prawdopodobnie jego synem. Zmagał się z tą myślą od jesieni. Takich rzeczy się nie mówi. Znał Rosalę na tyle dobrze, by wiedzieć, że ona nigdy tego nie zrobi.

I, jak można się było spodziewać, podążył następnie myślami do Aelis de Miraval, która umarła tak dawno temu i z miłości do której dwaj silni mężczyźni zniszczyli sobie życie. Jechał dalej w milczeniu po śladach tego, który przeżył, przez nagie zimowe winnice dawno już pozbawione jesiennych winogron i mające jeszcze długo czekać na pierwsze pączki. Winorośl w końcu ustąpiła trawie i Blaise zobaczył las, a w końcu stanął na jego skraju przed niewielką chatą węglarza z uwiązany przed nim znajomym koniem.

Na progu, gdzie mogłaby siedzieć pod koniec dnia kobieta z robótką, chcąc złapać resztki dobrego światła, siedział Bertran de Talair.

Kiedy Blaise zsiadał z konia, księżę uniósł głowę. Minę miał zaskoczoną, lecz bez śladu niechęci. Jadąc tu, Blaise nie wiedział, czy może się tego spodziewać. W dłoniach Bertrana zobaczył manierkę z seguignakiem. Na ten widok wróciło wspomnienie, wyraźne niczym dźwięk świątynnego dzwonu. Korytarz w zamku Baude. Księżycy znikające z wąskiego okna.

Ta sama manierka przechodząca z rąk do rąk. Blaise rozpamiętujący z goryczą chwile spędzone z Lucianną Delonghi, Bertran mówiący o kobiecie nieżyjącej od ponad dwudziestu lat, a nie o tej, z której łóżka właśnie wyszedł.

Książę spostrzegł, że Blaise patrzy na manierkę, i uniósł ją.

- Jeszcze trochę zostało - rzekł.

- Mój ojciec nie żyje - powiedział Blaise. Nie spodziewał się, że to powie. - Łuczniczy Thierry'ego.

Twarz Bertrana znieruchomiała.

- Nie wystarczy na to seguignaca, Blaise. Nie wystarczy go na potrzeby tego dnia, ale chodź, posiedź ze mną.

Blaise przeszedł po trawie i usiadł na progu obok księcia. Wziął manierkę i się napił. Przeniknął go czysty ogień. Pociągnął jeszcze jeden łyk, czując ciepło, i oddał manierkę.

- Skończyło się? - zapytał Bertran.

Blaise skinął głową.

- Teraz już pewnie wszyscy się poddali.

Bertran spojrział na niego; miał podkrążone oczy.

- Usiłowałeś mnie tam na końcu powstrzymać, prawda? Słyszałem, jak mnie wołasz.

Blaise znów kiwnął głową.

- Chybabym nie przestał. Chybabym nie mógł, gdyby Thierry nie kazał zadać w rogi.

- Wiem. Rozumiem.

- Nie jestem z tego zbyt dumny.

Bertran pociągnął krótki łyk z manierki.

- To nie pora, by się osądzać. Palili kobiety. I ci dwaj trubadurzy...

Bertran zamknął oczy i Blaise zamilkł. Po chwili książę uniósł głowę i oddał manierkę. Blaise objął ją dłońmi, lecz się nie napił. Seguignac już mu szedł do głowy.

- Mam do ciebie pytanie - rzekł Bertran de Talair.

- Słucham?

- Miałbyś coś przeciwko temu, bym poprosił twoją szwagierkę, żeby za mnie wyszła? Jeśli Rosala mnie zechce, chciałbym wychować Cadara jak własnego syna, dziedzica Talair.

Blaise poczuł, jak po całym ciele rozlewa mu się nadzwyczajne ciepło i tym razem nie pochodziło ono od alkoholu. Spojrział na Bertrana i po raz pierwszy tego długiego dnia się uśmiechnął.

- Nie mam nic do powiedzenia w kwestiach decyzji Rosali, ale nie wyobrażam sobie, by coś mogło sprawić mi większą radość.

- Naprawdę? Myślisz, że mnie przyjmie? - zapytał Bertran nagle niepewnym tonem.

Blaise wybuchnął śmiechem. Dziwnie to zabrzmiało w tym miejscu na skraju lasu.

- Pytasz mnie o radę w sprawie tego, co myśli kobieta?

Przez chwilę Bertran milczał, a potem i on się roześmiał, choć nieco ciszej. Potem znów na jakiś czas zapadło milczenie.

- Mój ojciec - odezwał się w końcu Blaise - mój ojciec stwierdził, że Ademar był tylko jego narzędziem do zniszczenia Rian w Arbonne. Że jego drugim celem przez te wszystkie lata było umieszczenie mnie na tronie Gorhaut.

Bertran znów znieruchomiał, po swojemu poważny i skupiony.

- To mnie nie zaskakuje - oznajmił.

Blaise westchnął i popatrzył na manierkę w swoich dłoniach.

- Wolałbym raczej nie przyjmować tego za prawdę.

- Rozumiem. Zatem nie mów o tym nikomu. To powinno zostać między nami.

- Co nie sprawia, że jest mniej prawdziwe, że ukartował nawet to.

Bertran wzruszył ramionami.

- Częściowo, nie całkowicie. Nie mógł się domyślić, co ci się przytrafi w Arbonne.

- Właściwie się do tego przyznał.

- Widzisz? Blaise, rządzi nami tyle odmiennych spraw, że czasami mnie to przeraża. -

Bertran się zawahał. - W tej chacie spotykałem się z Aelis. Tutaj został poczęty mój syn.

Teraz znieruchomiał Blaise. Zrozumiał, i ta świadomość głęboko go wzruszyła - że Bertran mówi mu to jak prawdę swego serca w zamian za to, co on sam mu powiedział.

- Przykro mi - rzekł Blaise. - Wracamy?

Bertran pokręcił głową.

- Mógłbyś mi ją jednak oddać, skoro nie pijesz. - Blaise podał mu manierkę. Metalowe zdobienia błysnęły w świetle, kiedy Bertran ją uniósł i wysączył resztki seguignaca. - Chyba nie dam rady znieść dziś nic więcej ponad to, co już zniosłem - powiedział.

Chwilę później usłyszeli zbliżającego się konia i podniósłszy głowy, zobaczyli Ariane, jadącą samotnie ku nim.

Zatrzymała się przed chatą, na progu której siedzieli. Nie zsiadała z konia. Widzieli, że płakała, chociaż teraz oczy miała już suche. Odetchnęła głęboko.

- Tej nocy, kiedy umarła moja kuzynka Aelis, złożyłam jej przysięgę - rzekła, nie witając się, bez wstępów. Blaise widział, że zachowuje spokój tylko z najwyższym wysiłkiem; poczuł, że Bertran zeszywniał. - Przysięgę, z której zwolniła mnie dzisiaj śmierć Urtého.

Patrzyła na księcia, więc Blaise chciał wstać, mówiąc:

- Powiniennem odjechać. To nie jest coś, czego mam prawo...

- Nie - przerwała mu Ariane bezbarwnym głosem; jej nieskazitelnie piękna twarz była niemal biała. - Przypadkiem to także dotyczy ciebie.

Bertran położył Blaise'owi rękę na kolanie, by nie pozwolić mu wstać.

- Zostań ze mną - poprosił księżę.

Został więc. Siedział na progu chaty węglarza w zimny wieczór, kończący dzień śmierci; smagał go wiatr, który odgarniał z twarzy Ariane czarne kosmyki i buszował w wysokiej trawie za nią. Mając przy sobie Bertrana de Talair, usłyszał, jak Ariane mówi głosem pozbawionym wszelkiej barwy, w którym pozostało samo znaczenie słów:

- Jest coś, co ci mogę teraz powiedzieć o nocy, kiedy umarła Aelis. Zaczęła rodzić przedwcześnie nie bez powodu, Bertranie. - Kolejny oddech, wyraźny dowód wysiłku, z jakim zachowywała spokój. - Kiedy Urté wziął z jej ramion twego syna i wyszedł z komnaty wraz z kapłanką, która usiłowała odebrać mu chłopca, zostałam z Aelis sam na sam. I kilka chwil później... uświadomiłyśmy sobie, że ma w łonie drugie dziecko.

Bertranowi drgnęły dłonie. Manierka upadła na trawę. Księżę spróbował wstać. Wydawało się jednak, że siły go opuściły, i nadal siedział na progu, patrząc na Ariane.

- Przyjęłam na świat twoją córkę, Bertranie - rzekła Ariane. - A potem... potem Aelis kazała mi złożyć przysięgę, i obie wiedziałyśmy, że umiera.

Teraz znów szlochała; łzy lśniły jej na policzkach niczym kryształy.

- Powiedz mi - odezwał się Bertran. - Ariane, powiedz mi, co się stało.

\*

Wtedy też szlochała wśród grozy tej komnaty. Miała trzynaście lat i słyszała, jak umierająca Aelis powiedziała mężowi, że chłopczyk, którego trzyma w ramionach, jest dzieckiem Bertrana de Talair. Skulona w kącie Ariane patrzyła, jak twarz Urtégo czerwienieje z wściekłości, jakiej nie widziała nigdy w życiu. Zobaczyła, jak wyrwa dziecko z ramion matki, w których delikatnie je złożyła kapłanka. Za murami Miraval wyła zimowa burza; deszcz siekł zamek, a gromy odzywały się na niebie jak rozgniewane duchy.

Księżę i kapłanka wybiegli z komnaty. Ariane nie wiedziała dokąd, była jednak pewna, że księżę zabije dziecko. Aelis myślała podobnie.

- Och, moja droga - powiedziała jej kuzynka, leżąc w zakrwawionej pościeli - co ja takiego zrobiłam?

Ariane, niemal oszalała ze strachu i żalu, ścisnęła ją za rękę, niezdolna wykrztusić słowa. Chciała się tylko znaleźć jak najdalej od tej komnaty, od tego straszego zamku.

A chwilę później Ariane powiedziała coś jeszcze, innym tonem:

- Och, Rian. Kuzynko, na imię bogini, chyba jest we mnie jeszcze jedno dziecko.

Było. Maleńkie, chociaż Ariane się wydawało, że większe od pierwszego. I była to dziewczynka o ciemnych włosach i długich kończynach matki oraz o silnym głosie, jakim wydała pierwszy krzyk pośród burz świata, na który przyszła.

To Ariane wyjęła ją z łona Aelis. To Ariane przegryzła pępowinę i owinęła niemowlę w ciepłe tkaniny, przygotowane obok kominka. To Ariane podała ją trzęsącymi się rękami matce. W komnacie nie było nikogo innego. Nikt inny nie słyszał tego drugiego krzyku.

A Aelis de Miraval de Barbentain spojrzała na ciemnowłosą córeczkę w swoich ramionach, wiedząc, że uchodzi z niej życie, i powiedziała do kuzynki, która owego roku skończyła trzynaście lat:

- Będąc na łożu śmierci, zobowiązuję cię do czegoś. Musisz przysiąc, że zrobisz to, o co cię poproszę.

Ariane spojrzała na matkę i dziecko i tak zrobiła: przysięgła, że wyniesie dziecko z komnaty na tylne schody - dziecko zawinięte w ten materiał i ukryte pod płaszczem, i że wywiezie je z Miraval w szaleństwo nocnej burzy.

I przysięgła tej nocy, że dopóki będzie żył Urté de Miraval, nikomu, nawet Bertranowi, nie powie o istnieniu drugiego dziecka.

- Kiedy Urté umrze - rzekła jej kuzynka - a ty będziesz żyła i ona też, zostawiam to tobie. Oceń, kim się stała, jeśli będziesz wiedziała, gdzie jest. Nie mam daru przewidywania, Ariane. Oceń potrzeby czasu. Być może to dziecko, moja córka, będzie dziedziczką Talair, samej Arbonne. Musisz stać się kobietą, która będzie umiała pewnego dnia dokonać tej oceny. A teraz ucałuj mnie, kuzynko, wybac mi, jeśli potrafisz, i idź.

Ariane pochyliła się, ucałowała umierającą kobietę w usta i uciekła, zbiegając samotnie po krętych schodach, owinięta ciemnym płaszczem i z niemowlęciem przy sercu. Nie spotkała nikogo ani na schodach, ani na korytarzu, ani kiedy wychodziła przez poternę z zamku na deszcz. Przy stajniach nie było widać żadnego stajennego, więc Ariane sama wyprowadziła swoją klacz z boksu, wsiadła na nią niezdarnie z beli siana i wyjechała na oklep z dziedzińca, mając za ochronę dla siebie i dziecka przed zimnem i zacinającym deszczem tylko płaszcz z kapturem.

Tę jazdę zapamiętała na resztę swoich dni i nocy. Przychodziła do niej w snach albo z nagłym grzmotem czy błyskawicą podczas burzy. Wtedy Ariane wracała pamięcią do winnic Miraval, przez które jechała na wschód do jeziora, a kiedy błyskawica rozdzierała niebo i ziemię, wszędzie wokół ukazywały się poskręcane gałęzie winorośli. Początkowo dziecko

ciągle płakało, lecz potem zamilkło. Ariane przeraziła się, że umarło, i bała się rozchylić na deszczu płaszcz, by to sprawdzić. Ona płakała przez całą drogę.

Nie wiedziała, jak jej się udało znaleźć chatę nad jeziorem, gdzie było trzymane drewno i podpałka służące do powiadamiania wyspy. Ariane pamiętała, że zsiadła tam z konia, przywiązała go i, ociekając wodą, stanęła w progu, nie mogąc powstrzymać płaczu. Wtedy potężna błyskawica rozświetliła całe niebo; na moment jej oślepiający blask wydobył z ciemności pobliski Łuk Starożytnych, ogromny i czarny, i Ariane krzyknęła ze strachu. Lecz w tej chwili, jakby w odpowiedzi na ten krzyk, poczuła, że dziewczynka, którą przyciskała do serca, poruszyła się i znów zaczęła zawodzić, stanowczo oznajmiając swoją obecność wśród przerażających zjawisk świata.

Ariane tuliła ją, kołysząc się w przód i w tył, nucąc coś bez słów i patrząc, jak błyskawice przecinają niebo, a potem się oddalają na południe; grzmoty stopniowo milkły i wreszcie po całej wieczności między gnanyimi wiatrem chmurami raz i drugi pojawił się błękitny księżyc nazwany na cześć Rian i przestało padać.

Wtedy Ariane owinęła niemowlę najlepiej, jak umiała, położyła je na szczęśliwie suchej podłodze chaty, po czym wzięła drewno, rozpałkę i krzesiwo i na pagórku obok chaty rozpałała ogień przyzywający kapłanki, a one przyplnęły.

Ujrzała, jak przy brzegu wyspy podnosi się biały żagiel, a potem po spokojnych już wodach jeziora mknie ku niej niewielka łódka, niewymownie piękna i dziwna w świetle błękitnego księżyca - przedmiot pełen wdzięku i delikatności w świetle, z którego, jak się wydawało Ariane, takie rzeczy na zawsze zniknęły.

Sukienkę miała przemoczoną, poplamioną i podartą. Tej nocy nie wyglądała na kogoś bogatego i zajmującego wysoką pozycję. Kaptur nasunęła głęboko na twarz. Kiedy łódka przybijała do brzegu, Ariane z żalem rozwinęła niemowlę z bogatych zamkowych tkanin i wyniosła je do kapłanek w łachmanie znalezionym w chacie.

Podążyła dziecko Aelis wysokiej i poważnej kapłance, która stała przy dziobie łodzi na plaży. Specjalnie mówiła drżącym głosem, jąkała się i udawała wiejski akcent, mówiąc, że to jej własne dziecko i że ojciec nie pozwoli jej go zatrzymać. Czy dobre służące słodkiej Rian nie mogłyby dać jej córeczce schronienia i strzec jej do końca jej dni? Ariane pamiętała, że wtedy się rozplakała.

Jej prośba nie była czymś niespotykanym. W ten sposób na Wyspie Rian i wyspie bogini na morzu uzupełniano z biegiem pór roku i lat stan służących, kapłanów i kapłanek. Dwie kobiety nie pytały o nic prócz jej zdrowia. Ariane po raz ostatni wzięła niemowlę w swoje chude, zmęczone ramiona i ucałowała je na pożegnanie w usta, tak jak poprzednio ucałowała



jego matkę. Powiedziała kapłankom, że sobie poradzi.

To samo mówiła sobie, patrząc, jak łódka odpływa po gładkiej wodzie jeziora, unosząc na pokładzie córkę Aelis i Bertrana, a nad nią świeci księżyc, płyną chmury i pojawiają się lśniące gwiazdy.

Aelis nic nie mówiła o imieniu. Stojąc na kamienistym brzegu, Ariane podniosła wzrok na błękitny sierp księżyca i powiedziała kapłankom, że jeśli dziewczynka okaże się tego godna, ma zostać nazwana na cześć tego księżyca, a zatem i bogini.

\*

- Przeżyła - powiedziała Ariane de Carenu dwadzieścia trzy lata później, siedząc na koniu przed chatą, w której została poczęta owa dziewczynka i jej brat. Kiedy księżna opowiadała tę historię, wyschły łzy na jej policzkach. - Ilekroć mogłam, przez te wszystkie lata czuwałam nad nią najlepiej, jak umiałam. Oczywiście pozostała na wyspie, jak większość takich dzieci. Jest piękna, bystra i odważna, Bertranie. Chyba jest bardzo podobna do swojej matki. Nazywa się Rinette. Niedługo miała zostać najwyższą kapłanką na Wyspie Rian.

- Miała? - Bertran zapytał cicho.

Dłonie na czas opowieści mocno splótł przed sobą; Blaise zauważył, że drżą.

- Zanim tu przyjechałam, rozmawiałam z nią. Uznałam, że tak trzeba. Powiedziałam jej, kim jest, skąd się wzięła na Wyspie Rian, i wyjaśniłam też parę innych spraw. Powiedziałam... że z racji tego, kim jest, może być bardziej potrzebna poza wyspą, w świecie zwykłych ludzi, ale że wybór należy do niej i... że ja o to zadbam.

- I?

Blaise uświadomił sobie, że Bertran wygląda starzej. Chciał go objąć ramieniem, ale się powstrzymał.

- Powiedziała, że jeśli mówię prawdę, to jest oczywiste, że ważniejsza jest dla Arbonne wśród zamków niż sanktuariów. Takie były jej słowa. Jest bardzo silna, Bertranie. Jest... naprawdę wspaniała.

Przy tych ostatnich słowach głos jej się lekko załamał.

- A zatem ją widziałem - rzekł książę głosem łamiącym się ze zdumienia. - Musiałem ją widzieć tyle razy i nigdy nie zauważyłem podobieństwa.

- A dlaczego miałbyś je zauważyć? Przecież go nie szukałeś.

Bertran pokręcił głową.

- Takie nagłe odkrycie prawdy musiało być dla niej bardzo trudne. Musiało być okropne.

- Może się takie stać. Chyba jeszcze tak nie jest - rzekła Ariane. - Podejrzewam, że przy

tym wszystkim ona tylko w połowie rozumie, co to wszystko będzie znaczyć. Co prawda wie... - Ariane zawahała się i z niewiadomych powodów odwróciła się do Blaise'a - co prawda wie, bo jej powiedziałam, że być może już niedługo będzie musiała wyjść za mąż.

Teraz zrozumiał, dlaczego chciała, by został.

Podniósł wzrok w słabnącym świetle pogodnego dnia i napotkał spojrzenie ciemnych oczu Ariane. Nagle przypomniało mu się wiele rozmaitych spraw, lecz najsilniej pewna nocna rozmowa w Tavernel.

W końcu Bertran popatrzył najpierw na jedno, potem na drugie i pierwszy się podniósł z progu chaty.

- Chyba już pojedę - oznajmił księżę.

- Mam jechać z tobą? - zapytał Blaise.

Bertran pokręcił głową. Uśmiechnął się krzywo, lecz był to tylko cień jego zwykłej miny.

- Znam drogę - odparł. - Przynajmniej to się nie zmieniło.

Wydawało się jednak, że kiedy Blaise wstał i patrzył na odjeżdżającego księcia, wszystko inne uległo zmianie. Ariane obróciła się w siodle i też odprowadziła go wzrokiem. Odwróciła się z powrotem do Blaise'a dopiero wtedy, gdy Bertran - niepozorna postać w podartym, poplamionym krwią ubraniu wojownika - zniknął im z pola widzenia. Nadal nie zsiadała z konia.

- W noc letniego przesilenia pewna kobieta dzieliła ze mną łóżko w Tavernel. Powiedziała mi, że spędzi życie na zmienianiu zasad małżeńskiej gry między mężczyznami i kobietami.

Nie bardzo wiedział dlaczego, ale wypowiedział te słowa tak, jakby niemal miały być ciosem.

Zobaczył, że tak je rozumiała, i kiedy tylko sobie to uświadomił, cały gniew i niechęć opuściły go jak zdmuchnięte wiatrem.

- Nie mogę tu niczego kontrolować ani nawet nie chcę próbować tego robić - powiedziała bardzo cicho Ariane. - Widzę jednak coś, co mogłoby się stać. Ty też, Blaise. Musisz wiedzieć, jakie to dla mnie trudne. Musisz. Nawet po tym wszystkim, co się wydarzyło.

W gruncie rzeczy wiedział. Wydawało się, że jest mądrzejszym człowiekiem, niż był przed rokiem. Wiedział, jaką głęboko skrywaną w sercu prawdę mu oferuje, i nie po raz pierwszy uświadomił sobie z pokorą, jak uczciwa jest Ariane. Pomyślał nagle, że jest to kobieta, która uwolniła go od Lucianny i goryczy, którą wyniósł z Portezzy.

- Ariane - powiedział chrapliwie - jesteś powodem, dla którego nie wolno pozwolić, by Arbonne zginęła.

- Jest wiele powodów - powiedziała, lecz w mroku jej oczu coś błysnęło.

- A ty jesteś ich symbolem i ośrodkiem. Jesteś królową Dworu Miłości.

- Sądziłam, że uważasz to za głupotę.

- Wiele tutejszych spraw, które uważałem za głupotę, okazało się bardziej prawdziwymi niż wszystko, co znałem dotychczas. - Przerwał, a potem, ponieważ koniecznie trzeba było to powiedzieć, dodał: - Ariane, bez względu na to, co możemy mówić o Urtém, Bertranie i Fulku de Savaric, tę bitwę wygraliśmy dzięki twojemu mężowi. Także dzięki Thierry'emu udało nam się zapobiec rzezi poddających się ludzi.

- Chyba o tym wiem - rzekła z powagą.

- Nie umiem wyrazić, jak wielki mam dla niego szacunek.

- Ja też - mruknęła. - To ci mówiłam w Tavernel. Co chcesz powiedzieć, Blaise?

Zmusił się do spojrzenia w jej spokojne oczy. Były tak ciemne, tak głębokie, że można było w nich zatonać.

- Że nadal na tyle jestem Gorhautczykiem, i chyba zawsze nim będę, że straszliwie trudno mi wyznawać miłość żonie takiego człowieka.

Na chwilę pochyliła głowę.

- O tym też wiem - rzekła i znów nań spojrzała. - Wiem także, ku memu wielkiemu smutkowi, że jesteśmy tym, kim jesteśmy, podobnie jak czasy, w których się urodziliśmy, a to, co ci powiedziałam tamtej nocy w Tavernel o wolności wyboru, to w rzeczywistości jedyna prawdziwa głupota, jaką którekolwiek z nas zaproponowało drugiemu. Niedługo zostaniesz królem Gorhaut, Blaise, w świecie przewróconym do góry nogami. Dziedziczka Arbonne zapewne w tej chwili czeka w Talair.

- I uważasz, że powinienem ją poślubić? By zacząć naprawianie świata?

Po raz pierwszy Ariane okazała przebłysk swej dawnej władzy.

- Powiedziała ci, że nie mam tu nad niczym kontroli. Tak czy owak jest na to za wcześnie. Uważam - skoro pytasz - że każdy mężczyzna, który będzie z nią dzielił życie, do końca swych dni będzie szczęśliwy. Nawet ty, Blaise.

Oczywiście widział ją, dwa razy. Rinette. Wiosną wymienili ze sobą nad jeziorem kilka szorstkich, wyniosłych słów po tym, jak zabił sześciu coranów z Miraval. „Czekaliśmy na ciebie”, powiedziała, opanowana nad swój wiek, a on się tych słów przestraszył. Może, pomyślał teraz, znaczyły coś innego, niż każde z nich sądziło czy się domyślało tamtego wiosennego dnia. Może bogini rzeczywiście działa w sposób niezrozumiały dla mężczyzn i kobiet. Przypomniała mu się nagle czerwona strzała, od której zginął Ademar. Blaise wciąż nie miał pojęcia - i usiłował się nad tym nie zastanawiać - w jaki sposób ta strzała spadła pionowo w dół z czystego nieba.

- Będę cię widywał? - zapytał, podniósłszy wzrok na Ariane. - Nie odejdziesz z mego życia?

Uśmiechnęła się wtedy.

- Król Gorhaut zawsze będzie mile widziany w Carenu - odparła oficjalnym tonem.

Prowadziła ich z powrotem na twardy grunt. Jej dary zawsze były hojne, a ten nie był z nich najmniejszy. Spróbował odpowiedzieć podobnym tonem.

- A pan i pani na Carenu wszędzie tam, gdzie będę.

Zapadło krótkie milczenie. Przygryzła wargę.

- Tamtej letniej nocy padły też inne słowa. Pieśń zaśpiewana w tawernie, gdzie się poznaliśmy. Ciekawe, czy pamiętasz jej zakończenie?

Pokręcił głową. Pamiętał, że tę pieśń śpiewała Lisseut z Vezét, lecz słowa mu umknęły. Ariane się wtedy uśmiechnęła z czułością i smutkiem, i powracającym cieniem wycucia, które zawsze jej towarzyszyło.

- Pozwól, że wrócę sama, Blaise. Jeśli nie masz nic przeciwko. W najbliższym czasie chyba nieczęsto będę sama.

Skinął głową. Cóż innego mógłby zrobić? Wziąć ją w ramiona w gasnącym świetle? Pomyślał, że nie na tym świecie. Dotknęła palcem jego ust, wciąż z tym samym uśmiechem, i się odwróciła. Nie znał piękniejszej kobiety. Wiedział, że dałaby mu wielką pociechę. Pociechę, namiętność i mądrość. Gdyby tylko poprosił, dałaby mu to i wzięłaby w zamian cokolwiek mógłby jej dać on. Blaise patrzył z przepelnionym sercem, jak Ariane powoli odjeżdża od niego o zachodzie słońca przez wysoką trawę. Miał w myślach jej obraz jako trzynastolatki z noworodkiem w ramionach.

Noworodek ten wyrósł na kobietę, którą świat oraz jego własne, coraz lepsze zrozumienie owego świata mogłyby mu nakazać poślubić. Niczego nie można ani nie da się zrobić szybko, a nawet może w ogóle się tego nie uda zrobić; świat, do którego teraz wszedł, był straszliwie skomplikowany. Ariane powiedziała, że Rinette czeka w Talair. Wybiegł myślami ku takiemu spotkaniu. Lecz tylko myślami. Przez długi czas nie ruszał się z miejsca; siedział spokojnie na progu, a słońce zniżyło się ku ziemi i stopniowo przesyciło barwami zachodu pola, nagie winnice i drzewa, i łagodnie położyło promienie, niczym późne błogosławieństwo, na chatę pod lasem.

Zanim Blaise wreszcie stamtąd odszedł, zerknął do środka przez otwarte drzwi i zobaczył, jak przytłumione szkarłatne światło pada ukośnie przez zachodnie okno na niewielkie, starannie pościelone łóżko pod ścianą. Stał tak przez chwilę bez ruchu, a potem delikatnie zamknął drzwi, by po tych wszystkich latach nie wtargnął do środka wiatr ani deszcz.

\*

Kiedy wyruszył do Talair, zapadł zmierzch i na wschodzie pokazały się pierwsze nikle gwiazdy. A ponieważ było prawie ciemno, a on właściwie nie myślał o drodze, przejechał obok kobiety, która stała spokojnie obok swego konia w cieniu wiązków po drugiej stronie łuku.

Lisseut chciała go zawołać, lecz w chwili, kiedy się pojawił i ją minął, przekonała się, że głos odmówił jej posłuszeństwa. Nie potrafiła wypowiedzieć jego imienia. Wcześniej widziała, jak przejeżdżał tędy księżę, a potem Ariane de Carenu, więc nadal pozostawała w ukryciu pod drzewami, zachowując swe myśli dla siebie. A potem zaszło słońce i wydłużyły się cienie rzucane przez ogromny łuk.

Jej myśli. Żadnej w nich pociechy. Mężczyzna, za którym pojechała, a już raz kiedyś za nim podążała, był królem Gorhaut albo się nim niedługo stanie. Już miał na sobie królewski płaszcz. Widziała to z wyspy.

W momencie, w którym pojawił się Blaise, myślała o matce, ojcu i o domu, o wschodzie słońca widzianym z okna jej pokoiku, o porannym świetle przefiltrowanym przez szarozielone liście drzewek oliwnych, o unoszącym się w powietrzu zapachu morza.

Zawsze była porywcza, zawsze parła do przodu najbardziej, kiedy wewnętrzny głos jej mówił, że w gruncie rzeczy właściwie nie jest to pora na działanie. Matka powtarzała jej bez końca, że to ją może pewnego dnia sprowadzić na manowce.

Może to z powodu wspomnienia tych matczynych słów i rozdzierającej serce wyrazistości obrazu domu Lisseut milczała, kiedy mężczyzna ją minął, a potem się oddalił - od niej, od łuku i zimowych wiązków - zmierzając z powrotem do czekającego nań świata. Straciła Blaise'a z oczu w miejscu, gdzie kończyła się aleja wiązków, a ścieżka zakreślała na wschód, ku brzegowi jeziora.

Stała nieruchomo; dziwnie trudno było jej się poruszyć w tym momencie. Jeszcze przez chwilę trzymała się tego obrazu domu, a potem i on jakby się od niej oddalił. Po pewnym czasie stania w pogłębiających się cieniach Lisseut stwierdziła, że jej myśli zwróciły się w jeszcze innym kierunku, a potem okazało się, że wrócił jej głos i że, co raczej nie było zaskakujące, musi wyśpiewać zmierzchowi i pustej ścieżce, po której przejechał Blaise, pewne słowa:

*Najcenniejsze wino podane do stołu,*

*Wyborne mięsa, dojrzałych owoców słodycz*

*I blask świec, gdy do kolacji siadamy pospołu*

*W Fionvarre.*

*Święty księżyc nas blaskiem zaleje,*

*Nad obojgiem nas zaświecą gwiazdy.*

*Jeśli nie tu, będziesz do mnie należeć*

*W Fionvarre.*

Westchnęła. Powiedziała sobie, że naprawdę nie ma sensu tu dalej tkwić. Czas wracać. Nadal jednak czuła tę dziwną niechęć do ruszenia się z miejsca. Teraz, w nocy, zrobiło się zimno, ale wiązy chroniły przed najostrejszymi podmuchami wiatru, a w ciemności nie było widać wyrzeźbionych na łuku niepokojących postaci jeńców i niewolników. W gruncie rzeczy w miejscu, w którym stała, trzymając wodze sennego konia, panował niezwykle spokój.

Została tam dłużej. Dużo później usłyszała, jak wzdłuż krawędzi lasu za nią podąża jakiś jeździec, kierując się na południe. Wtedy po raz pierwszy trochę się wystraszyła. Wsiadła na konia i wyruszyła w drogę powrotną do światła, schronienia, przyjaciół i pociechy, jaką to wszystko mogło jej dać.

Kiedy zbliżyła się do brzegu jeziora i ruszyła nad wodą w stronę odległego zamku, niosąc ze sobą stratę i miłość, wspominając dom i usiłując zrozumieć kształt przyszłości otwierającej się przed nimi wszystkimi, Lisseut zaczęła myśleć o pieśni. Tym razem nie o jakiejś starej kołysance, której pochodzenie już dawno zapomniano, nie o melodii Anselme'a z Cauvas, pierwszego ze wszystkich trubadurów, ani hrabiego Folqueta czy Alaina albo en Bertrana, albo nawet utraconego Remy'ego czy Aureliana.

Ta melodia i słowa nie należały do żadnego z nich. To - kiedy tak jechała ku światłom zamku wzdłuż brzegu Jeziora Dierne w oświetlonej blaskiem gwiazd zimowej ciemności - po raz pierwszy była jej własna pieśń.

\*\*\*

Na dworze było zimno, lecz w ciepłych, rozświetlonych blaskiem ognia komnatach zamku Talair Rinette czuła się dziwnie ograniczona. Zapytała, gdzie jest ogród, i ktoś ją tam zaprowadził. A potem, kiedy weszła na otoczony murem teren, poprosiła, by zostawić ją samą, i to jej życzenie też zostało spełnione. Wszyscy byli nadzwyczaj uprzejmi, nawet bardziej, niż można by się spodziewać w odniesieniu do wysoko postawionej kapłanki Rian.

Lecz była kimś więcej, a zarazem mniej, niż taka kapłanka. Zostawiła swoją sowę na wyspie. To, jak się okazało, było pierwsze z bardzo trudnych posunięć.

To mój zamek, pomyślała Rinette, spacerując o zmierzchu wśród nagich drzew, zimozielonych roślin, krzewów i kwiatów, które wspaniale się rozwiną wiosną. Jeden z jej zamków. Kolejnym był sam Barbentain, a część jej dziedzictwa stanowił nawet Miraval, jeśli trochę się naciągnęło kryteria.

Zrobiło się zimno, lecz jej to nie przeszkadzało. Umiała sobie poradzić z zimą. Pod szarym płaszczem była ubrana w szaty sługi Rian. Nie miała zbyt wiele czasu na zmianę stroju. Ani poczucia, gdzie jest jej miejsce w świecie. Kiedy wstała rankiem tego dnia, była kapłanką Rian na jej świętej wyspie, mianowaną następczynią tamtejszej najwyższej kapłanki, chociaż zastanawiała się, dzieląc strach ich wszystkich, czy przeżyją zimę. Albo czy ich przeznaczeniem jest ogień w imieniu Gorhaut i boga, któremu ten kraj podobno służy.

Tego dnia wywiązała się bitwa; kwik koni i krzyki ludzi, krew i chaos w dolinie, a na końcu, nieoczekiwane wśród bezradnego przerażenia, zwycięstwo tak całkowite, że umysł i serce ledwie mogły je pojąć. Poszła do sanktuarium, by pomóc najwyższej kapłance w prowadzeniu pradawnego, świętego obrzędu dziękczynienia.

A kiedy wyszła spod kopuły, natknęła się na czekającą na nią panią Ariane de Carenu, z opowieścią, która na zawsze zmieniła jej życie.

Było jej trudno, bardzo trudno, chociaż starała się poradzić sobie z tym tak samo jak ze wszystkim innym - spokojnie i z taką jasnością myśli, na jaką było ją stać. Pani na Carenu zakończyła opowieść tym - co było oczywiste dla każdej myślącej osoby od chwili, gdy wszystko zaczęło się stawać jasne - że teraz jej miejsce niemal na pewno nie jest na wyspie. Że w tej nowej sytuacji Arbonne nie potrzebuje jej ślepoty i wewnętrznego widzenia najwyższej kapłanki Rian. Wszystko się zmieniło.

Ariane powiedziała też coś nieoczekiwanego: że całą swą władzą i honorem będzie broniła każdego wyboru, jakiego dokona Rinette. Rinette pamiętała, że mówiąc to, Ariane była bliska łez. To była szczodra propozycja, lecz w rzeczywistości nie znaczyła zbyt wiele. Rinette nie byłaby taka, jaka była, gdyby sama nie umiała wyraźnie dostrzec, co to wszystko znaczy.

Była dziedziczką Arbonne. Jedyłą.

Dzięki zawarciu odpowiedniego małżeństwa można by na jakiś czas zapewnić jej krajowi przyszłość i swobodę oddawania czci świętej Rian. Może na bardzo długi czas. Nie była to świadomość, od której można by się odwrócić ku swojskości wysepki, będącej jedynym domem, jaki знаła Rinette. Nie mogła już wybrać ścieżki świętej ślepoty i wewnętrznego

widzenia, jakie ta ślepotą mogłaby jej dać.

A zatem nie pójdzie w ślady najwyższej kapłanki. Ani tutejszej, ani samej Beatritz na morskiej wyspie. Najwyższa kapłanka na Wyspie Rian, najświętsza sługa bogini, pomyślała nagle Rinette, zastanawiając się nad tym po raz pierwszy, jest starszą siostrą jej matki.

Pokręciła głową. To będzie bardzo trudne. Widziała, jak służący zapalają w ogrodzie pochodnie. Starali się nie zakłócić jej prywatności i trzymali się z dala. Światło na zachodzie zrobiło się przepiękne; w miejscu, gdzie niemal już zniknęło słońce, niebo przybrało barwy szkarłatu, fioletu i łagodniejszą paletę ich przydymionych odcieni. Rinette widziała, że w środku zimy ogród nie przedstawia się najlepiej, lecz Talair leżał wystarczająco daleko na południu, by wszędzie dookoła były widoczne resztki kolorów, a dzięki murom i drzewom wiatr wiał tu słabiej. Usłyszała plusk wody i przeszedłszy kawałek ścieżką wyłożoną kamykami, dotarła do fontanny. Służący już tu byli; w zatkniętych w ziemię uchwytach płonęły pochodnie. Zatrzymała się przy jednej, grzejąc dłonie w jej ciepłe.

Była dziedziczką Arbonne. A także dziedziczką tego zamku Talair, ponieważ en Bertran się nie ożenił i nie wyznaczył żadnego spadkobiercy. En Bertran. Jej ojcem był książę Talair.

Oczywiście widziała go; wychowując się na wyspie tak blisko jego zamku, wielokrotnie widywała go za wodą. Pamiętała, jak wraz z innymi akolitami spędzała niezliczone wieczory na powtarzaniu jednym tchem opowieści i plotek na jego temat, przynoszonych na Wyspę Rian przez trubadurów i zonglerów. O Bertranie de Talair, księciu Urtém i pięknej damie, która umarła, Aelis de Miraval, wiedziała wszystko. Znała nawet - jak wszyscy - starą pieśń, którą Bertran ułożył wiosną dla ukochanej nad brzegami tego jeziora.

Nie wiedziała jednak, że była to pieśń jej ojca dla jej matki, że ona sama stanowi część tej opowieści. W gruncie rzeczy była chyba jej zwieńczeniem.

Był też ten inny mężczyzna. Ten który wkrótce miał zostać królem Gorhaut. Tego dnia walczył po stronie Arbonne przeciwko własnemu ludowi. Jego też widziała, dwa razy. Raz zeszłej wiosny, a potem tego ranka, kiedy przepłynęli przez jezioro, by odebrać hrabinę z rokowań. Był wysoki, brodaty, jak wszyscy mieszkańcy północy, co sprawiało, że wyglądał dość ponuro, lecz zeszłej wiosny przyszła wiadomość z Wyspy Rian, że powinno się go wyglądać, że przybywa w ich strony i może być dla nich ważny. I bardzo niedawno tego popołudnia Ariane de Carenu, która, jak sądziła Rinette, chyba powinna się orientować w takich sprawach, powiedziała, że to dobry człowiek, łagodniejszy, niż się wydaje, i mądrzejszy, obarczony brzemieniem, do dźwigania którego będzie potrzebował w najbliższych dniach i latach czyjejś pomocy.

Zastanawiała się, czy tu do niej przyjdzie. Czy już się zacznie. Zastanawiała się, czy



przyjdzie jej ojciec. Raptem usiadła na jednej z kamiennych ławek przy fontannie, nie zwracając uwagi na zimno. Z zimnem łatwo sobie poradzić. W przeciwieństwie do tego, co ją dzisiaj spotkało, chociaż w rozmowie z Ariane udało jej się zachować spokój. To był oszałamiający dzień. Rinette chciała się gdzieś ukryć, zasnąć bez snów. Chciała... właściwie tak naprawdę nie wiedziała, czego chce.

Nagle poczuła - a nie pamiętała tego uczucia od czasów, gdy była małą dziewczynką - że może się nawet rozplakać. To nie była wina Ariane, to nie była niczyja wina. Rinette siedziała w otoczonym murem ogrodzie zamku swego ojca i o tym ojcu wiedziała tylko tyle, że istnieją powtarzane w nieskończoność historie o księciu, który tworzył najpiękniejszą muzykę swoich czasów i walczył w wielu wojnach w licznych krajach, i który spędził ponad dwadzieścia lat na uganianiu się po całym świecie za kobietami, co, jak wszyscy wiedzieli, było nieustającą próbą przewyciężenia śmierci jedynej pani, jaką kiedykolwiek kochał. Jej matki.

Boję się, powiedziała do siebie nagle Rinette, a to wyznanie, o dziwo, pomogło jej odzyskać panowanie nad sobą. Nie zostanę spalona żywcem, napomniała się surowo. Teraz nie zostanie już spalona żadna z nas. Zwyciężyliśmy dzięki łasce Rian, która znów dała nam więcej, niż zasłużyliśmy. Rinette powiedziała sobie, że zmiany w jej życiu są tylko tym - zmianami w życiu. Śmiertelnicy nie mają wiedzieć - nie mogą wiedzieć - co przyszłość ma dla nich w zapasie; mają jedynie ulotne, kapryśne wizje, jakie bogini czasami zsyła tym, którzy się oślepiłi w jej imię.

To nie miała być jej ścieżka. Jej ścieżka zaczynała się tu, w tym ogrodzie, który opuścił z kimś, kto przyjdzie, by ją poprowadzić ku jasności i ciężarom ukształtowanym przez to, kim ona jest.

Ale chyba można się trochę bać, prawda? Chyba można na to pozwolić osobie, która siedzi samotnie o zmierzchu w zimowym ogrodzie, zmagając się z utratą wszelkich oczekiwań, jakie miała wobec swego życia?

Wtedy usłyszała na ścieżce odgłos kroków. Przez chwilę patrzyła na pochodnie, a potem, nieco oślepiona, podniosła wzrok, aż ujrzała gwiazdy. Odetchnęła głęboko i odgarnęła z twarzy ciemne włosy. A potem Rinette wstała i, wyprostowana i z uniesioną głową, odwróciła się na spotkanie przyszłości. Na końcu ścieżki prowadzącej do fontanny stała samotna postać.

To jednak nie przyszedł jeszcze ten człowiek z północy ani jej ojciec.

Oczywiście wiedziała, kto to jest. Uklękła na zimnej ziemi.

- Och, moja kochana - rzekła Signe de Barbentain, hrabina Arbonne - tak bardzo się cieszę, że cię widzę, i jest mi w tej chwili tak smutno. Tyle straciłyśmy, ty i ja. Mam ci tyle do powiedzenia. O twoim ojcu i twojej matce, a potem o dziadku, którego nie znałaś, a który

kochałby cię całym sercem.

I wtedy hrabina się zbliżyła, wchodząc niemal z wahaniem w blask pochodni, a Rinette zobaczyła, że kobieta ma twarz zalaną łzami. Rinette podniosła się szybko, instynktownie, przejęta dziwnym uczuciem. Miała ściśnięte serce i gardło. Wydała dźwięk bardzo podobny do krzyku dziecka, a potem schroniła się w ramionach babki.

\*\*\*

W dolinie, w której rozegrała się bitwa, panowała całkowita ciemność. Czekał na to cierpliwie, nawet z zadowoleniem. Wkrótce wstaną księżycy, oba tej nocy bardzo jasne, i rozleją swe bogate, zmieszane światło. Czas ruszać. W pobliżu miejsca, gdzie się znajdował, nie było żadnych zagrożeń, żadnych śpiących czy wartujących na zimnie żołnierzy którejkolwiek armii.

Schodził z gałęzi na gałąź, pewnie wyszukując drogę na sam dół. Nikt go nie słyszał; nie uczynił żadnego hałasu. Kiedy znalazł się na ziemi, wymknął się na zachód i przeszedł niedaleko od lasu, nadkładając drogi do miejsca na północ od Łuku Starożytnych, gdzie przed dwoma dniami zostawił konia.

Ogier był oczywiście głodny. Mężczyźnie było przykro, ale nic nie mógł na to poradzić. Zostawił w pobliżu worek z paszą i teraz nakarmił konia, poklepując go i głaszcząc po długiej szyi i łagodnie do niego przemawiając. Czuł głęboki spokój, jakby zjednoczony z nocą i rosnącymi wokół szumiącymi drzewami. Powodowany impulsem ukląkł i zmówił modlitwę.

Serce przepelniała mu tak ogromna wdzięczność, że bał się, że się z niego wyleje. Zrobił dokładnie to, po co tu przybył. Do czego się przygotowywał - chociaż w niewiedzy, wypełniając jedynie polecenia - od wczesnej jesieni.

Czas było ruszać na południe, zanim wzejdą jasne księżycy. Osiodłał konia, dosiadł go i wyruszył w drogę.

„Chcę, żebyś się nauczył nowego sposobu strzelania”, powiedziała do niego najwyższa kapłanka na wyspie na morzu. I wysłała go tam, dokąd nikt nigdy nie chodził, by nauczył się tego, czego od niego wymagała. Zawsze umiał się posługiwać łukiem, lecz to, o co prosiła, było dziwne, niewytłumaczalne. Nie żądał jednak wyjaśnień; to, że został wybrany, stanowiło zaszczyt nad wszelkie spodziewanie. Całą jesień spędził na ćwiczeniach, ucząc się trafiania w cel, wystrzeliwując strzały wysoko, by leciały po stromych trajektoriach określonych przez kapłankę. Bez końca, dzień po dniu, tydzień za tygodniem chodził samotnie na wschodni kraniec wyspy i ćwiczył.

Nauczył się. Pewnego dnia powiedział najwyższej kapłance, że chyba już lepiej tego

nowego, dziwnego sposobu strzelania nie opanuje. Tego samego dnia kazała mu zacząć od nowa ćwiczenie tych samych strzałów wycelowanych w kopułę nieba, lecz teraz miał to robić, siedząc na drzewie. To też ćwiczył; dzień po dniu, tydzień za tygodniem, aż na Wyspę Rian przybyła zima, a niebo zapełniło się pierwszymi stadami ptaków z północy. A potem pewnego dnia najwyższa kapłanka znów go wezwała i wyjawiała mu jego zadanie, cel tych wszystkich ćwiczeń. Byli we dwoje w jej komnacie i jego reakcję na słowa najwyższej kapłanki obserwowała tylko biała sowa.

Bogini czasami interweniuje w naszych sprawach, rzekła kapłanka, lecz zawsze chce wiedzieć, że sami próbowaliśmy sobie pomóc. On to rozumiał, miało to dla niego sens. W zwykłym świecie jeleni może podejść do człowieka, ale tylko wtedy, kiedy pójdzie się do lasu, stanie pod wiatr i będzie się cicho zachowywać, a nie siedzieć w domu na ławce przy kominku. Najwyższa kapłanka powiedziała mu wtedy, trzymając splecione dłonie na podołku - a przy jej słowach zaczął drzeć z trwogi - dokąd ma się udać, i nawet opisała mu drzewo, na które miał się wspiąć przed przybyciem armii do doliny nad Jeziorem Dierne.

Miał czekać na tym drzewie na moment, który mógłby nadejść, gdyby Rian obdarzyła ich łaską - na moment, kiedy mógłby zabić króla Gorhaut. Powiedziała mu, że o jego misji nie wie żaden mężczyzna ani kobieta, nawet żaden kapłan ani kapłanka. Nikt nie miał nigdy poznać tej misji. Wtedy ukląkł przed najwyższą kapłanką i złożył najświętszą przysięgę, jaką znał. Poczul na głowie jej silne palce, kiedy udzielała mu błogosławieństwa.

Potem dała mu ufarbowane na czerwono strzały ze szkarłatnymi piórami sowy, a on schował je do zamykanego kołczana i kazał się zawieźć łodzią na ląd. Za pieniądze otrzymane od najwyższej kapłanki kupił dobrego konia i ruszył w drogę; jechał szybko dniem i nocą, aż przybył do właściwej doliny. Był zmierzch i nie pojawiła się tam jeszcze żadna z armii; zobaczył drzewo, tak wyraźnie mu opisane, wspiął się na nie po ciemku i przygotował na długie czekanie.

Żołnierze przybyli nazajutrz. Tego samego popołudnia rozpoczęła się bitwa. Trochę później, kiedy od zachodu przybył na odsiecz en Urté de Miraval ze swymi coranami, król Gorhaut stoczył walkę z księciem; kiedy otrzymał cios mieczem, zdjął swój powgniatany hełm i cisnął go daleko od siebie.

Odbyło się to dokładnie tak, jak mu powiedziano, że może się stać. Odmówił na głos, ale cicho, żarliwą modlitwą, uniósł łuk, siedząc wśród gałęzi tego drzewa, które rosło nad doliną, i wypuścił szkarłatną strzałę niemal prosto w błękitne niebo; poszybowała ścieżką Rian, wznoszącym się łukiem, który opanował przez te samotne tygodnie i miesiące na wyspie.

Kiedy ujrzał, że strzała trafia króla Gorhaut w oko i kończy jego życie, nie był bardzo

zaskoczony, a jedynie przepełniony uczuciem pokory i wdzięczności, których nie umiałby wyrazić żadnymi słowami.

Potem czekał w milczeniu, ukryty w gałęziach drzewa, na zapadnięcie zmroku. Wtedy stamtąd umknął, niezauważony przez nikogo.

Po pewnym czasie odjechał już tak daleko, że zostawił jezioro za sobą. Niedługo potem na wschodnim niebie wzeszedł biały Vidonne i oświetlił drogę biegnącą przed nim na południe. Wokół nie było widać nikogo. Wcale nie był zmęczony. Ogarnęło go uniesienie, czuł się błogosławiony. Teraz mógłbym umrzeć, pomyślał.

Wraz ze wschodem księżycy przycichł wiatr. Nie było już zimno, a on jechał z przepełnionym szczęściem sercem na południe, gdzie tak naprawdę nigdy nie było zimno, gdzie dzięki słodkiej łasce Rian kwiaty kwitły przez cały rok.

Kiedy w ślad za białym księżycem wzeszedł także ten błękitny, nie mógł się już dłużej powstrzymać. Luth z Baude, który od zeszłej wiosny, kiedy został wymieniony za poetę, był Luthem z Wyspy Rian, i który pomyślał, że teraz mógłby być godnym konsekrowania na kapłana bogini w jej sanktuarium, zaczął śpiewać.

Nie był muzykiem i wcale nie był dobrym śpiewakiem; dobrze o tym wiedział. Lecz pieśni istniały nie tylko dla tych, którzy umieli je wykonywać po mistrzowsku. O tym też wiedział. Tak więc Luth bez cienia wstydu wznosił głos, czując wielkie zadowolenie i zachwyt, i pogalopował krętą, pustą drogą na południe, mijając gospodarstwa i zamki, wioski, pola i lasy rozłożone pod księżycami i gwiazdami świecącymi nad Arbonne.

# Z VIDAN TRUBADUR

## LISSEUT Z VEZÉT...

*Lisseut, która była jedną z pierwszych i może największą z trubadurów Arbonne, wywodziła się z szanowanej rodziny kupca oliwy, którego ziemie leżały na wschód od nadbrzeżnego miasta Vezét. Była średniego wzrostu, miała kasztanowe włosy i przyjemne rysy twarzy. Podobno w młodości była bezpośrednia i ta cecha towarzyszyła jej chyba do końca życia. Brat jej matki sam był żonglerem, cieszącym się niejaką sławą, i to on pierwszy zauważył u małej Lisseut czystość głosu, co skłoniło go do wzięcia jej pod swoje skrzydła i nauczania rzemiosła i sztuki żonglerów. Wkrótce jednak Lisseut znacznie przewyższyła wuja sławą...*

*Jej umiejętności przeszły do królestwa trubadurów i tworzenia własnych pieśni po Bitwie nad Jeziorem Dierne, kiedy Arbonne została ocalona przed inwazją z północy. „Lament na odejście słodkiej muzyki” Lisseut, oplakujący jej dwóch zabitych towarzyszy, był jej pierwszą i może najśłynniejszą pieśnią. W niedługim czasie stała się hymnem dla wszystkich poległych w tej wojnie...*

*Lisseut przez całe życie bardzo się przyjaźniła z wielkim królem Blaisem z Gorhaut, a także z jego pierwszą, a potem drugą żoną; wiele osób sądzi, że jej „Elegia na koronę wszystkich królów”, napisana w czasie, kiedy umarł król Blaise, jest jej najznakomitszym i najbardziej poruszającym dziełem..*

*Lisseut z Vezét nie wyszła za mąż, chociaż, jak wszyscy wiedzą, miała jedno dziecko, Aureliana, którego czytającym lub słyszającym te słowa na pewno nie trzeba przedstawiać. Podczas życia Lisseut i po jej odejściu do Rian rozgłaszano wiele opowieści na temat bardzo poważanej osoby, która mogłaby być ojcem jej syna, lecz nie jest naszym zamiarem powtarzanie tu jałowych spekulacji, a tylko takich prawd, które po tych wszystkich latach, jakie upłynęły od tamtych czasów, można ustalić z niejaką pewnością.*